

A · D · A · M ·  
PRZECHRZTA



fabryka słów

# SŁUGA CESARSTWA

CYKL MATERIA SECUNDA • TOM III



**W**ięc tak naprawdę mimo całej tej władzy zostanę niewolnikiem do końca życia?

– Dokładnie tak.

Alchemik z trudem przełknął ślinę; teraz, kiedy jego życzenie mogło się spełnić, zamiast satysfakcji poczuł strach. Przerażliwy strach.

– A ty? – spytał. – Co ty o tym sądzisz? Co pomyślałabyś o mnie, gdybym kazał kogoś zabić albo wytępić jakiś klan?

– Ja to robiłam – powiedziała łagodnie Szron. – Nie raz i nie dwa zabijałam jednostki, żeby uratować życie tysięcy. To ciężkie brzemię, bo jakim by okrutnikiem nie był wróg Wielkiej Han, którego każesz zabić, dla swojego dziecka zawsze pozostanie ukochanym ojcem, a ty będziesz musiał patrzeć na łzy tego malucha i zastanawiać się, czy nie lepiej byłoby go zgładzić teraz, żeby za dwadzieścia lat nie podniósł kolejnego buntu, aby pomścić rodzica.

„Sługa cesarstwa” – fragment





# Spis treści

Karta tytułowa

Cykle Alchemik Rudnicki i Materia secunda

I · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

II · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

III · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

IV · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

V · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

VI · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

VII · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

VIII · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

IX · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

X · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

XI · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·

Słowniczek i ciekawostki

Adam Przechrzta

Książki Adama Przechrzty

Zapiski stali

Hierarchia magii

Karta redakcyjna

Okładka

· A · D · A · M ·  
P R Z E C H R Z T A

**CYKL MATERIA SECUNDA**

SŁUGA  
CESARSTWA

Ilustracje  
Przemysław Truściński

**fabryka słów**<sup>®</sup>  
Lublin – Warszawa





---

CYKL ALCHEMIK RUDNICKI

---



---

MATERIA PRIMA

---

CZEŚĆ I

**ADEPT**

CZEŚĆ II

**NAMIESTNIK**

CZEŚĆ III

**CIEŃ**

---

MATERIA SECUNDA

---

CZEŚĆ I

**SŁUGA KRWI**

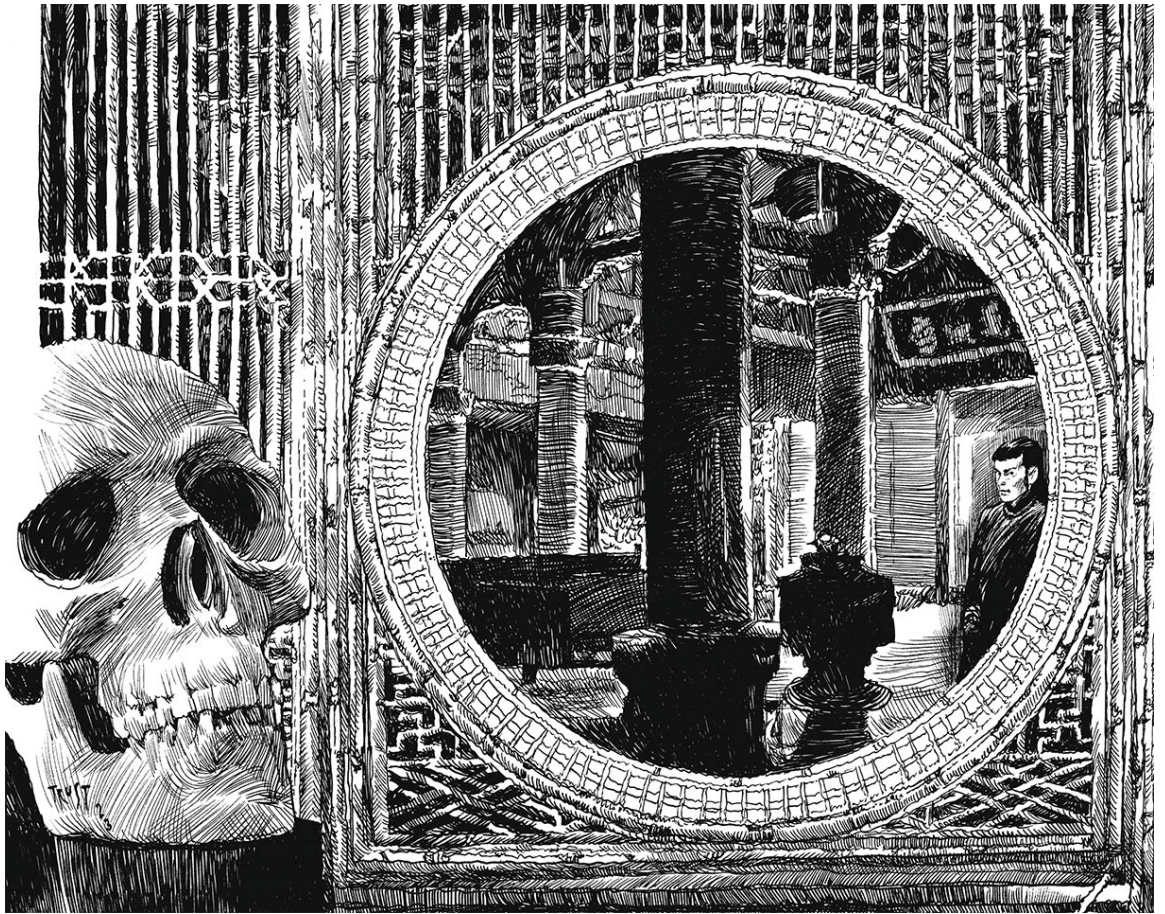
CZEŚĆ II

**SŁUGA HONORU**

CZEŚĆ III

**SŁUGA CESARSTWA**







# I

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



**W** pokoju panował półmrok; płomień stojącej na stole świecy nieustannie chylił się na boki, choć Rudnicki nie odczuwał najmniejszego powiewu. Co chwila z ciemności wyłaniały się niewyraźne kształty, alchemik dostrzegł niezgrabny, kanciasty regał i łóżko. To ostatnie przypominało dziecięcą kołyskę, choć jego rozmiar świadczył, że służyło dorosłemu człowiekowi.

Rudnicki podszedł do regału i wzdrygnął się, spojrzawszy na półki: te wypełnione były ułożonymi w równych rzędach ludzkimi czaszkami. Na każdej z nich widniały niezgrabne napisy przypominające dziecięce bazgroły.

– Kanclerz Wu Ming – przeczytał na głos.

Ledwo dokończył zdanie, poczuł czyjąś obecność i przy stole zmaterializował się zgęsteczenie ciemności.

– Wu Ming! – wysyczał ktoś z nienawiścią.

Rudnicki zamrugał i potarł skronie, usiłując zebrać myśli, twarz i sylwetka młodzieńca wydały mu się znajome.

– Kim jesteś? – spytał niepewnie.

– Guang! – warknął cień.

– Księżę Guang?

– Jestem tylko jeden, неповtarzalny – odparł tamten z gryzącą ironią. – Przekleństwo rodziców, postrach

ministrów, klątwa Wielkiej Han.

– Gdzie jesteśmy?

– W moim umyśle, w moim wszechświecie – odparł chłopak, wzruszając ramionami.

– Co się ze mną stało?

– Nic specjalnego, zaprosiłem cię do swojego domu.

– Jestem twoim więźniem?

– Gościem – poprawił Guang. – Długo oczekiwany gościem.

– Nie rozumiem?

– Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś, kto akceptowałby takich jak ja. Ty jesteś pierwszy.

– Twoi rodzice...

– Moi rodzice więżą mnie od urodzenia! A ciebie przysłali, żeby mnie zabić!

– Żeby cię uzdrowić – zaprzeczył sucho Rudnicki. – Jeśli trzeba, za cenę mojego życia.

Księżę Guang przygryzł wargi i przyjrzał się z namysłem alchemikowi.

– Nie wyczuwam w tobie kłamstwa – stwierdził. – Jednak...

– Najszybciej i najprościej będzie, jeśli powiesz mi, co się stało – wszedł mu w słowo Rudnicki. – Co się z tobą działo przez te lata – doprecyzował. – Dlaczego raniłeś i zabijałeś ludzi? Dlaczego uważasz, że twoi rodzice cię nienawidzą?

Chłopak zacisnął pięści, przez chwilę Rudnicki miał wrażenie, że Guang go uderzy.

– Nie dzisiaj, nie teraz – odparł wreszcie młodzieniec. – Muszę się zastanowić.

– Wolałbym, żebyś podjął decyzję, zanim twoja matka postanowi spisać mnie na straty – odburknął Rudnicki. – Podejrzewam, że nie mamy wiele czasu.

– Mamy cały czas wszechświata, a w zasadzie wszystkich wszechświatów, mogę każdą chwilę rozciągnąć na stulecia i millenia – zapewnił Guang. – A teraz odpocznij. I przepraszam, że cię przestraszyłem, ale musiałem zorientować się, kim jesteś.

– I co, zorientowałeś się?

– Płakałem, kiedy umierała twoja żona, i żałowałem, że mnie tam nie było – odparł łagodnie książę.

– I co byś zrobił? Co mógłbyś zrobić?!

– W tych kajdanach? Nic. Jednak gdybym je zerwał...

– Moja żona umarła w innym wszechświecie!

– Gdyby nie więzy nałożone przez cesarskich magów, mógłbym nas do niego przenieść choćby w tej chwili.

– Kim jesteś?

– Jeszcze się nie domyśliłeś? Przecież wiesz, jak rodzą się dzieci mocy, wyczytałem to z twojego umysłu.

– Moja córka jest dzieckiem mocy i nie mogłaby...

– Ja nie jestem dzieckiem mocy – przerwał mu Guang. – To tylko porównanie. Bardzo odległe porównanie. Moją matką jest Shunlie, a ojcem, prawdziwym ojcem, istota, którą ty nazywasz Szepczącym, albo ktoś niewiele słabszy od Szepczącego.

Rudnicki poczuł mróz wzdłuż kręgosłupa i cofnął się odruchowo, ale Guang powstrzymał go znużonym gestem.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewnił. – I nie pozwolę na to nikomu innemu. Dopóki przebywasz w mojej komnacie, jesteś bezpieczny. A teraz śpij, musisz być zmęczony.

Alchemik chciał zaprotestować, kiedy niespodziewanie zapadł w miękką, przytulną ciemność.





Obudził się, czując śliski dotyk jedwabiu. Łóżko, a raczej łoże, w którym się ocknął, mogłoby należeć do króla. Zanim zdążył usiąść, urodziwa służąca podała mu kawę. Dopiero po kilku łykach – w Wielkiej Han nie znano tego napoju – Rudnicki zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

– Guang? – rzucił niepewnie w przestrzeń.

– Jestem. – Młodzieniec pojawił się znikąd.

Nic dziwnego, skoro znajdujemy się w jego umyśle, doszedł do wniosku alchemik.

– To nie do końca tak – skomentował jakby nigdy nic chłopak. – Gdyby nie kajdany, mógłbym tworzyć rzeczywistość. Ta komnata – zatoczył ręką krąg – jest na wpół realna. To coś więcej niż intencja, mniej niż materia.

– Zaczyna boleć mnie głowa – mruknął Rudnicki.

Guang uśmiechnął się niepewnie, ale nie skomentował słów alchemika.

– I co teraz? – spytał Rudnicki. – Co będziemy robić? Bo nawet jeśli możesz rozciągać czas w nieskończoność, trzeba podjąć jakąś decyzję.

– Co proponujesz?

– Najpierw chciałbym zorientować się w sytuacji.

– Mówiłem ci! Wszyscy chcą mnie zabić! Moi rodzice, a raczej „rodzice”... – zaakcentował z ironią.

– Nie gadaj głupot! – przerwał mu ostro Rudnicki. – Gdyby cesarska para chciała cię zabić, dawno byłbyś martwy! Wiesz, czego nauczyłem się od swojej córki o dzieciach mocy? Mimo całej ich potęgi to nadal dzieci i wielu rzeczy nie rozumieją. Może i z tobą jest tak samo?

– Potrafię odróżnić dobro od zła! Oni torturowali mnie, odkąd się urodziłem!

– Kto?

– Wszyscy. Niemal wszyscy. Znęcali się nade mną dzień i noc. Widziałeś ich czaszki, wyobrażenia ich czaszek, bo

przysięgłem sobie, że ich zabiję. Prędzej czy później. I dotrzymam słowa – dodał ciszej.

– Wierzę, że cię krzywdzili – przyznał alchemik. – Pozostaje ustalić, kto i dlaczego. I czy twoi rodzice byli w to zamieszani. Nie przerywaj! – uprzedził, widząc, jak chłopak otwiera usta. – Świat, w którym żyjesz, kipi od intryg. Wielopiętrowych intryg, tu nic nie jest takie, jak się wydaje. I bądź pewien, że jeśli okaże się, że cesarzowa rozmyślnie cię krzywdziła, na pewno nie stanę po jej stronie.

– Sam wiesz, że naraziła cię na śmierć.

– Owszem, żeby ratować swojego syna.

– Powiedzieć można wszystko – odparł ponuro Guang.

– Owszem, dlatego chcę to sprawdzić.

– Jak?

– Grzebałeś w moim mózgu, teraz daj mi pogrzebać w twoim. Chcę zobaczyć twoje wspomnienia.

– Ja... nie wiem.

– To ci czymś grozi? – spytał bez ogródek alchemik.

– W zasadzie nie, jednak...

– Jednak? – podchwycił Rudnicki.

– Nigdy tego nie robiłem, muszę się zastanowić. Może porozmawiam z twoją córką?

– Możesz to zrobić?

– Teraz, kiedy zdjęli ze mnie część więzów, z łatwością. Chcesz jej coś przekazać?

– Powiedz jej... im, że je kocham i niedługo do nich wrócę.

– Twoja druga córka, Hania, nie ma żadnych zdolności magicznych, prawda?

– Owszem, ale co to ma do rzeczy?

– Lubisz ją tak samo jak Łucję? Przecież ona w niczym ci nie pomoże.

Alchemik odetchnął głęboko, zastanawiając się, co odpowiedzieć na pytanie księcia. Ten najwyraźniej nie

pojmował najprostszych rzeczy.

– Lubimy ludzi niezależnie od tego, co mogą dla nas zrobić – odparł wreszcie. – Bezinteresowna przyjaźń czy miłość to wielki dar, cenniejszy od złota czy diamentów. Jeśli przyjaźnimy się z kimś tylko dlatego, że może coś dla nas zrobić, to nie jest prawdziwe uczucie.

– Naraziłbyś życie dla Hani?

– Bez namysłu. Tak jak i dla Łucji. Moja żona zginęła, broniąc starszej córki.

Guang w milczeniu skinął głową.

– Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej – mruknął. – Jeśli chcesz, pokażę ci, jak kształtować rzeczywistość w moim świecie. Będziesz mógł sam stworzyć pokój albo nawet pałac.

– Chętnie. Kiedy wrócimy do realności, to mi pozostanie?

– Nie mam pojęcia. Jesteś pierwszą osobą, której pozwalam na takie zmiany.

– Więc co mam robić?

Zamiast odpowiedzieć, Guang wykonał niemal niezauważalny gest i Rudnicki odniósł wrażenie, że ktoś otworzył przed nim drzwi. Ciężkie, mocne niczym skała, stworzone u zarania dziejów, aby nie dopuszczać takich jak on do potęgi nieprzeznaczonej dla istot ludzkich.

– Teraz mój świat będzie posłuszny twojej woli – zapewnił książę. – Pobaw się, poćwicz. A ja tymczasem odwiedzę twoje córki.

Zanim alchemik zdobył się na odpowiedź, sylwetkę chłopaka otoczył nimb we wszystkich kolorach tęczy, po czym książę Guang zniknął.

Cóż, trzeba spróbować, pomyślał Rudnicki. Kto wie, może się uda?





Rudnicki odmierzył uncję *materia prima* i rozpoczął skomplikowaną, wieloetapową procedurę wytwarzania piątej esencji. Jak się zdawało, w świecie księcia Guanga liczyły się tylko intencja i siła woli. Alchemik nie wiedział, na ile realne są doświadczenia prowadzone w takich warunkach, doszedł jednak do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować. W najlepszym wypadku wypróbuje najbardziej zawile receptury, w najgorszym jakoś zabije czas. Było oczywiste, że musi czekać na decyzję księcia tu i teraz, jego umiejętności bojowe i magiczne nie miały żadnego znaczenia. Był na łasce na wpół szalonego młodzieńca.

Tym razem Guang zapukał: Rudnicki odtworzył wiernie swoje laboratorium, nie wyłączając drzwi.

– Co robisz? – spytał z zainteresowaniem chłopak, patrząc na bulgoczący w retorcie krwistoczerwony płyn. – To kamień filozoficzny?

– Na razie półprodukt – odparł odruchowo alchemik. – Skąd wiesz?

– Wchłonałem wiedzę z twojego umysłu, pamiętasz?

Rudnicki bez słowa skinął głową, procedura, której poddał go Guang, nie należała do przyjemnych.

– Myślałem o tym – kontynuował z wahaniem w głosie Guang. – Chyba masz prawo zobaczyć moje wspomnienia. A i ja...

– Tak? – zachęcił go Rudnicki.

– Zdaję sobie sprawę, że nie rozumiem wielu rzeczy. Kiedy pozwolę ci wejść do mojego umysłu, będę mógł zinterpretować je na nowo. Przefiltrować przez pryzmat twojego pojmowania świata.

– To raczej nie będzie miłe – uprzedził alchemik.

– Tak przypuszczam, ale wątpię, żebym dostał kolejną szansę.

– Skoro możesz czytać ludzkie umysły, dlaczego nie poznałeś prawdziwych intencji rodziców?

– Bo pierwsze, co zrobili imperialni magowie, to nałożyli mi więzy, które to uniemożliwiają! – warknął chłopak. – Zablokowali też możliwość skarżenia się komukolwiek, więc gdybyś nie dzielił ze mną umysłu, nie mógłbym z tobą o tym rozmawiać.

– Niech zgadnę, brał w tym udział niejaki Liu Er?

– Owszem. Czaszka numer siedem – odparł rzeczowo Guang.

– To zdrajca, siedzi teraz w cesarskich lochach.

– Myślisz, że oni o tym nie wiedzieli?

– Twoi rodzice? A dlaczego mieliby to robić? Ile miałeś lat, kiedy założyli ci tę blokadę?

– Dwa.

– To musi być jakiś spisek, niemożliwe, żeby cesarska para obawiała się dwulatka.

– Tydzień wcześniej niemal zabiłem głównego eunucha.

– To nie tłumaczy, dlaczego osłonili swoje umysły. À propos głównego eunucha, chodzi o Gao Mena?

– Nie, jego poprzednika.

– Co on ci zrobił?

Guang wzruszył ramionami i zapatrzył się w dal.

– Wbijał szpilki pod paznokcie, wyrywał włosy, raz przypalał mnie pogrzebaczem.

– Torturował dwulatka?!

– Miałem wtedy jakieś półtora roku.

– I nikt tego nie zauważył?

– Moje ciało błyskawicznie się regeneruje. Gdyby nie te więzy, nie miałbym nawet śladu blizn.

– On musiał o tym wiedzieć.

– O czym?

– No, o tej twojej zdolności do regeneracji, inaczej by nie zaryzykował.

– Myślisz?

Alchemik przytaknął.

– To musiał być szeroko zakrojony spisek, nie ma alternatywy. Wiesz, że szesnaście lat temu wybuchło powstanie i twoi rodzice ledwo uszli z życiem?

– Dlaczego uważasz, że ten bunt był związany ze mną? Może po prostu ktoś był niezadowolony z ich rządów?

– Wiesz, jak powstaje dziecko mocy?

– Mniej więcej – skrzywił się chłopak. – Twoja córka mi to wytłumaczyła. A propos: Łucja przesyła pozdrowienia i prosi, żebyś się nie martwił. Twierdzi, że jest bezpieczna. Jak i Hania – dodał po krótkim namyśle.

– Naprawdę z nią rozmawiałeś?

– To dla mnie nic trudnego, mogę w każdej chwili odwiedzić twój świat, choć nie materialnie, cesarskim magom nie przyszło do głowy, aby zablokować mi tę możliwość.

– Pewnie nawet nie pomyśleli, że możesz to zrobić – mruknął Rudnicki.

– Możliwe.

– Dziękuję. Wiadomość, że dziewczynki są bezpieczne, wiele dla mnie znaczy.

– To nic takiego – odzegnał się od podziękowań Guang. – Zaczynamy?

– Kiedy tylko zechcesz.

– W takim razie teraz. Nie ma na co czekać.

Rudnicki nie zauważył żadnego gestu, jedynie poczuł dziwne mrowienie z tyłu głowy i w laboratorium pojawiły się dwa wygodne fotele. Masywne, obite skórą meble nie miały nic wspólnego z siedziskami spotykanymi w Wielkiej



Han, najwyraźniej księżę podpatrzył to i owo podczas wizyty w świecie alchemika.

Usiadł wygodnie i popatrzył pytająco na młodzieńca. Guang skinął głową i w umyśle Rudnickiego eksplodowało słońce. Alchemik nie wiedział, jak długo przebywał w stanie podobnym do katatonii, stopniowo w jego świadomości pojawiły się pierwsze dźwięki, później barwne plamy. Początkowo chaotyczny potok bodźców stopniowo tracił na intensywności, w końcu Rudnicki dostrzegł pierwsze wyraźne obrazy. Jego umysł wił się w męczarniach, oglądając sceny, których wolałby nigdy nie widzieć, jednak nie mógł się sprzeciwić, porwany huraganem mocy wyzwolonym przez księcia. Wreszcie jego świadomość zgasła, przytłoczona nadmiarem wrażeń i fizycznego bólu spowodowanym współdzieleniem pamięci chłopaka.



Alchemik ocknął się, czując obecność Guanga. Księżę siedział tuż przy łóżku, na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

– Przepraszam – powiedział chłopak. – Nie chciałem, żeby cię bolało, jednak ta procedura... – Wzruszył ramionami.

– To nie twoja wina – wychrypiał Rudnicki. – Sam o to prosiłem.

– Wiesz już, co się stało? Bo ja nadal wielu rzeczy nie rozumiem, choć odczytywałem twoje emocje. Naprawdę chciałeś ich zabić?

– Tych służących, którzy latami znęcali się nad tobą? Magów, którzy skrzywdzili twoją matkę? Naprawdę! I zrobię to, prędzej czy później. Dorzucę też kilka czaszek do twojej kolekcji.

– Nie ma problemu, regały, na których je trzymam, można powiększyć siłą woli – rzucił z udaną nonszalancją Guang. – To pierwszy raz, kiedy ktoś chciał mnie bronić. Dziękuję.

– Najpierw muszę się stąd wydostać – odburknął Rudnicki. – I przekonać twoich rodziców. Nie wiem też, czy dożyję audiencji, bo ci wszyscy spiskowcy pewnie zadbali, żebym nie miał okazji porozmawiać z imperatorem.

– Gdybyś mi pomógł zdjąć choćby jeszcze jedną blokadę, mógłbym cię obronić, jednak wątpię, czy spodobałoby się to na dworze.

Alchemik, nie przebierając w słowach, wyraził opinię na temat pałacowych urzędników i samej cesarskiej pary.

Guang zachichotał.

– W takim razie bierzmy się do roboty! – zaproponował. – Powiem ci, co robić, to nic trudnego. Niestety, pozostałe więzy są zbyt silne, nadal nie będę mógł opuścić tego pałacu.

– Pycha kroczy przed upadkiem – mruknął alchemik.

– Słucham?

– To takie przysłowie z mojego świata. Tego spiskowcy też nie przewidzieli.

– Czego?

– Że się dogadamy. Oni tresowali cię jak zwierzę, miałeś nienawidzić swoich rodziców i wszystkiego, co żyje.

Guang zacisnął zęby, na policzkach chłopaka zagrały mięśnie, widać było, że wysiłkiem woli powstrzymuje się od komentarza.

– Bierzmy się do roboty! – powtórzył. – Najpierw będziesz musiał rozpleść runę bólu. Nauczę cię, to proste, niestety, nie mogę tego zrobić sam.

Alchemik z jękiem zwlókł się z łóżka – bolały go wszystkie mięśnie – i przysiadł na podsuniętym przez

księcia taborecie.

– Sama runa wygląda tak. – Palce chłopaka zatańczyły w powietrzu i przed oczyma Rudnickiego uformował się widmowy krąg. – Słabe punkty są tu i tu – kontynuował książę. – Musisz uderzyć w nie energią, żeby zniszczyć wiązania podtrzymujące znak. Ot i wszystko.

Alchemik zamrugnął oszołomiony stopniem komplikacji znaku, jak i nonszalancją, z jaką Guang tworzył magię.

– Postaram się – obiecał, koncentrując *chi*. – Może dam radę.



Rudnicki po raz kolejny kopnął bramę, ale potężne wrota odpowiedziały jedynie lekką wibracją.

– Oni mnie tam w ogóle słyszą?! – rzucił w przestrzeń.

– *Chyba nie za bardzo* – odparł dyplomatycznie Guang. – *No i raczej nie spodziewają się, żebyś wyszedł stąd żywy. Jeśli chcesz, to ja zastukam.*

Alchemik westchnął, słysząc rozbrzmiewający w jego umyśle głos. Najwyraźniej Guang uważał za oczywiste, że czyta jego myśli.

– Dobrze! Tylko tak, żeby na pewno usłyszeli.

– *W porządku, odsuń się.*

Alchemik posłusznie odszedł od bramy, niemal w tym samym momencie wrota zadrżały, jakby uderzyła w nie pięść olbrzymia.

– Tylko nie przesadź! – poprosił Rudnicki. – Bo jeśli wywalisz bramę, strażnicy od razu mnie zaatakują.

– *Podejrzewam, że i tak to zrobią* – odparł spokojnie chłopak. – *Z tego, co mówiłeś, wynika, że nie mogą dopuścić cię do cesarza.*

– W takim razie postaraj się, żeby kilku przeżyło, bo imperator pewnie będzie chciał ich przesłuchać.

– *Postaram się – obiecał książę. – Ale nie gwarantuję rezultatów. Jak sam wiesz, dopiero co wyzwoliłem się z części więzów, nie miałem kiedy ćwiczyć.*

Tymczasem wrota otwarły się powoli i Rudnicki zobaczył oddział straży. Zanim zdążył otworzyć usta, gwardziści zaatakowali. Bez wahania, bez słowa uprzedzenia, tak, aby zabić.

Alchemik cofnął się nerwowo, ale nie potrzebował walczyć, mężczyźni w przerażających maskach bojowych padli tam, gdzie stali.

– *Dwóch jeszcze żyje – zaraportował Guang. – Nie znam się na medycynie, ale mogę zapieczętować ich w czasie.*

– Zrób to – polecił Rudnicki. – I jeszcze jedno: dasz radę jakoś mnie zamaskować? Nie ma sensu, żebym przedzierał się siłą do pałacu cesarza, bo wtedy na mojej drodze staną i niewinni gwardziści.

– *Spróbuję, wiem, jak to zrobić. No, teoretycznie... Jednak jeśli trafisz na silnego maga, ten wykryje cię w mgnieniu oka. I nie stawaj na widoku, bo będziesz błyszczał, staraj się poruszać w cieniu albo przynajmniej nie w pełnym świetle, tuż przy murach i ścianach.*

– Dobrze, zaczynaj.

Alchemik nie zauważył żadnej zmiany, jednak Guang zapewnił go, że większość ludzi nie będzie mogła go zobaczyć.

Rudnicki przestąpił ciała powalonych gwardzistów i pospieszył do pałacu cesarza.

Mam nadzieję, że nie zabłądzę, pomyślał. Pałacowy kompleks zajmowany przez rodzinę imperatora i najważniejszych urzędników nie bez powodu nazywany

był Zakazanym Miastem i zajmował dziesiątki kilometrów kwadratowych.

– *Pomogę ci, jeśli będzie trzeba* – uspokoił go książę. – *To zresztą nic trudnego: wszystkie drogi wiodące do siedziby imperatora oznaczone są czerwoną kostką brukową. Odległość między znakami wynosi piętnaście metrów.*

– Skąd wiesz?

– *Zmierzyłem to, musiałem zająć czymś umysł.*

W głosie chłopaka zabrzmiała dziwna, zgrzytliwa nuta i Rudnicki obiecał sobie jeszcze raz, że wszyscy winni znęcania się nad księciem drogo za to zapłacą.

– *Staraj się iść ciszej, bo nie potrafię zagłuszyć twoich kroków* – upomniał go Guang. – *Nie spiesz się, nikt cię nie widzi.*

Alchemik mruknął potakująco i skręcił w wąską, obsadzoną krzakami wistarii alejkę.

– *Obejdź pałac od strony ogrodu, tam na parterze jest otwarte okno, inaczej musiałbyś przejść przez wartownię* – poinstruował książę.

– Byłeś tam?

– *Zdarzało mi się tam zaglądać* – odparł wymijająco chłopak.

Rudnicki wzdrygnął się, widząc patrol cesarskiej gwardii, lecz żołnierze przeszli mimo, nie spojrzawszy nawet w jego stronę.

W cesarskim ogrodzie parę kobiet spacerowało z dziećmi, tabuny pałacowej służby świadczyły o ich wysokim statusie.

– *To cesarskie konkubiny* – poinformował Guang obojętnym tonem. – *Nie zauważą cię, ale omijaj dzieciaki, kilkoro z nich ma spory potencjał.*

Kierując się wskazówkami księcia, po krótkich poszukiwaniach alchemik znalazł na wpół uchylone okno i ostrożnie wśliznął się do pałacu. Wystrój komnaty



wskazywał, że jej lokatorką jest kobieta. Młoda kobieta, doprecyzował w myśli Rudnicki, widząc skąpy koronkowy strój i zasłoniętą parawanem wannę.

– Co teraz? – spytał nieledwie szeptem.

– *Wyjdź na korytarz i skieruj się w lewo.*

– To droga do komnat cesarza?

– *Nie, eunucha Gao Mena. Bez niego nie dostaniesz się do gabinetu imperatora, tam zawsze stoją strażnicy, i to nie z tych przeciętnych. Tylko on może zaprowadzić cię do Huangdiego.*

– A jeśli nie zechce albo jest zamieszany w spisek?

– *Zmusz go. Co do spisku, to nie jestem pewien, ale on nigdy nie był blisko z tymi, którzy mnie torturowali. A tamci spotykali się regularnie, jest tu niedaleko taka herbaciarnia „Zachód Słońca”, podejrzewam, że jej nazwa nie jest przypadkowa, bo tamci kilkakrotnie żartowali na ten temat.*

– Pamiętasz ich wszystkich?

– *O tak, pamiętam...*

Ponaglony przez Guanga alchemik otworzył niczym niewyróżniające się drzwi i po chwili znalazł się w obszernym pomieszczeniu bez okien, oświetlonym przez kilka lamp naftowych. Na drewnianych manekinach wyeksponowano dziesiątki szat, wszystkie w ciemnofioletowym kolorze, pomieszczenie wyglądało na garderobę eunucha.

– *Usiądź gdzieś wygodnie i czekaj, za jakieś pół godziny Gao Men przyjdzie się przebrać. Wtedy go dopadniesz.*

– Wolałbym nie robić mu krzywdy.

– *Ja też, to jeden z nielicznych sympatycznych ludzi w pałacu.*

– Miałeś z nim do czynienia?

– *Raz czy dwa, ale obserwowałem, jak odnosi się do innych ludzi. Te więzy ograniczały moją wolę, ale nie zmysły.*

– A teraz? Co możesz zrobić?

– *Nadal niewiele. Pomogłeś mi przełamać jedną z pomniejszych blokad.*

– A gdyby usunąć wszystkie? Byłbyś potężny jak Szepczący?

– *Na pewno nie, z wielu względów. Spiskowcy się zabezpieczyli, podejrzewam, że jeśli zrozumieją, że ich plan nie wypalił, mogą pozbawić mnie mocy dużo skuteczniej niż cesarscy magowie. Nie wiem, czy dobrze odbieram ich emocje, ale oni chyba się mnie boją.*

– Nic dziwnego. Być może twoim prawdziwym ojcem jest jeden z Szepczących, więc gdybyś zwrócił się przeciwko niemu, nawet istota o takiej potędze miałaby kłopoty. Tak to przynajmniej działa, jeśli chodzi o dzieci mocy.

– *Myślisz, że powinienem zwrócić się przeciwko niemu? Twoja córka zabiła swojego rodziciela. No, a przynajmniej pomogła go zabić.*

Rudnicki zacisnął pięści; ostatnie, na co miał ochotę, to rozmowa o Natalii, jednak ignorowanie wątpliwości Guanga na pewno nie było dobrym pomysłem: mimo magicznych więzów moc chłopaka porażała.

– Ukarła go za to, co zrobił z matką – powiedział szorstko. – Gwałtu nie można niczym usprawiedliwić.

– *A jednak był jej ojcem...*

– Owszem. W biologicznym sensie tego słowa. Jednak dla niego Lucja była tylko marionetką, którą chciał wykorzystać w swoich celach, a kiedy coś poszło nie tak, postanowił ją zabić. Wreszcie chciał zabić i mnie. Jeśli...

– *Uważaj, idzie!* – przerwał mu książkę.

Beznamiętne oblicze eunucha jak zwykle nie wyrażało żadnych uczuć, jednak Rudnicki odniósł wrażenie, że przyboczny cesarza jest czymś zmartwiony. Albo boi się, że nie zdołam uratować następcy tronu, albo wręcz

przeciwnie, pomyślał alchemik. Ot i cała Wielka Han: nigdy nie wiadomo, w którą stronę zmierza intryga. No cóż, tak czy owak, nie ma na co czekać...

Podkradł się do eunucha od tyłu, złapał go za szyję i nacisnął tętnicę przedramieniem. Po kilku sekundach Gao Men zwiotczał, nie wydawszy głosu.

– *Nie zrobiłeś mi krzywdy?* – zaniepokoił się Guang.

– Nie. Za chwilę powinien się ocknąć. Inna sprawa, czy zechce mi pomóc. Wydaje mi się, że on jest naprawdę oddany cesarzowi, więc jeśli uzna mnie za zagrożenie dla imperatora, prędzej umrze, niż zaprowadzi mnie do niego.

– *Umrze, żeby go ochronić? Jak powiedziałem, wydał mi się sympatyczny, ale żeby naraził życie dla cesarza? Większość pałacowych urzędników jest beznadziejnie skorumpowana i samolubna.*

– Zapewne masz rację, ale są i inni, a ty obserwowałeś głównie spiskowców.

– *Zobaczymy.*

Tymczasem Gao Men westchnął chrapliwie i otworzył oczy. Jego źrenice rozszerzyły się ze strachu, kiedy rozpoznał Rudnickiego.

– Chce pan zabić Jego Wysokość? – spytał. – Cesarzowa nie miała...

– Nie chcę nikogo zabijać – wszedł mu w słowo alchemik. – Oczywiście nie jestem zachwycony postępkami cesarskiej pary, jednak udało mi się wyjaśnić przyczyny dolegliwości następcy tronu. No, przynajmniej częściowo – dodał ciszej. – I wiem, jak mu pomóc. Jednak to, co się z nim teraz dzieje, to efekt trwającego kilkanaście lat spisku i potrzebuję pańskiej pomocy, żeby w ogóle dotrzeć do imperatora. Pilnujący pałacu gwardziści próbowali mnie zabić, kiedy tylko dowiedzieli się, że przeżyłem. Podejrzewam, że takich osób jest więcej.

– Potrafi pan uleczyć chorobę księcia?! – wykrzyknął z niedowierzaniem eunuch.

– Ciszej! – syknął Rudnicki. – To nie jest żadna choroba. I tak, potrafię mu pomóc. Już pomogłem.

– A to w jaki sposób? Nie kiwnę palcem, dopóki nie powie mi pan wszystkiego – zastrzegł stanowczo Gao Men.

Alchemik westchnął głęboko i przedstawił zwięzłe sytuację.

– Teraz pański ruch – zakończył, wzruszając ramionami. – Sam nie dotrę do cesarza, strażę zabiją mnie po drodze.

– Więc twierdzi pan, że porozumiał się z księciem?

– Owszem, twierdzę.

– Proszę to udowodnić. No i jeśli sprawa przedstawia się tak, jak pan to opisał, skąd pewność, że książę nie zabije cesarza, żeby zemścić się za lata upokorzeń i męczarni? Zapewniam pana, że cesarska para nic o tym nie wiedziała, ale następca tronu może mieć na ten temat inne zdanie. Jak pan go powstrzyma?

– Kiedy rozmawiam z nim w myślach, słyszę nie tylko jego słowa, ale też widzę emocje i intencje, jakie mu przyświecają.

– Mógłbym z nim porozmawiać?

– Nie mam pojęcia. Guang?

– *Teoretycznie* – odparł chłopak. – *Tylko nie wiem, czy mam na to ochotę, no i on musiałby zrzucić swoje zabezpieczenia. Jest chroniony przed ingerencją na poziomie umysłu* – wyjaśnił.

– To może się postaraj? – rzucił gniewnie Rudnicki. – Chyba że wolisz, żeby mnie tu zaciukali, a potem nałożyli na ciebie dwa razy tyle więzów co do tej pory.

Przez dłuższą chwilę alchemik nie wyczuwał w ogóle obecności księcia, jednak w końcu Guang odpowiedział przyzwalającym pomrukiem.

– *No dobrze, porozmawiam z nim* – zdecydował chłopak.  
– *Tylko niech zniszczy swoje bariery.*

– Ekscelencjo, księżę zgodził się z panem porozmawiać, ale musi pan zlikwidować bariery ochronne – oświadczył Rudnicki.

Eunuch zmarszczył brwi, widać było, że pomysł niespecjalnie mu się podoba, jednak po chwili zaplótł palce, tworząc nieznanym alchemikowi symbol, i wymówił szeptem kilka sylab.

– Już – poinformował sucho.

Rudnicki nie słyszał rozmowy chłopaka z Gao Menem, ale zmieniające się jak w kalejdoskopie emocje na twarzy przybocznego cesarza świadczyły, że ta jest intensywna.

– Ja... nie wierzę – oznajmił wreszcie słabym głosem eunuch. – To niemożliwe, żebyśmy byli tak głupi i łatwowierni. Niemożliwe – powtórzył bezradnie.

– Nie czas o tym myśleć – powiedział alchemik. – Przede wszystkim trzeba poinformować o wszystkim cesarską parę. Roztrząsaniem przeszłości zajmiemy się później.

– A jaki pan ma w tym interes? – zapytał bez ogródek eunuch. – Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, ma pan prawo być niezadowolony z decyzji...

– Chcę przeżyć i wrócić do swojego świata! – warknął rozzłoszczony nie na żarty Rudnicki. – I mam dosyć waszych intryg! Tak więc rekomendowałbym zarówno ekscelencji, jak i imperatorowi nie mnożyć tych ostatnich ponad miarę, bo moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Będę miał też konkretne żądania, zanim zdecyduję się po raz kolejny pomóc Wielkiej Han – dodał już spokojniej.

– Rozumiem. W takim razie proszę to założyć. – Gao Men wskazał ciemnofioletowy strój z kapturem.

Alchemik bez słowa założył szatę identyfikującą go jako średniej rangi eunucha i nasunął kaptur na głowę.



– A teraz proszę za mną, i niech pan nie stawia zbyt dużych kroków, żaden eunuch nie chodzi zbyt szybko ze względu na fizyczne... ograniczenia.

Rudnicki mruknął potakująco i podążył za Gao Menem. Po drodze do gabinetu imperatora minęli kilka posterunków, lecz żaden z gwardzistów nawet nie spojrzął w kierunku alchemika; najwyraźniej obecność zaufanego cesarza i strój noszony przez Rudnickiego uspiły czujność straży. Także wartownicy pilnujący drzwi do komnat władcy przepuścili ich bez słowa.

Eunuch powitał Huangdiego lekkim skinieniem głowy, alchemik poszedł za jego przykładem: biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, nie miał zamiaru padać na kolana przed władcą Wielkiej Han.

– Co się...

Rudnicki jednym ruchem zrzucił z siebie powłóczystą szatę. Zanim ta opadła na podłogę, imperator stał już z mieczem w dłoni.

– Ying Tu! – wykrzyknął. – Co z moim synem?!

– Księżę Guang jest cały i zdrowy – odparł szybko eunuch.

– Właśnie o nim chcieliśmy porozmawiać.

– Siadajcie. I proszę o raport!

Alchemik odchrząknął nerwowo: Gao Men zdecydowanym gestem scedował odpowiedź na niego.

– Najlepiej byłoby, gdyby tego, co mam do powiedzenia, wysłuchała też cesarzowa – powiedział. – Będę musiał pokazać pewne rzeczy, a nie wiem, czy wystarczy mi energii, żeby to powtórzyć.

– Jakie rzeczy?

– Sceny z przeszłości. To, co mam do przekazania, jest tak niewiarygodne, że bez demonstracji się nie obejdzie.

– Jest pan w naszym świecie zaledwie od...

– To wspomnienia księcia Guanga – przerwał imperatorowi Rudnicki. – Ja tylko je ukażę.

– Co ma do tego moja żona? – rzucił nieufnie Huangdi. – Mogę jej wszystko przekazać.

– Ying Tu ma rację – wtrącił Gao Men. – Cesarzowa musi być przy tym obecna.

– Guang wyzdrowiał?

– Nie do końca, ale jest bezpieczny, przynajmniej na razie – zapewnił eunuch. – Niestety, kwestia jego... choroby dotyczy także żony Waszej Wysokości.

Imperator zmarszczył brwi, zdawało się, że zaprotestuje, jednak po chwili wezwał strażnika i kazał mu przekazać informację cesarzowej.

– Mam nadzieję, że będziecie przekonujący, bo ostatnio moja żona nie jest w najlepszym nastroju – uprzedził.

Rudnicki zacisnął zęby i zignorował zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Prewencyjne aresztowanie przyjaciół alchemika wskazywało, że władczyni nie ma zamiaru bawić się w subtelności, a to, co miał do powiedzenia, z pewnością nie poprawi jej humoru.

Imperator kazał podać herbatę, później wino, wyglądało, że cesarzowa albo się nie spieszy, albo przygotowuje do konfrontacji. Rudnicki po raz pierwszy był zadowolony, że jego córki przebywają w innym świecie, poza zasięgiem Shunlie. Wreszcie, po niemal godzinnym oczekiwaniu, usłyszeli dochodzący z korytarza tupot nóg. Najwyraźniej władczyni przybyła w asyście gwardii.

Przesuwane drzwi otworzyły się z cichym sykiem i do komnaty weszła Lanya Dara, w ślad za nią wkroczyła cesarzowa.

– Jak rozumiem, ma pan wieści o moim synu? – spytała, zwracając się do alchemika.

– Owszem – przytaknął sucho Rudnicki.

– Słucham.

– Te informacje są przeznaczone wyłącznie dla Waszych Wysokości. Dlatego proszę...

– Nie ma pan prawa o nic prosić!

Rudnicki z trudem opanował gniew, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, cesarz oszczędnym gestem podniósł dłoń.

– W przeszłości nie zawiedliśmy się na Ying Tu – powiedział. – Wszyscy postronni wyjdą, zostanie tylko Gao Men.

– Jak każe Wasza Wysokość. – Cesarzowa ukłoniła się nisko.

Dowódczyni Gwardii Feniksa natychmiast zniknęła za drzwiami.

– Proszę kontynuować – skinął na alchemika cesarz. – Zaczniemy od zdrowia następcy tronu. Co z nim? Czy można wyleczyć jego dolegliwość?

– To nie jest żadna choroba – odparł Rudnicki, nerwowo przełykając ślinę. – Jego dolegliwości są efektem działań cesarskich magów, a ściślej mówiąc, zdrajców w ich szeregach.

– On zabijał ludzi! – wybuchła Shunlie.

– To prawda, zabijał. W samoobronie. Służba i cesarscy magowie znęcali się nad nim niemal od urodzenia.

– To kłamstwo! Widywałam go prawie codziennie, na jego skórze...

– Nie było śladów – dokończył alchemik. – Bo ciało księcia regeneruje się błyskawicznie i oni o tym wiedzieli.

– Jacy oni? – spytał cesarz. – I dlaczego go męczyli? To nie ma sensu. Gdybyśmy się o tym dowiedzieli, każdy z nich umarłby tysiąckrotną śmiercią! No i skąd taka nieludzka regeneracja?

– Książę nie jest człowiekiem. Nie w pełni człowiekiem – poprawił się Rudnicki.

W komnacie zapadła mrożąca krew w żyłach cisza, implikacje tego, co powiedział alchemik, wydawały się oczywiste: skoro macierzyństwo cesarzowej nie budziło wątpliwości, pozostawała kwestia, kto był ojcem następcy tronu...

– Wolałbym to pokazać – powiedział szybko Rudnicki.

– Proszę to zrobić – wycedził przez zaciśnięte zęby imperator.

Alchemik wywołał ujrzaną wcześniej w umyśle chłopaka wizję, odwrócił ze wstrętem wzrok, kiedy kilku zamaskowanych mężczyzn powaliło cesarzową na ziemię.

– Ten bunt był tylko pretekstem, żeby wywabić Jej Wysokość z pałacu bez ochrony magów – wyjaśnił Rudnicki.  
– Oni...

Najpierw rozbryznęła się kosztowna nefrytowa czarka, później na posadzkę spadł srebrny czajniczek do herbaty i zamienił się w kupkę żużlu. Początkowo alchemik nie mógł z niczym skojarzyć dziwnego, świdrującego w uszach dźwięku, dopiero chwilę później spojrzał na cesarzową.

Shunlie krzyczała.



Rudnickiego umieszczono w niewielkiej komnacie, dobór mebli i bibelotów sugerował, że pełniła ona funkcję buduaru pałacowej damy. Damy niezbyt wysokiego szczebla. Alchemik na tyle orientował się już w realiach świata, w którym przyszło mu żyć, że zauważył od razu, iż dywany, pokrywające ściany jedwabne tapety i sprzęty nie były najwyższej jakości. Także posiłki, jakie mu przynoszono trzy razy dziennie, nie mogły konkurować

z daniami podawanymi w posiadłości Szron czy w pałacu księcia Nina, choć i tak okazały się dużo smaczniejsze niż standardowe racje wojskowe.

Po kilku dniach wymuszonej samotności, przerywanej jedynie przez treningi, alchemik wreszcie doczekał się gościa.

Twarz Gao Mena jak zwykle nie odzwierciedlała żadnych emocji, jednak Rudnicki nauczył się już odczytywać nastroje eunucha. Przyboczny cesarza był wyraźnie przygnębiony, a lekkie mimowolne ruchy barków świadczyły o zaniepokojeniu.

– Chciałbym wyjaśnić kilka detali tej pańskiej wizji – oznajmił bez wstępu. – Jego Wysokość kazał mi się dowiedzieć...

– Dlaczego nie przyszedł sam? Chyba że to dla niego mało ważne?

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył Gao Men. – To niezmiernie ważne, zarówno dla imperatora, jak i całego kraju. Niemniej jednak to także kwestia etykiety.

– Etykiety?

– Cesarzowi nie wypada zadawać pewnych pytań osobiście. Wreszcie tak będzie wygodniej i dla pana, bo chodzi o drażliwe sprawy i lepiej, żeby je wyjaśnił ktoś, do kogo imperator ma zaufanie. Całkowite zaufanie.

– Czyżby nadal...

Tym razem to eunuch powstrzymał Rudnickiego stanowczym gestem.

– Nikt pana o nic nie podejrzewa – zaznaczył z naciskiem. – Jednak ja znam Huangdiego od dziecka i cokolwiek bym mu powiedział, imperator na pewno nie wyrze na mnie swojego gniewu. Co do pana, nie jest to takie pewne.

– No dobrze – westchnął Rudnicki. – Co chce pan wiedzieć?



– Ta scena z cesarzową... To był gwałt? Bo wyglądało to raczej na rytuał, jednak okoliczności wskazywałyby... – Eunuch nie dokończył zdania.

– Coś w rodzaju gwałtu – przyznał z ociąganiem alchemik. – Pewnych rzeczy mogę się jedynie domyślać, ale jest oczywiste, że ojcem księcia Guanga, prawdziwym ojcem, nie jest istota ludzka.

Gao Men bez słowa skinął głową.

– Biorąc pod uwagę możliwości chłopaka, musi być to ktoś z samego szczytu hierarchii *theokatáratos*. Gdyby był to Przeklęty mogący przebywać w naszej rzeczywistości, cesarzowa zostałaaby po prostu zgwałcona. Tak usiłowano tworzyć dzieci mocy w moim świecie. Tymczasem to wszystko wyglądało raczej na inseminację połączoną z magicznymi rytuałami...

Gao Men pobladł, przez chwilę zdawało się, że zemdleje.

– Jaki z tego wniosek?

– Wydaje się, że musiał to być ktoś tak potężny, że nie przedostałby się do tego wszechświata.

– Szepczący?

– Możliwe, choć niekoniecznie. Na pewno ktoś, dla kogo korytarze łączące nasze wszechświaty są na razie za ciasne. Dlatego jego wyznawcy przenieśli jedynie nasienie swojego pana...

– Dlaczego cesarzowa niczego nie pamiętała? Ona sama jest potężną maginią.

– Zapewne zdrajcy, nie bez pomocy Przeklętych, wszczepili jej fałszywe wspomnienia. Wspomnienia, w których prowadzi do walki Gwardię Feniksa, aby pomóc cesarzowi. Podejrzewam, że gwardzistki także nie pamiętają, co wydarzyło się naprawdę.

– Owszem. Przesłuchaliśmy je wszystkie.

– Mam nadzieję, że bez ekscesów?

– Nie jesteśmy barbarzyńcami – zapewnił Gao Men. – Lada moment wypuszczą i pańskie przyjaciółki, w tym księżnę Chonghua – dodał z cieniem uśmiechu na ustach.

– Co teraz będzie? Jakie działania podejmie cesarz?

– Imperator nie podjął jeszcze decyzji, czeka na wyjaśnienie detali, o które pana spytałem, no i chciałby wiedzieć, czego pan żąda. Bo wspomniał pan o...

– Wspomniałem – przytaknęła ponuro Rudnicki. – Mam dosyć traktowania mnie jak pionka, jest to także kwestia bezpieczeństwa mojego, moich przyjaciół i księcia Guanga. Nie pozwolę wam dalej krzywdzić dzieciaka! I tak, wiem, że nie robiliście tego specjalnie, jednak ani pan, ani cesarska para nie ochroniliście następcy tronu przed spiskiem, bo rozum zaćmiła wam podejrzliwość i zamiłowanie do intryg. A ja nie mam zamiaru czekać, aż imperator każe mnie zgładzić na wszelki wypadek albo cesarzowa uzna, że za dużo widziałem – dokończył ciszej.

– Czego pan żąda? – powtórzył eunuch.

– Stanowiska, które pozwoliłoby mi przeżyć nawet wbrew woli cesarskiej pary – odparł alchemik, nie owijając w bawełnę. – Bo ja złożyłem imperatorowi przysięgę wierności, ale jego nic nie ogranicza, a czasy są niespokojne i licho wie co szykują moi wrogowie.

– A jeśli cesarz nie zgodzi się na pańskie warunki?

– To straci syna – odparł bez ogródek Rudnicki. – Księżę Guang ufa tylko mnie, a rodziców traktuje podejrzliwie, niemalże wrogo, co jak przypuszczam, było celem spisku. Jednym z celów.

– Co ma pan na myśli?

– Czyż to nie oczywiste? Przecież nie torturowano go bez powodu, przypuszczam, że Przeklęty, który go spłodził, chciał nastawić księcia przeciwko ludziom w ogólności, a Wielkiej Han w szczególności, po czym „wyzwolić” go

z więzienia, w jakie zamieniliście jego pałac, i uzyskać w ten sposób kontrolę nad chłopakiem.

– Żeby zawładnąć państwem?

– Skąd! To nie ta skala. Wy wszyscy, nie wyłączając cesarskiej pary, byliście dla niego tylko pionkami – wyjaśnił nie bez satysfakcji alchemik. – Wielka Han nic dla niego nie znaczy, on chce podbić wasz wszechświat, hodować ludzi jak bydło i sycić się ich strachem po kres czasów, być może wzmocnić się do tego stopnia, aby móc rzucić wyzwanie innym podobnym do niego albo samemu Stwórcy. To inny poziom gry.

Gao Men kilkakrotnie otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko otarł pot z czoła.

– Co pan może zaoferować imperatorowi, jeśli ten spełni pańskie życzenie? – spytał wreszcie.

– Pomoc, współpracę, lojalność – odparł Rudnicki, wzruszając ramionami. – Jeśli nie przezwyciężycie swojej patologicznej podejrzliwości, to będzie koniec Wielkiej Han – uprzedził kolejne pytanie. – Nie jestem wrogiem imperium, tu żyją ludzie, z którymi łączą mnie więzy przyjaźni, ale nie pozwolę się wykorzystywać w waszych grzechach. Nigdy więcej!

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli cesarz przychyli się do pańskiej prośby, stanie się pan jedną z głównych figur w tej rozgrywce, co spowoduje adekwatną reakcję wrogów imperium?

– Już od dawna jestem ich celem – zbył eunucha Rudnicki.

– I jak na razie miał pan szczęście...

– Nie sądzę, żeby to, jak pan nazwał, „szczęście” było związane z siedzeniem w kątach – uciął alchemik. – I ja, i moi przyjaciele narażaliśmy życie dla Wielkiej Han, niektórzy z nas zginęli.

– Więc chce pan się zabezpieczyć przed nieprzemyślanymi posunięciami wysoko postawionych... urzędników?

– Dokładnie tak! Tym bardziej że owi urzędnicy nie pojmują, jakie są stawki w tej grze.

Gao Men zmarszczył brwi: słowo „urzędnicy” Rudnicki wypowiedział z wyraźną ironią, obaj wiedzieli, że chodzi o cesarską parę.

– Przedstawię Jego Wysokości pańską propozycję, jednak żąda pan ogromnej władzy.

– Nie – zaprzeczył stanowczo alchemik. – Nie chcę dowodzić armiami ani zarządzać ministerstwami Wielkiej Han, domagam się jedynie, żeby pod wpływem chwili nie można było pozbawić mnie głowy ani szantażować losem bliskich mi osób.

– To właśnie nazywam wielką władzą – odparł spokojnie eunuch.

– Istnieje też inne wyjście: pozwolicie mi wrócić do mojego świata wraz z księciem Guangiem, co zapewne uspokoi cesarza i pałacowych intrygantów, jako że wówczas w żaden sposób nie będziemy mogli wpłynąć na politykę Wielkiej Han.

– Przedstawię imperatorowi i tę opcję – obiecał Gao Men, wstając.

Rudnicki pożegnał eunucha uprzejmym ukłonem, choć na usta cisnęły mu się pytania, wiele pytań. Kiedy wypuszczą z więzienia Szron i gwardzistki? Co, z Rybą i Szybkim? Czy cesarz nie skrzywdzi Guanga, dowiedziawszy się, kto jest prawdziwym ojcem następcy tronu? Wreszcie jak długo on sam pozostanie pod strażą? Co jeśli imperator odrzuci jego żądania? Czy Huangdi rzeczywiście odeśle go do domu, a może zdecyduje, że

kwestię pewnego alchemika lepiej rozwiązać w sposób ostateczny?

Z korytarza doszedł go odgłos miarowych kroków i Rudnicki wysiłkiem woli rozluźnił napięte do bólu mięśnie. W tym momencie wszystko zależało od decyzji imperatora, nie było więc sensu poddawać się emocjom. Alchemik miał tylko nadzieję, że następnym widokiem, jaki ujrzy, nie będzie katowski pieniek...



Rudnickiego obudziło niejasne wrażenie, że nie jest w komnacie sam, dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę z mentalnej obecności Guanga.

– *Nic mi nie jest* – zapewnił książę.

Ulga wywołana świadomością, że chłopakowi nic się nie stało, zmieszała się z irytacją: najwyraźniej młodzieniec znowu odczytał jego myśli.

– *Może naucz się pukać* – burknął alchemik, nie kryjąc niezadowolenia.

– *Pukać? Tak jak przy wejściu do pokoju?* – zdziwił się książę.

– *Owszem. Odczytywanie cudzych myśli bez pozwolenia jest niegrzeczne. Są sprawy, którymi nie chcemy się dzielić nawet z bliskimi, i trzeba to uszanować.*

– *Bo ja wiem? To przecież strata czasu.*

– *Naprawdę chciałbyś, żeby wszyscy wiedzieli, że następca tronu Wielkiej Han podgląda regularnie miejscową ślicznotkę w kąpielni?* – spytał złośliwie alchemik.

– *Skąd wiesz? Nie pokazałem ci tego wspomnienia!* – powiedział z lekkim zażenowaniem chłopak.

– *Dodałem dwa do dwóch, sam też byłem kiedyś nastolatkiem.*

– *Czyli mam pukać?* – upewnił się Guang.

– Tak. I nie wchodzić do moich wspomnień bez pytania. Jeśli będzie trzeba, sam ci wszystko pokażę.

– *Postaram się* – obiecał chłopak. – *Wiesz, nie robiłem tego specjalnie, to dla mnie odruch, od takich informacji czasem zależało moje życie.*

– Oni chcieli cię zabić? Myślałem, że tylko rozwścieczyć, żebyś atakował wszystko, co się rusza.

– *Podejrzewam, że wśród spiskowców nie było jednomyślności w tej kwestii* – odparł sucho Guang. – *Przeżyłem przynajmniej trzy zamachy.*

– Mam nadzieję, że twoi rodzice wykażą się rozsądkiem – westchnął alchemik.

– *Cesarz nie jest moim ojcem!*

– Od momentu twojego urodzenia myślał o tobie jak o synu, tego nie da się ot tak wyrzucić z głowy. No i naprawdę chcesz traktować tego Przeklętego, który cię spłodził, jak rodzica? Kogoś, kto rozkazał cię męczyć, a może i zabić?

Przez chwilę chłopak trwał w obrażonym milczeniu, wreszcie niechętnie zaprzeczył.

– Chcesz mojej rady? – zapytał Rudnicki.

– *Niespecjalnie* – mruknął książę. – *Bo domyślam się, co powiesz.*

– Nie szkodzi – odparł niezmiyszany alchemik. – I tak ci jej udzielenę. Nie wyzywaj się na rodzicach, bo to jak kopanie leżącego. Oni teraz katują się myślami, że przez swoją głupotę pozwolili ci tak długo cierpieć.

– *Nie spodziewasz się chyba, że im wybaczę?* – spytał zimno Guang.

– Nie – przyznał alchemik. – Na to jeszcze za wcześnie, no i zobaczymy najpierw, co zdecyduje imperator.

– *Boisz się, prawda?*

– Boję – przytaknął Rudnicki. – Bo oni wszyscy powariowali na punkcie kontroli otoczenia i każdego, kogo nie mogą sobie podporządkować, traktują jak zagrożenie.

– *Myślisz, że nas zabiją?*

– Nie sądzę – odparł bez przekonania alchemik. – To byłaby skrajna głupota z ich strony.

– *A obaj wiemy, że są niesłychanie mądrzy i nam ufają...*

– Przestań marudzić, to męczące. Chyba spróbuję się przespać.

– *Zapukać, jeśli przyjdą cię zabić?* – spytał ironicznie chłopak.

Rudnicki zebrał siłą woli niby-materię ze świata Guanga, utworzył z niej sporych rozmiarów kapeć i cisnął w stronę, z której, jak mu się wydawało, dochodził głos młodzieńca. Alchemik nie wiedział, czy pocisk trafił w cel, ale Guang zamilknął.



Rudnicki podniósł ręce nad głowę, starając się je maksymalnie rozprostować, po czym wykonał gest, jakby chciał rozepchnąć ściany niewielkiego pomieszczenia. Podobne ćwiczenia miały rozciągać ścięgna, wzmacniać mięśnie i oczyszczać kanały energetyczne.

Ledwo skończył, usłyszał pukanie. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że dźwięk rozlega się w jego umyśle.

– *Idą* – poinformował Guang.

Alchemik zacisnął pięści.

– *Nie, nie, to nie oprawcy cesarza!* – pośpiesznie doprecyzował chłopak. – *Twoi znajomi. Najwyraźniej wypuścili ich z więzienia. Jakiś kaleki mężczyzna na wózku i kilkanaście pańienek. Jedna z nich wydaje się mocno tobą zainteresowana.*



– Ryba! – wykrzyknął radośnie alchemik. – Co znaczy „wyraźnie zainteresowana”? – spytał nieufnie.

– *No wiesz, ja widzę więcej niż inni: temperatura ciała, bicie serca i takie tam. Lepiej nie wchodźmy w szczegóły...* – Guang był wyraźnie zakłopotany. – *Chciałem tylko powiedzieć, że ona nie udaje.*

– Dziękuję za informację, ale wiesz, w tych sprawach poradzę sobie sam. Znaczący w kwestiach damsko-męskich. Z drugiej strony dobrze by było, gdybyś mógł określić szczerą deklarację cesarza i jego urzędników. Potrafiłbyś?

– *Trudno powiedzieć, emocje zwykłych ludzi odczytuję bez problemu, ale większość urzędników, nie mówiąc o imperatorze, jest chroniona przez potężne bariery. Zdaje się, że oni panicznie boją się magicznych manipulacji oddziałujących na umysł.*

– Coś takiego jest w ogóle możliwe? Zmuszenie kogoś, żeby zrobił coś wbrew własnej woli?

– *Jak najbardziej, choć potrafią to jedynie najpotężniejsi magowie. Najprostszy sposób to wdrukowanie ofierze fałszywych wspomnień, wówczas matka może zabić własne dziecko, sądząc, że broni się przed napastnikiem.*

– Mógłbyś coś takiego zrobić?

– *Nie mam pojęcia, nigdy nie próbowałem i wolałbym raczej nie próbować.*

Dalszą rozmowę przerwał im rumor u drzwi i do komnaty wdarła się grupa kobiet w pancerzach Gwardii Feniksa. Większość z nich złożyła mu przysięgę uczniowską, ale w ich zachowaniu nie było nic z uczniowskiej pokory: alchemik został wyściskany i wycelowany i w przynajmniej kilku przypadkach nie były to niewinne pocałunki.

– Chyba przydałaby ci się ochrona, wujku – powiedział Ryba z uśmiechem.

Chłopak wjechał do pokoju na wózku i Rudnicki obrzucił go baczny spojrzeniem, ale nie widać było, żeby więzienie wpłynęło na młodzieńca w negatywny sposób. Ryba jak zwykle tryskał optymizmem.

– Jak wygląda sytuacja? – rzucił niespokojnie alchemik. – I gdzie jest Szron?

– My ci nie wystarczamy? – spytała figlarnie Mewa. – Rozmawia z cesarzową – dodała poważniej. – Jej Wysokość przed chwilą przysłała po nią eunucha.

– Macie broń – zauważył Rudnicki.

– Mamy. Od dziś jesteśmy twoją ochroną, bracie – poinformowała Cykada. – Najwyraźniej cesarzowi zależy na twoim bezpieczeństwie.

– Oby – mruknął alchemik.

– *Co z księżną Chonghua?* – spytał w myślach Rudnicki.

– *Targuje się z moją matką* – odparł z niesmakiem Guang.

– *W tym także o ciebie.*

– *A konkretnie?*

– *Nie wszystko rozumiem, lepiej, żeby ci sama powiedziała.*

– *Jest bezpieczna?*

– *Tyle o ile, na razie moja matka nie chce jej zabić, jeśli ci o to chodzi.*

– *Jesteś pewien? Sam mówiłeś o barierach...*

– *Mówiłem – przerwał mu Guang. – Ale odkąd matka odzyskała wspomnienia, coś się zmieniło, nadal jest chroniona, ale jej tarcza mentalna została jakby spersonalizowana. Mogę czytać jej emocje. Ona chyba tego chce* – dokończył niepewnie.

– Rozmawiasz z kimś, wujku? – spytał Ryba. – Bo wyglądasz, jakbyś do kogoś mówił.

– To prawda, że pomogłeś następcy tronu? – podchwyciła natychmiast Nefryt.

– Prawda – przyznał Rudnicki.

– Dlaczego go izolowali? Jeden z eunuchów służących w Zachodnich Pokojach powiedział mi, że księżę Guang jest tak okrutny, że trzeba było go uwięzić, aby nie zabijał ludzi dla przyjemności. Podobno dręczył nawet dzieci służących. Myślę, że...

– Nefryt!

Dziewczyna urwała i natychmiast opadła na kolana, przestraszona nie tylko tonem alchemika, ale i buchającym z niego lodowatym gniewem. Po chwili klęczeli już wszyscy obecni, z wyjątkiem Ryby.

– To nie on dręczył ludzi, tylko jego dręczono. Od małości, kiedy nie mógł się jeszcze bronić – wycedził przez zaciśnięte zęby Rudnicki. – Owszem, później poranił albo i zabił kilku takich przyjemniaczków, a słuchy o jego okrucieństwie rozpowszechniali wrogowie cesarskiej pary i Wielkiej Han. Odszukaj tego służącego i daj mu nauczkę!

– Natychmiast! Mewa, Cykada, za mną!

Alchemik zamrugął z zaskoczeniem, widząc, jak gwardzistki wybiegają z komnaty z bronią w ręku, dopiero teraz uzmysłowił sobie, że jego polecenie zostanie wykonane literalnie przez wojowniczeki, które budziły respekt nie tylko w Wielkiej Han, ale i daleko poza jej granicami. I niewykluczone, że nieznanemu mu eunuchowi nie przeżyje lekcji, jakiej udzieli mu sympatyczne na co dzień dziewczęta.

Czort z nim, jednego gnojka mniej, pomyślał mściwie Rudnicki.

– Wujku, może rozstawię warty i zajmę się ochroną? – zaproponował Ryba. – Bo minie dzień lub dwa, zanim przybędzie Rong z twoją gwardią. Słyszałem, że niedawno wypisali go ze szpitala.

– Zajmij się tym – przyzwolił alchemik.



Szron niecierpliwym gestem odgarnęła włosy, dołała alchemikowi wina, po czym kilkoma wprawnymi ruchami doprowadziła fryzurę do porządku.

– Przepraszam – wymamrotał Rudnicki, czując, jak wargi pulsują mu po kolejnym pocałunku. – Postaram się być delikatniejszy.

– Nie chcę, żebyś był delikatniejszy, i możesz to powtórzyć – powiedziała z uśmiechem. – Jednak najpierw musimy porozmawiać.

– Co ustaliłyście z cesarzową?

– Wszystko, co trzeba, choć wątpię, żeby ci się to spodobało.

– Co znowu wymyśliła Shunlie?

– Nie tylko ona, nie ośmieliłaby się niczego przedsięwziąć bez woli cesarza. Nie w tak ważnej sprawie.

– Słucham – westchnął alchemik. – Dalej mi nie ufają?

– Ależ ufają! Inaczej już byłbyś martwy, tyle że nie zmienia to specjalnie twojej sytuacji. Bo prosiłeś, aby ograniczyli swoją władzę na korzyść mało znanego przybysza z innego wszechświata. Ni mniej, ni więcej...

– Więc odrzucili moje żądania?

– Nie odrzucili, postawili swoje warunki.

– Tak?

– Teoretycznie istnieje możliwość, aby zrobili to, czego chcesz. Teoretycznie – podkreśliła. – Jest pewna funkcja, która dawałaby ci coś w rodzaju immunitetu, ogromną władzę i możliwość doradzania imperatorowi. To stanowisko pozostaje nieobsadzone od dobrych stu lat.

– Jak rozumiem, nie bez powodu?

– Oczywiście. Bywało, że sługa cesarstwa wykorzystywał sytuację, podnosił bunt i sam zostawał imperatorem. W ten

sposób pojawiły się przynajmniej dwie nowe dynastie.

– Sługa cesarstwa? Tak to się nazywa?

– Owszem. To trzecia osoba w państwie, najbardziej zaufany doradca Syna Nieba, człowiek znający wszystkie sekrety Wielkiej Han, tarcza i miecz imperium...

– Więc co mam zrobić, żeby nim zostać?

– To nie takie proste, najpierw się zastanów, czy naprawdę tego chcesz. Teraz możesz się dystansować od pewnych decyzji, później nie będziesz już miał takiej możliwości.

– Nie rozumiem?

– Podam ci tylko najprostszy przykład, bo musiałabym tłumaczyć miesiącami: jako sługa cesarstwa będziesz odpowiedzialny za ludność imperium. Być może przyjdzie ci dowodzić całymi armiami, ryzykować życie albo wydawać rozkazy imperialnym zabójcom...

– Jakim, do licha, zabójcom?!

– Teraz jesteś człowiekiem honoru, ale jeśli przyjmiesz to stanowisko, przestaniesz nim być, bo możliwe, że będziesz musiał wydać rozkaz zabicia jakiegoś buntownika albo co gorsza, całej jego rodziny, zanim ten zbierze stutysięczną armię i wymorduje ludność nadgranicznej prowincji. Twoim jedynym priorytetem i obowiązkiem będzie służba Wielkiej Han. Nigdy też nie wrócisz do swojego świata. Co najwyżej cesarz pozwoli ci na krótką wizytę w celu... uporządkowania spraw, nie więcej, bo nieoczekiwane zniknięcie sługi cesarstwa może wywołać niepokoje w całym kraju.

– Więc tak naprawdę mimo całej tej władzy zostanę niewolnikiem do końca życia?

– Dokładnie tak.

Alchemik z trudem przełknął ślinę; teraz, kiedy jego życzenie mogło się spełnić, zamiast satysfakcji poczuł

strach. Przerażliwy strach.

– A ty? – spytał. – Co ty o tym sądzisz? Co pomyślałabyś o mnie, gdybym kazał kogoś zabić albo wytepić jakiś klan?

– Ja to robiłam – powiedziała łagodnie Szron. – Nie raz i nie dwa zabijałam jednostki, żeby uratować życie tysięcy. To ciężkie brzemię, bo jakim by okrutnikiem nie był wróg Wielkiej Han, którego każesz zabić, dla swojego dziecka zawsze pozostanie ukochanym ojcem, a ty będziesz musiał patrzeć na łzy tego malucha i zastanawiać się, czy nie lepiej byłoby go zgładzić teraz, żeby za dwadzieścia lat nie podniósł kolejnego buntu, aby pomścić rodzica.

– Ja...

– Wiem, że uważasz cesarza za bezwzględneho człowieka, pamiętaj jednak, że on żyje w takim świecie od dziecka i nie stać go na litość, bo jeśli się pomyli, zawaha, zapłacą za to życiem miliony zwykłych ludzi. To oni mogą być dobrzy, moralni i współczujący, on nie.

– Kiedy muszę podjąć decyzję? – spytał ochryłym głosem Rudnicki.

– Jeszcze dzisiaj, do końca dnia. Ale to nie jedyna opcja, cesarska para jest ci wdzięczna, oni...

Tym razem to alchemik jej przerwał.

– Jasne – powiedział. – Są mi wdzięczni. Do następnego razu. Jeśli chcę ochronić swoich bliskich, nie mam wyjścia.

– Jak i my wszyscy – odparła Szron, opuszczając głowę. – Możemy wybrać tylko mniejsze zło.

– No dobrze, co mam zrobić, żeby zostać sługą cesarstwa?

## II

### ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki ponaglił konia i wysforował się naprzód, mijając straż przednią karawany. Strażnicy odprowadzili go obojętnymi spojrzeniami, najwyraźniej niespecjalnie przejmowali się bezpieczeństwem podróżnych, inna sprawa, że – teoretycznie rzecz biorąc – nie było bezpośredniego zagrożenia. Karawana zmierzała do prowincji Wielkiej Rzeki jednym z głównych imperialnych traktów, patrolowanym intensywnie przez cesarskich żołnierzy. Tyle że czasy nie były normalne: wojska Białego Chanatu wygrały kilka bitew, opanowały trzy nadgraniczne prowincje, a agenci Siedmiu Śmierci zamierzali wszcząć bunt w prowincji Wielkiej Rzeki, dostarczającej osiemdziesiąt procent ziarna na rynki Wielkiej Han. Jeśli zrealizują swój zamiar, imperium czeka głód.

Alchemik obejrzał się, słysząc tętent: jeden z podróżnych nadjeżdżał w otoczeniu kilkorga służących. Siedzący na rękawicy mężczyzny sokół zaskrzeczał, bijąc niecierpliwie skrzydłami.

Kiepsko wytresowany, pomyślał Rudnicki.

– Przyłączy się pan do polowania? – zapytał uprzejmie sokolnik, przejeżdżając mimo.



Alchemik przyjrzał mu się uważniej: przypięty do pasa nefrytowy żeton identyfikował mężczyznę jako szlachcica niewysokiej rangi.

– Z przyjemnością – powiedział. – Nie lubię suchego prowiantu.

– Zatem zapraszam.

Rudnicki poprawił przytroczony do siodła miecz, sięgnął po kuszę. Broń załadował zwykłymi bełtami, a pokryte farbą runy nie zdradzały, że oręż został magicznie wzmocniony. Ponieważ podał się za szukającego pracy najemnika, wojskowa kusza nie wzbudzała niczyjego zainteresowania, odwrotnie niż sam alchemik. Od wczoraj już trzy osoby wyraziły chęć skorzystania z jego usług.

Tymczasem szlachcic uwolnił sokoła i ten wyprysnął w górę, po czym zaczął zataczać kręgi, szukając zdobyczy.

– Jestem Kumdo – przedstawił się mężczyzna z ledwie uchwytnym obcym akcentem. – I tak, nie urodziłem się w Han, moja rodzina pochodzi z Północnej Chu.

– Jastrząb – odwzajemnił się alchemik.

Wymyślony na poczekaniu pseudonim uwiarygodniał legendę Rudnickiego, najemni żołnierze rzadko zdradzali prawdziwe imię.

Kumdo skinął głową i wyjął bukłak z winem.

– Bracia? – zaproponował.

Alchemik przytaknął i pociągnął spory łyk. Podczas długotrwałych i nie zawsze bezpiecznych wędrówek ludzie często łączyli się w grupy, zawierając braterstwo na czas podróży. Większość takich przyjaźni kończyła się po dotarciu do celu, ale bywało, że przeradzały się one i w trwalsze więzy.

– Dlaczego nie próbowałeś mnie zatrudnić? – spytał z ciekawością Rudnicki.

– Nie byłoby mnie stać – odparł Kumdo, przełknąwszy wino. – Ci idioci, którzy próbowali cię zwerbować, nie zwrócili na to uwagi.

– Na co? – Alchemik zmarszczył brwi.

– Po pierwsze, twój koń. Widać, że to wojskowy ogier, ułożony do walki. Takie przysługują tylko oficerom. No i miecz. O ile znam się na rzeczy, a handlowałem swego czasu bronią, warty jest przynajmniej kilkaset liangów srebrem, a po tobie widać, że potrafisz się nim posługiwać. Ktoś taki na pewno nie będzie służył drobnemu szlachetce za garść monet. Moim zdaniem jesteś albo oficerem na urlopie, albo dopiero co zwolniłeś się z wojska.

Rudnicki w duchu zwyzywał się od najgorszych. Ot i konspirator, pomyślał z goryczą.

– To drugie – powiedział pospiesznie.

– Mnie to obojętne – wzruszył ramionami Kumdo. – Chcę tylko cały i zdrowy dotrzeć do Nanjingu.

– Spodziewasz się jakichś problemów?

– Niby nie – skrzywił się mężczyzna. – Ale czasy są niespokojne, lepiej na zimne dmuchać. A nasza ochrona może obronić nas przed lokalnymi rabusiami, ale nie agentami Białych.

– Skąd tu agenci Białych? Naprawdę myślisz, że zainteresowałiby się zwykłą karawaną?

– Może i nie – przyznał Kumdo. – Ale chodzą słuchy, że do portów imperium nie dociera nawet połowa transportów z ziarnem z prowincji Wielkiej Rzeki, a urzędników wysłanych do zbadania sprawy znaleziono martwych.

I żeby tylko, pomyślał Rudnicki. Cesarski wywiad meldował także o aktach sabotażu, masowych mordach, podpaleniach spichrzy i pojawieniu się Przeklętych. Nie ulegało wątpliwości, że Biały Chanat chce uderzyć w najsłabsze miejsce Wielkiej Han i wywołać głód. Jaką rolę

w tym wszystkim odgrywali *theokatáratos*, pozostawało zagadką.

– To dlaczego tam jedziesz? – spytał alchemik. – Jeśli to takie niebezpieczne?

– Likwidować aktywy. Moja firma zajmuje się transportem żywności. Jeśli wycofam się teraz z prowincji Wielkiej Rzeki, stracę sporo pieniędzy i budowane przez lata kontakty. Jeśli tego nie zrobię, mogę stracić wszystko. Zresztą podobno ten akurat szlak jest bezpieczny, do tej pory nie notowano tu żadnych ataków.

– Mówisz tak, jakbyś nie był zdecydowany...

Kumdo spojrział ostro na Rudnickiego, ale po chwili roześmiał się i skinął głową.

– Masz rację – przyznał. – Szkoda mi niszczyć to, co moja rodzina budowała przez ostatnie sto lat, z drugiej strony boję się, żeby nie zaślepiła mnie chciwość. Dlatego chcę sam rozejrzeć się na miejscu. A jeszcze niedawno myślałem o rozwinięciu interesu – dodał kwaśno. – Przekłęci Biali!

Niespodziewanie szybujący wysoko w niebie sokół zakwilił i runął w dół niczym pocisk.

– Niezła zdobycz – zauważył Rudnicki, oglądając tłustego zająca.

– Będzie z niego smaczna zupa – powiedział Kumdo. – Mam zdolnego kucharza.

Mężczyzna zdjął z dłoni ochronną rękawicę i przekazał ją jednemu ze służących, który natychmiast zajął się ptakiem.

– Jak oceniasz nasze bezpieczeństwo? – spytał kupiec, kiedy zostali sami.

– Zależy, na kogo się natkniemy – odparł dyplomatycznie alchemik.

– Co masz na myśli?

– Mówi ci coś nazwa „Przekłęci”?

– Przecież te potwory żyją tylko na peryferiach.

– Nie tylko, podobno niedawno pojawiły się w prowincji Wielkiej Rzeki. Mam znajomego w Biurze... No, sam rozumiesz. Uprzedził mnie przed wyjazdem.

Kumdo zaklął plugawie.

– Mam wrażenie, że najmądrzejszym wyjściem byłoby wrócić do stolicy – mruknął ponuro. – Żadne pieniądze nie są warte życia. A po jakie licho ty tam jedziesz?

– Sprawy spadkowe – odparł Rudnicki. – Też się zastanawiałem, czy nie zrezygnować, ale w grę wchodzi spora suma.

– Opłaca ci się ryzykować?

– W armii ryzykowałem co dzień za dużo mniejsze pieniądze.

– Też prawda. Pomożesz mi, jak robi się gorąco?

– Pomogę – obiecał alchemik.

– Jak mogę się odwdzięczyć? Bo przecież nie pieniędzmi?

– Być może będę potrzebował pewnych informacji – odparł ostrożnie Rudnicki. – Nigdy nie byłem w tej prowincji, więc gdybym zaczął wypytywać miejscowych, od razu zwrócę na siebie uwagę jako obcy. Z drugiej strony, gdyby te same pytania zadał kupiec, który handluje tam od lat...

– Załatwione! Moi partnerzy handlowi powinni wiedzieć, co w trawie piszczy. I jeszcze jedno: trzeba stworzyć tong na czas podróży. Myślałem o tym już wcześniej, ale jeśli rzecz dotyczy Przeklętych, sprawa jest pilna.

Alchemik przytaknął po chwili namysłu, słowem „tong” określano w Wielkiej Han grupę złączoną wspólnymi interesami, której członkowie przysięgali sobie lojalność. Takie obietnice łamano rzadko i niechętnie, bo każdy, kto je naruszył, tracił twarz i był wyrzucany poza nawias społeczeństwa.

– Może i warto – powiedział. – Masz kogoś na oku?

– Najwięcej strażników posiada ten bogacz ze wschodu, jak mu tam? Wang Jie?

– Ten tłuścioch z twarzą prosiaka?

– Ten sam. Tak go i nazywają: Prosiak.

– Zapomnij. To tylko pozer, a nikt z jego osiłków nie osiągnął nawet pierwszego etapu rozwoju *chi*. Jeśli dojdzie do poważnego starcia, nie mówiąc już o spotkaniu *theokatáratos*, zginą w minutę. Albo uciekną.

– To co proponujesz?

– Rozejrzę się, kiedy wrócimy do obozu.

– Jak uważasz, na pewno znasz się na tym lepiej ode mnie, w takim razie ja zajmę się aprowizacją i logistyką. Jutro dotrzemy do Sarangu, to miasto średniej wielkości, więc kupię żywność i zapasowe konie dla naszej grupy. Zająć się czymś jeszcze?

– Jak z lekarstwami?

– Mamy wszystko, od narzędzi chirurgicznych po środki przeciwbólowe, nie pierwszy raz jeżdżę tą trasą.

– Mógłbyś kupić kilka alchemicznych przyrządów? Wczorajem dałbym ci listę i oczywiście pieniądze.

– W żadnym wypadku! Apropozycja to drobiazg, mam tu znajomych i dostanę wszystko dwa razy taniej niż ktokolwiek inny, ty zajmij się ochroną i nie zwracaj sobie głowy wydatkami.

– No dobrze – zgodził się Rudnicki. – Niech tak będzie.



Karawana nie była duża: setka podróżnych, drugie tyle służby, dwudziestu strażników, do tego kilkadziesiąt wozów i trzy tuziny jucznych koni. Do tej pory Rudnicki nie przejmował się specjalnie współtowarzyszami podróży, jednak po rozmowie z Kumdo postanowił przyjrzeć się im

bliżej. Myśl, żeby stworzyć prywatny tong, nie była zła, biorąc pod uwagę sytuację, atak na karawanę był więcej niż prawdopodobny.

Na początek alchemik jeszcze raz przyjrzał się ochroniarzom Wang Jie, jednak ludzie Prosiaka imponowali jedynie posturą, a wyróżniali się prostactwem i brakiem manier. Także ochrona kilku innych majątnych kupców nie przedstawiała wielkiej wartości. Rudnicki zatrzymał się dopiero przy namiocie strzeżonym przez dwie młode, ładne kobiety. Mimo że obie dziewczyny wyraźnie nadrabiały miną, wrażliwe oko alchemika ukazało mu pancerze *chi* pokrywające skórę ślicznotek.

Pierwszy, może drugi stopień rozwoju energii, pomyślał Rudnicki. Całkiem niezłe, jak na ten wiek, nie mogą mieć więcej niż dwadzieścia lat. Ktoś musiał je dobrze wytrenować.

– Czyj to namiot? – zapytał.

– Pani Liu He – odparła ognista brunetka, mierząc go podejrzliwym wzrokiem. – Kim pan jest?

– Podróżnym, jak i wy. Chciałbym się widzieć z panią Liu He.

– Moja pani jest zajęta, a ja...

– Może po prostu spytaj, czy zechce mnie przyjąć – zaproponował znużonym tonem Rudnicki. – To także w waszym interesie.

Dziewczyna sięgnęła po miecz, ale alchemik jednym ruchem posłał ją na ziemię.

– Nawet nie próbuj! – ostrzegł chłodno. – Bo za chwilę twoja pani będzie miała jedną strażniczkę mniej.

Dziewczyna poderwała się na nogi, ale zanim zrobiła coś jeszcze, z namiotu wyszła niewysoka kobieta. Miała gibką sylwetkę i płynne ruchy, jednak pokryta drobnymi

zmarszczkami twarzy i białe pasmo we włosach świadczyły, że zbliża się do siedemdziesiątki.

– Co tu się dzieje? – spytała ostro. – Kim pan jest?

– Proszę wybaczyć mi to małe nieporozumienie – skłonił się Rudnicki. – Chciałem tylko porozmawiać, ale pani strażniczka...

Liu He obrzuciła zaczerwienioną ze wstydu dziewczynę srogim spojrzeniem i gestem zaprosiła alchemika do namiotu.

Rudnicki podziękował i podążył w ślad za gospodynią.

– Jeszcze raz przepraszam... – zaczęła.

– Nie trzeba – weszła mu w słowo kobieta. – Znam Mei od dziecka. Powinna nazywać się nie Śliwa, tylko Oset. À propos, moja druga uczennica ma na imię Perła.

Alchemik z trudem powstrzymał uśmiech: słowo Mei, oznaczające śliwę, było symbolem kobiecego piękna i delikatności.

– Nic się nie stało – zapewnił. – Obie dziewczyny wyglądają na kompetentne strażniczki.

– A jednak poradził pan sobie z Mei bez trudu.

– Ja także nie jestem nowicjuszem.

– Mam nadzieję, że nie jest pan kolejną osobą, która chciałaby wynająć moje dziewczyny? Mei wczoraj ćwiczyła trochę na placu, niestety, nie pomyślała, że będzie miała widzów. W efekcie dzisiaj już kilka osób zaoferowało mi spore pieniądze za wynajęcie moich strażniczek – dodała, widząc niezrozumienie na twarzy Rudnickiego.

– Nie, nie chcę ich wynająć, za to chciałbym wam zaproponować przystąpienie do tongu. Rzecz jasna, jedynie na czas podróży.

Liu He zdjęła z żarowni porcelanowy czajniczek i rozlała herbatę do niewielkich, niemal przezroczystych czarek.



– Tong? – powiedziała z namysłem. – Oczywiście, możemy spotkać bandytów, a strażnicy karawany to żadna elita, ale jestem pewna, że ktoś taki jak pan bez trudu umknąłby miejscowym rozbójnikom. Podobnie jak ja z dziewczynami. Wreszcie na drodze do Nanjingu operuje tylko jedna większa banda, Kamienne Młoty, ale wątpię, żeby nas zaatakowali, to tylko wieśniacy z ambicjami i jeśli poślakomią się na nasz majątek, wiedzą, co ich czeka.

– Nie rozumiem?

Liu He łyknęła herbaty, widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Skąd ten niepokój? – spytała wreszcie. – Bo nie wygląda pan na panikarza. I kim pan jest?

– Przepraszam najmocniej, powinienem od razu się przedstawić. Jestem byłym żołnierzem, nazywam się Jastrząb, jadę do Nanjingu w sprawach spadkowych.

Kobieta przyjęła wyjaśnienia alchemika skinieniem głowy, po czym ponownie sięgnęła po czarę.

– Słyszał pan o jakichś problemach z karawanami na tej trasie? – rzuciła.

– Nie.

– No właśnie. Strażnicy są tylko na pokaz, w rzeczywistości bezpieczeństwo na tych terenach zapewniają Wędrowcy.

– Co za Wędrowcy?

Liu He zatrzymała się w pół ruchu i zmarszczyła brwi.

– Chce mnie pan obrazić?

– Naprawdę nie wiem, kim są Wędrowcy, i nie rozumiem, dlaczego miałyby pani poczuć się obrażona moją niewiedzą?

– Gdzie pan służył? – spytała ostro Liu He.

– W gwardii księcia Nina, później w Armii Pięciu Bambusów – odpowiedział zgodnie z prawdą Rudnicki.

Kobieta wzdrygnęła się, jakby uderzył ją w twarz, po czym pochyliła, aby lepiej przyjrzeć się alchemikowi.

– Ying Tu?

Rudnicki przytaknął zrezygnowanym gestem.

– Nie wiem, po co udawałem najemnika – mruknął. – Równie dobrze mogłem wyruszyć w podróż powozem pod ochroną własnej gwardii, najwyraźniej nie mam talentu do konspiracji.

– Nie jest tak źle. W Armii Pięciu Bambusów był tylko jeden człowiek, który mógł nie wiedzieć, kim są Wędrowcy – odparła Liu He z cieniem uśmiechu. – A i ja nie zorientowałam się od razu, zatem bez obaw, nikt pana nie zdemaskuje. Wracając do pańskiej propozycji: po co ten tong? Biorąc pod uwagę pańskie możliwości, mógłby pan w pojedynkę rozgromić bandytów, gdyby byli na tyle głupi, że chcieliby zadrzeć z Wędrowcami.

– Kim są Wędrowcy? – odpowiedział pytaniem alchemik.

Liu He wywróciła oczyma, ale po chwili na jej twarzy powrócił uśmiech.

– To największa gildia Świata Stali – powiedziała. – Skupia ekspertów sztuk walki, którzy chcą jakoś wykorzystać swoje umiejętności. Kontrolujemy większość prowincji Wielkiej Han, chroniąc je przed bandytami, pilnujemy, żeby miejscowe władze nie kradły zbyt wiele, wreszcie pomagamy w utrzymaniu porządku. Nie podlegamy bezpośrednio władzy imperatora, ale często współpracujemy z jego urzędnikami. Tymi, którzy zasłużyli na nasz szacunek – doprecyzowała.

– A co z karawaną? Sama pani powiedziała, że strażnicy...

– Oni nie należą do gildii – przerwała mu kobieta. – Mają nasze pozwolenie na ochronę tego konkretnego szlaku, to wszystko.

– Pani obecność tutaj to przypadek?

– Nie do końca. Otrzymaliśmy ostrzeżenie, że karawana może mieć kłopoty, więc postanowiłam to sprawdzić. Rozumie pan, musimy dbać o reputację. A co pana tu sprowadza i skąd pański niepokój?

Rudnicki łyknął herbaty, żeby zyskać na czasie, nie miał zamiaru zwierzać się ze swoich planów dopiero co poznanej kobiecie, z drugiej strony było oczywiste, że jeśli skłamię, drugiej szansy już nie będzie: Świat Stali słynął z rygorystycznego pojmowania honoru.

– Sprawy osobiste – odparł. – Wybaczysz pani, ale nie będę wdawał się w szczegóły. Nie na tym etapie naszej znajomości. Co mnie niepokoi? Moje źródła twierdzą, że możemy mieć do czynienia z *theokatáratos*.

– Znowu?! Czego oni tu...

– Znowu? – podchwycił alchemik. – Czyżby Przekłęci i wcześniej pojawiali się w prowincji Wielkiej Rzeki?

– W zeszłym roku – przyznała Liu He. – Więc stąd pomysł założenia tongu?

– Owszem. Razem mamy większe szanse.

– Niech będzie – westchnęła Liu He. – Bracie...

Kobieta sięgnęła do komody i wyciągnęła niewielki porcelanowy flakon. Naczynie opieczetowano w kilku miejscach, jedna z pieczęci nosiła znak nieżyjącego od kilkuset lat imperatora.

– Nazywają to winem nieśmiertelnych – wyjaśniła Liu He, widząc zmarszczone brwi alchemika. – Oczywiście to tylko nazwa, choć trunek ma rzeczywiście działanie lecznicze. Twoje zdrowie, bracie!

Kobieta uniosła naczynie, po czym przechyliła je, nie dotykając jednak brzegu wargami, tak że Rudnicki widział strumień alkoholu spływający wprost do jej ust. Alchemik naśladował ją i zdołał przełknąć kilka łyków pachnącego brzoskwiniami trunku, nie zalewając specjalnie kaftana.

– Co teraz? – spytał.

– Nic specjalnego – wzruszyła ramionami Liu He. – Po prostu pojedziemy w straży przedniej.

– Jeden z naszych braci, niejaki Kumdo...

– Tylko ty, ja i dziewczyny – weszła mu w słowo kobieta. – Myślę, że damy sobie radę z kilkoma Przekłętymi. Inni by tylko przeszkadzali, nie ma sensu ich narażać.

– Wybacz, ale twoje strażniczki opanowały ledwo drugi poziom rozwoju *chi*, a u ciebie w ogóle go nie wyczuwam.

– Damy radę! – powtórzyła z uśmiechem Liu He. – Natomiast co do moich uczennic, to najwyższy czas poinformować je o twoim statusie i dać lekcję Mei.

– Co masz na myśli?

– Zobaczysz.

Kobieta klasnęła niegłośno i po chwili w namiocie pojawiły się obie strażniczki.

– To mistrz Jastrząb – poinformowała dziewczyny. – Traktujcie go, jakby był moim starszym bratem.

– Mistrzu. – Obie strażniczki pokłoniły się na kolanach.

– Mei, na czas naszej podróży będziesz jego osobistą służącą.

– Tak, pani – wymamrotała pokornie dziewczyna.

– Co to znaczy? – spytał Rudnicki, kiedy dziewczyny opuściły namiot. – Nie potrzebuję sługi ciała.

– Za to Mei potrzebuje lekcji. To nie pierwszy raz, kiedy przez swoją arogancję ociera się o śmierć. Gdyby na twoim miejscu był ktoś mniej wyrozumiały, dziewczucha byłaby już martwa. I nie oszczędzaj jej, proszę, to dla jej dobra. Niech się trochę pomartwi.

– Myślisz, że przejmie się faktem, że raz na jakiś czas będzie musiała podać mi herbatę?

– Jeszcze jak! – zapewniła Liu He. – Bo rzecz nie sprowadza się do usługiwania przy stole, równie dobrze

możesz od niej zażądać, żeby grzała ci łóżko, a nasza Mei do tej pory nawet się nie całowała.

– Zwariowałaś! Nie mam zamiaru...

– Przecież wiem, że nie masz – przerwała mu ponownie. – Mei jest dla mnie jak córka i nie oddałabym jej pierwszemu lepszemu. W świecie sztuk walki wiadomo, że masz dobre serce, choć nie jest to wiedza powszechna – dodała z ironią.

Alchemik jeszcze raz przyjrzał się uważnie swojej rozmówczyni, Liu He odnosiła się do niego uprzejmie, jednak w jej zachowaniu nie było widać nawet cienia uniżoności, a skoro знаła już jego tożsamość, musiała wiedzieć, jaką rangę posiada Rudnicki. Wniosek? Kimkolwiek była Liu He, z pewnością plasowała się wysoko w hierarchii Wędrowców, a to z kolei rodziło pytanie, czym tak zaimponowała gildii wojowników w sytuacji, kiedy jej energia wewnętrzna była niemal niewyczuwalna? O ile młodzi adepci mogli częściowo rekompensować brak opanowania *chi* zwykłą siłą fizyczną, z pewnością nie dotyczyło to siedemdziesięcioletniej kobiety.

– Czyli mam ją nieco sponiewierać? – podjął z rezygnacją w głosie alchemik.

– Byłabym wdzięczna.

– No dobrze – westchnął. – Zobaczę, co da się zrobić.



Rudnicki skinął dłonią i Mei rzuciła się do ataku. Alchemik nagłym zwrotem ciała uniknął ciosu i uderzeniem drewnianego miecza rozbroił dziewczynę. Mei z kamiennym wyrazem twarzy podniosła się z ziemi. Po raz kolejny, bo ćwiczyli już dobre dwie godziny.

– Mogę o coś zapytać, mistrzu?

– Słucham.

– Dlaczego nie używasz prawdziwego miecza?

– Nie ma takiej potrzeby, jestem pewien, że nie zawiedzie.

Dziewczyna skinęła głową, przyjmując wyjaśnienie. Od czasu kiedy została jego służącą, Mei z własnej inicjatywy dbała o odzież i posiłki alchemika, a także co noc pilnowała jego namiotu. Jeśli spała, to najwyżej dwie, trzy godziny na dobę, przez resztę czasu usługiwała Rudnickiemu.

Mimo że zachowywała się bez zarzutu, alchemik wyczuwał w niej coś dziwnego, podobnie zresztą jak w Liu He i jej drugiej strażniczce. Samo w sobie nie było to niczym nadzwyczajnym – w Wielkiej Han niemal każdy miał swoje tajemnice, jednak w sytuacji kiedy groziło im starcie z *theokatáratos*, Rudnicki wolałby wiedzieć więcej o swoich towarzyszkach, ale wszelkie próby wysondowania Liu He kończyły się niepowodzeniem.

Cóż, niedługo wszystko się wyjaśni, pomyślał ponuro alchemik. Do Nanjingu tylko czterysta kilometrów. Jeśli ktoś postanowił przeciąć linie zaopatrzenia między prowincją Wielkiej Rzeki i resztą kraju, musi zaatakować, zanim dotrą do celu.

– Koniec treningu – zarządził Rudnicki. – Przygotuj kąpiel, później wyruszmy na patrol.

– Tak, mistrzu.

Alchemik rzucił dziewczynie broń treningową i pomaszerował do namiotu Kumdo. Od chwili zawarcia braterstwa Rudnicki regularnie odwiedzał kupca, aby spytać o najnowsze wieści, gdyż ten nieustannie przyjmował kurierów przysyłanych przez partnerów handlowych. Najwyraźniej i on nie był szeregowym członkiem swojej gildii.

Stojący u wejścia wartownik przepuścił alchemika z ukłonem: cała służba Kumdo wiedziała o zażyłości pryncypała z Rudnickim.

- Co nowego? – rzucił alchemik od progu.
- Na razie nic specjalnego – odparł kupiec. – Poza tym, że jedna na pięć karawan znika w tajemniczy sposób. O ile mi wiadomo, sprawę badała policja, a nawet imperialny wywiad, jednak nie odkryto żadnych śladów, tak jakby ci ludzie wraz z ładunkiem rozplłynęli się w powietrzu.
- To nie wróży niczego dobrego.
- Ano nie – przyznał Kumdo. – Inna sprawa, że do tej pory nic się nie stało, a jesteśmy już niedaleko od Nanjingu. Napijesz się czegoś, bracie?
- Chętnie, byle nie alkoholu, niedługo wyjeżdżam na patrol.
- Mam schłodzony sok z arbuza, zarządca jednej z moich manufaktur nawiązał współpracę z miejscowym magiem i oto rezultat.  
Rudnicki wziął czarękę i pociągnął spory łyk.
- Znakomity! – stwierdził z zaskoczeniem. – Jak świeżo wyciśnięty.
- Owszem – przyznał markotnie Kumdo. – Można by zarobić na tym niezłe pieniądze, bo sama procedura jest dość tania, ale przez to całe zamieszanie...
- To prawda, nie do soków nam teraz – przytaknęła alchemik.
- Jak znajdujesz te dziewczyny? – zmienił temat kupiec. – Nie znam się specjalnie na sztukach walki, ale te ślicznotki to raczej nie jest najwyższa półka.
- Trudno powiedzieć – odparł niezdecydowanie Rudnicki.
- Tak czy owak, to jedyne osoby w tej karawanie, które cokolwiek potrafią.
- Prosiak wczoraj wieczorem ogłosił, że jego ludzie pojedą w awangardzie i jakby co, nas obronią. Chyba chce zrobić wrażenie na tej czarnulce z Siciangu.



– Na zdrowie. Jakby co, posłużą za system wczesnego ostrzegania.

– A to w jaki sposób?

– W pojęciu Przeklętych jesteśmy tylko zwierzyną łowną, wątpię więc, żeby stosowali jakieś wyrafinowane podstępny wojenne, a jeśli zaatakują otwarcie, ludzie Prosiaka ochrypną od krzyku...

Kumdo wzdrygnął się wyraźnie, po czym klnąc z cicha, sięgnął po wino.

– Mówisz tak, jakbyś już się spotkał z taką sytuacją.

– Raz czy dwa.

– A konkretnie?

– Nie wszyscy Przekłeci posiadają wysoki poziom inteligencji, część to niewiele więcej niż zwierzęta i reagują jak zwierzęta. Kiedyś słyszałem, jak wilkopodobne stworzenia zjadały żywcem jakiegoś nieszczęśnika. Krzyczał dobre pięć minut, bo tamci się nie spieszyli.

– Straszne!

– Pora na mnie – westchnął Rudnicki.

– Uważaj na siebie, bracie.

– Postaram się.



Rudnicki ściągnął cugle i pochylił się w siodle, studiując ślady. Pylistą drogę przecinały głębokie koleiny. Wozy, które wtedy przejechały, musiały być mocno obciążone.

– Czyżby przed nami przejeżdżała inna karawana? – rzucił półgłosem.

– Możliwe – odparła Liu He. – Jednak to nie nasz problem, my musimy pilnować swoich spraw.

– Ale ten ślad skręca w step, tam nie ma żadnego miasta.

– Nie mamy tylu ludzi, żeby sprawdzić, co stało się z tymi wozami – powiedziała znużonym tonem kobieta. – Wracajmy na szlak.

Alchemik niechętnie porzucił tajemniczy trop i podążył w ślad za Liu He i jej strażniczkami. Od wczesnych godzin popołudniowych patrolowali teren wokół karawany, przeważnie jadąc w awangardzie, kilkaset metrów przed ludźmi Prosiaka. Ten rzeczywiście wyznaczył kilkunastu przybocznych do straży przedniej, jednak Rudnicki nie obiecywał sobie po nich zbyt wiele: strażnicy bogatego kupca ledwo potrafili jeździć konno, można więc było zapomnieć o jakichkolwiek manewrach bojowych. Wnioskując po ich zachowaniu i aparycji, Prosiak werbował ich w podrzędnych knajpach.

Niespodziewanie Mei uniosła dłoń i wciągnęła głęboko powietrze, wężąc jak dzikie zwierzę.

– Za tymi pagórkami – powiedziała. – Przekłęci czekają tam na nas. Jest ich ze dwudziestu.

– Skąd wiesz? – spytał szybko Rudnicki.

– Wiem – ucięła dziewczyna. – Przygotuj się, mistrzu.

Alchemik zeskoczył z konia i sięgnął po przytroczony do siodła miecz. Co prawda dzięki służbie w gwardii księcia Nina jeździł zdecydowanie lepiej niż ochroniarze Prosiaka, ale daleko mu było do poziomu przeciętnego kawalerzysty, dlatego wołał walczyć pieszo.

– Wybacz, bracie – powiedziała Liu He. – Oddalimy się na chwilę. Gdyby zaatakowali, zajmij się nimi.

Zanim Rudnicki zdążył zareagować, wszystkie trzy pogalopowały w kierunku pobliskiego wąwozu. Alchemik zaklął i sięgnąwszy do pasa, wystrzelił racę sygnałową. Zgiełk dochodzący ze strony, z której powinna nadjechać karawana, świadczył, że sygnał został zauważony. Zgodnie

z planem strażnicy mieli utworzyć z wozów wagenburg i zająć pozycje obronne.

– Ot i siostry z tongu! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Pierwszy zza pagórka wyłonił się niszczyciel. Ponaddwumetrowy potwór zaryczał tryumfalnie, widząc przed sobą samotną postać, i zaszarżował na Rudnickiego. Alchemik obejrzał się za siebie, ale po osiłkach Prosiaka nie zostało nawet śladu.

Rudnicki zaklął, spojrzawszy na trzymany w dłoni miecz, i siłą woli powstrzymał się przed przywołaniem czarnego ostrza. Nadeszła chwila, żeby przetestować klingę w walce z *theokatáratos*.

– Mam nadzieję, że kuźnia szkoły Białej Kozy jest rzeczywiście taka dobra, jak mówią – wymamrotał pod nosem.

Tymczasem Przekłęty zamarkował cięcie z góry, po czym przyklęknął i ciął w poziomie z taką szybkością, że Rudnicki ledwo zdążył odskoczyć. W sekundę później alchemik związał ostrze z mieczem przeciwnika. Z ulgą skonstatował, że wykuta setki lat temu broń z łatwością powstrzymała atak potwora.

Niszczyciel zaryczał ponownie, choć tym razem w jego głosie zabrzmiała frustracja, po czym pchnął, mierząc w serce. Zadziałały odruchy i alchemik zbił ostrze wroga, jednocześnie usuwając się z linii ataku, po czym energicznym cięciem zdekapitował potwora. Fontanna krwi na moment oślepiła Rudnickiego. Kiedy otarł twarz, w jego stronę pędziło już kilkunastu Przekłętych.

Alchemik cisnął w ich stronę garść czarnych igieł, ale tylko dwójka psopodobnych stworzeń upadła na ziemię, reszta skierowała się w stronę karawany.

Nie zatrzymam ich, pomyślał z rozpaczą Rudnicki.

Niespodziewanie w polu widzenia alchemika pojawił się potężny kształt i w grupę Przeklętych wskoczył tygrys. Coś w rodzaju tygrysa. Stworzenie przynajmniej dwukrotnie przewyższało rozmiarami i masą znanego Rudnickiemu drapieżnika, a jego ciało pokrywały połyskujące metalicznie łuski. Jeden z *theokatáratos* odwrócił się, żeby stawić czoła nowemu zagrożeniu, jednak potężne pazury rozerwały go na sztuki niczym szmacianą lalkę. Alchemik mocniej ścisnął miecz, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, Przeklętych zaatakowały kolejne dwa tygrysy. Wokół rozległy się rozpaczliwe wrzaski – Rudnicki po raz pierwszy w życiu usłyszał przerażenie w głosie *theokatáratos* – i po chwili na ziemi leżały zmasakrowane do niepoznania szczątki Przeklętych. Żadnemu z nich nie udało się uciec.

Alchemik trzęsącymi się rękoma oczyścił ostrze, starając się nie patrzeć na ucztujące w najlepsze stworzenia. Pierwsza skończyła jeść największa tygrysica, z siwą pręgą na łbie. Rudnicki bez zdziwienia zauważył, jak oddala się w stronę pobliskiego wąwozu. Kilka minut później wyszła z niego Liu He.



– Przepraszam, bracie – powiedziała wyraźnie zmieszana kobieta. – Nie zdążyłam cię uprzedzić, ale przemiana nie wygląda zbyt ładnie, dlatego odjechałyśmy kawałek.

Rozumiesz, kobieca próżność. Kończcie już, panienki! – rzuciła ostro pod adresem posilających się tygrysic. – Wystarczy tego dobrego! Taka przemiana wymaga ogromnej ilości energii, dlatego proszę, wybaczą nam brak manier, ale musimy zaspokoić głód – dodała ciszej.

– Kim... kim jesteście? Myślałem, że ćwiczycie sztuki walki.

– Ćwiczymy. Na swój sposób. Świat Stali przypomina wiekową, wielokrotnie niszczoną i przebudowywaną świątynię. Ogromną świątynię. Są tam jasne sale odwiedzane przez ogół wiernych, są mroczne pokoje, do których czasem ktoś zajrzy przez dziurkę od klucza, nie brakuje na wpół zrujnowanych komnat, są wreszcie i podziemia, do których niemal nikt nie odważy się zapuszczać. My zamieszkujemy jedno z tych rzadko odwiedzanych pomieszczeń.

– Wasza gildia wie, kim jesteście?

– Niektórzy członkowie i owszem. Kiedyś ludzie-tygrysy służyli w gwardii cesarza Wielkiej Han. Jakies dwa tysiące lat temu. Nasza... szkoła została niemal całkowicie zniszczona w czasie Rozłamu. No, wreszcie – mruknęła, widząc nadchodzące dziewczyny. – Co zrobimy z ciałami Przeklętych? – spytała. – Z resztkami ciał?

Rudnicki frasobliwie podrapał się po głowie i sceptycznym spojrzeniem obrzucił pobożowisko.

– Jeśli mi pomożecie, spróbuję uzyskać ze szczątków materia prima, mam w bagażu aparaturę, za pomocą której mogę przeprowadzić procedurę kalcynacji. A resztę spalimy.

– Co powiemy ludziom?

– Cokolwiek – wzruszył ramionami alchemik. – Pewnie niektórzy rzucili okiem na walkę z Przekłętymi, więc wątpię, żeby ktoś się z nami kłócił. Jakby co, zrobisz mądrą

minę i zasugerujesz, że znasz się na czarach i przywołałaś magiczne tygrysy, żeby walczyć z *theokatáratos*.

– Magiczne tygrysy? – powtórzyła Perła. – Podoba mi się to określenie.

Rudnicki odpowiedział nieco wymuszonym uśmiechem, nadal miał przed oczami, jak Perła w zwierzęcej postaci zmiażdżyła zębami czaszkę niszczyciela, jakby ta była z papieru.

– To do roboty! – zarządziła Liu He. – Mei, biegnij po te alchemiczne przyrządy, a ludziom powiedz, żeby na razie tu nie podchodzili, bo w pobliżu mogą być jeszcze Przeklęci.

– Tak, pani.

Rudnicki z westchnieniem usiadł na ziemi, dopiero teraz poczuł ból naciągniętych w walce mięśni. Liu He przycupnęła obok.

– Napijesz się, bracie? – spytała, podając mu manierkę.

– Chętnie.

– Do dna – zachęciła alchemika kobieta. – Ja i tak przez tydzień nie będę mogła zjeść ani wypić niczego normalnego. Organizm potrzebuje czasu, żeby przestawić się z jednej diety na drugą.

– Mam nadzieję, że zaspokoiliście głód – mruknął Rudnicki. – I może dobrze, że nie jestem tłusty.

Liu He spojrzała na niego ze zdumieniem, po czym zachichotała, zasłaniając usta dłonią.

– Dowcipniś z ciebie, bracie, muszę to powtórzyć Mei!

– Nie jestem głodna, ale mistrz wygląda tak apetycznie... – powiedziała z poważną miną Perła.

Alchemik opróżnił naczynie kilkoma łykami i dyskretnym ruchem otarł pot z czoła. Stary, a głupi, pomyślał. Zachciało mi się żartować z tygrysami...



Nanjing powitał ich ulicznym gwarem i łomotem bębnow na wieżach strażniczych, posterunki w poszczególnych dzielnicach przekazywały sobie sygnały o nadejściu nowej partii podróżnych, dopóki nie dotarli do głównego rynku, gdzie rozformowano karawanę. Rudnicki pożegnał się z towarzyszami, zostawił konia w stajni, po czym ruszył szukać tawerny Świata Stali. Zarówno Kumdo, jak i Liu He obiecali odwiedzić go niebawem.

Alchemik niespiesznie przeciskał się przez tłum sprzedawców i kupujących, po raz pierwszy w życiu uważnie słuchając rozmów i plotek. Jego życie i powodzenie zlecone przez cesarza misji zależały od tego, czy uda mu się na czas wysondować nastroje w mieście. Huangdi zażądał od niego ni mniej, ni więcej, tylko „uładzenia sytuacji w prowincji Wielkiej Rzeki”. Praktycznie w pojedynkę, niemal bez żadnego wsparcia cesarstwa. Szron wysłano do jednej z nadgranicznych prowincji zagrożonych atakiem Białego Chanatu. Zapewne w celu zmotywowania alchemika do większego wysiłku, jako że po wypełnieniu zadania mógł dołączyć do księżnej. Rudnicki podejrzewał, że podobną obietnicę otrzymała Szron.

– Którędy do tawerny Świata Stali? – zaczął ostrzącego noże rzemieślnika.

Stary mężczyzna w poplamionym skórzanym fartuchu spojrział na niego spod oka i pokręcił głową.

– Lepiej, jak zatrzyma się pan gdzie indziej – powiedział. – Dwa dni temu do miasta przybył jakiś nieznany nikomu mistrz z północnych stepów. Ten dzikus wyzwał na pojedynkę kilku miejscowych ekspertów i zabił dwóch z nich. Zajazd niemal opustoszał.

– Niemal? Ktoś chce z nim walczyć?

– Nie mam pojęcia – odparł sucho rzemieślnik. – Podobno tamten werbuje ludzi i tworzy swój tong. Podejrzewam, że



raczej nie po to, aby bronić dziewic w potrzebie, bo przyłączyli się do niego tylko najbardziej brutalni z miejskich opryszków.

– Władze nic z tym nie robią?

– A co mają zrobić? Po pierwsze, ten przybysz nie naruszył jeszcze żadnego przepisu, po drugie, jakie władze? Sędziego zabili miesiąc temu, gubernator zniknął, a szefa policji nikt nie widział przynajmniej od tygodnia. Wszystkie służby działają siłą rozpędu, ale ludzie zaczynają się niepokoić. Mówią, że cesarz ma przysłać nowego gubernatora, ale na razie to tylko słuchy.

– Dziękuję za informację.

– Widzę, że pana nie powstrzymam – westchnął starzec. – Może chociaż naostrzę pański miecz? Za darmo.

– Chyba nie trzeba, ostatnio użyłem go tylko raz.

– Jak pan uważa, ale na pańskim miejscu dałbym go komuś obejrzeć, ostrze po walce często jest uszkodzone w taki sposób, że trudno to zauważyć gołym okiem.

– Może to i racja?

Rudnicki ściągnął chroniący broń pokrowiec, wydobył miecz z pochwy, po czym wręczył klingę rzemieślnikowi. Starzec sięgnął po ogromną lupę i zbadał dokładnie ostrze, później przez dobrą minutę opukiwał je niewielkim srebrnym młoteczkim.

– Coś nie tak? – spytał zaniepokojony alchemik.

– Ech, gdybym był pół wieku młodszy – westchnął rzemieślnik.

– Nie rozumiem?

– Poszedłbym wtedy z panem do tego zajazdu. Z mieczem wszystko w porządku. Bardziej niż w porządku, broń podobnej klasy widziałem tylko raz w życiu, w domu mistrza mojego nauczyciela. Niemniej jednak jeśli chce pan zachować incognito, radziłbym ją gdzieś zdeponować

i używać skromniejszego ostrza. Lokalni eksperci nie reprezentują specjalnie wysokiego poziomu, to nie stolica, ale niektórzy będą w stanie rozpoznać technikę stalowych nici, za pomocą której wykuto tę klingę. A jest oczywiste, że zwykły najemnik nie może posiadać takiego skarbu.

– Skąd będę miał pewność, że ten „skromniejszy” miecz nie rozsypie mi się w rękę po kilku uderzeniach?

– Mogę panu pożyczyć broń dobrej jakości.

– Dlaczego miałyby mi pan pomagać? – spytał nieufnie Rudnicki.

– A dlaczego nie? Kiedyś byłem płatnerzem i zbrojmistrzem miejscowego garnizonu, mam w domu przyzwoitą kolekcję oręża, będzie pan miał z czego wybrać. Powiedzmy, że uważam, że pańska obecność w Nanjingu będzie korzystna dla naszego miasta. To co, przyjmuje pan moją propozycję?

Rudnicki skłął się w myśli od ostatnich, co prawda nigdy nie przypisywał sobie talentu do konspiracji, jednak nie przypuszczał, że rola najemnika, dzięki której miał podróżować niezauważony, będzie miała tyle niedostatków. Prawda, że wyjeżdżał w pośpiechu i nie miał czasu na dopracowanie legendy.

– Przyjmuję z wdzięcznością – powiedział.

– Znakomicie! W takim razie zapraszam na skromny posiłek, porę mamy obiadową, a później wybierze pan sobie coś z mojej kolekcji.

Ku zdumieniu alchemika starzec zdjął fartuch, rzucił go niedbale na stół warsztatowy i ruszył w kierunku jednej z bocznych uliczek.

– Nie obawia się pan, że ktoś ukradnie panu narzędzia? – spytał.

– Na razie jeszcze nie jest tak źle, żeby kraść w biały dzień, a tu, na placu targowym, wszyscy się znamy. Złodziej

nie przeszedłby nawet trzech kroków, kiedy zostałyby zabity.

– Zabity?

– Jak powiedziałem, zniknął komendant policji, więc mieszkańcy Nanjingu sami poczynili pewne ustalenia. Można powiedzieć, że w mieście wprowadzono stan wojenny.

– A co na to policja i garnizon miejski?

– Ich przedstawiciele brali udział w zebraniu i głosowali za przyjęciem takich zasad.

– Pan tam był?

– Owszem. Zapraszam – powiedział starzec, wskazując bramę wiodącą do zadbanej i z pewnością niebiednej rezydencji.

Rudnicki podążył w ślad za starcem; zaraz przy wejściu służący odebrał od niego miecz, inny podał miskę z perfumowaną wodą do obmycia rąk.

– Jestem Muhuo – przedstawił się gospodarz z ukłonem. – Odpowiednie imię dla zbrojmistrza i płatnerza.

– Jastrząb – odwzajemnił się alchemik.

Muhuo oznaczało tyle co „Drewno i Ogień” i było aluzją do cyklu pięciu przemian, miało się też kojarzyć z popiołem, czyli elementem ziemi, symbolizującym siłę i stabilność. Rudnicki po raz kolejny zadumał się nad trafnością imion nadawanych w Wielkiej Han.

– Skąd to wszystko? – Zatoczył ręką krąg.

– Ludzie nieźle płacą za broń, co prawda nigdy nie osiągnąłem mistrzostwa porównywalnego z poziomem tego, który wykuł pański miecz, jednak tak czy owak, to dość rentowny zawód. No i wydałem córkę za mąż za miejscowego bogacza – dodał starzec z dobrodusznym uśmiechem.

Muhuo zaprowadził alchemika do obszernego salonu, po chwili podano wino i przekąski.

– Dlaczego nadal pan pracuje? – spytał z ciekawością Rudnicki. – Bo chyba nie ma takiej konieczności?

Gospodarz uniósł brwi ze zdziwieniem, najwyraźniej pytanie go zaskoczyło.

– Zawsze jest pan taki bezpośredni?

– Przeważnie – mruknął alchemik. – Pochodzę z odległego... kraju, tam zadajemy takie pytania wprost, zamiast kluczyć, wysyłać szpiegów i przez pół roku knuć intrygi – odparł z irytacją.

Muhuo wybuchnął śmiechem i uniósł obronnym gestem dłoni.

– Coś w tym jest – przyznał. – U nas taka bezpośredniość raczej nie jest w cenie, bo każdy usiłuje porazić rozmówcę swoim sprytem i wyrafinowaniem. Rozmowa z kimś takim jak pan jest odświeżającym doświadczeniem. Wracając do pańskiego pytania: pracuję, bo lubię. No i chcę być na bieżąco, a gdzie łatwiej o nowiny, jak nie na rynku? Na przykład dziś dowiedziałem się o pańskim przybyciu, ledwo pan przyjechał.

– To takie ważne?

– Co do pańskiego pojawienia się w Nanjing, to się jeszcze okaże, tak czy owak, w dzisiejszych czasach lepiej trzymać rękę na pulsie.

– Prawda – przyznał Rudnicki.

– Dziś na obiad będzie tołpyga – oznajmił gospodarz, zdecydowanie zmieniając temat. – Lubi pan ryby?

– Nie mam nic przeciwko – odparł ostrożnie alchemik.

– Złota tołpyga żyje bardzo długo i osiąga wagę niemal stu kilogramów. Mój kucharz przyrządza ją w specjalnym winnym sosie, przepis pochodzi sprzed pięciuset lat.

– Chętnie skosztuję tego specjału – zapewnił alchemik.

Nie musiał udawać: z nieodległej kuchni dochodziły smakowite zapachy, a on sam nie jadł niczego od rana.

– W takim razie nie ma na co czekać.

Muhuo sięgnął po srebrny dzwoneczek i po chwili w drzwiach ukazał się służący z tacą zastawioną różnymi potrawami.

– Oryginalny przepis składa się z pięciu tysięcy znaków i opisuje sposób przyrządzania niemal setki dań z tołpygi, ale dziś wykorzystuje się go tylko na cesarskim dworze, nam na prowincji wystarcza trzydzieści. Mówiłem już, że niegrzecznie byłoby nie skosztować każdego z nich? – spytał z udaną surowością w głosie gospodarz.

– Zrobię wszystko, co w moich siłach – zapewnił Rudnicki.

Obiad okazał się przepyszny, kucharz płatnerza musiał być prawdziwym mistrzem, jednak alchemikowi trudno było oddać się przyjemnościom kulinarnym, biorąc pod uwagę misję powierzoną mu przez cesarza. Rudnicki starał się wysondować Muhuo, jednak ten nieustannie odpowiadał ogólnikami, od czasu do czasu usprawiedliwiając się kłopotami z pamięcią.

Żeby w twoim wieku posiadał równie sprawny umysł, pomyślał ponuro alchemik. Tylko najpierw muszę tego wieku dożyć...



Wbrew ostrzeżeniom Muhuo tawerna Świata Stali nie wyglądała na arenę krwawych pojedynków: goście zajazdu popijali wino, kilku grało w kości i szachy, jedynym odstępstwem od normy była obecność broni. Każdy z bywalców miał pod ręką jakiś rodzaj oręża, co sugerowało, że sytuacja jednak nie jest normalna. Wyglądało, jakby klienci zajazdu na coś czekali. Na coś lub na kogoś.

Rudnicki wynajął pokój na tydzień, upchnął niedbale bagaże pod łóżkiem i zszedł do jadalni, ciekawy dalszego rozwoju sytuacji. Pamiętając rady Ronga, zajął miejsce w kącie, tak aby mieć na oku wejście do lokalu. O ścianę oparł pożyczoną od Muhuo dwuręczną klingę. Broń była niezłej jakości, ostrze z błękitnej stali wykuł prawdziwy ekspert, a wyraźnie zużyta pochwa świadczyła, że intensywnie jej używano, jednak cena miecza z pewnością nie przekraczała możliwości finansowych przeciętnego najemnika.

Nie minęła minuta, kiedy do alchemika podeszła wyraźnie zdenerwowana kelnerka w średnim wieku i bez słowa postawiła na stole dzban wina.

– Na koszt zakładu – oznajmiła krótko. – Podać coś jeszcze?

– A co macie?

– Gulasz, zupę żółwiową, zupę z czerwonego lotosu, pieczeń i potrawkę warzywną.

– Rzeczywiście, niewielki wybór – mruknął Rudnicki.

– Naprzeciwno jest tawerna Pięć Smaków – poinformowała kobieta. – Gotują smacznie, niedrogo, a i zjeść można w spokoju. Tu nie możemy tego gwarantować.

– Co się dzieje?

– Ja nie powinnam...

Alchemik bez słowa podsunął jej krzesło i rozlał wino.

– Jestem tu nowy – powiedział. – I chciałbym się zorientować w sytuacji.

Kelnerka obrzuciła go baczным spojrzeniem i wyraźnie uspokojona wynikami inspekcji przysiadła obok Rudnickiego.

– Niedawno przybył tu mistrz z północnych stepów – powiedziała szeptem. – Rzucił kilka wyzwania, wygrał

wszystkie pojedynki, a wczoraj oznajmił, że chce przejąć ten lokal. Teoretycznie wszystkie tawerny Świata Stali znajdują się pod patronatem państwa, ale ich teren pozostaje poza jurysdykcją miejscowych władz, więc policja nie może się mieszać. Porządku pilnuje tu lokalne stowarzyszenie sztuk walki. Tyle że ten koczownik jest lepszy od naszych ekspertów, dużo lepszy, do tego podobno zorganizował swój tong. Dlatego wszyscy szykują się do walki. Walki, której nie mogą wygrać...

– Czego on chce? Zarobić?

– Skąd! Tawerny Świata Stali nie przynoszą zysków albo w najlepszym razie minimalne. To grosze. On rzuca wyzwanie władzom, no i chce wymordować miejscowych mistrzów. Mówią, że służy Białym. Niestety, formalnie nic z tym nie można zrobić, każdy, kto zatrzymuje się w takim zajeździe, musi się liczyć ze śmiercią w pojedynku. On wykorzystuje prawa Wielkiej Han przeciwko nam.

– To dlaczego chcecie z nim walczyć, skoro nie możecie wygrać?

– My...

Zanim kelnerka dokończyła zdanie, w lokalu pojawił się wysoki, chudy mężczyzna o twarzy spalonej słońcem. W ślad za nim w drzwiach stłoczyło się kilkunastu innych, o wyglądzie opryszków. Wszyscy muskularni i uzbrojeni po zęby.

– To oni? – spytał alchemik.

– Oni.

– Jeszcze tu jesteście, psy? – odezwał się z pogardą chudzielec. – Który chce pierwszy umrzeć? A może wszyscy naraz?

Nagle bandyci rozstąpili się i do tawerny wkroczył oficer w pancerzu tysięcznika, za jego plecami widać było żołnierzy w szyku bojowym.

– Wszystkie walki będą przebiegały zgodnie z przepisami – oznajmił niegłośno. – Każdy, kto naruszy zasady, zostanie zabity na miejscu. Są chętni?

Chudzielec zagryzł wargi, a jego akolici, wyraźnie przestraszeni, cofnęli się pod ściany.

– Nikt nie miał zamiaru naruszać przepisów – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Pokonam wszystkich w uczciwej walce, a potem przejmę ten lokal i założę swoje stowarzyszenie.

Od stolika wstał muskularny mężczyzna o włosach przyprószonych siwizną. Mimo wieku emanował pewnością siebie i poruszał się z gracją doświadczonego wojownika.

– Na pewno kogoś pokonasz – przyznał. – Ale nigdy nie zwyciężysz, albo zginiesz, albo uciekniesz jak pies z podkulonym ogonem. Widzisz tych ludzi? – Zatoczył ręką krąg. – Oni wszyscy przyszli tu walczyć, Wielka Han to ojczyzna ludzi honoru. Jeśli przyjdzie nam umrzeć, umrzemy, ale nikt nie zegn timer przed barbarzyńcami z północy – dodał z pogardą.

– Nie zegn timer? Zobaczymy! Ja, Dergun, rzucam wyzwanie wszystkim „honorowym” wojownikom Wielkiej Han!

– Pojedyunki odbędą się na dziedzińcu – zarządził nieznoszącym sprzeciwu tonem oficer. – Pod nadzorem imperialnej armii.

Rudnicki sięgnął po miecz i poszedł w ślad za innymi, na moment ludzie Derguna i bywalcy zajazdu przemieszali się, wybuchło kilka sprzeczek, lecz żołnierze szybko zaprowadzili porządek. Na dziedzińcu widzowie ustawili się w kręgu, a na środek wyszedł Dergun. Mimo niezbyt imponującej postury alchemik wyczuwał w mężczyźnie jakąś utajoną moc, a sposób, w jaki dzierżył miecz, wskazywał na sporą wprawę.

– Kto pierwszy? – rzucił arogancko koczownik.



Siwowłosy mężczyzna wyszedł na zaimprovizowaną arenę, trzymając w ręku dwumetrowej wielkości żelazny drąg. Alchemik ledwo zauważył pierwszy atak, w jednej chwili przeciwnicy stali naprzeciwko siebie, moment później już walczyli.

Zdawało się, że wąta z wyglądu klinga Derguna pęknie w zetknięciu z masywną bronią siwowłosego, jednak ku zdumieniu Rudnickiego wytrzymała wszystkie ciosy.

– W końcu pęknie – powiedziała kelnerka. – Musi pęknąć.

Alchemik dopiero teraz spostrzegł, że kobieta nadal stoi u jego boku.

– Nie pęknie – powiedział. – Ostrze tego dzikusa jest wzmocnione esencjami metali. Pewnie kosztuje parę tysięcy liangów srebrem.

Na twarzy kelnerki odbiła się rozpacz, kobieta przygryzła wargi z taką siłą, że na jej ustach pojawiła się krew.

– Jest pan pewien?

Rudnicki ponuro skinął głową.

Tymczasem koczownik uchylił się przed ciosem żelaznego drąga i chlasnął przeciwnika ostrzem przez pierś. Siwowłosy odbił jeszcze słabnącą ręką dwa kolejne ciosy, po czym upadł na ziemię. Dergun zamierzył się, żeby dobić pokonanego, ale powstrzymał go złowrogi szczęk napinanych kusz.

– Walki toczą się do pierwszej krwi – oznajmił stanowczo oficer.

– Niech tak będzie – wzruszył ramionami koczownik. – Zabierzcie stąd tego słabeusza! Kto następny?

Kilku mężczyzn wyniosło ранnego, po czym na środek wystąpił kolejny wojownik. Ten walczył halabardą, ale już po wymianie kilku technik można było zauważyć, że nie sięga chudzielcowi do pięt. Padł po niecałej minucie. Kolejnych dwóch nie wytrzymało dużo więcej.

Rudnicki syknął z bólu: to kelnerka ścisnęła boleśnie nadgarstek alchemika.

– Przepraszam – powiedziała, cofając dłoń. – Ten pierwszy pokonany to mój mąż. Nie wiem, czy przeżyje.

– Dlaczego nie poszła pani z...

– Bo zaraz będzie walczył mój syn! – krzyknęła dziko. – Moje jedyne dziecko! Niech was piekło pochłonie razem z waszym honorem!

Rudnicki zerknął na oczekującego swojej kolei młodzieńca: ten pochylił się do przodu, jakby chciał jak najszybciej wybiec na arenę. Przed nim stało już tylko trzech mężczyzn.

– Nie można go jakoś przekonać?

– Teraz? Kiedy jego ojciec zginął albo umiera? Hong zrobi wszystko, żeby go pomścić! I zginie...

– Postaram się...

Kolejny przeciwnik Derguna upadł cięty w udo, kilku obecnych rzuciło się, aby zatamować krew z rozciętej tętnicy.

– Następny!

Tym razem koczownik zaatakował pierwszy, potężny oburęczny cios z wysokości przeciął włócznię i rozrąbał bark jej właściciela.

– Następny!

Nieoczekiwanie stojący przed synem kelnerki mężczyzna okręcił się na pięcie i uciekł.

– Nie! Hong!

Młodzieniec wyciągnął zza pasa bliźniacze szable i w mgnieniu oka związał je z klingą przeciwnika. Widać było, że dużo ćwiczył i ma talent, jednak stało się oczywiste, że nie ma szans na pokonanie wroga.

– Pieprzyć honor – wycedził po polsku Rudnicki.

Kiedy Dergun zasłonił się przed kontrą chłopaka, alchemik wyszeptał: DASZ' DANTHAR!

Przez ciało koczownika przeszedł dreszcz, jakby poraziło go wyładowanie elektryczne, zamarł na moment, w tej samej chwili młodzieniec przebił go podwójnym pchnięciem.

– Nie... Ja nie... – wymamrotał Dergun. – Niemożli...

Hong uwolnił broń, po czym zamierzył się, żeby ściąć przeciwnika, jednak oficer złapał go za rękę.

– Do pierwszej krwi – powiedział groźnie. – Nie jesteśmy dzikusami! A ten tu i tak umrze – dodał łagodniej. – Nikt jeszcze nie przeżył z takimi ranami, a na wojnie widziałem niejedno.

Oszołomiony chłopak opuścił broń, chwilę później znalazł się w ramionach matki. Rudnicki odetchnął z ulgą i pomaszerował do swojego pokoju.

Może zdążę przyrządzić lekarstwo, zanim ktoś umrze, pomyślał. W końcu materia prima mi nie brakuje.

# III

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Samarin wysiadł z powozu i rozejrzał się z zaciekawionym: po raz pierwszy otrzymał zaproszenie do pałacyku Woroncowa. Radca niemal obsesyjnie chronił swoją prywatność i wszyscy wiedzieli, że rzadko zaprasza gości, szczęśliwców można było policzyć na palcach jednej ręki.

Spory budynek, utrzymany w stylu baroku piotrowskiego, z dachem zwieńczonym sterczynami w kształcie carskiej korony i pilastrami rozdzielającymi okna, sprawiał imponujące wrażenie. Prowadząca do pałacu ścieżka wiodła przez zadbane ogród, po obu stronach flankowały ją fontanny ozdobione posągami aniołów.

Widząc gościa, radca Woroncowa wyszedł na spotkanie i powitał Samarina serdecznym uściskiem dłoni.

– Dzień dobry, już myślałem, że pan nie przyjedzie, hrabio.

W bogato urządzonej salonie podano lekki posiłek, ale ledwo generał usiadł za stołem, Woroncowa niecierpliwym gestem pozbył się służby.

– Proszę się częstować – zaprosił. – Pewnie przeze mnie nie zjadł pan obiadu.

– Dziękuję, może za chwilę, nie jestem głodny. Wspomniał pan, że sprawa jest pilna.

– Niestety.

– Co się stało?

– Święta Drużyna powraca, ot co!

– Ci konserwatyści? – Samarin zmarszczył brwi.

– Konserwatyści? Wolne żarty! Ja jestem konserwatystą, tamci to fanatycy. Wie pan, że oni wydawali i wykonywali wyroki śmierci na przeciwnikach politycznych?

Oficer skinął głową. Swego czasu sporo szumu narobiła sprawa anarchisty Kropotkina: kiedy drużynnicy wydali na niego wyrok śmierci, ten opublikował we francuskiej prasie artykuł uprzedzający o zamachu i zagroził, że jeśli zginie, nazwiska jego morderców zostaną podane do publicznej wiadomości, co zmusiło spiskowców do odwołania akcji.

– Sądzi pan, że szykują kolejne zabójstwo? Myślałem, że stracili wpływy i zaprzestali działalności.

– Przestali mordować – przytaknął radca. – Niestety, Niko nadal z nimi sympatyzuje, a niedawno w jego otoczeniu pojawiło się kilku młodszych członków grupy, niezamieszanych w żadne skandale.

– I co z tego? Boi się pan utraty wpływów? – spytał wprost Samarin.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że jakiś czas temu Woroncow został odsunięty od władzy przez mentora Aleksandra III, Konstantina Pobiedonoscewa, związanego ze Świętą Drużyną.

– Jakie, do licha, wpływy?! Gdyby nie przyjaźń z Niko, dawno usunąłbym się w domowe zacisze. Nie wierzy pan? No dobrze, kogoś panu przedstawię.

Woroncow nadusił wmontowany w stół przycisk elektryczny i po chwili do komnaty weszła kobieta. Miała około trzydziestki; kształtna figura, subtelne rysy twarzy i pełne gracji ruchy czyniły ją więcej niż piękną.

Samarin odruchowo wstał i zgiął się w ukłonie, porażony emanującą z przybyłej aurą niewinnej zmysłowości, połączonej z czymś, co słowniki nazywały „grandezzą”.

– To Katia – przedstawił ją Woroncow. – Jej rodzice byli pańszczyźnianymi chłopami. Gdyby nie Niko, dawno poprosiłbym ją o rękę. I niech mi pan wierzy, że to nie żądza władzy powstrzymuje mnie przed oświadczeniami.

– Wierzę panu – odparł ochrypłym głosem Samarin. – Teraz już wierzę.

– Moja droga, przedstawiam ci hrabiego Samarina. To człowiek honoru, ktoś, komu można zaufać w każdych okolicznościach. Gdyby kiedyś mnie zabrakło...

Kobieta szybkim gestem zasłoniła mu usta.

– Nawet tak nie myśl! – powiedziała ostro. – Miło mi pana poznać – zwróciła się do oficera. – Wiele o panu słyszałam. Wiele dobrego – dodała z psotnym uśmiechem.

Samarin westchnął: głos Katii był równie atrakcyjny jak wygląd. Dziwne, że Woroncow dawno nie rzucił w diabły dworskich obowiązków, pomyślał. Z taką kobietą u boku żał każdej zmarnowanej minuty.

– Każ podać kawy – poprosił kochankę Woroncow. – Obawiam się, że nasza rozmowa może się przeciągnąć.

– Oczywiście.

– Więc w czym problem? – kontynuował oficer, kiedy za Katią zamknęły się drzwi.

– W propagandzie, rzecz jasna. W propagandzie, na którą my, Rosjanie, jesteśmy bardzo podatni, bo ona istnieje w naszym kraju od czasów średniowiecza. Jesteśmy w niej tak zanurzeni, że niemal jej nie dostrzegamy.

– To przecież nie bolszewicy – zmarszczył brwi Samarin.

– Bolszewizm mimo całej swojej szkodliwości nie jest aż takim zagrożeniem, bo zwolennicy Lenina to po prostu kolejna banda polityków, która chce się dorwać do władzy,

tyle że po trupach. Prędzej czy później doprowadziliby do załamania gospodarki i wyniszczenia elit, co z kolei skutkowałoby krachem ich rządów. Prawda, że nie od razu i kto wie ile krwi by się polało, zanim odeszliby w polityczny niebyt. Święta Drużyna to inna jakość. Oni nie chcą rewolucji, nie walczą z religią, nie mają zamiaru popierać żadnej konkretnej grupy społecznej, za to powoli, niepostrzeżenie prowadzą nas na manowce.

– Nas?

– Nas, Rosjan. Naród. Co pan sądzi o wierze prawosławnej?

– Nie jestem teologiem, to wiara jak każda inna.

– Doprawdy?

– Co pan ma na myśli?

– Nie uważa pan, że jest lepsza od innych?

– Wychowałem się w niej – powiedział obronnym tonem oficer. – To chyba naturalne, że tak uważam.

– Prawosławie czy może moskiewskie prawosławie?

– Czyżby chodziło panu o...

– O tak! Dokładnie o to! O wpajane nam od setek lat przekonanie, że jesteśmy lepsi, że Moskwa jest „trzecim Rzymem” i „jedyna we wszechświecie jaśniej od słońca świeci”. Że mamy prawo podbijać inne narody, aby doprowadzić je do zbawienia, niechby i siłą. Że wszędzie, gdzie spocznie oko cara, istnieje *ruszkij mir*. Że inni są głupszy, słabszy i głoszą herezję, w czym celują „brudni Żydzi”, „wilczy Lachowie” i „pogańscy Litwini”. O to mi chodzi! Pojmuje pan, że prędzej czy później skończy się to wojną z sąsiadami, a może i całym światem? I przekreśli wszystkie nasze dotychczasowe dokonania?

– Chyba pan przesadza – odparł niepewnie generał. – Prawda, że czasem można usłyszeć takie głosy, ale Cerkiew

to nie Święta Drużyna. Znam wielu świątłych duchownych. Ja... – Samarin umilkł, ponieważ służący podali kawę.

– Zna pan świątłych duchownych? – podjął po chwili Woroncow. – Ja także. Tylko na jakich stanowiskach? Pobiedonoscew nie od parady był przez wiele lat oberprokuratorem Świętobliwego Synodu Rządzącego, czyli w praktyce głową Cerkwi prawosławnej. Już on się zatroszczył, żeby ci „światli” nie dotarli na szczyty władzy. Niech pan mi wierzy, że jeszcze kilkanaście, może kilkadziesiąt lat takiej propagandy i większość Rosjan da się przekonać, że jesteśmy narodem wybranym i mamy prawo rządzić światem.

– Co pan proponuje? Myśli pan, że rozmowa z Jego Wysokością...

– Rozmowa z Jego Wysokością niczego nie da – wszedł mu w słowo radca. – Niko ma chwiejny charakter, ostatnio zmienił się na plus, jednak nie do tego stopnia, żeby odważył się przeciwstawić ideologii, w której chowano go od maleńkości i w którą głęboko wierzy. Obawiam się, że to nasze zadanie.

– W jakim sensie nasze?

– Czyż to nie oczywiste? To my musimy się rozprawić z tymi fanatykami, i to raczej metodami niekonwencjonalnymi, bo oni zmądrzeli i nie będą już mordować ani nawoływać do mordów.

– Oszalał pan!

– Być może – przyznał Woroncow. – Bardzo chciałbym się mylić, niestety, obawiam się, że to nie ten przypadek. Wyszliśmy obronną ręką z wojny światowej, bolszewicy i anarchiści stracili wpływy, Przekłenci siedzą w enklawach, ale pojawiło się kolejne zagrożenie.

– Święta Drużyna?



– Święta Drużyna – przytaknął Woroncow. – Jesteśmy na rozdrożu: albo pójdziemy w kierunku europeizacji i staniemy się światowym liderem, wykorzystując surowce naturalne, rolnictwo i potencjał ludnościowy, albo stoczymy się w otchłań iście średniowiecznego fanatyzmu i ruszymy na podbój świata. A wtedy Wielka Wojna wyda się nam niewiele znaczącą potyczką. Bo nasi sąsiedzi będą walczyć: Polacy, Bałtowie, Finowie, Szwedzi... Walczyć nie tylko zbrojnie, ale i magią, a pan lepiej ode mnie wie, jak to wygląda.

– Widzę, że jest pan pewien swojej analizy.

– Rozumiem, że pan przeciwnie. – Woroncow uśmiechnął się krzywo. – To może sam pan sprawdzi, czy nie mam racji?

– A to w jaki sposób?

– Podam panu kilka kontaktów, a jeśli będzie trzeba, zapoznam z którymś z drużynników, a pan go wysonduje, to wszystko.

– Oni nie uważają pana za wroga?

– Już nie. Mam dość konserwatywne poglądy, więc sądzą, że Pobiedonoscew popełnił błąd, odsuwając mnie od władzy, zamiast skaptować, i teraz próbują to naprawić.

– Będę musiał...

– Owszem! Będzie pan musiał udawać, że pociągają pana ich idee. Myślę, że uwierzą panu bez trudu, w końcu walczył pan z Polakami i obronił carską rodzinę przed *theokatáratos*. Oni uważają Przeklętych za demony z piekła rodem.

Samarin skrzywił się bezwiednie, ale nie zaprotestował. Jeśli Woroncow miał rację, zagrożenie było zbyt duże, żeby je bagatelizować czy też unosić się honorem. Cóż, przyjdzie mi zostać szpiegiem, pomyślał.

– No dobrze – westchnął generał. – Na kogo mam zwrócić uwagę?

– Na Vittoria Draghiego, syna księcia Draghiego i baronowej Chowańskiej.

– Gdzie mogę go spotkać?

– W Klubie Angielskim, rzecz jasna.

– A jak się tam dostanę? Z tego, co wiem, niektórzy czekają kilka lat na przyjęcie, a inni zapisują tam dzieci zaraz po urodzeniu. Chyba że mnie pan zarekomenduje?

Klub Angielski w Petersburgu był najbardziej prestiżowym miejscem spotkań dżentelmenów, założono go jeszcze w osiemnastym wieku i bardzo szybko stał się organizacją elitarną. Ze względu na ogromną liczbę chętnych listę członków ograniczono do trzystu osób i przyjmowano jedynie szlachtę należącą minimum do piątej klasy w tabeli rang. Każdy kandydat do Klubu Angielskiego musiał też uzyskać rekomendację - przynajmniej dwóch członków z dziesięcioletnim stażem.

– Nie – pokręcił głową Woroncow. – Jestem w zarządzie klubu i poprę pańską kandydaturę, ale lepiej, żeby wprowadził pana ktoś inny.

– Ciekawe kto? Nie mam znajomości w tych sferach.

– Jak to nie? Nowikow, Szuwałow, Uspienski, Achmatow, Golicyn, połowa pańskich przyjaciół należy do Klubu Angielskiego.

– Naprawdę? – zdziwił się Samarin. – Nie miałem pojęcia.

– A jakże! W końcu najbardziej elitarną organizacją w Petersburgu wcale nie jest Klub Angielski, tylko wasza konfraternia. Tyle że Dziupla to organizacja zamknięta, bo pańska niania miała tylko kilkudziesięciu podopiecznych. I tak, znam nieoficjalną nazwę waszego stowarzyszenia. Wszyscy ją znają. Wie pan, że obwołali was olimpijską trzydziestką?

- Nie słyszałem o tym...
- Zapewne nie ma pan czasu łowić ploteczek, ja co innego
- odparł radca z wesołym błyskiem w oku.  
Cóż, trzeba będzie odwiedzić Dziupłę, doszedł do wniosku Samarin. I pogadać o rekomendacji do Klubu Angielskiego.



Samarin oddał lokajowi kapelusz i laskę, po czym przeszedł do sali obrad. Pokażne pomieszczenie pełniło na co dzień funkcję kasyna i jadalni; przy pokrytych zielonym suknem stołach grywano w karty i ruletkę, choć nigdy na pieniądze: niania Samarina, Agafia Frołowa, popierała rozrywkę, ale nie hazard.

Sufit komnaty ozdobiony był portretami członków klubu. Oficer przewrócił oczyma, widząc swoją podobiznę. Tym razem sala była niemal pełna, co sugerowało, że przegapił – po raz kolejny! – informację o zebraniu.

– O, Saszka! – zawołał przyjaźnie, choć z wyraźnie wyczuwalną ironią admirał Nowikow. – Jesteśmy niemal w komplecie.

Samarin odpowiedział uśmiechem i zajął miejsce za stołem. Tymczasem przewodniczący klubu Stiepan Szuwałow zastukał drewnianym młotkiem, otwierając zebranie.

– W takim razie zaczynamy! – oświadczył gromko. – Dziś rozpatrujemy podania o przyjęcie do Dziupli. Zgłoszono dwie kandydatury: Andrzeja Krajewskiego i Benedykta von Tollego.

– Kolejni chętni do poprawienia pozycji socjalnej przez wejście do klubu? – spytał mężczyzna w mundurze generała artylerii.

– Nie, obaj byli wychowankami cioci Agaszy i nie muszą poprawiać swojego statusu, aplikując do Dziupli. Krajewski jest rzeczywistym radcą stanu, a von Tolle pracuje w Ministerstwie Handlu na stanowisku dyrektora departamentu.

– W takim razie nie ma co się zastanawiać – wtrącił Nowikow. – Przegłosujmy to i już.

– Jest tylko jeden niuans – powiedział Szuwałow. – Krajewski to katolik, a von Tolle protestant.

– I co z tego? – wzruszył ramionami admirał. – Skoro ciocia Agasza się nimi opiekowała? Bo obaj mają zdjęcia z nianią, prawda?

– Mają – przyznał Szuwałow. – Sprawdziłem.

Agafia Frołowa opiekowała się dziećmi do momentu rozpoczęcia nauki w szkole i na pożegnanie prowadziła podopiecznego do fotografa, zamawiając zdjęcie z nowo upieczonym uczniem. Fama głosiła, że jedynie raz czy dwa nie dopełniła rytuału, stąd wspólne zdjęcia z nianią traktowane były w klubie jako wyraz akceptacji Agafii Frołowej dla wychowanka.

Tymczasem wokół stołu rozległ się szmer prowadzonych półgłosem rozmów. Samarin ze zdumieniem zauważył, że część zebranych naprawdę ma wątpliwości ze względu na wyznanie dawnych podopiecznych Agafii Frołowej. Najwyraźniej Woroncow nie przesadzał, pomyślał oficer z niepokojem. Jeśli takie kołtuństwo dotarło i do Dziupli...

Oficer podniósł dłoń, prosząc o głos.

– Słuchamy, Saszka! – przyzwolił Szuwałow.

– Od samego początku ideą klubu była wierność zasadom, jakie wpajała nam niania – zaczął niegłośnie Samarin. – Przyjaźń, solidarność, pomaganie słabszym, ale i tolerancja, bo ciocia Agasza nie dzieliła swoich wychowanków na prawosławnych i pogan. Gdyby niania żyła i usłyszała nas

w tej chwili, niejedynemu musiałoby masować sobie ucho albo i tyłek.

– To prawda – przyznał Szuwałow z rumieńcem wstydu. – Niepotrzebnie wspomniałem o ich wyznaniu.

– Dobrze, że wspomniałeś – zaprzeczył Samarin. – Nie ma sensu chować głowy w piasek, takie sprawy lepiej wyjaśnić sobie od razu i do końca. Tym bardziej teraz.

– Co znaczy „teraz”? – zmarszczył brwi szczupły mężczyzna w mundurze prokuratora.

Bobrow, pomyślał Samarin. To Artiom Bobrow.

– Słyszałeś o Świętej Drużynie? – odpowiedział pytaniem generał.

– Coś mi się obilo o uszy, ale to przecież stare dzieje.

– Niestety, nie takie stare. Drużynicy wrócili i znowu kręcą się wokół Jego Wysokości. W zasadzie to przyszedłem w tej sprawie.

– Wiedziałem – mruknął Nowikow. – Jak zwykle nie przeczytał powiadomienia.

– No wybacz – odparł z rozdrażnieniem Samarin. – Wracając do rzeczy...

– Tak?

– Oni namawiają cara, aby wrócił do polityki samodzierżawia. Wątpię, żeby to było dobre dla państwa.

– Ty przecież nigdy nie byłeś radykałem – zdziwił się Szuwałow.

– I nie jestem – zapewnił generał. – Ale od konserwatyzmu do popierania tezy, że jesteśmy narodem wybranym, droga daleka. A tego chcą drużynicy. Zrozumcie: obecnie jedyna rozsądna opcja to unowocześnienie państwa, włączając w to system polityczny. Nie chodzi o rezygnację z monarchii, silnej monarchii, ale nie ma sensu cofać się do średniowiecza.

– Co racja, to racja – niespodziewanie poparł go Bobrow. – Pobiedonoscew swego czasu niemal zniszczył wcześniejszą reformę sądownictwa, a czego nie udało mu się zrobić oficjalnie, załatwiał pokątnie. Liczba represji pozasądowych zmniejszyła się dopiero po jego śmierci.

– Otóż to – westchnął Samarin.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał Nowikow.

– Rekomendacji do Klubu Angielskiego. Chcę przyjrzeć się drużynom z bliska.

– Skąd te informacje na temat powrotu Świętej Drużyny?

– Od Woroncowa. Podobnie jak i ocena sytuacji.

– On też nigdy nie był radykałem ani mitomanem – odezwał się zaniepokojonym tonem Szuwałow.

– No właśnie.

– Z rekomendacją nie będzie problemu, poprę twoją kandydaturę. Kto jeszcze należy do klubu dłużej niż dziesięć lat?

W odpowiedzi podniosło się kilka rąk.

– Znakomicie. Czyli jedną sprawę mamy z głowy. Pozostaje przegłosować wnioski o przyznanie członkostwa Krajewskiemu i panu von Tollemu, no i ustalić, co zrobimy z drużynami?

– Nie chcę was w to wciągać – zastrzegł się Samarin.

– Jeśli ci fanatycy rzeczywiście stanowią zagrożenie dla państwa, już jesteśmy w to wciągnięci – odparł szorstko Bobrow. – Jak to sobie wyobrażasz? Wrócimy do domu i zapomnimy o całej sprawie, zostawiając cię z tym całym bajzłem?

– No nie, ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwał mu Szuwałow. – Wszyscy jesteśmy poddanymi Jego Wysokości i naszym obowiązkiem jest działać dla dobra kraju.

– Proponuję nie spieszyć się z wywodami, niech najpierw Saszka przyjrzy się tej sprawie – powiedział Nowikow.

– Nie zawadzi, jeśli i my zwrócimy uwagę na drużynników – odparł Szuwałow. – Ktoś jest przeciw? Nie widzę, czyli przyjmujemy wniosek przez akłamację. Teraz co do członkostwa Krajewskiego i von Tollego, kto jest za przyjęciem ich do Dziupli? Znakomicie, znaczy jesteśmy jednomyślni. W najbliższym czasie trzeba będzie poprosić mistrza Benellego o domalowanie dwóch portretów. Chyba że chcecie wynająć kogo innego? Bo kiedyś Saszka marudził, że Benelli mu się nie podoba.

– Żadnych zmian! – powiedział stanowczo Samarin. – Marudziłem przed namalowaniem portretów, nie po.

– A co to za różnica? – spytał ze zdziwieniem Nowikow.

– Taka, że skoro w interpretacji maestra Benellego wyglądamy jak banda kieszonkowców, niech von Tolle i Krajewski nie odstają od reszty.

Admirał spojrział w sufit, marszcząc brwi.

– Rzeczywiście – mruknął. – Mam jakiś taki chytry wyraz twarzy.

– No właśnie. A popatrzcie na Paszkę Kislicyna, nie dość, że wygląda, jakby miał zezę, to jeszcze prawe oko podpuchnięte.

– Nie mogłeś powiedzieć wcześniej? – odezwał się z pretensją w głosie Bobrow. – Przyjrzyjcie się moim uszom!

– Spuchnięte jak u boksera, a lewe większe niż prawe – stwierdził po namyśle Szuwałow. – To może jednak zmienimy malarza?

– W żadnym wypadku! – zaprotestował Samarin. – W klubie wszyscy są równi, niech i nowi członkowie cieszą się mistrzostwem pana Benellego – dodał mściwie.

Nowikow wybuchnął śmiechem, w chwilę później zawtórowali mu inni.

– A zatem postanowione! – zdecydował Szuwałow, uderzając młotkiem w stół.



Samarin uchylił kapelusza – przechodząca mimo dama skinęła mu głową z zadziwiająco figlarnym uśmiechem – po czym spojrzał na żonę. Anna z wystudiowaną obojętnością obserwowała parkowe klomby. Prawda, że było co podziwiać, Ogród Letni uznawano od dawna za jedną z największych atrakcji Petersburga, jednak zachowanie małżonki wydało mu się nieco podejrzanе. Podobnie dziwiły nienaganne dziś maniery córek Olafa, nawet Łucja była niezwykle grzeczna.

– Co się stało? – spytał, zwracając się do Anny.

– Nie rozumiem?

– Świetnie wszystko rozumiesz! Co kogo spotkamy, to albo się uśmiecha, albo kłania w pas, jakbym był nowo mianowanym ministrem rządu Jego Wysokości, a Wiktor Nowikow bił mi brawo! No dalej, gadaj, co się stało! – powtórzył niecierpliwie.

– Cóż, wczoraj miał miejsce pewien drobny incydent. Rzecz w sumie bez znaczenia, jednak sam wiesz, jak to jest z plotkami.

– Dziewczynki coś zbroiły?

– Ależ skąd! – zaprotestowała z oburzeniem Łucja. – Byłyśmy uprze... no, jak to się mówi? – Szturchnęła siostrę.

– Uprzedzająco grzeczne – pomogła jej Hania.

– No!

– Anna?

– Ja też byłam upprzedzająco grzeczna!

– Zaraz przełożę cię przez kolano i...



– Ciekawa propozycja, ale może nie przy dzieciach? – odparła Anna z uśmiechem. – No i naprawdę jestem niewinna.

General westchnął, kłaniając się siwowłosemu, nobliwie wyglądającemu mężczyźnie. Ten pozdrowił go pierwszy przyjaznym skinieniem.

– Przecież to księżę Chreptowicz-Taurydzki! Snob nad snoby, który do tej pory w ogóle mnie nie zauważał! Dowiem się wreszcie, co się stało? Anna?

– Cóż, wczoraj zorganizowałam małą zabawę na cele dobroczynne, kiedy ty byłeś w klubie.

– Pamiętam. I co z tego?

– Przyszedł baron Korszunowicz...

– Ten pieczeniarsz i kleptomani? Ten kurdupel?

– We własnej osobie.

– Znowu coś ukradł?

– Nie do końca...

– A konkretnie?

– Spodobała mu się nefrytowa figurka przedstawiająca smoka, wiesz, ta, która stoi w bibliotece, i dwie inne, z miśnieńskiej porcelany.

– Te pastereczki?

– Owszem.

– A to gni... – Samarin urwał, przypomniał sobie o dzieciach. – Czyli jesteśmy ubożsi o kilka bibelotów? To przecież nic nowego, on wszędzie kradnie, a ludzie i tak go przyjmują ze względu na teścia, księcia Rostopczyna. Tylko skąd ta atencja pod moim adresem?

– Cóż, sęk w tym, że to nie ja zauważyłam kradzież, tylko Okoniowa...

– On żyje, prawda? – rzucił zaniepokojonym tonem Samarin. – Powiedz, że nic mu się nie stało!

– Żyje.

– Dzięki Bogu!

– Niemniej jest nieco...

– Wstrząśnięty – dokończyła ze złośliwym uśmieszkiem Łucja. – Okoniowa złapała go za spodnie, zanosła do wyjścia i wyrzuciła przez drzwi. Miotnęła nim na jakieś pięć, może sześć metrów. Nie wiesz czasem, wujku, jaki jest rekord w rzucie karłem? – spytała. – Bo jestem pewna, że Okoniowa albo go pobiła, albo była bardzo blisko.

– To dlatego tak nam się kłaniają – potwierdziła Anna. – Korszunowicz był bezkarny przez prawie dwadzieścia lat, a ze względu na marną reputację nie wypadało go nawet wyzwać na pojedynek, więc wszyscy cierpieli w milczeniu. Okoniowa pomściła petersburską socjetę.

– To jeszcze nie wszystko – odezwała się Hania z wyrazem zakłopotania na buzi. – Kiedy się pozbierał, próbował strofować Okoniową, a ona wtedy mu odpowiedziała... To najbardziej wszystkich rozbawiło.

– Dobrze, że nie poprawiła pięścią, bo tego pewnie by nie przeżył. I co takiego mu powiedziała?

– *Idi na chuj!* – poinformowała Łucja z niewinną minką. – Ja tylko, nooo... cytuję – zastrzegła się zaraz.

– Cóż, Okoniowa raczej nie uczyła się rosyjskiego na uniwersytetach – powiedziała uspokajająco Anna. – Nikt nie ma nam tego za złe – zapewniła. – Gdyby ktoś z towarzystwa tak się odezwał, wybuchłby skandal, co innego służąca. O ile wiem, od wczoraj Okoniowa dostała już kilka propozycji pracy w domach arystokracji szczególnie poszkodowanej przez Korszunowicza. Można powiedzieć, że stała się sensacją Petersburga, a my razem z nią.

– Zostawić was na chwilę...

– Byłyśmy grzeczne! – zaprotestowała Łucja. – I ciocia też! Pomyśl lepiej, co zrobiliby z karłem dziadek Józef, gdyby to

on przyłapał go na kradzieży. Pamiętasz, że dał ci tego smoka, kiedy miałeś sześć lat i płakałeś po stracie rodziców? Nie darowałyby kradzieży karłowi i raczej nie przejąłby się teściem Korszunowicza.

Samarin karcącym gestem pociągnął dziewczynkę za warkoczyk, ale w duchu przyznał jej rację. Józef Andriejewicz nie znał się na żartach, jeśli chodziło o rodzinę, i nigdy nie przejmował się pozycją socjalną wrogów. Ot, stary buntownik, pomyślał z mieszaniną czułości i rozbawienia generała.

– Więc myślisz, że dobrze się stało?

– Okoniowa uratowała karzełkowi życie – zapewniła poważnie Łucja. – Kiedy wyjaśniło się, o co chodzi, dziadek już chwycił za laskę, a sam wiesz, co w niej ukrywa – zaznaczyła z ironią. – Ale kiedy zobaczył, jak Korszunowicz leci w powietrzu, przebierając w panice nóżkami, śmiał się tak, że musiał usiąść.

Samarin odchrząknął niepewnie: Łucja przeważnie zachowywała się jak mała dziewczynka i łatwo było zapomnieć, że nie do końca jest człowiekiem.

– To już wszystko? – spytał surowym tonem. – Nie czeka mnie żadna dodatkowa niespodzianka?

– Absolutnie! – powiedziała Anna, wznosząc dłoń jak do przysięgi.

– Absolutnie! – powtórzyła Łucja.

– Hania? Bo nie wiem, czy można wierzyć tym dwóm łobuzicom?

– Można. Przynajmniej tym razem – dodała ciszej.

Łucja pisnęła ze złości i uszczypnęła siostrę, a ta w odwecie pokazała jej język.

– Spokojnie, moje panie! – interweniował generał. – Właśnie chciałem was zaprosić na lody, ale dotyczy to tylko grzecznych dziewczynek.

Łucja w mgnieniu oka założyła ręce za plecy.

– Już jestem grzeczna! – zawołała.

– Idziemy do Massiniego czy Szulca? – spytała Anna.

– A gdzie chcecie?

– Do Massiniego – zdecydowała Anna. – Tam mają lody pistacjowe.

– No to chodźmy.

Do głowy by mi nie przyszło, że księżę Chreptowicz-Taurydzki zauważy mnie dzięki Okoniowej, pomyślał generał. Tak czy owak, trzeba podnieść jej pensję, lepiej, żeby ktoś taki został u nas w domu, nikt nie zwróci uwagi na zwykłą służącą, a Okoniowa warta jest kilku ochroniarzy. Nie chciałbym być tym złodziejem czy bandytą, który wdałby się z nią w walkę wręcz...



Wystrój Klubu Angielskiego był dużo bardziej wystawny niż Dziupli, a zdobiące sufit plafony wyszły spod ręki prawdziwego mistrza. Trzeba będzie spytać ich o malarza, doszedł do wniosku Samarin.

Generał skierował się do czytelnii i wybrał niewielki stolik w rogu sali. Zanim usadowił się w wygodnym fotelu, służący przyniósł świeże gazety, po czym stanął na baczność w oczekiwaniu na polecenia. Samarin poprosił o kawę i zagłębił się w lekturze. Rozpoczął od „Petersburskich Wiadomości” i zaklął pod nosem, ujrzawszy barwny opis zdarzenia z udziałem Korszunowicza.

Podniósł głowę, usłyszawszy dyskretne chrząknięcie, po czym zerwał się na równe nogi na widok księcia Chreptowicza.

– Można się przysiąc? – spytał arystokrata.

– Oczywiście.

– Proszę wybaczyć mi obcesowość, ale od dawna interesuję się Towarzystwem Południowo-Zachodnich Dróg Żelaznych, a pan jest w zarządzie.

– Istotnie. I proszę się nie krępować, z przyjemnością udzielię panu wszelkich informacji.

– Dziękuję. Niczego innego się po panu nie spodziewałem. Samarin musiał mieć zdumioną minę, bo księżę wybuchnął śmiechem.

– Niech pan nie wierzy mojej reputacji, to tylko samoobrona – powiedział.

– Samoobrona?

– Owszem. Kiedy dziewięć lat temu umarła moja żona, panie z towarzystwa ogłosiły otwarcie sezonu polowań. Nie mogłem odezwać się do nikogo, bo zaraz przedstawiał mi swoją córkę, siostrę czy bratanicę, a kiedy jakimś cudem choć na moment zostawałem sam, zaraz w okolicy pojawiała się omdlewająca i przeważnie mocno zdesperowana dama. Kilka razy tylko o włos uniknąłem kompromitacji. Ale chyba sam pan wie, jak to jest, bo swego czasu był pan łakomym kąskiem na małżeńskim rynku.



– Rozumiem pana znakomicie – potwierdził Samarin.  
– W desperacji uraziłem kilka szacownych matron, nie wylęczając pańskiej babki, odbyłem kilka pojedynków i wreszcie pozostawiono mnie w spokoju, przylepiwszy

wcześniej łątkę snoba i mizantropa. Wracając do tematu kolei...

– Tak?

– Myślał pan o unowocześnieniu taboru? Szybszych, silniejszych lokomotywach?

– Szczerze mówiąc, do tej pory koncentrowaliśmy się na rozbudowie linii kolejowej. A dlaczego pan pyta?

– Jestem gotów sfinansować taki eksperyment na odcinku kilkuset wiorst, a jeśli wypali, dołożyć się do modernizacji całej linii.

– Ale skąd plany takich lokomotyw? Słyszałem, że na Zachodzie powstało kilka takich projektów, było i u nas coś podobnego, ale lokomotywa nie nadawała się do masowej produkcji ze względu na koszty.

– Jestem inżynierem i od lat pracuję nad tą kwestią. We Francji jeździ kilka pojazdów mojego autorstwa, a niedawno skończyłem projekt lokomotywy spalinowej dużo silniejszej od obecnie używanych, osiągającej prędkość stu dwudziestu wiorst na godzinę i względnie taniej w eksploatacji.

– Więc proponuje pan...

– Wyprodukowanie kilku takich lokomotyw i przetestowanie ich na wybranym odcinku. Jeśli się sprawdzą, zaopatrzenie w nie całej linii.

– To bardzo ciekawy pomysł – przyznał Samarin. – Jednak musiałbym skonsultować go z zarządem, a przede wszystkim z dyrektorem generalnym, Józefem Czerskim. Rozumiem, że nie miałby pan nic przeciwko, aby te lokomotywy kursowały także na trasach poza Rosją?

– Skądże! Wiem, że w zarządzie są Polacy i Niemcy.

– Znakomicie. W takim razie proponowałbym spotkać się najpierw nieoficjalnie: pan, ja i Józef Czerski.

– Gdzie?

– U mnie. Pod nieobecność mojej babki – dodał pospiesznie Samarin.

– Chętnie. W takim razie kiedy?

– Może jutro?

– Znakomicie.

– Proszę wziąć ze sobą plany lokomotywy, ja się na tym nie znam, ale Józef Andriejewicz także jest inżynierem.

– Oczywiście, chętnie porozmawiam z kolegą po fachu. Proszę jeszcze raz wybaczyć, że przeszkodziłem panu w lekturze, nie będę więcej...

– Nie przeszkodził pan – westchnął Samarin. – Po prostu szukałem potwierdzenia swoich podejrzeń. – Wskazał ruchem głowy gazetę. – Miałem nadzieję, że całe zajście nie wywołało aż takiego rezonansu.

Chreptowicz-Taurydzki ostrzegawczym gestem uniósł dłoń.

– Niech pan nie lekceważy Korszunowicza – powiedział poważnie. – To straszna gnida i na pewno będzie się mścił. Nieoficjalnie – dodał po chwili.

– Nie rozumiem?

– Nie zainicjuje żadnego sporu, bo wie świetnie, że to jedynie rozbawiłoby miejscową socjetę i wszyscy stanęliby po pańskiej stronie, nie ma też mowy o pojedynku, bo to patentowany tchórz. Bardziej obawiałbym się ataku „nieznanych sprawców”. Naprawdę proszę uważać.

– Żartuje pan? Toż mamy dwudziesty wiek! Myślałem, że takie metody dawno wyszły z użycia. To przecież arystokrata! Gdyby rzecz się wydała, nie pomógłby mu nawet teść.

– Niech mi pan wierzy, jest dokładnie tak, jak mówię, miałem kiedyś nieprzyjemność doświadczyć na własnej skórze zemsty tej kreatury.



Generał spojrział z niedowierzaniem na swojego rozmówcę: księżę słynął z nieustępliwości i nigdy nie uchylał się przed pojedynkami, a jego pozycja społeczna sprawiała, że mało kto odważyłby się wejść mu w drogę.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego Korszunowicz jeszcze żyje – powiedział wprost. – Przecież mógłby go pan zmiażdżyć jak pluskwę, w każdym znaczeniu tego słowa.

Przez twarz arystokraty przebiegł nerwowy grymas, księżę wezwał gestem kelnera i zamówił koniak.

– To moja żona – powiedział, z trudem artykułując słowa. – Moje sumienie... Poprosiła mnie, żebym go oszczędził, a ja dałem jej słowo.

– Rozumiem. I dziękuję za ostrzeżenie. Będę miał się na baczności.

Nawet nie ujrzałem signora Draghiego. Najwyraźniej kwestie związane ze Świętą Drużyną trzeba będzie odłożyć na później, za to poznałem księcia snobów, pomyślał Samarin. Nader przyjaźnie nastawionego księcia snobów. Nawet ciotka będzie pod wrażeniem. Ciekawe, czy ta lokomotywa nowego typu to realny projekt, czy też jedynie fantasmagorie znudzonego arystokraty? Cóż, zobaczymy jutro.



Józef Andriejewicz cierpliwie studiował skomplikowane diagramy i rysunki techniczne, czas dłużył się Samarinowi niemiłosiernie, ale wyglądało na to, że tylko jemu: Chreptowicz-Taurydzki obserwował Polaka z życzliwym zainteresowaniem.

– Ta turbina... – wymruczał Czerski.

– No właśnie, to sedno mojego projektu – przytaknął księżę.

– Gdyby jeszcze przesunąć ten układ. – Józef Andriejewicz dźgnął palcem upstrzony odręcznymi adnotacjami rysunek.

– Myślałem o tym, jednak zwiększyłyby to koszty produkcji.

– Za to lokomotywa byłaby tańsza w eksploatacji.

– Możliwe – przyznał Chreptowicz.

– A co nas ogranicza? Parę tysięcy rubli w tę czy we w tę? Można w końcu wykonać kilka różnych modeli.

– Myśli pan? A co na to zarząd?

– A kogo to obchodzi? Nikt z nich nie zna się na kolejnictwie, to tylko biznesmeni albo totalni amatorzy, jak Saszka.

– Dziękuję bardzo!

– Przyniósłbyś kawę, zamiast marudzić – poprosił Polak.

Generał przewrócił oczyma, ale wstał posłusznie.

– Co dla pana? – spytał, zwracając się do księcia.

– Też kawę, bez cukru – odparł z uśmiechem arystokrata.

– Ale może pozwolimy Józefowi Andriejewiczowi pracować w spokoju? Bo analiza technikaliów zajmie co najmniej godzinę.

– Oczywiście, w takim razie zapraszam na taras.

– Idźcie – przyzwolił Czerski. – Sam wydam polecenia służbie.

Samarin otworzył drzwi przed gościem, po czym wyszedł na korytarz.

– To dawna rezydencja radcy Barguszewa? – zapytał książę.

– Tak. Potrzebowałem czegoś większego dla rodziny.

– Te dziewczynki, które tak grzecznie się ze mną przywitały...

– To córki mojego kuzyna Olafa Rudnickiego – poinformował Samarin.

– Tego Olafa Rudnickiego? Alchemika, który opracował nową technologię uzyskiwania *materia prima*?

– Tak. A oto i owe grzeczne dziewczynki – skomentował z przekąsem generał, wskazując plac treningowy.

Chreptowicz uniósł brwi ze zdumienia, widząc, jak Anna uczy dziewczęta posługiwać się nożem.

– Przepraszam za to widowisko, ale dzieciaki straciły matkę podczas ataku *theokatáratos* i koniecznie chcą nauczyć się walczyć. Mam nadzieję, że te umiejętności nigdy się im nie przydadzą, ale moja żona uważa, że takie ćwiczenia pomogą im pokonać traumę po śmierci matki. Anna kiedyś była nauczycielką – dodał wyjaśniająco generał.

– Rozumiem. A skąd u pańskiej żony takie... umiejętności? Kto ją tego nauczył, bo chyba nie pan? Nóż nie jest raczej najpopularniejszą bronią w armii.

– Nasz znakomity inżynier Józef Andriejewicz uznał to za świetną zabawę i w wolnym czasie zajął się niekonwencjonalną edukacją hrabiny Samarin – wyjaśnił oficer.

Tymczasem na taras weszła służąca i podała kawę, a obaj mężczyźni zajęli miejsca w trzcinowych fotelach.

– Pozwolił pan na to? – kontynuował Chreptowicz.

– A miałem wyjście? Annie się to spodobało, a Józef Andriejewicz i tak robi, co chce. Zaopiekował się mną po śmierci rodziców. – Samarin wzruszył wymownie ramionami. – Zresztą Anna kiedyś uratowała mi życie, więc w zasadzie powinienem podziękować staruszkowi za te lekcje.

Widząc pytający wzrok rozmówcy, generał w skrócie opisał starcie z agentami Przeklętych.

– Gdyby nie Anna, ani ja, ani mój kuzyn nie uszlibyśmy z życiem – zakończył.

Chreptowicz pokiwał głową i sięgnął po papierosy.

– To błogosławieństwo mieć taką żonę – powiedział. – Gdyby moja córka potrafiła się bronić...

Samarin gestem odmówił poczęstunku i podał gościowi ogień. Córka księcia Liza zginęła przed dwudziestu laty w bandyckim napadzie, mimo wysiłków policji sprawców nigdy nie schwytano.

– Tę papierośnicę podarowała mi żona na rocznicę małżeństwa, a Liza zadrapała ją nożyczkami, kiedy miała pięć lat. Przedmioty są trwalsze od ludzi – powiedział z goryczą książę. – Dużo trwalsze...

Samarin przytaknął gestem, ale nie skomentował, wiedząc, że w niektórych sytuacjach słowa są miałkie i niepotrzebne, a jedynym pocieszycielem jest czas.

– Przyjdiesz do nas, wujku? – zawołała Łucja, machając ręką. – Ten drugi pan też może przyjść – dodała po namyśle. – Zaraz będziemy strzelać.

– Przepraszam za tę małą paskudę – powiedział Samarin. – Niestety, ma jeszcze spore braki w wychowaniu.

Chreptowicz zbył wyjaśnienia gospodarza pobłażliwym uśmiechem.

– Za to jest szczerą – odparł. – A ja dawno już nie dostałem tak interesującej propozycji. Jeśli pan pozwoli...

Samarin zamrugnął zaskoczony: znany ze snobizmu i nienaganych manier arystokrata jednym susem przesadził balustradę i wylądował pewnie na ugiętych nogach.

– Strzelaliście kiedyś z pistoletu pojedynkowego? – zapytał.

– Nigdy – odpowiedziała za wszystkich Anna. – Czyżby Wasza Wysokość chciał nam zaproponować lekcje?

– Dlaczego nie? Jeżeli tylko pani małżonek pozwoli. I proszę bez zbędnej tytulatury.

– To jak mam nazywać tego pana? – rzuciła naburmuszona Łucja. – Bo powiem coś nie tak i ciocia mnie skrzyczy.

– Wystarczy „wujku” – zaproponował Chreptowicz. – Albo „Włodzimierzu Pawłowiczu”.

– Naprawdę będzie nas pan uczył? – spytała z niedowierzaniem Hania.

– Jeśli tylko zechcecie – przytaknął książę. – Aleksandrze Borysowiczu?

– Oczywiście – odparł oszołomiony rozwojem wypadków Samarin.

– To co, postrzelamy? – zaproponował arystokrata.

Anna otworzyła stalową kasetkę i wyciągnęła niewielki pistolet, po czym wręczyła go księciu z ukłonem.

– Hmm, FN tysiąc dziewięćset dziesięć – wymamrotał Chreptowicz, biorąc broń. – W sam raz dla kobiet. Musicie pamiętać, że pistolet pojedynkowy ma większy odrzut i jest cięższy. No i trudniej z niego trafić – powiedział, zwracając się do dziewczynek.

– Dlaczego? – spytała Łucja.

– Bo nie ma gwintowanej lufy, a więc pocisk jest mniej precyzyjny. Gwinty wprawiają nabój w ruch obrotowy, dzięki czemu jest dużo celniejszy niż wystrzelony z lufy niegwintowanej.

– To dlaczego nie gwintuje się luf w takich pistoletach?

Chreptowicz odchrząknął niepewnie i gestem scedował odpowiedź na Samarina.

– Żeby trudniej było trafić – odparł generał. – Bo pojedynkowicze strzelają do siebie.

– Żeby zabić?!

– Nooo... przeważnie kończy się na ranach.

– A podobno to dzieci są głupie – mruknęła Łucja. – Ja nigdy nie strzelałabym do Hani, nawet jakby mi zabrała

ciasteczko.

– A jakbym zabrała dwa?

– Wtedy bym się zastanowiła – odgryzła się Łucja siostrze. – To co, strzelamy?

– Strzelamy! – zdecydowała Anna. – Zaczyna najmłodsza.

Łucja załadowała broń, po czym ujęła ją oburęcznym chwytem i opróżniła magazynek. Większość przestrzelin ulokowana była w centrum tarczy.

– Teraz ty! – powiedziała, przekazując pistolet siostrze. – I mierz do tarczy obok, żeby było widać, kto jest lepszy.

Hania oddała strzały niemal równie sprawnie, choć jej były mniej celne.

– Niesamowite – wymamrotał Chreptowicz. – Dziewczynki posługują się bronią lepiej niż niejeden dorosły.

– Długo trenujemy – wyjaśniła Anna.

Kobieta przeładowała browninga i zaczęła strzelać z taką szybkością, że sprawiało to wrażenie, jakby ogień prowadzono z broni maszynowej.

– Teraz pan, Włodzimierzu Pawłowiczu.

Księżę uśmiechnął się, słysząc wyzywający ton w głosie Anny, i przyjął pozycję strzelecką. Początkowo nie trafiał w centrum, po chwili błyskawicznie zmienił magazynek i strzelał dalej. Kiedy skończył, na tarczy ukazał się wizerunek roześmianej buzi.

– Ja też tak chcę! – zawołała zachwycona Łucja. – Naucz mnie pan?

– Oczywiście, młoda damo.

– Saszka, a ty nie spróbujesz?

– Może innym razem – powiedział Samarin, wskazując ruchem głowy nadchodzącą pokojówkę. – Chyba Józef Andriejewicz nas wzywa.

– Miłe dzieciaki – zauważył księżę, kiedy weszli do domu.  
– Jednak zastanawia mnie ta młodsza.

– Tak?

– Momentami zachowuje się jak dziecko, a chwilę później odzywa niemal jak dorosła kobieta. No i jej wprawa we władaniu pistoletem...

– Nie rozumiem?

– Żadna dziewczynka w jej wieku nie jest w stanie tak strzelać – odparł spokojnie Chreptowicz. – I nie chodzi tylko o celność. Koordynacja ruchów, swoboda chwytu, wreszcie siła potrzebna do kontroli broni grubo przekraczają możliwości ośmio- czy dziewięcioletniej dziewczynki. Do tego o ile po Hani widać respekt przed bronią, Łucja posługuje się nią jak weterani, tak jakby pistolet był dla niej przedłużeniem ciała, a nie niebezpiecznym przedmiotem. To zadziwiające. Naprawdę pozwoli pan, abym je uczył?

– Dlaczego nie? Dziewczynki się nudzą, a ze względów bezpieczeństwa rzadko wychodzą do miasta. Niedawno w Warszawie przeżyły kolejny atak *theokatáratos*.

– W takim razie z przyjemnością zajmę się nimi. Muszę przyznać, że ostatnio pozycja odludka zaczęła mi doskwierać.

– Będę wdzięczny.

Zdaje mi się, że dziś nie tylko uzyskam plany nowego typu lokomotywy, ale i zdobędę opiekuna do dzieci, pomyślał Samarin. Trzeba tylko uprzedzić ciotkę, bo jeszcze dostanie zawału, kiedy zobaczy w domu Chreptowicza...



Zazwyczaj budził go szelest kartek, bo Anna, przyzwyczajona przez lata pracy w szkole do nadzorowania porannej toalety uczennic, wstawiała około piątej nad

ranem. Tym razem ocknął się, czując nieokreślony niepokój. Żony nie było w sypialni, a w domu panowała dziwna cisza. Co prawda służba starała się nie zakłócać snu pracodawcy, jednak nie sposób było całkowicie uniknąć odgłosu kroków krzątających się po domu pokojówek, czasem pod bramę zajeżdżała fura z zamówionym poprzedniego dnia towarem, a z podwórza dochodził dźwięk trzepanych dywanów. Jednak nie dzisiaj.

General pospiesznie ochlapał twarz zimną wodą i tak jak stał, w piżamie, pospiesznie zszedł na parter. W salonie nikogo nie było, za to z kuchni dochodził szmer prowadzonych ściszym głosem rozmów.

Samarin zmarszczył brwi, widząc zapłakane pokojówki i Tatianę Aristową nerwowo ściskającą w dłoni trzonek patelni.

– Co się stało? – spytał. – Gdzie dzieci i Anna?

– Pani pojechała z dziewczynkami do szpitala – odparła kucharka. – Odwiedzić Okoniową.

– Co się stało? – powtórzył ostrzej oficer.

– Okoniowa, ja i furman pojechaliśmy rano na zakupy, na rynek – powiedziała, ocierając łzy, jedna z pokojówek. – I tam ją dopadł.

– Kto, na litość boską?!

– Bandyta. Dźgnął ją nożem w brzuch i uciekł. Taki nieduży, rudy, z wredną mordą.

– Co z Okoniową? Żyje?

– Jeszcze dycha...

– Co to za szpital?

– Angielsko-Rosyjski, ten niedaleko Fontanki.

– Pani zabrała powóz?

– Tak.

– Wyślij ogrodnika, żeby znalazł mi jakiegoś fiakra.

– Już lecę!



Samarin pobiegł na górę, przebrał się pospiesznie, po chwili namysłu założył szelki i podramienną kaburę na colta 1911. Było wątpliwe, żeby ktoś dybał na życie Okoniowej i w szpitalu, ta akurat placówka powstała w czasie wojny i miała dobrą ochronę, ale lepiej było na zimne dmuchać.

Kiedy Samarin wyszedł przed bramę, na ulicy czekał już powóz.

– Na Fontankę! – rozkazał oficer. – Szybko!

Woźnica skinął głową i po chwili koła pojazdu zaterkotały rażno po bruku. W drodze do szpitala Samarin zastanawiał się, komu poza Korszunowiczem mogła podpaść Okoniowa i czy napad nie był przypadkowy, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Poziom bezpieczeństwa w Petersburgu zwykło się mierzyć w zależności od dzielnic; w bogatszych, zamieszkałych przez burżuazję i szlachtę, pospolite przestępstwa niemal się nie zdarzały, odwrotna sytuacja panowała na peryferiach i w dzielnicach biedoty – tam rządzą bandyci. Targ, na który pojechała Okoniowa, leżał w centrum Petersburga, a więc w rejonie dość bezpiecznym, jednak nie było nijaką tajemnicą, że lokalni bandyci ściągali haracz od handlarzy i kontrolowali rynki stolicy. Jeśli to nie przypadek, w grę mogli wchodzić *theokatáratos*, członkowie Amici Mortis czy wreszcie ktokolwiek, kto chciał się zemścić na Annie lub samym Samarinie. Wreszcie niewykluczone, że bandytę, który zaatakował Okoniową, nasłał rozwścieczony publiczną kompromitacją Korszunowicz.

– Jesteśmy – wyrwał go z zamyślenia woźnica. – Należy się rubel.

Generał rzucił mężczyźnie złotą pięciorublówkę i nie czekając na resztę, wysiadł z powozu. Z zadowoleniem

zauważył, że przed wejściem do szpitala, jak dawniej, stoi uzbrojony wartownik.

– Samarin, do Okoniowej – rzucił w dyżurce.

Młoda, niespełna dwudziestoletnia dziewczuszka zerknęła na niego kokieteryjnie, jednak widząc spiętą twarz oficera, otworzyła księgę przyjęć.

– Pokój numer szesnaście. Jest już po operacji – poinformowała.

– Kto ją operował?

– Doktor Gardner. To nasz najlepszy chirurg.

– Gdzie go zastanę?

– W ambulatorium, na pierwszym piętrze.

Samarin podziękował gestem i popędził w górę, biorąc po dwa schody. Nie musiał długo szukać, na pierwszych drzwiach w korytarzu widniał rosyjsko-angielski napis „Ambulatorium”.

Wyglądający na pięćdziesięciolatka mężczyzna w okularach siedział za zawalonym papierami stołem, wypełniając jakieś dokumenty. Dostrzegłszy Samarina, zasygnalizował gestem, żeby mu nie przeszkadzać, tymczasem pielęgniarka o szarej, zmęczonej twarzy pomagała się ubrać starszemu mężczyźnie ze złamaną ręką.

– Co panu dolega? – odezwał się po chwili chirurg.

– Doktor Gardner?

– We własnej osobie.

– Jestem zdrowy, chciałem się dowiedzieć, co z Okoniową. To moja służąca – dodał wyjaśniająco generał.

– Okoniowa, Okoniowa... – wymamrotał lekarz, pocierając skronie.

– Przywieźli ją z samego rana – pomogła mu pielęgniarka.  
– Rana od noża.

– Aaa... ta. Jest pan już którymś z kolei odwiedzającym – odparł z uśmiechem Gardner.

– Tak, była tu moja żona i dzieci.

– O ile wiem, siedzą z pacjentką w jej pokoju. Pańska małżonka od razu poprosiła o osobne pomieszczenie dla chorej.

– Zaraz tam pójde, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, jakie są rokowania.

– Siostrze, proszę podać kartę pacjentki.

Pielęgniarka zamknęła drzwi za starszym mężczyzną, po czym podeszła do regału i wydobyła z szuflady oznaczonej literą O brązową kopertę.

– Nic jej nie będzie – zawyrokował po chwili lekarz. – Wyjdzie ze szpitala za tydzień, góra dwa. Baba ma mięśnie jak cyrkowy siłacz, to ją uratowało. W życiu nie widziałem takiej muskulatury, jej mięśnie zadziałały jak tarcza albo kolczuga i ostrze napastnika nie uszkodziło ważnych życiowo organów.

– Dziękuję, doktorze. Mam jeszcze jedno pytanie: jak pan myśli, ten bandyta chciał ją zabić czy tylko zranić?

Medyk zdjął okulary i podrapał się po nosie.

– Bo ja wiem? Nie było mnie przy tym, ale z tego, co opowiadała pańska służąca, wynikało, że to był jeden, dobrze wymierzony cios. Napastnik uderzył w okolice wątroby. Gdyby ostrze dosięgło celu, wątpię, żeby ta pańska Okoniowa przeżyła. Niewykluczone też, że chciał ją unieruchomić pierwszym uderzeniem, aby później bez problemu dobić. Swego czasu pracowałem w dublińskich dokach, tam takie sytuacje były na porządku dziennym, bo miejscowa ferajna załatwiała porachunki za pomocą noży, broń palna była zarezerwowana dla buntowników i anarchistów – stwierdził z przekąsem.

– Dziękuję, doktorze. Jeszcze jedno: mógłbym przysłać tu swojego człowieka, żeby przypilnował Okoniowej? Tak na wszelki wypadek?

– Szpital jest dobrze chroniony, bo mimo że wojna się skończyła, nadal ma status placówki wojskowej. Myślę, że pańskie obawy są przesadzone, ale mogę postawić kogoś na korytarzu.

– Byłbym wdzięczny. I proszę wybaczyć, że się nie przedstawiłem. Hrabia Samarin. – Generał podał lekarzowi wizytówkę. – Gdyby coś się zmieniło w stanie Okoniowej, prosiłbym o informację.

– Oczywiście.

– Pokój numer szesnaście...?

– We wschodnim skrzydle – odpowiedziała pielęgniarka.

– Dziękuję, sestro.

Samarin pożegnał się ukłonem i poszedł szukać Okoniowej. Po kilku minutach znalazł wreszcie pokój numer szesnaście, a dobiegający zza drzwi głos Anny świadczył, że trafił we właściwe miejsce.

Generał zapukał i nacisnął klamkę, nie czekając na pozwolenie, po chwili ścisnął już żonę i dziewczynki. Okoniowa spała albo była nieprzytomna, ale rumieńce na twarzy kobiety wskazywały, że nie jest z nią najgorzej.

– Dlaczego mnie nie obudziłyście? – spytał surowo.

– Siedzieliście wczoraj z Józefem Andriejewiczem i księciem do późnej nocy, więc chciałam dać ci się wyspać – odparła obronnym tonem Anna. – No i myślałam, że wrócę, zanim się obudzisz.

– Jak Okoniowa? – spytał generał, wskazując ruchem głowy służącą.

– Śpi. Doktor dał jej coś na sen, bo zaraz po operacji chciała wstawać z łóżka.

– Zwariowała baba?

– Nie jest z nią tak źle – powiedziała uspokajająco Hania.

– Widziałam jej ranę. To paskudnie wygląda, ale nóż

ześliznął się po mięśniach, lekarz mówi, że to nic groźnego. Znacząca rana nie jest głęboka.

– Dzięki Bogu. Wiadomo coś o napastniku?

– Niewiele, poza tym, że Okoniowa zdążyła mu przyłożyć – odparła Łucja ze złośliwym uśmieszkiem. – Podobno nakrył się nogami i jak uciekał, biegł z wyraźnym trudem. Osobiście stawiałabym, że trzeba go szukać w pobliskich szpitalach.

Samarin skinął głową: kiedyś podczas spaceru natrafili na urządzenie mierzące siłę ciosu i podbechtana przez dziewczynki Okoniowa jednym uderzeniem zdemolowała bokerską gruszę, niszcząc automat. Jeśli trafiła napastnika, ten będzie miał szczęście, jeśli obejdzie się bez operacji, pomyślał oficer. Może rzeczywiście warto zacząć od szpitali?



Dwupiętrowy budynek zajmowany przez Oddział Ochrony Porządku i Bezpieczeństwa Publicznego znajdował się na brzegu rzeki Mojki, niedaleko mostu Wielkostajennego. W skład pomieszczeń użytkowanych przez ochronę wchodziło też – o ironio! – dawne mieszkanie buntownika Puszkina.

Samarin przedstawił się wartownikowi i zajął miejsce w poczekalni. Niewielkie pomieszczenie było niemal puste, poza oficerem siedział tam tylko chudy młodzieniec wyglądający na studenta i korpulentna matrona po pięćdziesiątce piastująca na kolanach potężny kosz, z którego wystawał gęsi łebek na długiej szyi. Wielkie ptaszysko co jakiś czas toczyło wokół złym wzrokiem i syczało to na studenta, to na Samarina.

– Za co pan tu? – odezwał się bez zainteresowania w głosie młodzieniec. – Wywrotowe wiersze, udział w antyrządowej manifestacji, a może obraził pan cara po pijanemu?

– Nic z tych rzeczy – odparł rozbawiony mimo woli Samarin. – Drobną sprawą urzędową. Czysta formalność. A pan?

– Jedno, drugie i trzecie – przyznał markotnie student. – No, szczerze mówiąc, tego ostatniego nie jestem pewien, rozumie pan, piliśmy wódkę z eterem, ale donos poszedł, więc mnie wezwali. Pewnie przyjdzie mi zwiedzić Syberię.

– Wątpię. Gdyby to było coś poważnego, przywieźliby pana w kajdanach.

– Też racja. Myśli pan, że mam szansę się wywinąć?

– A co pan robił na demonstracji?

– To, co wszyscy, wrzeszczałem „precz z samodzierżawiem”.

– I usłyszeli pana w tłumie? – zdziwił się Samarin.

– Jaki tam tłum... Ledwo dwanaście osób się zebrało, dwie z wydziału matematycznego, dwóch burszów z prawnego, reszta z językoznawstwa, jak ja. Ostatnio jakoś takie imprezy stały się mniej popularne. I dziewczęta już tak nie podziwiają walczących o postęp – dodał smętnie.

– Dużo macie dziewcząt na uczelni?

– Trochę jest, cóż pan chce, dwudziesty wiek. Najgorzej z tymi wierszami, z oskarżenia o publiczne znieważenie władzy może bym się wykręcił, ale tam czarno na białym...

– Co pan napisał?

– Nic szczególnego, zgubiła mnie jedna fraza: „I rewolucja da wszystkim chleb, choćby sprzeciwił się ruski cep”. Napisałem to po polsku i cara zamaskowałem pod określeniem narzędzia rolniczego, ale rozszyfrowali gady.

Pewnie teraz wywalą mnie z uczelni, a zostało mi tylko pół roku. Wie pan, po polsku cep to synonim...

– Znam ten język – wszedł mu w słowo generał. – Niech pan powie, że to skrótowiec. Nie cep, tylko CEP – poradził po krótkim namyśle. – Car Europy Pan.

– Uwierzą?

– Nie zaszkodzi spróbować.

– Aleksandrze Borysowiczu – odezwał się znajomy głos z wyrzutem – nie wstyd panu udzielać porad prawnych poetom buntownikom?

Zajęty rozmową oficer nie zauważył, że do poczekalni wszedł Plewsze.

– Jaki tam z niego poeta – mruknął Samarin, witając się z żandarmem. – Po wódce z eterem nie takie rzeczy można napisać.

– Gdzie to wierszydło? – zwrócił się Plewsze do studenta.

Poblady młodzieniec bez słowa podał mu wymiętą kartkę.

– Rzeczywiście – przyznał żandarm. – Puszkina to z niego nie będzie. Wynocha! – polecił chudzielcowi. – Lepiej, żebyśmy się więcej nie spotkali – dodał z groźbą w głosie.

– I proszę nie mieszać więcej wódki z eterem – poradził studentowi Samarin.

– Oczywiście, wasza... dziękuję, ja...

– Zapraszam, hrabio, do gabinetu.

– Hrabia do gabinetu, a ja to co?! – wydarła się babina. – Siedzę tu już drugą godzinę i moja Balbina się niecierpliwi!

Plewsze wznosił oczy do sufitu, najwyraźniej starając się opanować, po czym pokręcił głową i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi przed Samarinem.

– Cisza! – huknął na babę. – Bo wezwę stójkowego! Pewnie nasza tajna agentka Balbina znowu miała widzenia – wymamrotał ze złością.

– Widzenia?

– Baba przychodzi do nas regularnie co tydzień – odparł Plewsze. – W sprawie wagi państwowej: gęś Balbina ostrzega Rosję przed klęską, jak jej przodkinie w starożytnym Rzymie. Pozakładali tych szkół elementarnych i męcz się teraz, człowieku! Dawniej taka baba nie umiałaby nawet czytać i pisać, a teraz wieśniaczki w wolnych chwilach studiują historię.

– Każdy ma swoje problemy – przyznał zgodliwie Samarin.

– Czym mogę panu służyć, hrabio?

– Dziś rano jakiś bandyta napadł na moją służącą. Podejrzewam, że to nie był przypadek, a lekarz, który ją łątał, twierdzi, że napastnik prawdopodobnie chciał zabić. Ona praktycznie nie wychodzi poza teren posiadłości, chyba że po zakupy i w towarzystwie, więc opcji jest niewiele: albo ktoś chciał się zemścić na mnie bądź na Annie, albo chodziło konkretnie o nią.

– Skoro nie ma znajomych w Petersburgu, to chyba nikomu nie podpadła? – zauważył żandarm.

– Niestety, rzecz nie jest taka oczywista.

Samarin zwięźle przedstawił incydent z udziałem Korszunowicza.

– Do tej pory jak i wszyscy inni uważałem Korszunowicza za błazna i złodzieja, jednak jeden z moich znajomych ostrzegł, żebym go nie lekceważył. A nie jest to człowiek rzucający słowa na wiatr.

– Tu i wróżki nie trzeba – przytaknął z rezygnacją Plewsze. – Ochrana męczy się z tym gadem niemal ćwierć wieku.

– Nie rozumiem?

Żandarm wstał od stołu, podszedł do zastawionego aktami regału i zza opasłego tomu zatytułowanego



„Porządek prawny imperium rosyjskiego” wyciągnął butelkę koniaku, a po chwili wyczarował skądś dwa kieliszki.

– Nie możemy nic z nim zrobić – wyjaśnił, rozlewając trunek. – A chcielibyśmy. Można powiedzieć, że szefowie petersburskiego oddziału ochrony przekazują sobie barona Korszunowicza w testamencie. Tylko że do tej pory udało nam się jedynie zebrać potężną porcję brudów na pana barona, ale tak czy owak, jesteśmy bezsilni.

– Przecież to zero!

– On i owszem, za to jego teść wręcz przeciwnie. Za czasów Aleksandra Trzeciego był przez rok szefem policji, a na skutek niewyjaśnionych do dziś machinacji nadzorował i ochronę. Książę Rostopczyn niewiele zdołał dla bezpieczeństwa Petersburga czy kraju, za to kazał skopiować kilka ton akt i tajnych dokumentów.

– Więc...

– Tak, on po prostu szantażuje ochronę, rząd, parlament, a nie wykluczyłbym, że ma też coś nawet na... – Żandarm urwał i pokazał palcem w górę. – Dlatego nie możemy Korszunowicza tknąć.

– Rozumiem.

– Obawiam się, że nie do końca – westchnął Plewsze. – Jeśli coś mu się stanie, Rostopczyn zażąda śledztwa i będziemy musieli wykryć sprawcę, kimkolwiek by on był. Nawet gdybyśmy żywili ku niemu sympatię, bo nie możemy dopuścić do skandalu, dymisji rządu czy jeszcze czegoś gorszego.

Generał zacisnął usta, najwyraźniej żandarm chciał go uprzedzić przed skutkami nieoficjalnej rozprawy z Korszunowiczem.

– Może to nie on?

– Może – przytaknął Plewsze bez przekonania. – Choć gdybym był hazardzistą, postawiłbym wszystkie pieniądze

na niego. To strasznie mściwy gnojek.

– Naprawdę? Nie słyszałem żadnych plotek na ten temat.

– Bo ich nie było. Nie w pańskim środowisku. Za to wśród służących i niższych warstw społecznych Korszunowicz to prawdziwa legenda, z rodzaju tych, jakie opowiada się szeptem i rozglądając na boki.

– Może pan wyjaśnić, kto napadł na Okoniową? Babina uderzyła tego bandytę, więc przypuszczam, że musiał szukać pomocy medycznej.

– Myślę, że tak – odparł Plewsze z namysłem. – Jeśli to ktoś z ferajny, będę miał jego dane na jutro. Co do barona jeszcze...

– Tak?

– Gdyby coś mu się stało, moglibyśmy przymknąć na to oko tylko w wypadku, gdyby było oczywiste, że sprawca pozostaje poza zasięgiem naszego systemu sprawiedliwości, albo gdyby pan baron zmarł z przyczyn uznanych za naturalne. Jedynie wówczas Rostopczyn nie będzie się mścił. Proszę to przemyśleć i nie podejmować pochopnych decyzji.

– Przemyślę – obiecał Samarin.

– A ja poinformuję pana telefonicznie, kiedy wyjaśnię, kto napadł na Okoniową.

– Będę wdzięczny.

– To nic takiego, na tym polega moja praca – wzruszył ramionami Plewsze. – I proszę nie martwić się tym bandytą, zatroszczę się o niego osobiście, w kopalniach złota na Syberii nadal są wakaty. A teraz pan wybacz, muszę wysłuchać kolejnych doniesień agentki Balbiny.

Wychodząc z siedziby ochrony, Samarin czuł ściskanie w dołku. Mimo że na razie nie było żadnych dowodów winy Korszunowicza, oficer miał przeczucie, że to właśnie on stał za napadem na Okoniową, a reakcja żandarma wskazywała,

że ewentualna konfrontacja z baronem może go drogo kosztować.



Samarin podziękował pozostałym graczom i wstał od zielonego stolika. Wyglądało na to, że poker jest główną rozrywką członków Klubu Angielskiego, inne gry i ruletka nie miały takiego wzięcia.

– Gdzie pan się nauczył tak świetnie grać? – spytał młody człowiek o aparycji uczonego. – Myślałem, że Koczubej się rozplacze, kiedy pan ogłosił fula.

Generał zaprosił młodzieńca do swojego stolika i kazał podać szkocką whisky: w klubie preferowano angielskie alkohole.

Vittorio Draghi ubierał się z niedbałą, choć nie przesadną elegancją, rezygnując z powszechnie stosowanych symboli statusu, jak dewizki od zegarków czy sygnety. Wyraz szczupłej, pociągłej twarzy o delikatnych rysach świadczył o inteligencji i pewności siebie. Być może nadmiernej pewności siebie. Szczupłe, sprężyste ciało – chłopak dysponował znakomitą koordynacją ruchów – sugerowało, że uprawia jakiś sport. Najpewniej szermierkę, pomyślał Samarin. Przecież to drużynnik, a oni nigdy nie odżegnawali się od walki.

– W wojsku – odparł z uśmiechem. – W okopach jest mnóstwo czasu na grę.

– Ale poker to raczej nie arystokratyczna rozrywka, dopiero niedawno stał się popularny w wyższych warstwach społecznych.

– Na froncie rzadko można spotkać arystokratów.

– To prawda – przyznał Draghi. – Szkoda, że inni nie są tak oddani ojczyźnie jak pan. Ja żałuję, że nie mogłem wziąć

udziału w walkach.

Generał podziękował uśmiechem za komplement i wzniosł szkło w bezsłownym toaście.

– *Wujku, chcę ci powiedzieć coś ważnego – rozległ się w umyśle oficera głos Łucji. – Tylko usiądź wygodnie i nie zakrzysz się tym okropnym bimbrem, jaki teraz pijesz.*

– *To dwudziestoletnia whisky!* – zaprotestował odruchowo generał. – *Co znowu zbroiłaś?*

– *Załatwiłam sprawę pana barona – odparła zawziętym tonem dziewczynka. – To on kazał zabić Okoniową. I nawet nie próbuj!* – ostrzegła.

– *Nie próbuj czego?*

– *Moralizować. Lepiej podziękuj, bo tak czy owak, musiałbyś coś z tym zrobić.*

– *Mógłbym wiedzieć, co konkretnie zbroiłaś?*

– *Zlikwidowałam tego gada.*

– *Jeśli jego śmierć wyda się podejrzana...*

– *Nie wyda!* – przerwała mu dziewczynka. – *Lekarze już podpisali wstępne orzeczenie.*

– *Może zacznij od początku?* – poprosił Samarin. – *Jesteś pewna, że to właśnie on był mocodawcą bandyty, który zranił Okoniową?*

– *Całkowicie. Weszłam w jego umysł. Dziś rano starsza powróciła, więc wykorzystałam okazję.*

– *No dobrze, co się stało?*

– *Pan baron miał w zwyczaju gwałcić jedną ze swoich służących, młodą dziewczuszkę ze wsi. Rodzina się jej pozbyła, kiedy zaszła w ciążę, więc sam rozumiesz, że nie miała wielkiego wyboru.*

– *Jak znalazła się u Korszunowicza?*

– *Jej rodzinna wioska leży w jego dobrach, więc pan baron zatrudnił dziewczynę, kiedy dowiedział się, w jakiej jest*

*sytuacji. Rzecz jasna, od początku miał wobec niej swoje zamiary.*

*– Co z dzieckiem?*

*– Musiała je oddać do przytułku. Wracając do rzeczy: Korszunowicza znaleziono w jej pokoiku w niedwuznaczonej sytuacji. Rozumiesz, kiedy umarł, dziewczyna się przeraziła i zaczęła krzyczeć. Rzecz jest oczywista: serce nie wytrzymało. Pan baron leczył się już wcześniej na serce, więc jego śmierć w takiej akurat sytuacji nikogo nie zdziwiła. Policja też już sporządziła protokół stwierdzający śmierć z przyczyn naturalnych. Naprawdę nie ma o co się martwić.*

*– Ale?*

*– Słucham?*

*– Rozumiem, że jest w tym jakieś ale.*

*– Tylko w sensie moralnym: chciałabym, żebyś wziął do siebie tę służącą, bo żona Korszunowicza na pewno wyrzuci na bruk kochankę męża, nawet wiedząc, że Ksenia nie została nią z własnej woli. Chcę też, żebyś pomógł Kseni odzyskać dziecko. To chłopczyk, ma już dwa lata. Ona myśli o nim co dzień i płacze...*

*– To akurat najmniejszy problem, natomiast nie wiem, jak wytłumaczę Olafowi, że z mojego powodu zabiłaś człowieka.*

*– Po pierwsze, nie z twojego, tylko Okoniowej. Po drugie, co niby miałam zrobić, kiedy Korszunowicz podniósł rękę na kogoś, kogo lubię? Podziwiaj moją powściągliwość, bo miałam ochotę wyciągnąć mu flaki przez dziurki od nosa!*

*Samarin wzdrygnął się, słysząc w głosie Łucji prawdziwą, niczym niehamowaną furję.*

*– No dobrze – westchnął. – Porozmawiamy o tym później. A tymczasem bądź grzeczna i nie rób głupstw.*

*– Może przeszkadzam? – odezwał się z zakłopotaniem Draghi. – Bo pan tak się zamyślił...*

– To nic takiego. – Oficer uśmiechnął się z przymusem. – Staruszkowie czasem tak mają, rozumie pan, wspomnienia.

– Od dawna chciałem pana zapytać, co pan sądzi o naszej obecnej polityce.

– Staram się trzymać od niej z daleka.

– Jest pan z tego znany – przyznał Draghi. – Podobnie jak pański kuzyn Olaf Rudnicki. Jednak nie sposób cały czas się dystansować, na pewno ma pan swoje zdanie na ten temat.

Cóż, teraz powinno pójść z górki, doszedł do wniosku Samarin. Pan Draghi sam mnie wyciąga na zwierzenia, więc nie zdziwi się, jeśli i ja zapytam go o poglądy. Grunt to odrobina szczęścia.

Ku swojemu zdziwieniu nie odczuwał specjalnych wyrzutów sumienia z powodu śmierci Korszunowicza. Wnioskując po głosie, wcielenie Łucji, które dokonało egzekucji na baronie, miało przynajmniej czterdzieści lat. No i dobrze, że nie wypruła mu flaków, bo pewnie mogła to zrobić, pomyślał. Pułkownik Plewsze powinien być zadowolony...

# IV

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki pochylił się nad alembikiem i skontrolował barwę roztworu, po czym poprawił ułożenie chłodnicy.

Skrapający się płyn zawierał *materia prima*.

– Kto tam? – zapytał alchemik, słysząc pukanie.

– To ja, Hong.

Jak na tę porę dnia – ledwo świtało – młodzieniec wyglądał nieprzyzwoicie rześko, a na tacy niósł czarękę z parującą zupą.

– Przesyłka z kuchni – oznajmił wesoło. – Z pozdrowieniami od matki.

Alchemik usiadł za stołem i z pomrukiem zadowolenia sięgnął po łyżkę.

– Tego mi było potrzeba – westchnął. – Jak tam moi pacjenci?

– Ojciec zaczął już siadać, pozostali też czują się lepiej. Starszyzna zaprosiła mnie do rady stowarzyszenia – dodał niepewnie Hong. – Co o tym sądzisz, mistrzu?

Rudnicki dojadł w milczeniu smaczny posiłek, zastanawiając się nad pytaniem. Kiedy okazało się, że wszyscy ranni przeżyją, miejscowi eksperci sztuk walki uznali to za wyłączną zasługę alchemika i zaczęli go traktować jak przewyższającego ich rangą mistrza. Fakt, że

głównym beneficjentem leczenia okazał się ojciec chłopaka, pełniący funkcję lidera Świata Stali w Nanjingu, niepoprawił sytuacji.

– Jesteś za młody – powiedział wreszcie alchemik.

– Też tak sędzę – potaknął zgodnie młodzieniec. – Matka także jest przeciw. Stwierdziła, że jestem jeszcze dzieckiem i nie pozwoli mi na mieszanie się w sprawy dorosłych głupców. Nie ma dnia, żeby nie wypomniała ojcu decyzji o walce z tym dzikusiem. Problem w tym, że zabiłem Derguna, więc inni zaczęli mi przypisywać umiejętności, których nie posiadam. Tymczasem matka...

– Tak?

– Ona uważa, że pomogłeś mi zwyciężyć. Twierdzi, że wyszeptaleś jakieś zaklęcie.

– Nic z tych rzeczy, po prostu wymamrotałem: „Niech zabiją tego szczeniaka, to tylko Hong” – odparł złośliwie alchemik.

Bynajmniej nie obrażony chłopak błysnął zębami w uśmiechu. Tryskający optymizmem młodzieniec coraz bardziej przypominał Rudnickiemu Rybę.

– Tak też jej powiedziałem, ale ona nie wierzy. Kobiety...

Alchemik z pobłażliwym uśmiechem stuknął chłopaka w głowę, po czym wstał, rozprostowując z chrzęstem ramiona.

– Nie szukasz czasem partnera do ćwiczeń, mistrzu? – spytał podstępnie Hong. – Pewnie zeszywniałeś, pracując całą noc.

Rudnicki przewrócił oczyma: od czasu pojedynku miejscowi eksperci starali się na wszelkie sposoby wysondować umiejętności alchemika, niepewni, czy ten nie wmiesza się w sprawy miejscowego stowarzyszenia, choć sam Hong zapewne nie miał złych intencji.



– No dobrze – zgodził się alchemik. – Przygotowałeś broń treningową?

– Jakżeby inaczej!

– W takim razie chodźmy na dziedziniec.

Jakimś cudem wieść o tym, że Rudnicki będzie ćwiczył z Hongiem, obiegła błyskawicznie tawernę i na podwórku czekało już kilkudziesięciu gapiów, nie wyłączając Gwiazdy, matki chłopaka.

– Tylko nie zrób mu krzywdy, mistrzu – poprosiła kobieta.

– Hong jest co prawda niemal tak samo głupi jak jego ojciec, ale ma dobre serce.

– Postaram się – obiecał alchemik.

Tymczasem chłopak podał mu drewniany dwuręczny miecz, a sam przycisnął się w pozycji obronnej, dzierżąc dwie ćwiczebne szable.

– Zaczynamy? – niecierpliwił się.

– Atakuj – przyzwolił Rudnicki.

Hong rzucił się naprzód, kreśląc bronią podwójne ósemki, co wyglądało widowiskowo, ale nie stanowiło specjalnego zagrożenia dla kogoś, kto miał broń o dużo większym zasięgu, więc alchemik powstrzymał go jednym precyzyjnym pchnięciem w splot słoneczny.

– Nie popisuj się! – upomniał surowo łapiącego oddech chłopaka. – Takie idiotyzmy możesz pokazywać dziewczętom!

– Tak, mistrzu.

Rudnicki wyskoczył wysoko w powietrze i spadł na chłopaka, zadając potężne uderzenie z góry. Hong zablokował je skrzyżowanymi szablami, ale nie ustrzegł się kopnięcia w pierś.

– Nie jestem dla ciebie przeciwnikiem, mistrzu – przyznał pokornie, podnosząc się z ziemi.

– Nie walczę z tobą, tylko cię uczę. Pilnuj linii centralnej.

Alchemik zaatakował serią uderzeń, chłopak odbił kilka z nich, jednak chwilę później ponownie wylądował na ziemi.

– Teraz było lepiej – pochwalił Rudnicki.

Chyba do tej pory nie doceniałem szkolenia, jakie przeszedłem w gwardii księcia Nina, pomyślał alchemik, widząc pełne podziwu miny obecnych.

Przez dłuższą chwilę testował obronę Honga, ale ten, już ostrożniejszy, parował uderzenia, demonstrując obronę wachlarzową na niezłym poziomie. Wreszcie zachęcony powodzeniem Hong skontrował. Rudnicki udał, że musi się wycofać, po czym karkołomnym saltem zwiększył dystans i cisnął mieczem, trafiając młodzieńca w brzuch.

– Nikt tak nie walczy – odezwał się z pretensją w głosie Hong. – Pozbywanie się broni w czasie walki to wariactwo!

Lepiej chyba załatwić to od razu, pomyślał Rudnicki. Dać do zrozumienia miejscowym intrygantom, że ewentualna konfrontacja się nie opłaca, bo i tak nie dam rady udawać, że jestem początkującym.

– Bronią może być wszystko – powiedział z udaną obojętnością. – To, że pozbyłem się miecza, nic nie znaczy.

Podniósł z ziemi suchy patyk, po czym cisnął nim w najbliższe drzewo. Gałązka wbiła się w pień na głębokość kilku centymetrów.

– No i nie możesz przyjmować, że będziesz walczył tylko z rozsądnymi ludźmi. W Świecie Stali wariatów nie brakuje.

– To na pewno! – przytaknęła Gwiazda. – A teraz, łobuzie, podziękuj mistrzowi i chodź do kuchni, właśnie przywieźli tuszę wołową, ktoś musi mi ją poćwiartować.

– Tak, mam – powiedział pokornie Hong.

Także goście zajazdu rozeszli się na rozkazujący gest kobiety, najwyraźniej Gwiazda cieszyła się tu sporym autorytetem.

Chyba wystarczy tych demonstracji, pomyślał Rudnicki. Czas odpocząć, bo nie spałem całą noc. Mam nadzieję, że nikt nie wpadnie na pomysł, żeby mi poderznąć gardło w czasie snu...



Mei podała herbatę i wyszła z komnaty, cicho zamykając za sobą drzwi. Rudnicki skosztował aromatycznego napoju, po czym spojrzał pytająco na Liu He. Stara tygrysica przysłała Mei do zajazdu z samego rana i zaprosiła alchemika do swojej posiadłości.

– Co się stało? – spytał. – Bo Mei powiedziała, że sprawa jest pilna.

– Biali – odparła zwięźle kobieta. – Biali idą na Nanjing.

– I co w związku z tym?

– Wędrowcy dogadali się z cesarską armią, będziemy wspólnie organizowali obronę prowincji i przydałaby nam się twoja pomoc.

– A konkretnie?

– Oni palą, gwałcą i mordują, więc ludzie uciekają z okolicznych wiosek do Nanjingu, jednak w drodze są atakowani przez nieregularne oddziały Białych zwane Hordą. To nie są żołnierze w ścisłym tego słowa znaczeniu, ich wyszkolenie i uzbrojenie pozostawiają wiele do życzenia, ale jest ich wielu, bardzo wielu. Biały Chanat wykorzystuje ich do siania chaosu na tyłach wroga. Żółty Smok, mistrz gildii Wędrowców, chce ci powierzyć dowództwo jednego z oddziałów, które mają pomóc w ewakuacji i zastąpić drogę Hordzie. To tylko prośba – zaznaczyła. – Bo rzecz jest bardzo niebezpieczna.

– Jak to sobie wyobrażasz?

Liu He wyciągnęła mapę, rozłożyła ją na stole, odsunawszy wpierw filiżanki, i wskazała palcem miejsce oddalone od Nanjingu o jakieś sto kilometrów.

– To Wąwóz Kulawego Konia – powiedziała. – Najkrótsza droga do stolicy prowincji, wszyscy muszą przez niego przejść, i uciekinierzy, i Horda. I znakomite miejsce na zasadzkę. Będiesz miał do dyspozycji miejscowe pospolite ruszenie, jakieś tysiąc chłopów, około dwustu ekspertów sztuk walki, no i dołączę do ciebie ja oraz moje dziewczyny. Co o tym sądzisz?

– Nasze zadanie?

– Powstrzymanie Hordy na kilka, góra kilkanaście godzin. Chłopi uciekają często z całym dobytkiem i małymi dziećmi, a więc siłą rzeczy nie poruszają się zbyt szybko.

– A po tych kilku godzinach?

– Nadejdzie pomoc. Regularna armia i Wędrowcy.

– Dlaczego akurat ja mam dowodzić tą operacją?

– No przecież nie ja! Wiesz, jak na prowincji odnoszą się do kobiet: musiałabym zabić połowę naszych dzielnych obrońców, żeby pozostali zaczęli mnie szanować. No i słyszałam, że wyrobiłeś sobie tu niezłą opinię, to też ma znaczenie.

– Znasz ten wąwóz?

– Tak. Ma strome zbocza, więc nikt nas nie oskrzydli, jakieś dwieście metrów od wylotu zakręca. Proponowałabym rozmieścić strzelców na zboczach, a za zakrętem usypać wał ziemny.

– Szerokość wąwozu?

– Początkowo sto metrów, później zwęża się do pięćdziesięciu.

– Sporo – zauważył Rudnicki. – Trudno będzie go bronić przy przytłaczającej przewadze wroga, z gromadą

spanikowanych wieśniaków za plecami. A i to pospolite ruszenie...

– Masz rację, bracie – westchnęła Liu He. – To nie gwardia cesarska. Jeśli wybuchnie popłoch, zostaniemy na wale w czwórkę. Ale liczę na ludzi ze Świata Stali i Wędrowców. Nasze drużyny będą eskortowały uciekinierów aż do wąwozu i później wzmocnią obronę. Myślę, że możemy liczyć na dwieście, trzysta dodatkowych mieczy, a Wędrowcy mocno przewyższają wyszkoleniem ochotników z okolicy. Podsumowując, nie będzie tak źle, choć jak powiedziałam, rzecz jest ryzykowna.

– A jeśli pomoc nie przybędzie na czas? Co wtedy?

– Byłam na naradzie, na której wojsko obiecało nas wesprzeć, cesarz rozkazał im chronić za wszelką cenę cywilów, bo wie, jakie są cele Białego Chanatu. Nawet jeśli tamci nie zdobędą dużych miast, ale zniszczą pola i wymordują rolników, miliony ludzi umrą z głodu.

– A Złoty Smok?

– On także obiecał...

– Nie pytam, co obiecał, tylko co zrobi. Ja go w ogóle nie znam. Jaki on jest? Siostrze?

Liu He milczała dłuższą chwilę, wreszcie pokręciła głową.

– Dotrzyma słowa – powiedziała pewnie. – Ciebie mógłby zlekceważyć, w końcu nie wie nawet, kim naprawdę jesteś, ale nie cesarza. Gdyby zawiódł, imperator pociągnąłby go do odpowiedzialności, a wraz z nim całą gildię. Złoty Smok to ambitny człowiek, za nic nie wyrzekłby się władzy, a w takim wypadku na pewno przestałby być liderem Wędrowców. Nie, wykluczone!

– Nie wie, kim jestem?

– Nie powiedziałam mu – odparła Liu He, patrząc alchemikowi prosto w oczy. – Uznałam, że to twoja prywatna sprawa.

- Dziękuję.
- Co zdecydowałeś?
- Pomogę wam, przecież nie będę się beczynnie przyglądał, jak Biali masakrują cywilów.
- Spróbuj zwerbować miejscowych ekspertów. W Nanjingu gadają o twoim treningu z młodym Hongiem, stałeś się sławny. Plotka głosi też, że jesteś potężnym magiem.
- Jasne, a okoliczne dziewczęta piszczą na mój widok i chcą mi oddać to, co mają najcenniejszego – mruknął alchemik.
- Liu He wybuchnęła śmiechem.
- Kto wie? – stwierdziła figlarnie. – Jeśli chcesz, mogę zapytać Mei, czy nie miałaby ochoty wymasować ci pleców.
- Ani się waż!
- Ale podejrzewam, że księżna Chonghua nie byłaby z tego zadowolona, podobno to straszna zazdrośnica.
- Skąd...
- Och, nasze państwo to jedna wielka wioska. Ludzie plotkują. Chcesz wiedzieć, co jeszcze mówią o tobie?
- Zdecydowanie nie! Lepiej się zbierajmy, trzeba przygotować obronę.
- Wiedziałam, że podejdziesz do tego z entuzjazmem...



Rudnicki obrzucił chmurnym wzrokiem umocnienia: w poprzek wąwozu wykopano głęboki na pięć metrów rów, a wał ziemny miał dobre trzy metry wysokości. Przejść na drugą stronę można było tylko po drewnianym moście. Ten był na tyle solidny, że wytrzymałby przejazd nawet ciężko wyładowanych wozów, ale całą konstrukcję oblano smołą, przygotowując do podpalenia w razie potrzeby. Na zboczach czuwało dwustu kuszników, choć alchemik nie

obiecował sobie po nich zbyt wiele, gdyż jedynie kilkunastu odbyło służbę w wojsku, reszta strzelała do tej pory co najwyżej do zajęcy.

– Wszystko gotowe, mistrzu! – zameldował dziarsko Hong. – Patrole wyjechały przed chwilą.

Rudnicki skinął głową, od rana do wąwozu przybyło jedynie kilkuset uciekinierów zamiast spodziewanych tysięcy. Co prawda pierwotny plan przewidywał, że obrońcy nie będą w żaden sposób zdradzać swojej obecności, jednak alchemik zdecydował się rozesłać patrole. Trzeba było wyjaśnić, dlaczego uciekinierzy omijają wąwóz.

– Siostrze? – spytał alchemik, widząc nadchodzącą Liu He.  
– Co się stało?

Mina kobiety świadczyła, że nic dobrego.

– Przejdźmy się – powiedziała.

– Co się dzieje? – powtórzył. – I dlaczego Hong nie mógł tego usłyszeć?

– Nie widać naszych.

– Wędrowców?

– Tak. Ludność okolicznych wiosek mogła mieć sto powodów, żeby ominąć wąwóz, choć to najkrótsza droga do Nanjingu, ale nie nasi. Oni wiedzieli, że mają wzmocnić obronę, a do tej pory nikt się nie pojawił. I nikt nie eskortował wieśniaków, którzy przeszli przez wąwóz.

– I co z tego wynika?

– Albo Biali zrobili coś niespodziewanego, coś, co zmusiło Złotego Smoka do przegrupowania sił i zmiany planów, albo...

– Tak?

– Niestety, to mało prawdopodobne, bo nawet w takim wypadku przysłałby gońca z informacją.

– Albo? – ponaglił Rudnicki.

– Albo Smok zdradził...

– Przeszedł na stronę Białych?!

– Na pewno nie, bo Biali co najwyżej zrobiliby go namiestnikiem prowincji, marionetką, a on chce władzy. Prawdziwej władzy.

– Co masz na myśli? – spytał zaniepokojony alchemik.

– Podejrzewam, że wycofał gildię z gry i czeka, aż miejscowa samoobrona, cesarscy i Biali wykrwawią się w walce, a potem wkroczy i zajmie prowincję, po czym ogłosi niepodległość. Jeśli dobrze to rozegra, może mu się udać. Dla Białych to drugorzędny kierunek natarcia. Jeśli Wielka Han straci kontrolę nad prowincją Wielkiej Rzeki, mogą chwilowo odpuścić, bo wojna zapowiada się na lata. Z drugiej strony, jeśli Smok obieca cesarzowi dostawy ziarna, niewykluczone, że zmusi Syna Nieba do uznania niezależności prowincji.

– A wy? Co z wami?! Przecież jesteś członkiem gildii, i to chyba nie szeregowym?

– Jestem. Jednak zawsze byłam w opozycji do Smoka i pogardzałam jego ambicjami. Jeśli tu zginę wraz z dziewczynami, na pewno się nie zmartwi.

Sfrustrowany alchemik zacisnął pięści. Jeżeli Liu He miała rację, przyszłość nie zapowiadała się różowo.

– Co za skurwieli!

– Ambitny skurwieli.

– A wasi? Przecież Wędrowcy cieszą się dobrą opinią, uchodzą wręcz za obrońców ludu, czy oni pogodzą się z decyzją lidera?

– Zależy, jak to przedstawi. Jeśli przekona ludzi, że nie było innego wyjścia, aby ratować prowincję... – Wymownym gestem rozłożyła ręce. – A czego jak czego, ale charyzmy mu nie brakuje.

– Co zrobimy?



– Tak czy owak, musimy powstrzymać Hordę. Nie mamy wyjścia. Jeśli opuścimy wąwóz, zginie mnóstwo cywilów, bo starcy i dzieci nie uciekną przed konnicą Białych, a cesarscy, którzy mieli nas wesprzeć, zostaną rozbici w otwartym polu. Szanse mamy tylko tutaj, nie żeby wielkie.

– A jeśli żołnierze nie dotrą na czas?

– To zginiemy tu wszyscy.

– Nasze umocnienia...

– Fosa i wał ziemny to niezłe fortyfikacje – przerwała mu kobieta. – Niestety, nie powstrzymają Hordy na długo.

– Nie rozumiem? Nie jestem wielkim strategiem, ale brałem udział w niejednej bitwie i uważam, że z łatwością odeprzemy atak choćby i dziesięć razy większych sił wroga.

– Walczyłeś kiedyś z Hordą?

– Nie, tylko z regularnymi oddziałami, ale sama mówiłaś, że te są gorzej uzbrojone i wyszkolone. Nawet jeśli będzie ich i dwadzieścia razy więcej niż nas, pierwsze parę tysięcy trupów ich zastopuje.

– Nie zastopuje – westchnęła Liu He. – Nie Hordę. Oni biorą nam.

– Co za nam?

– Narkotyk. Dlatego Horda atakuje jak w amoku. Prawa Białego Chanatu są bardzo surowe i jeśli ktoś je naruszy, ma do wyboru śmierć albo wstąpienie do Hordy. Nam błyskawicznie uzależnia i wyniszcza organizm, ale jednocześnie znosi uczucie strachu, a właściwie wszystkie uczucia, i podnosi próg bólowy do niewyobrażalnych granic. Sama widziałam, jak bluzgający krwią, beznogi kadłub czołgał się i walczył dalej. Nie zatrzymamy ich na długo, nie bez pomocy cesarskich.

– Mistrzu! Mistrzu!

Rudnicki odwrócił się, słysząc Honga.

– Wróciły patrole! Biali szaleją wzdłuż całego szlaku, uciekinierzy nie mają żadnej ochrony i padają tysiącami. Dwustu naszych ruszyło im na pomoc, bo mają znajomych i krewnych w okolicznych wioskach.

– Musisz przejąć inicjatywę, bo jeśli tak dalej pójdzie, to ludzie nam się rozpełzną – szepnęła Liu He.

Rudnicki przytaknął gestem i pospiesznym krokiem udał się w stronę wału.

– Może pobiegniemy – zaproponował Hong.

– Jasne! Wystarczy, jak ktoś krzyknie, że dowódca ucieka, i nasi dzielni wojacy prześcigną jaskółkę w locie, wracając do Nanjingu! – warknął alchemik. – To tylko pospolite ruszenie, ludzie, którzy bawili się w wojnę, żeby zrobić wrażenie na sąsiadce albo kelnerce z pobliskiej gospody. Jeśli nie masz nic mądrego do powiedzenia, to milcz!

– Tak, mistrzu – odparł pokornie chłopak.

Widząc zamieszanie na wale, Rudnicki skinął dłonią i rozległ się basowy łoskot wojennego bębna. Alchemik wdrapał się na wał, a ludzie Honga odsunęli na bok najbardziej zaciekle dyskutantów. Po chwili rozgardiasz nieco przycichł.

– Trzeba pomóc naszym! – krzyknął jakiś nerwowy jegomość dzierżący potężną halabardę. – Bo oni tam giną!

– Jeśli nie zabezpieczymy wąwozu, zginą nie tylko wasi przyjaciele, ale i my wszyscy! – huknął Rudnicki. – Wiecie dobrze, że Biali nie biorą jeńców!

To oświadczenie uciszyło ludzi skuteczniej niż bęben.

– Wyślemy dwie grupy po sto osób, reszta musi zostać w wąwozie – ogłosił alchemik. – Ochotnicy zbiorą się przed wałem.

W tłumie zapanowała konsternacja, ludzie patrzyli po sobie, wreszcie kilkunastu zeszło przed wał, po chwili dołączyli do nich inni.

– Niecała setka – ocenił Hong. – A jeszcze przed chwilą tak wrzeszczeli...

– W porządku! – oznajmił Rudnicki. – Wystarczy was i tylu. W takim razie stwórzycie jeden oddział. Kto będzie dowodził?

Wśród ochotników ponownie zapanowało zamieszanie, po chwili podniósł rękę szczupły mężczyzna w średnim wieku.

– Ja – powiedział. – Jestem Jun Gan i przysięgam, że tym razem nie odstąpię.

Wokół rozległy się gniewne okrzyki i gwizdy, wszyscy pamiętali, że Jun Gan uciekł przed pojedynkiem z Dergunem.

– Cisza! – krzyknął alchemik. – Kto jest najlepszym wojownikiem spośród nich? – zwrócił się do Honga.

– Wujek Jun Gan. No i on był w wojsku.

– W takim razie dowodzi Jun Gan! – zdecydował Rudnicki. – Tylko jedna uwaga: jeśli stchórzysz i tym razem, zabiję cię osobiście!

W odpowiedzi mężczyzna skłonił się czołobitnie.

– Ruszajcie!

– Jak myślisz? Dadzą sobie radę? – spytała półgłosem Liu He.

– Mam nadzieję. Hong, zrobiłeś, co ci kazałem?

– Tak, mistrzu. Zasłoniłem tę jaskinię parawanami i postawiłem przy niej wartę.

– Dobrze.

– Co masz na myśli, bracie? – Liu He zmarszczyła brwi.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Jeśli sytuacja wyjdzie spod kontroli, a na to się zapowiada, będziecie musiały mi pomóc.

– To wbrew rozkazom Złotego Smoka! Jeśli pokażemy swoją prawdziwą naturę, wyrzucą nas z gildii, nie mówiąc

już o tym, że możemy wywołać panikę.

– Trudno! No i jak powiedziałem, to ostateczność. Wreszcie zadecydujecie o tym same. Kto jak kto, ale wy bez problemu przebijecie się przez Horde, jakby co.

– O czym ty mówisz, mistrzu?

– Nieważne – mruknął Rudnicki. – Właż lepiej na zbocze i informuj o ruchach Białych. Pewnie niedługo tu nadciągną.

– Oczywiście, ja...

Przerwał mu okrzyk przerażenia dochodzący ze zbocza.

– Hong! Przejmujesz dowodzenie na wale! – polecił alchemik.

– Mistrzu!

– Bez dyskusji. Liu He, za mną!

Rudnicki wyskoczył w górę i potężnym susem przesadził fosę, po czym pobiegł w kierunku wylotu wąwozu. Po drodze minęło go kilku zakrwawionych cywilów, za plecami słyszał tupot wielu nóg.

Z daleka dobiegł go szcęk broni i bojowe okrzyki. Przynajmniej nie stchórzyli, pomyślał. Dobre i to.

Alchemik zatrzymał się na niewielkim pagórku i rozejrzał: w stronę wąwozu biegły setki uciekinierów ścigane przez obdartusów w czerwonych turbanach. Kilkudziesięciu ochotników i co odważniejszych wieśniaków starało się zatrzymać napastników. Tych jednak było dużo więcej i atakowali jak dzikie zwierzęta, nie bacząc na straty.

Rudnicki krzyknął gniewnie, widząc, że jakiś łachmaniarz ściga uciekającą z dzieckiem kobietę, i rzucił się do ataku. Jego nadejście w mgnieniu oka zmieniło sytuację: czarne igły zmasakrowały nadciągający oddział Czerwonych Turbanów, a pojedynczy wojownicy Hordy padali pod ciosami dwuręcznego miecza. Zza pleców

dochodziły Rudnickiego odgłosy walki, najwyraźniej coraz więcej ochotników włączało się do bitwy, kątem oka widział, jak Liu He i jej strażniczki ryją krwawą bruzdę w szykach napastników. Po kwadransie obrońcy całkowicie zablokowali wylot wąwozu, umożliwiając ucieczkę cywilom, jednak na przedpolu pozostało wiele ciał w chłopskich ubraniach.

– Nic ci się nie stało, bracie? – wydyszała ciężko Liu He.

– Wszystko w porządku. Ty, jak widzę, też jesteś cała. Mei, zajmij się rannymi, Perła, zbierz z pola walki żywych turbaniarzy. Potrzebujemy jeńców – rozkazał.

– Tak, mistrzu! – zawołały dziewczyny unisono.

– Oni nic nie wiedzą, dla Białych Horda to tylko mięso armatnie, szkoda na nich czasu – zaprotestowała Liu He.

– Nie mam zamiaru ich przesłuchiwać.

– Więc...

– Później! – uciął Rudnicki. – Pomóż uciekinierom – poprosił. – Trzeba im zorganizować jakiś prowizoryczny obóz.

– Jak sobie życzysz, bracie.

Rudnicki z troską obserwował ochotników zbierających rannych, tych było ze dwie setki. Mam nadzieję, że wystarczy mi leków, pomyślał.

– Mamy dwudziestu ośmiu jeńców – zameldowała Perła. – Byłoby ich więcej, ale pospolite ruszenie załatwiło sprawę, zanim zdążyłam im przeszkodzić...

– Dobrze, wystarczy i tylu.

Mina dziewczyny świadczyła, że jest ciekawa, o co chodzi, ale nie odważyła się zapytać.

– Później wyjaśnię. A teraz dopilnuj, żeby udzielono im pomocy medycznej, i zatroszcz się o ich bezpieczeństwo.

Perła skinęła głową i poprowadziła spętanych jeńców w głąb wąwozu, pod nieprzyjawnymi spojrzeniami żołnierzy

pospolitego ruszenia.

– Pomagajcie rannym! – rozkazał gapiom alchemik.

Większość ochotników wykonała polecenie, jednak widać było, że niektórzy bardziej zainteresowani są rozprawą z Czerwonymi Turbanami.

– Jazda! – ponaglił gniewnie Rudnicki.

Po chwili okolica opustoszała, najwyraźniej miejscowi wojacy woleli nie nadużywać cierpliwości alchemika. Rudnicki odetchnął głęboko i zawrócił w stronę wału. Jak zauważył, Hongowi udało się utrzymać ludzi na barykadzie, a przynajmniej większość z nich, bo chłopak właśnie rugał kilku ochotników, którzy nie wykonali rozkazu.

– Mistrzu? – Młodzieniec podbiegł do alchemika. – Jak sytuacja?

– Odparliśmy pierwszy atak.

– Jakie straty?

– Nie mam pojęcia, ale to ważna sprawa. Zajmij się tym. Policz też, ilu naszych nie wróciło z tej grupy, która samowolnie opuściła wąwóz.

– Już lecę, mistrzu.

Rudnicki wdrapał się na wał: wąwozem ściągało coraz więcej cywilów, w tym wielu rannych, kilku ochotników taszczyło zdobyczny oręż. Nie żeby było go wiele, Czerwone Turbany były kiepsko uzbrojone. Tyle że nawet wyszczerbiony i zardzewiały miecz zabija, pomyślał ponuro alchemik.

– Nad czym się tak zadumałeś? – spytała Liu He.

Rudnicki wzdrygnął się odruchowo, kobieta pojawiła się u jego boku bez najmniejszego szelestu.

– Nad tym wszystkim. – Alchemik zatoczył ręką krąg. – Kiedy dowodziłem Armią Pięciu Bambusów, myślałem, że trudno znaleźć gorszą hołotę, teraz widzę, że głęboko się myliłem.

– Co chcesz? To mieszczuchy: kupcy, rzemieślnicy, służba z bogatych domów. Ćwiczyli raz czy dwa w tygodniu, nie więcej, no i nigdy nie walczyli. Jak na te okoliczności, i tak nieźle się sprawili. Niestety, to nawet nie był atak, po prostu paru wariatów z Hordy zapędziło się za daleko. Dlatego tak łatwo nam poszło.

– Paru?! Były ich setki!

– Dla Hordy to tyle co nic. Sam zobaczysz. Ich główne siły będą tu za godzinę, może wcześniej.

– A wojsko?

– Pod wieczór.

Rudnicki zaklął wściekle, dochodziło południe.

– Powstrzymamy ich przez godzinę, może dwie, o ile nie wybuchnie panika. Jeśli się przemienimy: trzy, nie więcej. Nawet w postaci tygryskiej nie jesteśmy nieśmiertelne, a Horda nie wystraszy się nas tak jak zwykli ludzie. Będą walczyć i ginąć do skutku.

– Chcecie odejść?

– Nie. Ci ranni i małe dzieci nie uciekną przed Hordą, nie zostawimy ich. Pomożemy ci, bracie, ale mam nadzieję, że coś wymyślisz. Mogę zaryzykować życie, jednak nie chciałabym jeszcze umierać. Masz coś w zanadrzu, prawda?

– Być może – przyznał niechętnie Rudnicki. – Ale będziesz musiała mi zaufać. Do końca i bez zadawania pytań.

– Ech, gdybym była ze dwieście lat młodsza... – westchnęła Liu He.

– Słucham?

– Mam ponad trzysta lat – odparła rzeczowo kobieta. – Dwieście lat temu wyglądałam na trzydziestolatkę.

– A co to ma do rzeczy?

– No wiesz, zaciągnęłabym cię do jakiejś jaskini, na wschodnim zboczu jest jedna w sam raz, i pokazała, jak bardzo ci ufam.

Liu He wybuchnęła śmiechem na widok miny Rudnickiego.

– Nie bój się, bracie, nic ci nie grozi z mojej strony, po prostu nawet ludzie w moim wieku czasem myślą o takich sprawach.

– Trzysta lat?!

– Chcesz zmienić temat czy naprawdę jesteś tym zainteresowany?

– Jedno i drugie – przyznał alchemik, czerwieniąc się. – Więc?

– Większość gongfu sprzyja długowieczności, a ludzie-tygrysy żyją wyjątkowo długo, to cecha wrodzona. Moja matka umarła, mając ponad pięćset lat.

– A ojciec?

– Zginął w walce, broniąc naszej rodziny – odparła krótko.

– Przepraszam, nie chciałem...

– W porządku, każdy musi kiedyś umrzeć, a śmierć w obronie najbliższych to przywilej. Ale nie mówmy już o tym. O, wraca Hong!

– Co ustaliłeś? – spytał Rudnicki.

– Mamy ośmiuset ludzi zdolnych do walki, kilkudziesięciu odniosło rany, a ponad setka nie wróciła – zameldował markotnie chłopak.

– Co z wieśniakami?

– Nie rozumiem?

– Oni będą walczyć, bo wiedzą, że Biali nie biorą jeńców, niektórzy mogli nawet służyć w wojsku, a nam przydadzą się rezerwy. Idź i dowiedz się, na ile dodatkowych mieczy możemy liczyć.

– Nie mamy dla nich broni.

– Niedługo będziemy jej mieli pod dostatkiem – odparła posępnie Liu He. – Zabierzemy ją naszym martwym



żołnierzom i Hordzie. A oto pierwsza partia!

Rudnicki odwrócił się, słysząc tupot wielu nóg, i zaklął pod nosem: z całej grupy wysłanej na pomoc cywilom została co najwyżej połowa, a sam Jun Gan kuśtykał podtrzymywany przez dwóch mężczyzn. Wielu ochotników niosło dodatkową broń.

– Główne siły Hordy są jakieś dwa kilometry stąd – zameldował ranny mężczyzna.

– Ilu ich jest?

– Widzieliśmy tylko straż przednią, trudno mi ocenić liczebność całej armii, ale awangarda to przynajmniej trzydzieści tysięcy ludzi.

– Niekoniecznie skierują wszystkie siły na nasz wąwóz – zauważył Hong.

– Niekoniecznie – przyznał alchemik. – Zabierz rannych do lazaretu, zatroszcz się o nich, a ja zajmę się naszymi jeńcami.

– Pomóc ci, bracie? – spytała Liu He.

– Chodź, i zabierz dziewczyny.

Całe szczęście, że nie brakuje mi *materia prima*, pomyślał alchemik. Może uda się jednak powstrzymać Hordę na kilka godzin...



Rudnicki dyskretnym ruchem otarł pot z czoła: oddziały Hordy, o ile zbieraninę obdartusów można nazwać oddziałami, ciągnęły się po horyzont. Większość uzbrojona była w zardzewiałe miecze, drewniane pałki, a nawet widły i cepy, choć można było też zauważyć ludzi z dobrej jakości bronią i w zbrojach, co sugerowało, że napotkali regularną armię Wielkiej Han.

Widok budził grozę, mimo że chwilowo Horda nie atakowała, obszarpańcy w czerwonych turbanach wili się i skakali w jakimś dzikim tańcu.

– Dopiero co zażyli świeżą dawkę namu – wyjaśniła Liu He. – Te wygibasy sprawiają, że narkotyk szybciej trafi do krwiobiegu. Naprawdę spodziewasz się, że zatrzymamy ich tu, w wężozie? Bo na moje oko w godzinę zdobędą wał. Optymistycznie rzecz ujmując.

– Kiedy dojdą do wału, zaatakujesz z dziewczynami – odparł alchemik. – Ale uważaj! Na sygnał bębnów natychmiast się wycofacie!

– Rozumiem. A mógłbyś mi wreszcie wyjawić, o co chodzi? Czy mi nie ufasz?

– Zawołaj Honga, bo nie chce mi się gadać dwa razy tego samego, a i on musi wiedzieć, po co pilnuje jeńców. Bo gdyby im tylko pozwolić, wieśniacy wymordowaliby ich w mgnieniu oka.

– Dziwisz się im? Te zwierzęta gwałciły nawet małe dzieci.

– Nie dziwię, ale potrzebuję jeńców żywych i zdrowych. Przynajmniej do czasu – dodał ciszej.

– No dobrze, już lecę.

Tymczasem Rudnicki podszedł do obrywu i zaczął pięć się mozolnie po drabince sznurowej na zbocze wężozu. Kiedy wdrapał się na szczyt, zauważył, że na stoku zgromadzono kilkadziesiąt głazów i stosy mniejszych kamieni.

– Kto tu dowodzi? – spytał, łapiąc oddech.

– Ja.

Muskularny mężczyzna mógł mieć trzydzieści lat, jego twarz przecinała blizna od ostrza. Sposób poruszania się i wprawa, z jaką trzymał miecz, wskazywały, że nie jest nowicjuszem jak większość ochotników.

– Jak się nazywasz?

Nieznajomy zaczerwienił się i wymamrotał coś brzmiącego jak: Bohaterski Tygrys Broniący Kraju Nadzieja Klanu Sui.

– Słucham?

– Bohaterski Tygrys Broniący Kraju Nadzieja Klanu Sui – powtórzył głośniejszym głosem. – Matki w Nanjingu często robią to swoim dzieciom. Nadają takie imiona – doprecyzował.

– Aha...

– Wszyscy mówią na mnie Tygrys, ci bardziej złośliwi Nadzieja Klanu.

– Te kamienie to twój pomysł?

– Tak. Źle zrobiłem?

– Wręcz przeciwnie, bardzo dobrze. Sam powinienem na to wpaść. Trzeba by to samo zrobić na przeciwległym zboczach.

– Jeśli chcesz, mistrzu, to przekażę im twój rozkaz.

– Zrób to.

Tygrys podszedł do wojennego bębna, uderzył weń kilka razy, po czym zaczął coś sygnalizować za pomocą kolorowych chorągiewek. Z poruszenia na przeciwległym stoku wynikało, że wiadomość dotarła.

Rudnicki przeszedł na północną stronę obrywu, żeby spojrzeć na Horde, ale akurat to zbocze było porośnięte gęstymi, kolczastymi krzewami wysokimi na ponad dwa metry.

– Tygrys!

– Tak?

– Wyrąb przejście w tych krzakach i zbuduj wysoką na parę metrów wieżę, tak żeby można było objąć wzrokiem jak największą przestrzeń.

– Chcesz, mistrzu, obserwować ruchy wroga?

– To także. Tylko pospiesz się, bo to mi potrzebne na wczoraj. Rozumiem, że przeciwległy stok jest tak samo zarośnięty od północy?

– Obawiam się, że tak. Z jakichś przyczyn ta odmiana aralii porasta górskie zbocza od północy.

– Bierz się do roboty.

– Tak, mistrzu.

Rudnicki ponownie skorzystał z drabinki sznurowej – od ziemi dzieliło go kilkadziesiąt metrów, zbyt dużo, żeby polegać na sztuce lekkości – i udał się do zaimprovizowanego więzienia, gdzie przetrzymywano jeńców.

Przyspieszył kroku, widząc, że kilkunastu strażników powstrzymuje sporą grupę cywilów przed rozprawą z więźniami. Chłopi, dostrzegłszy alchemika, rozstąpili się, ale nie odeszli.

– Dlaczego nie pozwalasz ich zabić?! – wrzasnęła krzepka baba z motyką w rękę.

Tłum poparł ją ogłuszającym rykiem i napał na straże, a jakiś osiłek rozerwał łańcuch ochotników i pobiegł w stronę jeńców. Rudnicki dopadł go jednym skokiem, powalił na ziemię, po czym wyciągnął oburęczny miecz i oparł leżącemu na gardle. Wrzawa ucichła.

– Jeśli ktoś jeszcze raz sprzeciwi się mojej woli i podniesie rękę na któregoś z moich ludzi, zabiję go na miejscu – zagroził alchemik. – Uratowałem życie wam i waszym rodzinom i tak mi się odpłacacie? Chcecie przeszkodzić w obronie wąwozu? To może lepiej od razu zabijcie swoje żony i dzieci, wtedy umrą bez bólu, bo Horda nie będzie tak łaskawa!

– Chcemy się zemścić! – ponownie wydarła się baba. – A ty chronisz tych morderców!

– Są mi potrzebni.

– Zmówiłeś się z Hordą! – zawyła.

Tym razem nikt jej nie poparł, oskarżenie było zbyt absurdalne, i ludzie zaczęli się od niej odsuwać.

– Łapcie ją! – rozkazał strażnikom Rudnicki.

Niespodziewanie baba zawinęła motyką, przewracając nadchodzących ochotników, pomajstrowała coś przy trzonku i nagle trzymała w ręku solidne, długie na metr ostrze. Alchemik kopniakiem pozbawił przytomności podnoszącego się osiłka i ruszył na wieśniaczkę, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, któryś ze strażników rzucił celnie kamieniem i kobieta upadła.

– Związać i pilnować jak oka w głowie! – rzucił gniewnie Rudnicki. – Ktoś ją zna? – zwrócił się do tłumu.

– Mówiła, że jest z Trzech Wiązów. To taka wioska niedaleko stąd – powiedział niemłody mężczyzna w szarym chałacie.

– Ja jestem z Trzech Wiązów i widzę ją pierwszy raz w życiu! – zaprotestował inny.

– Wyjaśnimy to – obiecał alchemik. – Co do jeńców jeszcze: wszyscy oni są mi potrzebni do obrony wąwozu i nie myślcie, że minie ich kara. Za swoje zbrodnie zapłacą życiem i wierzcie mi, że nie będzie to przyjemna śmierć. Dlatego muszą być cali i zdrowi.

– To prawda, panie, że jesteś potężnym magiem? – spytała młoda kobieta z ręką na temblaku.

– Jestem – potwierdził Rudnicki. – Nie damy rady obronić się przed Hordą bez magii, więc nie bójcie się, kiedy przywołam magicznych sprzymierzeńców. To wielkie tygrysy – dodał tytułem wyjaśnienia.

– One nie zrobią nam krzywdy?

– Nie, są posłuszne każdemu mojemu skinieniu.

Alchemik uśmiechnął się, widząc, jak Liu He przewraca oczyma.

– A teraz rozejdźcie się do swoich zajęć – rozkazał. – Ci, którzy są w stanie walczyć, zgłoszą się potem do młodego Honga.

– Dobra robota, bracie – pochwaliła szeptem Liu He. – Co teraz?

– Chodź ze mną do jeńców.

– Ja też? – upewnił się Hong.

– Ty też.



Rudnicki namalował symbol śmierci na piersi nieprzytomnego jeńca – chwilę wcześniej jeden ze strażników uciszył go kijem, po czym stanął przed przywiązaną do pala wieśniaczką.

– Rozbierzcie ją do pasa – polecił.

– Psy! Kiedy moi bracia zdobędą wąż, obedrę was ze skóry! A ciebie...

– I zakneblujcie – dodał alchemik.

Pokiwał głową, widząc na obwisłym biuście kobiety tatuaż czaszki.

– To szpieg Białych! – wykrzyknął z przestachem Hong. – Ciekawe, ilu takich dostało się do węża, udając uciekinierów?

– Wątpię, żeby wielu – stwierdził Rudnicki. – Naćpani turbaniarze zabijali wszystko, co się rusza, niemożliwe, żeby Białym udało się w takich warunkach podesać nam więcej niż kilku agentów. A i ta baba to przecież żaden wielki konspirator, zdemaskowała się niemal od razu.

– Może wreszcie wyjaśnisz nam, o co chodzi? – wtrąciła Liu He.

Rudnicki gestem oddalił strażników.

– Niech będzie – powiedział. – Mogę magią zabić setki, a nawet tysiące wrogów, jednak w normalnej sytuacji zapłaciłbym za to własnym życiem, bo moc, jaka wyzwala się w tym... zaklęciu, wraca do maga i go niszczy. Chyba że za pomocą specjalnej farby namaluje się na ciałach innych osób symbol śmierci. Wtedy one współdzielą z magiem tę energię i niejako przejmują uderzenie za niego. Im więcej takich osób, tym słabszy cios, jaki muszą znieść. Do tej pory wspierali mnie ochotnicy, ale w tej sytuacji... – nie dokończył.

– Rozsądna decyzja – stwierdziła z aprobatą Liu He. – Potrzebne ci coś jeszcze?

– Tak. Miejsce, z którego obejmę jednym rzutem oka jak najwięcej wrogów. Bo to zaklęcie można zastosować dwa, góra trzy razy.

– Dlaczego? – Hong zmarszczył brwi.

– Bo kiedy nasi jeńcy umrą, nie będę mógł użyć go więcej, inaczej sam zginę.

– W takim razie...

Dalszą rozmowę przerwało im upiorne wycie, nie trzeba było jasnowidza, żeby zrozumieć, że Horda ruszyła do natarcia.

– Hong, zostań tu i pilnuj jeńców! A ty, siostrze, zabieraj dziewczyny i czekaj na mój sygnał.

– Dobrze, bracie.

Alchemik popędził w stronę przegradzającego wąwóz wału, mijając po drodze wyraźnie spanikowanych cywilów. Niektórzy z nich szykowali się do walki, inni uciekali na oślep.

– Jak sytuacja? – rzucił zdyszany Rudnicki, wdrapawszy się na barykadę.

– Pod kontrolą, mistrzu! – zameldował Jun Gan.

Alchemik skinął z aprobatą: mężczyzna-ustawił kuszników w dwa rzędy, za nimi stały równe szeregi gotowych do walki piechurów. Wielu z nich uzbroiło się w specjalne włócznie z hakami do niszczenia drabin oblężniczych.

– Dobra robota! – pochwalił.

– Dziękuję, mistrzu.

Tymczasem od strony wejścia do wąwozu dobiegły bolesne wrzaski, najwyraźniej rozmieszczeni na stokach strzelcy rozpoczęli ostrzał. Chwilę później wrzawę zdominował łoskot wojennego bębna.

– Co oni sygnalizują? – rzucił nerwowo alchemik.

– „Nie damy rady ich powstrzymać, atakują jak szaleni po trupach własnych ludzi. Wieża jeszcze nie gotowa” – odparł ze zdziwieniem w głosie Jun Gan.

Trzeba było bardziej przykładać się do nauki na wykładach o sygnalizacji, pomyślał Rudnicki. Tylko że sami instruktorzy nie przywiązywali do tego wielkiej wagi, bo i kto mógł pomyśleć, że przyjdzie mi dowodzić armiami?

– Nie wiem, o co chodzi z tą wieżą – dodał Jun Gan.

– Ja wiem. To teraz nieważne, przygotujcie się.

– Pierwszy szereg, naaa koolano! – zawołał mężczyzna.

Kusznicy zastygli w przykłęku, umożliwiając strzelcom z drugiego szeregu strzelanie nad swoimi głowami. Jak zauważył alchemik, tylko część z nich miała wojskowe wielostrzałowe kusze, reszta wyposażona była w broń myśliwską.

Jun Gan stanął na skraju wału i uniósł dłoń.

– Czekać na mój sygnał! – oznajmił donośnym głosem.

To urodzony dowódca, doszedł do wniosku alchemik. Dobrze, że mu zaufałem, nie poradziłbym sobie bez niego.

Pierwsza grupa obdartusów w czerwonych turbanach, jaka pojawiła się w polu widzenia, liczyła kilkaset osób.



Większość z nich była ranna i mało który mógł biec.

– Teraz!

Jun Gan opuścił dłoń i powietrze zawyło prute setkami bełtów, niemal wszyscy napastnicy padli tam, gdzie stali.

– Przeładować!

Stos trupów tylko nieznacznie spowolnił atakujących i po chwili wąwóz zapełniły tysiące wrogich wojowników.

– Strzelać!

Kusze nie na długo powstrzymały Horde, ta zaczęła szturmować wał.

– Włócznie naprzód, luźny szyk! – wrzasnął Jun Gan.

Włócznicy ustawili się w odległości metra jeden od drugiego, a stojący między nimi kusznicy nadal prowadzili ostrzał.

Ot, co znaczy zawodowiec, westchnął w duchu Rudnicki. Nawet nie wiedziałem, że istnieje taki szyk.

– Mistrzu, oni zaraz się tu wedrą!

– Każ bębnić: „Tygrysy do ataku!” – polecił alchemik.

– Ale...

– Wykonać!

– Tak jest!

Okrzyki przerażenia skierowały alchemika w miejsce, gdzie Czerwonym Turbanom udało się przerzucić kładkę przez fosę i teraz wdrapywali się na wał. Rudnicki wymówił słowo mocy i w kierunku napastników poleciała setka czarnych igieł, masakrując oddział szturmowy, a kilku żołnierzy zrzuciło ogromny głaz, niszcząc pomost.

– Trzymajcie się! Niedługo przyjdzie pomoc! – obiecał alchemik.

Żołnierze odpowiedzieli bojowymi okrzykami, ale kilku wpatrywało się z przerażeniem w wąwóz.

Rudnicki spojrział w ślad za nimi i oblał go zimny pot: za obdartusami z Hordy pojawiły się oddziały regularnej

piechoty Białych, wyposażone w drabiny, kładki desantowe i niewielkie katapulty, osłaniane przez kuszników.

– Jeśli nie zniszczymy tych katapult, oni w godzinę zrównają z ziemią nasze stanowiska obronne – powiedział Jun Gan. – I zasypią fosę, bo widzę wśród Białych saperów z łopatami.

– Daj znać sygnalistom, niech przekażą rozkaz „zniszczyć katapulty” – powiedział alchemik.

Jun Gan z powątpiewaniem wypisanym na twarzy wykonał polecenie, jednak część kuszników, usłyszawszy nowy sygnał, zaczęła strzelać do obsługi katapult, ta jednak była zbyt daleko i osłonięta tarczami przez piechotę Białych.

– Mistrzu, trzeba coś zrobić, bo oni zaczęli zasypywać fosę!

– Starajcie się zabić jak najwięcej saperów – odparł Rudnicki, przygryzając wargi.

– Ogniste żółwie! – krzyknął Jun Gan.

Obrońcy zarzucili Białych ręcznymi granatami, co na chwilę spowolniło szturm, jednak i kusznicy wroga zaczęli zbierać krwawe żniwo, na wale padło kilkunastu ochotników.

Zdesperowany alchemik wyciągnął miecz, szykując się do walki wręcz, jednak nagle przez bitewną wrzawę przebił się przerażający ryk i fosę przesadziły trzy ogromne tygrysy.

– Dopilnuj, żeby do nich nie strzelano, to sprzymierzeńcy! – polecił Rudnicki.

– Sprzymierzeńcy? To demony czy...

– Wykonać! – warknął alchemik, skacząc w ślad za tygrysami.

Tygrysy w mgnieniu oka rozbiły czworoboki piechoty chroniące saperów i ruszyły w stronę katapult, pozostawiając po sobie pas zniszczenia. Korzystając z okazji, Rudnicki zaatakował saperów, kładąc pokotem

lekkie uzbrojonych żołnierzy. Nikt z obrońców nie przyszedł mu z pomocą, najwyraźniej na wale nie było eksperta, który opanowałby sztukę lekkości w dostatecznym stopniu, jednak alchemik zauważył, że kusznicy osłaniają go przed atakami Białych. Po kilku minutach walki pas przy fosie opustoszał, na miejscu zostali tylko zabici i ranni.

Tymczasem tygrysom udało się zniszczyć kilkanaście katapult, jednak widać było, że przerażeni niespodziewanym atakiem żołnierze wroga opanowali panikę i zaczynają zaciskać pierścień wokół potężnych stworzeń.

Rudnicki wyskoczył w powietrze i kilkoma susami dotarł na wał, po czym opadł na kolana i zwymiotował z wysiłku. Po chwili poczuł, jak ktoś podtrzymuje go pod ramię.

– To było niesamowite, mistrzu – skomplementował go Jun Gan. – Co teraz?

– Daj sygnał: „Tygrysy, wycofać się”.

– Natychmiast!

Rudnicki odetchnął z ulgą, słysząc głębokie tony wojennego bębna. Posłuszne rozkazowi tygrysy zaczęły przebijać się w stronę wału, jednak piechota Białych zintensyfikowała ataki, chcąc za wszelką cenę uniemożliwić im odwrót.

– Niech kusznicy im pomogą! – krzyknął alchemik.

Na Białych spadł grad bełtów, do akcji dołączyli się też strzelcy na stokach wąwozu, jednak uwikłane w walkę tygrysy nie mogły oderwać się od wroga.

Rudnicki zaklął, widząc, jak tygrysica z białym pasmem na łbie rzuca się na Białych, umożliwiając ucieczkę Mei i Perle. Po chwili brocząca krwią z wielu ran Liu He znalazła się w okrążeniu.

– Nie możemy dać tygrysowi umrzeć! Trzeba kontratakować! – zawołał alchemik.

– Mamy drabinki sznurowe, przerzucenie pomostu przez fosę to też nie problem, ale nie wiem, czy zdołam poderwać ludzi – powiedział półgłosem Jun Gan.

– Postaraj się, nie zostawię jej tak!

– Jej?

Rudnicki po raz kolejny przeskoczył fosę, czując, jak mięśnie drżą mu z wysiłku. Tym razem opadł ciężko na ziemię, omal nie łamiąc sobie nóg. Biali cofnęli się i po chwili alchemik został otoczony przez ciężkozbrojnych piechurów. Kilkunastu żołnierzy rzuciło się do ataku, jednak chmura czarnych igieł rozdarła ich na strzępy.

– *Idiota!* – rozległ się w jego umyśle głos Liu He.

– *Nikt nie zarzucał mi nadmiaru geniuszu* – przyznał alchemik.

– *Nie powinieneś tak ryzykować!*

– *Jeśli pozwolisz zabijać przyjaciół, w końcu zostaniesz sam, a wtedy co ci po życiu?*

– *Matoł!*

Piechota Białych ponownie zaatakowała i tylko pomoc starej tygrysicy uchroniła alchemika od śmierci. Z każdą chwilą przybywało wrogów, Rudnicki został ranny w bark i łydkę, a Liu He zaryczała boleśnie trafiona w bok halabardą. Wreszcie wrogowie złamali szyki, usiłując za wszelką cenę dopaść alchemika.

Rudnicki opadł na kolano, siekąc wokół długim ostrzem – noga odmówiła mu posłuszeństwa – ale mimo że wokół wyrósł wał trupów, nie powstrzymało to natarcia Białych. Czyjaś włócznia trafiła go w głowę i choć hełm osłabił cios, twarz zalała mu krew z rany na czole, niemal uniemożliwiając widzenie. Jeszcze kilka cięć na oślep i Rudnicki upadł na plecy, powalony uderzeniem potężnej dwuręcznej maczugi.

Nagle w symfonię bitwy wdarł się nowy dźwięk; szcęk mechanizmów kusz i wizg prutego bełtami powietrza zagłuszyły bojowe okrzyki Białych.

Alchemik dźwignął się na nogi, podpierając mieczem, i otarł krew z oczu. Niespodziewany kontratak zaskoczył Białych i teraz żołnierze Białego Chanatu pierzchali w panice, przemieszani z obdartusami z Hordy, ścigani nie tylko przez ochotników z pospolitego ruszenia, ale nawet przez kiepsko uzbrojonych chłopów. Ci ostatni nie brali jeńców i często w kilku lub kilkunastu dobijali rannych żołnierzy wroga.

– Mistrzu!

Hong podtrzymał Rudnickiego pod ramię i pomógł dokuśtykać do fosy.

– Dasz radę sam wejść na wał? – spytał z troską.

– Dam. A ty postaraj się wziąć do niewoli jeszcze paru Białych, przydadzą się.

– Tak, mistrzu.

Jednak żyję, pomyślał alchemik, wdrapując się po drabinie. U szczytu wału zabrakło mu sił, ale silne ramiona wciągnęły go na górę.

– Jesteś ranny, mistrzu – powiedziała z wyrzutem Mei. – Trzeba cię opatrzyć. Natychmiast.

– Co z Liu He? – wychrypiał Rudnicki.

– Perła się nią zajmuje. A teraz siadaj i daj mi zdjąć tę zbroję.

Alchemik posłusznie usiadł, syknął z bólu, kiedy Mei pozbawiła go pancerza.

– Może delikatniej? – poprosił.

– Nie bądź dzieckiem, mistrzu, niemal przerąbali ci obojczyk, to musi boleć.

– Dlaczego wy...

– Tak?

– Dlaczego wy, dziewczuchy, jesteście takie paskudne, jak przychodzi wam leczyć bliskich? – wycedził Rudnicki przez zęby.

– Wyłącznie z troski o was – zapewniła Mei ze złośliwym uśmiechem. – Rozumiesz, medyk nie może się wahać, opatrując rany, jeszcze wda się gangrena albo coś.

Alchemik zawył, kiedy Mei połała mu bark płynem palącym jak żywy ogień.



– Bądź dzielny, mistrzu, ludzie patrzą! I oszczędzaj siły. Jak znam swoją panią, ona wywróci cię na lewą stronę, kiedy tylko dojdzie do siebie. A teraz wypij!

Rudnicki powąchał nieufnie pachnący alkoholem płyn, wreszcie łyknął pod surowym spojrzeniem dziewczyny.

– Teraz zaśniesz – powiedziała już poważnie Mei. – Nie martw się, tylko na godzinę, przez ten czas Biali nie zdobędą wału. I dziękuję za uratowanie mistrzyni. Gdyby nie ty...

Alchemik próbował podnieść opadające powieki, ale kojąca, przytulna ciemność ogarnęła go niczym przypływ i zapadł w sen.



Rudnicki przytrzymał się barierki: wieża, jaką wzniósł na jego polecenie Tygrys, była konstrukcją prowizoryczną i alchemik miał wrażenie, że chwieje się pod wpływem wiatru.

– I jak, mistrzu? – krzyknął z dołu Tygrys.

– Może być.

Z wieży było widać kilka tysięcy Białych, ci stali w zwartym szyku, gotowi do ataku, poza zasięgiem kusz obrońców, nie zwracając uwagi na walające się wokół ciała zabitych cywilów i Czerwonych Turbanów. Na zwłokach zaczynały ucztować kruki.

– Jak ewakuacja? – rzucił alchemik.

– Wyszedł już ostatni oddział – zapewnił Tygrys.

Rudnicki skinął z aprobatą: z meldunków zwiadowców wynikało, że Biali skoncentrowali w pobliżu wąwozu przynajmniej czterdzieści tysięcy regularnych wojsk, nie licząc Hordy, a oddziały lekkiej piechoty usiłowały przejść przez góry i zablokować drogę do Nanjingu. Dlatego alchemik wydał rozkaz do odwrotu, było oczywiste, że kolejny zmasowany atak będzie ostatnim.

– W takim razie i ty znikaj!



– Tak, mistrzu!

Rudnicki zmienił pozycję i ledwo powstrzymał jęk: o ile noga mu specjalnie nie dokuczała, to bark cały czas pulsował tępym bólem.

– Za chwilę ruszą – odezwała się konwersacyjnym tonem Liu He.

– Co ty tu robisz? – warknął gniewnie Rudnicki. – Miałaś eskortować uchodźców!

– Zajmą się tym dziewczyny, i pamiętaj, że ja nie podlegam twoim rozkazom. No i ktoś musi się o ciebie zatroszczyć, podejrzewam, że księżna Chonghua miałaby mi za złe, gdybym cię zostawiła samego, tym bardziej że ledwo łązisz. Wreszcie chciałam też obejrzeć twoją magię.

– Ciekawość zabiła kota – odburknął alchemik.

– To jakieś lokalne przysłowie? W takim razie kot umarł honorową śmiercią – odparła kpiąco Liu He. – Ciekawość to podstawa nauki.

Rudnicki sapnął gniewnie, ale jego uwagę przyciągnęło poruszenie wśród Białych, po chwili po okolicy rozlał się łośkot wojennych bębnow.

– Ruszyli – powiedziała kobieta.

Alchemik poczekał, aż Biali podejda do wału, i wykrzyczał: DASZ' DANTHAR!

Na ziemię padły tysiące wrogów, ale wieżę zasypał grad bełtów i strzał.

– Zwiadowcy nas znaleźli! – krzyknęła Liu He. – Zajmę się nimi!

Rudnicki odwrócił wzrok, widząc, że kobieta opadła na czworaki, wolał nie oglądać, jak Liu He zamienia się w tygrysa. Nad jego głową gwizdnęło jeszcze kilka strzał, ale gniewny ryk i przerażone okrzyki dowodziły, że stara tygrysica dopadła wrogów.

Alchemik wyprostował się i ponownie użył słowa mocy, jednak tym razem poczuł bolesne szarpnięcie.

– *Wszystko w porządku?* – spytała w umyśle Liu He.

– *Niezupełnie. Jeńcy się... zużyli. Mogę wymówić słowo mocy najwyższej jeszcze raz.*

– *Poczekaj z tym. Daj im zdobyć wał.*

– *Zwariowałaś? Wtedy dogonią uchodźców.*

– *Nie dogonią. Nadchodzi nasze wojsko, za kilka minut pierwsze oddziały wejdą do wąwozu. Przypuszczam, że zdają sobie sprawę z sytuacji, bo musieli spotkać naszych. Wejdą do walki z marszu, ale przydałaby im się pomoc.*

– *Skąd wiesz, że nasi nadchodzą? Widziałaś ich?*

– *Wyczułam* – odparła cierpko Liu He. – *W tej postaci mam dużo lepszy węch, a nie wyobrażasz sobie nawet, jak śmierdzą przepocone żołnierskie skarpety.*

Tymczasem Biali ruszyli do kolejnego szturmu, tym razem alchemik pozwolił im sforsować fosę i wał.

– *Teraz!* – krzyknęła Liu He.

– **DASZ' DANTHAR!**

Zimna, pazurzasta łapa przeorała mu wnętrzności i Rudnicki zgiął się wpół, wymiotując krwią, ale szczęk broni i bojowe okrzyki świadczyły, że Biali natknęli się na oddziały Wielkiej Han.

– *Poczekamy tu na naszych* – powiedziała Liu He znowu w ludzkiej postaci. – *Biali się wycofują.*

– *A gdzie Wędrowcy?* – zapytał z goryczą alchemik. – *Gdyby przybyli zgodnie z obietnicą, uratowalibyśmy tysiące uchodźców!*

– *Złoty Smok zdradził* – przyznała. – *Ale tym zajmiemy się później. Teraz oprzyj się o mnie i odpoczywaj. Bo nie wyglądasz najlepiej...*

– *Tak się i czuję* – wymamrotał Rudnicki.

Zrobiłem, co mogłem, pomyślał. Tylko dlaczego moje zwycięstwo, o ile można to nazwać zwycięstwem, ma smak popiołu?

# V

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



**A**lchemik zawirował jak dziecięcy bączek, siekąc wokół siebie dwuręcznym mieczem: trzy z czterech manekinów treningowych zostały zniszczone. Po chwili rozrąbał ostatni. Mimo zmęczenia po bitwie w wąwozie Rudnicki czuł palącą potrzebę niszczenia, choćby i manekinów. Co prawda cesarska armia z pomocą pospolitego ruszenia rozbiła oddziały Białych i Horde, jednak zginęło przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy cywilów – nadal liczono zabitych – a Czerwone Turbany spaliły wiele pól, niszcząc niezebrane zboże. Jak się okazało, wbrew zawartej z wojskiem umowie Wędrowcy, poza nielicznymi wyjątkami, nie wzięli udziału w obronie ludności Wielkiej Rzeki.

Słyszając dyskretne chrząknięcie, alchemik otarł pot z czoła i schował miecz.

– Przybyła pani Liu He i dziewczyny – zameldował Hong.

– Zaproś je do mojego pokoju i poczęstuj herbatą. Zaraz przyjdę.

– Tak, mistrzu.

Rudnicki obmył się pospiesznie zimną wodą ze studni i pomaszerował do pokoju, ciekawy nowin: Liu He wracała z klanowej narady i powinna mieć informacje na temat stanowiska Wędrowców wobec inwazji chanatu.

– Co powiedział Złoty Smok? – spytał alchemik, nawet się nie przywitawszy. – Czy wytłumaczył brak pomocy Wędrowców?

– Wytłumaczył – odparła ponuro Liu He. – Sprytu mu nie brakuje. Poinformował, że poprowadził klanowe wojsko, żeby powstrzymać desant Białych na wybrzeże, niedaleko Nanjingu, co mogłoby doprowadzić do oblężenia miasta, ale informacje szpiegów okazały się fałszywe.

– Nie miał pretensji, że włączyłyście się do akcji?

– Nie, pochwalił nas publicznie. Nasz udział w obronie wąwozu uprawdopodobnił jego wersję, bo przecież część Wędrowców brała udział w walkach.

– Co zamierza?

– Przejąć prowincję. Już teraz nasze oddziały „pomagają” armii, przejmując ochronę spichlerzy i fortyfikacji. Wojskowi są zadowoleni, bo dzięki temu mogą skierować większe siły przeciwko Białym.

– Nikt nie domyśla się podstępu?!

– Nie mam pojęcia, nie zwierzają mi się, ale armia ma ograniczone pole manewru, bo i co może zrobić? Żaden generał nie weźmie na siebie odpowiedzialności za wywołanie konfliktu z największą gildią w kraju, a przecież Wędrowcy deklarują pomoc w walce z Białym Chanatem. Gdyby któryś spróbował, wystarczyłoby, że Złoty Smok poskarżyłby się cesarzowi, i głowy poleciałyby jak gruchy, bo do tej pory Wędrowcy w żaden sposób nie wystąpili przeciwko Wielkiej Han. Ba! Walczyli nawet z Białymi!

– Więc on ma zamiar...

– Tak, przejmie wszystkie strategiczne punkty: składy zboża, fortyfikacje, stacje pocztowe, po czym wywabi wojsko z miast, zamknie bramy i ogłosi niepodległość prowincji. Niestety, nic na to nie poradzimy, bo nawet

gdybyśmy poinformowali armię o naszych podejrzaniach, nikt nam nie uwierzy.

– Może tak, może nie – mruknął w zamyśleniu Rudnicki. – Kto dowodzi wojskiem?

– Generał Tung Lu, zwany Deszczołapem.

– Skąd to przezwisko?

– Kiedy walczył na pustyni i żołnierzom skończyła się woda, jeden z jego magów wywołał deszcz, co pozwoliło uzupełnić zapasy i przejść do kontrofensywy.

– Jaki on jest?

– Nie znam go bliżej, podobno to odważny i kompetentny oficer, ale bez polotu.

– Jak większość wojskowych – wtrąciła Mei.

Liu He skarciła ją strzepnięciem wachlarza, lecz nie zaprzeczyła opinii dziewczyny.

– Dlaczego pytasz, bracie?

– Muszę się z nim spotkać. Dyskretnie. Możesz mi to zorganizować?

– Pewnie tak, jednak nadal nie wyjaśniłeś dlaczego.

Rudnicki sięgnął do pasa i wyjął z sekretnej kieszonki mlecznobiały żeton. Zanim zdążył zareagować, zarówno Liu He, jak i obie dziewczyny klęczały w głębokim pokłonie.

– Przestańcie! Nie po to wam to pokazałem, żeby...

Mei nagłym susem doskoczyła do drzwi, otworzyła je gwałtownym szarpnięciem i wciągnęła do pokoju wątego mężczyznę w ubiorze służącego.

– To kuchcik z tawerny. – Liu He zmarszczyła brwi. – Co on tu robi?

– A jak myślisz? Podśluchiwał pod drzwiami! – warknął alchemik.

– Co z nim zrobić, mistrzu? – spytała dziewczyna.

Sługa uśmiechnął się głupkowato, unosząc ręce.

– Pani Gwiazda kazała mi zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz, mistrzu – powiedział.

– Perła, zejdź do kuchni i spytaj, czy to prawda – poleciała Liu He.

– Prawda, prawda! – zadeklarował służący.

Kiedy Mei odwróciła się na moment, żeby przepuścić Perłę, wyraz bezmyślności zniknął z twarzy kuchcika i ten plunął w stronę Rudnickiego. Alchemik uchylił się odruchowo, zauważywszy kątem oka błysk metalu.

Tymczasem Perła uderzyła krótkim ostrzem w brzuch służącego i pociągnęła klingę w górę. Po pokoju rozszedł się smród rozprutych jelit.

– Musiałaś go tak od razu? – rzucił gniewnie Rudnicki.

– Nie było na co czekać – odparła Perła, wycierając nóż o ubranie konającego. – O mało cię nie zabił – dodała, wydobywając ze ściany niewielką igłę. – Ta sztuczka nazywa się splunięciem smoka i uczy się jej tylko szpiegów wysokiej klasy.

– Biały Chanat?

– Albo Wędrowcy – odparła ponuro Liu He. – Niewykluczone, że zabiłyśmy brata z gildii.

– Nie ma żadnego tatuażu – zameldowała Mei.

– To o niczym nie świadczy, żaden z głęboko zakonspirowanych szpiegów Siedmiu Śmierci ich nie ma. Ale do rzeczy: zaprowadzę cię do Deszczołapa, a tymczasem dziewczyny pozbędą się trupa. Lepiej, żeby miejscowi nie wiedzieli, co zaszło, bo on mógł mieć wspólników.

– Jak? Nie wyniosą go ukradkiem, bo tawerna jest pełna ludzi!

– Nie chciałbyś wiedzieć – zapewniła chłodno Liu He. – Pozostaw to nam, a teraz w drogę!

– No dobrze, prowadź do Deszczołapa – przyzwolił alchemik.

Mam nadzieję, że generał zareaguje na żeton podobnie jak tygrysice, pomyślał Rudnicki. I że cesarz nie skasował moich pełnomocnictw zaraz po tym, jak wyjechałem ze stolicy...



Generał Tung Lu okazał się postawnym mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Smągła cera, twarz o grubych rysach i wystających kościach policzkowych czyniły go podobnym do stepowego barbarzyńcy, jednak ostre, przenikające na wskroś spojrzenie zadawało kłam pierwszemu wrażeniu. Kimkolwiek by był, na pewno nie należy go lekceważyć, doszedł do wniosku alchemik.

– Czym mogę służyć i skąd ta konspiracja? – spytał oficer bezceremonialnie.

Na polecenie Liu He Rudnicki założył na twarz maskę spacerową.

– Mój towarzysz ma dla pana polecenia – odparła kobieta.

– Polecenia?

Alchemik bez słowa pokazał żeton.

– Gwiazda cesarstwa – skinął głową generał. – Coś takiego widziałem tylko raz w życiu, w czasie buntu eunuchów kilkanaście lat temu. Oczywiście podporządkuję się wszelkim rozkazom ekscelencji, zaraz po tym jak potwierdzą pańskie uprawnienia. To potrwa kilkanaście godzin, skorzystam z poczty wojskowej.

– Tymczasem proszę powstrzymać się od przekazywania strategicznych obiektów Wędrowcom – poprosił Rudnicki. – Złoty Smok zamierza zawładnąć prowincją.

– Niewykluczone – przyznał oficer. – Szczerze mówiąc, nieco mnie zdziwiła gotowość waszej gildii do przejmowania obowiązków armii – powiedział, zwracając



się do Liu He. – Normalnie nie można się was doprosić o pomoc.

Liu He w odpowiedzi jedynie wzruszyła ramionami.

– I skąd ta gotowość do denuncjacji własnej gildii?

– Są rzeczy ważniejsze niż gildia – odparła krótko kobieta.

– Zapewne – zgodził się generał. – Jednak tak czy owak, to niespotykane zachowanie, w związku z tym będę panią prosił, aby dotrzymała towarzystwa ekscelencji, dopóki nie potwierdzą jego wiarygodności.

– Jesteśmy więźniami? – spytał Rudnicki, zdejmując maskę.

– Gośćmi – poprawił grzecznie oficer. – Jednak procedury bezpieczeństwa wymagają, abyście przez jakiś czas nie opuszczali koszar.

– W porządku – mruknęła Liu He. – Niczego innego się nie spodziewałam.

– Mamy tu bibliotekę, mój poprzednik był miłośnikiem książek, a w naszych zbiorach znajduje się sporo prohibitów. Jeśli znudzi się wam lektura, możecie poćwiczyć, moi żołnierze chętnie dotrzymają wam towarzystwa na placu treningowym, proszę jedynie nie opuszczać terenu koszar. Ekscelencjo, czy będę miał i pańskie słowo? Wolałbym, żeby nie doszło do jakichś... ekscesów.

– Doba wystarczy?

– W zupełności, nie muszę komunikować się ze stolicą, a jedynie najbliższym oddziałem wojskowego wywiadu. Na pewno ich uprzedzili, że do naszej prowincji została wysłana osoba legitymująca się gwiazdą cesarstwa.

– Więc zostanę tu do jutra do południa.

Generał Tung Lu podziękował alchemikowi płytkim ukłonem, po czym wyszedł z komnaty, usprawiedliwiając się nawałem zajęć.

– Chyba rzeczywiście odwiedzę tę bibliotekę – westchnął Rudnicki. – A ty?

– Pomedytuję.

– Zdążyłem się już zorientować, że w Wielkiej Han to może oznaczać wszystko, od „idę ćwiczyć” po „nie włącz do mojego pokoju”.

– Nie włącz do mojego pokoju. Muszę to wszystko przemyśleć – odparła Liu He bez uśmiechu. – Generał ma rację: wystąpiłam przeciwko gildii. To tak jakbyś ty zwrócił się przeciw swojej rodzinie.

– Występujesz przeciwko przywódcy, a nie samej gildii – zauważył alchemik. – Ale rozumiem, co czujesz, bo na pierwszy rzut oka wygląda to jak...

– Zdrada – dokończyła ponuro kobieta. – Zanim skonfrontuję się ze Złotym Smokiem, muszę dojść do ładu sama ze sobą.

– Myślisz, że dojdzie do konfrontacji?

– A ty nie? Jeśli Tung Lu cię posłucha, cały plan Złotego Smoka się zawali. Bez kontroli strategicznych punktów prowincji będzie mógł co najwyżej utargować co nieco dla gildii, ale w żaden sposób nie zaspokoi swoich ambicji. Przecież nie przejdzie nad tym do porządku dziennego. Wreszcie starszyzna Wędrowców to nie idioci i bardzo szybko pojmą, dlaczego Złoty Smok tak rwał się do pomocy armii i z jakiego powodu wojsko zrezygnowało ze współpracy z gildią. A to oznacza dla niego kłopoty. Najprostszy sposób minimalizacji szkód to pozbyć się nas, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

– Pojedynek? – wzdrygnął się alchemik.

– Tylko w ostateczności. Raczej każe nas zaciukać po cichu. On nie jest tchórzem, tacy się u nas nie uchowają, ale nie lubi ryzykować. Z tego, co wiem, ma ponad dwieście lat i nigdy nie był znany z nadmiernej brawury.

– Ile?!

– Dwieście. To śmiertelnie groźny przeciwnik, bo przeżył nieskończenie wiele takich starć i ze wszystkich wyszedł zwycięsko.

– No ładnie – wymamrotał Rudnicki. – Tego mi jeszcze brakowało...

– Może też idź pomedytować? – poradziła Liu He.

– Chyba tak zrobię. I poćwiczę.

– Tego nigdy dosyć, szczególnie w czasie wojny, bo nigdy nie wiadomo, kto i kiedy zechce cię zabić.

Alchemik westchnął ciężko i pomaszerował szukać biblioteki. Może znajdę coś ciekawego w tych prohibicach, pomyślał. A jeśli nie, to chociaż się czymś zajmę, żeby nie myśleć o Szron i dziewczynkach. I nie snuć planów zemsty za śmierć Natalii...



Rudnicki z grymasem zniechęcenia odłożył kolejny zwój: zachwalane przez generała prohibity zawierały głównie opisy świństwewek z czasów dawno zapomnianych dynastii i przepisy na eliksir nieśmiertelności sporządzone przez rozmaitej maści szarlatanów i sekciarzy. Biorąc pod uwagę, że owe recepty położyły trupem więcej ludzi niż niejedna wojna, nie było sensu się w nie wgłębiać.

Zanim alchemik zdecydował, co będzie robić dalej, w drzwiach stanął żołnierz w pełnym rynsztunku.

– Generał Tung Lu zaprasza cię, panie, do sali narad – oznajmił formalnym tonem.

Zaprasza, czyli nie jest tak źle, doszedł do wniosku Rudnicki. Czyżby wyjaśnił już mój status?

W obszernym pomieszczeniu oczekiwał go nie tylko generał, ale i Liu He oraz grupa oficerów.

– Ekscelencjo – skłonił się czołobitnie generał.

Po chwili ukłon powtórzyli wszyscy żołnierze.

– Imperator potwierdził pańskie uprawnienia, można powiedzieć, że został pan gubernatorem prowincji Wielkiej Rzeki czasu wojny. Jestem na pańskie rozkazy.

– Co z gildią?

– Zgodnie z pańskim poleceniem przejęliśmy wszystkie strategiczne obiekty, rezygnując ze wsparcia Wędrowców. Niestety, wywołało to pewne perturbacje.

– A konkretnie?

– Biali rozpuścili zagony wzdłuż głównych rzek, niszcząc pola i systemy irygacyjne. Jest oczywiste, że chcą wywołać klęskę głodu. Raczej nie będą atakowali miast i fortów, zbyt drogo by to ich kosztowało, ale moi ludzie nie mogą być w kilku miejscach naraz. Ponieważ obsadziliśmy szlaki komunikacyjne i zabezpieczyliśmy miasta, większość ludności cywilnej jest bezpieczna. Niestety, trzeba chronić też rolników i tereny uprawne, a na to mam za małe siły. Do tego... – Oficer wyraźnie się zawahał.

– Tak?

– Godzinę temu unieszkodliwiliśmy oddział dywersyjny, który wdarł się do naszej bazy. Oczywiście nie udowodnimy, że ci zabójcy byli z gildii, ale kontekst jest dość oczywisty.

– Oni mieli cię zabić – wtrąciła Liu He. – Spodziewaliśmy się tego, więc przygotowaliśmy z generałem zasadzkę. Jednak to nie może trwać wiecznie, prędzej czy później komuś się uda.

– Co proponujesz?

– Złoty Smok ma kłopoty, część starszyny się zbuntowała, ale większość Wędrowców nie zna całokształtu sytuacji i nadal go popiera. Jeśli nas wykończy, prędzej czy później odzyska pełną kontrolę nad gildią. Do tego Wędrowcy są potrzebni do obrony prowincji i walki

frakcyjne to ostatnie, czego nam potrzeba. Podsumowując, jedynym wyjściem jest przejęcie władzy w gildii.

– To przejmuj – wzruszył ramionami Rudnicki.

– Kiedy to nie takie proste. Nie mogę wyzwać go na pojedynki, bo gildia akceptuje jedynie walki treningowe, z drugiej strony gdybyś ty...

– Zwariowałaś?! Mam się pojedyńkować z dwustuletnim mistrzem sztuk walki?!

– To jedyne wyjście. Oczywiście możesz zginąć – przyznała. – Ale jeśli tego nie zrobisz, i tak wszystko weźmie w łeb. Z tego, co mówił generał, cesarz nie daruje ci, jeśli dopuścisz do zniszczenia prowincji.

Tung Lu oszczędnym gestem wyprosił oficerów.

– Pani Liu He ma rację – powiedział. – Mam swoich ludzi na dworze, cesarz udzielił panu poparcia jedynie warunkowo. Spora grupa wpływowych polityków tylko czeka na pańskie potknięcie i wykorzysta każdy pretekst, żeby zdyskredytować pana w oczach imperatora.

– Ciekawe, czym im podpadłem...

Oficer spojrział na Rudnickiego ze zdziwieniem.

– Naprawdę pan nie wie? Z tego, co przekazał mi wuj, wynika, że w perspektywie może pan uzyskać ogromną władzę, nic dziwnego, że dworskie koterie są zaniepokojone, bo zachwiałyby to obecnymi układami.

– Raczej je zniszczyło – poprawiła Liu He.

– Skąd te informacje?

Tung Lu zawahał się przez chwilę, wreszcie machnął ręką z rezygnacją.

– Od Gao Mena – powiedział ścisłym głosem.

– Głównego eunucha?!

– Ciszej! – syknął oficer. – Tu ściany mają uszy. Tak, to mój wuj. I może pan mi wierzyć, on nigdy by mnie nie oszukał.

Ludzie, którzy nie mogą mieć własnego potomstwa, są bardzo przywiązani do młodszych krewnych.

– Ot i wdzięczność Wielkiej Han – skomentował z goryczą alchemik. – Ja narażam życie, a pałacowe pasożyty i cesarska para knują, jak się ze mną rozprawić.

Generał zerknął nerwowo na drzwi i poprawił się na krześle.

– To niezupełnie tak – powiedział. – Imperator ma nóż na gardle, bo pałacowe elity reprezentują konkretną siłę. To przedstawiciele najważniejszych rodów. Jeśli się zbuntują, wybuchnie wojna domowa. A wtedy Biali pokonają nas w kilka miesięcy. Nic dziwnego, że Syn Nieba nie chce do tego dopuścić. Jeśli ceną za stabilność państwa będzie pańska głowa, to cesarz zapłaci ją bez mrugnięcia okiem, i niech pan nie ma złudzeń, to dotyczy nie tylko pańskiej osoby.

– Nie rozumiem?

– Jeżeli nie stanie pan do pojedynku ze Złotym Smokiem albo go przegra, następny w kolejce będę ja.

– To ma mnie uspokoić? No i dlaczego miałby pan ryzykować życie?

– Myśl, bracie! – skarciła go Liu He. – Jeśli cesarz uzna generała za zdrajcę, a uzna, jeśli straci prowincję Wielkiej Rzeki, jego rodzina odpowie wraz z nim. Dalsi krewni zostaną skazani na zesłanie, żona przejdzie na własność państwa i do końca życia będzie sługą ciała, a dzieci staną się niewolnikami na Ukrytym Dworze. Nikt z nas nie ma wielkiego wyboru.

– Ja... Muszę to przemyśleć.

– Myśl, byle nie za długo – powiedziała szorstko stara tygrysica.

Rudnicki wstał i bez słowa wyszedł z komnaty. Po drodze do swojego pokoju dwukrotnie musiał oprzeć się o ścianę,

jego ciało reagowało, jakby był pijany, a trzewia mroził mu lodowaty, zwierzęcy strach.

To koniec, pomyślał. Nigdy nie zobaczę dziewczyny, nie odwiedzę grobu Natalii, nie zemszczę się na *theokatáratos*...



Tym razem spotkali się w ogrodzie, nisko przystrzyżone krzewy gwarantowały, że nikt ich nie podsłucha.

– Co pan postanowił? – spytał niespokojnie Tung Lu.

– Wyzwę Złotego Smoka, ale na swoich warunkach.

– Co masz na myśli, bracie?

– Po pierwsze, pojedynek odbędzie się publicznie, na głównym placu w Nanjingu, pod kontrolą cesarskiej armii.

Liu He spojrzała pytająco na generała.

– W porządku, to żaden problem – odparł Tung Lu.

– Po drugie, przed pojedyńkiem sprecyzuję swoje zarzuty pod adresem Złotego Smoka.

– Mądre posunięcie – przyznał oficer. – Nawet jeśli pan przegra, pozbawi go to poparcia wśród Wędrowców.

– Po trzecie, napiszę list, a pan zobowiąże się przekazać go adresatowi do rąk własnych za pośrednictwem wojskowej poczty.

– W porządku. Komu mam przesłać pańskie pismo?

– Księżnej Chonghua.

– Zna pan Szro... – Generał urwał w pół słowa, zmrożony wzrokiem Rudnickiego. – Zgoda – powiedział szybko. – To wszystko?

– Wszystko. Tylko zorganizujcie to jak najszybciej.

– Jutro nie da rady – odparł z namysłem oficer. – Pojutrze?

– Może być pojutrze.

– W takim razie zabieram się za przygotowania – odparł generał.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytała Liu He Rudnickiego, kiedy zostali sami.

– Nie jestem pewien. Wiesz coś na temat umiejętności Złotego Smoka?

– Niewiele. Na pewno jest ekspertem miecza, widziałam kilka jego walk, ale trudno powiedzieć, jak dobrym. To były tylko starcia treningowe i z pewnością nie używał całej siły.

– Jakie są reguły pojedynku?

– Nie ma żadnych. Magia, runy, ukryta broń, możesz robić, co zechcesz, jedyny warunek to zakaz wtrącania się osób postronnych. No i to raczej nie będzie pojedynk do pierwszej krwi.

– Zdążyłem się zorientować – zapewnił sucho Rudnicki. – Jak myślisz, ta magia, którą zastosowałem przeciwko Białym, zadziała na niego?

– Na pewno. Pozostaje kwestia, w jakim stopniu. Złoty Smok walczył też z magami. I wygrywał. Z drugiej strony nigdy nie widziałam tak potężnego zaklęcia. A widziałam niejedno.

– On włada magią?

Liu He potarła skronie frasobliwym gestem, wreszcie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Nigdy niczego takiego nie demonstrował, a było kilka okazji, ale to o niczym nie świadczy. Wreszcie nawet jeśli sam nie potrafi stosować zaklęć ofensywnych, z pewnością ma jakieś osłony przeciwko magii, inaczej dawno by zginął.

Alchemik pokiwał głową.

– Jasne – westchnął.

– Jak się czujesz, bracie?



– Parszywie – stwierdził szczerze Rudnicki. – Pomijając naturalny w takiej sytuacji strach, mam kilka spraw do załatwienia, a wątpię, czy dane mi będzie je zakończyć.

– To tak jak każdy z nas, śmierć nigdy nie puka do drzwi.

– Dziękuję za wszystko, a teraz zostaw mnie samego. Muszę pomedytować.

Stara tygrysica pokłoniła mu się nisko i odeszła bez słowa. Gdzieś z oddali dochodził szczęk broni i wesołe okrzyki, najwyraźniej żołnierze nie zaniedbywali treningu, umieszczony na wieży strażniczej bęben ogłosił godzinę węża, w krzakach grały cykady. Świat trwał i miał się dobrze, być może odmierzając ostatnie godziny życia alchemika.

Rudnicki usiadł na ławce, po czym skoncentrował się na oddychaniu. Strach nie zniknął, jednak paraliżujący ruchy stupor zaczął powoli ustępować. Nieoczekiwanie alchemik uświadomił sobie, że tak jak Złoty Smok jest dla niego enigmą, on sam jest dla lidera Wędrowców taką samą zagadką. I niewykluczone, że siedzi on teraz na innej ławce, rozpatrując swoją śmiertelność.

– Cóż – mruknął pod nosem. – Nikt nie żyje wiecznie, a pewnie Natalia przygotowała mi już tam, po drugiej stronie, wygodny fotel. Prędzej czy później w nim zasiądę.

Rudnicki wstał i rozprostował ramiona, nogi ugięły się pod nim, ale niemal natychmiast opanował fizyczną słabość. Jeśli umrę, to w walce, a nie piszcząc ze strachu jak mała dziewczynka, postanowił, zaciskając zęby. No i bez względu na wynik pojedynku Złoty Smok na pewno nie zrealizuje swoich ambicji. Dobrze i to...



Rudnicki nie miał pojęcia, ilu ludzi zebrało się na głównym placu Nanjingu, na pewno były ich dziesiątki tysięcy. Podwyższenie, na którym miała odbyć się walka, otaczało morze głów, ludzie stali nawet w ulicach odchodzących od placu. W sumie nic dziwnego, bo na prośbę alchemika generał Tung Lu kazał rozwiesić plakaty z informacją o pojedynku i oskarżeniami pod adresem Złotego Smoka. Część widzów przyszła obejrzyć starcie dla rozrywki, jak powiedział Rudnickiemu Hong, w okolicy od przynajmniej stu lat nie notowano walki ekspertów tej klasy, jednak większość chciała zemsty za śmierć najbliższych: sympatia mieszkańców Nanjingu była zdecydowanie po stronie Rudnickiego, w wersję przywódcy gildii mało kto wierzył.

Rzecz jasna, Złoty Smok sprowadził i swoich zwolenników: na placu znalazła się otoczona przez cesarskich żołnierzy enklawa Wędrowców. Około tysiąca ludzi w ciężkich zbrojach, stojących w idealnym bojowym szyku, sprawiało imponujące wrażenie. Jak przypuszczał alchemik, mieli oni zapewnić bezpieczny odwrót swojemu przywódcy w razie wygranej.

Stojący na podeście Tung Lu uniósł dłoń i wokół rozległ się basowy łoskot wielkiego wojennego bębna, a z oddziałów Wędrowców wyszedł człowiek w niewyróżniającym się niczym pancerzu i masce na twarzy. Przybył Złoty Smok.

– Wszyscy znacie okoliczności, które zadecydowały o tym pojedynku – powiedział generał.

Jakiś pomniejszy czar wzmocnił głos oficera do tego stopnia, że był on słyszalny w najdalszych zakątkach placu.

– Niech zacznie się walka i oby zwyciężyła prawda! – zakończył krótko.

Zaskoczony lakonicznym wstępem Rudnicki wyciągnął miecz, tym razem było to ostrze wykute przez płatnerzy ze

szkoły Białej Kozy, maskarada nie miała już sensu. Jednak nie wyglądało na to, żeby Złoty Smok palił się do ataku, mężczyzna okręzał alchemika, obserwując każdy jego ruch z zimnym zainteresowaniem.

Rudnicki zmaterializował kilkanaście czarnych igieł i niemal niedostrzegalnym ruchem dłoni posłał je w stronę wroga. Tak jak się spodziewał, Złoty Smok bez trudu uniknął zabójczego deszczu, jednak zaraz po tym wyciągnął własny miecz. Wąskie, kruche na pozór ostrze mieniło się niczym brokat, najwyraźniej wykuł je znakomity płatnerz.

Alchemik rzucił się do ataku, wykonując skomplikowaną serię uderzeń, przez dłuższą chwilę jego ciało reagowało instynktownie, odbijając ciosy wroga. I to starcie zakończyło się remisem. Cóż, przynajmniej nie góruje nade mną w szermierce, pomyślał Rudnicki. Chyba że udaje... Nie, doszedł do wniosku. Nie w przypadku zagrożenia życia. Tyle że na pewno nie polega tylko na mieczu.

Potwierdzenie przyszło w uderzenie serca później: w stronę Rudnickiego wystrzeliły widmowe wstęgi w - kolorze zjadliwej zieleni. Alchemik zablokował je czarną tarczą.

– *Dobrze!* – rozległ się w jego umyśle głos Liu He. – *To dawno zapomniana technika nazywana „Oddechem Martwej Dziewicy”. Nie znam szczegółów, ale wiem jedno: jeśli te wstęgi dotkną twojego ciała, umrzesz.*

– *Jakim cudem możesz ze mną tak rozmawiać? Już wcześniej miałem cię o to spytać.*

– *Zwariowałeś? Nie teraz! Skoncentruj się na walce.*

– *To trucizna?*

– *Prawdopodobnie. I to nie z naszego świata. Podejrzewam, że antidotum nie istnieje.*

– *Jak to „nie z naszego świata”?*

– *Później ci wytłumaczę, teraz...*

Nieoczekiwanie w rękach Złotego Smoka pojawiła się halabarda i alchemik tylko desperackim saltem uniknął przecięcia na dwoje.

– *Skąd on to wziął?!*

– *Niektórzy magowie mogą podobno trzymać różne przedmioty w czymś w rodzaju kieszeni czasoprzestrzennej.*

Rudnicki zaklął, przypomniawszy sobie skrytkę alchemika Ho Kunga.

– *I co tam mogą umieścić?*

– *Nie mam pojęcia. Niektóre kroniki wspominają nawet o rydwanach bojowych...*

Alchemik stęknął, broniąc się przed kolejnym atakiem Złotego Smoka. Jak się wydawało, lider Wędrowców dużo lepiej władał halabardą niż mieczem i Rudnicki z wolna spychany był do defensywy.

– *Trzymaj się, bracie!*

Niespodziewanie w stronę alchemika znowu poleciały widmowe wstęgi, ale tym razem Rudnicki zdołał odbić tylko jedną i poczuł, jak jego lewa dłoń drętwieje.

– *Bracie!*

– **DASZ' DANTHAR!**

Słowo mocy zahuczało głucho, Rudnicki opadł na kolano, słysząc wysilone łomotanie własnego serca, ale i Złoty Smok zatrzymał się w pół ruchu. Alchemik dźwignął się z podestu, podszedł do wroga chwiejnym krokiem i uderzył z całej siły. Ochryply wrzask niemal go sparaliżował, a potężna dwuręczna klinga przerąbała zbroję i obojczyk przeciwnika, po czym ugrzęzła, jakby ciało przywódcy wędrowców zrobione było z twardego drewna.

Rudnicki uwolnił miecz, pomagając sobie kopniakiem, i uderzył ponownie, i jeszcze raz. Złoty Smok wił się niczym nadeptany robak, zdawało się jednak, że jego demoniczna

żywołność nie zna granic i przywódca gildii za chwilę wstanie i wróci do walki.

– DASZ’ DANTHAR! – krzyknął po raz drugi alchemik.

Zimne, stalowe pazury zaczęły rozrywać wnętrzności Rudnickiego, a z jego ust buchnęła fala czarnej krwi, jednak Złoty Smok wreszcie znieruchomiał.

Wrzeszcząc z bólu przy każdym ruchu, alchemik odrąbał głowę przeciwnika. Gdzieś z oddali dochodziły go okrzyki tłumy i głos generała Tung Lu, ale po chwili wszystko utonęło w mroku i Rudnicki zapadł w nieświadomość.



Ocknął się, czując, jak jego lewa ręka pulsuje bólem, wzdrygnął się z przerażenia, widząc gnijącą ranę.

– Co się... Co się dzieje? – wychrypiał.

Przez chwilę szare ściany zawirowały wokół alchemika i Rudnicki z trudem powstrzymał mdłości.

– Gdzie jestem?

– W świątyni – odpowiedziała Liu He. – Zabrałam cię tu zaraz po walce.

– Co z...

– Wygrałeś pojedynek, ale Złoty Smok zdążył cię zatruć, teraz umierasz – poinformowała go rzeczowo stara tygrysica. – Założyłam ci opaskę uciskową, ale to tylko przedłuży agonię.

– Jest jakiś sposób, żeby...

– Nie wiem. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o świątyni sztuk walki?

Rudnicki skinął głową.

– To nie była alegoria. No, nie do końca alegoria. Miejsce, w którym się znajdujemy, to pierwsza taka świątynia na tych ziemiach, być może w naszym świecie. Nikt nie wie,

kto i kiedy ją wybudował, jedno jest pewne: tu nikt nie machał mieczem, tu zawierano pakt.



– Pakty? – powtórzył bezmyślnie alchemik.

– Coś za coś – powiedziała niecierpliwie Liu He. – Nikt nie wie, z kim zawiera się te układy, ale grunt, że działają. Trzeba tylko złożyć ofiarę.

– Jaką, do licha, ofiarę?!

– Jaką chcesz. Byli tacy, którzy obcinali sobie palce, ranili się specjalnie albo zabijali żonę czy dzieci, aby stać się niepokonanymi wojownikami...

– Naprawdę zabijano tu...

– Naprawdę – ponownie weszła mu w słowo Liu He. – Ciała wrzucano do studni na dziedzińcu.

– I to działało?!

– O tak.

– Po co mnie tu przyprowadziłaś?

– Przyniosłaś – poprawiła spokojnie kobieta. – Żebyś złożył ofiarę. I żeby Studnia Dusz cię uleczyła.

– Tak się nazywa ta świątynia? Studnia Dusz?

– Owszem, i jak sam rozumiesz, nie bez powodu.

– Nie zabiję nikogo!

– Odetnij sobie rękę.

– Zwariowałaś!

– To twoja jedyna szansa, o ile Studnia Dusz przyjmie twoją ofiarę. Spójrz na ranę, jesteś przecież medykiem. Tak jak mówiłam, na tę truciznę nie ma lekarstwa.

Rudnicki przygryzł wargi: smród gnijącego mięsa i opuchnięta niemal po łokieć ręka nie pozostawiały złudzeń co do stanu rany, a przeraźliwy ból świadczył, że proces nadal postępuje.

– Mam jeszcze trochę *materia prima*! Mogę przyrządzić...  
– urwał, widząc wyraz twarzy rozmówczyni.

– Została ci godzina życia, może dwie. A jeśli trucizna dostanie się powyżej łokcia, nie będzie już ratunku, bo porazi serce. Nie masz czasu. I jeszcze raz zapewniam cię, że nie pomogą żadne eliksiry, nawet z *materia prima*.

– Przecież nie przeprowadzę sam sobie amputacji! Chyba że byś ty?

– Nie, tu nie chodzi o amputację, tylko o ofiarę. Żadna amputacja cię nie uratuje, tylko ofiara. O ile Studnia Dusz ją przyjmie. Kroniki wspominają o kilku zaledwie przypadkach użycia tej trucizny, w czasach przed Rozłamem. Próbowano wszystkiego: i amputacji, i *materia prima*, i wymiany krwi. Nic nie podziałało.

– Wymiany krwi?

– To sekretny rytuał, znany jedynie nielicznym i niemal niestosowany.

– Taki trudny?

– Nie, po prostu żaden normalny człowiek się na to nie zgodzi. Kiedyś księżniczka z dynastii Wei została zraniona zatrutą strzałą. Żadne środki medyczne nie podziałały, więc kiedy leżała nieprzytomna, jej mąż i syn oddali swoją krew, a wraz z nią i życie, aby uzdrowić żonę i matkę. Kiedy odzyskała przytomność i dowiedziała się o ich ofierze, rzuciła się z urwiska. W przypadku Oddechu Martwej Dziewicy nawet to nie działa.

– Więc...

– Więc zrób to. Pomogę ci dojść do studni.

Rudnicki spróbował coś powiedzieć, lecz kolejny spazm bólu niemal go sparaliżował.

– Dobrze – wycedził po chwili przez zęby.

Liu He wzięła go pod zdrowe ramię i powlokła do wyjścia. Jak zauważył alchemik, bez większego trudu; najwyraźniej i w ludzkiej postaci zostało jej coś z tygryziej siły.

Kiedy wyszli na dziedziniec, Rudnicki odruchowo poszukał wzrokiem studni. Ta nie wyglądała zbyt imponująco, jedynie popękane ocembrowanie z cegły



świadczyło, że konstrukcja powstała setki, o ile nie tysiące lat temu. Studnię otaczał wał ludzkich kości.

– Te szczątki to pozostałości po tych, których ofiara nie została przyjęta – powiedziała Liu He, przechwytyjąc spojrzenie Rudnickiego.

– Są jakieś zasady?

– Być może, jednak nikt nie wie jakie. Składając ofiarę, rzucaś na szalę swoje życie.

Alchemik wyzwolił się z uchwytu starej tygrysicy i jeszcze raz ocenił ranę.

– Trzeba ciąć jakieś trzy centymetry poniżej łokcia – wymruczał. – Musisz przesunąć opaskę uciskową.

– Nic z tego – pokręciła głową kobieta. – Nie da rady. Jeśli studnia cię zaakceptuje, zostaniesz uleczony, a więc nie będzie żadnego krwotoku. Jeśli nie, tak czy owak umrzesz, opaska czy brak opaski niczego tu nie zmienia.

Rudnicki jeszcze raz spojrział z desperacją na ranę, ale nic się nie zmieniło, więc alchemik wziął głęboki oddech i przywołał czarny miecz, po czym z przeraźliwym okrzykiem ciął powyżej opuchlizny. Ból wyszedł poza skalę, widać żadne moce nadprzyrodzone nie zamierzały przejmować się znieczuleniem, jednak Rudnicki nie stracił przytomności.

– Pierdolona studnia... – wydyszał. – Jeszcze żyję. Czy może mój los dopiero się rozstrzygnie?

– Nie, już po wszystkim – zapewniła Liu He. – Tylko nie przeklinaj, bo cię zaknebluję. Wolałabym nie widzieć, jak duch tego miejsca zareaguje na coś takiego.

– I co teraz? – spytał gorzko alchemik. – Jak będę walczył jedną ręką?

– Och, wymyślisz coś.

– Jasne! Tyle dobrego, że ból powoli mija – dokończył już spokojniej. – I nie widać opuchlizny na kikucie. Bo nie

widać?

– Nie będę tego oglądać! – oświadczyła stanowczo Liu He.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Nie zrozumiałeś mnie, bracie. My nie możemy oddzielić umysłu tygrysa od umysłu człowieka, nie do końca, mimo zmiany postaci. A dla tygrysa krew jest... no cóż, ekscytująca. Zapewniam cię, że nie chciałbyś, żebym dała upust emocjom.

– Już dobrze – mruknął Rudnicki. – Nie będę cię więcej nagabywał. Rozumiem, że jestem definitywnie uleczony?

– Tak, i nie tylko.

– To znaczy?

– Świątynia przyjęła twoją ofiarę, a to znaczy, że otrzymasz coś w zamian. Co, to musisz odkryć już sam, pewne jest tylko, że będzie to dotyczyło sztuk walki.

– Jakąś zdolność, technikę?

– Możliwe jest to i to. Naprawdę nie wiem. Ale tym zajmiemy się później, teraz musisz odpocząć.

Alchemik mruknął potakująco i pozwolił poprowadzić się do budynku. Wygląda na to, że przeżyję, pomyślał. Jeśli jeszcze uda mi się namówić Wędrowców do współpracy z wojskiem, wyrzucimy Białych z prowincji i będę mógł pomóc księżnej, a później wrócić do swojego świata, niechby i na chwilę.



Liu He podała herbatę i spojrzała pytająco na Rudnickiego: alchemik poprosił ją o spotkanie zaraz po powrocie do Nanjingu.

– O czym chciałeś porozmawiać, bracie?

– O przejęciu władzy nad Wędrowcami. Najwyższy czas włączyć was w kampanię przeciwko Białym.

– Rzeczywiście, najwyższy czas. Jeszcze dzisiaj umówię cię z liderami, to rozsądni ludzie i powinni bez problemu zaakceptować twoje przywództwo.

Rudnicki zakrzuszył się herbatą i rozkaszał bezradnie.

– Czyje przywództwo?! Myślałem, że teraz, po śmierci Złotego Smoka, ty pokierujesz gildią. I jak bezręki kaleka może przejąć władzę nad gildią wojowników? Chcesz, żeby mnie zabili w pierwszym pojedynku?

– Nie będzie żadnych pojedynków – odparła cierpliwym tonem Liu He. – Pamiętasz, co ci mówiłam? Członkowie gildii mogą toczyć jedynie walki treningowe. No i jak to sobie wyobrażasz? Zabiłeś człowieka uznawanego za jednego z najwybitniejszych ekspertów Wielkiej Han i myślisz, że każdy obszczymurek rzuci się od razu poprobować szczęścia? Zapomnij! Przez pięćdziesiąt, a może i sto lat wszyscy będą się zastanawiać, jakim cudem zwyciężyłeś w tym starciu. Nawet ludzie notowani dużo wyżej przez archiwum góry Tan.

– Nie będę przewodził waszej gildii! Mam tyle spraw na głowie, że nie dałbym rady, nawet gdybym chciał. A nie chcę. Władza nigdy mnie nie pociągała.

– Nikt cię nie pyta, to konieczność. W żaden inny sposób nie zmusisz gildii do współpracy. Moi współpracownicy to dumni ludzie, nigdy nie będą wypełniali rozkazów wojskowych ani nawet samego cesarza, bo gildia przez stulecia chlubiła się swoją niezależnością.

– Ale...

– Możesz stękać choćby i pół roku, ale w żaden sposób nie zmieni to sytuacji – przerwała mu bezceremonialnie Liu He.

– No i pomyśl o korzyściach.

– Jakich, do licha, korzyściach?! – wrzasnął rozwścieczony alchemik. – To kolejne jarzmo, które chcecie mi nałożyć, żeby orać mną jak wołem!

Stara tygrysyca przewróciła oczyma i przez dobre kilka minut pozwoliła Rudnickiemu narzekać.

– Skończyłeś już? – spytała wreszcie spokojnie. – Jeśli tak, to może przedstawię ci plusy tej sytuacji?

– Słucham – przyzwolił wyczerpany atakiem złości alchemik.

– Przede wszystkim staniesz się nietykalny.

– To ma być żart?

– Bynajmniej. Nasza gildia liczy ponad dwieście tysięcy dusz i każdy jest ekspertem sztuk walki. Większość plasuje się na drugim lub trzecim poziomie rozwoju *chi*, ale są i lepsi, dużo lepsi, poza tym są tacy jak ja: poza skalą. Nikt na świecie, nie wyłączając cesarza czy chana Białych, nie wyda z lekkim sercem rozkazu, aby cię zabić, bo będzie wiedział, że gildia się zemści. Wierz mi, były precedensy. Oczywiście to nie daje absolutnej pewności, ale tak czy owak, twój poziom bezpieczeństwa podskoczy w górę. No i Wędrowcy będą cię ochraniać, w gildii jest specjalna komórka, która zajmuje się bezpieczeństwem liderów. Bardzo sprawna komórka. Zupełnie bez związku powiem, że nasi ludzie rozsiani są po całym świecie, nie tylko w Wielkiej Han, i wystarczy twój rozkaz, aby pomogli księżnej Chonghua czy każdemu innemu, komu polecisz pomóc. Konkludując, naprawdę na tym skorzystasz.

– A co na to wasi? Pewnie nie jestem wśród nich zbyt popularny? Nikt nie będzie się chciał zemścić za śmierć Złotego Smoka?

– Zabiłeś go w uczciwym pojedynku, a to akceptowalne, w końcu jesteśmy gildią wojowników. On nigdy nie był zbyt lubiany, szanowany i owszem, ale nie lubiany, a ostatnie wypadki mocno podkopały jego autorytet. Wreszcie obejmując przywództwo nad gildią, staniesz się „nasz”. Nie przewiduję jakichkolwiek sprzeciwów.

– Daj mi się zastanowić – poprosił Rudnicki.

– Zastanawiaj się, byle niezbyt długo, bo jak znam życie, generał Tung Lu w napięciu oczekuje twojej decyzji. I nie tylko on, cesarz ma przecież swoich szpiegów. Tak czy owak, radziłabym ci nie przeciągać decyzji, bo dopóki nie zostałeś naszym liderem, wszystko jest możliwe.

Alchemik uciszył tygrysicę gniewnym gestem i łyknął herbaty. Kolejna propozycja nie do odrzucenia, pomyślał z goryczą. Liu He nie wiedziała, jak bardzo aktualna jest jej ocena sytuacji. Jeśli do imperatora dojdzie wieść, że pewien alchemik może zostać przywódcą największej organizacji wojowników w kraju, niewykluczone, że ktoś na dworze uzna, iż trzeba usunąć zagrożenie...

– Nie znam was – powiedział po chwili milczenia Rudnicki. – A takie stanowisko to nie synekura, pewnie sto różnych spraw czeka na załatwienie.

– Pewnie bliżej tysiąca – poprawiła Liu He. – Ale to żaden problem, od Złotego Smoka wymaga się rozwiązywania kwestii strategicznych, od spraw bieżących jest Rada. Wreszcie możesz mnie wyznaczyć swoją zastępczynią, a wtedy pomogę ci we wszystkim – dodała, wzruszając ramionami.

– Rzeczywiście mogę?

– Możesz prawie wszystko, poza otwartą zdradą ludności Wielkiej Han. Władza Złotego Smoka jest niemal absolutna, u nas nie ma demokracji.

– Cesarz nie będzie zadowolony...

– Pewnie szlag go trafi, a banda pałacowych eunuchów dostanie sraczki ze strachu – przyznała stara tygrystica. – Tylko jakie ma to znaczenie? Kiedy staniesz się Złotym Smokiem, to ty będziesz dyktował warunki.

– Jestem obcy, pochodzę nie to, że z innego kraju, ale z innego świata. Tak ogromna władza...

– A myślałam, że już przestałeś marudzić – westchnęła Liu He. – Fakt, że jesteś z zewnątrz, to ogromna zaleta, nie wada, bo wszyscy będą wiedzieć, że nie jesteś uwikłany w lokalne układy. Jeśli skończyłeś już uzalać się nad sobą, powiedz, co mam przekazać Radzie.

– Co to za Rada?

– Dwadzieścia osób. Przywódcy lokalnych ugrupowań i osoby sprawujące najważniejsze funkcje w organizacji. Nasz ostatni lider zawsze się od nich dystansował, więc nie ma wśród nich jego zaufanych, każdego z dwudziestki wybierają lokalne struktury i choć Złoty Smok ma prawo weta, on nigdy z niego nie korzystał, a w realizacji własnych planów polegał tylko na sobie. To uczciwi ludzie.

– A ty?

– Ja też wchodzę w skład dwudziestki.

– Jaką funkcję pełnisz?

– Czerwonego kija.

– Słucham?!

– Podlega mi wywiad i kontrwywiad, do moich obowiązków należy też karanie zdrajców – wyjaśniła z kamienną twarzą Liu He.

– Ro... rozumiem.

– Twoja decyzja, bracie? – ponagliła tygrysica.

– Niech będzie. Zostanę Złotym Smokiem.

– W takim razie jeszcze dziś powiadomię Radę, a jutro zostaniesz formalnie mianowany przywódcą Wędrowców.

– To jakaś ceremonia?

– Nic wielkiego, jesteśmy ludźmi czynu i nie lubujemy się w uroczystościach. Wszyscy członkowie Rady złożą ci pokłon i przysięgną wierność.

– Co mam robić? Znaczy dzisiaj – doprecyzował.

– Odpoczywaj. Będą cię pilnowały moje dziewczyny. To konieczne – uprzedziła protest Rudnickiego. – Jeszcze nie

jesteś nietykalny. I nie daj im się uwieść, Perle od dawna cieknie ślinka na sam twój widok.

– Mam nadzieję, że nie dosłownie – mruknął alchemik.

– Och, nie, ona cię nie zje. Choć nie zakładałabym się, że nie pogryzie...

– Idź już! – poprosił sucho Rudnicki. – Muszę pomedytować.

Jeśli będę miał syna, obiję mu tyłek przy najmniejszej wzmiance o przygodach i ratowaniu dziewic w potrzebie, postanowił alchemik. Proszki na potencję, oto przyszłość zawodu aptekarza!



Nie wszyscy przywódcy gildii przybyli do Nanjingu. Wliczając Liu He, było ich trzynastu. Jak wyjaśniła stara tygrysica, kilku było zaangażowanych w „niecierpiące zwłoki sprawy”, a inni znajdowali się zbyt daleko, żeby zdążyć na spotkanie. Jednak zgodnie ze statutem organizacji wystarczyło, że większość liderów złożyła mu przysięgę wierności.

Sama ceremonia nie trwała zbyt długo: Rudnicki zasiadł za stołem, a członkowie Rady wyrecytowali kilkuzdaniową przysięgę, po czym pokłonili mu się bez specjalnej czolołbitności.

– To wszystko – oznajmiła oficjalnym tonem Liu He. – Od teraz jesteś, panie, Złotym Smokiem.

– Bez formalności – poprosił alchemik. – Mamy wiele do zrobienia, a wy na razie dużo lepiej ode mnie orientujecie się w sprawach gildii.

– Bez formalności? Niech będzie – powiedział siwobrody, szczupły starzec. – W takim razie powiedz nam, do czego dążysz, bracie. Bo słyszeliśmy, że starasz się o wysokie

stanowisko przy dworze, i niektórzy obawiają się, że może to kolidować z niezależnością naszej organizacji. Większość z nas to obywatele Wielkiej Han, dlatego w wielu kwestiach wspieramy państwo, ale nie będziemy wypełniać bezrefleksyjnie rozkazów cesarza.

– To Północny Wiatr, przywódca okręgu Lanjou – przedstawiła go Liu He.

– Podasz herbatę? – poprosił Rudnicki. – Bo zanim skończymy rozmawiać, niejednemu z nas zaschnie w gardle.

– Natychmiast, bracie.

Kiedy Liu He opuściła salę, wśród liderów rozległ się szmer zdumienia.

– Pierwszy raz w życiu widzę, żeby Liu He komuś usługiwała – powiedział Północny Wiatr. – Chyba dobrze wybraliśmy mistrza.

– Może wrócimy do tematu? – zaproponował cierpko alchemik.

– Słuchamy – skinął głową siwobrody.

Rudnicki odetchnął głęboko, po czym przedstawił pokrótce okoliczności, jakie sprowadziły go do tego świata, i skomplikowane relacje łączące go z cesarzem i rodem Nin.

– Czyli musisz popierać księcia Nina? – odezwał się z z troskaniem w głosie Północny Wiatr.

Jak się wydawało, mężczyzna był rzecznikiem wszystkich obecnych.

– Nie muszę. Mogę – poprawił Rudnicki. – Nie mogę jedynie dopuścić do zagłady rodu, bo wtedy sam zginę.

– Naprawdę chcesz zostać Sługą Cesarstwa?

– Nie mam wyjścia. Trzeba powstrzymać Białego Chanat i usunąć zdrajców z otoczenia imperatora, no i chciałbym wrócić do swojego świata, choćby na jakiś czas, a to wymaga zezwolenia władcy i pomocy cesarskich magów.



– No dobrze – westchnął Północny Wiatr. – Teraz i tak nie rozwiążemy wszystkich problemów, zastanówmy się lepiej, co robić z Białymi.

– Przerwa na herbatę – oznajmiła Liu He, stając w drzwiach. – A jeśli jeszcze raz usłyszę coś o usługiwaniu, to z czaszki pewnego starego pierdziela zrobię sobie pucharek do wina.

Zebrani wybuchnęli śmiechem, a siwobrody skłonił się z przesadną atencją.

– Niegodny przeprasza najmocniej – rzucił z udawaną powagą.

Tymczasem Mei i Perła podały herbatę, po czym opuściły pomieszczenie.

– Na czym stanęliśmy? – spytała Liu He.

– Na rozważaniach, jak pomożemy armii w wyrzuceniu stąd Białych – odpowiedział alchemik.

– I jak?

– Co proponujesz? – odbił pytanie Rudnicki.

– Ja? To ty decydujesz. Twój... poprzednik raczej nas nie przyzwyczaił do zbytnej samodzielności.

– Zdecyduję – zapewnił Rudnicki. – Nie mam zamiaru uchylać się od odpowiedzialności, ale chciałbym najpierw poznać wasze zdanie. I zapomnijcie o dawnych zasadach! Oczekuję, że będziecie mi pomagać i wspierać mnie na wszelkie sposoby, także radami. I obiecuję, że nikomu nie będę miał za złe, jeśli przedstawi zdanie odmienne od mojego. Rozumiem, że to nie zadziała od razu, musimy nabrać do siebie zaufania, ale może spróbujemy? Siostro?

Liu He w zamyśleniu postukała palcami po stole z wyraźnie niezadowoloną miną.

– Dlaczego ja? – spytała.

– Bo ty jako jedyna wiesz, że możesz mi ufać! – odpalił gniewnie alchemik. – Więc?

– Rzeczywiście wiesz? – spytał łagodnie Północny Wiatr.

– W czasie walki w Wąwozie Kulawego Konia Biali mnie otoczyli, wtedy ten matolek rzucił mi się na pomoc i zarządził kontratak – odparła, odwracając wzrok. – Istotnie można mu ufać.

– Więc? – ponaglił Rudnicki.

– Dywersja i sabotaż – odpowiedział Północny Wiatr.

– Słucham?

– Na terenie prowincji Wielkiej Rzeki mamy jakieś trzydzieści tysięcy ludzi. Wszyscy to eksperci sztuk walki, ale mało kto był w wojsku, bo u nas to niezbyt popularny zawód. Do armii idą głównie biedacy, którzy nie mają co do gęby włożyć, i szlachta chcąca zrobić karierę polityczną. Konkludując: mamy świetne kadry do działalności dywersyjnej, natomiast nie możemy mierzyć się z regularnymi oddziałami Białych, bo nasi ludzie nie byli szkoleni w zakresie walki zespołowej.

– To rozsądne podejście – przyznał alchemik. – Co proponujesz?

Mężczyzna wyciągnął z zanadrza mapę prowincji na jedwabnym zwoju.

– Po odparciu głównego ataku w Wąwozie Kulawego Konia Biali założyli trzy obozy, wszystkie niedaleko Nanjingu, w widłach rzek Huai He i Mian He. Nasze wojsko zostawiło je na razie w spokoju, bo są znakomicie ufortyfikowane, dlatego frontalny atak nie ma sensu. Jednak gdyby zmusić Białych do ewakuacji, te wszystkie zalety zamieniłyby się w śmiertelną pułapkę.

– I jak chcesz to zrobić? – wtrąciła Liu He.

– Nasi zwiadowcy obliczają siły Białych na jakieś sto tysięcy, nie licząc Hordy. W sumie dwieście, góra dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Tak wielka armia wymaga ogromnych ilości jedzenia, więc Biali nieustannie ściągają

żarcie z bliższej i dalszej okolicy. Jeśli zatrujemy żywność, jaką mają w magazynach, i uniemożliwimy aprowizację, będą musieli się wycofać w trybie alarmowym, mając na karku cesarską armię. Mimo że generał Tung Lu dysponuje oddziałami liczącymi jedynie osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy, w sytuacji wymuszonego odwrotu połączonego z koniecznością forsowania rzek jest w stanie jeśli ich nie pobić, to poważnie przetrzepać. No i jest jeszcze pospolite ruszenie. Biorąc pod uwagę zbrodnie Białych i nasz ostatni sukces, ochotników raczej nie zabraknie. Myślę, że możemy liczyć na dodatkowe czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy mieczy.

– To dobry plan – powiedział z aprobatą Rudnicki. – Trzeba go tylko uzgodnić z generałem. A co wy o tym myślicie?

– Północny Wiatr zawsze był najlepszy w kwestiach taktycznych, proponowałabym pozostawić mu detale operacji, ty musisz dogadać się z Tung Lu – odparła stara tygrysica.

– Niech tak będzie – zdecydował Rudnicki. – Pozostali zajmą się swoimi obowiązkami, a ty będziesz mi towarzyszyć jako konsultantka, bo pewnie jest wiele spraw związanych z gildią, o których nie mam pojęcia.

– W takim razie pozostaje jedynie ustalić, kto zajmie się organizacją zewnętrznego kordonu – oznajmiła Liu He.

– Czego?

– Twoja ochrona składa się z dwóch elementów: wewnętrzny kordon to ludzie, którzy będą pozostawali w pobliżu ciebie i w razie czego obronią cię przed bezpośrednim atakiem, tym zajmę się ja i moje dziewczyny. Kordon zewnętrzny to agenci gildii, którzy postarają się zlikwidować zagrożenie, zanim dojdzie do zamachu – wyjaśniła tygrysica. – Do tej pory zajmował się tym brat Li.

Oczy zebranych zwróciły się na niskiego, łysego mężczyznę o nijakiej twarzy, ubranego w szatę dziwnie zlewającą się z tłem. Rudnicki miał wrażenie, że gdyby odwrócił na chwilę wzrok, tamten wtopiłby się w ścianę.

– Ale? – odezwał się alchemik. – Bo w twoim głosie wyczuwam wyraźnie ale.

– To on wysłał oddział, który miał cię zabić. Wtedy w koszarach.

Rudnicki zmarszczył brwi, a twarz łysego w mgnieniu oka pokryła się potem.

– Co proponujesz?

– Może niech najpierw wypowie się brat Li.

– Wykonywałem swoje obowiązki – odparł mężczyzna, nie spuszczając wzroku.

– A co teraz z twoimi obowiązkami? – spytał gniewnie Rudnicki. – Czy mogę ci zaufać?

– Złożyłem przysięgę, jak i wszyscy.

– Siostrze?

– Sam decyduj – wzruszyła ramionami Liu He. – Równie dobrze możesz go zaakceptować, jak i zabić.

– Mogę mu zaufać?

Stara tygrysyca udała, że się zastanawia, z zadowoleniem obserwując niepokój łysoła.

– Bo ja wiem...? – powiedziała wreszcie.

– Gdybyś miała sto lat mniej, przetrzepałbym ci tyłek! – warknął alchemik.

– Gdybym miała sto lat mniej, chętnie bym się poddała tej procedurze...

– Widzę, że nie będziemy się nudzić na naradach – zauważył z wyraźnym rozbawieniem Północny Wiatr.

– Brat Li nigdy nie złamał danego słowa – przyznała tygrysyca pod surowym spojrzeniem Rudnickiego.

– W takim razie niech wykonuje swoje obowiązki. I koniec na dzisiaj!

Mam nadzieję, że podjąłem słuszną decyzję, pomyślał chmurnie Rudnicki. Bo jeśli nie, szybko się o tym przekonam...



Alchemik wyregulował ostrość i jeszcze raz spojrzął przez lornetkę: w najwęższym miejscu rzeka Mian He miała szerokość około pięćdziesięciu metrów i wojska Białych niemal ukończyły trzy mosty pontonowe, chcąc jak najszybciej przerzucić oddziały na drugą stronę. Urwisko, z którego obserwowali przeprawę, pozwalało widzieć ruchy wroga w najdrobniejszych detalach.

– Pozwolimy im przejść na naszą stronę – odezwał się generał Tung Lu.

– Nie lepiej uderzyć na nich w trakcie ewakuacji? – spytał Rudnicki.

– Och, nie przepuścimy całej armii! Powiedzmy, jakieś dwadzieścia tysięcy, tyle, żeby poczuli się pewnie i umocnili na drugim brzegu. Zwycięstwo mamy w zasięgu ręki – zapewnił.

– A to dlaczego?

– Wśród ich zwiadowców nie ma ani jednego maga – wyjaśnił enigmatycznie oficer.

– I co z tego?

– To najwęższy odcinek rzeki, nie było trudno przewidzieć, że właśnie tędy zechcą przeprować się Biali. Dlatego kazałem założyć ładunki wybuchowe wzdłuż brzegu na przestrzeni jakichś dwustu metrów i moi magowie mogą je zdetonować w każdej chwili. W ten

sposób zniszczę mosty i odetnę oddziały na tym brzegu od reszty armii.

– No dobrze, to dwadzieścia tysięcy, a co z resztą?

– Oni nigdzie nam nie uciekną, po prostu przegrupują się i spróbują przeprawy w innym miejscu.

– A gdyby byli mądrzy?

Tung Lu wskazał rozłożoną na trawie mapę.

– Ich fortyfikacje mają kształt trójkąta – powiedział. – Z dwóch stron bronią ich rzeki, z trzeciej wał ziemny i fosa. Moje oddziały zablokowały ich od tej strony, więc spróbowali przeprawy, a gdyby byli mądrzejsi, zaatakowaliby pełną siłą nasze umocnienia i przebili się drogą lądową, prawda, że tracąc pół armii.

– I co dalej?

– Moi ludzie też potrafią budować umocnienia i właśnie to robią, u podstawy tego trójkąta. Za kilka godzin tam, gdzie są teraz zasieki, powstanie wał i fosa. Wtedy znajdą się w potrzasku.

– A jeśli zorientują się wcześniej?

– Nasza głowa w tym, żeby dostarczyć im zajęcia – odparł spokojnie generał.

– Jak?

– Mam kilka pomysłów, ale teraz musimy zająć się naszymi gośćmi, pierwsza forsować rzekę będzie Horda.

Generał Tung Lu zwany Deszczołapem nie podniósł głosu, jednak alchemik poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa i w jednej chwili pojął dwie rzeczy: po pierwsze, jego rozmówcy na pewno nie brakowało polotu, a po drugie, zainteresowanie oficera Hordą grubo wykraczało poza profesjonalny obowiązek.

Początkowo rzekę przekroczyło kilka tysięcy obszarpańców w czerwonych turbanach, jednak w ślad za

nimi zaczęły się przeprowadzać regularne oddziały. Kusznicy, ciężkozbrojna piechota, wreszcie lekka kawaleria.

Kawalerzyści wspierani przez Horde natychmiast rozpiechli się we wszystkich kierunkach, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma przeciwnika. Po kilkunastu minutach dali sygnał głównym siłom armii chanatu.

– Po naszej stronie jest już przynajmniej piętnaście tysięcy żołnierzy – powiedział nerwowo Rudnicki. – Czy nie czas...

– Jeszcze nie – przerwał mu Deszczolap. – No i najwyżej dwanaście.

Alchemik zagryzł wargi, widząc, jak kolejne oddziały formują szyk, ustawiając się w idealne czworoboki – najwyraźniej armia Białych złożona była z weteranów.

– Gdzie są nasi żołnierze?

– Kilka kilometrów stąd, nie możemy dać się zauważyć przed czasem.

Rudnicki zaklął pod nosem: jeśli oficer mówił prawdę, a nie miał powodu kłamać, w obecnej chwili przeciwnikiem niemal dwudziestotysięcznej armii był on sam, Liu He i jej strażniczki oraz kilkuosobowa ochrona generała.

– Mówili już panu, że jest pan wariatem? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Kilka osób – przyznał Tung Lu. – Ale co oni tam wiedzą?

Oficer sięgnął za pazuchę i po chwili w niebo poszybowała czerwona rakietka.

Wybuchy następowały po sobie tak szybko, że całość przypominała serię z karabinu maszynowego: wszystkie trzy mosty zostały całkowicie zniszczone, a przeraźliwe krzyki i eksplozje wśród już sformowanych oddziałów Białych świadczyły, że Tung Lu zaminował nie tylko brzeg.

– Teraz możemy mieć mały problem – poinformował generał. – Nasi będą tu za kwadrans, a do tego czasu... –

Rozłożył wymownie ramiona.

– Za kwadrans?

– Ciężka kawaleria i konni łucznicy. Szybciej nie da rady.

– I co zrobimy?

– Cóż, spróbujemy ich powstrzymać.

– To ma być żart?!

– Och, to urwisko ma prawie trzydzieści metrów wysokości. Nie wejdą tu tak łatwo.

– Akurat! – wrzasnął Rudnicki, wskazując grupę wyposażonych w drabiny saperów.

– Drabiny są za krótkie – zapewnił Tung Lu.

Oficer podniósł się i stanął na szeroko rozstawionych nogach, po czym uniósł w górę zaciśnięte pięści, jakby chciał wygrażać niebu.

– Co pan robi, do licha?!

Odpowiedź nadeszła wraz z ognistym deszczem, który poraził oddziały Białych, zamieniając większość żołnierzy w żywe pochodnie.

– To... powinno wystarczyć – wymamrotał Tung Lu.

– Dlaczego już do nas nie biegną?

– Ziemia... zaścielona jest... gorącym popiołem i żwirem – wyjaśnił oficer, ciężko dysząc.

Zaniepokojony alchemik postąpił krok naprzód i złapał go pod ramiona.

– Co panu jest?

– Lekkie osłabienie. Te magiczne sztuczki wymagają sporo wysiłku. Ale za chwilę będzie mi...

Niespodziewanie oficer zaklął wściekle i odepchnął Rudnickiego.

– Co się dzieje?!

– Żuki! Pierdolone Żuki! – wykrzyknął Deszczolap, wskazując kotłującą się armię Białych.



Z wywołanego magicznym atakiem chaosu wyłonił się kilkusetosobowy oddział zmierzający biegiem w stronę urwiska. Tung Lu ponownie wznosił dłonie w górę, tym razem przywołał ognistą kometę, ale żołnierze w solidnych zbrojach przypominających pancerze owadów jedynie złączyli tarcze nad głowami. Padło zaledwie kilkunastu.

– To koniec – wydyszał generał. – Nie dam rady więcej. Ci tam szkoleni są do walki z magami i nie tylko. To coś w rodzaju szturmowych oddziałów saperskich. Nasi będą tu za dziesięć minut, a Żuki za pięć. Musicie tylko zatrzymać ich na chwilę, najlepiej na krawędzi obrywu.

– No wielkie dzięki, matole! – warknął rozwścieczony alchemik. – Uwielbiam tajemniczych strategów, szczególnie tych, którzy przeliczyli się z siłami! Bo przecież nie można było omówić tego wcześniej!

– Ja tylko...

– Zamknij się i siedź tu na dupie! – przerwał mu alchemik, rzucając się do biegu.

Na skraju zbocza stała już Liu He i obie dziewczyny. Ochroniarze generała zajęli się swoim dowódcą, dając do zrozumienia, że obronę urwiska zostawiają Rudnickiemu.

Nic dziwnego, że żołnierze uchodzą za ostatnich chamów, pomyślał ze złością alchemik. Spróbuj powstrzymać się od przekleństw w takiej sytuacji.

– Co robimy, bracie? – spytała Liu He. – Bo oni zaraz tu będą. I co to za dziwny oddział?

– Podobno jakaś elita szkolona do walki z magami – odparł Rudnicki. – Nie lekceważcie ich.

– A czy szkolili się także do walki z tygrysami? – rzuciła z zimnym uśmiechem Perła.

– Całkiem możliwe. Przygotujcie się!

Alchemik stanął na krawędzi urwiska i spojrzał w dół: obryw miał jakieś trzydzieści metrów wysokości, a niemal

pionowa ściana nie zachęcała do wspinaczki. Nikt, nawet mistrz w sztuce lekkości nie podskoczy tak wysoko, szczególnie w takim masywnym pancerzu. A drabin nie mają. Zresztą skąd drabina na trzydzieści metrów? Może Tung Lu przesadził z tym niebezpieczeństwem?

Zza pleców doszły go jęki i trzask przestawianych kości, po chwili zwierzęcy warkot – tygrysyce przygotowywały się do walki.

Tymczasem grupa Białych ruszyła z marszu na urwisko, pomagając sobie czymś w rodzaju stalowych pazurów. Rudnicki strącił kilku za pomocą czarnych igieł, ale pozostali zamocowali tarcze na swoich pancerzach – alchemik dopiero teraz zauważył, że zbroje Żuków mają na plecach specjalne uchwyty – i wspinali się dalej. Czarne igły nie mogły przebić tarcz.

Ot i mistrz szkoły Ciemnego Ognia, pomyślał z goryczą alchemik. Jeśli zawiedzie i ostrze, nie pomogą mi nawet Liu He i jej dziewczyny. Bo tamci pewnie potrafią walczyć i z takimi jak one.

Rudnicki obnażył wykutą setki lat temu klingę i ciął po rękach pierwszych wspinaczy. Biali z wrzaskiem runęli w dół. Przez dobrą chwilę alchemik masakrował Żuki, nie dając im sformować szyku, ale w końcu paru żołnierzy zdołało osłonić się tarczami i odepchnąć go od krawędzi zbocza.

Rudnicki przywołał czarne ostrze, na szczęście okazało się, że broń z innego świata jest w stanie przeciąć tarcze i zbroje Białych, ale przewaga liczebna wroga zmusiła go po raz kolejny do wycofania. Wtedy nadeszły tygrysy. Masywne cielska w mgnieniu oka rozbiły szyki Żuków, ale widać było, że tygrysyce mają problem z pancerzami saperów, a i tamci błyskawicznie otrząsnęli się z zaskoczenia i niemal natychmiast przeszli do kontrataku.

Nie wytrzymamy tak długo, doszedł do wniosku Rudnicki. Prędzej czy później któremuś się uda...

Jakby wtórując jego myślom, Mei zaryczała, boleśnie trafiona włócznią w łopatkę. Żołnierz, który ją zranił, zapłacił za to życiem, ale jego miejsce zajęło kilku innych. Także Rudnicki został draśnięty w nadgarstek i nogę.

Żuki wyraźnie dążyły do otoczenia ich murem tarcz i rozbrojenia, alchemik musiał kilkakrotnie przywołać czarne ostrze; o użyciu słowa mocy nie mógł nawet myśleć, bo był w stanie ogarnąć jednym spojrzeniem tylko niewielką grupę przeciwników. Pot zalewał mu oczy, a lekka przecież klinga coraz bardziej ciążyła. Alchemik władał nią jedną ręką, jednak ciało, przyzwyczajone do dwuręcznych technik, co chwila popełniało błędy. Prawda, że drobne, ale przy takiej przewadze wroga nie miało to większego znaczenia.

– *Padnij!* – usłyszał w umyśle głos Liu He.

Alchemik natychmiast rzucił się na ziemię, w uderzenie serca później nad jego głową zaświstały strzały. Nadeszła pomoc.

Rudnicki podniósł się ociężale, dopiero teraz poczuł ból nadwerężonych mięśni i ran.

Ledwo przeżyłem, pomyślał. A biorąc pod uwagę wielkość armii Białych, to tylko garstka...

Żołnierze generała Tung Lu, jak i on sam trzymali się na dystans, bojąc się podejść do ucztujących tygrysów, więc Rudnicki pokuśtykał do nich.

– Jak wygląda sytuacja? – zagaił bez wstępu.

– Zabiliśmy na oko jakieś dziesięć tysięcy, kilkanaście wzięliśmy do niewoli – zaraportował oficer.

– Oni się poddają?

– A jakże! Nawet Horda – uśmiechnął się złowrogo Deszczołap. – Chyba skończył im się nam.

– Co chcesz z nimi zrobić?

– Teraz? Nic – odparł Tung Lu, najwyraźniej nie mając nic przeciwko rezygnacji z konwenansów. – Reszta Białych musi zobaczyć, że bierzemy jeńców.

– A później?

– Później się zastanowimy. Teraz mamy ważniejsze sprawy. Trzeba pomyśleć, co z nimi. – Wskazał na oddziały po drugiej stronie rzeki. – I usiądź, niech cię obejrzy mój lekarz.

Alchemik opadł na podsunięte krzesło polowe, a medyk pomógł mu pozbyć się zbroi i opatrzył rany.

– Ile one będą się... pożywiały? – spytał oficer. – Bo dobrze by było podejść na skraj urwiska, a boję się ryzykować.

– Daj im jeszcze chwilę. Taka transformacja i walka wymagają ogromnych ilości energii, muszą to jakoś uzupełnić. Za dziesięć minut sam je pogonię.

– No, nie ma pośpiechu – przyznał Tung Lu. – Zanim Biali postanowią, co robić, i przeformują swoje oddziały, minie przynajmniej godzina. Jesteś pewien, że nic ci nie zrobią? Nie wyglądają na chętne do negocjacji.

– Nic mi nie zrobią.

Tung Lu sapnął gniewnie, widać liczył na bardziej szczegółowe wyjaśnienia, ale nie kontynuował tematu.

– Jakies pomysły co do reszty Białych?

– Dostosujemy się do sytuacji – wzruszył ramionami Tung Lu. – Raczej nie wybiorą drogi lądowej, bo stracili najlepsze oddziały. Nie mówię o Hordzie, ale wątpię, żeby mieli więcej Żuków. Pozostają przeprawy. Tyle że na innych odcinkach rzeka jest o wiele szersza, a moje patrole natychmiast doniosą o budowie mostu i oni o tym wiedzą.

– Ale?

– Co ale?

– No widzę, że nie jesteś do końca przekonany.

Deszczołąp pokręcił nerwowo głową, jakby uwierała go pierścieniowa osłona szyi.

– Mają tu trzy niemal gotowe mosty – powiedział. – Rozwaliliśmy tylko ostatni odcinek, jakieś dziesięć metrów. Jeśli ściągną tu katapulty i wielkie kusze i naprawią mosty pod osłoną machin, będziemy mieli kłopoty.

– A twoi magowie? Nie mogliby...

– Jestem jedynym silnym magiem w armii, pozostali to drobnica. Nie chwaliłem się swoimi zdolnościami, bo nie mam ochoty, żeby chanat nasłał na mnie swoich morderców.

– Mógłbyś jeszcze raz czy dwa spuścić na nich ognisty deszcz?

– Owszem. Za tydzień, a najlepiej dwa. Wojskowych magów jest niewielu, bo wszyscy wiedzą, że przeciwnik poluje przede wszystkim na nich. Za duże ryzyko. Ale może ty?

– Nie da rady. Potrzebowałbym *materia prima*, a po bitwie w Wąwozie Kulawego Konia zostały mi jakieś resztki. Bez tego mogę zabić kilkadziesiąt osób, może setkę czy dwie, a i to ryzykując utratę przytomności.

– Czyli ten wariant też odpada.

– Zdaje się, że przed bitwą byłeś większym optymistą?

– Owszem, ale apetyt rośnie w miarę jedzenia, a nam poszło całkiem zgrabnie, nie uważasz? Przy przeprawie zginie mnóstwo Białych, ale się przebiją. A ja chciałbym załatwić tę sprawę ostatecznie i z jak najmniejszymi stratami własnymi, bo nawet kiedy wyrzucimy ich z prowincji Wielkiej Rzeki, trzeba będzie ją zabezpieczyć, a do tego potrzebuję żołnierzy.

– Co możemy zrobić?

– Uderzymy na nich w trakcie przeprawy – wzruszył ramionami Tung Lu. – Wtedy będą musieli przerwać

ostrzał, ale zanim ich dopadniemy, możemy dostać niezłanie. No i nie będziemy mogli odciąć ich od posiłków, bo nie zniszczymy mostów, więc choć będą walczyli w niewygodnej dla siebie sytuacji, ostatecznie przebiją się na północ. Jakaś jedna trzecia z nich. A my stracimy co piątego żołnierza.

– Dlaczego nie możemy zniszczyć tych mostów? Nasze maszyny wojenne...

– Zostały z oddziałami blokującymi drogę lądową, bo tamci musieli mieć jakąś osłonę, zanim zbudują wał ziemny i fosę – wszedł mu w słowo Tung Lu. – Biali odbudują mosty w godzinę, góra dwie, a ściągnięcie tu chociaż kilku katapult czy balist to przynajmniej pięć godzin. Nie da rady.

– No dobrze – westchnął Rudnicki. – Pójdę przerwać tę ucztę, bo żołnierze się denerwują. Możesz zorganizować kilka parawanów?

– Pewnie, a co?

– Lepiej, żeby nasi nie widzieli samej przemiany. To niezbyt ładny widok.

– Racja. Zaraz się tym zajmę.

Na rozkaz Deszczołapa żołnierze zaimprovizowali kilka parawanów z płacht namiotowych, a alchemik pomaszerował ku uczującym tygrysicom, omijając co bardziej zmasakrowane ciała.

– Dosyć tego, moje panie – powiedział. – Bo utyjecie.

Mei warknęła na niego groźnie – z jakichś powodów Rudnicki rozróżniał obie dziewczyny nawet w zwierzęcej postaci – jednak alchemik szturchnął ją kolanem i wymownym gestem pokazał parawan.

Tygryśca wykonała polecenie, prawda, że niezbyt chętnie, więc Rudnicki wrócił do generała.

– Co teraz? – spytał.

– A co ma być? Czekamy. Za pół godziny podejną kusznicy i ciężka piechota, wtedy będziemy gotowi do ataku.

Nieoczekiwanie w umyśle alchemika rozległ się dziwny dźwięk, dopiero po chwili Rudnicki skojarzył, że brzmi jak pukanie.

– *Możemy porozmawiać?* – odezwał się książę Guang.

– *Pewnie! Nie odzywałeś się tak długo, że zacząłem się martwić. Wszystko w porządku?*

Guang zamilkł i Rudnicki jakimś sposobem wyczuł konsternację chłopaka.

– *Martwiłeś się?*

– *No, myślałem, że coś ci się stało, a ja w odróżnieniu od ciebie nie jestem telepatą i mogę rozmawiać z tobą w umyśle tylko wtedy, kiedy ty sam zechcesz.*

– *Zupełnie o tym zapomniałem – usprawiedliwił się młodzieniec. – Myślałem, że nie chcesz ze mną rozmawiać.*

– *Nieważne – burknął alchemik. – W czym mogę ci pomóc? Jak wygląda sytuacja na dworze?*

I znowu Guang zastanawiał się nad odpowiedzią dobrą chwilę.

– *Matka zdjęła ze mnie kolejne więzy – powiedział wreszcie. – Bez wiedzy oj... imperatora. Znacząca ona myśli, że bez jego wiedzy, ale on o wszystkim wie i nie przeszkodził jej w tym. Co do pomocy, to myślałem, że ja ci pomogę. Bo chyba chcecie pokonać Białych? Nie spuszczę na nich ognistego deszczu, ale mógłbym przenieść kilka katapult i zniszczyć maszyny Białych. Jeśli chcesz – dodał niepewnie.*

– *Jasne, że chcę, ale muszę to omówić z generałem.*

– *Możesz mu zaufać – zapewnił Guang. – On cię lubi i szanuje. A tygrysice... – zachichotał.*

– *Guang!*

– *Już nic nie mówię...*

– Jakich machin potrzebowalibyśmy, żeby zniszczyć mosty? – spytał Rudnicki, zwracając się do generała.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? Nie damy rady ich tu ściągnąć na czas.

– A gdybyśmy mogli to zrobić?

– Co ty kombinujesz?

– Próbuję spełnić twoje marzenie – odparł kwaśno alchemik. – Więc?

– Dwie księżycowe balisty podwójnego strzału, dwie...

– Nie – przerwał mu Rudnicki. – Tak do niczego nie dojdziemy. Muszę je zobaczyć.

– Moi inżynierowie mają plany i szkice, ale co to da? Nawet jeśli ci je pokażę?

– Powiedzmy, że mam pomocnika. On nie zna się na wojskowości, ale może dostarczyć nam te balisty i zniszczyć maszyny Białych.

Tung Lu popatrzył sceptycznie na alchemika, a potem przywołał gestem jednego z żołnierzy i polecił mu przynieść plany machin.

– Kiedy może zniszczyć sprzęt Białych?

– Kiedy tylko zechcesz. Wystarczy, że dasz sygnał, i w tym samym momencie ich maszyny zamienią się w złom.

– No dobrze, powiedzmy, że ci wierzę – westchnął Tung Lu. – Cesarski wywiad twierdzi, że jesteś zdrowy psychicznie. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że opinię wystawiała ci księżna Chonghua...

– Jak nie przestaniesz marudzić, zostawię cię tu samego z tym całym bajzłem! – zagroził Rudnicki.

– No dobrze, już dobrze. A oto i plany – powiedział Deszczołap, odbierając od żołnierza okazałych rozmiarów zwój. – Tu są rysunki wszystkich machin przysługujących armii polowej.

– Pokazuj, jakich ci potrzeba.



- Te, te i te. Po dwie sztuki każdego rodzaju.
- Biali nie zorientują się, że zniknęły?
- Nawet jeśli się zorientują, nic z tym nie będą mogli zrobić, tam już na pewno jest solidny wał i fosa, ale lepiej, żeby nie widzieli, że je mamy.
- No to gdzie chcesz je ustawić?
- Jakies sto metrów stąd, o tam, potem podtoczymy je na skraj urwiska, ale dopiero na chwilę przed atakiem.
- *Guang? Widziałeś wszystko? To muszą być dokładnie te maszyny.*
- *Nie jestem głupi* – odparł z lekką urazą chłopak. – *Zaraz je przerzucę.*

Alchemik wzdrygnął się, słysząc potężny łomot: na ziemię zwała się sterta połamanego drewna i stalowe listwy.

– Moja balista numer trzy! – zawył Deszczołap. – Tak się obchodzisz z moimi maszynami? Gdzie ten twój pomocnik? Nogi mu z dupy powyrywam!

– *Chyba trochę przesadziłem, rozumiesz, nie mam jeszcze wprawy* – powiedział beztrosko Guang. – *Teraz powinno być lepiej.*

Po chwili w miejscu wskazanym przez Deszczołapa pojawiła się kolejna balista. Tym razem cała i nieuszkodzona.

- *Widzisz? Mówiłem, że dam radę.*
  - *Nie chwal się, tylko dawaj następne.*
  - Niech ten twój pomagier się pospieszy! – rzucił Tung Lu.
- Biali wzięli się za odbudowę mostów. I ostrożnie z moimi maszynami!

Rudnicki otarł pot z czoła i zerknął w stronę przeprawy: wojska chanatu stanęły w szyku bojowym, gotowe do forsowania rzeki.

Mam nadzieję, że damy radę, pomyślał. Ani chwili spokoju...



Tung Lu uniósł rękę i w stronę odbudowanych mostów poleciały potężne kamienie i gliniane pojemniki z łatwopalną cieczą. Rudnicki przełknął nerwowo ślinę, kiedy do ataku ruszyła ciężkozbrojna piechota – od Białych dzieliło ją kilkaset metrów.

– Teraz! – krzyknął w myśli.

Dwa czworoboki piechoty Han zostały zniszczone, a w kilku innych wielkie oszczepy wyryły krwawe bruzdy, ale niemal w tym samym momencie maszyny wojenne chanatu rozpadły się z trzaskiem.

– *Dziękuję!* – powiedział w myślach alchemik. – Teraz już damy sobie radę.

– *Uważaj na siebie!* – poprosił Guang.

– *Postaram się.*

Rudnicki stanął w centrum jednego z czworoboków i dał sygnał do wymarszu. Wcześniej umówił się z generałem Tung Lu, że będzie dowodził piechotą, podczas kiedy Deszczołap zajmie się kawalerią.

Pierwsze z ustawionych w szachownicę oddziałów piechoty wbiły się w spanikowany tłum Białych; druga linia pod dowództwem alchemika przeorała jak pług niedobitki usiłujące prześliznąć się między szykami pierwszego rzutu, po czym odrzuciła wroga i utworzyła jednolity front z pierwszą linią.

Przez kilka minut piechota stała w miejscu, nie mogąc przełamać rozpaczliwej obrony Białych, jednak w końcu powoli ruszyła naprzód, przypierając wroga do rzeki. Obszarpańcy z Hordy ginęli setkami, ale regularne oddziały nadal stawiały opór, każąc płacić żołnierzom Han krwią za każdy zdobyty metr.

Kiedy rozległy się dźwięki trąbki kawaleryjskiej, co drugi czworobok piechoty wycofał się z linii, otwierając drogę do ataku ciężkiej kawalerii. Nie minął kwadrans, jak było po wszystkim.

– Za stara już jestem na taką gimnastykę – wysapała Liu He, ocierając pot z czoła.

Rudnicki trzęsącą się z wysiłku dłonią sięgnął po manierkę i wypił kilka łyków, po czym podsunął naczynie tygrysicy.

– Jak dziewczyny? Obie całe?

– W zupełności, mistrzu! – zameldowała dziarsko Mei. – A co tam się dzieje po drugiej stronie?

– Nasi dobijają Białych – odparł Tung Lu.

Generał usiadł ciężko wprost na ziemi i zabrawszy manierkę starej tygrysicy, przepłukał usta.

– Oddziały, które blokowały im odwrót drogą lądową, ruszyły do ataku – wyjaśnił. – Wspierane przez pięćdziesiąt tysięcy ochotników i dziesięć tysięcy Wędrowców. To koniec Białych.

– Co zrobisz z jeńcami? – spytał alchemik.

– Nie zabiję – odparł enigmatycznie Tung Lu. – Lepiej ty mi powiedz, co teraz poczniesz? Masz uprawnienia gubernatora czasu wojny, a w prowincji Wielkiej Rzeki jest jeszcze wiele do zrobienia, ale pewnie mógłbym sam posprzątać ten bałagan.

– Co masz na myśli?

– Gdybyś mianował mnie swoim zastępcą, mógłbyś odwiedzić pewną księżnę. Myślę, że zważywszy na sytuację, nawet cesarz nie miałby ci tego za złe. Srebrny Deng ruszył na Chmurną Północ – odpowiedział na niezadane pytanie.

Alchemik zaklął: Chmurną Północą nazywano nadgraniczną prowincję niemal całkowicie podbitą przez

Biały Chanat. Księżna Chonghua otrzymała rozkaz odzyskania jej dla Wielkiej Han.

– Chcesz to na piśmie? – spytał.

– Tak będzie najlepiej, mój sekretarz przygotował już szkic dokumentu, więc jeśli nie będziesz miał żadnych uwag, wystarczy twój podpis i pieczęć.

– Nie będę miał. Dawaj ten dokument!

– I znowu w podróż – westchnęła z udanym żalem Perła.

– Szkoda, że mistrz nie potrafi się przemieniać, bo wtedy dotarlibyśmy na miejsce w kilka dni, pędząc dzień i noc, nie zatrzymując się nawet na posiłki. Wystarczyłby nam od czasu do czasu jakiś tłuściejszy... zajaczek.

Rudnicki obrzucił ją gniewnym spojrzeniem, dziewczyny uwielbiały go drażnić, przypominając o swojej zwierzęcej naturze, jednak myśl, że nie pojedzie sam, podniosła go na duchu.

– *Guang, co z księżną?*

– *Na razie wszystko w porządku, żyje i myśli o tobie.*

– *Nie o to pytałem!*

– *Naprawdę? Nie interesuje cię, ile czasu spędza, wyobrażając sobie, jak pewien alchemik...*

– *Guang!*

– *No już dobrze, dobrze. Jeśli chcesz, przekażę jej list od ciebie.*

– *Jaki list?*

– *Normalny. Ty go napiszesz, a ja jej dostarczę do rąk własnych. Pewnie chciałbyś omówić z nią kwestie... taktyczne*

– dodał kpiąco chłopak.

– Papier i tusz! – powiedział głośno Rudnicki.

Może nie będzie tak źle, pomyślał. Z pomocą Guanga i Wędrowców damy radę i Srebrnemu Dengowi. Chyba...

# VI

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Samarin przymknął oczy, delektując się zapachem świeżo zaparzonej kawy i obecnością żony. Anna, jak zwykle wczesnym porankiem, czytała w fotelu, trzymając bose stopy na łóżku. Od czasu do czasu rozespanego oficera dochodził szelest leniwie przewracanych kartek, z oddali słyhać było odgłosy budzącego się domu, kontrapunktowane przez turkot dorożek. Ulica, przy której znajdowała się posiadłość Samarina, należała do mniej uczęszczanych.

– Obudziłbyś się wreszcie – powiedziała Anna.

Oficer zareagował niechętnym pomrukiem, więc żona szturchnęła go piętą.

– Byłam wczoraj w przytułku z naszą nową służącą – poinformowała. – Żeby zabrać stamtąd dziecko Kseni.

– I co?

– I nic. Dyrektorka stwierdziła, że nie odda Kseni dziecka ze względu na amoralne prowadzenie. To stara, wredna, chytra baba.

– Może chciała zarobić?

– Próbowałam się z nią dogadać. Nie wzięła pieniędzy.

– Co zamierzasz zrobić?

– Spuścić psy wojny. A ściślej mówiąc, jednego psa...

Zaniepokojony Samarin zamrugał, usiłując pozbyć się senności, i usiadł na łóżku.

– Nie mieszaj mnie do tego! To wasze babskie sprawy! Zwróć się do ciotki.

– Nie mogę. Oczywiście księżna załatwiłaby sprawę, ale ostatnio prasa śledzi nas na każdym kroku, więc boję się, że wybuchłby skandal. Kolejny. A tego nam chyba nie trzeba, prawda?

Oficer łyknął kawy i odetchnął głęboko.

– Dlaczego uważasz, że ja dam radę to zrobić? Nie mam znajomości w ochronkach.

– Nie chcę, żebyś załatwiał to przez znajomości, tylko żebyś zastraszył babę – stwierdziła Anna z zawziętością w głosie. – Ona starła Ksenię w proch i sprawiło jej to cholerną przyjemność.

– Obraziła cię?

– Nie do końca. Raczej zademonstrowała władzę. Ale Ksenia jest załamana, płakała całą noc.

– Wy i wasze intrygi...

– Nie moje, Łucji. Ale w tym wypadku całkowicie ją popieram.

– Nie mam bladego pojęcia, co z tym zrobić – poskarżył się Samarin. – To naprawdę nie moje sfery.

– Poszerzysz horyzonty – odparła beztróska Anna. – A ja będę ci wdzięczna.

– Jak bardzo? – spytał szybko oficer.

– Jedno życzenie?

– Dwa – podbił stawkę generał.

– Niech będą dwa – wydeła usta Anna. – A teraz wstawaj. Ach, prawie bym zapomniała, Plewsze, wiesz, ten żandarm, dzwonił, prosząc o spotkanie z tobą. O szóstej rano, więc wnioskuje, że sprawa musi być pilna.

Samarin, utyskując, zwlókł się z łóżka i pomaszerował do łazienki. Mimo ostentacyjnie wyrażanego niezadowolenia nie przejmował się specjalnie dyrektorką przytułku,

bardziej niepokoił go telefon żandarma: Plewsze nie miał zwyczaju niepokoić go drobiazgami. Znaczy coś się stało, coś poważnego. Z drugiej strony Okoniowa całkowicie wyzdrowiała, a sprawa barona Korszunowicza została załatwiona. Definitywnie. Życ nie umierać, doszedł do wniosku oficer, stojąc pod strumieniami gorącej wody. Pozostały tylko drobne, codzienne kłopoty. A cokolwiek chciałby od niego Plewsze, generał nie był obowiązany pomagać ochranie. Dzień zaczynał się całkiem obiecująco.



Samarin wsiadł do powozu i stuknął laską w sufit.

– Do ochronki na Siemionowskiej – zadysponował.

Woźnica natychmiast ruszył, ale nie przejechawszy nawet stu sążni, nieoczekiwanie zatrzymał powóz.

– Co się stało? – burknął niecierpliwie oficer. – Znowu zator na skrzyżowaniu?

Petersburg ostatnio przeżywał prawdziwy najazd turystów w związku z Międzynarodową Wystawą Maszyn, a kilka dni temu eksplodował magazyn amunicji w centrum miasta, niszcząc kilka kwartałów, co spowodowało utrudnienia komunikacyjne.

– Nie, to jakaś dama chce z panem mówić.

Generał wychylił się przez okno, po czym otworzył drzwi, widząc Nataszę Bermann. Dziennikarka wyglądała na zdenerwowaną.

– Zapraszam – powiedział.

Kobieta jednym skokiem znalazła się w karecie i zaciągnęła zasłony.

– Lepiej, żeby mnie tu nikt nie widział – mruknęła.

– Co się stało?

– Kojarzy pan Goldberga z „Kurieria Północnego”?

– Taki korpulentny...

– Ten grubas, którego obraził pan śmiertelnie, nie biorąc go do enklawy – przerwała mu niecierpliwie dziennikarka.

– Teraz chce się zemścić.

– Nie rozumiem? Zemścić? A to w jaki sposób?

– On ma wszędzie swoich ludzi, „Kurier” to najbardziej skandalizująca gazeta Petersburga. Kiedy dowiedział się, że pańska żona chce zabrać z przytułku dziecko służącej, dogadał się z dyrektorką i przygotował zasadzkę. Dowiedziałam się o tym, bo mój znajomy pracuje czasem dla niego jako fotograf. Rozumie pan, Goldberg chce to przedstawić jako nadużycie władzy, a tę służącą jako kobietę lekkich obyczajów, którą świadomie sprowadził pan do swojego domu. Jeśli połączy to jeszcze ze śmiercią Korszunowicza...

– O ile pamiętam, baron zmarł z przyczyn naturalnych.

– Naprawdę myśli pan, że to go powstrzyma? A jeżeli zacznie snuć teorie spiskowe, kto wie co z tego wyjdzie. Wszyscy wiedzą, że „Kurier” to szmatławiec, niemniej czyta go co drugi mieszkaniec Petersburga, nie wyłączając socjety. A pan miał niedawno jakieś spięcie z Korszunowiczem. Kiedy tylko podjedzie pan do ochronki, zrobią panu zdjęcia, a potem ruszy cała machina. Nie wygra pan z Goldbergiem, nie w walce na jego zasadach.

– Ja go...

– Wyzwę na pojedynek? – przerwała mu dziennikarka. – Nie da rady. Nie pan pierwszy wpadł na ten pomysł. On ma zaświadczenie od lekarza, że jest inwalidą. A kodeks honorowy zabrania z takimi walczyć, zresztą zanim car pozwoliłby panu na pojedynek, byłby pan tak unurzany w błocie, że całkiem możliwe, że Goldberg nie musiałby przyjąć pańskiego wyzwania.

– Dlaczego mnie pani uprzedziła?



– Bo to gnida, a swego czasu i mnie napsuł sporo krwi. A teraz wybaczy pan, ale lepiej będzie, jak pana opuszczę.

– Dziękuję.

Natasza Bermann skwitowała jego słowa lekkim skinieniem i wysiadła z powozu.

– Na Fontankę – poleciał woźnicy Samarin.

Mimo całej złości, jaką wywołała w nim informacja dziennikarki, oficer rozumiał, że zanim cokolwiek zrobi, musi ochłonąć. Wypadałoby też dowiedzieć się, o co chodziło ochronie. Rzecz jasna, nie musiał pomagać żandarmowi, nie był też w żaden sposób zależny od ochrony, jednak nikt normalny nie chciał sobie robić wroga z ochronnego otdielienija.

Kiedy tylko Samarin znalazł się w budynku ochrony, woźny natychmiast zaprowadził go do gabinetu żandarma.

– Czym mogę służyć? – zapytał oficer po krótkim powitaniu.

– Radą, być może pomocą – odparł ponurym tonem Plewsze.

– Co się stało?

– Niedawno zaatakowano enklawę. Skutecznie zaatakowano. W odwecie Przekłęci zabili około setki ludzi. Może więcej, bo do dziś liczymy trupy.

– Jakie trupy? Gazety nic nie... Zaraz! To ten wybuch!

– Owszem. W rzeczywistości eksplozję spowodowali *theokatáratos*, a potem wycofali się z powrotem do enklawy, zabijając po drodze wszystko, co się rusza.

– Jakim cudem zaatakowano enklawę? Przecież każdy, kto tam wejdzie, umiera na miejscu!

– Nikt nie wchodził do enklawy. Ktoś zabił wartowników w jednostce niedaleko składu amunicji, ukradł haubicę Schneidera i ostrzelał enklawę. Nie wiemy, z jakim

skutkiem, ale Przekłęci postanowili się zemścić i zniszczyli skład, powodując eksplozję amunicji.

– Rozumiem, że sprawców nie wykryto? – domyślił się Samarin.

– Nie do końca. Po buncie generałów, kiedy okazało się, że zabezpieczenia enklaw nie są wcale takie mocne, jak myśleliśmy, postanowiono zwiększyć środki bezpieczeństwa. Krótko mówiąc, w pobliżu enklaw rozmieszczono pułapki fotograficzne. Kilka z nich zadziałało i mamy zdjęcia jednego z przestępców. Nie widać na nich co prawda twarzy, ale jest pewien interesujący detal.

– A mianowicie?

Plewsze bez słowa położył na biurku fotografię. Mężczyzna na niej ubrany był według najnowszej mody, w rękę dzierżył karabin, a podwinięty rękaw pozwalał dojrzeć tatuaż, a raczej część tatuażu.

– To powiększenie. – Żandarm zademonstrował kolejną.

Generał zaklął pod nosem: na zdjęciu widać było angielskiego lwa wpisanego w asa pik, jednym słowem, herb Klubu Angielskiego.

– Jak łatwo się domyślić, nie mamy agentów w tym środowisku, dlatego proszę pana o pomoc.

Samarin westchnął ciężko, nie było sensu pytać żandarma, skąd ten wie, że niedawno został członkiem Klubu Angielskiego. Nie ulegało wątpliwości, że sfotografowany mężczyzna należy do wyższych warstw społecznych. Świadczył o tym ubiór i sam tatuaż: odkąd carewicz Mikołaj Aleksandrowicz, obecny imperator Mikołaj II, powrócił z podróży po Dalekim Wschodzie z tatuażem smoka na przedramieniu, w Rosji wybuchła moda na tatuaże wśród arystokracji i szlachty.

– Rozumie pan, że taki tatuaż może być dość popularny wśród członków Klubu Angielskiego?

– Na pewno, jednak ustalenie, kto go ma, pozwoli nam na zawężenie kręgu podejrzanych. Wreszcie wątpię, żeby wszyscy wytatuowali się dokładnie w tym samym miejscu, a fotografia pozwoli nam to porównać. Inna rzecz, że przestępca może mieć współników, także wśród członków klubu. Niestety, jest jeszcze jedna kwestia – powiedział wyraźnie zmieszany Plewsze.

– Tak?

– Do tej pory zbieraliśmy dane, o całej sprawie wie tylko Ministerstwo Wojny i ochrona, nikt jeszcze nie powiadomił imperatora.

– Więc chce pan...

– To nie jest moja sprawa – wszedł mu w słowo żandarm.  
– Obowiązek informowania cara o takich problemach spoczywa na moich przełożonych i Stawce, jednak kto wie jak długo potrwają międzyresortowe przepychanki, a tymczasem Przekłęci mogą zaatakować znowu. Ja nie mam środków, żeby odeprzeć taki atak. Moi agenci obserwują wejście do enklawy dzień i noc, ale jakby co, nie powstrzymają *theokatáratos*.

Samarin zacisnął pięści, starając się stłumić wybuch irracjonalnej złości. Zaistniała sytuacja nie powstała z winy żandarma, co by nie mówić, Plewsze nie był tchórzem, jednak w Rosji od wieków hołdowano trudnej do wyplenienia praktyce unikania odpowiedzialności. Sam generał zetknął się z nią wielokrotnie w armii.

– No dobrze – powiedział, wzięwszy głęboki oddech. – Pomogę panu. Jednak i ja będę miał prośbę, bo nie mogę zajmować się dziesięcioma sprawami naraz, a jest pewna kwestia, która w tym momencie wymaga mojej uwagi.

– Słucham, hrabio.

– Jak pan wie, niedawno miałem scysję z nieświętej pamięci baronem Korszunowiczem. Kiedy moja żona dowiedziała się o okolicznościach śmierci barona, postanowiła pomóc służącej, którą...

– Rozumiem – przerwał mu Plewsze. – Znam okoliczności tego zdarzenia.

– Problem w tym, że Ksenia ma dziecko, które wcześniej musiała oddać do przytułku, a dyrektorka tej instytucji postanowiła uniemożliwić jej odebranie syna. Odmówiła nawet mojej żonie, a dzisiaj, kiedy jechałem porozmawiać z dyrektorką, dowiedziałem się, że ta we współpracy z pewnym dziennikarzem zastawiła na mnie pułapkę. Nie mam czasu ani chęci na przepychanki ze skandalizującą prasą, z drugiej strony żona oczekuje, że pomogę Kseni.

– Jak się nazywa ten dziennikarz?

– Goldberg.

– A dyrektorka?

– Nie mam pojęcia, kieruje przytułkiem na Siemionowskiej.

– Proszę się nie przejmować tym pismakiem i dyrektorką, jeszcze dziś dziecko pańskiej służącej znajdzie się u was – obiecał Plewsze.

– Naprawdę? Oni... – Samarin urwał, ujrawszy zimny, wilczy uśmiech na twarzy żandarma.

– Naprawdę. Wbrew temu, co się o nas mówi, rzadko wykorzystujemy pełnię swoich możliwości, jednak w tym wypadku zrobię to z przyjemnością. Nie jestem aniołem, ale nigdy nie skrzywdziłem dziecka i nikomu na to nie pozwolę. Może pan być spokojny, to dla mnie drobiazg.

– Dziękuję – powiedział generał. – W takim razie będę się zbierał. Jeszcze dziś porozmawiam z Jego Wysokością.

– Powodzenia – odparł poważnie żandarm.

Cóż, pomyślał Samarin, wsiadając do powozu, jedna sprawa z głowy. I coś mi się wydaje, że pan Goldberg będzie miał dzisiaj ciężki dzień...



Dowodzący wartą kapitan zgodnie z przepisami sprawdził dokumenty Samarina, po czym lekkim ruchem głowy odwołał go na stronę.

– Co się stało, Liguszyn? – spytał zaniepokojony generał.

– Jego Wysokość jest chory, zapalenie płuc. Niby nic strasznego, lekarze zaręczają, że imperatorowi nic nie grozi, ale... – Kapitan znacząco zawiesił głos.

Samarin zaklął pod nosem, w takiej sytuacji nie było sensu meldować carowi o kłopotach z enklawą.

– To coś ważnego? – zainteresował się Liguszyn.

– Umiarkowanie – odparł po namyśle generał. – Gdzie jest Aleks?

– W bibliotece.

– Zawołaj go.

– Natychmiast.

Generał podszedł do okna i zapatrzył się w pałacowy park. Dzień był pogodny, choć wietrzny, i spadające z gałęzi liście wirowały po trawniku niczym pary tańczące walca. Nadchodziła jesień.

– Aleksandrze Borysowiczu?

Samarin uśmiechnął się na widok Aleksa. Następca tronu wyrósł na smukłego, choć barczystego młodzieńca i sylwetką bardziej przypominał pradziadka niż ojca.

– Ojciec jest chory, ale dla pana...

– Chcę rozmawiać z tobą, a nie z imperatorem – przerwał mu generał. – Chodź, przejdziemy się po parku.

Aleks spojrział na niego pytająco, jednak posłusznie podążył w ślad za oficerem.

– Jak tam nauka? – rzucił Samarin.

– Nuda śmiertelna. Wykresy, mapy i studiowanie idiotycznych podręczników. Żaden z wykładowców nie wie nawet połowy tego, co pan – odparł nieco naburmuszony chłopak. – Strata czasu.

Generał trzepnął go karcąco w ramię.

– Wolałbyś kopanie okopów pod ogniem wroga?

– Zdecydowanie. Coś się szykuje?

– Zapomnij! Jesteś następcą tronu.

– No ale nie przyszedł pan tu chyba, żeby przekazać mi najnowsze ploteczki?

– W takich momentach zaczynam żałować, że nie uczę cię już szermierki.

– Rozumiem, że chciałby pan wypolerować podłogę moją imperatorską osobą?

– Coś w tym rodzaju.

– To się da załatwić! – zawołał Aleks z zapalem. – Ja...

– Nie mam na to czasu – uciął oficer. – Może innym razem – dodał, widząc rozczarowanie na twarzy chłopaka. – Teraz mamy ważniejsze sprawy.

– Tak?

– Twój ojciec jest chory, więc nie będę zawracał mu głowy, ale niewykluczone, że w pewnym momencie trzeba go będzie poinformować o sytuacji.

Samarin zwięźle przekazał carewiczowi wiadomości o ataku *theokatáratos*.

– Więc oni boją się powiedzieć ojcu?

– Na to wygląda.

– Co pan zrobi?

– Zabezpieczę enklawę, wzmocnię warty, może zorganizuję jakieś ćwiczenia.

– Potrzebuje pan mojej pomocy?

– Owszem, ale nie takiej, jak myślisz. Dam sobie radę, gdyby coś się stało w enklawie albo doszło do walk, jednak będę musiał to wszystko zorganizować nieoficjalnie, bo zanim poszczególne resorty ustalą, kto zawiadomi cara, może minąć i miesiąc, a przez ten czas nikt nie kiwnie nawet palcem.

– Obawia się pan, że generalicja oskarży pana o spisek? – domyślił się Aleks.

– Owszem, bo przecież będę potrzebował żołnierzy. Dlatego gdyby doszło do jakichś... zawirowań, poinformujesz ojca o sytuacji i powiesz, że omówiłem to wcześniej z tobą.

– Gdybym panu pomagał w tym przedsięwzięciu, nikt nie ośmieliłby się nawet rzucić takiej sugestii – stwierdził niewinnym tonem Aleks.

– Jasne! A gdyby coś ci się stało, twoja matka obłupiłaby mnie żywcem ze skóry, i co gorsza, miałaby rację. Zapomnij! – powtórzył stanowczo. – Jeśli szukasz przygód, uszczypnij w tyłek jakąś damę dworu.

– To ci dopiero przygoda! – wykrzyknął z ironią chłopak. – Statystycznie rzecz biorąc, od jednej na sto dostanę po pysku, a dziewięćdziesiąt dziewięć zaciągnie mnie w jakiś kąt. Ta ekscytacja, niepewność, napięcie nerwów...

Rozbawiony mimo woli Samarin wykorzystał chwilę nieuwagi carewicza i przerzucił go przez ramię. Aleks natychmiast zripostował, podcinając oficera, i po chwili obaj starli się w walce. Generał zauważył nadbiegających wartowników, ale w ogrodzie pojawił się też Liguszyn i wszyscy stanęli, obserwując zajście z pewnej odległości. Ani Samarin, ani carewicz nie mieli ochraniaczy, więc po kilku minutach Aleks miał podbite oko, a oficer rozciętą

wargę, wreszcie obaj zatrzymali się w pół ruchu, nie mogąc opanować śmiechu.

– Tego mi było potrzeba – wymamrotał generał.

– I mnie – wysapał Aleks. – I mnie. Nie wyobraża pan sobie nawet, jak męcząca jest dworska rutyna, te wszystkie ceremonie, reweransy i zasady savoir vivre’u.

– Gdzie tu jest jakaś garderoba? – spytał Samarin, otrzepując spodnie. – Musimy doprowadzić się do porządku.

– Garderoba wam nie wystarczy – odezwał się nabrzmiały ironią kobiecy głos.

Generał uniósł głowę: księżniczka Anastazja przypatrywała im się ze złośliwym uśmieszkiem.

– Masz naderwany rękaw marynarki, wujku – powiedziała. – A ty – zwróciła się do brata – spodnie rozerwane w miejscu, któremu prawdziwa dama nie powinna się nawet przyglądać. Chodźcie do mojego pokoju, pomogę wam. Mam tam nawet zestaw do makijażu, może mama nie zauważy tego siniaka?

– Ile nas to będzie kosztowało? – zapytał ponuro carewicz.

– Zastanowię się.

– Kosztowało? – Samarin uniósł brwi.

– Och, wiesz, wujku, nie chodzi o pieniądze, raczej o małą przysługę.

– Jak bardzo małą?

– Naprawdę nic wielkiego, mam ochotę odwiedzić tę nową wystawę, a mama nie chce mnie wypuścić z pałacu.

– Interesują cię maszyny? – zdziwił się generał.

– Nie tyle maszyny, co wyjście do miasta. To co? Zabierzesz mnie? Rzecz jasna, incognito, mam już nawet odpowiedni strój.

– Co to znaczy? – spytał ostro Samarin.



– Wiem, że nie powinienem – wymruczał Aleks. – Wziąłem ją raz czy dwa do kina, ale zawsze towarzyszyło nam dwóch żołnierzy po cywilnemu i pułkownik Daniłow.

Anastazja otworzyła drzwi do skromnie umeblowanego pokoju i zaprosiła gestem Samarina.

– Od dzisiaj koniec z tym! – powiedział twardo generał. – Czy to jasne?

Aleks natychmiast przytaknął, wyglądało, że Anastazja chce zaprotestować, lecz po chwili i ona skinęła głową pod surowym spojrzeniem oficera.

– Wujku, ja naprawdę nie chcę łamać zasad, ale czasem po prostu się tu duszę – powiedziała księżniczka. – A mama nie chce ze mną nawet rozmawiać na ten temat.

– Coś wymyślę – obiecał Samarin. – Ale do tego czasu nie wolno ci wychodzić z pałacu bez zezwolenia.

– Dobrze, wujku. Zszyć ci rękaw? Jestem w tym całkiem niezła.

Generał potwierdził nieartykułowanym pomrukiem i zdjął marynarkę, obserwując z niedowierzaniem, jak Anastazja sięga po przybory do szycia.

– Nauczyłam się szyć w Moskwie – wyjaśniła dziewczyna. – Wiesz, w czasie tej akcji. Szyliśmy ubrania dla biednych dzieci.

Wygląda na to, że będę musiał porozmawiać i z carycą, pomyślał melancholijnie oficer. A to będzie dużo trudniejsze niż zabezpieczenie enklawy...



Powiedzieć, że caryca przyjęła rewelacje na temat eskapad swoich dzieci z irytacją, byłoby sporym niedopowiedzeniem, przez chwilę Samarin obawiał się, że władczyni dostanie apopleksji.

– Wszystko jest pod kontrolą! – zapewnił, podsuwając jej szklanę z wodą. – Aleks nie odważy się zlekceważyć mojego polecenia.

– Co innego moje! – odparła z goryczą caryca.

– Myślę, że to raczej inicjatywa Anastazji – westchnął generał. – Aleks chronił ją, jak mógł.

– Chronił?!

– Przecież ją pani zna. Jeśli carewicz nie zgodziłby się jej towarzyszyć, uciekłyby z pałacu bez żadnej ochrony.

– To prawda – przytaknęła towarzysząca władczyni Anna Wyrubowa.

– Co za nieposłuszne dziewczuszyko!

– Ona się nudzi – powiedział Samarin. – Jej rówieśniczki chodzą na bale, spacerują swobodnie po mieście i robią zakupy. Anastazja im zazdrości.

– Więc uważa pan, że powinnam jej pozwolić na takie fanaberie?

– W żadnym wypadku! – zapewnił generał. – Jednak myślę, że powinniśmy od czasu do czasu pójść jej na rękę. Gdyby odpowiednio zorganizować takie wyjście, byłaby równie bezpieczna w mieście, jak i w pałacu. Mógłbym od czasu do czasu zabierać ją na spacer.

Władczyni nerwowo zabębniła palcami o stół, po czym wypła łyk wody.

– I jakim to sposobem, hrabio?

– Sformuję grupę zadaniową z członków Tajnej Służby i żołnierzy oddziału Omega, w tym magów, no i powiadomię ochronę, a ściślej mówiąc, pułkownika Plewsze. Ludzie pułkownika zabezpieczą teren i zajmą się kontrwywiadem, a moi będą ochraniaли księżniczkę przed bezpośrednim zagrożeniem. W sumie w akcję będzie zaangażowanych kilkadziesiąt osób, co zapewni Anastazji całkowite bezpieczeństwo.

– Nie wiem, czy Diabełek zgodzi się na takie warunki, ona nie znosi ochrony.

– Nie mam zamiaru jej pytać ani wtajemniczać w detale – odparł z uśmiechem Samarin. – Ci ludzie to profesjonaliści, Anastazja nawet ich nie zauważy, choć oczywiście powiem jej, że jest chroniona, ale bez wchodzenia w szczegóły.

Caryca odpowiedziała niepewnym uśmiechem i skinęła głową.

– Uspokoił mnie pan – powiedziała. – A jeśli ją ktoś rozpozna?

– Ona ma specjalny strój na takie okazje, w tym jak przypuszczam, kapelusz z woalką. Anastazja jest lekkomyślna, ale nie głupia. No i jak mówiłem, Aleks jej pilnował, a on nie pozwoliłby jej wyjść z pałacu inaczej jak incognito.

– Ile czasu to panu zajmie?

– Około dwóch tygodni.

– Nie wiem, czy Anastazja tyle wytrzyma – mruknęła Anna Wyrubowa.

– Zawsze może mnie odwiedzić, moja rezydencja jest dobrze strzeżona, a córki Olafa ją lubią.

– To chyba dobry pomysł – przyznała caryca. – Jak zdrowie pańskiej służącej? Okoniowej?

– Dziękuję, Anno Fiodorowna, dużo lepiej.

– Wszystkie gazety rozpisywały się o tym... incydencie z baronem Korszunowiczem.

Generał skrzywił się bezwiednie i syknął z bólu, uraziwszy napuchniętą wargę.

– Nigdy go nie lubiłam – rzekła nieoczekiwanie władczyni. – Z pańskiej reakcji wnioskuję, że i pan nie za bardzo?

– On nie był dżentelmenem – odparł krótko Samarin. – I nie chodzi mi tylko o lepkie palce barona.

– Tak?

– To nieprzyjemne sprawy.

– Niemniej byłabym wdzięczna za naświetlenie sprawy, czasami mam wrażenie, że wszyscy wiedzą więcej ode mnie.

Samarin westchnął i opowiedział o kłopotach Kseni.

– Biedna dziewczyna. A co z jej dzieckiem?

– Zająłem się już tym na prośbę Anny.

– Nieraz wizytowałam ochronki i wiem, że nie zawsze są one prowadzone jak należy. Gdyby potrzebna była panu moja pomoc, proszę się nie krępować.

– Dziękuję, ale pułkownik Plewsze już... – Generał urwał, ujrawszy zdziwienie na twarzy władczyni.

– A co ma z tym wspólnego ten żandarm? – spytała. – Czyżby natrafił pan na jakieś trudności?

Oficer skłął się w duchu, po czym przedstawił sytuację, pomijając co bardziej drażliwe kwestie.

– Rozumiem, że to wymiana usług? W takim razie chciałabym wiedzieć, co pan zrobił dla ochrony, bo chyba nie jest pan wielbicielem tej instytucji?

– Nie jestem – przyznał Samarin. – Jednak Plewsze to uczciwy człowiek i można być pewnym, że dotrzyma słowa. W petersburskiej enklawie pojawiły się pewne... komplikacje, więc na jego prośbę zobowiązałem się do wzmocnienia ochrony.

– Dlatego rozmawiał pan z Alekssem?

– Owszem.

– To dobrze, bo już się bałam, że odwiedził pan nas tylko po to, żeby podbić mu oko – odparła caryca z cieniem uśmiechu na ustach.

Generał odchrząknął niepewnie: władczyni nie porażała inteligencją, ale było oczywiste, że pałacowa służba donosi jej o wszystkich wydarzeniach odbiegających od normy.

– Nie tylko – zapewnił. – To była przyjacielska bójka. Mężczyźni czasami muszą się nieco... rozluźnić. Ani armia, ani ochrana nie mają na razie zamiaru powiadomić imperatora o kłopotach z enklawą, stąd moja rozmowa z Alekssem, bo nie chciałbym, żeby oskarżono mnie o spisek albo coś gorszego.

– Rozsądnie – skinęła głową caryca. – Generalicja za panem nie przepada. Ale proszę się nie martwić, mój mąż panu ufa. Podobnie jak i ja.

Samarin podziękował ukłonem, po czym pożegnał władczynię i jej przyboczną. Czas był wracać do domu.



Generał otarł usta serwetką, sygnalizując, że skończył posiłek, a jedna z pokojówek natychmiast sprzątnęła ze stołu. Anna podała mężowi herbatę i podsunęła śliwkowe powidła.

– Jak ci się udało odbić synka Kseni? – spytała z ciekawością. – Bo dyrektorka przytułku przywiozła go tu dwie godziny temu, szlochając rozpaczliwie i zapewniając, że nie miała niczego złego na myśli.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Anna poczekała, aż oficer sięgnie po miseczkę, i szybkim ruchem zabrała mu łyżeczkę.

– Gadaj! – zażądała.

– Nie znam szczegółów – odparł generał. – Poprosiłem o pomoc ochronę. I oddawaj łyżeczkę!

– A oni ci pomogli? Ten żandarm, jak mu tam? Plewsze? Nie wygląda mi ani na uczynnego, ani na bezinteresownego.

- Nie bezinteresownie – przyznał Samarin, nabierając powideł. – Obiecałem, że pomogę mu z enklawą.
- Chyba nie masz zamiaru tam iść?!
- Skąd! Chodzi tylko o zabezpieczenie wrót. Dotychczasowe środki bezpieczeństwa okazały się zbyt słabe.
- Rozumiem, że to kolejny przypadek w rodzaju: „Mądra żona nie pyta”?
- Obawiam się, że tak, ale nie martw się, na jutro zaprosiłem Anvelta i Matuszkiną, mam zamiar zwalić na nich całą robotę. Możliwe też, że na dniach odwiedzi nas Anastazja.
- To rozsądne? Przecież ona...
- Incognito – wszedł żonie w słowo Samarin. – Może zabrałabyś ją na zakupy z dziewczynkami?
- Bez ochrony?
- Och, wyślę z wami kilku ludzi, może i Anvelta, ale nie sądzę, żeby byli potrzebni. Nikt nie będzie wiedział o tej wycieczce, a póki jest przy tobie Łucja, mogłaby wam zagrozić chyba tylko pociąg pancerny.
- Ona jest naprawdę taka silna?
- Naprawdę. I wierz mi, że wolałbym nie sprawdzać granic jej potęgi ani co mogłaby zrobić, gdyby ktoś ją naprawdę rozzłościł.
- Wracając do Anastazji, to jednorazowa inicjatywa czy mam się szykować na regularne wizyty księżniczek?
- Dlaczego pytasz? I czemu księżniczek? Mówiłem tylko o Anastazji.
- Diabełek strasznie się nudzi w pałacu, a i jej siostry chętnie by gdzieś wyszły bez asysty pułku piechoty i artylerii. Jeśli zorganizujemy wycieczkę tej małej paskudzie, nie minie tydzień, jak starsze księżniczki poproszą nas o to samo, bo ona przecież się im pochwali.

– Kobiety... – westchnął smętnie generał.

– Nie narzekaj, tylko lepiej pomyśl, jak to zorganizować. Może zaprosiłabym je na mały raut albo zabawę charytatywną? Nie informując wcześniej nikogo, że wezmą w niej udział księżniczki – dodała pospiesznie.

Samarin spojrział podejrzliwie na żonę, Anna odpowiedziała mu niewinnym uśmiechem.

– Robisz się równie wyrachowana jak ciotka – powiedział z niesmakiem.

– A to dlaczego? Chcę zrobić przyjemność księżniczkom, a dochód z zabawy przekażę dla biednych dzieci.

– Do tego petersburska socjeta zostanie pouczona, że kiedy hrabina Samarin ogłasza bal, trzeba się pchać drzwiami i oknami, bo mogą na nim być członkowie carskiej rodziny – uzupełnił oficer.

– Cóż chcesz? Jeśli wszedłeś między wrony... No i ciotka będzie zachwycona.

– To na pewno – przyznał generał. – No dobrze, pomyślę o tym. Tymczasem ty zastanów się, gdzie mogłabyś zabrać Anastazję, i na wszelki wypadek przygotuj jej jakiś nierzucający się w oczy strój i kapelusz z woalką.

– Tak jest! – zamarkowała salut Anna.

Jedna sprawa z głowy, uznał Samarin. Teraz trzeba jeszcze zabezpieczyć enklawę...



Pułkownik Matuszkin nie zmienił się specjalnie, za to we włosach Anvelta pojawiły się siwe pasma, a na czole poziome zmarszczki. Najwyraźniej oficer miał co robić, mimo że wojna dawno się skończyła.

– Popatrz, jak młody zmarniał – zauważył Matuszkin, popijając kawę. – To garnizonowe życie go wykończy.

Anvelt odpowiedział ospałym gestem oznaczającym tyle, co „odczep się”.

– Do tego ten brak szacunku dla starszych – kontynuował niezrażony Matuszkin.

– Daj mu spokój. – Samarin wziął w obronę młodzieńca. – Co teraz robisz? – zwrócił się do chłopaka.

– Dowodzę grupą szturmową złożoną z byłych omegan – odparł Anvelt. – Nie uwierzycie, ile mamy roboty.

– Myślałem, że sytuacja polityczna się uspokoiła – zauważył generał.

– Polityczna i owszem, za to kryminalne podziemie odkryło alchemię i magię. W co drugim napadzie na bank uczestniczą magowie, a bywa, że i adepci. Chodzą nawet słuchy, że do półświatka przeniknęli *theokatáratos*. Jest oczywiste, że policja nie poradzi sobie z magią, więc wtedy do akcji wchodzimy my – wzruszył ramionami Anvelt. – Dwa dni temu wezwali nas do burdelu na Twerskiej, bo jedna z prostytutek przeklęła policmajstra i temu wydało się, że jej oczy, cytując: „płoną szatańskim blaskiem”.

– I co? – zainteresował się Matuszkin.

– I nic, dziewczucha była po prostu pijana. Kiedy wytrzeźwiała, stwierdziła, że niczego nie pamięta, za to my spędziliśmy uroczę popołudnie wśród chorych na gruźlicę i syfilis panienek.

– No dobrze – wtrącił Matuszkin. – Po co nas wezwałeś? Bo rozumiem, że to nie towarzyska wizyta?

– Nie – przyznał generał. – Mamy kłopoty z enklawą. Nieznani sprawcy napadli na koszary przy placu Siemionowskim, zabili wartowników i z haubicy Schneidera ostrzelali enklawę. W odwecie Przekłęci zabili około setki ludzi i spowodowali wybuch w położonym nieopodal składzie amunicji.

– Jaki ma pan plan? – spytał Anvelt.



– Chcę sformować grupę operacyjną, która stacjonowałaby w koszarach siemionowskich i zabezpieczyła je przed kolejnym atakiem dywersyjnym, a jednocześnie stanowiła odwód taktyczny w przypadku sforsowania wrót enklawy przez *theokatáratos*. Ty – Samarin zwrócił się do Matuszkin – wybierzesz trzystu najlepszych żołnierzy, a kapitan Anvelt stanie na czele kilkunastu magów i adeptów. W ten sposób powstanie coś w rodzaju wzmocnionego batalionu.

– Wypadałoby też wzmocnić ochronę enklawy – zauważył Matuszkin.

– Pogadam z generałem Dragunowem, on teraz dowodzi Siódmym Korpusem stacjonującym pod Petersburgiem, nie sądzę, żeby miał coś przeciwko. I jeszcze jedno: potrzebuję kilku nierzucających się w oczy adeptów do innego zadania. Księżniczka Anastazja nudzi się w pałacu – powiedział generał, widząc pytające spojrzenia oficerów. – Obiecałem carycy, że zabiorę ją na spacer.

– Co znaczy „nierzucających się w oczy”? – Matuszkin zmarszczył brwi.

Generał niedbałym gestem scedował odpowiedź na Anvelta.

– Czasami zdolności magiczne idą w parze z pewnymi... anomaliami – wyjaśnił kapitan. – Zmiana koloru tęczy, wyrostki kostne na czole i takie tam. Jeden z moich ludzi ma zielone włosy. Próbował je zafarbować na jakiś normalny kolor, ale żadna farba nie trzymała się dłużej niż dobę.

– Chcesz powierzyć ochronę Diabelka młodemu? – spytał z niedowierzaniem w głosie Matuszkin. – Wiesz, jak on reaguje na ładne panienki.

– Wyrosłem już z tego! – zapewnił czerwony z zażenowania Anvelt.

– Anastazja będzie w towarzystwie mojej żony i dziewczynek. Jakby co, Anna połamie na panu kapitanie parasolkę.

– Myśli pan, że Anastazji coś grozi?

Samarin skrzywił się niechętnie i łyknął zimnej już kawy.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Niby nie ma żadnych konkretnych oznak zagrożenia, ale ostatnio zbyt wiele się dzieje: napad na koszary, Przekłęci, zaktywizowała się też Święta Drużyna. Lepiej na zimne dmuchać.

– Może i ja pospaceruję z Anną? – zaproponował Matuszkin. – Nikt nie weźmie mnie za ochroniarza, no i przypilnuję młodego.

– Bo ja wiem? – powiedział niezdecydowanie Samarin. – Nie chciałbym, żeby Diabełek zaczął coś podejrzewać, a w razie konfrontacji niewiele poradzisz, bo jeśli dojdzie do walki, to przecież nie na szable.

– Gdyby nadszedł potop, na pewno wszystkich uratuje – powiedział Anvelt z kamiennym wyrazem twarzy. – Pan pułkownik potrafi zatrzymać oddech na dwadzieścia minut.

Matuszkin parsknął pogardliwie, po czym wykonał gest, jakby celował z pistoletu. W ułamek sekundy później w ścianie za plecami Anvelta pojawiło się kilka dziur.

– Opanowałem ten sam symbol mocy, co kiedyś Olaf – powiedział.

– Musiałeś niszczyć tapetę? – odezwał się Samarin z pretensją w głosie. – Uwierzyłbym ci na słowo.

– Oj tam, najwyżej Anna cię skrzyczy...

– No dobrze, kończymy naradę – zdecydował generał. – Zanim podpalicie mi dom. O terminie spaceru powiadomię was z kilkudniowym wyprzedzeniem.



Samarin wbił ostatnią bilę do łuzy i skłonił się lekko, dziękując za grę. Jego przeciwnikiem był tego dnia Vittorio Draghi, obaj grali bez marynarek, z podwiniętymi rękawami koszuli, jednak na przedramieniu drużynnika nie było żadnych tatuaży.

– Przejdziemy do baru? – zaproponował generał.

– Chętnie – uśmiechnął się Draghi. – Widzę, że ostatnio zrezygnował pan z kart na rzecz bilarda?

– Zawsze to odrobina ruchu, ostatnio przeważnie siedzę nad papierami.

– Towarzystwo Południowo-Zachodnich Dróg Żelaznych?

– A jakże.

Samarin wybrał stolik w rogu sali i gestem przywołał kelnera.

– Dwa razy bushmills – zadysponował oficer.

Draghi usiadł naprzeciwko i podziękował skinieniem za poczęstunek.

– Słyszał pan o nowej inicjatywie Stawki? – spytał. – Podobno niektórzy generałowie chcą zaatakować enklawę w Moskwie, a potem w Petersburgu. Co pan o tym sądzi?

– Chyba powstrzymam się od opinii, bo musiałbym użyć słów nieprzystających dżentelmenowi – odparł sucho Samarin. – Te stare pierdziele co jakiś czas podnoszą ten pomysł, wiedząc świetnie, że car się na to nie zgodzi.

– Więc po co ten szum?

– Chcą wykazać się przed Jego Wysokością, może zrobić wrażenie na prasie – wzruszył ramionami oficer. – Kilku z nich widziałem w akcji w czasie ostatniej wojny i raczej nie zrobili na mnie dobrego wrażenia. Gdzie im do walki z Przekłętymi!

– Oni uważają, że należałoby zlikwidować wszystkich *theokatáratos*.

Ostatnie zdanie Draghi wypowiedział lekkim tonem, lecz sztywna postawa młodzieńca i zaciśnięte na szklance palce wskazywały, że z napięciem oczekuje odpowiedzi.

– To idiotyzm – odparł niechętnie Samarin. – Pomijam już, czy to w ogóle wykonalne, niektórzy Przekłęci mogliby zmierzyć się w pojedynkę z pułkiem piechoty, ale nawet jeśli, nie byłoby to specjalnie mądre. Kanały łączące nas z wszechświatem *theokatáratos* nadal funkcjonują i nie wiemy, kto z nich skorzysta za pięćdziesiąt czy sto lat. Tymczasem naszym głównym źródłem wiedzy o Przeklętych są sami Przekłęci. Wreszcie nie wszyscy z nich chcą z nami walczyć.

– Podobno zawarł pan pokój z władcami moskiewskiej enklawy?

– Zawarłem.

– To naprawdę było konieczne?

Generał skrzywił się i zakołysał szklanką, wchłaniając aromat trunku.

– Trudno powiedzieć – odparł wreszcie. – Na pewno celowe w danym momencie.

– Oni rzeczywiście uratowali carewicza?

Samarin w milczeniu potaknął.

– Jak pan ocenia szanse takiej operacji? Mam na myśli pacyfikację enklaw.

– To niemożliwe – odparł krótko Samarin.

– Mógłby pan to wyjaśnić? Nasi magowie twierdzą, że wręcz przeciwnie.

Generał sapnął ze zniecierpliwieniem, przeżył już dziesiątki takich indagacji i jeszcze się nie zdarzyło, aby jego rozmówcy zmienili zdanie na temat *theokatáratos*.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale to naprawdę ważne dla mnie. Opinia eksperta.

– Sam pan sobie po części odpowiedział – odparł Samarin. – Ilu z tych magów walczyło z Przekłętymi? Ilu było w enklawie? Ilu wreszcie opanowało chociaż jedno słowo mocy?

– A jakie to ma znaczenie? To słowo mocy?

– Co pan wie o *theokatáratos*?

– Wrogie byty z innego świata – wyrecytował młodzieniec. – Odpowiednik demonów z większości religii.

– Owszem, także demonów – przyznał Samarin. – Jednak przede wszystkim bogów.

– To przerośnia?

– Skąd! Oni chodzili po ziemi tysiące lat temu, a nasi przodkowie oddawali im cześć. Wyobraża pan sobie, jaką potęgą musieli dysponować? Słowo mocy pozwala w niewielkim stopniu współdzielić tę potęgę, dlatego jedynie adepci są w stanie racjonalnie podejść do problemu Przeklętych.

– Niemniej to tylko demony z ambicjami – zauważył Draghi. – Mogli terroryzować ludzkość, kiedy posługiwaliśmy się mieczami z brązu, ale przecież nie teraz.

– I tak, i nie – westchnął Samarin. – Rzeczywiście możemy z nimi walczyć, jeśli nawet nie jak równy z równym, to jednak skutecznie. Niestety, istoty, które przenikają teraz do naszego świata, to tylko drobnica, tymczasem niektórzy *theokatáratos* są tak potężni, że chcą rzucić wyzwanie samemu Bogu. Nie mówię, że im się uda – zastrzegł natychmiast. – Jednak aby się wzmocnić, będą musieli zniewolić ludzkość, a to akurat mogą osiągnąć bez trudu, kiedy tylko znajdą się u nas.

– Bóg nigdy na to nie pozwoli!

Samarin zbył wybuch młodzieńca znużonym gestem i łyknął whisky.

– Naprawdę uważa pan, że zna plany Najwyższego? – spytał po chwili.

– Przepraszam, to było głupie – przyznał Draghi. – Jednak taka perspektywa... To niewyobrażalne!

– Teraz powiem panu coś, o czym wie tylko kilka osób na świecie i oczywiście Przekłēci. Słyszał pan o Echnatonie?

– Coś kojarzę, to ten faraon, który próbował wprowadzić kult Atona?

– Tak.

– Aton był...

– No właśnie. Wie pan, że Przekłēci są nieśmiertelni?

Draghi bez słowa skinął głową.

– Podobno Aton rzucił wyzwanie Bogu. *Theokatáratos* twierdzą, że przedwcześnie, jednak pamiętają, że tamten stał długo ogarnięty bożym gniewem i opierał się Najwyższemu. Rozumie pan? Walczył, zamiast zostać wymazany jedną Jego myślą.

– Co z tego wynika? – wymamrotał oszołomiony młodzieniec.

– Nie mam pojęcia – wyznał Samarin. – Jednak Aton opanował tylko starożytny Egipt. Co by było, gdyby któryś z Szepczących zapanował nad całym światem? A teraz proszę sobie wyobrazić, że zabijamy wszystkich Przekłētych, w tym także takich, którzy z nami współpracują, a do naszego świata przybywają dużo potężniejsze byty, mające na celu opanowanie naszej planety. Kto im się wówczas przeciwstawi? Kto ukáže nam ich słabe strony?

– Jednak gdybyśmy potrafili zablokować korytarze, którymi do nas przybywają?

– Kiedy nie potrafimy! Wątpię zresztą, czy to w ogóle możliwe. Połączenia między naszymi wszechświatami przypominają przyływy i odpływy morza, *theokatáratos*

mogą poszerzyć korytarze, ale nikt, nawet Szepczący, nie jest w stanie ich kontrolować, inaczej dawno bylibyśmy pod ich władzą. W czasie przypływu przez korytarze mogą przeniknąć naprawdę potężne istoty, ale potem na szczęście! nadchodzi odpływ i przejścia się zamykają.

– Na ile możemy wierzyć w lojalność Przeklętych? Tych, którzy nam pomagają?

– Niemal całkowicie – zapewnił Samarin. – Oni bardzo niechętnie kłamią nawet w zwykłej rozmowie, to ma związek zarówno z naturą samej magii, która jako taka jest zaprzeczeniem kłamstwa, jak i ich poczuciem wyższości.

– Poczuciem wyższości?

– Dla nich jesteście tylko zwierzyną, i to nie największego gatunku. Wstydzą się nas okłamywać, bo to ich upokarza. Gdyby pan rozmawiał na przykład z wiewiórką, nie czułby się pan nieswojo, okłamując ją ze strachu?

– Nie bałbym się jej!

– No właśnie, oni także nie czują przed nami lęku. Wreszcie nie mogą złamać magicznej przysięgi.

– Ci, którzy pomogli panu uratować carewicza, złożyli taką przysięgę?

– Tak. Inaczej nie rozmawiałbym z nimi.

– A zatem nie wystąpią przeciwko nam?

– Nigdy. Chyba że my pierwsi złamiemy dane im słowo.

Draghi rozmasował skronie, najwyraźniej starając się przetrwać słowa rozmówcy, po czym nerwowym gestem sięgnął po szklankę i jednym haustem ją opróżnił. Generał ze zdziwieniem zauważył, że na czole młodzieńca ukazały się krople potu. Przecież nie od tej odrobiny whisky, pomyślał. Co by nie mówić, chłopak ma mocną głowę. Więc w czym rzecz?

– Dziękuję za rozmowę – powiedział Draghi. – Muszę to wszystko przemyśleć.

Samarin w zamyśleniu popatrzył w ślad za oddalającym się młodzieńcem. Reakcja młodego arystokraty wskazywała, że Draghi był bardziej zainteresowany realnymi konsekwencjami walki z *theokatáratos*, a niewykluczone, że i ich możliwościami, niż teoretyzowaniem. Tylko jaki interes miał w tym sam chłopak, a może Święta Drużyna? Szlag...



Samarin oddał płaszcz i kapelusz służącemu, po czym przeszedł do salonu. Gwar dochodzący zza okna sugerował, że domownicy przebywają w ogrodzie. Generał westchnął, widząc księcia Chreptowicza z opaską na oczach i uciekające przed nim dziewczynki. Anna, siedząca przy stoliku pod okazałą wiśnią, obserwowała całe zamieszanie, popijając kawę.

Księżę chyba rzeczywiście czuje się samotny, pomyślał. Ostatnio odwiedza nas regularnie. Cóż, córkom Olafa przyda się dodatkowy protektor, kiedy zostaną przedstawione na dworze.

Generał poprosił pokojówkę o kawę i pomaszerował do ogrodu. Słyszając kroki, Chreptowicz natychmiast ściągnął opaskę i odwrócił się w stronę nadchodzącego oficera, a jego prawa ręka odruchowo powędrowała do pasa.

– Wujku, miałeś nas łapać! – odezwała się z wyrzutem Łucja.

– Za chwilę – obiecał księżę. – Muszę trochę odpocząć. Nie chciałabyś chyba, żebym dostał zadyszki?

– Jesteś zdrowy jak wół! – odparła naburmuszona dziewczynka.

– Jak koń – poprawił spokojnie arystokrata. – Pobawcie się na razie same.



– Ciekawe, skąd ona to wie? – zainteresował się Chreptowicz, wyciągając dłoń na powitanie.

– Co takiego?

– No, że jestem całkowicie zdrowy i w niezłej kondycji. Dziś rano mój lekarz powiedział mi to samo.

– To tylko dziecko – zbagatelizował Samarin. – Lubi pana, więc nie przyjdzie jej do głowy, że może pan niedomagać. Kawy?

– Poproszę.

Kiedy zasiedli przy stoliku, generał wydał dyspozycje służbie. Jak zauważył, w ogrodzie poza pokojówką czuwało dwóch lokajów. Ci ostatni nie rzucali się w oczy, ale widać było, że barczyści mężczyźni znaleźli się tu, aby zadbać o bezpieczeństwo domowników, a nie ich żołądki.

– Dziś odwiedzi nas Anastazja – wyjaśniła Anna, widząc taksujące spojrzenie męża. – Cała ekipa jest już gotowa.

– Księżniczka Anastazja? – spytał Chreptowicz. – Może przeszkadzam?

– Skąd! Jest pan na prawach domownika – zapewniła Anna z uśmiechem. – Po prostu nie zdążyłam panu powiedzieć. Mój szanowny małżonek obiecał spacer tej małej paskudzie i jak to często bywa, zwałił wszystko na mnie – dodała z ironią. – On będzie sobie popijał kawę, a ja wezmę Anastazję na zakupy.

– Z dziewczynkami?

– Tak.

– To może i ja zabrałbym się z wami? Aleksandrze Borysowiczu?

– Jeśli tylko pan zechce – odparł po krótkim namyśle Samarin. – Będą jej pilnowali moi ludzie, ale od przybytku głowa nie boli.

– No i wszyscy będą się gapili na księcia, nikt nie zwróci uwagi na młodą damę w kapeluszu z woalką – dodała Anna.

– Jestem do pani dyspozycji – zadeklarował szarmancko Chreptowicz. – Co do dziewczynek jeszcze...

– Tak?

– Kim jest Łucja?

– Dlaczego pan pyta? – Samarin zmarszczył brwi.

– Jak powiedziałem, jestem całkowicie zdrowy, jednak kilkanaście lat temu złamałem palec w ulicznej bójce, przez nieuwagę skręciłem w boczną uliczkę i kilku obszczymurków postanowiło wykorzystać okazję. Nieważne. Grunt, że od tego czasu palec mnie pobolewał na zmianę pogody. Tymczasem odkąd zaprzyjaźniłem się z dziewczynkami, ból minął, a prześwietlenie wykazało, że nie ma śladu po złamaniu...

– Jaki ma to związek z Łucją?

– Cóż, kiedyś podczas zabawy skrzywiłem się z bólu, a chwilę później Hania szepnęła Łucji, żeby ta, cytuję: „coś z tym zrobiła”. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, jednak kiedy ból minął, przypomniałem sobie o tym zajściu i wziąłem na spytki Łucję.

– I co panu odpowiedziała? – zainteresował się oficer.

– Żeby nie był głupi, a ona jest tylko małą dziewczynką.

– A to paskuda! Ja jej...

– Nie, nie! Proszę jej nie karcić. Potrafię odróżnić szczere uczucie od braku szacunku, ona po prostu nie chciała podziękowań. Jednak od tej pory zacząłem się zastanawiać, rozumiecie państwo, były i inne podobne zdarzenia. Boję się, że jeśli ktoś to zauważy, Łucja może mieć kłopoty. To przybrana córka Olafa Rudnickiego, prawda?

– W pewnym sensie – przyznał Samarin.

– Nie bardzo rozumiem?

Generał spojrzał pytająco na żonę, Anna odpowiedziała zachęcającym gestem, najwyraźniej Chreptowicz zdobył jej zaufanie.

– To skomplikowana sprawa, dlatego prosiłbym pana o dyskrecję – powiedział wreszcie oficer.

– Oczywiście, nigdy nie naraziłbym dziewczynek na niebezpieczeństwo.

– Cóż, jak by to powiedzieć... Łucja nie do końca jest człowiekiem.

Samarin pokrótce opowiedział, co wie o pochodzeniu Łucji i możliwościach dziewczynki.

Księżę w milczeniu wysłuchał relacji gospodarza i pokiwał głową.

– Podejrzewałem coś podobnego – odparł. – I proszę się nie obawiać, dochowam tajemnicy. Czy muszę na coś uważać?

– Proszę postępować ostrożnie ze zwierzeniami przy dziewczynkach, a szczególnie przy Łucji – powiedziała Anna. – Z tego, co zauważyłam, ona traktuje pana jak członka rodziny, podobnie jak baronową von Luschke. Jeśli uznałaby, że ktoś panu zagraża albo wyrządził przykrość, obawiam się, że zareagowałaby dość impulsywnie.

– Myśli pani? – rzucił niedowierzająco księżę.

– Jestem pewna. Łucja na szczęście słucha starszej siostry, a ta nie pozwala jej robić głupstw, jednak czasami... – urwała wymownie.

– Korszunowicz?

Samarin przytaknął zrezygnowanym gestem.

– I wnuki baronowej – powiedział. – Rozumie pan, okradli jej pałac i chcieli umieścić babkę w zakładzie psychiatrycznym.

– Oni przecież żyją, choć słyszałem o jakimś skandalu.

– Żyją – przytaknął generał. – Dzięki Bogu, bo nie wiem, jak Katarzyna Lwowna przyjęłaby śmierć wnuków, nawet takich jak oni. Jednak niech mi pan wierzy, że sporo się

namęczyłem, aby zniechęcić Łucję do bardziej radykalnych kroków.

– Olaf Rudnicki zabierze stąd dziewczynki, prawda?

– Tak, kiedy upora się ze swoimi sprawami, a to może potrwać.

– Wrócą do Polski?

– Być może – odparł wymijająco Samarin.

Dalszą rozmowę przerwał im majordomus. Postawny mężczyzna w eleganckim garniturze i czarnym krawacie stanął przy stoliku i odchrząknął dyskretnie.

– Co się stało?

– Przybyła jakaś młoda dama – zameldował służący.

– Anastazja – westchnął generał. – Chyba musicie się zbierać.

– A ty? – spytała Anna.

– Jak powiedziała moja mądra małżonka, będę pił kawę.

– Leniuch!

– Cóż robić? Nie wszyscy mogą być pracownicy – rozłożył ręce oficer.

Anna pokazała mu język.



Pilnujący gabinetu cara gwardzista ustąpił z drogi i Samarin zapukał, po czym nacisnął klamkę. Władca siedział za biurkiem w nieco zbyt dużym szlafroku, z gardłem owiniętym szalikiem. Zmęczenie widoczne na twarzy imperatora sugerowało, że jeszcze nie do końca uporał się ze skutkami choroby.

To pierwszy raz, kiedy widzę go w takim stroju, pomyślał generał. On chyba rzeczywiście uważa mnie za domownika.

– Przepraszam, że pana tak nagle wezwałem – sumitował się car. – Jednak po tym, co powiedzieli mi Aleks i żona,

uznałem, że lepiej omówić z panem problemy enklawy, zanim podejmę jakieś decyzje. À propos enklawy, jak wygląda sytuacja? I proszę siadać, hrabio. Koniaku?

– Dziękuję, może później – grzecznie odmówił Samarin. – Jeśli chodzi o enklawę, to wszystko jest pod kontrolą. Moi ludzie zabezpieczyli zarówno wyjście z enklawy, jak i koszary, gdzie ostatnio dokonano sabotażu.

– A jeśli dywersanci zaatakują inną jednostkę?

– Niemożliwe – pokręcił głową generał. – Im chodzi o sprowokowanie *theokatáratos*, a ściślej rzecz biorąc, walk między ludźmi a Przeklętymi. Każdy, kto wejdzie na teren enklawy, zginie natychmiast, pozostaje więc jedynie ostrzał artyleryjski. Z kolei tylko koszary siemionowskie dają taką możliwość, inne są zbyt oddalone od enklawy albo nie ma czystego pola ostrzału, czy wreszcie zbyt wielu ludzi się tam kręci. Niemożliwe – powtórzył. – Jednak nie zaszkodziłoby wzmocnić warty i wysłać tam dodatkowe patrole.

– Jak mam współpracować z ludźmi, którzy ukrywają przede mną kluczowe informacje?! – niespodziewanie wybuchnął car. – Do dziś nie doczekałem się meldunku o ataku na koszary! Gdyby nie pan, dowiedziałbym się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy doszłoby do walk ulicznych z *theokatáratos*.

– Niestety, to u nas powszechne – westchnął Samarin. – Strach przed odpowiedzialnością i płynący stąd brak zdecydowania. Jeśli zdarzy się jakaś katastrofa, dowódcy znajdują kozła ofiarnego i wmiatają sprawę pod dywan. Oni zostają na swoich stanowiskach, a Bogu ducha winny oficer, często właśnie ten, który ostrzegał przed niebezpieczeństwem, jest zwalniany ze służby, a bywa, że staje przed sądem i odchodzi z armii w hańbie.

– Co z tym można zrobić? Teraz, w Petersburgu, i w ogóle? Czy można jeszcze coś zrobić?

Generał podszedł do barku i rozlał koniak do kieliszków w kształcie tulipana.

– Jesteśmy zacofani w stosunku do Zachodu – przyznał. – Taka średniowieczna mentalność odbija się nie tylko na gospodarce czy polityce, ale i na armii. Najlepszym tego przykładem jest przegrana w wojnie krymskiej i nasze niedawne niepowodzenia.

Car zacisnął zęby, lecz nie zaprotestował, gwałtownym gestem sięgnął po kieliszek. To jego pradziadek doprowadził najpierw do starcia, a później porażki w wojnie z nowoczesnymi potęgami ówczesnej Europy.

– Musimy zmienić stosunki społeczne – kontynuował Samarin. – Nawet najlepszy władca nie jest w stanie kontrolować całego państwa, dlatego część jego kompetencji powinny przejść odpowiednie instytucje, tak jak to dzieje się na Zachodzie. Jednak to program na przyszłość, tu i teraz trzeba zatroszczyć się o bezpieczeństwo Petersburga.

– Co pan proponuje?

– Natychmiast zdymisjonować szefa petersburskiej ochrony i dowódcę garnizonu.

– To oczywiste! – burknął car. – Tylko kim ich zastąpię? Wyobraża pan sobie te walki dworskich koterii? Przecież oni będą zreć się ze sobą miesiącami, a ja potrzebuję na tych stanowiskach kompetentnych ludzi na wczoraj! Może ten pański przyjaciel, pułkownik Matuszkin? Awansowałbym go na generała. Bo pan, jak rozumiem, nadal dystansuje się od polityki?

– Nadal – potwierdził Samarin. – Co do pułkownika Matuszkina, to będzie on znakomitym zastępcą dowódcy garnizonu. Ma ogromne doświadczenie bojowe i walczył już w enklawie. Niestety, komendant garnizonu musi posiadać też pewne umiejętności sztabowe, których to umiejętności pułkownik Matuszkin nie tylko nie posiada, ale i nie ma

zamiaru posiąć, o czym wiem z własnego gorzkiego doświadczenia – powiedział oficer, łagodząc opinię uśmiechem.

– On był pańskim podwładnym w czasie ostatniej wojny?

– Tak.

– Więc kogo pan proponuje?

– Myślę, że idealnym kandydatem byłby pułkownik Turgieniew. To dobry sztabowiec, a do tego ma doświadczenie w walce z Przekłętymi, no i jest całkowicie lojalny, co wykazał w czasie buntu generałów. Oczywiście, trzeba by go awansować.

– Turgieniew, Turgieniew... – wymamrotał car. – To ten oficer, który pomógł panu uratować Aleksa?

– Ten sam.

– W takim razie jedna sprawa załatwiona, pozostaje ochrona. Pan pewnie nie ma tam znajomości?

Samarin skrzywił się bezwiednie, jego stosunki z ochrannym odtieleniem były dość napięte. Trudno było zapomnieć o knowaniach Głobaczowa, jak i postawie samej ochrony w odniesieniu do pewnego generała i armii jako takiej.

– Nie przepadam za nimi – przyznał. – Jednak jest tam chyba człowiek, którego mógłbym rekomendować, to pułkownik Plewsze. On pierwszy uprzedził mnie o kłopotach z enklawą, i to wbrew wyraźnej woli przełożonych. W przeszłości współpracowałem z nim kilkakrotnie i zawsze wykazywał zdrowy rozsądek i oddanie monarchii.

– Doskonale! W takim razie zostają mi jedynie dokumenty.

– Dokumenty?

Władca wymownym gestem wskazał stojący obok biurka regał.

- To plon tylko z ostatniego tygodnia – powiedział gorzko.
- I wiele z nich wymaga mojego podpisu.
- Tam jest tego ze dwa pudy – powiedział oszołomiony oficer.
- Owszem.
- Jest pan jeszcze niezdrów, Mikołaju Aleksandrowiczu – zaprotestował Samarin. – Nie może się pan tak przemęczać.
- Nikt za mnie tego nie zrobi. Żaden urzędnik nie ma takich kompetencji, a ja nie mam ochoty nikomu ich przekazywać. To zbyt ważne sprawy.
- Niech Aleks się tym zajmie – zaproponował generał. – Ostatnio skarżył się na nudę, jestem pewien, że kiedy to wszystko przeczyta, wróci do nauki w szkole oficerskiej z pieśnią na ustach.
- Nie mogę go tak wykorzystywać – powiedział wyraźnie zaskoczony monarcha.
- „Kto miłuje swego syna, często używa na niego różgi, aby na końcu mógł się nim cieszyć” – zacytował z uśmiechem Samarin. – A Aleks musi się przygotować i do takich obowiązków.
- To na pewno, ale czy już teraz? No i on nie ma prawa podpisu.
- Niech przeczyta to wszystko, sporządzi dla pana raport na piśmie i wyselekcjonuje dokumenty wymagające pańskiego podpisu, wraz z krótkim omówieniem każdego z nich – zaproponował generał. – To oszczędzi panu wielu godzin pracy, a przy okazji zbadamy poziom orientacji Aleksa w sprawach państwowych. Nawet jeśli się gdzieś pomyli, nic złego się nie stanie, bo ostateczną decyzję podejmie pan.
- On raczej nie będzie tym zachwycony – zauważył monarcha.



– To na pewno, ale jest następcą tronu i ma swoje obowiązki. Poza tym chętnie panu pomoże, choćby po to, żeby pan lepiej odpoczął po chorobie.

– Słyszałem, że zabrał pan na spacer Anastazję – władca zmienił temat.

– Tak, ściślej mówiąc, zajęła się tym moja żona, ja tylko zorganizowałem ochronę.

– A co tam robił książę Chreptowicz-Taurydzki? Anastazja pochwaliła się, że z nim rozmawiała – wyjaśnił car, widząc pytające spojrzenie Samarina. – On raczej unika towarzystwa...

– Ostatnio jest częstym gościem w moim domu i zaprzyjaźnił się z dziewczynkami – poinformował generał.

– Ostatnio?

– Od czasu incydentu z Korszunowiczem.

– Zaciekawiał mnie pan, hrabio. O jaki incydent chodzi? Korszunowicz przecież umarł niedawno?

Samarin poczuł, jak pot ścieka mu wzdłuż kręgosłupa. Jeśli car zacznie coś podejrzewać i zasięgnie opinii ochrony, najmniejsze, co mnie czeka, to opał, pomyślał. A może teść Korszunowicza interweniował u imperatora?

– Jakiś czas temu moja żona zorganizowała zabawę na cele dobroczynne i pan baron postanowił wziąć w niej udział, mimo że nie został zaproszony – wyjaśnił oficer. – Mnie wówczas nie było w domu i Korszunowicz dał upust swoim instynktom.

– Wiem, że za życia nie cieszył się dobrą opinią, ale jakoś nikt nie chciał mi powiedzieć dlaczego – odparł z wyraźnym zainteresowaniem władca.

– Kleptomania – wyjaśnił krótko Samarin. – Niestety, został zdemaskowany.

– Niestety?

– Cóż, próbę kradzieży zauważyła Okoniowa.

– To rzeczywiście niepokojące – przyznał car rozbawiony.  
– I co było dalej?

– Okoniowa podeszła do sprawy dość bezpośrednio i w efekcie pan baron został wyrzucony z mojego domu. Dosłownie. Świadkowie mówią, że przeleciał w powietrzu dobre trzy sążnie. Łucja twierdzi nawet, że Okoniowa pobiła rekord. Rozumie pan, na Zachodzie mają zawody w rzucie karłem...

Car wybuchnął śmiechem, a po chwili rozkaszał się bezradnie.

– Może wezwać lekarza? – spytał zaniepokojony generał.

– Nie, nie, już wszystko w porządku, proszę kontynuować.

– Okazało się, książę Chreptowicz miał z Korszunowiczem w przeszłości jakieś nieporozumienia, podobnie zresztą jak większość petersburskiej socjety, zyskałem więc pewną sławę jako pracodawca Okoniowej. Tak poznałem Chreptowicza.

– Ciekawe, ilu jeszcze rzeczy nie wiem o życiu miejscowego *beau monde'u* – powiedział car, popatrując spod oka na Samarina. – Powinienem chyba częściej z panem rozmawiać.

– Jestem do pańskiej dyspozycji, Mikołaju Aleksandrowiczu – zadeklarował Samarin.

– Wracając do spaceru Anastazji...

– Tak?

– Z tego, co wiem, moje pozostałe córki szykują petycję, żeby i je objął pan swoją opieką. Widzę, że nie jest pan specjalnie zaskoczony?

– Anna to przewidziała – przytaknął Samarin.

– I co pan na to?

– Jeśli zgodzą się na moje warunki, nie mam nic przeciwko. To oczywiste, że młode damy potrzebują nieco swobody, jednak priorytetem jest ich bezpieczeństwo.

- Co pan proponuje?
  - Jestem w stanie zorganizować taki spacer nie częściej niż raz na dwa tygodnie. Jeśli księżniczki wychodziłyby parami, każda mogłaby pospacerować raz w miesiącu.
  - Nie można by częściej?
  - Nie – odparł stanowczo oficer. – Nie bez osłabienia ochrony, a na to się nie zgodzę.
  - Pan nawet nie towarzyszył Anastazji?
  - To prawda. Co mogło jej grozić z Anveltem i Matuszkinem u boku i w towarzystwie Łucji? Sama Łucja poradziłaby sobie z większością zagrożeń.
  - Mimo wszystko to tylko mała dziewczynka.
  - Nie jestem specjalnie strachliwy, ale niech mi pan wierzy, że wolałbym walczyć w pojedynkę z kompanią piechoty, niż wejść w drogę temu maleństwu. Pańskie córki będą z nią całkowicie bezpieczne.
  - Ona je lubi, prawda? – odezwał się car z niepokojem w głosie.
  - Oczywiście.
  - Pan chyba najlepiej ze znanych mi osób rozumie psychikę *theokatáratos* – oznajmił nieoczekiwanie władca. – Skąd pewność, że Łucja w razie czego obroni moje córki, narazi się na niebezpieczeństwo dla obcych przecież ludzi? Bo nie zauważyłem, żeby robiły na niej wrażenie rangi czy pozycja społeczna?
  - To prawda – przyznał dyplomatycznie Samarin.
  - Więc skąd ta pewność?
  - To skomplikowana sprawa...
- Zaciekawiony car poprawił się w fotelu.
- Znamy się już na tyle długo, że wyczuwam, kiedy wolałby pan nie odpowiadać na moje pytanie – powiedział.
  - Jednak nie rozumiem, w czym rzecz.

– Szczegółowe wyjaśnienia mogłyby sprawić, że poczułby się pan urażony – wymamrotał oficer.

– Teraz mnie pan zaintrygował, hrabio.

– Cóż, Przekłęci przejawiają silny instynkt posiadania, można powiedzieć, że jest on nawet silniejszy niż powszechna u nich chęć dominacji. To dotyczy zarówno terytorium, jak i ludzi. Konkludując, są rzeczy i nie tylko rzeczy, które Łucja uważa za swoją własność, a ponieważ jest po części człowiekiem i została wychowana przez ludzi, nie próbuje sobie nikogo podporządkować, natomiast broni „swoich” i swojego terytorium. Odruchowo i bez namysłu.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi, ale nadal nie rozumiem, co mogłoby mnie... – Władca urwał raptownie i popatrzył z niedowierzaniem na Samarina. – Więc ona uważa...

– Tak – przyznał generał. – W oczach Łucji wszyscy, których lubi, są jej „własnością” i będzie ich broniła nawet z narażeniem życia. To instynkt. Ja, Anna, Hania, cała moja służba i domownicy, Anastazja i pozostałe księżniczki, obawiam się, że także pan, Mikołaju Aleksandrowiczu. Pamięta pan, jak kiedyś poczęstowała pana słodyczami?

Car przytaknął.

– Dla zwykłego dziecka nie miałoby to znaczenia, ale Łucja w ten sposób dała znać, że znajduje się pan w kręgu jej... zainteresowań.

Nieoczekiwanie władca poczerwieniał, po czym wybuchnął homeryckim śmiechem, przez chwilę Samarina obawiał się, że car spadnie z fotela.

– To odświeżające doświadczenie – powiedział monarcha, ocierając łzy. – A to mała paskuda! Strach pomyśleć, co będzie, jak dorośnie. Koniecznie musi pan nas odwiedzić z dziewczynkami, chętnie spotkam się ze swoją

„właścicielką”. Może w przyszłym tygodniu, w piątek? Moja żona chce urządzić małe rodzinne przyjęcie.

– Z przyjemnością.

Zanim ponownie przyprowadzę do pałacu Łucję, porozmawiam z nią o szacunku należnym carowi, obiecał sobie Samarin. Poważnie porozmawiam.



Obudziło go bębnienie deszczu po szybach i szelest giętych wiatrem gałęzi w ogrodzie. Czuł ciepło wtulonej w jego ramię Anny, w przeciwległym kącie sypialni paliła się niewielka lampka elektryczna: Samarin nie lubił spać w całkowitej ciemności.

Oficer wyśliznął się z łóżka, starając się nie obudzić żony, narzucił szlafrok i podszedł do okna. Gdzieś w oddali błysnęło, chwilę później rozległ się grzmot. Samarin obejrzał się, ale Anna nadal spała, przygarnawszy okazałą poduszkę.

Generał usiadł w wygodnym fotelu przy lampie i sięgnął po książkę. Życ nie umierać, pomyślał z zadowoleniem. W interesach wszystko szło znakomicie, Towarzystwo Południowo-Zachodnich Dróg Żelaznych rozwijało się w błyskawicznym tempie, w budowie była już linia łącząca Warszawę z Berlinem i co za tym idzie i z Petersburgiem, udziałowcom zaczęto wypłacać dywidendy, a kilka dni temu z Zakładów Putiłowskich wyjechała pierwsza lokomotywa konstrukcji Chreptowicza. Oczywiście nie znaczyło to, że wszystkie problemy zniknęły, przede wszystkim trzeba było wyjaśnić, jakie zamiary mieli drużynnicy i kto zaatakował enklawę, jednak na razie w Petersburgu panował spokój.

Samarin uniósł głowę, usłyszawszy, że na parapecie wylądowało coś ciężkiego. Zamrugął z niedowierzaniem,

widząc spore ptaszysko, orła, a może sępa? Nocny mrok nie pozwalał dostrzec szczegółów.

– Przyjedź do mnie jak najszybciej – powiedział ptak głosem Izad. – Pospiesz się!

– Co się stało? – spytał gorączkowo Samarin.

– Pospiesz się! – powtórzył ptak i odleciał, ciężko bijąc skrzydłami.

– Dobrze.

– Co się stało? – odezwała się zaspanym głosem Anna.

– Nic, śpij.

– Przecież widzę, że coś się stało.

– Z zamkniętymi oczyma?

Anna nie podjęła żartu i podeszła do męża. Na jej twarzy malował się niepokój przemieszany ze zniecierpliwieniem.

– No już, gadaj! – ponagliła.

Samarin z westchnieniem posadził ją sobie na kolanach i ukrył twarz we włosach żony.

– Dostałem wiadomość od Izad – powiedział. – Życzy sobie, żebym natychmiast przybył do Moskwy.

– To znaczy, że jutro musisz jechać?

– Nie jutro, dziś. Za dwie godziny odchodzi do Moskwy pociąg z Dworca Nikołajewskiego. Odkąd Józef Andriejewicz wciągnął mnie w ten swój projekt, znam rozkład jazdy na pamięć – mruknął.

– Chyba żartujesz? Przecież równie dobrze możesz się wyspać i jutro...

– Nie mogę – przerwał jej oficer. – *Theokatáratos* nie przesadzają. Jeśli Izad powiedziała „jak najszybciej”, to znaczy jak najszybciej. A ja obiecałem temu ptaszysku, że tak zrobię.

– Jakiemu, do licha, ptaszysku?

– Przysłała z wiadomością orła, a może sokoła? Gadającego.

– W takim razie nie pojedziesz sam – powiedziała z determinacją Anna. – Zaraz zadzwonisz do garnizonu i wezwiesz w trybie alarmowym tę grupę, którą sformowałeś dla ochrony księżniczek. Z Anveltem i Matuszkinem włącznie.

– Nie mogę tego zrobić, na pojutrze przewidziany jest kolejny spacer, a nie wiem, jak długo tam zabawię.

– Trudno, przełożymy go na inny termin.

– Ale...

– Bez dyskusji! Masz dziesięć minut, żeby to zrobić, później sama zadzwonię do cara. Wiesz, że wtedy jego adiutant go obudzi?

– Zwariowałaś! Nie możesz...

– Jeszcze jak mogę! Dzwon! – rzuciła groźnie.

Utyskując na polskich buntowników, Samarin podszedł do telefonu. Mimo ostentacyjnie okazywanego niezadowolenia generał cieszył się, że pojedzie do Moskwy w towarzystwie. Co by nie mówić o Izad, ta na pewno nie wezwała go z błahego powodu. Przekłęci mieli irytującą manierę lekceważenia wszystkiego poza końcem świata.



Samarin uchylił okno przedziału i sięgnął po kawę. Gorący płyn przyjemnie rozgrzewał, poranek był dość chłodny.

– Jak myślisz, to coś poważnego? – spytał Matuszkin, zapalając papierosa.

– Wiem tyle, co ty.

– Można jej zaufać? Tej Izad? To ty z nią ostatnio gadałeś.

– Myślę, że tak.

– To może być zasadzka.

– W celu?

– W celu wyeliminowania najlepszych adeptów i magów.

– Wątpię, w czasie wojny grupa Omega była rzeczywiście w czołówce, ale przecież nie teraz. Obecnie jedynie Anvelt być może dorównałby naszym najlepszym adeptom, z naciskiem na „może”. My dwaj wiemy, jak sobie radzić, ale daleko nam do młodego.

– To o co jej chodzi? Przecież kontroluje enklawę?

– Kontrolowała – poprawił pedantycznie Samarin. – Czort wie czy nadal panuje nad sytuacją. Wreszcie to nie musi być coś związanego z enklawą. Mam tylko nadzieję, że nie chodzi o prowokację jak w Petersburgu, bo jeśli ktoś zaatakował Przeklętych i ci zechcą się zemścić, będziemy mieli problem.

– Dojeżdżamy – poinformował Matuszkin, wyglądając przez okno.

Od czasu buntu generałów nikt nie korzystał z linii kolejowej wiodącej wprost do moskiewskiej enklawy, niemniej tory zostały nienaruszone i można było podjechać pod samą bramę.

– Ogłoś gotowość bojową! – polecił szorstko Samarin.

– Natychmiast.

Oficer odruchowo sprawdził broń i wyszedł z przedziału. Eszelon składał się tylko z dwóch wagonów i lokomotywy i miał absolutne pierwszeństwo przejazdu – efekt poderwania grupy bojowej w trybie alarmowym – tak więc przybyli do Moskwy w rekordowym tempie.

Samarin zmarszczył brwi, widząc przed bramą do enklawy setki żołnierzy i kilkanaście czołgów.

– Ki czort? – mruknął pod nosem.

Kiedy pociąg zatrzymał się, zgrzytając hamulcami, generał natychmiast wysiadł i wmieszał się w tłum żołnierzy.

– Kto tu dowodzi?! – rzucił rozkazująco.

– Witaj, stary byku – usłyszał flegmatyczny głos.



– Turgieniew? Co ty tu robisz? – spytał, wyciągając dłoń.

– Jak to co? Udzielam wszelkiej możliwej pomocy ekscelencji, jako poniekąd klucznik tej bramy.

Mimo żartobliwego tonu w głosie pułkownika Turgieniewa można było wychwycić gorycz.

– I może powiesz, dlaczego przyjechałeś? Bo tu u nas spokojnie.

– Dostałem wezwanie. Stamtąd. – Samarin wskazał ruchem głowy enklawę. – Co do klucznika jeszcze, zdaje się, że car postanowił cię awansować, na razie to tylko nieoficjalna informacja, ale lada dzień powinieneś dostać dokumenty.

– Żartujesz?!

– Ani mi to w głowie. Ale pogadamy o tym innym razem, teraz mamy ważniejsze sprawy.

– I pewnie nie masz nic wspólnego z tym moim awansem?

– Skąd, ja tylko czasem jem obiad z Jego Wysokością. A teraz do rzeczy: jak możesz mi pomóc?

– Na miejscu mam dwa bataliony piechoty i kompanię czołgów, w razie czego mogę wezwać na pomoc choćby i pułk.

– Postaw ich na nogi, niech będą w gotowości, ale na razie trzymaj wojsko w koszarach, nie chciałbym, żeby moja wizyta wyglądała na najazd.

– Rozumiem.

Tymczasem do rozmawiających oficerów podszedł Matuszkin.



– Wszystko gotowe – zameldował, witając się z Turgieniewem.

– W takim razie idziemy, otwieraj bramę – polecił generał.

Izad czekała na nich jakieś sto arszynów od wejścia w otoczeniu kilkunastu *theokatáratos*.

– Co się stało? – spytał Samarin bez żadnego wstępu.

– I ja się cieszę, że cię widzę – odparła z nikłym uśmiechem kobieta. – Na razie jeszcze nic. Tyle, że wasi szykują się do ataku na moją enklawę.

– Jacy „wasi”?!

– Ludzie.

– Kto konkretnie?

– Nie wiem, kim są, ale mogę ci pokazać twarze kilku z nich.

– Pokaż. I skąd w ogóle te informacje?

– Mamy agentów na zewnątrz. Informacja jest pewna, atak nastąpi w najbliższym czasie. Kilku moich podwładnych zapłaciło życiem za przekazanie tych wieści. Może przejdziemy do mnie?

– Później – odparł niecierpliwie oficer. – Może będę musiał pogadać z Turgieniewem. Pokaż ich!

Mina Izad wskazywała, że Przekłęta doskonale wie, kim jest Iwan Turgieniew.

– Proszę bardzo – powiedziała, wykonując dziwny gest.

W powietrzu przed Samarinem pojawiło się kilka na wpół przezroczystych, ale możliwych do rozpoznania twarzy. Generał zaklął wściekle – jedna z nich należała do Vittoria Draghiego.

# VII

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki odmierzył przepisową liczbę kroków, po czym padł na kolana, kłaniając się cesarzowi. W ślad za nim powtórzyła ten gest Liu He i obie dziewczyny. Jak się okazało, jako przywódca gildii Wędrowców miał prawo do osobistej ochrony nawet w cesarskim pałacu.

– Ying Tu i jego świta mogą powstać – oznajmił Gao Men.

Oprócz eunucha i imperatora w sali audiencyjnej obecni byli tylko członkowie straży przybocznej władcy. Najwyraźniej Huangdi zamierzał udzielić Rudnickiemu prywatnej audiencji, tylko co oznaczała nieobecność cesarzowej? Czyżby Shunlie popadła w niełaskę, oswobodzając syna od kolejnych więzów?

Alchemik usiadł na przygotowanej poduszce, za nim zajęła miejsce Liu He, jeszcze dalej młode tygrysyce.

– Przeczytałem pański raport – odezwał się cesarz. – Jak rozumiem, sytuacja w prowincji Wielkiej Rzeki jest stabilna, ale co dalej? Myśli pan, że generał Tung Lu da sobie radę? I co z jego lojalnością? Do tej pory nie wyróżniał się specjalnie wśród innych dowódców. Sam fakt, że jest krewnym Gao Mena, nie stawia go poza podejrzeniami – dodał władca, widząc zdziwienie na twarzy alchemika.

– To kompetentny dowódca – odparł krótko Rudnicki. – Ufam mu. No i ma do dyspozycji gildię. Zanim opuściłem

provincję Wielkiej Rzeki, wydałem odpowiednie rozkazy. Jeśli będzie trzeba, Wędrowcy mu pomogą.

– Ręczy pan za niego?

– Tak.

Zdawało się, że zdecydowana odpowiedź nieco uspokoiła władcę.

– Niech pan się nie dziwi moim wątpliwościom – powiedział po chwili Huangdi. – Mielśmy tu sporo zamieszania: zamachy, spiski, dezercje, wreszcie zdrady, przynajmniej dwóch *hou* przeszło na stronę wroga.

– Deszczołap nie zdradzi – zapewnił alchemik.

– Skąd ta pewność?

Gao Men poruszył się niespokojnie, lecz cesarz powstrzymał go stanowczym gestem.

– Książę Guang odczytał jego myśli. I to nie pierwszy przypadek, kiedy syn Waszej Wysokości mi pomógł.

– Mój syn...

Imperator zacisnął zęby, na policzkach zagrały mięśnie. Najwyraźniej problem pokrewieństwa cesarza z następcą tronu nadal pozostawał drażliwą kwestią.

– Chciałbym go wziąć ze sobą na Chmurną Północ – kontynuował Rudnicki.

Cesarz i eunuch wymienili spojrzenia, wreszcie władca wykonał gest oznaczający rezygnację.

– Niech go pan bierze – powiedział. – Nie muszę chyba dodawać, że odpowiada pan głową za bezpieczeństwo Guanga?

– To oczywiste – zgodził się Rudnicki. – Tylko prosiłbym o usunięcie magicznych więzów krępujących księcia.

– Czy to rozsądne? – spytał nerwowo eunuch. – On niemal zabił mojego poprzednika. Co, jeśli rozpocznie jatkę?

– Przecież nie bez powodu! Bez obaw, gwarantuję, że nikogo nie skrzywdzi. Jednak chciałbym wiedzieć, skąd ta

nagła zgoda na uwolnienie następcy tronu i oddanie go pod moją opiekę? Spodziewałem się zaciętej... dyskusji.

– Jeśli Guang ma kiedykolwiek zasiąść na tronie, musi udowodnić, że nie jest wariatem i walczy z najeźdźcami. Inaczej wielkie rody go nie zaakceptują – odpowiedział za cesarza eunuch. – Poza tym obawiamy się zamachu. Jeśli Biali albo spiskowcy coś szykują, wyjazd księcia będzie dla nich zaskoczeniem.

– To wszystko? – spytał niedowierzająco alchemik.

– Nie wszystko – odburknął władca. – Moja żona uważa, że ma pan na niego dobry wpływ, i sądzi, że powinniśmy oddać panu Guanga na wychowanie. I dość o tym! Co do pańskiej wyprawy na Chmurną Północ...

– Tak?

– Otrzyma pan tytuł *hou* drugiej rangi i stanie na czele Armii Żelaznej Modliszki. To elita naszych sił, sto dwadzieścia tysięcy doborowych żołnierzy.

Rudnicki przełknął nerwowo ślinę, było oczywiste, że taka decyzja łączy się z odpowiedzialnością. Jeśli nie odbije prowincji albo da się pokonać, czeka go spotkanie z katem.

– Oczywiście może pan dobrać sobie współpracowników, cały korpus oficerski stolicy jest do pańskiej dyspozycji, ma pan też prawo do osobistej ochrony w liczbie siedmiuset żołnierzy i tysiãcosobowego kontyngentu gwardii księcia Nina – kontynuował Huangdi.

– Ile mam czasu?

– Tydzień, nie więcej.

– Co z moimi uczennicami?

– Może pan zabrać sto gwardzistek.

– Nie mam ich tylu, przysięgę złożyło mi niecałe pięćdziesiąt.

– Obawiam się, że to nieaktualne dane – odparł sucho Gao Men. – Obecnie szkoła Ciemnego Ognia liczy niemal

osiemset osób, w tym prawie pięćset gwardzistek.

Rudnicki chciał spytać, kto w jego imieniu przyjmuje przysięgę od nowych uczniów, ale ugryzł się w język, to nie była odpowiednia chwila na takie dyskusje. A lada moment i tak wszystkiego się dowie, wystarczy odwiedzić koszary Gwardii Feniksa.

– Rozumiem.

– Oto cesarski dekret i oznaka pańskiej nowej rangi – powiedział Gao Men, podając jedwabny zwój i nefrytowy żeton.

Alchemik przyjął je z ukłonem. Biorąc pod uwagę, że insygnia władzy wręczono mu nieoficjalnie i pod nieobecność przedstawicieli dworu, widać było, iż imperator i jego przyboczny nie mają zamiaru tracić czasu na uroczyste ceremonie.

Cóż, teraz pozostaje tylko przejąć dowództwo nad armią, pomyślał Rudnicki, przypinając do pasa nefrytową zawieszkę. Armia, która mogłaby zaludnić duże miasto...



W bramie posiadłości powitał go Rong na czele kilkunastu gwardzistów. Jak zauważył alchemik, Akacyjny Pawilon otoczony był wysokim na ponad dwa metry ogrodzeniem; między wykutymi na kształt bambusowych gałęzi prętami wiły się czerwonobrunatne pnącza. Ostrożność, z jaką wartownicy obchodzili rozrośnięte krzewy, sugerowała, że roślina jest trująca.

– To sumak – odpowiedział na niezadane pytanie Rong. – Rzadka odmiana, zwana „cesarską wdową”. Najmniejsze dotknięcie liści powoduje ból nie do opisania, po pięciu minutach utratę przytomności, a jeśli ofierze nie poda się odtrutki, śmierć.

– To trochę drastyczne, nie uważasz?

– Jesteśmy w dość drastycznej sytuacji – przypomniał cierpko gwardzista. – No i teraz to rezydencja *hou*, nikt postronny nie będzie się tu włóczył, na zewnątrz dzień i noc stoją warty, a okolice patroluje garnizon miejski. Zresztą to pomysł księżnej Chonghua. Jeśli ci się nie podoba, pokłóć się z nią, ja tylko wykonuję rozkazy.

– Gdzie reszta?

– W pałacu. Czekają na ciebie. Zgodnie z etykietą podwładni niebędący na służbie powinni powitać cię w domu. To co, idziemy?

Rudnicki skrzywił się niechętnie, ale pomaszerował w ślad za przyjacielem.

– Nawet nie obejrzałem dobrze tej posiadłości – mruknął.

– Jeszcze zdążysz to zrobić. Remont skończył się dawno temu, wszystko jest dopięte na ostatni guzik, a Pierwsza, przepraszam, Lan zajęła się służbą.

Obszerny, wykładany marmurowymi płytkami hol wypełniony był dziesiątkami klęczących ludzi, alchemik rozpoznał wielu służących z Rehe, wśród oczekujących Rudnickiego byli też Ważka i Ryba. Większość zebranych powitała alchemika formalnym ukłonem, ale zaraz potem otoczyły go dzieci i ceremonia zamieniła się w chaos.

– Oni go zabili! – wyszlochała Yubi, tuląc się do Rudnickiego.

– Kogo?

– Niu. Wtedy w Rehe, Biali ponownie wdarli się do pałacu gubernatora i musieliśmy walczyć. Nie dałam rady go obronić!

– To nie twoja wina – westchnął alchemik. – Nie płacz, jesteście już bezpieczni.

– Jak urosnę, pomszczę Niu! – oznajmiła zawzięcie Mei Mei.



– Opowiesz nam bajkę, wujku? – spytała nieśmiało mała czarnulka. – I co z twoją ręką?

– To długa historia. Przyjdę do was wieczorem – obiecał Rudnicki. – Na razie muszę zająć się sprawami cesarstwa.

– Poczekamy.

Lan zajęła się dziećmi, a Ważka poprowadziła alchemika w głąb pałacu.

– To twoje apartamenty, mistrzu – powiedziała po chwili.

– Sypialnia, biblioteka, gabinet i sala ćwiczeń.

Rudnicki przeszedł do gabinetu i usiadł w wygodnym fotelu, po czym wskazał dziewczynie krzesło.

– Jak wygląda sytuacja? – zagaił.

– Chodzi ci o naszych ludzi?

Alchemik potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Z dziećmiakami wszystko w porządku, sam widziałeś.

– Jak zginął Niu?

– Kiedy rozpoczęły się walki uliczne, Biali wysłali do pałacu jeszcze jeden oddział dywersyjny, zapewne spodziewali się, że cię tam znajdą. Straż odparła atak, ale kilku napastnikom udało się wedrzeć do wewnątrz i tam natknęli się na dzieciaki. Żaden z Białych nie przeżył, ale zabili Niu. Chłopak był łakomczuchem i właśnie plądrował spiżarnię, kiedy to wszystko się zaczęło. Zginął, broniąc Lan, która doglądała przygotowań do kolacji.

Rudnicki ze świstem wypuścił powietrze, starając się opanować gniew.

– No dobrze – powiedział. – Co z moimi uczennicami? Podobno szkoła się rozrosła, tylko nie wiem, jakim cudem. Czy to nie ja powinienem przyjmować przysięgę od nowych uczniów? Chyba że ty...

– Skąd! Nigdy bym się nie ośmieliła! – zaprzeczyła przestraszona Ważka. – To mistrz Wu. Pamiętasz, jak nauczył cię gongfu Sześciu Tajemnych Dźwięków?

Alchemik skinął głową.

– W ten sposób stał się twoim nauczycielem, choć wasza więź jest nie do końca oficjalna, bo nie złożyłeś mu formalnej przysięgi. Niemniej jako twój mistrz ma prawo decydować, kto zostanie twoim uczniem, takie są zasady Świata Stali. Poszczyło ci się, bo możesz być pewien, że wszyscy przyjęci przez niego są wyjątkowo utalentowani. Okazało się też, że to właśnie on uczył Yubi we śnie...

– To stąd ten sukces – wymamrotał alchemik. – Ludzie, którzy nie mieli szans zostać jego uczniami, wstępowali do mojej szkoły, żeby choć pośrednio znaleźć się pod jego opieką?

– To także, ale nie lekceważyłabym znaczenia szkoły Ciemnego Ognia, ostatnio wszyscy plotkują tylko o tym, jak pokonałeś lidera Wędrowców. To prawda, że zająłeś jego miejsce?

– Owszem.

– Ryba jest zadowolony – kontynuowała.

– A dlaczego miałyby być niezadowolony?

– Przecież go widziałeś, klęczał razem z innymi...

– No i co z tego? Zaraz! Klęczał?

– Tak. Niedawno mistrz Wu zamontował mu protezy nóg. Może i tobie się poszczyło? – Popatrzyła wymownie na pusty rękaw szaty alchemika.

– Co ze służbą? – spytał Rudnicki, ignorując aluzję.

– Z wyjątkiem dwójki rannych, którzy zostali w Rehe, reszta przeniosła się tutaj razem z Lan.

– To dobrze, potrzeba nam zaufanych ludzi. Wiesz, że mam poprowadzić armię na Chmurną Północ?

Dziewczyna przytaknęła gestem.

– Jakież pomysły?

– Tylko jeden: generał Meng Tian. Pamiętasz? To ten, który cię pokonał w czasie naszej kampanii.

– Pamiętam. I co z nim?

– Przeżył, wyleczył rany i aktualnie przebywa w stolicy. Jeśli mianujesz go swoim zastępcą, zajmie się armią. Nie wiem, czy żołnierze zaakceptowaliby ciebie, na pewno nie od razu, Żelazna Modliszka to dumna banda, ale jego znają i szanują. On kiedyś nimi dowodził.

– To chyba dobry pomysł, tylko czy on się zgodzi? Jesteśmy teraz równi rangą, ale to mnie cesarz wyznaczył dowódcą. Czy zechce mi się podporządkować?

– Nie mam pojęcia, ale przecież nie zaszkodzi spytać.

– Też racja. Zajmij się tym.

– Tak, mistrzu.

– Coś jeszcze? Jakies niecierpiące zwłoki sprawy? – doprecyzował, widząc niezrozumienie na twarzy dziewczyny. – Bo jestem nieco skołowany tym wszystkim.

– Wypadałoby ci odwiedzić mistrza Wu i Gwardię Feniksa.

– Jutro, dziś jestem zbyt zmęczony.

– Podać coś do jedzenia?

– Poproszę.

Jedząc wystawną kolację – kuchnia się postarała – alchemik myślał, jak zorganizuje armię. Jeżeli generał Meng Tian zgodzi się mu pomóc, można uznać sprawę za załatwioną: udający tysięcznika oficer wywarł na Rudnickim dobre wrażenie. Gorzej, jeśli nie. Cóż, w razie czego będę słuchał Ronga, postanowił. Co prawda i on nigdy nie dowodził taką masą wojska, ale na pewno zna się na tym lepiej ode mnie.



Rudnicki wyrwał przez okno powozu i z rezygnacją pokręcił głową: pojazd toczył się z szybkością spacerującego

osiemdziesięciolatka.

– Jeśli wrócę do swojego świata, przywiozę kogoś, kto pokaże wam, jak robić powozy – mruknął.

– Co ci się nie podoba, wujku, w twoim powozie? – spytał wesoło Ryba.

Chłopak właśnie demonstrował Rudnickiemu protezy. Te wyglądały jak zrobione ze złocistego metalu, jednak w dotyku były ciepłe, elastyczne, a siejące błękitną poświatą runy świadczyły, że ich twórca wykorzystał nie tylko zasady mechaniki, ale i magię. Prawda, że alchemik interesował się nimi nie tylko z troski o Rybę, Ważka podsunęła mu myśl, że być może kiedyś mistrz Wu i jemu zaproponuje sztuczną rękę.

– Jest wolny, niewygodny i do niczego się nie nadaje. – Wzruszył ramionami.

– To przede wszystkim symbol prestiżu – zauważył młodzieniec.

– Po prostu nie umiecie konstruować powozów.

Chłopak wyszczerzył zęby i jeszcze raz pokazał, jak może poruszać palcami stóp.

– Jak to odczuwasz? – zapytał alchemik.

– Normalnie. Tak jakbym miał prawdziwe nogi. Tylko trzeba je ładować.

– Co to znaczy?

– No, dostarczyć pewną ilość energii.

– A to w jaki sposób?

– Zabijając – odparł obojętnie Ryba. – Można i zwierzęta, ale lepiej ludzi. Protezy w jakiś sposób wchłaniają ich energię.

Rudnicki wzdrygnął się ze zgrozą.

– Zwariowałeś? Będziesz zabijał tylko po to, żeby chodzić?!

– Przecież nie niewinnych, wujku. Walczymy z Białymi i *theokatáratos*, więc energii mi nie zabraknie.

– A jak wojna się skończy?

– Wiesz, dlaczego zgłosiłem się do armii księcia Nina? – odpowiedział pytaniem Ryba.

– Skąd mam wiedzieć?

– Moja rodzina żyje na wschodnim pograniczu, najbliższy garnizon jest sto kilometrów od naszej wioski. Wyobrażasz sobie, jak to wygląda od strony bezpieczeństwa? Nie ma miesiąca, żeby ktoś nas nie napadł. Zostałem żołnierzem, żeby móc obronić rodziców i przyjaciół. Nie martw się, i po wojnie nie zabraknie bandytów, z którymi trzeba będzie walczyć. Zresztą te protezy mogą działać całymi latami bez... doładowania. Tylko w trybie bojowym potrzebują więcej energii. No wiesz, kiedy trzeba szybko biegać albo skakać na wysokość kilku metrów. Dojeżdżamy – zauważył Ryba. – Spotkasz się najpierw z mistrzem Wu czy uczennicami?

– Chyba z mistrzem. Nie wypada kazać mu czekać.

– To ja odwiedzę Żmijkę, dobrze?

Alchemik skwitował prośbę chłopaka przyzwalającym gestem i wysiadł z powozu. Pojazd zatrzymał się pod bramą koszar Gwardii Feniksa.

– Poczekajcie tu – polecił Rudnicki eskortującym go żołnierzom.

Tuż za bramą oczekiwała go Lanya Dara i kilkaset gwardzistek; ustawione w karnych szeregach dziewczęta powitały go niskim ukłonem, a dowódczyni Gwardii Feniksa przyjaznym uśmiechem.

– Nie masz pojęcia, bracie, jak się cieszę, że wyszedłeś cało z tej zawieruchy – szepnęła mu do ucha. – Zapraszam do siebie, chyba że chcesz teraz porozmawiać ze swoimi nowymi uczennicami?

– Może innym razem. Gdzie jest mistrz Wu?

– W swojej komnacie. Zaprowadzę cię do niego, ale najpierw musimy omówić udział moich dziewczyn w wyprawie na Chmurną Północ.

– W porządku.

Rudnicki zauważył, że Lanya Dara kilkakrotnie obrzuciła pusty rękaw jego szaty taksującym spojrzeniem, ale nie skomentowała nawet słowem utraty ręki.

Ciekawe, ile gwardzistek zrezygnuje z członkostwa w szkole Ciemnego Ognia z powodu mojego kalectwa, pomyślał ponuro.

Skromne apartamenty Dary nie zmieniły się od ostatniej bytności alchemika, tylko na ścianach przybyło kilka mieczy. Wnioskując po ich wyglądzie, zdobycznych.

– Mielśmy tu trochę zamieszania – wyjaśniła kobieta, przechwytyjąc jego wzrok. – Ale do rzeczy: cesarzowa pozwoliła, żebyś zabrał na wyprawę sto uczennic.

– Cesarzowa?

– Tak. Myślę, że to coś w rodzaju przeprosin albo wyrazów wdzięczności, w końcu jej syn żyje tylko dzięki tobie.

– Ale?

– Nie ma żadnego ale – zapewniła. – Chciałam cię tylko prosić, żebyś pozwolił mi wybrać tę setkę. Ja najlepiej znam możliwości swoich dziewczyn, a nie wybieracie się na wycieczkę. Mam zamiar wybrać najlepsze.

– Oczywiście, będę wdzięczny. A co one same o tym sądzą?

– A jak myślisz? Rwą się do walki. Wszyscy wiedzą, że bitwa o Chmurną Północ zadecyduje o losach wojny, bo to właśnie tę prowincję atakują największe siły Białych i ich najlepszy dowódca, nie licząc wojsk Srebrnego Denga. Mam nadzieję, że dopadniecie tego zdrajcę.

– Chyba jednak nie wszyscy – wymamrotał Rudnicki, poluźniwszy kołnierzyk. – Co to za dowódca?

– Nazywa się Księżyc. Za plecami mówią na nią „Krwawy Księżyc”, podobno jest z tego dumna.

– To kobieta?!

– Owszem. Biali generalnie pomiatają kobietami, ale istnieją wyjątki, Księżyc to jeden z nich. Podobno jest ulubienicą chana.

– Co o niej wiadomo?

– Cwana, kompetentna, okrutna, choć podobno pragmatyczna. Przegrała kilka bitew, ale zawsze przy przygniatającej przewadze wroga, Biali wysyłają ją tam, gdzie wszyscy inni ponieśli klęskę, albo kiedy bardzo im zależy na zwycięstwie.

– Jak wygląda sytuacja w prowincji?

– Biali mają przewagę liczebną pięć do jednego, nie licząc Hordy. Zajęli większość terytorium Chmurnej Północy i idą naprzód, choć prawda, że wolno, bo Szron walczy o każdy metr naszej ziemi. Kto inny spróbowałby natarcia całymi siłami, ale Księżyc to profesjonalistka i posuwa się naprzód wolno, za to bez większych strat w ludziach. To tylko kwestia czasu, kiedy opanuje całą prowincję.

– Dlaczego akurat Chmurna Północ? Co tam jest takiego ważnego?

Dara sięgnęła po wino, czerwona pieczęć na kartce przyklepionej do butelki świadczyła, że alkohol ma przynajmniej dziesięć lat.

– Srebro – powiedziała, napełniając czarki. – Kopalnie srebra. Istnieją dwa regiony kluczowe dla przebiegu wojny: prowincja Wielkiej Rzeki i Chmurna Północ. Zabezpieczyłeś jedną, więc nic dziwnego, że cesarz wysłał cię do drugiej w nadziei, że i tam sobie poradzisz.

– Ilu ludzi ma Chonghua?

- Jakież sto tysięcy, nie licząc miejscowego pospolitego ruszenia.
- Nawet z moimi będziemy w mniejszości.
- Imperator liczy na Wędrowców, według meldunków wywiadu w prowincji jest jakieś trzydzieści tysięcy członków gildii, kilkadziesiąt tysięcy możesz też zgarnąć po drodze. Są też cesarskie garnizony.
- Nie rozumiem?
- Jako *hou* drugiej rangi przewyższasz stopniem każdego dowódcę cesarskiej twierdzy czy garnizonu. Nie będą mogli się sprzeciwić, jeśli zażadasz, żeby oddelegowali do twojej armii oddział czy dwa.
- To legalne?
- Półlegalne. Teoretycznie nie powinno się osłabiać garnizonów, choć armia polowa może zażyczyć sobie ich wsparcia na okres nie dłuższy niż miesiąc.
- Nawet dwa miesiące nie wystarczą, aby dotrzeć na Chmurną Północ!
- Dlatego powiedziałam, że to nie do końca legalne, ale żaden z dowódców nie będzie mógł ci odmówić, najwyżej nasmaruje skargę do Ministerstwa Wojny. Na twoim miejscu nie przejmowałabym się takimi drobiazgami, to wykroczenie służbowe zagrożone karą do dwóch lat więzienia. A jeśli przegrasz... – Dara rozłożyła wymownie ręce.
- Więc radzisz mi ogołocić wszystkie garnizony, jakie napotkam po drodze?
- Na twoim miejscu zmobilizowałabym wszystkich zdolnych do noszenia broni. Garnizonowe oddziały to żadna elita, ale przeszli podstawowe szkolenie i są nieźle uzbrojeni.
- A żarcie dla tylu ludzi?



– Tak, to będzie problem – przyznała Dara. – Bo dostaniesz racje tylko dla Armii Żelaznej Modliszki. Zupełnie bez związku powiem, że konfiskata garnizonowych zapasów to tylko rok więzienia.

Alchemik jednym haustem wychylił wino i otrząsnął się jak pies wychodzący z wody.

– Co to za bimber? – spytał. – Pali w gardle jak wódka.

– Wino. Prawda, że wzmocnione. Radzę ci zabrać go trochę, bo o tej porze roku ranki mogą być zimne.

– Mam nadzieję, że kiedy wyląduję w lochu, przyślesz mi czasem paczkę – burknął Rudnicki.

– I ja, i twoje uczennice – odparła wesoło Dara. – Będziesz najlepiej karmionym więźniem w historii Wielkiej Han.

Muszę koniecznie pogadać z Meng Tianem, postanowił alchemik. Nawet jeśli nie zgodzi się zostać moim zastępcą, może chociaż podpowie, gdzie i kogo mogę zwerbować. Bo sama Armia Żelaznej Modliszki nie da rady pokonać pół miliona Białych, nie licząc Hordy, jakkolwiek elitarną formacją by była.



Mistrz Wu wysłuchał w milczeniu zwięzłego opisu przygód Rudnickiego, po czym przez długą chwilę badał puls alchemika.

– Czwarty stopień – powiedział wreszcie. – Osiągnąłeś czwarty poziom rozwoju chi.

– I co mi to da? – spytał gorzko Rudnicki, wskazując ruchem głowy pusty rękaw. – Jestem kaleką!

– Umysłowym na pewno – potwierdził Wu. – Tysiące adeptów starają się bezskutecznie osiągnąć ten etap, a ty dokonałeś tego w rekordowo krótkim czasie. Do tego dochodzi niebiański talent.

- Co takiego?
- Tak nazywano kiedyś dar Studni Dusz. Nie sądzisz chyba, że jesteś pierwszym beneficjentem tej świątyni?
- O co chodzi z tym talentem?
- To coś przekraczającego możliwości człowieka, niezależnie od stopnia rozwoju chi. Rzecz bardziej związana z mocą koncentracji niż energią.
- Skąd mam wiedzieć, na czym polega mój talent?
- To już musisz sam odkryć. Przeważnie dotyczy to żywiołów, przynajmniej dawniej tak było.
- Nie rozumiem?
- Nikt nie wie, na jakiej zasadzie działa Studnia Dusz, dawniej większość jej darów związana była z żywiołami ognia, wody, powietrza i ziemi. Czasami z teleportacją. Jednak o ile dobrze pamiętam, po raz ostatni wykorzystano Studnię Dusz jakieś półtora tysiąca lat temu. Może coś się zmieniło?
- Pamiętasz? Ile masz lat, mistrzu?
- To nieistotne – skrzywił się Wu. – Skup się na odkrywaniu swojego talentu. Znasz jakieś runy?
- Tylko coś w rodzaju runy światła.
- Pokaż.
- Rudnicki rzucił krótkie zaklęcie i pod sufitem zawisła kula światła.
- Niezgrabne, ale skuteczne – skomentował Wu. – To wystarczy. Teraz spróbuj stworzyć runy żywiołów. Zasada jest ta sama, po prostu zamiast na świetle musisz skoncentrować się na ogniu czy wodzie.
- Teraz?
- Skąd! Najpierw pomedytuj pół roku, w końcu masz mnóstwo czasu!
- Alchemik westchnął ciężko i zaczął koncentrować się na stworzeniu runy ognia, jednak trwające ponad pół godziny

wysiłki nie przyniosły żadnych efektów.

– Może jesteś bardziej tępy, niż myślałem? Spróbuj jeszcze raz wieczorem, teraz i tak już niczego nie zdołaliśmy – uznał Wu.

Rudnicki otarł pot z czoła i ukłoniwszy się mistrzowi, opuścił komnatę. Warknął gniewnie, widząc, że na korytarzu czeka na niego Lanya Dara.

– I jak poszło? – spytała.

– Kiepsko!

– Nie przejmuj się, mistrz Wu często zapomina, że nie każdy jest taki utalentowany jak on.

– To na pewno.

– Nie był zbyt przyjemny, prawda?

– Owszem – przytaknął kwaśno alchemik. – Dawno nikt mnie tak nie zrugął.

– To znaczy, że widzi w tobie potencjał, on wrzeszczy i obraża tylko utalentowanych, pozostałych traktuje z lodowatą obojętnością.

– Wielkie dzięki!

Kobieta roześmiała się na widok miny alchemika i poprowadziła go na dziedziniec.

– Wybrałam już setkę uczennic, które będą ci towarzyszyć – poinformowała. – Oto one.

Rudnicki otaksował wzrokiem ustawione w dwóch rzędach dziewczęta i skinął z aprobatą: współdzielony z Zavam wzrok pokazał mu powłokę *chi* pokrywającą skórę gwardzistek. Czwarty albo piąty stopień rozwoju, pomyślał. Sto takich wojowniczek znaczy tyle, co kilka tysięcy elitarnych żołnierzy. Wreszcie coś pozytywnego...



Alchemik zatrzymał oddech i zwizualizował płomień. Strumienie potu spływały mu po twarzy i plecach, ale mimo wysiłku nie był w stanie stworzyć nawet namiastki runy ognia.

Dalsze ćwiczenia przerwało mu pukanie i w drzwiach stanęła Ważka.

– Przyszedł generał Meng Tian – oznajmiła. – Czeka w salonie.

Rudnicki, powstrzymując jęk, wstał z fotela – próba stworzenia runy okazała się bardzo wyczerpująca – i przeszedł do reprezentacyjnej komnaty. Generał Meng Tian popijał herbatę, najwyraźniej dziewczyna zaoferowała mu poczęstunek. Widząc alchemika, wstał i skłonił się lekko.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

– Wie pan już, jakie dostałem rozkazy? – odpowiedział pytaniem Rudnicki.

– Tak, stolica to duża, rozplotkowana wioska. I może bez ceremonii, jesteśmy równi rangą i obaj walczyliśmy ramieniem w ramię, co czyni nas towarzyszami broni.

Rudnicki przytaknął gestem i poprosił Ważkę, aby podała wino.

– Masz rację – powiedział. – Kiedy wyruszę na Chmurną Północ, ktoś taki jak ty bardzo mi się przyda.

– W jakim charakterze?

– Zastępcy i szefa sztabu. Przypuszczam, że bardziej niż ja nadajesz się do dowodzenia armią, ale to mnie cesarz wyznaczył dowódcą i ze mnie zedrze skórę, jeśli przegramy.

– Och, nie mam nic przeciwko służbie pod twoim dowództwem – zapewnił oficer. – Już kiedyś to przerabialiśmy. Natomiast pozostaje kwestia, jakie mamy szanse. Jestem gotów zaryzykować, ale nie wezmę udziału

w ekspedycji z góry skazanej na niepowodzenie, bo jakby co, polecą nie tylko twoja głowa.

– Co masz na myśli?

– Jeśli jest coś, co może przyczynić się do sukcesu wyprawy, to najwyższy czas, żebyś mnie o tym poinformował. Wtedy podejmę decyzję. Armia Żelaznej Modliszki to jedna z naszych najlepszych jednostek, ale nie wystarczy, żeby pokonać niemal milion Białych, po prostu kotłowanina potrwa nieco dłużej.

– Milion?

– Według meldunków wywiadu ponad siedemset tysięcy, licząc razem z Hordą.

Rudnicki westchnął i nie pomijając niczego, przedstawił rozmówcy sytuację, kładąc nacisk na pomoc gildii Wędrowców.

– Tak czy owak, Biali i tak będą mieli trzykrotną przewagę liczebną – zauważył generał.

– Owszem, ale Horda to nie regularne wojsko, oni są dobrzy do masakrowania cywilów i siania terroru na zapleczu frontu, nie mają szans z zawodowcami. No i zamierzam zebrać co się da z garnizonów.

– To raczej nie elita.

– Ale wyrównają nasze szanse.

– Coś w tym jest – przyznał niechętnie Meng Tian. – Pomyślę.

– Byle nie za długo – poprosił alchemik.

– Na dniach dam ci odpowiedź. Nie odwiedziłeś jeszcze swojej armii, prawda?

Rudnicki wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie po raz kolejny, że przyjdzie mu dowodzić setką tysięcy zawodowych żołnierzy w walce z przeciwnikiem przewyższającym go nie tylko liczbą, ale i doświadczeniem.

– Nie.

– Zrób to jak najszybciej – powiedział poważnie generał. – Oni szykują się do wymarszu, wypada, żebyś przeprowadził inspekcję, no i zapoznał się z kadrą oficerską.

– Mam nadzieję, że mnie nie wyśmieją – mruknął alchemik.

– A dlaczego mieliby to zrobić? To profesjonaliści, wiedzą, że to nie czas na przepychanki z dowództwem, no i ostatnio pokazałeś się z dobrej strony, bo odbicie prowincji Wielkiej Rzeki to nie byle co.

– Gdzie oni stacjonują?

– Stacjonują? – Meng Tian roześmiał się serdecznie. – Sto dwadzieścia tysięcy chłopów? Normalnie są rozbici na dwudziestotysięczne korpusy, teraz założyli obóz pod miastem. Rozumiesz, trzeba przeciwiczyć współdziałanie poszczególnych oddziałów, ustalić grafik wymarszu i załatwić sto innych spraw.

– O których nie mam pojęcia – skomentował kwaśno Rudnicki.

– To kompetencje sztabu, twoje zadanie polega na wygraniu bitwy o Chmurną Północ, szczegółami zajmą się inni.

– Może przejechałbyś się ze mną? – zaproponował alchemik. – Podobno dowodziłeś kiedyś tą jednostką?

– No dobrze, tyle mogę zrobić – odparł po namyśle Meng Tian.

– Jeszcze wina?

– Poproszę.

Ważka podała wino prosto z butelki, więc rozgrzany po ćwiczeniach alchemik skierował *chi* do naczynia z alkoholem. Kiedy pociągnął spory łyk, w zębach zazgrzytały mu okruchy lodu. Dzień zapowiada się wspaniale, pomyślał, odstawiając czarę. Nawet wina nie potrafię normalnie schłodzić. Szlag...



Wartownicy, którzy przywitali ich przy głównej bramie obozu, nie zrobili na Rudnickim pozytywnego wrażenia, kilku mężczyzn w mocno zdekompletowanym rynsztunku przepuściło ich bez sprawdzania dokumentów. Ich koledzy niedaleko wejścia grali w kości, niedbale porzucona broń leżała opodal, a wnioskując z kształtu butelek, którymi zastawiony był stół używany przez graczy, te raczej nie zawierały wody. Ot i elita...

Alchemik otworzył usta, aby zrugać żołnierzy, ale powstrzymał go kpiący wzrok Meng Tiana. Dopiero po chwili Rudnicki zauważył, że mimo hałaśliwego zachowania żaden z graczy nie wygląda na pijanego, a trudno przypuścić, aby w uczciwej grze ktoś mógł wyrzucić maksymalną liczbę punktów pięć razy z rzędu.

Zabawiają się, kierując kośćmi za pomocą chi, pomyślał. Tylko po czorta to wszystko?

– To zawodowcy – odpowiedział na niezadane pytanie Meng Tian. – Są przygotowani na wszystko, w tym dywersję Białych. Jeśli ktoś spróbowałby zaatakować obóz... – Wzruszył ramionami.

– Przepuścili nas bez pytania, kim jesteśmy.

– Bo mnie znają. A ich posterunki obserwacyjne meldowały o naszym przybyciu pewnie już z pół godziny temu. W końcu jechaliśmy głównym traktem, a żaden z nas nie wygląda raczej na domokrażcę. Nietrudno było dodać dwa do dwóch.

– Posterunki obserwacyjne?

– Oni mają swój wywiad i jednostkę kontrwywiadowczą, obie całkowicie niezależne od państwowych. Pewnie już zebrali niezłe dossier na twój temat, bo wątpię, żeby nie wiedzieli o twoim awansie.

– Kto nimi teraz dowodzi?

– Generał Rudao, *hou* trzeciej rangi.

– Co o nim wiesz?

– To dziwny facet, ma przynajmniej dwieście lat, ogromne doświadczenie bojowe i silne poparcie na dworze. Gdyby chciał, dawno by awansował, tyle że nie chce. Woli dowodzić Armią Żelaznej Modliszki.

– Jak uważasz, zaakceptuje mnie na stanowisku dowódcy?

– To już zależy od ciebie, ja wkupywałem się w jego łaski dobre dwa lata. Na pewno nie odrzuci cię od razu. I nie miej złudzeń: Żelazna Modliszka to Rudao, żołnierze go uwielbiają. Gdyby im kazał, poszliby za nim choćby do piekła. Jeśli nie przekonasz go do siebie, nooo... lepiej nawet nie rozpatrywać tej opcji.

– Co masz na myśli?

– Ciszej! – syknął oficer. – To stanowisko dowodzenia.

Jeden z wartowników uniósł płachtę namiotową, a drugi wymownym gestem wyciągnął dłoń. Meng Tian bez słowa oddał mu miecz, a Rudnicki przełożył pendant przez głowę i wręczył żołnierzowi wykute setki lat temu ostrze. Od czasu kiedy stracił rękę, wygodniej mu było nosić broń przewieszoną przez plecy.

Za stołem zawalonym sztabowymi mapami oczekiwało ich kilkunastu oficerów, w centrum grupy stał szpakowaty mężczyzna o surowej twarzy. Mimo że alchemik nie zauważył żadnych oznak rangi, otaczająca żołnierza aura kompetencji i władzy sugerowała, że to dowódca armii.

– Generałowie Meng Tian i Ying Tu – zaanonsował wartownik.

– Siadajcie, panowie – zaprosił ich szpakowaty, wskazując skromne polowe krzesła. – Czym możemy służyć?



– Wiecie, po co tu jestem – odparł ze zniecierpliwieniem alchemik. – Od jutra zaczniecie mnie zapoznawać z systemem dowodzenia i specyfiką jednostki. Dziś to wizyta kurtuazyjna.

– A co tu robi *hou* Meng Tian?

– Staram się go przekonać, żeby został moim zastępcą – odpowiedział cierpko Rudnicki.

– A ma jakieś wątpliwości?

– Nie jest pewien, czy wrócimy żywi.

Ku zdumieniu alchemika Meng Tian zaczerwienił się i poprawił nerwowo na krześle.

– Rozsądnie – pochwalił Rudao. – A pan?

– Ja nie mam wyjścia, dostałem cesarski rozkaz.

Przez wąskie usta oficera przewinął się przelotny uśmiezek.

– Też rozsądnie. Oczywiście dostosujemy się do pańskiego życzenia i jutro przedstawimy panu zarówno mocne strony jednostki, jak i listę problemów. A raczej zaczniemy przedstawiać, bo to potrwa.

– Niczego innego się nie spodziewałem – przyznał z rezygnacją Rudnicki. – Kiedy możemy wyruszyć?

– Najwcześniej za tydzień, lepiej by było za dwa.

– A to dlaczego? Sam pan wie, jak cenna jest każda godzina.

– Nasza armia dzieli się na dwudziestotysięczne korpusy i każdy z nich jest skoszarowany gdzie indziej. Oczywiście żołnierze ćwiczą regularnie, ale rzadko kiedy mamy okazję potrenować jako całość, dlatego teraz trzeba zgrać współdziałanie między poszczególnymi oddziałami i przygotować się do nadchodzącej kampanii. Każdy teren ma swoją specyfikę, inaczej walczy się na wybrzeżu, inaczej na równinach, a jeszcze inaczej w górach. Jeśli ruszymy za tydzień, zgramy tylko podstawowe sprawy. Dwa tygodnie

pozwołą lepiej przygotować armię, co przełoży się na szybsze tempo marszu i lepsze przygotowanie do walki.

Rudnicki zacisnął zęby, nie było dnia, aby nie martwił się o Szron, jednak rozumiał też argumenty generała.

– Niech będą dwa tygodnie – zdecydował.

– Czyli ustalone. Myślę, że to dobry pomysł, aby xiao Tian był pańskim zastępcą, oczywiście z pokorą poczekamy na decyzję szanownego *hou*...

Meng Tian zaczerwienił się ponownie, a alchemik zmarszczył brwi: słowo xiao, oznaczające tyle co „młodszy” albo „mały”, mogło być używane w rozmowie jedynie przez osoby przewyższające delikwenta pozycją społeczną. Ponieważ Meng Tian nie zaprotestował, można było uznać, że akceptuje prawo Rudao do używania takiego zwrotu.

– W takim razie na tym zakończymy – powiedział Rudnicki. – Jutro rozpoczniemy pracę w godzinie smoka.

– Zrozumiano.

Oficerowie pożegnali alchemika ukłonem, a wartownicy oddali broń. Wracając do miasta – obóz znajdował się kilka kilometrów od murów Changanu – Rudnicki niemal zasnął w siodle. Mimo natłoku spraw do załatwienia i niepokoju związanego z nadchodzącą kampanią widoczny w każdym szczególe profesjonalizm żołnierzy Armii Żelaznej Modliszki uspokajał.



Rudnicki zwizualizował runę ognia, po czym skierował energię w stronę stojącej kilka metrów dalej świeczki. Knot zapełgał nieśmiało, rozjarzył się płomieniem, aby po chwili zgasnąć.

Alchemik zaklął wściekle i otarł pot z czoła, każdego dnia poświęcał przynajmniej kilka godzin badaniu żywiołów,

jednak bez specjalnego skutku. Ot, parę razy udało mu się zapalić świeczkę, a raz zatrzasnąć okno, wykorzystując symbol powietrza.

– Mistrzu?

Ważka jednym spojrzeniem oceniła sytuację i ze współczującym uśmiechem podała chłodne wino.

– Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać – burknął alchemik. – Muszę jeszcze poćwiczyć.

– Jedna z twoich uczennic przybyła z informacją, że mistrz Wu prosi cię, abyś odwiedził go w koszarach gwardii.

– Tego mi jeszcze brakowało...

– Mogę powiedzieć, że cię nie ma.

– Jasne, a wtedy Wu zjawi się tu osobiście i wywróci mnie na lewą stronę. Szykuj powóz.

– Natychmiast.

Alchemik pomaszerował do łaźni, dokonał pospiesznych ablucji i włożył przygotowane przez służbę świeże ubranie.

– Lan! – zawołał niegłośno.

– Tak, panie?

Kobieta pojawiła się jak za skinieniem czarodziejkiej różdżki.

– Przynieś mi miecz – polecił.

– Nie.

– Słucham?!

– Noszenie na plecach tego wielkiego miecza przyprawia cię o ból barku – powiedziała służąca. – Pamiętasz, co ostatnio powiedział lekarz? Wyjedziesz pod eskortą setki gwardzistów, broń ci niepotrzebna.

– Czyżbyśmy zamienili się miejscami? Kto tu wydaje rozkazy?

– Oczywiście, że ty, panie – odparła z fałszywym uśmiechem Lan. – Ale miecza nie dostaniesz.

Rudnicki warknął gniewnie, jednak nie podjął polemiki. Kiedy byli słudzy ciała z Rehe przekonali się, że alchemik nie ma w zwyczaju karać podwładnych dla własnej przyjemności, przejęli całkowitą kontrolę nad sprawami domowymi i zdrowiem pracodawcy. Od tej pory to Lan układała menu, konsultując je z lekarzami, decydowała, w co ubierze się alchemik i kiedy położy się spać. To wszystko ku niezbyt starannie skrywanemu rozbawieniu Ważki i Ronga. Z drugiej strony było oczywiste, że służącymi kieruje troska, a sama Lan bez wahania oddałaby życie, aby chronić Rudnickiego.

W powozie towarzyszyła mu Ważka, ochroną dowodził Ryba, który ostatnio robił wszystko, żeby nacieszyć się magicznymi protezami nóg.

– Jak myślisz, po co mistrz Wu cię wzywa? – spytała dziewczyna.

– To oczywiste, chce spytać, co osiągnąłem – odparł niechętnie Rudnicki. – Tyle że moja odpowiedź raczej go nie zadowoli.

– I to cię tak martwi?

– Owszem. Nie chodzi o samego mistrza, ten co najwyżej da mi po karku, ale lada dzień wyruszę na Chmurną Północ, a wolałbym nie być postrzegany przez wrogów i własnych żołnierzy jako kaleka. Gdyby mistrz Wu zamontował mi protezę, a do tego rozeszły się wieści, że posiadam jakieś nadzwyczajne umiejętności...

– Rozumiem. Ryba mówił, że sam proces trwał około godziny. Podobno mistrz Wu już dawno przygotował dla ciebie protezę, bo wieści o twoim pojedynku ze Złotym Smokiem błyskawicznie rozeszły się po całym kraju.

– On nie powiedział tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że jeśli nie opanuję daru, którym rzekomo obdarzyła mnie Studnia Dusz, o protezie nie będzie mowy.

– Można go zrozumieć, obecnie magiczne protezy posiada nie więcej niż setka ludzi. Otrzymując coś takiego, stałbyś się wizytówką szkoły Białej Kozy i wszyscy uznaliby cię za ucznia mistrza Wu. Gdybyś zginął lub przegrał, oznaczałoby to kompromitację szkoły i mistrza.

– Rozumiem jego motyw, lecz to w niczym nie pomaga.

– Prześpij się, mistrzu. Zanim dojedziemy do koszar, minie przynajmniej godzina, dziś na drogach panuje wyjątkowy tłok.

Alchemik mruknął potakująco i przymknął oczy, sytuacja w stolicy wynikała z konieczności przemieszczania wojsk, przez Changan przechodziły niemal wszystkie główne drogi, a Wielka Han zbierała siły do walki z wrogiem.



Tak jak przypuszczał Rudnicki, mistrz Wu zainteresowany był jego osiągnięciami w zakresie magii żywiołów. Alchemikowi udało się nawet zapalić świeczkę na odległość i zdmuchnąć z biurka papiery za pomocą kunsztownie skonstruowanej runy powietrza, jednak nie wyglądało na to, żeby demonstracja wywarła wrażenie na mistrzu.

– To wszystko bzdury – oznajmił zde gustowany Wu. – Co z tym zrobisz w walce? Podpalisz panience Księżyc koronkową bieliznę? Tak, wiem, z kim przyjdzie ci się zmierzyć! Myśl! Wyczuwam, że to w tobie jest, ale nie mogę określić, czego dotyczy.

– Naprawdę próbowałem! – zapewnił Rudnicki. – Może to kwestia czasu? Wyczuwam, że moja energia wzrosła.

– Energia nie ma nic do tego, dar Studni Dusz zawsze dotyczy umysłu. Oczywiście energia będzie ci potrzebna, ale tego typu talent nie jest bezpośrednio związany z poziomem chi. Miałem nadzieję, że osiągnąłeś przełom, bo wyczułem,

jak coś się w tobie budzi. Naprawdę nie zdarzyło się nic niezwykłego?

– Nie.

– Pomyśl! To niemożliwe! To może być jakiś drobiazg, na który normalnie nie zwróciłbyś uwagi. Cokolwiek.

– Nic nie przychodzi mi do głowy. Chyba że...

– Tak?

– No, zamroziłem niechcący wino. Normalnie ochłodzenie zajmuje mi ze trzy minuty, nie jestem specjalnie utalentowany w tej dziedzinie, dlatego na co dzień robi to Ważka. Jednak wczoraj w sekundę na alkoholu pojawiła się warstwa lodu, aż mi zęby zdrętwiały.

Wu bez słowa podszedł do szafki, wyjął butelkę wina i postawił ją na biurku.

– Zamroź je! – polecił, jednocześnie chwytając alchemika za nadgarstek.

Rudnicki posłusznie skierował *chi* na naczynie, wizualizując strumień chłodu. Ku jego zdumieniu po kilku sekundach butelka pękła, po blacie rozlała się kałuża alkoholu, a wśród szklanych odłamków pojawiła się bryła lodu.

– Wiedziałem, że kłamię – mruknął Wu. – Mowy nie ma, żeby to wino miało trzydzieści procent, najwyżej dwadzieścia. A ci oszuści reklamowali je jako wzmocnione!

– Co to znaczy? – spytał oszołomiony alchemik.

– Nigdy nie kupuj wina w tawernie „Czerwona Piwonia”.

– Ja nie o tym.

– Aaa... chodzi ci o twój dar?

– Tak.

– To lodowe gongfu. Jesteś w stanie zamienić każdą ciecz w lód.

– Przecież każdy to potrafi...

– Bynajmniej, schłodzić to nie to samo, co zamrozić.

– Co to daje?

Wu przewrócił oczyma, Rudnicki spodziewał się reprimendy, ale najwyraźniej popis alchemika wprowadził jego rozmówcę w dobry humor, więc ostatecznie mistrz tylko machnął ręką.

– Pomyśl! – powiedział. – Ile razy ktoś o silniejszej niż u ciebie energii wywijał się z twojej dźwigni czy chwytu? Jeśli zamroziś jego stawy albo mięśnie, będziesz z nim mógł zrobić, co zechcesz. A i sama woda...

– Tak?

– Widziałem w życiu tylko kilku mistrzów lodowego gongfu, bo to rzadka umiejętność. Obserwowałem kiedyś, jak jeden z nich pokonał kilkuset przeciwników.

– Ilu?!

– No, to nie była elita – przyznał Wu. – Niemniej jego technika robiła wrażenie. To było zaraz po deszczu, on tupnął w kałużę, zamroził w locie bryzgi wody i wysłał je w kierunku napastników. Odłamki lodu rozdzierały ich na strzępy. Później rzucił się na nich z mieczem, ochładzając temperaturę powietrza w promieniu kilku metrów, przez co poruszali się jak muchy w smole, a on ich ścinał jednego po drugim. Wreszcie kiedy doszedł do prowodyra, ten był w takim stanie, że wystarczyło jedno uderzenie, żeby skruszyć mu pierś, jakby była z cienkiego lodu. Ludzki organizm jest dość wrażliwy. Jak myślisz, co się dzieje, jeśli obniżyć temperaturę ciała choćby o kilka stopni? Kości, ścięgna, stawy, wszystko odmawia posłuszeństwa niczym zardzewiały mechanizm. A kiedy adept nauczy się przekazywać chłód do narządów wewnętrznych wroga, ten padnie tam, gdzie stał.

Oszołomiony Rudnicki potrząsnął głową.

– Więc teraz...

– Więc teraz masz ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć – wszedł mu w słowo Wu. – Jutro zgłosisz się po protezę.

– Tak szybko?

– A na co czekać? I jeszcze jedno: od dzisiaj możesz mówić, że jesteś uczniem szkoły Pierdzącej Kozy – powiedział Wu, najwyraźniej nie zwracając sobie głowy takimi drobiazgami jak zgoda alchemika. – To twój żeton.

Rudnicki opadł na kolana i pokłonił się trzykrotnie.

– Wstań – mruknął Wu łagodniejszym tonem. – Nie lubię tych wszystkich ceremonii, to strata czasu.

Wracając do swojej rezydencji, alchemik z niedowierzaniem wpatrywał się w złoty, półprzezroczysty żeton z wyobrażeniem kozy. Na szczęście, wbrew nazwie szkoły jadeitowa płytką nie zawierała żadnych graficznych aluzji do czynności fizjologicznych zwierzęcia. Jutro będę miał już rękę, pomyślał. Nieważne, że sztuczną...



Rudnicki uderzył otwartą dłoń w miednicę z wodą i skoncentrował się na wyobrażeniu lodu: jego twardości, zimna, śliskiego dotyku. Bryzgi wody momentalnie zamieniły się w lodowe sople, jednak nie było mowy, żeby skierować je gdzieś siłą woli.

– Szlag! – wymamrotał alchemik, ocierając zroszone potem czoło.

– Może już wystarczy, mistrzu? – spytała Ważka.

Dziewczyna jak zwykle weszła do sali treningowej bez pukania i obrzuciła zniesmaczonym spojrzeniem mokrą podłogę.

– Bo deski przegniją.

– Zaatakuj mnie! – polecił Rudnicki.

– Co takiego?



– Zaatakuj! – ponaglił. – I spróbuj uwolnić się z mojego chwytu, wykorzystując energię wewnętrzną, bez żadnych akrobacji. Tylko czysta moc.

– Dobrze.

Ważka skoczyła naprzód, po czym uderzyła otwartą dłonią. Alchemik przechwycił rękę dziewczyny, ale ta wstrząsnęła całym ciałem i z głośnym tupnięciem uwolniła się z uchwytu.

– Tak?

– Dokładnie tak. Spróbuj to powtórzyć.

Dziewczyna wykonała rozkaz, tym razem atakując ciosem pięści.

Rudnicki złapał ją za nadgarstek i skupił się na emanacji chłodu. Ważka szarpnęła się w jego uchwycie, zajęczała z bólu i klepnęła wolną ręką o biodro.

– Poddaję się! – zawołała. – Co zrobiłeś, mistrzu? Bo ręka zupełnie mi zdrętwiała.

– To tylko taka mała sztuczka – odparł wymijająco alchemik.

– Niezła sztuczka – burknęła dziewczyna, masując przegub. – Jutro z rana jedziemy do obozu Armii Żelaznej Modliszki?

– Nie. Do koszar Gwardii Feniksa. Podobno dostanę wreszcie protezę – wyjaśnił z lekką ironią Rudnicki. – Armia musi poczekać.

– Naprawdę? To wspaniała wiadomość!

– Naprawdę. Mistrz Wu nie ma zwyczaju żartować.

– To ma coś wspólnego z twoimi zabawami z wodą? Może przynieść ci, mistrzu, dzisiaj do kąpieli gumową kaczuszkę? Ja... – Ważka zamarła jak rażona gromem.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony alchemik. – Ręka cię boli?

– To u pasa to żeton szkoły Białej Kozy?

– No tak. Mistrz Wu dał mi go dzisiaj.

Dziewczyna wypuściła ze świstem powietrze i usiadła na podłodze.

– Co się stało? – powtórzył Rudnicki.

– Wiesz, kiedy ostatni raz przyjęto nowego ucznia do szkoły Białej Kozy?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ponad sto lat temu. Przynajmniej tak mówią oficjalne dokumenty.

– Naprawdę? Skąd to wiesz?

– Przeglądam archiwa.

– Jakie, do licha, archiwa?

– Różne. Przede wszystkim związane ze sztukami walki. A te twoje ćwiczenia to lodowe gongfu, prawda?

Alchemik potwierdził skinieniem głowy.

– Teraz wszystko jasne...

– Chyba dla ciebie. Gadaj, o co chodzi!

– Po pierwsze: mistrz Wu.

– Co z nim?

– Od setek lat szkołą Białej Kozy rządzą dwie rodziny. Na zmianę. Nazwisko Wu bazuje na znaku, który można przetłumaczyć jako „zabiegać” albo „starać się”, druga rodzina ma w nazwisku symbol oznaczający beztroskę. Teraz rozumiesz?

– Nie.

Sfrustrowana Ważka sapnęła niecierpliwie.

– Przecież to oczywiste! Raz rządzi szkołą pan „Staranny”, a raz „Beztroski”. To wygląda tak, jakby ktoś bardzo znudzony wymyślił na odczepnego dwa nazwiska będące swoimi przeciwieństwami, żeby się nie pomylić i nie zawracać głowy komplikacjami. Co więcej, wszystkie kroniki z ostatnich kilkuset lat opisują owych tajemniczych mistrzów jako atletycznie zbudowanych mężczyzn pod

pięćdziesiątkę, o siwych włosach. Niczego ci to nie przypomina?

– Myślisz, że to on?

– A jakże! Od ponad trzystu lat. A to jeszcze nie wszystko. Ostatni uczeń przyjęty do szkoły Białej Kozy bił cię umiejętnościami na głowę, wybacz, mistrzu, ale jestem zobowiązana mówić ci prawdę.

– Nieważne! – machnął ręką Rudnicki. – Nie obraziłem się. I jaki z tego wniosek?

– Mistrz Wu nie przyjął cię do swojej szkoły ze względu na umiejętności. Myślę, że ma to związek...

Dalszą rozmowę przerwało im natarczywe pukanie.

– Wejść! – zezwolił alchemik.

– Mistrzu, jedna z sióstr została ciężko ranna, przywiózł ją patrol policji – zaraportowała Żmijka.

– Która to? I co się stało?

– Mgła. Nie wiadomo. Jest nieprzytomna, umieściłam ją w lazarecie, a policjantom kazałam poczekać, póki z nimi nie porozmawiasz.

– Dobrze – pochwalił Rudnicki. – Ważka, weź torbę z lekami, narzędzia i chodź ze mną.

– Tak, mistrzu.

Ani dnia spokoju, pomyślał ponuro alchemik. Oby tylko Mgła wyżyła. Bo jeśli nie, moje uczennice wywrócą miasto do góry nogami, nie pytając mnie nawet o zgodę...



Rudnicki odwinął bandażę i skrzywił się, widząc zaognioną, ropiejącą tkankę. Na barkach i plecach Mgły widać było rany szarpane, jakby jej ciało przeorały pazury dzikiej bestii. Niestety, policjanci, którzy przywieźli dziewczynę do posiadłości alchemika, nie potrafili powiedzieć, kto i gdzie

ją zaatakował. Policyjny patrol znalazł Mgłę na rynku w dzielnicy sąsiadującej z portem, niedaleko sklepu ze słodyczami. Ponieważ firma liczyła sobie niemal siedemset lat, a jej właściciele cieszyli się poważaniem w stolicy, trudno było przypuścić, że mają coś wspólnego z napaścią na gwardzistkę. Wreszcie ten akurat rynek nieustannie patrolowała policja i straż miejska, wątpliwe więc, aby to właśnie tutaj doszło do incydentu. Niestety, w sąsiednich dzielnicach także nie znaleziono żadnych śladów walki, a biorąc pod uwagę stan Mgły, napastników musiało być przynajmniej kilkunastu.

Rudnicki użył maści z *materia prima* i ponownie zabandażował rany. Nagle poczuł, jak dziewczyna chwytą go za nadgarstek.

– Dziękuję, mistrzu – wyszeptała. – I przepraszam. Powinam...

Szklisty wzrok Mgły i rozpalone ciało dziewczyny świadczyły, że gwardzistka nadal ma gorączkę, ale widać było, że odzyskała świadomość.

– Kto cię napadł? – spytał szybko alchemik.

– W porcie... banda Krwawych Toporów. Chcieli porwać z ulicy małą dziewczynkę, więc się wmieszałam. Zabili jej matkę, ja...

– Cicho! Nic więcej już nie mów. I ani słowa uczennicom, które przyjdą cię pielęgnować. Jakby co, udawaj nieprzytomną.

– Tak, mistrzu. Chyba nie będę musiała za bardzo... udawać – wyszeptała z cieniem uśmiechu na ustach.

Rudnicki zaklął, widząc, że Mgła znowu odpłynęła.

– Ważka! – zawołał.

– Co z nią? – spytała dziewczyna, stając w drzwiach.

– Chyba ciut lepiej, dopilnuj, żeby ktoś siedział przy niej dzień i noc. Gdyby odzyskała przytomność, natychmiast

mnie zawiadomcie, i w żadnym wypadku nie wolno jej wypytywać, co się stało! Mgła musi odpocząć.

– Tak, mistrzu.

Alchemik spojrział na nią podejrzliwie, ale uspokoił się, kiedy zobaczył, jak poważny wyraz twarzy ma Ważka. Rudnicki przez dłuższy czas nie potrafił zrozumieć hierarchii i zasad obowiązujących w szkole Ciemnego Ognia, gdyż nie można ich było porównać z czymkolwiek w starym świecie. Tam nauczyciel szermierki czy boksu był tylko płatnym instruktorem, a uczniowie przychodzący na zajęcia nie czuli się w żaden sposób ze sobą związani. W Wielkiej Han wyglądało to zupełnie inaczej. Tu każdy chciał mieć jak największą rodzinę, nie tylko ze względów emocjonalnych, ale też dlatego, że każdy dodatkowy „brat” czy „siostra”, niechby i niepołączeni więzami krwi, zwiększali szanse na przeżycie w sytuacji zagrożenia, a tych w Wielkiej Han nie brakowało. Mistrz pełnił rolę nie tylko nauczyciela, ale i ojca, co było traktowane przez uczniów ze śmiertelną powagą. Zdradę lub nieposłuszeństwo wobec mistrza uznawano za ciężkie przewinienia i rzadko kiedy wybaczano.

– Powiedziała coś?

– Nie – skłamał z zimną krwią alchemik. – Tylko bredziła w gorączce.

– Idziesz teraz ćwiczyć?

– Tak, będę w altanie.

– Też mam ochotę coś rozwalić – powiedziała Ważka ze zrozumieniem.

– Na razie żadnego rozwalania!

– Możesz być spokojny, mistrzu, nie pozwolę nikomu narobić głupstw – obiecała dziewczyna.

Rudnicki skinął głową i pomaszerował do altany. Od kiedy wrócił do odnowionej posiadłości, zażądał, aby jedną

ze znajdujących się w ogrodzie altan przerobiono na salę treningową. Alchemik wolał nie ćwiczyć na placu, na oczach wszystkich, gdyż nadal miewał problemy z precyzją technik. Dziś jedynym sprzętem znajdującym się w obrośniętym pnączami wistarii drewnianym budynku była beczka z wodą.

Rudnicki uderzył płaską dłonią w taflę wody, błyskawicznie zestalił rozbryzgi, po czym skierował odłamki lodu w stronę uplecionej z sitowia tarczy łuczniczej. Sople lodu rozdarły ją na strzępy.



Alchemik skrzywił się, zginając palce lewej ręki. Operacja, w wyniku której otrzymał protezę, była krwawa i bolesna: sztuczną rękę zamocowano za pomocą dziesiątków metalicznie połyskujących wypustek, które wniknęły w ramię Rudnickiego. Sama proteza była miękka i ciepła, choć grafitowy kolor skóry i pełgające po niej runy wykluczały, aby ktokolwiek wziął ją za naturalną kończynę.

– Cóż – mruknął pod nosem. – Najwyższy czas przetestować ten cud techniki, a przy okazji rozliczyć się z miejscowymi bandytami. No i naładować protezę. Trzy w jednym...

Alchemik błyskawicznym ruchem wyciągnął miecz i po raz pierwszy od dłuższego czasu wykonał serię dwuręcznych technik. Proteza działała jak prawdziwa kończyna, Rudnicki czuł napięcie mięśni, szorstki dotyk rękoności, a nawet przepływ energii w lewej dłoni.

Podwinął mokry rękaw i pomaszerował do swojego apartamentu, odpowiadając po drodze na pozdrowienia. Akacyjny Pawilon był zbyt mały, aby pomieścić ochronę i wszystkich adeptów szkoły Ciemnego Ognia, więc Ważka

opracowała grafik pozwalający każdemu odwiedzić go raz w tygodniu. Niestety, wiązało się to z ceremoniami: co rano Rudnicki musiał przyjąć pokłon od swoich uczniów.

– Czegoś ci potrzeba, mistrzu? – spytała Żmijka.

Dziewczyna pilnowała dziś komnat alchemika.

– Nie wpuszczaj nikogo, chcę pomedytować.

– Oczywiście.

Swego czasu Szron pokazała mu wszystkie tajne przejścia, jedno z nich wiodło poza granice posiadłości, do pałacu księżnej Chonghua.

Rudnicki wyciągnął z szafy kolczugę, przypatrzył jej się krytycznie przez chwilę, po czym nałożył z westchnieniem pod wierzchnią szatę. Mimo że zbyt krótka, stanowiła jednak przyzwoitą ochronę torsu, a lepiej było na zimne dmuchać. Co prawda alchemik nie spodziewał się specjalnych trudności ze strony bandy portowych rzezimieszków, jednak Mgła uchodziła za dobrą wojowniczkę, no i znajdowała się na trzecim poziomie rozwoju chi.

Rudnicki pociągnął dźwignię zakamuflowaną jako haczyk na ubrania i zanurkował w wąski korytarz. Nadszedł czas, aby wypróbować lodowe gongfu.



Znalezienie bandytów nie sprawiło alchemikowi żadnych trudności, ci przechadzali się dumnie po portowym placu handlowym, dzierżąc otwarcie paskudne z wyglądu toporki. Najwyraźniej ani policja, ani straż miejska nie zwracały sobie głowy patrolowaniem tych akurat rejonów portu.

Mimo wszystko nie wypada ich atakować ot tak, bez powodu, doszedł do wniosku alchemik. Czort wie którzy z nich pobili Mgłę.

Nie musiał długo czekać na pretekst do interwencji, nie tylko on zauważył bandytów, ale i sam został zauważony, po chwili otoczyło go kilkunastu nieprzyjemnie wyglądających mężczyzn.

– Co robisz na naszym terenie? – spytał szorstko potężnie zbudowany drab.

– Szukam idiotów, którzy napadli moją uczennicę. Może znacie któregoś z nich?

Rudnicki zrobił unik, ale i tak nie zdążył, jeden z trzech ciśniętych wprawną ręką toporków uderzył go w plecy, a bandyci rzucili się na niego niczym sfora dzikich psów. Kilka uderzeń potężnego ostrza wystarczyło, żeby uwolnić się od napastników, ale nadbiegali już następni. Alchemik pospiesznie odpiął manierkę i rozlał wodę po bruku. Wystarczyło tupnięcie i sople lodu poleciały w stronę kolejnej grupy bandytów, jednak choć lodowe odłamki raniły ich do krwi, nie było mowy o niczym poważniejszym, nie wspominając już o rozdzieraniu na strzępy.

Rudnicki zaklął i wysłał w stronę bandziorów garść czarnych igieł. Mimo że kilkudziesięciu agresorów padło, zewsząd nadbiegali kolejni, były ich setki. Alchemik ruszył do ataku, chcąc przebić się przez tłum, jednak kiedy tylko zaczął wycinać sobie krwawą ścieżkę, usłyszał dziwny szczęk i w jego stronę poleciały haki na łańcuchach. Rudnicki zawirował, tnąc żelazo i ludzi, haki trafiały też w napastników, jednak sam również został ranny. Ostry niczym tygrysie pazury szpon rozorał mu kark, kilka ześliznęło się po kolczudze, ale inny wbił mu się w udo i alchemik zawył powalony i wleczony po bruku. Teraz już wiem, co spotkało Mgłę, pomyślał, tnąc na prawo i lewo.





W końcu udało mu się wstać i wyrwać hak z nogi, zatoczył krąg mieczem, oczyszczając przestrzeń wokół siebie, po czym wypluł słowo mocy wraz z kolejną chmurą czarnych igieł. Otoczył go wał trupów, przez chwilę

wydawało się, że bandyci podadzą tyły, kilku zaczęło uciekać, ale w tym samym momencie znowu rozległ się złowrogi szczeł i w kierunku alchemika poleciały kolejne haki.

Rudnicki przykucnął, przywołując jednocześnie czarną tarczę, w uderzenie serca później ciał po nogach, zerwał się i kilkoma uderzeniami otworzył sobie drogę w ciżbie bandytów. Nagle usłyszał mrozący krew w żyłach odgłos: runa! W jego kierunku leciała runa! Uderzenie wyparło mu dech z piersi, upadł na bruk, krwawiąc z uszu i nosa. To śmierć, pomyślał. Nadchodzi śmierć. Szum w uszach narastał, aby w końcu zamienić się w ryk, który wstrząsnął okolicą. Rudnickiemu zdawało się, że słyszy odgłos pękających ścian i kruszonych kamieni, chwilę później ucisk zelżał i alchemik wstał, wspierając się na mieczu.

Wokół leżały trupy, setki trupów, ze straganów zostały jedynie drzazgi, a kilka solidnych kamiennych budynków rozsypało się w pył. Gdzieś w oddali pojawiło się paru wystraszonych przechodniów, mignęły, by zaraz zniknąć, mundury straży miejskiej, ktoś wołał jego imię.

Alchemik odwrócił się i z wysiłkiem uniósł miecz, po chwili opuścił ostrze, widząc biegnącą Ważkę.

– Mistrzu!

Rudnicki strząsnął z klingi krew i resztki mózgu, najwyraźniej rozplątał komuś czaszkę, po czym trzęsącymi się dłońmi schował broń.

– Nic ci nie jest?

– Draśnięcie – wymamrotał alchemik.

– Jesteś cały we krwi i sam krwawisz jak zarzynana świnia! Pokaż nogę!

– Ja...

Dziewczyna bezceremonialnie rozcięła nożem nogawkę spodni Rudnickiego i naprędce opatrzyła ranę.

– Nic więcej? – spytała niecierpliwie. – Co z karkiem?

– Draśnięcie – powtórzył oszołomiony alchemik.

Syknął z bólu, kiedy Ważka zdezynfekowała ranę.

– To ty ich wszystkich?

– Nie. Chyba nie. Wydaje mi się, że na moment straciłem przytomność.

– Stary, a głupi! – warknęła z pasją dziewczyna. – Co ci wpadło do durnego łba, żeby samotnie mierzyć się z największą bandą w stolicy?! Cud boski, że przeżyłeś! Na szczęście Mgła odzyskała przytomność i mogłam z nią porozmawiać. Więc to oni tak ją urządzili?

– Na to wygląda.

Ważka wyjęła zza pazuchy metalowy walec i wystrzeliła racę.

– Co robisz?

– Wezwałam pomoc – wyjaśniła jakby nigdy nic. – Zaraz będą tu nasi. I siadaj, musisz oszczędzać nogę.

Dziewczyna zebrała kilka większych kamieni, urządziła z nich toporne siedzisko, po czym wymościła je szatami zdartymi ze zwłok.

– Siadaj! – powtórzyła rozkazującym tonem.

Alchemik bez oporu pozwolił się usadzić i przymknął oczy. Dopiero teraz dopadło go zmęczenie, choć o dziwo, niemal nie czuł bólu.

– Jeszcze chwila – mamrotała Ważka, przemywając mu twarz wilgotną szmatką. – Jeszcze chwila.

Rudnicki ocknął się, słysząc tupot nóg, z wysiłkiem otworzył oczy. Na plac wbiegła setka uzbrojonych po zęby dziewcząt z emblematami szkoły Ciemnego Ognia na pancerzach.

– Lektyka dla mistrza! – zadysponowała Ważka. – I wezwijcie lekarza!

– Co tu się stało? – spytała Żmijka głosem pełnym nabożnego podziwu.

– Mistrz postanowił ukarać bandytów, którzy zranili Mglę – odparła cierpko Ważka. – Sam. Jak widać, trochę się zdenerwował.

– To banda Krwawych Toporów?

– Tak. Żmijka...

– Słucham, siostrze?

– Podzielimy naszych na dziesięcioosobowe patrole, za chwilę będzie nas tu więcej, i przeszukacie cały port. Wszyscy, którzy podnieśli rękę na Mglę i mistrza, mają umrzeć!

– Dopilnuję tego osobiście – obiecała złowrogim tonem Żmijka.

– Nie róbcie krzywdy niewinnym – rozkazał słabym głosem Rudnicki. – Miejscowi i tak wiele wycierpieli od tych bandytów.

– Tak, mistrzu! – odparły dziewczyny unisono.

Alchemik westchnął, widząc, jak kilka uczennic biegnie z lektyką, ta najwyraźniej należała do gwiazdy miejscowego burdelu, o czym świadczyły czerwone zasłony i umieszczone w strategicznych miejscach emblematy z niepozostawiającym wątpliwości napisem „Dom Rozkoszy”. Całej grupie przewodziła Mewa.

– Nie wejdę tam!

– Jeszcze jak wejdiesz! – zapewniła nieco zdyszana Mewa. – A w zasadzie to cię tam wsadzimy. Pomóżcie mi, siostry. I nie marudź. Pani Hibiskus okazała się bardzo pomocna, sama zaoferowała nam swoją lektykę.

Rudnicki machnął z rezygnacją ręką i pozwolił umieścić się w palankinie. Jego uczennice nie wyglądały na skłonne do dyskusji, zacięte miny dziewcząt świadczyły, że przejęły się losem alchemika.

Cóż, nawet jeśli nie wykończyłem wszystkich Krwawych Toporów, moje dziewczyny dopilnują, żeby banda przestała istnieć, pomyślał. Zawsze to dobry uczynek...



Rudnicki zmiął ze złością urzędowo wyglądające pismo i cisnął je na podłogę.

– Co za bezczelny...

– Bezczelny – przyznała Ważka. – Ale mamy ważniejsze sprawy. Jak twoja noga? Bo pojutrze wyruszamy na front.

– Nieźle – przyznał alchemik. – Trochę pobolewa, ale mogę jechać w powozie. Za tydzień rana powinna się całkowicie zagoić. Co o tym myślisz? – spytał, wskazując na pognieciony dokument.

– Nie ma mowy, żebyśmy zwracali zarządcy portu pieniądze za wywóz trupów – odparła stanowczo. – Gdyby pilnował porządku, nie byłoby tam Krwawych Toporów. Co do tych magazynów i straganów, to myślę, że powinniśmy zrekompensować miejscowym straty. Trochę się rozhulałeś, mistrzu.

– To nie ja!

– Nieważne. Tak czy owak, przypisano to naszej szkole, więc wypadałoby naprawić szkody.

– Ile nas to będzie kosztowało?

– Jakies pięć tysięcy liangów, bo trzeba też doliczyć wartość przetrzymywanego w magazynach towaru.

– No ładnie... Ciekawe, czy coś mi zostanie na koncie?

– Z finansów szkoły – doprecyzowała Ważka.

– A mamy w ogóle coś takiego? – zdziwił się Rudnicki.

– Każdy uczeń wpłaca co miesiąc pewną kwotę na rachunek szkoły. Tu nie ma żadnych sztywnych reguł, każdy

daje, ile może, ale tak czy owak, nazbierało się ze sto tysięcy liangów srebrem. Mamy z czego płacić.

– Nie mogę brać waszych pieniędzy!

– Jak najbardziej możesz, chyba że chcesz wszystkich obrazić. Atak na naszą siostrę i wynikające z niego konsekwencje to sprawa całej szkoły. I proszę, nie zaogniaj sytuacji, i tak wszyscy uczniowie są wkurzeni, że poszedłeś tam sam. Spędziłam kilka godzin, usprawiedliwiając cię przed siostrami i braćmi, nie psuj tego!

– I co im powiedziałaś? – zainteresował się alchemik.

– Że opanowałeś nową technikę i chciałeś ją wypróbować w praktyce. Biorąc pod uwagę, co zobaczyli w porcie, wszyscy mi uwierzyli. Mistrzowie czasami tak robią, więc nikt się specjalnie nie zdziwił. Niestety, wywołało to kolejny problem.

– Tak?

– Natłok chętnych do naszej szkoły. Nie mamy czasu teraz robić selekcji, z drugiej strony to nieuprzejmie kazać im czekać, niektórzy pochodzą z arystokratycznych rodów.

– Wyślij ich do mistrza Wu – zdecydował po namyśle Rudnicki. – Skoro zaczął przyjmować uczniów w moim imieniu, niech robi to dalej.

– Świetny pomysł!

Alchemik odchrząknął niepewnie: kiedy byli sami, Ważka rozmawiała z nim z szorstką bezpośredniością i rzadko kiedy zdarzało jej się chwalić Rudnickiego.

– Co w tym takiego świetnego?

– Mistrz Wu bez trudu wybierze najlepszych, a ani ja, ani ty nie mamy takich umiejętności. Co więcej, podkreślimy nasz związek ze szkołą Białej Kozy i damy do zrozumienia, że za naszymi plecami stoi mistrz Wu. Wreszcie nikt nie będzie miał pretensji, jeśli zostanie odrzucony. Nie ośmieli się...

- Nie wkurzymy go tym?
  - Nie sędzę. Zresztą ostatnie wydarzenia potwierdziły, że uważa cię za ucznia.
  - Nie rozumiem?
  - A jak myślisz, kto pomógł ci w porcie? Kto był w stanie jedną techniką zabić dwie czy trzy setki bandytów i zniszczyć kamienne budynki? Jeszcze się nie domyśliłeś? Atak na ucznia to atak na mistrza i całą szkołę. On nie mógł puścić tego płazem. Poza tym chyba cię lubi.
  - Lubi?! – Rudnicki roześmiał się sarkastycznie. – Szkoda, że nie słyszałaś, jak odnosi się do mnie w trakcie treningów!
  - To nieważne. Grunt, że uratował ci życie.
  - I niby z jakiego powodu?
  - Nie jestem pewna, a wolałabym nie snuć domysłów.
  - Ważka!
  - No dobrze, już dobrze... Mówiłam ci, że ostatnio szperam po archiwach?
- Alchemik potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.
- Znalazłam pewien dokument z czasów Rozłamu dotyczący szkoły Białej Kozy.
  - I co?
  - Mowa w nim o pewnym potężnym mistrzu i jego synu, ten drugi miał być ekspertem lodowego gongfu. Kiedy zaczęły się walki frakcyjne, młody mistrz pospieszył do jednej z tych dziwnych szkół uczących dzieci, bo rozłamowcy likwidowali je bez litości. To nie wynika wprost z tekstu, ale wydaje się, że miał tam kogoś bliskiego. Niestety, na szkołę napadły Ogary Śmierci, to jedna z paskudniejszych frakcji tego okresu, i młodzieniec zginął, broniąc dzieci. Wtedy włączył się do gry ów nienazwany z imienia mistrz, zapewne chcąc pomścić syna. Konkludując, po tygodniu nie było w imperium ani jednego

żywego Ogara, mistrz bez litości zmiatał z drogi całe armie i niszczył fortyfikacje techniką zwaną „Czarnym Słońcem”.

– Co za idiotyczna nazwa. Nie lepszy byłby „Taran” czy coś w tym rodzaju?

– Sęk w tym, że wszyscy zabici w ten sposób krwawili z oczu, a na tęczówce mieli ciemną plamkę podobną do słońca.

– I?

– I sprawdziłam oczy kilkunastu trupów wtedy w porcie. Wszyscy mieli znak ciemnego słońca...

– To jakiś absurd! – wymamrotał Rudnicki. – Ile on musiałby mieć lat?

– Nie wiem, i nie radzę ci pytać. Najważniejsze, że ci pomógł, i pewnie pomoże także w przyszłości.

– Jak myślisz, powinienem mu podziękować?

– Nie. Nie wprost. Po prostu zrób kiedyś coś, co syn zrobiłby dla ojca, przynieś mu herbaty albo usług w jakiś sposób. To wystarczy.

– No dobrze, pomyślę o tym – obiecał alchemik. – Coś jeszcze?

– Tak, dostałeś dwa listy. Jeden od rady miejskiej, myślę, że można to potraktować jako łagodną reprymendę: radni proszą, żebyś się nieco hamował podczas treningów.

– Bardzo zabawne! A drugi?

– Nasz znajomy generał Meng Tian poinformował, że wybierze się z nami na wycieczkę.

– Czyżby przekonały go moje wyczyny w porcie?

– Możliwe, a może poparcie mistrza Wu albo co innego. Tak czy owak, to chyba dobra wiadomość?

– Bardzo dobra – przyznał Rudnicki. – Z Meng Tianem nasze szanse rosną.

– Wygramy – powiedziała poważnie dziewczyna. – Musimy wygrać.



Oby, westchnął w duchu alchemik. Oby...

# VIII

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki po raz kolejny sprawdził Rekwipunek Guanga, po czym skinął z aprobatą: w pancerzu Armii Żelaznej Modliszki, z przywieszką adiutanta u pasa książę prezentował się jak przeciętny młodszy oficer.

– I jak? – spytał z niepokojem chłopak. – Może być?

– Wszystko w porządku – zapewnił alchemik. – Kto cię nauczył trzymać prawidłowo miecz?

– Matka – odparł Guang, czerwieniąc się z zakłopotania. – Kiedy usłyszała, że wyruszam z tobą na Chmurną Północ, kazała mi trenować musztrę z gwardzistkami.

– Bardzo dobrze. Początkujący żołnierze mają kłopoty z mieczem, bo sprawne poruszanie się w pancerzu, z bronią u pasa wymaga pewnej wprawy, i ludzie mogliby się dziwić, co ktoś taki robi w elitarnej formacji. A tak wyglądasz jak zwykły pryszcz.

– Słucham?!

– Ach, to... – uśmiechnął się Rudnicki. – Tak w armii nazywają młodszych oficerów. Część z nich jest w takim wieku, że miewają problemy... dermatologiczne.

– Nie można jakoś uprzejmie?

– Wojsko to nie kółko wzajemnej adoracji, ale musisz zdawać sobie sprawę, że nigdzie nie znajdziesz tylu prawdziwych przyjaciół, co w armii. W jednostkach

bojowych nie ma tchórzy i cwaniaczków troszczących się tylko o siebie, bo tacy wykruszają się błyskawicznie, jednak aby zyskać szacunek towarzyszy broni, musisz się wykazać. Nie chcę informować wszystkich, kim jesteś, wystarczy, jeśli twoją tożsamość będzie znało dowództwo, ale nawet gdybym to zrobił, na żołnierzach nie wywarłoby to większego wrażenia. Co innego, jeśli wyróżnisz się w walce.

– Nie chcę zabijać. To nieprzyjemne.

– Myślisz, że ja chcę? Jestem lekarzem, a nie wojownikiem. Ale czasami nie ma wyboru. Wróg atakuje twój kraj, twoich poddanych, wróg, który nie zna słowa „-litość”. Nie będę cię do niczego zmuszał, sam zdecydujesz, co i kiedy zrobisz. Ale dość o tym, chodź, przedstawię cię przełożonym.

Pilnujący sztabowego namiotu żołnierze zasalutowali Rudnickiemu, a jeden z nich odchylił płachtę i zaanonsował alchemika. Wewnątrz za zawalonymi mapami stołem siedzieli Meng Tian i dowódca Armii Żelaznej Modliszki generał Rudao.

– Panowie, przedstawiam wam nowego rekruta – powiedział alchemik.

Obaj oficerowie przyglądali się chłopakowi przez dłuższą chwilę, wreszcie Rudao wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że to nie kolejny pasażer – powiedział.

– Pasażer?

– Tak nazywamy oficerów z arystokratycznych rodzin, którzy chcą bezpiecznie odsłużyć swoje trzy lata w elitarniej jednostce, żeby ułatwić sobie karierę urzędniczą – wyjaśnił Meng Tian.

– Dużo takich macie? – zainteresował się Rudnicki.

– Kilku – odparł z zimną krwią Rudao. – Ich obecność źle wpływa na morale, bo nie biorą udziału w akcjach bojowych i ogólnie to wrzód na dupie, ale jeśli ojciec kogoś

takiego jest odpowiednio wpływowy, idziemy na kompromis. Dlatego mamy najlepsze wyposażenie, żarcie i inne przydatne rzeczy.

– Ten młodzieniec może być naszym atutem, choć trzeba go będzie chronić nie mniej niż waszych pasażerów – odparł alchemik.

– Doprawdy?

– To silny mag, choć jeszcze nie do końca zna swoje możliwości.

– Na ile silny? – spytał szybko Rudao.

Armia Żelaznej Modliszki miała trzech etatowych magów, jednak wiadomo było, że w starciu z posiadającymi przewagę liczebną Białymi przyda się każda pomoc.

– W czasie kampanii w prowincji Wielkiej Rzeki zniszczył maszyny wojenne wroga. Z odległości kilku... kilometrów.

Rudao zmarszczył brwi, widać było, że intensywnie zastanawia się nad słowami alchemika.

– Jakim cudem zdobył pan ten brylant?

– To żaden brylant – odparł niedbale Rudnicki. – Z całego szkolenia przeszedł tylko musztrę, dopiero testuje swoje możliwości, no i nadmiernie interesuje się panienkami, ale jeśli nim odpowiednio pokierujemy, może nam się przydać.

Guang przewrócił oczyma, lecz nie podjął dyskusji.

– Jak się nazywasz? – spytał chłopaka Meng Tian.

– To Guang – odparł za młodzieńca Rudnicki. – Następca tronu Wielkiej Han.

Zanim dokończył zdanie, oficerowie klęczeli już na ziemi, chyląc się w czołobitnym ukłonie.

– Wstańcie – polecił znużonym tonem alchemik, zajmując miejsce za stołem. – Tu i teraz Guang jest zwykłym rekrutem. To on ma się wam kłaniać. Niemniej jednak są pewne niuanse: jeśli coś mu się stanie... No, sami wiecie.

Ku zdumieniu Rudnickiego oficerowie nie wyglądali na zbulwersowanych.

– To oczywiste – stwierdził sucho Rudao. – Najlepiej będzie chyba umieścić go w jednym z batalionów ciężkiej piechoty. Ich tarcze zapewniają najlepszą ochronę. Co pan na to, ekscelencjo?

– Jak pan uważa.

– W takim razie nie ma co przeciągać sprawy. Losujmy.

– Słucham?

Rudao bez słowa rzucił na stół kilkadziesiąt plakietek z kości słoniowej, gładką stroną do góry.

– To żetony batalionów ciężkiej piechoty – wyjaśnił Meng Tian. – Wybierz dowolny z nich.

Alchemik podniósł jedną z plakietek i podał Rudao.

– Trzynasta – przeczytał na głos generał. – To dobrzy żołnierze, nasz nowy przy... rekrut mógł trafić gorzej.

Cóż, zobaczymy, jak następca tronu Wielkiej Han odnajdzie się w armii, pomyślał Rudnicki. I czy się odnajdzie...



Alchemik ściągnął cugle i zsiadł z konia, po czym przeszedł na skraj obrywu. Drogą poniżej maszerowała Armia Żelaznej Modliszki: jak okiem sięgnąć płynęła niepowstrzymana, zdawało się, rzeka stali.

– Imponujące – powiedziała Liu He, podchodząc do Rudnickiego. – To nie ochotnicy z prowincji Wielkiej Rzeki.

Zafascynowany widowiskiem alchemik skinął głową. Poszczególne bataliony utrzymywały przepisowe odstępstwa, złowrogo połyskiwały włócznie piechoty, nawet z odległości ponad stu metrów słychać było regularny tupot ciężkich żołnierskich butów. Żelazna Modliszka podążała na wojnę.

– Mam nadzieję, że w walce okażą się równie sprawni – powiedział wreszcie. – Co meldują nasi ludzie?

– Na razie wszędzie panuje spokój, no i nic dziwnego, do granic Chmurnej Północy dojdziemy najwcześniej za dwa tygodnie.

Rudnicki mruknął potakująco, bo choć armia posuwała się naprzód z zadziwiającą szybkością, spowalniały ją tabory i kontyngenty z okolicznych garnizonów, niespecjalnie przygotowane do forsownych marszów.

– Nasi dzielni towarzysze broni nie nadążają – zauważyła z przekąsem stara tygrysica. – Są dobre sto kilometrów za nami.

– Rudao się tym nie przejmuje, twierdzi, że to normalne, więc i ja nie będę – wzruszył ramionami Rudnicki. – On uważa, że załogi garnizonów muszą się przyzwyczaić do dalekich marszów, a niedługo przyspieszą, bojąc się odcięcia od głównej armii. Zostawiam takie sprawy zawodowcom – dodał z zadowoleniem.

– Nadjeżdża kurier – powiedziała Liu He.

Alchemik wzdrygnął się nerwowo, jednak nic nie wskazywało, aby wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Po chwili sam zobaczył nadjeżdżającego na spienionym koniu mężczyznę.

– Generał Meng Tian melduje, że sztab rozłożył się w pobliskiej wiosce, pięć kilometrów stąd – poinformował żołnierz. – Pańska kwatera jest już gotowa.

Rudnicki podziękował gestem i dosiadł konia. Kiedy zjechał ze wzgórza, dołączyła do niego setka gwardzistów pod dowództwem Ryby i młode tygrysice. Od czasu portowej eskapady Liu He i obie dziewczyny nie odstępowały go nawet na krok.

– I żadnych samotnych spacerów! – ostrzegła surowo Liu He. – Nawet jeśli przyjdzie ci korzystać z oferty jakiejś

miejscowej ślicznotki.

– Czy nie powinniśmy mieć monopolu na mycie pleców mistrzowi? – spytała z udaną powagą Perła. – Te wiejskie dziewczuchy pewnie i tak niczego nie potrafią. Co innego my, giętkobiodre, przyzwyczajone do ciężkich treningów...

Liu He pogroziła jej palcem, z trudem ukrywając uśmiech. Odkąd dziewczyny przekonały się, że Rudnicki nie jest zainteresowany nimi jako kobietami, drażniły go nieustannie, czyniąc pikantne aluzje.

– Jeśli kiedyś skorzystam z twojej oferty, umrzesz na zawał – mruknął alchemik.

– Tylko z rozkoszy, mistrzu – odparła Perła, trzepocząc zalotnie rzęsami.

Rudnicki ponaglił konia, Mei, widząc palcat w jego dłoni, natychmiast dołączyła do zabawy.

– Nie gustuję w tego typu instrumentach, ale dla ciebie, mistrzu, przełamie swoje uprzedzenia – zapewniła. – Może chciałbyś...

Alchemik zaklął pod nosem i przeszedł do galopu, gonił go śmiech dziewcząt.



Rudnicki z westchnieniem odstawił talerz, obiad przygotowany przez żonę miejscowego wójta okazał się bardzo smaczny i alchemik zjadł więcej, niż powinien.

– Herbaty? – spytała Liu He.

– Poproszę.

– To nam obojgu dobrze zrobi – powiedziała kobieta. – Nigdy nie próbowałam lepszej pieczeni z dzika.

– Wypocę to na wieczornym treningu – stwierdził Rudnicki.

– Jasne, a wtedy ona wystąpi z kolacją z dwunastu dań.

– Na szczęście jutro wyruszamy.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się na dziewczyny? – Liu He nieoczekiwanie zmieniła temat. – Obie to sieroty, nigdy nie miały ojca. Jesteś pierwszym mężczyzną, przy którym czują się bezpieczne, więc korzystają z okazji, jednak gdyby coś ci groziło, bez wahania oddałyby za ciebie życie.

– Przecież wiem – mruknął alchemik. – A jak myślisz, dlaczego pozwalam im się tak paskudzić?

Stara tygrysica najpierw naląła sobie herbaty, potem zaparzyła ją ponownie i dopiero wówczas napełniła czarękę alchemika.

– Herbata z pierwszego parzenia dla sługi, z drugiego dla pana, z trzeciego do podlewania kwiatków – oznajmiła z uśmiechem.

– To jakieś przysłowie? I nie jesteś sługą.

– Przysłowie. To uprzejmość z mojej strony, ale gdybym ci tego nie wyjaśniła, to nawet byś nie zauważył.

– Przyjmuję do wiadomości – odparł Rudnicki. – Teraz już... – urwał, powstrzymany gwałtownym gestem Liu He.

– Coś jest nie tak – oznajmiła zaniepokojonym tonem kobieta. – Zakładaj pancerz, natychmiast!

Alchemik, nie tracąc czasu na pytania, pobiegł do swojego pokoju i zaczął mocować się z pancerzem. Samodzielne założenie zbroi wymagało nie lada zręczności.

– Pomogę ci, mistrzu – powiedziała Perła.

Dziewczyna wraz z Mei pilnowała domu wójta, była więc w pełnym rynsztunku bojowym.

– Co się stało? – zapytał Rudnicki, nakładając karwasze.

– Mistrzynie coś usłyszała, ona ma dużo wrażliwszy słuch niż my, i poszła to sprawdzić. Nawet w ludzkiej postaci mamy wyostrzone zmysły.

Alchemik przewiesił przez plecy miecz i skierował się do wyjścia, Perła deptała mu po piętach, najwyraźniej Liu He



kazała jej pilnować Rudnickiego.

– Nic się nie dzieje – powiedział po chwili.

– Niedługo się zacznie – odparła ponuro Perła. – Teraz i ja to słyszę.

– Co takiego?

– Przedśmiertny krzyk człowieka i kroki. Zbliżają się do nas tysiące ludzi. Próbują to robić bezszelestnie, ale niespecjalnie im to wychodzi – dodała pogardliwie.

Alchemik natężył słuch, ale nie wychwycił niczego niezwykłego: wokół biegały rozdokazywane dzieciaki, a na głównym placu wioski jakiś sierżant o donośnym głosie musztrował kompanię ochrony sztabu.

– Może się mylisz?

– Wykluczone.

Rudnicki skrzywił się bezwiednie, po czym podbiegł do umieszczonego w centrum wioski dzwonu alarmowego i energicznie pociągnął za sznur. Zaskoczony podoficer przerwał musztrę i zwrócił się do alchemika z pytającym wyrazem twarzy.

– Ogłosić alarm! – rozkazał Rudnicki. – Przygotować się do obrony wioski i sztabu!

– Tak jest!

Żołnierze błyskawicznie sformowali wokół alchemika sztyk obronny, a sierżant wystrzelił rękę. Mijały minuty, lecz nadal nic się nie działo, tylko przestraszeni dźwiękiem dzwonu wieśniacy zabrali dzieci do domów. Rudnicki poczuł, jak po karku spływają mu krople potu, ale żaden z żołnierzy nawet na niego nie popatrzył, wszyscy rozglądali się czujnie w poszukiwaniu zagrożenia, jakby było rzeczą oczywistą, że atak nastąpi.

Jeśli nikt nas nie napadnie, moja wiarygodność spadnie do zera, pomyślał Rudnicki. Niemal w tym samym momencie rozległo się przeraźliwe wycie i w wiosce-

pojawiły się setki, a później tysiące mężczyzn w czerwonych turbanach.

– Horda! – wrzasnął sierżant. – Strzelać!

Zawyło prute pociskami powietrze i na ziemię padło kilkuset napastników, żołnierze musieli użyć magicznych kusz, jednak turbaniarze natychmiast rozbiegli się po wiosce, wdzierając się do chałup, a liczący ponad tysiąc osób oddział uderzył na ludzi alchemika.

Potężne, obite blachą tarcze zamieniły oddział w ruchomą twierdzę, a długie włócznie zbierały wśród atakujących krwawe żniwo. Rudnicki zobaczył, że do akcji rusza dwustuosobowy oddział gwardii, a w wiosce pojawiła się też lekka kawaleria, najwyraźniej rakietowa sygnalowa została dostrzeżona.

Alchemik zaklął, kiedy zobaczył, jak z jednej z chałup wybiega Guang. Chłopak wrzasnął wściekle, widząc chudego niczym kościotrup wroga tańczącego z nabitym na lancę niemowlęciem, po czym rzucił się na turbaniarza, powalił go i zaczął niezdarnie okładać pięściami.

Rudnicki wyskoczył w powietrze i znalazłszy się w grupie Białych otaczających młodzieńca, tnąc na wszystkie strony, dotarł do chłopaka.

– Za mną! – krzyknął, odciągając go za kołnierz.

Niemal w tym samym momencie osłonili go gwardziści pod dowództwem Ryby.

– Cofamy się!

Tymczasem do wioski przybywało coraz więcej żołnierzy i po kilku minutach chaotycznych walk Armia Żelaznej Modliszki opanowała sytuację. Większość sił Hordy wyparto z wioski, a niewielkie oddziały rozbiegły się po domach w poszukiwaniu rozproszonych wrogów.

– Co też ci przyszło do głowy! – strofował chłopaka alchemik. – Zapomniałeś, że masz u pasa miecz?! Jak już

chciałeś kogoś zabić, trzeba mu było ściąć głowę albo poderznąć gardło!

Guang nie odpowiedział, młodzieniec pobladł, zgiął się wpół i zaczął wymiotować.

Na placu w końcu pojawił się Rudao, a chwilę później przybył i Meng Tian.

– Gdzie byliście? – spytał gniewnie alchemik.

– Kwaterowaliśmy na peryferiach wioski, tuż przy drodze, żeby w razie czego zabezpieczyć sobie odwrót – powiedział Rudao. – Przepraszam, to było głupie, powinniśmy i was tam umieścić, ale do głowy nam nie przyszło, że Biali zaatakują już tutaj. Z naszym rekrutem wszystko w porządku?

– Owszem, tylko trzeba mu przypomnieć, do czego służy miecz.

– Zajmę się tym osobiście – obiecał oficer.

– Generał Rudao jest jednym z głównych instruktorów armii Wielkiej Han – pospieszył z wyjaśnieniami Meng Tian.

– Chcę władać dwuręcznym mieczem – powiedział Guang, ocierając usta. – Niech mnie uczy Ying Tu.

– Walka takim orężem jest trudniejsza – zauważył Rudao.

– Nie szkodzi. Dam radę.

Meng Tian spojrzał pytająco na alchemika, a ten wzruszył ramionami.

– Pogadamy jutro. Na razie trzeba ocenić szkody i zbadać, skąd, u licha, wzięła się tu Horda. Bo kto ich wysłał, jest raczej oczywiste.

– To Księżyc – przytaknął Rudao. – Taki numer jest w jej guście: uderzyć zniemacka tam, gdzie się jej nie spodziewają. Wysłałem już grupy poszukiwawcze, wieczorem powinniśmy co nieco wiedzieć.

– W porządku – zatwierdził plan Rudnicki. – Zajmijcie się tym, a ja z Guangiem zatroszczymy się o rannych.

– Nie wiem nic o medycynie! – zaprotestował książę.

– Wystarczy, że ja wiem – uciął alchemik. – Za to ty potrafisz robić takie rzeczy, o jakich lekarzom nawet się nie śniło. Razem uratujemy dwa razy tyle rannych. Więc?

– No dobrze – westchnął chłopak. – Idę, już idę...



Pomoc Guanga okazała się bezcenna, zmarło jedynie dwóch żołnierzy, jeden ze zmiażdżoną uderzeniem maczugi czaszką, drugi z rozprutym brzuchem. Rudnicki zaszywał rany, nastawiał złamane kości, a nawet przeprowadził operację na otwartym sercu, wystarczyło, że chłopak zatrzymał czas. Na efekty nie trzeba było długo czekać, wśród żołnierzy rozeszły się wieści, że nowy dowódca nie tylko przewidział atak Hordy, ale i wyciągnął z tamtego świata kilkunastu śmiertelnie rannych. Nie zapomniano też o Guangu – zaraz po wyjściu ze szpitala koledzy zabrali go do pobliskiej knajpy i poili do białego rana.

Przynajmniej chłopak nie będzie miał problemów z integracją, pomyślał alchemik, wyciągnąwszy się w wannie.

– Jeszcze wina, mistrzu? – spytała Ważka.

– Poproszę.

Rudnicki przymknął oczy i pociągnął łyk schłodzonego alkoholu. Gorąca woda przyjemnie rozluźniała mięśnie, za oknem jedna z uczennic Rudnickiego grała na harfie.

– O czym myślisz? – przerwała przedłużającą się ciszę dziewczyna. – Bo jeszcze trochę i zaśniesz.

– Nie jestem już młodzieniaszkiem – mruknął alchemik. – Dzisiejszy dzień był dość wyczerpujący, muszę odpocząć.

– A poza tym?

– Zastanawiam się, jakim cudem Horda znalazła się setki kilometrów od granicy, niezauważona przez nikogo, i mogła nas zniemacka zaatakować. A to przecież wariaci z zerową dyscypliną.

– Może jeńcy coś zeznają?

– Jasne, szczególnie ci naćpani namem.

Nagle harfa umilkła i kobiecy głos zawołał Ważkę.

– Co się stało? – rzuciła dziewczyna, podchodząc do okna.

– Goniec ze sztabu. Proszą mistrza na naradę, podobno przesłuchali już jeńców.

Rudnicki z niechętnym stęknieniem wyszedł z wanny i owinął się ręcznikiem, Ważka pomogła mu się ubrać i założyć pancierz. Co prawda alchemik nie sądził, żeby coś mu groziło, ale nie chciał tracić czasu na kłótnie z gwardzistką, po ataku Hordy jego ochrona była wyraźnie przeczulona na punkcie bezpieczeństwa pryncypała.

– Chodźmy – zdecydował.

W drodze poza Ważką towarzyszyło mu kilkunastu gwardzistów i Ryba. Sztab rozłożył się na skraju wioski, w okazałym gospodarstwie, jak się okazało, przesłuchania prowadzono w stodole.

Rudnicki skrzywił się, widząc pokrwawionych jeńców, najwyraźniej przesłuchiowano ich bez przesadnej dbałości o konwenanse, ale tylko jeden z nich miał założone solidne kajdany i knebel w ustach.

– Co ustaliliście? – spytał.

– Niewiele – przyznał Rudao, podsuwając alchemikowi topornie wykonany taboret. – Ci tam nic nie wiedzą. Są tak naćpani, że nie reagują na bodźce. Dowodził nimi nasz przyjaciel w kajdanach, ale i ten niewiele nam powiedział, bełkocze tylko coś o czarach. Boimy się naciskać, bo pewnie jest uwarunkowany i kiedy spytamy o coś ważnego, umrze.

Proponuję odesłać go pod eskortą do stolicy, może tamtejsi mistrzowie coś z niego wyciągną.

– *Guang?* – zawołał w myśli alchemik.

– *Tak?*

– *Możesz jakoś odczytać tego w kajdanach? Bo widzisz, co robimy, prawda?*

– *Oczywiście, że widzę* – odparł chłopak urażonym tonem.

– *Chwileczkę.*

Tymczasem Rudnicki przyjrzał się jeńcom, korzystając ze współdzielonego z Zavem wzroku, ale nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego: żadnej powłoki chi, żadnych śladów magii.

– Możecie go później rozkuć, on nie jest magiem – powiedział.

– Rozkujemy – odparł Meng Tian. – Później.

– *Jakiś mag osłonił ich przed wzrokiem postronnych, niedaleko wioski płynie rzeka, a po drugiej stronie jest spory las. Tam się ukryli, czekali kilka dni i wreszcie zaatakowali* – poinformował Guang.

– *Skąd wiedzieli, że rozłożymy się akurat tutaj?*

– *Podobno ktoś z Białych to wyliczył, bazując na meldunkach szpiegów i szybkości poruszania się naszej głównej kolumny. W promieniu stu kilometrów jest zaledwie kilka miejsc, gdzie mogłaby rozłożyć się armia takiej wielkości, więc turbaniarze czekali, póki szpiegzy nie poinformowali ich o nas, a później zaatakowali. Ciekawy detal: szpiegzy nie informowali bezpośrednio Hordy, tylko kogoś w dowództwie Białych, dopiero stamtąd ci tutaj dostali sygnał do ataku. Mentalnie.*

– *Znaczy mag?*

– *Potężny mag.*

– *Możesz coś z tym zrobić?*

– *Nie. Nie teraz.*

- Jeśli jesteś zmęczony, możemy...
- Nie zrozumiałeś – przerwał mu chłopak. – On jest zbyt silny.
- Przecież to tylko człowiek, a ty...
- Owszem, człowiek – ponownie wszedł mu w słowo książę. – Tyle że ma około dwóch tysięcy lat. Z mocą magiczną jest trochę jak z przyrostem mięśni: z wiekiem stajesz się coraz silniejszy, z tym że nie ogranicza cię starość. Pokonałbym go, bo jeśli chodzi o potencjał, żaden człowiek nie może się ze mną równać, niestety, pozostaje kwestia czasu. Rozwijam się dużo szybciej niż on, ale ten mag ma taką przewagę, że nie nadrobię tego w tydzień czy dwa.
- To kiedy?
- Za sto lat będę mógł z nim walczyć jak równy z równym, za dwieście zdmuchnę go jak pyłek.
- A teraz?
- Mówiąc obrazowo, podbiję mu oko, może złamię parę żeber, ale on mnie zabije. Jeśli chcesz, mogę spróbować, ale...
- W żadnym wypadku! Zapomnij!
- Przepraszam, zawiodłem cię, prawda?
- Nie zawiodłeś, po prostu nikt z nas nie przewidział, że przyjdzie nam walczyć z nieśmiertelnym magiem!
- On nie jest nieśmiertelny. Jak powiedziałem, ma ze dwa, góra dwa i pół tysiąca lat. Jest bardzo silny, ma ogromne doświadczenie bojowe i krwawy życiorys. Nie mogę wprost wejść w jego umysł, ale on niespecjalnie stara się osłonić, więc wychwytyuję strzępy obrazów i wspomnień. To bardzo nieprzyjemne – dodał po chwili Guang.
- Zostaw go w spokoju, lepiej, żeby cię nie zauważył.
- Racja – przyznał chłopak.
- Nad czym się tak zastanawiasz? – spytał Meng Tian.
- Wyprowadzić jeńców, z żołnierzy zostaje tylko warta po drugiej stronie drzwi – rozkazał Rudnicki.

Obaj generałowie wyglądali na zdziwionych, ale polecenie alchemika wykonano natychmiast i bez dyskusji.

– Nasz nowy pryszcz przeprowadził coś w rodzaju magicznego zwiadu – poinformował Rudnicki, kiedy zostali sami. – Hordę osłonił potężny mag Białych, a ich sztab przewidział, w jakiej okolicy się zatrzymamy.

– Tak przypuszczałem – mruknął Rudao. – Powstaje pytanie, czy takie incydenty będą się powtarzały?

– *Guang?*

– *Wątpię. Ta sztuczka wymagała ogromnej energii, myślę, że to była jednorazowa próba na zasadzie „a nuż się uda”.*

– *Ciekawe, czy moglibyśmy dokonać odwetu?*

– *Jeśli pytasz, czy mógłbym w podobny sposób osłonić oddział dywersyjny, który zaatakowałby sztab Białych, to odpowiadam: w żadnym wypadku. Jestem za słaby. Dziwię się, że ten Biały w ogóle próbował, bo to pochłonęło energię, którą gromadził przez ostatnie kilkadziesiąt lat.*

– *Rozumiem...*

– *Ale mógłbym im coś rozwalić* – kontynuował Guang. – *No wiesz, jak kiedyś te katapulty.*

– *Ty ich widzisz?*

– *Pewnie! Wszystkich oprócz maga. Co do niego, tylko wyczuwam jego obecność. Teraz zresztą nie ma go w obozie Białych, czai się gdzieś w okolicy. Chcesz, to pokażę ci Księżyc.*

Nie czekając na odpowiedź alchemika, Guang wywołał wizję kobiety. Nieziemsko pięknej kobiety.

– *Teraz wszystko jasne.*

– *Co takiego?*

– *Jej ksywka.*

– *No tak. Co do ataku na ich sztab, po tym, co tu widziałem, wycofuję zastrzeżenia co do zabijania. Ja ich...*



– *Nie! Nie będziesz zabijał! No chyba że w obronie własnej*  
– powiedział już spokojnie Rudnicki. – *Co innego ja.*

– *O czym myślisz?*

– *Gdybym zobaczył Białych, mógłbym ich zaatakować.*

– *Może tak, może nie, choć niewykluczone, że jeślibym ci pomógł, odległość od celu nie byłaby specjalnym problemem. Trzeba by to sprawdzić.*

– *Za godzinę?*

– *Niech będzie za godzinę.*

– I co ustaliliście? – rzucił niecierpliwie Meng Tian.

– Chcecie zobaczyć, jak wygląda Księżyc? – odpowiedział pytaniem Rudnicki.

– Pewnie! – wykrzyknął Rudao z nieprzystającym do rangi entuzjazmem. – Podobno jest... – urwał, ujrawszy wywołaną przez alchemika trójwymiarową podobiznę kobiety.

Białe, sięgające pasa włosy i drobna twarz o subtelnych, uduchowionych rysach zapadały w pamięć; każdy odsłonięty centymetr bladej skóry wywoływał w mężczyznach emocje, których lepiej było nie nazywać głośno; jedynie różowe tęczęwki i krwawoczerwone źrenice psuły ostateczny efekt: Księżyc była albinosem.

– Koniec narady – ogłosił Rudnicki, jednym ruchem likwidując majak.

– Porozmawiamy o odwecie? – spytał Rudao. – Bo wypadaloby jednak udzielić Białym lekcji dobrych manier.

– Porozmawiamy – obiecał alchemik. – Ale nie dzisiaj. Muszę to wszystko przemyśleć.

– Oczywiście – zgodził się Rudao. – To był ciężki dzień.



Książę Guang roztargnionym gestem sięgnął po czarękę z herbatą, pociągnął łyk i wrócił do studiowania mapy.

– Myślę, że odległość jako taka nie ma znaczenia – powiedział. – Nie wiadomo tylko, czy będziesz w stanie zaatakować obiekt, którego nie widzisz.

– Przecież mi go pokażesz – odparł Rudnicki.

– Nie widzisz własnymi oczyma – doprecyzował chłopak.

– To co, jak to sprawdzimy?

– Wybierz jakiś punkt na mapie, jakikolwiek, ale oddalony od nas o kilkaset kilometrów.

– Miasto czy wieś?

– Nie, nie, żadnych osad! Po prostu punkt. Najlepiej, jeśli to będzie las. Nigdy nie robiliśmy razem czegoś takiego i sądzę, że lepiej najpierw wypróbować to na jakimś drzewie albo stadzie jeleni. Nie wiemy, jak to podziała. Logicznie rzecz biorąc, możliwe są trzy warianty: wszystko pójdzie po naszej myśli, nic z tego nie wyjdzie albo mój udział w tym przedsięwzięciu wzmocni twoje moce. Wolałbym, żebyśmy w tym ostatnim przypadku starli z powierzchni ziemi parę krzaków, a nie miasto...

– Rośniesz – zauważył Rudnicki.

– Słucham?

Chłopak z zaskoczeniem w oczach spojrzał na swoją odzież, sprawdzając, czy rękawy nie są za krótkie.

– Nie w tym sensie. Troska o innych to oznaka dorosłości. To dobrze o tobie świadczy.

Guang zaczerwienił się i zbył słowa alchemika niecierpliwym gestem.

– To co, zaczynamy? – spytał.

Rudnicki bez słowa dotknął palcem mapy.

– Jezioro Martwego Oka – odczytał nazwę Guang. – Niech będzie jezioro. W takim razie...

– *Zostawcie w spokoju to jezioro!* – Rudnicki usłyszał nabrzmiąły dezaprobatą głos mistrza Wu.

Wnioskując z miny chłopaka, przekaz dotarł także i do niego.

– *To nie czas na takie zabawy, myślicie, że Biali będą obserwować wasze eksperymenty, kręcąc młynka palcami? Macie tylko jedną szansę, a i to jedynie dlatego, że oni nie wiedzą o obecności Guanga, ale po pierwszym ataku się zabezpieczą. Ten mag, który pomógł Białym w dywersji, nie będzie siedział z założonymi rękoma. Na koniec jeszcze dwie sprawy: w żadnym wypadku nie atakujcie tego maga i nie róbcie krzywdy dziewczynie.*

– *Masz na myśli Krwawy Księżyc?* – spytał niepewnie Rudnicki.

– *Mam na myśli Krwawy Księżyc! Czy wszystko jasne?*

– *Tak, mistrzu* – odparł pokornie alchemik.

– *To do roboty!* – zakończył konwersację Wu.

– *Kto to był?* – spytał oszołomiony książę.

– *Mój mistrz.*

– *Posłuchamy go?*

– *Posłuchamy. I na przyszłość: temu człowiekowi możesz wierzyć jak mnie samemu i nigdy mu się nie sprzeciwiaj. Słyszysz? Nigdy. On jest po naszej stronie.*

– *To dlaczego nie wyjaśni, o co chodzi? Jeśli ma rację, być może mamy dziś jedyną możliwość zabicia wodza wrogiej armii, więc dlaczego mielibyśmy oszczędzić Księżyc?*

– *Dlaczego? Bo mistrz Wu tak powiedział. Jestem jego uczniem, on uratował mi życie i podejrzewam, że wie więcej od nas na temat sytuacji w armii Białych. Dużo więcej. Tylko nie chce mu się tłumaczyć. Tak czy owak, będę mu posłuszny. Wreszcie pomijając wszystko inne, podejrzewam, że gdyby chciał, poradziłby sobie z nami oboma, czyszcząc przy tym paznokcie. Odrobinę*

skromności, Guang! Mimo swojego pochodzenia niekoniecznie jesteś najsilniejszy na świecie.

– Uratował ci życie?

– Owszem.

– Opowiesz?

Rudnicki wzruszył ramionami i krótko przedstawił wydarzenia w porcie.

– Dlaczego poszedłeś tam sam? – spytał z pretensją w głosie chłopak. – Mogłem ci pomóc.

– Nie chciałem zawracać ci głowy, no i myślałem, że sobie poradzę. Wreszcie nie chcę, żebyś zabijał. Dzieciaki w twoim wieku nie powinny tego robić.

– Chciałeś mnie chronić? Co za idiotyzm...

– Może dajmy już temu spokój i zajmijmy się sprawą, którą powierzył nam mistrz Wu? – zaproponował z irytacją alchemik. – Bo mistrz nie słynie raczej z nadludzkiej cierpliwości, a zapewniam cię, że nie chciałbyś go widzieć, kiedy się wkurzy.

– No dobrze – westchnął Guang. – Jak to zrobimy?

– Możesz zobaczyć i co ważniejsze, pokazać mi ich sztab?

– Pewnie.

– To zrób to. Teraz.

Guang wziął go za rękę, alchemik przez chwilę miał wrażenie, że leci w powietrzu, niematerialny i lżejszy niż puch, później zobaczył obóz wroga. Sztab Białych znajdował się w centrum obozu, wśród tysięcy identycznych namiotów.

– Sztabowe namioty oznaczone są wąskim purpurowym pasem – poinformował Guang. – Największy z nich należy do naszej damy. Widzisz te babskie fatałaszkę na sznurze? Tam suszy się jej... ekhmm... bielizna.

Rudnicki przeniósł wzrok na pobliski plac treningowy, na którym jakiś oficer o zimnym głosie i oczach mordercy

musztrował kilkusetosobowy oddział Żuków.

– W porządku – powiedział. – Ja zajmę się Żukami, a ty tymczasem wypisz coś na jej namiocie i podpal bieliznę. Dasz radę?

– Pewnie! Naprawdę mogę?

– Mistrz Wu nic nie mówił o garderobie panienci Księżyc, a chcę ją zdenerwować. Mało co tak złości kobiety jak strata ulubionych ciuchów.

– Myślisz, że niespecjalnie przejmie się śmiercią Żuków?

– Och, przejmie się! Jeszcze jak przejmie. Żuki to absolutna elita, ale chcę dodać też osobisty akcent. To co? Działamy?

– Działamy! – odparł z entuzjazmem chłopak.

Pamiętając o wytrzymałości zbroi Żuków, Rudnicki nawet nie pomyślał o czarnych igłach i wypowiedział słowo mocy. W sekundę potem miał wrażenie, że jego wnętrzności zawiązują się w bolesny supeł, ale niemal wszyscy żołnierze na placu padli martwi. Nieoczekiwanie poczuł gwałtowne szarpnięcie, stracił na moment wzrok i usłyszał basowy ryk. Żółć podeszła mu do gardła, opadł na kolana i zwymiotował czarną krwią.

– Wszystko w porządku?! – zawołał z niepokojem Guang.  
– Straż! Wezwijcie lekarza!

– Nic mi... nie jest – wymamrotał alchemik. – Muszę tylko odpocząć.

Nie wiadomo jakim sposobem obok pojawiła się Ważka i podała Rudnickiemu czarnekę wina.

– Przepłucz usta i wypij kilka łyków – powiedziała. – Zaraz zabierzemy cię do twojej kwatery. Lektyka dla mistrza! – zawołała.

– Ja...

– Nie dyskutuj, proszę, daj nam się tobą zająć.

Alchemik z westchnieniem rezygnacji pozwolił umieścić się w lektyce i przyknuął oczy. Cóż, przynajmniej obaj przeżyliśmy, pomyślał. Biorąc pod uwagę, komu stawiliśmy czoło, to i tak nieźle.



Rudnicki łyknął okropnie śmierdzącego i gorzkiego lekarstwa, skarcony wzrokiem przez Ważkę, dokończył czarę i oddał jej puste naczynie. Ze względu na stan zdrowia alchemika kolejną naradę zwołano w jego kwaterze.

– Udało się wam zabić Księżyc? – spytał niecierpliwie Meng Tian. – Możemy spodziewać się odwetu?

– Nie zabiliśmy jej – odparł alchemik. – To raczej nie byłby najlepszy ruch, nawet jeśli bylibyśmy w stanie to zrobić.

– A to dlaczego?

– Nie wiemy, kim by ją zastąpili – wyjaśnił Rudao. – Co by o niej nie mówić, Księżyc jest bardziej przewidywalna niż inni dowódcy Białych.

– Więc co w końcu zrobiliście?

– Zabiłem kilkuset Żuków, a Guang spalił ciuchy panienki Księżyc i wypisał jej ostrzeżenie na namiocie.

– Jakie, do licha, ostrzeżenie?!

– Guang?

– Mam zacytować?

– Owszem.

– No, napisałem: „Nie rób tego więcej, nie lubię niegrzecznych dziewczynek”. I dodałem twój podpis.

– Co takiego?!

– Przecież kazałeś mi ją przestrzec?

– Przestrzec, a nie podrywać! – warknął rozzłoszczony alchemik. – To zaproszenie na randkę, prawda, że w sztubackim stylu.

– Teraz będzie wszystko na mnie! Trzeba było powiedzieć, co mam napisać.

– Spokojnie! – interweniował Rudao. – To jest tak głupie, że może się okazać skuteczne.

– W jakim sensie? – Rudnicki zmarszczył brwi.

– Wzbudzi w niej ciekawość. Kobiety są z natury ciekawe, żeby nie powiedzieć: ciekawskie. Bo teraz mówimy o ewentualnym odwecie, prawda? Myślę, że najpierw będzie chciała pana poznać, zanim zabije...

– Dzięki wielkie! Ważka, a co ty o tym myślisz? W końcu jesteś jedyną kobietą w tym pomieszczeniu?

– Bo ja wiem? Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by mnie zainteresował. Być może rzeczywiście, w podobnej sytuacji najpierw zasięgnęłabym informacji. Gdybym była w dobrym nastroju...

– Nie sądzę, żeby się mściła – odparł pewnie Guang. – Nie na tym etapie. Teoretycznie ma taką możliwość, ten mag, który zamaskował przemieszczanie się Hordy, jest naprawdę silny, ale nie sądzę, żeby tracił moc na takie drobiazgi. Raczej zachowa ją na decydujące starcie. Poza tym myślę, że to, co zrobiliśmy, mocno ich zaskoczyło, do tej pory żaden mag nie był w stanie zabijać na taką odległość.

– Mówiłeś, że tamten jest silniejszy od ciebie – zauważył alchemik.

– Bo jest. Ale to, co zrobiliśmy, nie zależało od poziomu siły, a raczej od mocy umysłu. A jego umysł, jaki by nie był silny, jest tylko umysłem... zwykłego maga – dokończył niezręcznie chłopak.

– Znaczy ty jesteś niezwykły? – spytał z ironią Meng Tian.

– Jest – uciął krótko Rudnicki. – I dość o tym.

Ważka spojrzała na Guanga z nowym zainteresowaniem, więc Rudnicki pogroził jej palcem. Prawdziwą tożsamość młodzieńca znał tylko sam alchemik i obaj generałowie.

– Może uściślijmy – zaproponował Rudao. – Ten mag nie zechce nas zaatakować czy nie może tego zrobić?

– Guang? – alchemik scedował pytanie na chłopaka.

– Myślę, że jedno i drugie.

– Tak czy owak, trzeba zachować czujność, dopóki nie dowiemy się, jakie stanowisko zajęła Księżyc – uznał Rudnicki. – No i czy nie umarła ze śmiechu, czytając przesłanie od naszego świeżo upieczzonego oficera – dodał kwaśno.

– Zachowamy – zapewnił Meng Tian. – Trzeba też będzie wzmocnić twoją ochronę.

– Zajmę się tym – obiecała Ważka.

– W takim razie kończymy naradę – zaproponował Rudao. – Musicie odpocząć, ten wasz wyczyn na pewno był wyczerpujący.

Wyglądało, jakby Guang chciał zaprotestować, ale w końcu tylko skinął głową.

– Tak, to było męczące – przyznał.

Kiedy obaj oficerowie się pożegnali, alchemik wskazał wyjście i Ważce. Dziewczyna z ociąganiem opuściła kwaterę Rudnickiego, widać było, że intensywnie zastanawia się, kim jest Guang.

– Uważaj, żeby się nie zdradzić – ostrzegł chłopaka Rudnicki.

– Może powinienem przybrać inne imię?

– Niejednemu psu Burek – mruknął alchemik. – To przysłowie z mojego świata – wyjaśnił, widząc minę młodzieńca.

– Żadnego szacunku dla następcy tronu – westchnął Guang z udanym ubolewaniem. – Może powinienem...



Rudnicki powstrzymał go stanowczym gestem i zagryzł wargi, aby nie jęczeć.

– Co ci jest? – zaniepokoił się młodzieniec.

– Zawołaj Wążkę, potrzebuję jeszcze trochę ziół przeciwbólowych.

– Natychmiast!

Mam nadzieję, że to tylko skutki ataku, pomyślał alchemik, ponownie pijąc gorzki wywar. Bo Guang może i jest nadludzko silny, ale jednocześnie zielony jak szczypiorek na wiosnę. Jeśli to odwet panienki Księżyc... Nie, doszedł do wniosku. To tylko zmęczenie po użyciu słowa mocy, Księżyc chciałaby, żebym wiedział, za co umieram.



Rudnicki przez chwilę wpatrywał się ponuro w niewielką beczułkę, po czym uderzył płaską dłonią, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Co prawda udało mu się zamrozić kilka sopli, ale większość wody wsiąkała w ziemię, więc alchemik ze złością kopnął naczynie. Po chwili spróbował ponownie, tym razem udało mu się wysłać sople w stronę tarczy strzelniczej, jeden z nich nawet przedziurawił kilkucentymetrowej grubości deskę.

– Imponujące! – pochwalił Guang. – Muszę kiedyś sam spróbować.

– Spróbować? Czego?

– No, zamrażania wody i wykorzystywania jej jako broni. Widzę tu spory potencjał. Nauczysz mnie?

– Spróbuję, jeśli chcesz, ale to wszystko bzdury – odparł niechętnie Rudnicki. – Co w tym imponującego? Podobno mistrzowie lodowego gongfu byli w stanie zabijać całe oddziały, a mnie po kilkutygodniowym morderczym

treningu udało się zamrozić kilka sopli. Może gdybym miał więcej czasu?

– Przecież masz.

– Żartujesz sobie? Za tydzień przekroczymy granicę Chmurnej Północy, a i teraz trudno mi znaleźć wolną godzinę, bo co rusz ktoś czegoś ode mnie chce. Rudao i Meng Tian to kompetentni oficerowie, ludzie, którzy zęby zjedli na dowodzeniu armiami, a teraz przychodzą do mnie z każdą pierdołą i żądają podejmowania decyzji. Do tego ta dziecinna radość w ich oczach, kiedy widzą, jak się pocę nad odpowiedzią... Czasami się zastanawiam, czy to naprawdę Księżyca jest moim najgorszym wrogiem!

Guang odchrząknął, zasłaniając usta dłonią.

– Oni cię szkolą – powiedział, starając się opanować śmiech.

– Jasne!

– Wracając do treningu, masz cały czas wszechświata.

– Co takiego?

– Zaprosiłem cię do swojego umysłu – przypomniał mu chłopak. – Szczerze mówiąc, poczułem się trochę urażony faktem, że z tego nie korzystasz. Przez jakiś czas nawet myślałem, że się na mnie obraziłeś.

– Więc mówisz, że mogę...

– W każdej chwili. Nie jestem pewien, czy kiedy opuścisz mój umysł, zachowasz wypracowaną w nim moc, ale umiejętności nigdzie nie znikną. Co więcej, w moim świecie masz przywilej domownika, a więc jego materia będzie ci posłuszna bardziej niż tutaj.

– Mogę teraz spróbować?

– Pewnie.

– Jak mam to zrobić?

– Przywołaj mnie w umyśle, tak jak to robisz, kiedy chcesz ze mną porozmawiać, tylko że zamiast gadać,

wyobraź sobie drzwi i przejdź przez nie.

Rudnicki usiadł na ziemi, nie przejmując się faktem, że trawa jest mokra, i przymknął oczy. Mimo tego, co powiedział Guang, długo nie mógł się skoncentrować na tyle, żeby zwizualizować przejście do świata młodzieńca, jednak w końcu jego myśli jakimś sposobem wróciły do starego świata, Warszawy i apteki na Lipowej. Alchemik czuł pod stopami nierówny bruk, na plecach promienie letniego słońca, gdzieś z oddali dochodziło nawoływanie ulicznego sprzedawcy, trzasnęły drzwi apteki i w nozdrza Rudnickiego uderzył zapach kamfory i ziół. Alchemik energicznym gestem pociągnął za klamkę i nagle znalazł się w pomieszczeniu, w którym kiedyś spotkał Guanga. Wzdrygnął się, widząc regał z czaszkami.

– Wreszcie ci się udało! – powiedział cierpko chłopak. – Już myślałem, że będę musiał cię tu sam przeciągnąć.

– Trochę mały ten pokój.

– To go powiększ albo stwórz nowy. Tu i teraz możesz sam kształtować rzeczywistość.

Rudnicki skoncentrował się na wyobrażeniu sali treningowej, po chwili udało mu się nawet stworzyć beczkę z wodą i tarczę strzelniczą. Tak jak obiecywał Guang, dużo łatwiej przyszło mu zamrażanie rozbryzgów wody i manewrowanie soplami lodu. Po wielu godzinach ćwiczeń mógł nawet kształtować lód. Po namyśle nadał soplom formę niewielkich mieczy.

– Świetnie ci idzie! – pogratulował mu młodzieniec. – Muszę i ja spróbować. Gdyby udało mi się w ten sposób przyspieszyć rozwój, mógłbym tego maga Białych...

– *Nie! Ani się waż!*

Chrapliwy, nabrzmiały gniewem głos mistrza Wu nie zachęcał do dyskusji.

– *Obaj możecie trenować konkretne umiejętności, ale nie wolno wam gromadzić mocy w świecie Guanga, czy to jasne?*

– Tak, mistrzu – odparł pokornie Rudnicki.

– *Guang?*

Tym razem w głosie Wu zabrzmiała wyraźna groźba, poparta łamiącym wolę tonem, i chłopak przytaknął z ociąganiem.

Rudnicki otarł pot z czoła, po czym wyszedł z umysłu Guanga.

– Naprawdę musimy go słuchać? – spytał naburmuszony młodzieniec. – On rzeczywiście musi być silny, inaczej nie dostałby się bez zaproszenia do mojego wszechświata, ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwał mu obcesowo alchemik.

– Chyba że chcesz narobić kłopotów i mnie, i sobie. – Więc?

– No dobrze – mruknął Guang. – Będę grzeczny...



Rudnicki w otoczeniu kilkudziesięciu gwardzistów podjechał do rzeki i sprawdził przygotowania do przeprawy, ale wyglądało na to, że saperzy wykonali, co do nich należało: dwa solidne mosty złożone z połączonych łańcuchami pontonów umożliwiały szybki przemarsz wojsk, a nieopodal szykowano kolejny, tym razem dla taborowych wozów.

– Wszystko gotowe – zameldował muskularny, krępy sierżant.

– Zwiad?

– Sprawdzili teren na dziesięć kilometrów wokół, po drugiej stronie rzeki mamy cztery bataliony ciężkiej piechoty i kuszników, aby osłonić przeprawę. Za pół godziny przierzucimy tam kilka tysięcy chłopów.

– Zaczynajcie – przyzwolił alchemik.

Sierżant wyjął z zanadru kolorowe chorągiewki i po chwili oba mosty ugięły się pod ciężarem maszerujących żołnierzy.

– Nie używamy sygnałów dźwiękowych, żeby nie przyciągnąć uwagi Białych – wyjaśnił, widząc uniesione brwi Rudnickiego. – Teoretycznie oddziały wroga powinny znajdować się jakieś trzysta kilometrów na północny zachód stąd, ale ta ostatnia akcja Hordy sprawiła, że generał Rudao zalecił wyjątkową ostrożność.

– I słusznie – mruknął alchemik. – Moment jest nieco delikatny.

– O, Księżę! – ucieszył się sierżant.

Rudnicki obejrzał się i oblał go zimny pot, od strony pobliskiego lasu nadjeżdżał Guang.

– Księżę?

– Taką mu nadali ksywkę – wyjaśnił podoficer. – Bo jest w wieku następcy tronu i także ma na imię Guang.

– Rozumiem.

– Generale – dziarsko przywitał się chłopak.

W obecności żołnierzy młodzieniec starał się zachowywać jak każdy inny oficer.

– Rozejrzyj się! – polecił mu szorstko alchemik.

– Tak jest! Nikogo podejrzanego tu nie ma – poinformował chłopak po chwili. – Wyczuwam tylko naszych.

– W porządku.

– Dobrze mieć was w pobliżu – wyznał sierżant z uśmiechem. – Nie boimy się Białych, ale ci ich magowie...

Rudnicki skwitował uwagę roztargnionym mruknięciem, żołnierze Rudao nie wyróżniali się specjalną służbistością, struktura oddziału podobna była bardziej do tongu niż regularnej armii, jednak ku zdziwieniu alchemika ta

koncepcja zdumiewająco dobrze sprawdzała się w warunkach bojowych.

– Tu niedaleko powinno być miasteczko? – zapytał.

– Tak, dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, siedziba prefektury – potwierdził sierżant.

– Guang, weźmiesz dwa bataliony i wyznaczysz teren na obóz – polecił Rudnicki. – Dobrze by było, gdybyś wydebił trochę zapasów od miejscowych. Mamy co prawda żarcia na dobry tydzień, ale musimy oszczędzać.

– Zajmę się tym – obiecał młodzieniec, spinając konia.

Rudnicki oszczędnym gestem skierował w ślad za chłopakiem kilkunastu gwardzistów.

– A to po co? – zdziwił się sierżant. – Nie wystarczą nasi ludzie?

– Gdzie są teraz magowie? – odpowiedział pytaniem alchemik.

– Na tyłach, rzecz jasna.

– No właśnie. A Guang jest wart tyle, co wszyscy oni razem wzięci. Dlatego też trzeba go szczególnie chronić.

– Rozumiem. Oho, leci – powiedział sierżant.

– Kto leci?

– Co – doprecyzował podoficer, wskazując w górę. – Gołąb pocztowy.

Tymczasem kilku żołnierzy zakrzętnęło się wokół dziwnej konstrukcji przypominającej miniaturowy pałac na kołach.

– Co to takiego?

– Magiczny gołębnik – wyjaśnił rzeczowo sierżant. – W czasie kampanii wojennej armia się przemieszcza, a normalne gołębie wracają tylko do stałego gołębnika. Te mają specjalne amulety i dlatego wyczuwają miejsce, do którego mają przylecieć, nawet jeśli zmienia ono położenie. Zaraz dowiemy się, o co chodzi.

Jeden z żołnierzy schwycił ptaka, podsypał mu ziarna, odczepił przytwierdzoną do jednej z nóg tulejkę z meldunkiem, po czym przyniósł ją sierżantowi.

– Zwiadowcy meldują, że spotkali jakichś ludzi wysłanych przez Szro... księżną Chonghua. Podobno mają panu coś przekazać.

– Ilu ich jest?

– Dwudziestu pięciu.

– Jest wśród nich jakiś mag?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Tak. Zwiadowcy mają ze sobą amulety wykrywające czary. Te na nic się nie zdadzą w konfrontacji z magami, ale magię wykrywają na sto procent, niezależnie od tego, czy ktoś sam dysponuje takimi mocami, czy tylko został obłożony szarmem.

– Gdzie teraz są ci wysłannicy Szron?

– Niedaleko, nasi ich eskortują. Za jakieś pół godziny tu będą. Oczywiście, zwiadowcy odebrali im broń.

– No dobrze – zdecydował alchemik. – W takim razie poczekamy.

– Oni naprawdę mogą być od księżnej? – spytał sierżant. – Bo z logicznego punktu widzenia kontakt z nami na tym etapie nie ma żadnego sensu: front jest stabilny, a jakby co, są gołębie pocztowe i posterunki wojskowe dysponujące telegrafem optycznym, wreszcie magia.

Rudnicki westchnął ciężko, było oczywiste, że sierżant, korzystając z okazji, chce zaspokoić własną ciekawość – o zażyłości alchemika z księżną krążyły niestworzone plotki – z drugiej strony Rudao nalegał, żeby odpowiadać na pytania żołnierzy. Dowódca Armii Żelaznej Modliszki uważał, że żołnierze będą bardziej zmotywowani, wiedząc, dlaczego wykonują takie, a nie inne rozkazy.

– Powiedzmy, że Szron może mieć ochotę pozdrowić mnie poza protokołem – odparł sucho. – Kontynuujcie przeprawę, ja poczekam na tych wysłanników pod lasem, żeby nie przeszkadzać. Kiedy będą przekraczać rzekę, skontrolujcie ich jeszcze raz.

– Tak jest.

– Myślisz, że się zabawimy, mistrzu? – spytała Perła, trącając Rudnickiego strzemieniem.

Dziś obie młode tygrysy wchodziły w skład jego eskorty.

– A co? Zgłodniałaś?

– Może troszkę.

Rudnicki pogroził jej pięścią i skierował się w stronę lasu. Mam nadzieję, że to naprawdę wysłannicy Szron, a nie kolejna akcja Białych, pomyślał. Chyba się stęskniłem...



Wysłannicy Szron nie wyglądali na żołnierzy, bardziej na cywilów, którzy przeszli pospiesznie i nie ma co ukrywać, powierzchowne przeszkolenie. Sposób, w jaki jeździli, niepewne ruchy oraz wyraźnie wyczuwalny niepokój świadczyły, że nie najlepiej czują się w otoczeniu wojskowych albo czegoś się boją. Czegoś lub kogoś, pomyślał alchemik. Kto wie jakie plotki na mój temat do nich doszły?

– Mistrzu.

Przywódca grupy skłonił się nisko przed Rudnickim i wyciągnął niewielki szklany flakon.

– Co to jest?

– Księżna Chonghua nie wydała mi żadnych dodatkowych instrukcji, kazała jedynie przekazać ci ten... przedmiot.

– Zbadaliśmy to – powiedział jeden ze zwiadowców. – Tam nie ma żadnej magii ani gazu w butelce. Tylko róża.



Alchemik wyciągnął korek, poczuł aromat kwiatu, perfum i zapach kobiety. Kuszący, zmysłowy, tyle że to nie był zapach Szron. W tym samym momencie kurier zamachnął się na Rudnickiego, a jego towarzysze otoczyli alchemika.

– Zdrada! To Biali! – krzyknęła Ważka, uderzając jednego z wysłanników otwartą dłonią w pierś.

Mężczyzna wzdrygnął się jak porażony prądem i padł na ziemię.

Rudnicki wyszarpnął miecz i jednym ukośnym cięciem rozrąbał napastnika od lewego barku do prawego biodra. Wokół rozległy się krzyki przemieszane z odgłosami kling tnących niechronione pancerzami ciała. O dziwo, krzyczeli gwardziści, kilku wiło się w drgawkach. Alchemik na chwilę stracił wzrok. Kiedy otarł twarz z krwi wroga, poczuł ból, jakby ktoś przypalał mu twarz pochodnią.

– To krew! – wrzasnął. – Ich krew jest zatruta! Schowajcie miecze!

W kilkanaście sekund było po walce: gwardziści zabili wszystkich napastników, nie używając ostrej broni.

– Przynieście wody! – polecił Rudnicki. – Wszyscy, którzy mieli kontakt z ich krwią, muszą ją natychmiast zmyć!

– Proszę, mistrzu!

Ważka odkręciła manierkę, więc alchemik nadstawił dłonie i obmył twarz. Pomogło, ból przeszedł w pieczenie.

– Jak wyglądam? – spytał niespokojnie.

– Masz zaczerwienioną twarz, to wszystko. Niestety, kilku naszych nie miało takiego szczęścia.

– A ty?

– Nic mi nie jest, nie zapaprałam się ich krwią.

– Pieprzona Księżyc! – wymamrotał Rudnicki. – Ta baba najwyraźniej nie może się uspokoić! Ilu naszych zginęło? Są ranni?

– Pięciu – odparła Ważka. – Z rannych tylko ty...

Alchemik zaklął ponownie, patrząc na zwłoki gwardzistów przemieszane z ciałami Białych.

– Jadą – powiedziała Ważka.

– Kto?

– Nasi generałowie. Widać usłyszeli o zamachu na ciebie.

Rudnicki uniósł głowę: do lasu zbliżał się oddział kawalerii, jadący w centrum grupy chorąży dzierżył sztandar z wizerunkiem żelaznej modliszki.

– Co tu się stało? – spytał po chwili zadyszany Meng Tian.

Alchemik gestem scedował odpowiedź na Ważkę i dziewczyna pokrótce przedstawiła przebieg zajścia.

– To trucizna stu skorpionów – orzekł Rudao. – Jedna z najskuteczniejszych. Dziw, że pan przeżył, bo na to nie ma odtrutki, aktywatorem jest tu krew *theokatáratos*, a na nią żaden człowiek nie jest odporny.

– Ja jestem – odburknął alchemik. – Rzecz jasna, do pewnego stopnia. Ona chciała mnie zabić?

– Można? – spytał Rudao, wskazując porzuconą w trawie butelkę.

– Proszę bardzo, to akurat nie jest niebezpieczne.

Generał obwąchał ostrożnie flaszkę i westchnął frasobliwie.

– Co pan o tym sądzi?

– Nie mam pojęcia – odparł z widoczną irytacją Rudao. – Z jednej strony wysyła ludzi, żeby pana zabili, a jak powiedziałem, ta trucizna uchodzi za śmiertelną, z drugiej strony przysyła kwiat z zapachem, proszę mi wybaczyć bezpośredniość, podnieczonej suczki...

Wyraźnie zainteresowany Meng Tian powąchał różę.

– Jesteście pewni, że to jej zapach?

– Jesteśmy – odparł Rudnicki. – To raczej nie ulega wątpliwości.

Ważka odebrała oficerowi flaszkę i po chwili odsunęła ze wstrętem.

– Obrzydlistwo! – zawyrokowała.

– To nie ciebie miało zainteresować – stwierdził Rudao z cieniem uśmiechu na ustach. – Byłoby dziwne, gdyby podobał ci się zapach innej kobiety. Myślę, że zrobił pan na niej wrażenie – dodał, zwracając się do alchemika.

– Więc chciała mnie w końcu zabić czy...?

– To kobieta – wzruszył ramionami Rudao. – One zawsze chcą mieć ciasteczko i zjeść ciasteczko, więc nie wykluczam, że jedno i drugie. Wreszcie mogła być pod presją, Księżyc dowodzi armią, ale też musi słuchać rozkazów, a po sukcesach w prowincji Wielkiej Rzeki jest pan dla Białych solą w oku. Gdyby się udało pana otruć, byłaby zadowolona. Jeśliby pan przeżył, ale zainteresował się nią jako kobietą, pewnie też byłaby usatysfakcjonowana.

– Mężczyźni! – warknęła Ważka. – Nawet nie będę pytać, czy ci się podobało, mistrzu.

– Ja tylko...

Dziewczyna spięła konia ostrogami i odjechała galopem. Rudnicki spojrział na oficerów, po czym wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

– Mogę zabrać tę różę? – spytał Meng Tian. – Myślę, że powinniśmy ją zatrzymać i dać do zbadania magom – dodał niewinnym tonem.

– Bierz – machnął ręką Rudnicki.

– Każę ich pochować – powiedział Rudao, widząc, jak wzrok alchemika błądzi po poboju.

– Dobrze.

Rudnicki odwrócił głowę, słysząc tętent konia.

– Ważka przygotowała ci już kwaterę – powiedziała Perła.  
– Możemy ruszać.

Alchemik pożegnał skinieniem oficerów i podążył w ślad za dziewczyną.

– Nic ci się nie stało? – spytał przyciszonym głosem. – A co z Mei?

– Wszystko w porządku – zapewniła. – Na Mei bryznęło trochę krwi, ale tylko na zbroję.

– Tak czy owak, muszę ją zbadać. Lepiej na zimne dmuchać, nie chcę stracić którejś z was.

– To milutkie, że się o nas troszczysz, ale jesteśmy odporne na większość trucizn.

– Lepiej tego nie testować w praktyce – mruknął alchemik. – Jedźmy!

Pojechali.



Rudnicki zablokował podstępny cios w pachwinę, po czym skoncentrował się na emanacji chłodu; co prawda przeciwnicy wokół niego zamarli jedynie na moment, jednak kiedy ponownie zaatakowali, ich ruchy były powolne i nieskoordynowane. Alchemik brutalnym cięciem dwuręcznego miecza zdekapitował najbliższego wroga, w mgnieniu oka zamroził krew tryskającą z padającego kadłuba i nadawszy bryzgom kształt kilkucentymetrowej wielkości mieczy, wysłał setkę sopli w otaczający go tłum. Krwawe ostrza przebijały tarcze i zbroje, masakrowały ciała napastników, wyrzucając w powietrze kolejne krople krwi.

Niespodziewanie rozległ się mechaniczny szcęk kusz i choć Rudnicki zdołał przywołać czarną tarczę, chroniąc się przed większością pocisków, jeden z nich trafił go w pierś, inny przyszpilił stopę do ziemi.

– Koniec, przegrałeś! – odezwał się Guang. – Nawet nie próbuj! – ostrzegł, widząc, że alchemik usiłuje skoncentrować chi. – Dostałeś w płuco magicznym bełtem, na trzecim stopniu. Nie żyjesz. Ale było całkiem niezłe, zabiłeś ponad trzystu wrogów.

Rudnicki westchnął i opadł na stworzony przez młodzieńca fotel; walka treningowa nawet w świecie Guanga wymagała wysiłku.

– Gdyby nie ci kusznicy... – powiedział. – A trzeci stopień to przesada, nie marnowałiby na mnie magicznych bełtów.

– Akurat! Zachowujesz się, jakbyś nadal był nikomu nieznanym gwardzistą księcia Nina. Założę się, że Księżyc poświęciłaby połowę swojej armii, żeby cię zabić. Herbaty?

– Poproszę.

Po chwili Guang podał mu czarkę z aromatycznym napojem i sam usiadł obok na naprędcie stworzonym taborecie.

– To był świetny pomysł – pochwalił Rudnicki. – Nie wiem, ile miesięcy spędziłem na treningach w twoim świecie, ale moje umiejętności wyraźnie wzrosły.

– Gdybyś jeszcze spróbował zwiększyć poziom mocy...

– Boję się – odparł szczerze alchemik. – Mistrz Wu nie rzuca słów na wiatr. Musiał mieć ważny powód, żeby mi tego zabronić.

– Jesteś pewien, że cię nie oszukuje? Albo nie jest zazdrosny? Wiesz, że tutaj żaden mistrz nigdy nie przekazuje całej swojej wiedzy uczniom, chyba że któryś z nich jest jego synem? I możesz mówić swobodnie, on nas nie usłyszy, nie tym razem. Zabezpieczyłem się. Jaki by nie był potężny, jest tylko człowiekiem, a ja jestem... kim jestem.

– Nie – odparł po namyśle alchemik. – Nie sądzę. Uratował mi życie, choć nie prosiłem go o pomoc, i dał magiczną protezę. Za darmo. A szkoła Białej Kozy nigdy nie

rezygnuje z robienia interesów, na przykład za swój miecz zapłaciłem fortunę.

– I ile coś takiego kosztuje? – Guang ruchem głowy wskazał lewą rękę Rudnickiego.

– Tyle co średniej wielkości księstwo – odparł sucho alchemik. – Przeciętną protezę tej klasy przygotowuje kilka pokoleń mistrzów w ciągu dwustu, czasem trzystu lat.

– To dlaczego wcześniej musiałeś płacić za broń? Czyżby Wu zmienił zdanie?

– Coś w tym rodzaju.

– Ale dlaczego?

Rudnicki skrzywił się niechętnie, po czym łyknął herbaty, usiłując zyskać na czasie.

– Nie ufasz mi? – naciskał chłopak.

– Nie w tym rzecz.

– To w czym?

– Mężczyźni niechętnie rozmawiają o takich sprawach, rozumiesz: uczucia, emocje i tym podobne bzdury.

– Teraz mnie zaciekawileś.

Alchemik stworzył sporych rozmiarów kapeć i cisnął nim w młodzieńca.

– Taki numer udaje się tylko raz – oznajmił beztrąsko Guang, likwidując pocisk lekkim dmuchnięciem. – Więc?

– Lodowe gongfu nie jest cudowną bronią, ale takie zdolności zdarzają się dość rzadko – powiedział Rudnicki. – Ja, zanim złożyłem ofiarę Studni Dusz, nie mogłem nawet o tym pomyśleć.

– Rozumiem – odparł niecierpliwie Guang. – I co z tego?

– Podobno syn mistrza Wu miał takie uzdolnienia. Dawno temu. Bardzo dawno temu. Nie przeżył Rozłamu – odpowiedział na niezadane pytanie alchemik. – Ważka twierdzi, że przypominam go mistrzowi. To wszystko, co wiem. – Wzruszył ramionami.

– Więc...

– To tylko przypuszczenia Ważki. Jednak jeśli dziewczyna ma rację, Wu prędzej umrze, niż zrobi mi krzywdę. Dlatego mu wierzę.

– Ale on wrzeszczy na ciebie! Pamiętasz, jak cię zrugał? I przecież nie raz.

Rudnicki westchnął rozpaczliwie i spojrzał w niebo.

– Dlaczego ja? – spytał.

– Co ty?

– Dlaczego muszę tłumaczyć świat zbuntowanemu nastolatкови?

– Zbuntowanemu?

– No dobrze: marudnemu.

– Też coś! Nie myśl, że się wywiniesz od odpowiedzi!

– Mężczyźni rzadko mówią o swoich uczuciach tak otwarcie jak kobiety – wyjaśnił z lekkim zażenowaniem alchemik. – Ktoś, kto na ciebie wrzeszczy, niekoniecznie cię nie lubi, podobnie nie każdy, kto cię komplementuje, naprawdę cię ceni.

– Czyli ludzie nieustannie udają? – skonstatował chłopak z niesmakiem.

– Nie zawsze, ale rzeczywiście bywa – przyznał Rudnicki.

– Konkludując: patrz bardziej na to, co ktoś robi, niż na to, co mówi.

– Znaczy jak ktoś mówi, że jestem matołkiem, chce mi dać do zrozumienia, że mnie lubi?

– Owszem, choć niewykluczone, że uważa cię po prostu za matołka – odparł kpiąco alchemik. – Ja...

Niespodziewanie Rudnicki upadł, głowa poleciała mu do tyłu, jakby ktoś go uderzył.

Alchemik spojrzał ostro na chłopaka, ale Guang wyglądał na równie zaskoczonego co Rudnicki.

– To Ważka – powiedział młodzieniec. – Ona cię szarpie, musisz zakończyć trans. Chyba coś się stało. Zaraz będę w twojej kwaterze!

Rudnicki przymknął oczy i przeszedł przez drzwi apteki, po chwili wyszedł ze świata Guanga.

– Mistrzu! Ocknij się, mistrzu!

– Co się stało?

– Biali atakują! Zbieraj się! Zaraz tu będą generałowie.

Alchemik wstał i rozłożył ręce na boki, a Ważka natychmiast zaczęła ubierać go w zbroję.

– Jakim cudem Biali obeszli siły Szron? Co innego kilka tysięcy żołnierzy, a co innego cała armia! Bo chodzi o armię, prawda?

– Prawda, ale naprawdę nic nie wiem.

Alchemik podziękował skinieniem głowy za pomoc przy ubieraniu i sięgnął po miecz.

– Są już – powiedziała Ważka, wyglądając przez okno.

Kiedy Rudnicki wyszedł z budynku, jeden z gwardzistów natychmiast podał mu konia.

– Jedźmy! – ponaglił go Rudao. – Wszystko opowiem w drodze.

Ruszyli kłusem, w ślad za nimi podążyli gwardziści alchemika i żołnierze ochraniający sztab, wśród nich księżę Guang.

– To bardziej wygląda na ucieczkę niż na odwrót – zauważył niespokojnie Rudnicki.

– Bo spierdalamy! – przyznał szorstko Meng Tian. – Białym jakoś udało się wymanewrować księżnę Chonghua i mamy teraz na karku czterysta tysięcy chłopów.

– Ilu z nich to Horda?

– Trudno powiedzieć, ale nie sądzę, żeby więcej niż kilkadziesiąt tysięcy, reszta to zawodowcy.

– Dlaczego się cofamy?



– Bo Biali mają dwukrotną przewagę liczebną – odparł Rudao. – Rozbiliśmy obóz w widłach rzeki, więc nie mogą zaatakować z flanki, ale musimy skrócić front, bo inaczej przebiją się przez naszą obronę.

– A jeśli zepchną nas do rzeki?

– To wszyscy zginieemy! – odburknął Rudao. – Ale to mało prawdopodobne, dwukrotna przewaga to za mało, żeby pokonać Żelazną Modliszkę. Chyba że Księżyc ma jeszcze coś w zanadrzu.

– A jak pan myśli?

– Całkiem możliwe, w końcu to wojna. Nie ma co ukrywać, że panienska Księżyc zrobiła nas na szaro. Te wszystkie manewry z atakiem Hordy, próbą otrucia czy różą miały na celu odwrócić naszą uwagę, nic więcej. Ona nie ma zamiaru nikogo uwodzić czy truć, chce nas po prostu pokonać na polu bitwy.

Rudnicki splunął ze złością i gestem przywołał Liu He.

– Tak, bracie?

– Roześlij natychmiast wieści do wszystkich oddziałów gildii, żeby rozpoczęły ataki dywersyjne. Niech uderzą w linie zaopatrzeniowe Białych, to ich słaby punkt.

– Co z wojskami?

– Nie ma sensu atakować Hordy – wtrącił Rudao. – Ale pomogłoby nam, gdyby pańscy ludzie opóźnili przemarsz Białych. Niech organizują zasadzki na drogach, nie wdając się w walkę z głównymi siłami.

– Słyszałaś?

– Tak, bracie, natychmiast wyślę gońców.

– Czyli mamy jakieś sto osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy plus dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy Wędrowców – podsumował Rudao.

– Jak oceniasz... jak pan...

– Bez ceremonii – przerwał alchemikowi Rudao. – Szkoda czasu. Martwi mnie ta sytuacja. Księżyc to zimna, pragmatyczna dowódczyni, ona doskonale wie, że jeśli skrócimy front, a właśnie to robimy, nie rozerwie naszej obrony. Nie w sytuacji, kiedy tyły i flanki zabezpieczają nam rzeki. A jednak atakuje...

– Myślisz, że ma jeszcze jakieś rezerwy?

– Wątpię. Gdyby nie zostawiła połowy armii, żeby szachować księżną Chonghua, zostałyby wzięta w dwa ognie. Bardziej obawiam się działań niekonwencjonalnych.

– Horda?

– Nie, myślę o tym magu. Bo Szron nigdy nie dałaby się tak zmylić, gdyby nie magia. Potężna magia.

Rudnicki zaklął i ponaglił konia.

– Może przyspieszymy? – zaproponował.

Przyspieszyli.



Rudnicki spojrział przez lunetę, ale nie zobaczył niczego nadzwyczajnego, Armia Żelaznej Modliszki zajęła pozycje wzdłuż niskiego pasma wzgórz, uzyskując tym samym przewagę taktyczną nad oddziałami Białych, te zaś ustawiły się wzdłuż całej szerokości liczącego kilka kilometrów frontu.

– Dużo skurwieli – odezwał się, przygryzając wargi, Meng Tian.

– Kiedy bitwa się skończy, będzie ich zdecydowanie mniej – odparł nieobecny tonem Rudao.

– Horda! – wykrzyknął Guang, wskazując przed siebie.

Oddziały ciężkiej piechoty Białych rozstąpiły się, manewrując jak na musztrze, i do ataku runęły dziesiątki tysięcy oberwańców w czerwonych turbanach.

– To tylko rozpoznanie bojem – powiedział Rudao. – Księżyc chce sprawdzić, czy nie przygotowaliśmy dla niej jakichś niespodzianek.

– A przygotowaliśmy? – spytał niespokojnie alchemik.

Poprzedniego dnia Rudao zaproponował Rudnickiemu, jak sam to określił, „podział odpowiedzialności”. Generał miał się zająć dowodzeniem armią, a alchemik z Guangiem kwestiami związanymi z magią, co Rudnicki przyjął z nieukrywaną ulgą. Alchemik zdawał sobie sprawę, że dowodzenie tak dużą jednostką znacząco przekracza jego możliwości.

– Przygotowaliśmy – potwierdził Rudao z drapieżnym uśmiechem.

Oddziały Żelaznej Modliszki wykonały kilka błyskawicznych manewrów i na pierwszej linii pojawiły się niewielkie katapulty.

Rudnicki odchrząknął niepewnie, tego typu maszyny mogły wyrzucać pociski o wadze nie większej niż kilka kilogramów na odległość kilkuset metrów, a znając zaciętość, z jaką walczyła Horda, alchemik nie spodziewał się wielkich sukcesów. Tymczasem pierwsze szeregi obdartusów w turbanach dotarły na odległość strzału z kuszy, lecz oddziały kuszników stały jak wmurowane, nie podejmując żadnych działań.

Zdenerwowany Rudnicki sięgnął po miecz, ale w tym samym momencie tysiące napastników zapadły się pod ziemię, a na przedpolu rozległo się przeraźliwe wycie.

– Pas wilczych dołów – odezwał się rzeczowym tonem Meng Tian. – Trzy metry głębokości, na dnie zaostrome pale, wszystkie, rzecz jasna, zamaskowane. Regularne wojsko nigdy by się na to nie nabrało, ale Horda... – Wzruszył wymownie ramionami.

– Co teraz?

Zamiast odpowiedzieć, oficer uniósł czerwoną chorągiewkę i ramiona katapult wystrzeliły do przodu, wyrzucając niewielkie kapsuły. Po chwili skotłowane szeregi Czerwonych Turbanów zakryła mgła.

– A to co?

– Trochę roślinnych trucizn wymieszanych z niegaszonym wapnem. Jeśli zawartość tych pocisków dostanie się do oczu, powoduje natychmiastową ślepotę, poza tym drażni skórę i drogi oddechowe.

Tymczasem rozległ się basowy łoskot wojennych bębnow i na Horde runęła lawina bełtów. Po chwili na przedpolu nie było ani jednego żywego turbaniarza, jedynie z wilczych dołów nadal dochodziły jęki.

– To potworne! – wymamrotał Guang.

– My się tylko bronimy – odparł poważnie Rudao. – Wiesz, co się stanie, jeśli Biali nas pokonają. Wszyscy w promieniu stu kilometrów modlą się teraz na kolanach o nasze zwycięstwo.

– Wiem. Po prostu...

Rudao podał chłopakowi własną manierkę.

– Wypij – powiedział łagodnie. – To wino z lekkim środkiem uspokajającym. Kiedy zaczynałem karierę wojskową, potrzebowałem tego niemal codziennie.

– A teraz? – spytał Guang.

– Teraz już rzadko.

– Zaczęło się! – krzyknął Meng Tian.

Oddziały Białych ruszyły naprzód, pchając przed sobą dziwne konstrukcje na kółkach.

– Co to jest?!

– Osłony – odparł Rudao. – Wzmocnione magią. Tego nie przebiją kusze nawet na trzecim stopniu. Znaczą przebijają, ale nie jednym strzałem. Dzięki temu Księżyc zmęczy

naszych kuszników, a przy podejściu zginie dużo mniej Białych.

– Mogę je zniszczyć! – zaproponował Guang.

– Nie! To dopiero początek bitwy, zachowajmy twoje możliwości na później.

Ciężkozbrojna piechota Białych doszła do linii wilczych dołów i żołnierze sforsowali je sprawnie, używając kładek desantowych, jednak musieli zostawić magiczne osłony, więc kusznicy Żelaznej Modliszki zebrali obfite żniwo, a przedpole zaległy setki ciał w czarnych pancerzach. Chwilę później powietrze rozdarł krzyk atakujących i szczęk broni, kiedy jednostki wrogich armii starły się w walce wręcz.

Rudnicki wzdrygnął się, słysząc ponurą melodię bębnów. Tym razem rozpoznał sygnał. Utrzymać linię! Utrzymać linię!

Przez kolejną godzinę alchemik obserwował precyzyjne manewry Armii Żelaznej Modliszki i podziwiał dowodzącego z chłodnym profesjonalizmem Rudao. Żołnierze walczyli, żołnierze umierali, na tyły wynoszono rannych, jednak armia Wielkiej Han nie cofnęła się nawet o krok. W końcu jednak bębny zmieniły rytm i Meng Tian wyruszył do walki na czele odwodów.

– Żuki! – wycedził z pasją Rudao. – Pierdolone Żuki!

– Co się stało? – spytał szybko Rudnicki.

– Nie słyszysz? Biali przerwali front! Jeśli ich nie powstrzymamy, zwiną nam lewe skrzydło i zmuszą do wycofania, a cofać się nie mamy gdzie!

I znowu bębny zmieniły melodię. „Posiłki dotarły, powstrzymujemy wroga”.

Rudao wsłuchał się w odgłosy bitwy niczym kompozytor w ulubioną uwerturę i pokręcił głową.

– Meng Tian nie da im rady – powiedział z budzącym grozę spokojem. – Wśród Żuków muszą być magowie albo mistrzowie run. Przejmij dowodzenie, a ja...

– W żadnym wypadku! – przerwał mu Rudnicki. – Ja pójdę!

Rudao zagryzł wargi, wyglądało, że chce zaprotestować, ale w końcu skinął głową.

– Idź – powiedział. – Jeśli ich nie powstrzymamy, i tak tu wszyscy zginiemy, bo Biali nie będą brać jeńców.

Rudnicki uderzył konia ostrogami, w ślad za nim pogalopowali gwardziści i tygrysice. Zdążył w ostatnim momencie, Biali niemal zmiażdżyli lewe skrzydło, rozpaczliwy opór stawiały jeszcze jednostki ciężkozbrojnej piechoty, żołnierze z garnizonów poszli już w rozsypkę, a odwody pod dowództwem Meng Tiana walczyły w okrążeniu.

– Tam są magowie – powiedział Guang. – Wyczuwam ich.

– Możesz coś z nimi zrobić?

– Nie za bardzo, wiem, że tam są, ale nie umiem ich wyłuskać z tego tłumu. Mogę jednak utrudnić życie Białym, kilka dni temu wymyśliłem pewną sztuczkę.

– Zrób to! Ważka! Weź kilka szwadronów gwardii i spróbuj zatrzymać uciekinierów!

– Tak, mistrzu!

– Ryba, podnieś sztandar dowódcy i daj sygnał „wszyscy do mnie”!

Rudnicki zsiadł z konia i wyciągnął miecz, gwardziści utworzyli wokół niego ochronny czworobok. Po chwili zahuczał bęben i podniesiono proporzec dowódcy. Alchemik zdawał sobie sprawę, że to zagranie *va banque*: jeśli Biali go zabiją, a było pewne, że spróbują, historia Armii Żelaznej Modliszki skończy się tu i teraz.

Widząc, co się dzieje, Biali wstrzymali natarcie i przegrupowali oddziały, tworząc jednolitą linię, a przetrzebione jednostki Wielkiej Han skupiły się wokół sztandaru, zdołał wycofać się nawet Meng Tian.

– Musimy ich pobić – wysapał generał. – To Żuki i oddziały szturmowe. Jeśli ich pokonamy, przełamiemy front.

– A to jakim cudem? Na oko mają pięciokrotną przewagę liczebną.

– Musimy! Jeśli nie damy rady...

– Mistrzu!

Rudnicki odwrócił się, to wracała Ważka. Dziewczyna prowadziła około dwóch tysięcy mniej czy bardziej poszkodowanych w walce piechurów i kilka świeżych oddziałów.

– To ostatnie rezerwy – szepnęła alchemikowi do ucha. – Rudao powiedział, że wysłał ci, co mógł.

– Nadal mają dwukrotną przewagę, no i magów – zauważył Guang.

– Musimy uderzyć pierwsi – odparł Meng Tian. – I to skutecznie, tak żeby zrobić wrażenie i na Białych, i na własnych żołnierzach, inaczej połowa z nich ucieknie po kwadransie...

– Nasi wracają do walki – pocieszyła go Ważka. – Za pół godziny, kiedy uciekinierzy ochłoną, będziemy mieli tysiąc ludzi więcej.

– Nie mamy pół godziny – mruknął Rudnicki. – Guang, co możesz zrobić?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, rozgrzeję ich broń do czerwoności, to powinno pomóc, prawda? Po drugie... – Młodzieniec sięgnął za pazuchę i wyjął jedwabny zwój. – Ważka, skombinuj mi jakieś drzewce – poprosił.

Dziewczyna wyjęła z dłoni jednego z gwardzistów długą na trzy metry włócznię i podała księciu.

– Może być?

– Znakomicie.

– Guang!

Alchemik rzucił się w stronę chłopaka, ale było już za późno, nad głowami żołnierzy ukazał się złoty sztandar z wyobrażeniem smoka.

Pierwszy otrząsnął się z zaskoczenia Meng Tian.

– Dziesięć tysięcy lat następcy tronu! – krzyknął generał.

Przez chwilę żołnierze trwali w oszołomieniu, wpatrując się w szarpany wiatrem jedwab, potem ktoś uderzył mieczem w tarczę i na polu walki rozległ się szczęk oręża.

– Dziesięć tysięcy lat następcy tronu! Dziesięć tysięcy lat!

Guang skinął dłonią i setki Białych porzuciło broń, wyjąc z bólu.

– Naprzód! – rozkazał Rudnicki. – Nie ty! – syknął alchemik, łapiąc młodzieńca za rękę.

Podniesieni na duchu obecnością Guanga żołnierze naparli na wroga i niemal od razu odrzucili go w tył, jedynie odziane w ciężkie pancerze Żuki sformowały obronny czworobok i nie dały się zepchnąć.

– Jeśli ich nie rozbijemy, za parę minut Biali opanują panikę i ruszą do kontrataku – rzucił Meng Tian, przekrzykując bitewną wrzawę. – Zrób coś!

– Siostró – powiedział Rudnicki do starej tygrysy – przyszedł nasz czas. Ważka! Pilnuj księcia!

– Tak, mistrzu!

Niespodziewanie Guang jęknął i osunął się na ziemię, a na policzku młodzieńca ukazała się krwawa rana, tak jakby ktoś z okrutną powolnością ciął nożem jego twarz.

– Guang!



– To ten mag – wyjął chłopak. – Zatrzymam go, a ty ruszaj do ataku. On przez jakiś czas nie da rady wspomagać Białych. Pospiesz się!



Tymczasem gwardziści uderzyli na Żuki, po chwili do walki włączyły się tygrysice, jednak mimo iż rozbiły szyk Białych, ci natychmiast podzielili się na kilkusobowe grupy i walczyli dalej. Rudnicki użył czarnych igieł, ale jak to już kiedyś się zdarzyło, potężne tarcze i pancerze Żuków wytrzymały atak.

Alchemik zaklął wściekle i ruszył naprzód, siekąc na prawo i lewo dwuręcznym mieczem. O dziwo, udało mu się wyemanować chłód jak w świecie Guanga, ale zaskoczone okrzyki gwardzistów świadczyły, że lodowa aura działa nie tylko na Białych. W chwilę później wokół Rudnickiego utworzyła się pusta przestrzeń, choć gwardia i tygrysice pilnowały mu boków z odległości kilku metrów.

Alchemik starł się z większą grupą Żuków i zamroziwszy rozbryzgi krwi, cisnął krwawe sople w przeciwników. Lodowe miecze rozdzierały zbroje oraz ludzi niczym papier i po kilku minutach Żuki zaczęły ustępować pola. Widząc to, cesarscy żołnierze zaczęli skandować imię Guanga i zdwoili wysiłki.

Rudnicki nie potrafił określić, jak długo walczyli, mięśnie ramion alchemika pulsowały boleśnie, a lekki przecież miecz zdawał się ważyć tonę. Wreszcie Biali odstąpili.

– Odparliśmy ich – wydyszał Meng Tian. – Dobrze by było ruszyć za nimi w pościg. Ja...

Niespodziewanie oficer umilkł, opadł na kolana i zwymiotował z wysiłku.

– Sam ich goń, matole! – wyjęczał alchemik. – Nie mam siły nawet podnieść ręki. Guang! Co z Guangiem?!

– Jestem – powiedział chłopak.

Młodzieniec wyglądał na wycieńczonego, a jego odzież była zboczona krwią.

– To nic – odparł, przechwytyjąc spojrzenie alchemika. – Ten gad trochę mnie naznaczył, ale za tydzień po ranach nie

będzie śladu.

– Trzeba cię opatrzyć!

– Tych ran nie da się wyleczyć medykamentami, nie martw się, wszystko w porządku.

– Jak się czujesz?

– Bywało gorzej – wzruszył ramionami Guang. – Mam dwie wiadomości. Dobra jest taka, że z północy nadciąga Szron, najwyraźniej Białym nie udało się całkiem jej zablokować. Ma ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi, a po drodze dołączają do niej Wędrowcy. Za kilka dni będziemy mogli wziąć Księżyc w kleszcze.

– A ta druga, zła? Bo jak rozumiem, jest i zła?

– Prawda – przyznał chłopak. – *Theokatáratos* wywabili twojego przyjaciela do Moskwy, a grupa spiskowców chce zabić całą jego rodzinę, włączając w to twoje córki...

– Skąd to wiesz?!

– Łucja mi powiedziała. Czasem ze sobą rozmawiamy. Ona nie da sobie sama rady, bo tamci mają wsparcie Przeklętych.

– Możesz mnie tam przenieść? – spytał z napięciem w głosie Rudnicki.

– Tak. I nie tylko ciebie. Myślę, że dam radę i setkę gwardzistów.

– Chcecie zostawić armię? – wykrzyknął Meng Tian. – Zwariowaliście?!

– Nie zostawić, czas nie stanowi dla mnie problemu – zapewnił Guang. – Wrócimy w tej samej sekundzie. Rzecz jasna, o ile przeżyjemy.

– To ma mnie pocieszyć?! Nie możecie...

– Możemy – przerwał mu alchemik. – Nie pozwolę zabić swoich dzieci.

– A my? Co z nami?!

Rudnicki nie odpowiedział mu od razu, znużonym gestem otarł czoło.

– Módlcie się – powiedział po chwili. – Kto wie? Może ktoś usłyszy wasze modlitwy?

# IX

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Samarin przylgnął do szyby i obrzucił nerwowym spojrzeniem wysrebrzony promieniami księżyca bruk, gdzie dawniej znajdował się jeden z moskiewskich rynków.

– Daj spokój – powiedział Matuszkin, ziewając. – Izad obiecała, że jakby co, przyśle

gońca.

– Nie podoba mi się to wszystko – odparł generał. – Coś jest nie tak.

– Myślisz, że Przekłęci nas okłamali? Znaczy „nasi” Przekłęci?

– Nie, Izad złożyła mi przysięgę w kręgu. Dopóki ja jej nie zdradzę, pozostanie lojalna.

– W takim razie w czym rzecz?

– Żebym to ja wiedział! Chodzą mi mrówki po kręgosłupie, jak pod Przemyślem.

Wyraźnie zaniepokojony Matuszkin usiadł na łóżku.

– Mało nas wtedy nie wykończyli.

– No właśnie.

Matuszkin podszedł do stołu, podkręcił lampę naftową i pochylił się nad mapą enklawy.

– Całkowicie blokujemy ten plac – powiedział. – Ktokolwiek się tu pojawi, wpadnie pod krzyżowy ogień. Mamy trzystu chłopów, w tym kilku magów i Anvelta, a Izad obiecała, że w razie czego przyjdzie nam na pomoc. Co nam

może zagrozić? Czołgi? Turgieniew ich nie przepuści, umówiliśmy się, że jeśli przed bramą enklawy pojawi się ciężki sprzęt, natychmiast podniesie alarm i wezwie na pomoc Czarnych Huzarów.

– Wiem – odparł zmęczonym tonem Samarin. – To irracjonalne, ale... – Bezradnie wzruszył ramionami.

– Znaczy trzepie cię jak pod Przemysłem? – upewnił się Matuszkin.

Generał potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– No dobrze, w takim razie wysyłam gońców.

– Jakich, do licha, gońców?

– Do Izad i Anvelta. Zapomniałeś o proroczych wizjach młodego? Zwołamy naradę.

– To chyba przesada, ja tylko...

– Nie jesteś nawet w połowie tak bystry, jak ci się wydaje, ale nie jesteś też tchórzem, a teraz trzęsiesz się niczym panienka przed pierwszym rżnięciem – odparł szorstko Matuszkin. – A ja nie zamierzam niczego sobie udowadniać, natomiast chciałbym jeszcze trochę pożyć. Zbieraj się!

Samarin westchnął, słysząc, jak przyjaciel trzaska drzwiami, i powlókł się do łazienki. Lustro ukazało mu twarz zmęczonego życiem mężczyzny z sinymi workami pod oczyma, więc oficer ochlapał twarz zimną wodą i zapiął rozchełstany mundur.

Generał otworzył drzwi, zawołał ordynansa i kazał mu zaparzyć kawy. Kiedy Matuszkin wrócił z Anveltem i Izad, na każdego czekał już kubek gorącego napoju.

– Po co nas wezwałeś? – spytała Izad.

– On ma przeczucie – wyjaśnił Matuszkin. – Młody? A ty? Miałeś jakieś wizje?

Anvelt pokręcił przecząco głową, jednak na twarzy młodzieńca widać było niepewność.

– To o co chodzi? Bo wyglądasz nieszczególnie.

– Nie mogłem spać i miałem koszmary. We śnie umierałem, tu, na tym placu.

Matuszkin zaklął, wyjął z szafki butelkę wódki i dolał sobie do kawy, nie częstując nikogo.

– O co chodzi? – Izad zmarszczyła brwi. – I czy wasze zasady nie nakazują najpierw poczęstować damy? Chyba że nie uważacie mnie za takową?

– Teraz jesteś towarzyszem broni, a nie damą. Nikt nie będzie cię częstował, bo to, co mamy, jest tak samo twoje, jak nasze – odburknął Matuszkin. – Lepiej skupmy się na problemie. Zakładając, że intuicja tych dwóch jest coś warta, co mogłoby nam zagrozić? Bo przeczucia jednego i drugiego sprawdzały się w przeszłości.

Izad dodała do kawy nieco alkoholu i pociągnęła ostrożny łyk.

– Nawet nieźle – przyznała. – Co do twojego pytania, to jest tylko jedna rzecz, która mogłaby nam zaszkodzić, teoretycznie. Bo przecież ci wasi drużynnicy nienawidzą *theokatáratos*, prawda?

– Nienawidzą – potwierdził Anvelt. – I co z tego?

– Pomyśl! – powiedziała niecierpliwie Izad. – Jeśli pod enklawą pojawi się choćby i setka ludzi bez ciężkiego uzbrojenia, a przekupiony strażnik otworzy im bramę, Turgieniew nie będzie interweniował, prawda?

– Owszem, tak się umówiliśmy – przyznał Samarin. – Ale nawet setka fanatyków nie stanowi dla nas żadnego zagrożenia. Zaraz! Myślisz, że...

– Myślę – skinęła głową kobieta. – To jedyna opcja.

– Może mnie oświecicie? – poprosił z irytacją Matuszkin.

– Przekłęci – odparł generał. – Sprzymierzeni z drużynnikami Przekłęci. Zastawiliśmy na nich pułapkę, ale niewykluczone, że oni na nas też. Jeśli w enklawie

pojawi się setka wrogich *theokatáratos*, będziemy mieli problem.

– Mamy srebrną amunicję, magów i wsparcie naszej przyjaciółki. – Matuszkin wskazał ruchem głowy Izad. – Czy naprawdę setka Przeklętych mogłaby nam zagrozić?

– Zależy, jakich Przeklętych – odparł Anvelt. – Zanim *theokatáratos* zablokowali petersburską enklawę, doszło do kilku starć. W trakcie jednej z potyczek dwóch Przeklętych zniszczyło batalion piechoty i zabiło trzech magów, sam ledwo uszedłem z życiem.

– Izad? – Samarin zwrócił się do kobiety. – Co o tym sądzisz?

– Jak oni wyglądali? – spytała Izad Anvelta. – Ci Przeklęci?

– Jak normalni ludzie – odparł młodzieniec. – Władali ogniem. I nie tylko. Wyglądało, jakby wiedzieli, kto do nich strzela. Mieliśmy tam kilka stanowisk karabinów maszynowych i paru snajperów. To byli zawodowcy, więc zamaskowali swoje stanowiska i strzelali z głębi pomieszczeń na wyższych piętrach. Mimo to tamci bezbłędnie atakowali zajęte przez naszych ludzi mieszkania. Piętnaście, może dwadzieścia sekund i było po wszystkim.

– Jak wyglądał ten atak?

– Oni ciskali kulami ognia. A jeden rozłożył ręce, stworzył coś w rodzaju ognistego łuku i spalił dwa plutony, ludzie dosłownie rozsypali się w proch.

– Niedobrze – mruknęła Izad. – To ogniożercy, straż przyboczna Szepczących.

– Myślę, że srebrne pociski zabiją ich jak każdego innego Przeklętego – wtrącił Matuszkin.

– Nie – pokręciła głową kobieta. – Nie zabiją. Oni władają temperaturą, a żeby wystrzelić nabój, potrzebny jest zapłon, a takowy nie nastąpi, mogą też spalić pociski w locie.



Oczywiście nie są nieśmiertelni, ale broń palna na nich nie działa.

– Więc jak z nimi walczyć?

– Wręcz. To jedyna metoda, tyle że każdy z nich potrafi spopielić człowieka jednym dotknięciem. Jeśli będzie ich więcej niż trzech, przegramy.

– Żartujesz? Z setkami twoich...

– Z jakimi setkami? – przerwała mu niecierpliwie Izad. – Nie słyszałeś, co mówiłam? Ogniożercy to gwardia Szepczących. Niektórzy z nich potrafią spalić na popiół całe kontynenty! Rzecz jasna, tu przyjdą, o ile przyjdą! dużo słabsi, ale tak czy owak, mogę liczyć co najwyżej na dziesięciu przyjaciół. Inni na sam ich widok padną na kolana i będą wykonywali polecenia ogniożerców.

Matuszkin nabrał powietrza w płuca i w długiej, ponadminutowej tyradzie wyraził zdanie na temat ogniożerców, Szepczących i ogółu *theokatáratos*.

– Zawiadomiłaś tych swoich zaufanych? – spytał Samarin.

– Zawiadomiłam.

– Jak poznamy, że wśród drużynników są ogniożercy?

– Kiedy stracisz w ciągu kilku sekund połowę swoich ludzi.

– Pójdę zawiadomić naszych, że na sygnał ruszamy do ataku – powiedział Matuszkin.

– Idź – przyzwolił generał.

Może się mylimy? – pomyślał. Bo jeśli nie, przyjdzie nam tu wszystkim zginąć.



Samarin zgrał muszkę ze szczerbinką i nacisnął spust, głowa Przekłętego eksplodowała niczym dojrzały melon;

zawtórowały mu strzały z naprzeciwka, gdzieś niedaleko rozjazgotał się ciężki karabin maszynowy.

Generał wyszedł na balkon – wraz z Matuszkinem i kilkoma żołnierzami zajęli mieszkanie na drugim piętrze – i wystrzelił racę.

– Ależ mnie wystraszyliście gadaniem o tych ogniożercach! – powiedział z wyrzutem Matuszkin. – Mam nadzieję, że Izad wyłapie wszystkich uciekinierów.

Samarin spojrział w dół: na placu leżało kilkadziesiąt ciał, a bruk plamiła ludzka i nieludzka krew.

– Mieliśmy szczęście – przyznał generał. – Widać się starzeję, najwyższy czas zostawić wojaczkę młodym...

Nagły wybuch odrzucił go na ścianę. Samarin obserwował bezradnie, jak Matuszkin stoi w ogniu, płonie, wreszcie sylwetka pułkownika zamieniła się w czarny pył. Uszy rozdarł mu przeraźliwy gwizd, widać ktoś wydał rozkaz ataku i z placu rozległy się bojowe okrzyki i szcęk broni.

Powoli, jęcząc z bólu i zostawiając na dywanie kawałki spalonej skóry, Samarin dopełził do balkonu. Na placu trwała walka, choć wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, kto wygrywa: sześciu otoczonych ognistym nimbem *theokatáratos* stało niewzruszenie w wirze szabel i bagnatów i rozdawało śmierć.

Generał sięgnął po karabin, usiłował sięgnąć, ale przeraźliwy ból zmusił go do wypuszczenia broni. Tymczasem nimb jednego z *theokatáratos* przygasał i Przeklęty zwałił się na ziemię jak podcięte drzewo. Pozostała piątka natychmiast sformowała klin, naprzeciwko ogniożerców ustawiło się kilkunastu ludzi, wśród których generał dostrzegł Anvelta i Izad.

– Uciekajcie! – zawył Samarin. – Uciekajcie!

Jeden z ogniożerców uniósł rękę, formując w dłoni miniaturowe słońce, ale zanim stało się coś więcej, okolicą wstrząsnął potężny grzmot i wszystko zalała fala jasności.

Generał zamrugał oślepiiony eksplozją światła, w chwilę później na placu pojawiły się dziesiątki ludzi ubranych w dziwne pancerze. Wśród nich Rudnicki. Samarin zamrugał jeszcze raz, ale alchemik nie zniknął. Przybysze błyskawicznie sformowali obronny czworobok, a Rudnicki wyszedł naprzeciwko wrogich *theokatáratos*. W kierunku alchemika poleciało pięć kul ognia, Samarin nawet na balkonie poczuł żar, jednak Rudnicki osłonił się czarną tarczą, po czym niesamowitym, kilkunastometrowej długości susem dopadł Przeklętych. Zazgrzytał wyciągnięty z pochwy potężny miecz, głowy dwóch *theokatáratos* wyleciały w powietrze, a alchemika otoczyła dziwna, podobna do mgły aura. Samarin nie był w stanie zobaczyć nawet połowy ciosów, Rudnicki poruszał się błyskawicznie, a każdemu krokowi alchemika towarzyszyła fontanna krwi. W ciągu kilku uderzeń serca było po wszystkim.

Nagle na plac wybiegły dziesiątki Przeklętych, wśród nich niszczyciele, ale Rudnicki jedynie skinął dłonią i w stronę napastników poleciały jarzące się dziwnym światłem bełty, po czym skotłowany tłum *theokatáratos* zaatakowały trzy nienaturalnie wielkie tygrysy. Ich pazury i kły rozrywały na strzępy bykopodobne stworzenia i Samarin po raz pierwszy zobaczył, jak niszczyciele uciekają. W końcu spośród towarzyszących Rudnickiemu żołnierzy wyszła szczupła kobieta i krzyknęła coś gniewnie, wskazując mieczem Przeklętych, na co pozostali zareagowali bojowymi okrzykami i setka dziwnych wojowników rzuciła się do ataku, eksterminując pozostałych przy życiu *theokatáratos*.

Generał, zaciskając zęby, zdołał podnieść się na kolana, a potem stanął na nogach. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby

nie Rudnicki, nie uszedłby z życiem nawet jeden świadek klęski, nie wyłączając Izad i jej Przeklętych. Tylko jakim cudem alchemik powrócił? Kim byli towarzyszący mu wojownicy? Bo powód, dla którego alchemik powrócił do swojego świata, wydawał się jasny: zemsta.



Samarin syknął z bólu: mimo że alchemik podał mu środek znieczulający, opatrywanie ran bolało. Najbardziej martwiły generała oparzenia twarzy i dłoni, pocieszał tylko fakt, że leczył go jeden z najlepszych znanych mu medyków.

– Jak to wygląda? – zapytał.

Bandaże pokrywały niemal całą twarz oficera, w podobnym do kokonu opatrunku pozostawiono jedynie otwory na oczy i usta.

– Nieszczególnie – przyznał Rudnicki.

– Ale to się wygoi?

– Zagoić się zagoi, natomiast nie mam pojęcia, czy znikną blizny, istnieje granica regeneracji nawet dla osób, w których żyłach płynie krew *theokatáratos*.

– Myślałem, że to tylko kwestia czasu, moja dłoń odrosła.

– A moja ręka nie – odburknął alchemik, demonstrując protezę.

– Co teraz zrobisz? – generał zmienił temat.

– Najpierw rozliczę się z tymi twoimi drużynnikami, później zajmę Przeklętymi, którzy zabili moją żonę.

– Jacy oni moi? I nie zapominaj, że jesteś na terytorium Rosji i musisz dostosować się do naszych praw.

– Ja niczego nie muszę – odparł spokojnie Rudnicki. – Już nie. Wiesz, że Łucja schwytała w twoim domu kilku drużynników?

– Co znaczy schwytała?! Oni...

– Chcieli zabić moje dzieci i zabawić się z Anną – odparł Rudnicki. – Nie wiem, jak ty, ale ja nie mam zamiaru puścić im tego płazem. I nie martw się, nic się nie stało, Łucja ich obezwładniła.

– Muszę natychmiast wracać! Anna...

– Annie nic nie grozi – powtórzył cierpliwie alchemik.

– Jak oni mogli skumać się z Przekłętymi?! Przecież ich nienawidzą i chcieli sprowokować wojnę pomiędzy ludźmi i *theokatáratos*!

– Jedno nie wyklucza drugiego. Gdyby wybuchły walki, drużynnicy mogliby zrzucić wszystko na Przekłętych: śmierć dzieci i Anny, wymordowanie carskiej rodziny. Dosłownie wszystko. A później podzieliliby się władzą. Kto wie? Może nawet zostaliby namiestnikami Szepczących?

– Ale dlaczego?

– Nieśmiertelność, nawet względna nieśmiertelność, to kusząca oferta, a przywódcy drużynników mają już swoje lata. Nie miej złudzeń, Saszka, mimo całego tego pieprzenia o chrześcijaństwie, posłannictwie religijnym Rosji i roli Moskwy jako trzeciego Rzymu to tylko manipulatorzy bez cienia honoru czy moralności. Cwani manipulatorzy. I zależy im tylko na władzy. Dlatego bardzo cię proszę, nie stawaj mi na drodze.

Samarin przechwycił ponure spojrzenie nabiegłych krwią oczu alchemika i przeszedł go dreszcz: Rudnicki nie straszył, nie chciał robić na nikim wrażenia, po prostu informował.

– Co chcesz zrobić? – powtórzył.

– Tu załatwiliśmy co trzeba, więcej ataków w Moskwie nie będzie, wracamy więc do Petersburga. Czas zabezpieczyć tamtą enklawę i rozliczyć się z mordercami Natalii.

– Jesteś pewien, że odpowiedzialni za to Przekłęci są teraz na terenie petersburskiej enklawy?

– O tak, to dla nich najbezpieczniejsze miejsce.

– Łucja mówiła mi, że ich zabezpieczenia są nie do przełamania. Bo chciałem...

– Wiem – wszedł mu w słowo Rudnicki. – I dobrze zrobiłeś, że jej posłuchałeś, ale teraz to inna rzecz. Tamten młodzieniec zlikwiduje je bez trudu. – Alchemik wskazał ruchem głowy szczupłego nastolatka.

– Kim on jest? Bo kiedy go zobaczyłem, od razu pomyślałem, że trochę za młody na żołnierza. No i nie wygląda zbyt bojowo.

– Rzeczywiście jest młody, ale walczył już w bitwach, w których zginęłaby większość twoich ludzi.

Samarin zacisnął zęby, przypomniawszy sobie śmierć Matuszka.

– Przepraszam – westchnął Rudnicki. – Nie chciałem cię urazić. On był i moim przyjacielem.

– Ten młody jest magiem?

– W pewnym sensie.

Samarin czekał na dalsze wyjaśnienia, lecz wyraz twarzy Rudnickiego wskazywał, że alchemik nie ma zamiaru rozwijać tematu.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Oczywiście. Tylko bądź uprzejmy. To następca tronu potężnego państwa, tam jest kilka prowincji większych niż cała Rosja razem wzięta.

Generał zmarszczył brwi, ale nie wyglądało, żeby Rudnicki blefował czy chciał zażartować.

Niespodziewanie do alchemika podeszło kilka dziewcząt i jedna z nich wyrzuciła z siebie parę zdań dość aurytatywnym, żeby nie powiedzieć: rozkazującym tonem. Ku swojemu zdziwieniu Samarin stwierdził, że rozumie

większość słów. Nieznajoma domagała się, aby Rudnicki zdjął pancerz i odpoczął. Alchemik zaprotestował, ale widać było, że bez przekonania, najwyraźniej to nie była pierwsza tego typu dyskusja. Ostatecznie dziewczyna wydała towarzyszkom krótki rozkaz i wraz z nimi zabrała się do wyswobodzenia Rudnickiego z elementów zbroi. Zanim skończyły, młodzieniec, którego alchemik przedstawił jako następcę tronu, podał Rudnickiemu herbatę.

Samarin widział wielu dowódców, w tym takich, za których żołnierze oddaliby życie, ale jeszcze nigdy nie spotkał się z podobną sytuacją. Wyglądało na to, że ludzie Polaka niespecjalnie przejmują się subordynacją czy dyscypliną wojskową, a jednocześnie było oczywiste, że łączą ich z Rudnickim głębokie, niemal rodzinne więzi.

– Kim jesteś w tym drugim świecie? – wypalił, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

– Nikim specjalnym – odparł alchemik zmęczonym tonem. – Ostatnio zająłem się z musu wojaczką.

– Nie wstyd ci tak okłamywać brata? – spytała z ironią jedna z dziewcząt. – Mistrz jest...

– Ważka!

– On dawniej też tak na wszystkich warczał, kiedy był nie w humorze? – kontynuowała niezrażona dziewczyna.

– Owszem. Urodził się już marudny – odparł Samarin, formułując zdania z pewnym trudem, ale najwyraźniej zrozumiałe, bo jego rozmówczynie błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

– Czy przyjmiesz ode mnie skromny prezent? – spytała.

Samarin spojrzał z zaskoczeniem na alchemika.

– Zgódź się – odparł Rudnicki po rosyjsku. – Ważka jest pyskata, ale ma dobre serce, ona i reszta dziewczyn chcą cię pocieszyć, bo wiedzą, że ponieśliście ciężkie straty.

– Pocieszyć? Przecież widzą mnie pierwszy raz w życiu!

– Te dziewczuchy to moje uczennice, rozumiesz, założyłem tam coś w rodzaju szkoły. Wiedzą o naszym... pokrewieństwie, więc jesteś dla nich kimś w rodzaju przyszywanego wujka. Powiedzmy, że cię adoptowały, a więc twoje problemy są poniekąd i ich problemami. Dlatego proszę, uważaj, o czym z nimi rozmawiasz, bo rozpuściłem je jak dziadowskie bicze, a tam, u nas, takie sprawy załatwia się od ręki.

– To znaczy?

– No wiesz, gdybyś się na przykład poskarżył, że sąsiad z naprzeciwka ci się nie uklonił, dziewczyny są w stanie spalić pół dzielnicy, żeby dać arogantowi nauczkę. Nie wyobrażasz sobie, ile trudu kosztuje mnie trzymanie ich w ryzach.

– Skąd u nich taka agresja?

– Raczej duma i poczucie własnej wartości – poprawił Rudnicki. – Niestety, uzasadnione, większość tych dziewcząt należy do gwardii cesarzowej, to wojskowa elita Wielkiej Han.

– Oczywiście, przyjmę twój prezent z wdzięcznością – zwrócił się generał do Ważki.

Dziewczyna skinęła dłonią i jeden z gwardzistów podał jej niewielką paczkę.

– Proszę, to dla ciebie – powiedziała. – Kolczuga ze złotych nici. Ochroni cię przed ostrzami Przeklętych.

– Dziękuję.

– Oddałaś mu moją kolczugę? – odezwał się z pretensją w głosie alchemik.

– Owszem – potwierdziła Ważka z zuchwałym uśmiechem. – Ty masz już lepszą.

– Ciekawe skąd?

– Przyszła pocztą kurierską na dwa dni przed naszą... podróżą. Ponieważ na pakunku znajdowała się pieczęć



szkoły Białej Kozy, wiadomo, kto ją przysłał.

– Myślisz?

– Jestem pewna. Zrobiono ją dokładnie na twój rozmiar i zabezpieczono magicznie, kuźnia Białej Kozy musiała nad nią pracować co najmniej przez pół roku.

– Nie przesadzasz? To nie jest aż takie skomplikowane.

– Sam zobacz.

Ważka podała alchemikowi złościście połyskującą kolczugę. Samarin ostatnio coś podobnego widział w muzeum kilkanaście lat wcześniej, jednak instynktownie poczuł, że to dzieło prawdziwego mistrza.

– Na każdym z tych drucików są runy ochronne – odezwał się z niedowierzaniem w głosie alchemik. – Są ich tysiące!

– Mówiłam!

– To niemożliwe!

– Co takiego?

– Nie jestem ekspertem run, ale siła tych glifów jest niesamowita, nie wiem, kto mógłby zrobić coś takiego.

– Ja wiem. Mistrz Wu, dla ciebie. Pamiętasz, co ci mówiłam? On...

Rudnicki wstrzymał ją niemal niewidocznym gestem i dziewczyna natychmiast umilkła. Samarin odniósł wrażenie, że otaczające alchemika kobiety prowadzą z nim skomplikowaną grę, co tamten akceptuje, jednak obie strony znają granice zabawy.

– Wracamy do Petersburga – zdecydował Rudnicki.

– Gdzie chcesz umieścić swoją świtę? – spytał generał.

– W koszarach niedaleko enklawy. Tylko wydziel dziewczynom osobne skrzydło, bo jeśli któryś z twoich niedomytych wojaków spróbuje jakąś zaczepić, garnizon Petersburga będzie miał poważne braki kadrowe – ostrzegł alchemik.

Samarin zachnął się gniewnie, jednak nie wyczuł w głosie Rudnickiego groźby. To była rzeczowa uwaga.

– Postaram się – obiecał po chwili.

Bogiem a prawdą tak będzie lepiej, pomyślał. Bo te panienki nie wyglądają na takie, które pokornie znosiłyby męskie zaczepki, a biorąc pod uwagę ich sprawność bojową, lepiej posłuchać kuzyna...



Na twarzach schwytyanych drużynników widać było strach, nieledwie panikę, jedynie Vittorio Draghi nie wyglądał na wystraszonego, a płonące nienawiścią oczy czyniły go podobnym do dzikiego zwierzęcia. Wszystkich jeńców związano starannie, po czym umieszczono w piwnicy.

– Wypuście mnie natychmiast! – zażądał Draghi. – Jeśli car dowie się o moim uwięzieniu, zgnijesz w lochu, zdrajco!

– Zdrajco? – uniósł brwi Samarin.

– Zdrajco świętej sprawy! Ty...

Rudnicki szepnął coś Ważce, a ta natychmiast zakneblowała młodego arystokratę.

– Chcę z nim porozmawiać! – zaprotestował Samarin. – Oni mogą szykować kolejny atak na moją rodzinę!

– Niczego już nie przyszykują – zapewnił alchemik. – Na wieść o tym, co się stało w Moskwie, wszyscy drużynnicy uciekli do petersburskiej enklawy.

– Jakim cudem?! Moi ludzie mieli zabezpieczyć...

– *Theokatáratos* im pomogli, nie bój się, wśród wartowników nie było zabitych, jedynie kilku rannych, tamci się spieszyli.

– Co teraz?

– Nic specjalnego, pozbędziemy się tych tutaj, a jutro ruszymy do enklawy.

– Jutro? Muszę się przygotować, zebrać wojsko, zawiadomić Jego Wysokość.

– Masz czas do jutra – powtórzył cierpliwie Rudnicki. – Nie mogę tu długo zostać. W tym świecie.

– Skąd to wszystko wiesz? No, o drużynnikach?

– Następca tronu potrafi czytać w ich umysłach jak w otwartej księdze. I nie obawiaj się, zostanę tu do jutra z dziewczynami, możesz spokojnie pogadać z carem i zająć się przygotowaniem do przejęcia enklawy.

– Jesteś pewien, że nam się uda?

– Całkowicie. Co prawda Szepczący pomogli im przygotować zabezpieczenia, ale nie ma tam nikogo silniejszego od ogniożerców, a i tych jest nie więcej niż kilku.

– Ten młody ci powiedział?

– Nie, tym razem to tylko domysł. Ogniożercy to straż przyboczna Szepczących i ci nie pozbywają się ich chętnie. Ci, których spotkaliśmy w Moskwie, byli dość słabi, ale nawet takich trzeba trenować stuleciami, jeśli nie milleniami. Dlatego nie może przybyć ich tu wielu, Szepczący nie poświęcają się dla innych i nie ryzykują osłabienia własnych sił.

– No dobrze, a co z panem Draghim i resztą tych... – Samarin zacisnął pięści, przypomniawszy sobie o zamiarach drużynników.

– Perła się tym zajmie. Perła!

– Tak, mistrzu?

– Wiesz, co robić. Tylko żeby nie pozostało najmniejszych śladów. Wszystko ma być... hmmm... wylizane.

– Nie obawiaj się, mistrzu, nie będzie nawet plamki.

Samarin wzdrygnął się, przechwyciwszy wzrok dziewczyny, Perła obserwowała jeńców jak wilk stado

owiec. Wilk? Tygrys! Dopiero teraz generał przypomniał sobie szalejące wśród Przeklętych tygrysy.

– Nie spiesz się. – Położył wojowniczo rękę na ramieniu.  
– Pośpiech przy posiłku może przyprawić człowieka o niestrawność.

Perła spojrzała na niego ze zdumieniem, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Masz rację, wujku – powiedziała, trącając go przyjaźnie łokciem. – Będę o tym pamiętała.

Wychodząc z piwnicy, Samarin słyszał wrzaski drużynników, najwyraźniej jeńcy zaczęli rozumieć, w jakiej sytuacji się znaleźli i co ich czeka.

Teraz jeszcze trzeba uspokoić Annę i porozmawiać z carem, pomyślał generał. Co by nie mówił Olaf, nie wypada zaczynać całej akcji bez zgody Jego Wysokości.



Car przyjął Samarina w szlafroku i po krótkim powitaniu od razu przeszedł do rzeczy.

– Jak sytuacja w Moskwie? – spytał napiętym głosem. – Bo pańskie meldunki były dość enigmatyczne. Jak pan się czuje?

Generał usiadł w fotelu i sięgnął po koniak, po raz pierwszy bez zaproszenia.

– Pułkownik Matuszkin zginął, podobnie jak trzy czwarte mojej grupy – odparł ponuro. – Gdyby nie mój kuzyn, nikt z nas by nie wrócił.

– Pańskie rany...

– Przeżyję, najwyżej zostaną blizny.

– Co tam się stało?

– Drużynnicy dogadali się z wrogimi nam Przeklętymi. To była zasadzka.

- Drużynnicy? Niemożliwe! Kilku znam osobiście. Oni...
- Byłem tam – przerwał władcy Samarin. – Ja też znam kilku, w tym młodego Draghiego. Wie pan, gdzie go znalazłem? W moim domu. Zamierzał wymordować całą moją rodzinę. Rzecz jasna, nie sam.
- Niemożliwe – wymamrotał bezradnie car.
- Jak najbardziej możliwe. Następny w kolejności miał być pan i pańska rodzina.
- Muszę z nim porozmawiać!
- Obawiam się, że to będzie trudne, mój kuzyn potraktował sprawę bardzo osobiście, w końcu jego dzieci też były na liście.
- Co z nim zrobił?
- Nie wiem, nie pytałem. Myślę, że mamy teraz ważniejsze problemy.
- Co pan ma na myśli?
- Petersburską enklawę. Mój kuzyn przybył do nas w asyście setki wojowników ze świata Nefilim, to magowie o niespotykanej u nas potędze, jak i sam Olaf. Musimy atakować.
- Mówił pan, że nie możemy wejść do enklawy?
- My nie. Olaf i owszem. Tylko że Olafowi zależy na zemście, a nam na pacyfikacji enklawy, dlatego trzeba działać.
- Co pan proponuje?
- Wejść do enklawy na czele kilku pułków i kiedy Olaf załatwi swoje sprawy, spacyfikować cały ten teren, eksterminując wrogich *theokatáratos* i, rzecz jasna, drużynników.
- Skąd tam drużynnicy? Przecież to enklawa!
- Po otrzymaniu wiadomości, że zasadzka w Moskwie się nie powiodła, wszyscy drużynnicy tam uciekli.
- Skąd pan o tym wie?

– Jeden z towarzyszy Olafa potrafi odczytywać myśli, a biorąc pod uwagę to, co ujrzałem w Moskwie, jestem pewien, że nie blefuje. To akurat jest nam na rękę, nie będziemy musieli ścigać druzynników.

– Chce pan ich...

– Bez sądu i śledztwa – potwierdził twardo Samarin. – To zdrajcy. Zdradzili nie tylko pana czy Rosję, ale i całą ludzkość, bo apetyty Szepczących nie ograniczają się bynajmniej do naszego kraju. To miał być tylko początek.

– Nie podoba mi się to! – wybuchnął car. – Najpierw sam pan mnie namawia, żeby iść w ślad za Europą, odchodzić od samodzierżawia, a potem proponuje takie rozwiązania!

Ciekawe, czy naprawdę chodzi mu o praworządność, czy też po prostu chce – mimo wszystko! – uratować druzynników, pomyślał ze złością generał. Olaf miał rację, to słaby, chwiejny człowiek. Tyle że jest on moim władcą i stoi na czele wielkiego imperium, a od jego decyzji zależy los milionów. Szlag!

– Decyzję pozostawiam Waszej Wysokości – odparł formalnie Samarin. – Moim zdaniem są dwa wyjścia: albo likwidujemy wszystkich, którzy dogadali się z Szepczącymi, nieważne, ludzi czy Przeklętych, albo wkraczamy do enklawy, żeby aresztować druzynników, po tym kiedy Olaf zrobi tam porządek, i ponownie pieczętujemy enklawę, pozwalając miejscowym *theokatáratos* robić, co zechcą. W tym drugim przypadku podam się do dymisji i wyjadę z Rosji.

– A to dlaczego?

– Bo jestem przekonany, że prędzej czy później w petersburskiej enklawie pojawią się znowu poplecznicy Szepczących i zablokują nam wejście, a wówczas nie będzie nikogo, kto mógłby poradzić sobie z zabezpieczeniami tej

klasy. Kiedy zbiorą siły, wystąpią przeciwko nam. Wspierani przez drużynników.

– To tylko pańskie przypuszczenia!

– Istotnie – przyznał zimno Samarin. – Jednak nie sądzę, żebym się mylił.

– Muszę się zastanowić – stwierdził władca, marszcząc gniewnie brwi. – Powiadomię pana o swojej decyzji.

Generał skłonił się bez słowa i wyszedł z komnaty.

Cóż, trzeba szykować się do wyjazdu, pomyślał. Najwyraźniej car nie może pogodzić się z faktem, że przyjaciele z dzieciństwa go zdradzili.



Lokaj podał pieczoną perliczkę, po czym ukłonił się i wyszedł z jadalni, zamykając za sobą drzwi. Samarin sięgnął po widelec, ale Anna skarciła go wzrokiem i sama zajęła się karmieniem męża.

– Boli cię jeszcze, wujku? – spytała z troską Hania. – Bo te wszystkie bandaże wyglądają okropnie.

– Nic go nie boli – stwierdziła nonszalancko Łucja. – Zadbaliśmy o to.

– Nie przy stole – upomniała ją księżna Samarin.

Jej Wysokość niespodziewanie odwiedziła ich wraz z Józefem Andriejewiczem, co dziwne, na obiad wprosił się także Chreptowicz. Co prawda arystokrata wiedział, kim jest Łucja, jednak generał wolał nie wyjaśniać niuansów związanych z osobą Olafa. Alchemik, rzecz jasna, także uczestniczył w posiłku.

– Tak, babciu – przytaknęła posłusznie dziewczynka.

– Słyszałem, że chcesz się podać do dymisji i wyjechać z Petersburga? – powiedział Józef Andriejewicz.

– Owszem. Jeśli car nie zgodzi się na pacyfikację drużynników, sytuacja stanie się... napięta – przyznał Samarin.

– A nie zgodzi się?

– To niemal pewne. Na razie obaj z Olafem czekamy na decyzję Jego Wysokości.

– Tu chyba nie bardzo jest na co czekać, trzeba działać – mruknął Chreptowicz.

– Mam za mało ludzi, żeby zrobić porządek w enklawie – odparł Rudnicki. – No i nie chcę przebijać się siłą, podobno wzmocniono ochronę bramy.

– Co on chce w ten sposób uzyskać? – spytała z irytacją księżna. – Przecież to absurd!

– Potwierdzić, że rządzi – wzruszył ramionami Chreptowicz. – No i uratować Świętą Drużynę. Nie sądźcie go zbyt surowo, od dziecka wmawiano mu, że drużynnicy to sól tej ziemi. Nic na to nie poradzimy.

– To się jeszcze okaże – odparła złowrogo księżna Samarin.

– Chce pani podnieść bunt? – spytał z uśmiechem Chreptowicz.

– Ja z babcią! – zawołała natychmiast Łucja. – Już my mu pokażemy!

– Łucja! – upomniał córkę alchemik.

– Zaraz powiecie mi, że jestem za mała na bunt – wymamrotała pod nosem dziewczynka.

– Nikt się nie będzie buntował – stwierdził stanowczo Józef Andriejewicz. – Choć sama myśl jest kusząca – przyznał.

– To co ciocia planuje? – spytał Samarin.

– Raut. I spodziewam się, że wszyscy obecni wezmą w nim udział.



– Ciociu, to naprawdę nie pora na takie rozrywki – odezwał się alchemik.

– To nie rozrywka – odparła spokojnie księżna. – Raczej coś w rodzaju bezkrwawej rewolucji. I ani słowa więcej! Jutro wieczorem chcę was widzieć u siebie.

Samarin poszukał wzrokiem ratunku u Rudnickiego, lecz alchemik jedynie bezradnie rozłożył ręce.

– Tak, ciociu! – odparli unisono.



Samarin rozejrzał się po sali, wyglądało na to, że na raut przybyła większość petersburskiej śmietanki, w tym ludzie, z którymi wcześniej księżna nie utrzymywała żadnych kontaktów.

– Ciekawe, co cioteczka knuje? – wymruczał pod nosem.

Widząc Rudnickiego, przywołał go dyskretnym gestem.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wiem tyle, co i ty – odparł alchemik. – Na pierwszy rzut oka nic specjalnego, tyle że wszyscy pytają mnie o sytuację w petersburskiej enklawie i przebieg walk w Moskwie.

– I co im mówisz?

– Prawdę.

– Nie wyglądają na zachwyconych – zauważył generał.

– To już nie moja wina. Zresztą większość i tak gapi się na ciebie.

Samarin skrzywił się niechętnie, co prawda przyjaciel pozwolił mu zdjąć większość bandaży, gdyż rany goiły się błyskawicznie, ale i tak wyglądał jak uciekinier ze szpitala.

– Myślisz, że Łucja mi pomogła?

– Na pewno, ja mógłbym cię znieczulić, ale nie potrafię wpływać na szybkość regeneracji tkanki. Twoje szczęście,

bo inaczej zostałyby ci paskudne blizny, to nie był zwykły ogień.

– Moje szczęście – przytaknął zgodnie generał. – Co zrobisz, kiedy spacyfikujemy enklawę? Wrócisz do Polski czy...

– To drugie. Mam tam sprawy do załatwienia.

– Na stałe?

– Nie mam pojęcia. Sytuacja w tamtym świecie jest jeszcze gorsza niż tutaj.

– To dlaczego wracasz?

– Przyjaciele, rodzina, no, prawie rodzina, zobowiązania – wzruszył ramionami alchemik. – Standard. A co z tobą? Naprawdę chcesz wyjechać?

– Naprawdę. Jestem zmęczony, chciałbym wreszcie odrobiny spokoju. O, jest nawet Woroncow – zauważył Samarin, odpowiadając na ukłon starszego mężczyzny.

– Ten przyboczny cara?

– Tak. Przepraszam cię na moment, wygląda, że muszę z nim porozmawiać, może wreszcie się dowiem, co wymyśliła ciocia.

Rudnicki rozciągnął wargi w skąnym uśmiechu, ale widać było, że raut niespecjalnie go interesuje. Podobnie jak zamiary księżnej Samarin.

Woroncow usiadł przy bocznym stoliku – na raucie nie tańczono – i wezwał generała skinieniem głowy.

– Co się dzieje? – spytał bez ogródek Samarin.

– Pańska ciotka ma zamiar zademonstrować carowi, kto tu rządzi.

– Nie rozumiem?

– Dzisiaj już ponad pięćdziesiąt osób podało się do dymisji. Prokuratorzy, sędziowie, generalicja, urzędnicy...

– Żartuje pan?!

– Ani mi to w głowie. Sam wysłałem pismo do osobistej kancelarii Jego Wysokości. Wraz z obszernym uzasadnieniem.

– I co to da?

– Być może Niko zrozumie, że istnieją pewne granice, których nie powinien przekraczać.

– A jeśli nie?

– Wyjadę z Rosji, tak jak pan. Nie chcę oglądać kolejnych śmierci, a jeśli car nie zrobi porządku z drużynnikami, starcie z Przekłętymi jest nieuniknione. Podobnie jak przejęcie kluczowych stanowisk przez zwolenników Świętej Drużyny. Mam dosyć. Pół życia z nimi walczyłem, a teraz, kiedy wreszcie określili się wszem wobec jako zdrajcy, Niko chce ich ratować.

– Mówi pan, że te dymisje to masowa akcja?

– Tak.

– Jakim cudem tak wiele osób postanowiło nagle porzucić stanowiska?

– Rozeszły się plotki o spisku drużynników z *theokatáratos*, wszyscy znają też stanowisko cara w tej kwestii, pańska ciotka się o to zatroszczyła. Przypuszczam, że największe wrażenie wywarła pańska decyzja o wyjeździe ze stolicy, uchodzi pan za podporę monarchii, a jednocześnie człowieka, który najlepiej pojmuje Przekłętych. Ludzie się boją.

Niespodziewanie na sali pojawiło się kilku mężczyzn w mundurach kurierów.

– Oho, zaraz zobaczymy, czy ta cała akcja coś dała – powiedział Woroncow z napięciem.

Niemłody, szpakowaty kapitan podszedł do ich stolika i stanął na baczność.

– Generał Samarin? – zapytał.

– We własnej osobie.

– Pismo od Jego Wysokości – oznajmił, podając ozdobną kopertę.

– Dziękuję.

Oficer zasalutował i odszedł bez słowa.

Samarin rozerwał kopertę, pismo zawierało tylko dwa zdania: „Proszę przystąpić do pacyfikacji enklawy. Decyzję co do sposobu przeprowadzenia operacji pozostawiam do pańskiego uznania”.

– To *carte blanche* – zauważył Woroncow. – Co pan zdecydował?

– Wykonam rozkaz, a cóż by innego?

– Mogę powiadomić gości o decyzji cara?

– Oczywiście. A teraz pan wybaczy, muszę już iść.

– Proszę na siebie uważać.

Generał pożegnał się lekkim ukłonem i ruszył do wyjścia. Cóż, mam nadzieję, że Olaf nie przecenił swoich sił, pomyślał. Głupio by było utonąć u brzegu...



Samarin nie wiedział, na czym polegało przełamywanie barier postawionych przez *theokatáratos*, widział jednak pot spływający po skroniach młodzieńca, którego alchemik przedstawił jako następcę tronu. Po chwili oficer wyczuł także obecność innej, dziwnie znajomej osoby.

– Łucja? – rzucił niepewnie.

– *Tak, to ja* – odpowiedziała w myśli dziewczynka. – *Nie przeszkadzaj teraz, wujku, pomagam Guangowi. Nie sądziłeś chyba, że odpuszczę Przeklętym, którzy zabili mamę? I jeszcze jedno: oddaj tę czarną szablę któremuś ze swoich żołnierzy.*

– *To czym będę walczył?!*

– *Zajmę się tym. Nie dyskutuj i rób, co mówię!*

Samarin westchnął ciężko, odpiął broń od pasa i po krótkim namyśle podszedł do pułkownika Butowa, dowódcy elitarnego Pułku Siemionowskiego.

– Proszę – powiedział, wręczając mu szablę. – Mnie to już niepotrzebne.

– Niepotrzebne? Zaraz zacznie się walka.

– Jeśli pan nie chce...

– Nie, nie! Przyjmuję z wdzięcznością.

Zazdrosne spojrzenia innych oficerów mówiły więcej niż słowa, w armii od dawna chodziły plotki o magicznych mocach czarnej broni.

– *Dobrze!* – pochwaliła go Łucja. – *Kiedy pomogę ci przywołać czarną szablę, skup się na odczuciach, jakie będą temu towarzyszyły, tak żebyś kolejny raz mógł zrobić to sam.*

– *Coś takiego jest w ogóle możliwe? Przecież nie znam słowa mocy, które pozwala tworzyć podobną broń.*

– *Nie tylko możliwe, ale i łatwe. Rzecz jasna, z moją pomocą* – dodała dziewczynka.

– *Rzecz jasna...*

Tymczasem wyglądało, że Guang skończył, przez moment w powietrzu rozbłysła ognista gwiazda, po czym chłopak nonszalanckim gestem dał znak, że droga wolna.

– Wasza kolej! – rzucił Rudnicki.

– Myślałem, że najpierw rozbijecie ich główne siły – powiedział Samarin.

– Tam nie ma żadnych głównych sił – odparł niecierpliwie alchemik. – Cała ich obrona opierała się na Gwieździe Trithemiusa. To łowy, a nie walka – dodał z drapieżnym uśmiechem. – Najsilniejsi z Przeklętych czają się gdzieś w centrum enklawy, tu będzie tylko drobnica.

– No dobrze, w takim razie ruszamy! – zdecydował generał. – Naprzód!

Wrota enklawy otworzyły się ze zgrzytem i do przodu wyprysnęły cztery tankietki, w ślad za nimi ruszyła kompania Pułku Siemionowskiego wspierana przez kilku magów. Niemal natychmiast rozległ się odgłos strzałów, po chwili zagłuszony basowym ujadaniem ciężkich karabinów maszynowych.

Samarin rzucił się do biegu, jednak alchemik złapał go za nadgarstek żelaznym chwytem.

– To tylko drobnica – powiedział z naciskiem. – Przekłęci są w panice.

Generał wyrwał się z uchwytu Rudnickiego, jednak regularne serie vickersów i oddawane jak na musztrze salwy przekonały go, że przyjaciel ma rację: siemionowcy wymiatali drobnicę.

Odgłos uderzających o bruk podkutych butów poprzedził pojawienie się kuriera.

– Kapitan Radugin melduje, że odrzucił siły wroga i zabezpieczył wejście do enklawy – zameldował zdyszany żołnierz.

– Straty?

– Jeden zabity i kilku rannych.

– Rzeczywiście drobnica – mruknął pod nosem Samarin.

Generał podszedł do czołgu z zamontowaną anteną i kolbą pistoletu zabębnił w pancierz.

– Przekazać wszystkim sygnał do ataku! – polecił czołgiste, który wychylił się z włazu.

– Tak jest!

– Macie sporo nowego sprzętu – zauważył Rudnicki, obserwując wjeżdżające do enklawy czołgi i tankietki.

– W innych jednostkach nie wygląda to tak dobrze, pułki Siemionowski i Preobrażeński to wizytówka naszej armii – odparł Samarin.

– A konkretnie?

– Każdy pułk składa się z czterech batalionów, z kolei batalion z czterech kompanii. Jedna kompania w każdym z trzech batalionów ma na wyposażeniu tankietki, a w czwartym czołgi. Do tego dochodzą pododdziały dowodzenia, obsługi, zaopatrzenia i zwiadu, w sumie dwa tysiące chłopa na pułk.

– Powinno wystarczyć – skinął głową alchemik.

– W rezerwie mam pułk Czarnych Huzarów. Ci wyposażeni są w czołgi Renault FT z siedemdziesięciopięciomilimetrowym działem Schneidera.

– Damy radę.

– Ale w centrum...

– Zajmę się miejscową elitą – zapewnił Rudnicki. – To właśnie oni zabili Natalię.

– Skąd wiesz? Czyżby znowu Guang?

Alchemik potwierdził gestem.

– To była najbezpieczniejsza enklawa Przeklętych w naszym świecie. Najbezpieczniejsza dla nich – dodał z krzywym uśmiechem.



Samarin przełknął głośno ślinę i zaczął się cofać, aż poczuł za plecami czołgowy pancierz.

Stwór miał na oko przynajmniej pięć arszynów wzrostu, wielkie błoniaste skrzydła, w pazurzastej łapie dzierżył miecz rozmiarów telegraficznego słupa.

– Wreszcie – mruknął Rudnicki.

– Nie chcesz chyba z nim...

– Jeszcze jak chcę! – warknął alchemik.

– Zwariowałeś! To robota dla artylerii!

– To on rozkazał zabić Natalię i organizował u was spiski, wreszcie nasłał drużynników na twój dom. Guang mówi, że to coś jest wysłannikiem jednego z Szepczących.

– Nie dasz mu rady!

Rudnicki odsłonił zęby w dzikim, bezradnym uśmiechu.

– Być może – przyznał. – A może jednak...

Samarin zamrugał: przez chwilę wydało mu się, że dostrzega na bruku strukturę podobną do pajęczej sieci.

– Tam, na ziemi, coś jest – ostrzegł.

– Oczywiście, że tak. To miniaturowa Gwiazda Trithemiusa, każdy, kto zakłóci ten wzór, będzie martwy.

– I co chcesz z tym zrobić?

– Wewnątrz tego symbolu jest trochę miejsca. Jeśli się tam przeniosę, magia gwiazdy nie zadziała. I jeszcze jedno: gdybym zginął, natychmiast się wycofajcie.

– Ja...

– Guang!

– Tak?

– Przenieś mnie tam! Teraz!

Generał nie zauważył, jak i kiedy Rudnicki znalazł się obok demona, natomiast wszyscy w promieniu kilku wiorst usłyszeli wrzask potwornej istoty, kiedy miecz alchemika odciął jej stopę. Sekundę później Przekłęty zwałił się na kolana, lecz nawet wówczas górował wzrostem nad Rudnickim. Dziwnym gestem zatamował krew, po czym wdał się w wymianę ciosów z alchemikiem. Rudnicki walczył po mistrzowsku, najwyraźniej udoskonalił swoje umiejętności szermiercze, jednak w końcu demon powalił go na bruk i dzikim ciosem wybił z dłoni miecz.

Samarin zamarł, widząc opadające monstrualne ostrze, w powietrzu zaświszczały odłamki kruszonego kamienia, lecz alchemik umknął przed klingą wroga desperackim



rzutem ciała. Chwilę później chwycił Przeklętego za gardło. Lewą ręką.

Demon potrząsnął nim jak terier szczurem, jednak proteza Rudnickiego rozbłysła krwawym blaskiem i generał usłyszał rozpaczliwy charkot: alchemik z okrutną powolnością dusił potwora.

Istota wykonała kilka desperackich cięć, ale Rudnicki uniknął ich bez trudu, wreszcie Przeklęty wypuścił broń i uderzył pięścią. Tym razem trafił i alchemik upadł nieprzytomny na bruk, jednak zanim zdarzyło się coś więcej, Samarin usłyszał mrożący krew w żyłach warkot i na demona rzuciły się trzy gigantyczne tygrysy.

Bestia z siwym pasmem na łbie rozpruła pazurami krocze Przeklętego, a dwie mniejsze tygrysice w mgnieniu oka przegryzły mu ścięgna rąk i nóg. Paniczny, pełen niewyobrażalnego bólu wrzask niemal powalił generała, lecz ucichł chwilę później, kiedy siwa tygrysica pogardliwym ciosem pazurzastej łapy rozbiła czaszkę demona.



Samarin sprężył się do biegu, a wtedy stojący obok Guang przecząco pokręcił głową.

– Poczekaj, póki się nie najedzą – powiedział. – W tej postaci one nie w pełni panują nad sobą.

– Ale Olaf...

– Nic mu nie będzie. Jest potłuczony, ma złamane dwa żebra i stracił przytomność. Za kilka minut sam się ocknie.

– Co z Gwiazdą Trithemiusa?

– Zlikwidowałem ją przed chwilą, dlatego tygrysice mogły zaatakować.

Samarin wzdrygnął się ze wstrętem, widząc, jak bestie szarpia zwłoki Przekłętego, wreszcie tygrysice zakończyły ucztę i zniknęły w pobliskiej bramie.

– Kobiety... – mruknął z dezaprobatą Guang. – Próżne i w ludzkiej, i w zwierzęcej postaci – uściślił, kiedy zrozumiał pytający wzrok oficera.

Kilka dziewcząt podbiegło do nieprzytomnego alchemika i otoczyło go ochronnym kręgiem, a Ważka zaczęła nacierać mu skronie.

– Co teraz? – spytał generał. – To już wszyscy?

– Zdecydowanie nie – odparł Guang, zaciskając pięści.

Samarin powiódł wzrokiem za spojrzeniem chłopaka i fala mrozu przebiegła mu wzdłuż kręgosłupa: z bocznej uliczki wychodzili Przekłęci. Niszczyciele, błękitnoskóre furie, wreszcie ogniożercy. Były ich setki.

Gwardzistki błyskawicznie ewakuowały alchemika, i utworzyły najeżony ostrzami czworobok.

– Co rozkażesz, panie? – spytała Ważka.

– Ja?

– Póki mistrz nie odzyska przytomności, ty tu dowodzisz.

– Ci ogniożercy nie są zbyt silni – pocieszył go Guang. – Jakies dwie trzecie tego, co w Moskwie.

– No to rzeczywiście nie ma się czym martwić!

– Panie?

– Rozumiem, że na tygrysice nie ma co liczyć?

– Nie, są zbyt zmęczone, aby dokonać kolejnej przemiany.  
– Guang, możesz osłonić moich ludzi przed ogniem?  
– Na minutę, może dwie, nie dłużej.  
– W porządku, kiedy dam ci znać, osłonisz czołgi. To te wielkie...

– Rozumiem – przerwał mu młodzieniec. – A później?  
– Pierwszy atak powinien ich nieźle przetrzebić, ale na pewno nie zabijemy wszystkich, wtedy wy ruszycie do akcji, a po was moja piechota wspierana przez tankietki oczyści teren.

– A pan?

– Ja pójdę z wami.

Guang porozumiał się wzrokiem z Ważką, po czym oboje skłonili się na znak zgody.

– No dobrze, zaczynamy – westchnął Samarin, sięgając po raketnicę.

Czerwona rakietka wzbiła się w górę, chwilę później ciszę rozdarł ryk potężnych silników i klekot gąsienic, a na plac zaczęły wjeżdżać czołgi.

– Teraz! – krzyknął generał.

Guang splótł palce i wymamrotał kilka sylab. Na czoło hordy *theokatáratos* wysunęli się ogniożercy i w stronę czołgów trysnęły płomienie, ale mimo iż powietrze zatrzeszczało od żaru, spłynęły nieszkodliwie po pancerzach. Zahuczały armaty i w ciżbie Przeklętych pojawiły się krwawe bruzdy, choć ogniożercy nadal stali niewzruszenie naprzeciwko plujących śmiercią maszyn.

Ważka wyjęła miecz, lecz Samarin powstrzymał ją stanowczym gestem.

– Jeszcze nie! – zawołał, przekrzykując bitewny zgiełk.

Tymczasem Guang osunął się na kolana, jeden z czołgów eksplodował, a kolejne dwa spowiły płomienie.

– Łucja?

– *Już, wujku.*

Generał poczuł dziwne mrowienie, a uderzenie serca później w jego dłoni pojawiła się czarna szabla.

– Naprzód! – krzyknął.

Gwardzistki zasypały Przeklętych lawiną bełtów, po czym rzuciły się do biegu. Błysnęły srebrem miecze i wojowniczkę z innego świata przeorały ciżbę *theokatáratos*, zostawiając za sobą dziesiątki rozczłonkowanych ciał.

Samarin ruszył wraz z nimi, siekąc na prawo i lewo, tnąc bycze karki i kończyny. Za plecami słyszał tupot żołnierskich butów i warkot karabinów maszynowych. Kto nie zginął w starciu z gwardzistkami, umierał pod ciosami szabel i bagnatów.

– *Uważaj, wujku!* – zawołała Łucja.

Generał odparował cios dwuręcznego miecza, lecz kolejny rzucił go na kolana. Niszczyciel, który go powalił, zaryczał tryumfalnie, unosząc zbroczoną krwią klingę, jednak zanim ją opuścił, jego pierś przebił tuzin ostrzy.

– Nic ci nie jest? – spytała z niepokojem Ważka.

– To tylko... starość – wydyszał Samarin.

– Odpocznij, zajmiemy się resztą.

Generał wdrapał się na pancerz jednego z ocalałych czołgów i rozejrzał po placu: gdzieniegdzie jeszcze toczyły się potyczki, jednak bruk zaścielały ciała *theokatáratos*, bitwa była wygrana.

– *Ta szabla jest coraz cięższa* – powiedział w myśli.

– *Już ją zabieram. Zapamiętałeś, jakie to odczucie?*

– *Tak.*

– *Teraz będziesz mógł przywołać ją na każde życzenie. Prawdopodobnie.*

– *Dzięki wielkie!*

– *No, będziesz musiał trochę poćwiczyć, wujku* – roześmiała się Łucja.

Samarin drgnął, usłyszawszy krzyki. Tym razem zdecydowanie ludzkie krzyki.

– *Spokojnie, wujku! To tylko drużynnicy. Przyczaili się niedaleko stąd, zamierzali zaatakować was z flanki, tylko nie wzięli pod uwagę, że tak szybko rozgromicie theokatáratos. Tata kazał ich eksterminować.*

– *Może trzeba ich było najpierw...*

– *Przesłuchać? – weszła mu w słowo dziewczynka. – A to w jakim celu? Wiesz, że wśród nich jest majordomus dziadka Rodriga? Cały czas się zastanawiałam, kto wpuścił Przeklętych do zamku, żeby nas zabić. Teraz już wiem – dodała z zimną satysfakcją Łucja.*

– *Ale ten były majordomus...*

– *Nie ma o czym mówić – ponownie przerwała mu dziewczynka. – Zresztą w tym momencie jest on definitywnie były.*

Generał westchnął, słysząc głos czterdziestoletniej kobiety. Wnioskując z tonu, panienska Łucja nie była w nastroju do dyskusji.

– *No dobrze, niech ci będzie. Jak sytuacja w enklawie? A może powinienem spytać Guanga?*

– *Nie trzeba, rozmawiam z nim cały czas. Zlikwidowaliście większość Przeklętych, zostały tylko niedobitki, twoi ludzie bez problemu oczyszczą teren.*

– *I co dalej?*

– *Zrobisz, co zechcesz, ale ja na twoim miejscu zasiedliłabym enklawę przyjaźnie nastawionymi theokatáratos.*

– *A może ludźmi? – odparł zirytowany Samarin. – Tu było kiedyś normalne miasto!*

– *Było – potwierdziła Łucja. – Naprawdę myślisz, że ktoś z własnej woli osiedliłby się w miejscu, gdzie ulice nieustannie meandrują, a kamienice zmieniają kształt przy każdej pełni*

*Księżycyca? Gdzie w każdej chwili mogą się pojawić nowi.. lokatorzy?*

Generał machnął z rezygnacją ręką i podszedł do alchemika. Rudnicki odzyskał już przytomność, ale blada, spotniała twarz świadczyła, jak bardzo jest wyczerpany.

– Kończymy akcję? – spytał Samarin.

– Kiedy tylko uznasz za stosowne. Ja muszę odpocząć. I jeszcze jedno: miej oko na dziewczuchy.

– Myślisz, że jakby co, posłuchają mnie?

– Na pewno. Może trochę popyskują, ale posłuchają.

– Ważka! – rzucił rozkazująco generał.

– Tak, panie?

– Zbieraj ludzi i wracajcie do koszar, a tego zdechlaka odwieźcie do mojego domu. I żadnych ekscesów po drodze!

Dziewczyna wyduła buntowniczo wargi, jednak zmierzona surowym wzrokiem przez Samarina, ruszyła wykonać polecenia.

Generał rozprostował ramiona, po czym wykonał kilka skłonów, żeby rozluźnić mięśnie.

Cóż. Co by o tym nie mówić, nie dość, że przeżyłem, to jeszcze zamknąłem sprawę drużynników, pomyślał. Ciekawe, jak zareaguje na to car? Ale tym będę się martwił jutro.



Obudził go szelest gazety i zapach farby drukarskiej przemieszany z wonią kawy. Anna przewróciła kolejną stronę i popatrzyła na męża spod oka.

– Co się dzieje? – wymamrotał Samarin.

– Czas wstawać. Dochodzi południe.

Generał usiadł, a żona podłożyła mu pod plecy poduszkę z wprawą zawodowej pielęgniarki.

- Jak sytuacja?
- Wygląda na to, że wszystko pod kontrolą.
- A Olaf?
- Dochodzi do siebie, Ważka smaruje go co dwie godziny jakąś śmierdzącą maścią, a on sam zjadł niedawno trzecie śniadanie.

Wzmianka o jedzeniu sprawiła, że oficer poczuł skurcze żołądka.

- Ja też bym coś zjadł – powiedział szybko.
- Zaraz pošlę służącą do kuchni. Jak zjesz, musimy porozmawiać.
- Co się stało? – spytał oficer zaalarmowany tonem Anny.
- Dziś z rana przyjechałam delegację: Okoniowa, księżę Chreptowicz i baronowa von Luschke chcą towarzyszyć dziewczynkom do świata Nefilim.
- Żartujesz?!
- Ani trochę.
- To wariactwo! Pół biedy Okoniowa, ale Chreptowicz i baronowa będą tam nikim! Bez pieniędzy, pozbawieni obecnego statusu i wpływów...
- To samo im powiedziałam, lecz nie wyglądali na przekonanych.

– Nie wiadomo, czy to w ogóle możliwe, musiałbym najpierw porozmawiać z Olafem.

- Porozmawiasz, z tym że najpierw coś zjedz. Przy stole.
- Liczyłem na śniadanie do łóżka...
- Wstawaj, nie marudź.

Samarin podniósł się ze stęknieniem, założył podany przez żonę szlafrok i ciężko usiadł za stołem.

- Zadowolona?
- Teraz tak – odparła z ulgą Anna.
- O co ci chodzi? – Zmarszczył brwi.



– Obserwowanie, jak pacjent się porusza, to część diagnozy, bo większość chorób odbija się na aparacie ruchowym. W ten sposób można stwierdzić, czy choremu się poprawia, a nawet ile jeszcze pożyje.

– I jak? – spytał z ciekawością generał.

W odpowiedzi Anna pokazała mu język i wyszła, aby wydać dyspozycje służbie.

Samarin stanął przed lustrem i wykonał kilka przysiadów.

– Chyba nie jest ze mną tak źle? – mruknął.

Dotknął policzków: skóra nadal poznaczona była czerwonymi plamami, ale można było przypuszczać, że zagoi się bez blizn. Dłonie wyglądały dużo gorzej, jednak generał bez trudu mógł poruszać palcami.

Najważniejsze, że stawy w porządku, pomyślał. Bo raczej nie dostałbym takiej protezy jak Olaf...



Samarin odchrząknął niepewnie, widząc, jak Ważka pomaga Rudnickiemu zdjąć koszulę.

– Może przyjdę później? – zapytał.

– Siedź! – odparł alchemik. – Mam nadzieję, że ta paskuda nie będzie mnie aż tak męczyć w twojej obecności.

– To dlaczego to znosisz?

– Muszę jak najszybciej powrócić do zdrowia, na dniach wracam do siebie.

– Jak się czujesz?

– Poszło kilka żeber, no i straciłem sporo energii wewnętrznej, a po powrocie czeka mnie bitwa.

Rudnicki jęknął, kiedy dziewczyna naniosła maść na jego plecy. Plecy i boki alchemika były sinofioletowe.

– To mazidło coś pomoże?

– Tak, zawiera *materia prima*. Tyle że to nie są zwykłe siniaki, te wyleczyłbym dawno. Bestia, z którą walczyłem, użyła też chi. Energii wewnętrznej – dodał, widząc niezrozumienie na twarzy Samarina.

– Coś takiego w ogóle istnieje? – rzucił sceptycznie oficer.

– Zapal lampę – polecił Rudnicki. – Nie tę! Naftową.

Samarin posłusznie wykonał polecenie i niewielka lampa rozjarzyła się ciepłym, żółtym blaskiem.

– A teraz odsuń się i patrz!

Alchemik niedbale pstryknął palcami i lampa zgasła. Po chwili szklany klosz rozsypał się w pył.

– Można się tego nauczyć?

– Jak najbardziej, zostawię ci kilka skryptów na temat rozwoju energii wewnętrznej. Przywiozłem je specjalnie dla ciebie.

– Po jakiemu? Nie znam...

– Znasz – przerwał mu Rudnicki. – Płynie w tobie krew Nefilim, to wystarczy. Dlatego możesz rozmawiać z dziewczynami.

– No dobrze, a co z prośbą baronowej i Chreptowicza? Bo rozumiem, że co do Okoniowej nie masz zastrzeżeń?

– Zabiorę ich ze sobą.

– To w ogóle możliwe? Ten twój Guang może zabrać dowolną liczbę osób?

– Nie dowolną, ale w walce w Moskwie zginęła piątka moich gwardzistów i dwoje tu, w Petersburgu. Mam wolne miejsca – odparł z goryczą alchemik. – Guang już przeniósł ciała zabitych do naszego świata.

Samarin westchnął w duchu: użycie zaimków w rodzaju „nasz” i „mój” odnośnie do świata Nefilim sugerowało, że alchemik nie zamierza wracać.

– No dobrze, a co z ich pozycją społeczną? Co by nie mówić, tu i teraz oboje znajdują się na szczycie hierarchii,

a tam będą nikiem.

– Niezupełnie. Zabiorą ze sobą swój majątek.

– A to w jaki sposób?

– Kupią *materia prima*. Guang może przenieść człowieka z tym, co ten ma przy sobie lub w ręku, o ile bagaż nie przekracza wagi danej osoby. Wreszcie, o ile rozwiążę swoje problemy, sam fakt, że będą moimi domownikami, da im nie mniejszy prestiż niż tutaj ich tytuły.

– Jesteś tam kimś ważnym?

Alchemik skrzywił się niechętnie i zastanawiał nad odpowiedzią przez dłuższą chwilę.

– Teraz niespecjalnie. Później, być może.

Kłęcząca za plecami Rudnickiego Ważka wywróciła oczyma, słysząc ostatnie zdanie, więc generał obiecał sobie porozmawiać z wojowniczką na osobności.

Tymczasem Ważka skończyła masaż i ponaglona gestem alchemika wyszła z pokoju.

– Chcesz pogadać bez świadków? – zaniepokoił się Samarin. – Coś się stało?

– Owszem, coś się stało, dlatego wysłałem ją po Annę. Wolę się upewnić, zanim ci powiem.

– Możesz przestać mówić zagadkami? – zaproponował zirytowany generał. – Ostatnio i tak mam zszarpane nerwy.

– To widać. Powinieneś odpocząć.

– Ciekawe kiedy? Ja...

Dalszą rozmowę przerwało im pukanie i w progu pojawiła się Anna.

– Podać wam coś do jedzenia? – spytała. – A może odrobinę koniaku? I dlaczego Ważka sprawdzała mi puls? Nic mi nie dolega.

– Usiądź obok mnie – poprosił Rudnicki.

Samarin zmarszczył brwi, widząc, że alchemik, nie pytając o pozwolenie, kładzie Annie rękę na brzuchu.

– To tylko procedura medyczna – Ważka z uśmiechem uspokoiła generała. – Mistrz woli sam się upewnić.

– Coś jej dolega?

– I owszem – odparł z ironią Rudnicki. – Czekają was ciężkie czasy. Gratulacje – dodał, obejmując bez żenady Annę. – To bliźniaki.

– Naprawdę? – rozpromieniła się Anna.

– Naprawdę. Niestety, muszę was uprzedzić, że nie będzie lekko.

– Co to, do licha, znaczy?! – warknął Samarin.

– Wasze dzieci już teraz obdarzone są sporą mocą, a kiedy się urodzą...

– Gadaj!

– No cóż, wyobraź sobie parę rozdokazywanych dwulatków posiadających magiczne umiejętności na poziomie średniej klasy maga. A problem będzie narastał wraz z wiekiem.

Samarin odetchnął głęboko i poluźnił kołnierzyk.

– Bliźniaki? – upewnił się.

– Bliźniaki.

Generał porwał żonę na ręce i zawirował jak w tańcu.

– Będziemy mieli dzieci! – krzyknął.

– Będziecie, będziecie – przytaknął z wyrozumiałym uśmiechem Rudnicki. – Moi ludzie od wczoraj zbierają dla nich prezenty.

Samarin pocałował Annę, nie zwracając uwagi na alchemika i Ważkę. W głowie huczało mu jak po ostrym strzelaniu.

Wreszcie i pod naszym okienkiem zaświeciło słońeczko, pomyślał. Biorąc pod uwagę sytuację, czeka nas przynajmniej kilkanaście lat spokoju. Wreszcie...



Samarin poczekał, aż lokaj poda koniak i wino, po czym rozlał alkohol, pomijając jedynie żonę.

– Co to za maniery! – skarciła go księżna. – A Anna?

Generał skinieniem dłoni odprawił służbę i odezwał się, dopiero kiedy majordomus zamknął za sobą drzwi.

– Anna nie może już pić alkoholu – odparł z wystudiowaną nonszalancją. – Rozumiesz, ciociu, zalecenie lekarza.

– Coś jej dolega?

– Owszem. Cięża. Olaf twierdzi, że to bliźniaki.

Księżna zbladła jak ściana i chwyciła się za serce.

– Ciociu! Nic cioci nie jest? Może wezwać...

– Nie, nie! To tylko chwilowa słabość. Tak się cieszę!

Tymczasem Józef Andriejewicz otarł zroszone potem czoło, po czym chwycił butelkę koniak i opróżnił ją do połowy kilkoma łykami.

– Jesteś pewien? – spytał ochrypłym głosem.

– Całkowicie – zapewnił oficer.

– Co za matoly! – wymamrotał Polak, po czym uściskał Annę i generała. – Nareszcie! – powiedział. – Nareszcie będę miał wnuki!

Księżna Samarin poszła w ślady męża, po czym sięgnęła po wino i uniosła kieliszek w niemym toaście.

– Już ci daruję tę rozrzutność – powiedziała. – A miałam zamiar nieźle natrzeć ci uszu. Kto to widział, żeby kupować *materia prima* za milion rubli! W jeden dzień! Wiesz, że ceny momentalnie podskoczyły?

– Możliwe, ale to nie tylko moja wina, baronowa von Luschke i książę Chreptowicz kupili dużo więcej.

– Zabrali to ze sobą jako lokatę kapitału? – domyślił się Polak.

– Tak.

Na mocy niepisanej umowy nikt nie wspominał o tym, że Rudnicki i dziewczynki już nie wrócą.

– Dałeś to Olafowi? – kontynuował Józef Andriejewicz.

– Owszem.

– Hojność to cecha prawdziwego szlachcica, jednak trochę przesadziłeś – powiedziała księżna. – Olaf chyba i tam nie jest biedny.

– Przecież Saszka nie zginie z głodu – wzruszył ramionami Polak.

– On tego potrzebował, tam, po drugiej stronie – odparł Samarin. – A co do majątku, to obawiam się, że nie tylko nie straciłem, ale i zyskałem.

– Co masz na myśli?

– Mój kuzyn wymknął się wczoraj do miasta i odwiedził notariusza. Zapisał mi cały swój majątek, w tym udziały w hotelowym imperium niejakiej pani Smith. Sam nie wiem, ile to warte, ale na pewno dużo więcej niż milion rubli.

– Oczywiście nie powiedział ci o tym?

– Jakbyś go nie znała. Dopiero dzisiaj poinformował mnie goniec od notariusza.

– I tak mu nigdy nie wybaczę – wymamrotała starsza pani.

– Czego?

– Nawet się ze mną nie pożegnał.

– Tylko Saszka był z nim, kiedy opuszczał nasz... świat. Dziewczynki bardzo płakały, więc Olaf nie chciał przyczyniać im bólu – wtrąciła Anna.

– Hania na pewno, ale Łucja?

– Także Łucja – potwierdził generał. – No i zostawiły dla wszystkich prezenty.

– Gdzie? – ożywiła się księżna.

– Nie wiadomo. To sprawka Łucji. Powiedziała, że je znajdziemy, kiedy będą nam najbardziej potrzebne.

– Nie znoszę zagadek! To rozrywka parweniuszy – oznajmiła wyniośle starsza pani.

Józef Andriejewicz błyskawicznym ruchem pociągnął za wstążkę podtrzymującą kunsztownie upiętą fryzurę żony, rozburzone włosy odmłodziły księżnę o dobre dziesięć lat.

– Nie marudź – powiedział jakby nigdy nic. – Skoncentruj się lepiej na pozytywach.

– Pozytywach? – Księżna uniosła rękę obronnym gestem.

– Car ostatecznie zdecydował się zerwać z drużynnikami i całą tą idiotyczną ideologią przedstawiającą Rosjan jako naród wybrany. Woroncow odchodzi na emeryturę, bo chce się nacieszyć młodą żoną, więc jak myślisz, kto w tej sytuacji zostanie najbliższym doradcą cara?

– Saszka?

– No cóż, rzeczywiście dostałem list od Woroncowa sugerujący coś w tym rodzaju – przyznał niechętnie Samarin. – A na przyszły tydzień mam zaproszenie od Jego Wysokości.

Z twarzy starszej pani nie zniknął smutek, ale w jej oczach pojawił się błysk satysfakcji.

– Masz mnie o wszystkim informować! – rozkazała.

– Tak, ciociu.

– Jak wyglądało to... przejście?

– Niewiele widziałem. Oślepiło mnie przeraźliwie jasne światło. Kiedy otworzyłem oczy, ich już nie było – odparł generał.

– Miejmy nadzieję, że to dobry prognostyk – podsumował Józef Andriejewicz. – Światło.

Oby, pomyślał Samarin. Światła nigdy za wiele.

# X

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



**R**udnicki wstał z ziemi – wstrząs wywołany powrotem do świata Nefilim powalił go na kolana – i rozejrzył się: znalazł się tuż obok namiotu z proporcem dowódcy. Najwyraźniej Guang powrócił niemal w ten sam punkt, z którego wyruszyli. Wokół alchemika tłoczyli się gwardziści, a grupa zbrojnych uczennic otaczała Łucję i Hanię.

– Ważka, umieść dzieci i naszych gości w jednym namiocie i zorganizuj im ochronę! – rozkazał.

– Natychmiast, mistrzu.

– Guang, za mną!

Nie czekając na odpowiedź, Rudnicki podążył do swojej kwatery. Tak jak się spodziewał, nie musiał długo czekać na przybycie Meng Tiana i Rudao. Na twarzach obu oficerów malowała się wyraźna ulga.

– Miałeś wrócić w tej samej sekundzie, a nie było cię prawie dwanaście godzin! – strofował go Meng Tian.

– Wszystkie pretensje do młodego – odparł alchemik. – To nie moja wina, że nawaliło mu poczucie czasu. Jak sytuacja?

Wyglądało, że Guang chce coś powiedzieć, ale Rudao zgasił go jednym gestem.

– Teoretycznie nie jest źle – oznajmił posepnie. – Księżyc jest w potrzasku, bo jej wojska utknęły między nami



i oddziałami Szron. Księżna Chonghua ma już ponad sto tysięcy ludzi.

– Ale? – rzucił alchemik.

– Ano właśnie, ale – przytaknął z westchnieniem Meng Tian. – Problemem są magowie Białych, czy raczej jeden mag, ten sam, który pociął Guanga wzdłuż i w poprzek.

– Mogę go powstrzymać – odezwał się niepewnie książę. – Na godzinę lub dwie. A wy przez ten czas...

– Akurat! – warknął Rudao. – Walka z panienką Księżyc to robota na dwie lub trzy doby, a i to przy pomyślnych wiatrach. No i ciekawe, co ten mag z tobą zrobi przez te dwie godziny? Jeśli umrzesz, twój ojciec uśmierci nas w taki sposób, że lepiej nam będzie zginąć w walce!

– Co proponujesz? – spytał alchemik.

– Miałem nadzieję, że ty coś wymyślisz – odparł bez cienia ironii Rudao.

– Może nie przesadzajmy? Gdyby ten mag był taki wszechmocny, dawno by nas zniszczył. Owszem, pewnie ma w zanadrzu kilka przykrych sztuczek, ale to wszystko. Jak by nie było, to Księżyc jest w gorszej sytuacji taktycznej.

– Niby tak – skrzywił się Meng Tian. – Tylko że nasi eksperci twierdzą, że każda większa akcja wymaga energii, a on niedawno sporo jej stracił. Może po prostu zbiera siły przed atakiem?

– Guang? – Rudnicki scedował pytanie na młodzieńca.

– Coś w tym jest – przytaknął książę. – Jednak mamy pewną przewagę nad tym magiem, jak silny by nie był.

– Tak?

– I ja, i Ying Tu możemy zwiększyć swój poziom energii niemal momentalnie...

– Mistrz Wu zabronił nam tego kategorycznie!

– A widzisz alternatywę?

– O czym wy mówicie? – zmarszczył brwi Rudao.

– Nieważne – zbył go alchemik. – To sprawy magów. Zostawcie nas samych.

Oficerowie skłonili się i wyszli bez słowa.

– Co robimy? – spytał Guang.

– A co możemy zrobić w tej sytuacji? – odparł ponuro Rudnicki. – Złamiemy zakaz mistrza.

– To do roboty!

Alchemik płynnie przeszedł do świata Guanga, pomaszerował do swojego apartamentu i nie tracąc czasu, zasiadł w pozycji medytacyjnej. Za oknem słońce zastępowały gwiazdy lub jasne, dziwnie brutalne światło księżyca, Rudnicki jadł, spał i ćwiczył, nieustannie ćwiczył. Służący przynosili posiłki, sprząтали skromną izdebkę alchemika, przygotowywali kąpiel i dostarczali czystej odzieży. Alchemik nie zwracał na nich uwagi. Ćwiczył.

Któregoś dnia z transu wyrwał go dźwięk pękającej szyby. Siedzący na oblodzonym parapecie wróbel walił dziobem w szkło, po chwili na szybie powstał ideogram „Wracaj”.

Rudnicki niechętnie wstał i podszedł do drzwi, wreszcie położył dłoń na klamce. Tym razem powrót był nieprzyjemny, w dodatku za stołem w kwaterze alchemika siedział mistrz Wu. Wnioskując z wyrazu twarzy, mocno wkurzony mistrz Wu...



– Nie mieliśmy innego wyjścia – powtórzył po raz kolejny Rudnicki. – Co innego mogliśmy zrobić, żeby go pokonać?

– Pokonać Widmo? – parsknął pogardliwie Wu. – Nie bylibyście w stanie. Nigdy i w żadnych okolicznościach.

– Więc przegramy?

– Skądże znowu! Widmo jest już trupem, szkoda czasu nawet rozmawiać na ten temat, trzeba się zastanowić, jaki

pokój zawrzeć z Białym Chanatem.

– Pokój?!

– To chyba oczywiste?!

Alchemik westchnął i dolał herbaty swojemu gościowi. Mistrz Wu nagminnie stosował skróty myślowe, a konieczność tłumaczenia rzeczy, które uważał za oczywiste, irytowała go niepomieranie.

– Mówisz, że nie ma co przejmować się Widmem? Ale skoro nie mogę go pokonać nawet razem z Guangiem...

– Tępi uczniowie to prawdziwe przekleństwo nauczyciela – poskarżył się Wu. – Oczywiście, że to ja go pokonam!

– Szkoła Białej Kozy nigdy nie mieszała się w sprawy imperium.

– Nadal się nie miesza. Widmo zabił mojego syna, to sprawa rodzinna.

Alchemik skinął głową. Mimo że Wu nie podniósł głosu ani nawet nie zmienił tonu, stało się oczywiste, że nie ma sensu zajmować się wrogim magiem. Widmo był już trupem. Tylko skąd pomysł zawarcia pokoju z Białym Chanatem?

– Nie wiem, czy Księżyc będzie chciała w ogóle ze mną rozmawiać – powiedział po chwili milczenia.

– Po śmierci Widma i owszem, praktycznie to on stworzył Białą Chanat. Władcy to tylko marionetki w jego rękach.

– Myślisz, że Księżyc uniesie się ambicją i postanowi przejąć władzę?

– Na pewno skorzysta z okazji, sam chan to na wpół wariat bez realnej władzy czy charyzmy, Księżyc zdmuchnie go jak niesforny loczek z czoła.

– Nie czujesz do niej nienawiści, prawda? Mimo tego, co zrobiła.

– A ty? – odbił pytanie Wu.

Rudnicki zakołysał czarką herbaty i wypił chłodny już napój kilkoma łykami.

– Możliwe – przyznał. – Jednak imperator będzie to widział inaczej.

– Dlatego jesteś mi potrzebny. Żeby przekonać cesarza.

– Ale dlaczego? Teraz z twoją pomocą możemy ją zniszczyć, a przy okazji najbardziej elitarną armię Białego Chanatu.

– Nie zawsze niszczenie jest właściwą odpowiedzią.

Alchemik zalał kolejną porcję herbaty wrzątkiem i użył bambusowego pędzelka, żeby wytworzyć pianę. Na pewno nie był ekspertem ceremonii herbacianej, każda służąca zrobiłaby to lepiej, ale wydawało się, że mistrz Wu przyjmuje wysiłki Rudnickiego z zadowoleniem.

– Istnieją dwa powody, dla których byłoby to niewłaściwe – powiedział starszy mężczyzna. – Wiesz, że Ziemia jest okrągła?

Zaskoczony Rudnicki przytaknął gestem.

– Na północ od Białego Chanatu istnieje kilkanaście barbarzyńskich państw i upadłe imperium. Naprawdę mroczne imperium. W tym momencie kontroluje je Biały Chanat, ale jeśli osłabnie, tamci ruszą do walki i prędzej czy później spotkamy się z nimi na placu boju. A wierz mi, że przy nich Biali to humaniści.

– Rozumiem.

– Drugi powód to sama Księżyc – kontynuował Wu. – Mój syn zginął, bo nie potrafił kontrolować swoich uczuć i zakochał się w niewłaściwej kobiecie. Księżyc to moja prawnuczka. Choć pewnie powinienem dodać kilkanaście „pra”.

Oszołomiony alchemik potrząsnął głową niczym pies po wyjściu z wody, a uświadomiwszy sobie wszelkie implikacje

tego, co przed chwilą powiedział Wu, oblał się zimnym potem.

– Mistrzu, ja nigdy...

– Wiem, że mnie nie zdradzisz – przerwał mu Wu. – Nie jesteś może najbystrzejszy, ale nie widzę w tobie niegodziwości. Nie mam tajemnic przed uczniami-wewnętrznego kręgu, jest was tylko troje: ty, Dipen i Yunru. Kiedyś cię z nią zapoznam, bo Dipena już spotkałeś.

Rudnicki odpowiedział czołobitnym ukłonem. Uczniowie wewnętrznego kręgu byli szkoleni osobiście przez mistrza i ten traktował ich jak własne dzieci. Ważka miała rację, pomyślał alchemik.

Niespodziewanie poczuł głęboką wdzięczność do tego niemal nieznanego mu człowieka, który już kolejny raz z rzędu wyciągał go z opresji, i pokłonił się powtórnie.

– Tylko mi się tu nie rozczulaj! – ostrzegł burkliwie Wu. – Nie znoszę tego! Późno już, a ty jesteś zmęczony po tej całej podróży. Kładź się spać, każę, żeby cię do rana nie budzili. Na jutro masz być świeży i wypoczęty, żebyś mógł rozpocząć negocjacje z panienką Księżyc.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu alchemik zasnął w poczuciu bezpieczeństwa, niczym małe dziecko w obecności rodzica. Tuż obok czaiła się licząca setki tysięcy wroga armia oraz mag o ogromnej potędze, ale skoro mistrz Wu był w pobliżu, nie było się czym martwić.



Obudziły go słodkie tony bambusowego fletu, grała szczupła wojowniczką w zbroi gwardzistki. Kiedy Rudnicki wstał, dziewczyna ukłoniła mu się z nieśmiałym uśmiechem i zniknęła między namiotami.

– Śniadanie! – oznajmiła Ważka, niosąc zastawioną naczyńiami tacę.

Tym razem zamiast wojskowej owsianki Rudnicki otrzymał zupełną ze złotego lotosu posypaną świeżymi płatkami róży.

– A to skąd? – spytał ze zdziwieniem. – Czy sezon na róże nie skończył się dobre trzy miesiące temu?

– Pytaj mistrza Wu, to on dostarczył recepturę i składniki. I żadnej dyskusji! – dodała, widząc, jak alchemik przygląda się przystawkom. – Jeśli czegoś nie zjesz, mam mu zameldować – dodała ze złośliwym uśmiechem.

– Gdzie on jest?

– Zniknął jakieś dwie godziny temu.

– Zawołaj Guanga i obu generałów – polecił.

– Teraz? Pewnie jeszcze jedzą śniadanie.

Spojrzenie alchemika odpowiedziało jej na to i kilka innych pytań, więc Ważka wysliznęła się z namiotu i popędziła wykonać rozkaz.

Kiedy Rudnicki zjadł i skończył się ubierać, sięgnął po przywieszkę szkoły, ale zamiast starej, złocistego koloru, dostrzegł śnieżnobiały żeton z symbolem kozy i ideogramami znaczącymi tyle co „uczeń wewnętrznego kręgu”. Sam żeton – alchemik miał co do tego absolutną pewność – został wykonany własnoręcznie przez mistrza Wu i wydawał się ciepły w dotyku.

Dalsze rozważania przerwało Rudnickiemu nadejście generałów i Guanga, w namiocie pojawiła się też Ważka. Dziewczyna błyskawicznie sprzątnęła ze stołu i podała gościom herbatę.

– Coś się stało? – spytał z niepokojem w głosie Rudao.

Jak zauważył Rudnicki, ostatnio oficer zachowywał się dużo bardziej swobodnie.

– Stanie się – odparł lakonicznie alchemik. – I musimy się do tego przygotować.

– A konkretnie? – zainteresował się Meng Tian. – Proszę tylko bez zagadek z samego rana, i tak mam już zszarpane nerwy.

– Mag, który pociął Guanga, nosi pseudonim Widmo i jest dużo starszy i silniejszy, niż nam się wydawało. Niemniej niedługo przestanie być naszym problemem i wypada się zastanowić, co dalej.

– Przestanie?! – krzyknął Guang. – Ciekawe, jakim cudem? Próbowałem zwiększyć swoją moc, ale nie wyszło. Wydaje się, że w moim świecie mogą to robić tylko zaproszeni... goście.

– To nieważne – uspokoił go Rudnicki. – Zajmie się tym mistrz Wu. A teraz do rzeczy: kiedy Widmo zginie, zmusimy Księżyc do negocjacji, jednak najpierw wypadałoby przekazać jej sygnał.

– Jaki, do licha, sygnał?!

– Świadczący o tym, że wiemy, że nie może liczyć na swojego maga – wyjaśnił cierpliwie alchemik. – Ponieważ sam fakt, że on zginie, niczego nam nie da. Ona musi mieć świadomość, że my o tym wiemy, inaczej nie będzie chciała z nami gadać.

– Co masz na myśli? – spytał Rudao.

– To ja was pytam – wzruszył ramionami alchemik. – Jakież propozycje?

Rudao pochylił się nad mapą i kilkakrotnie zmierzył odległość między oddziałami Armii Żelaznej Modliszki i umocnieniami Białych.

– Moglibyśmy wyrównać linię frontu – stwierdził. – Trochę nas poszarpali w ostatnim ataku, w paru miejscach ich czołówki wdarły się niemal na kilometr w głąb naszych linii.

– To nie przerodzi się w generalną bitwę?

– Nie powinno, o ile poprzestaniemy na zajęciu naszych dawnych stanowisk. Każdy oficer odróżni przygotowania do oczyszczenia pobliskich okopów od koncentracji sił przed generalnym natarciem. Tyle że pewnie nie będą zachwyceni.

– Nie muszą być. Wyjaśnię jej wszystko osobiście.

– A jeśli spróbuje cię zabić?

– Straciwszy Widmo, z magiem klasy mistrza Wu po naszej stronie? Nie żartuj.

Rudao odchrząknął dyplomatycznie, widać było, że coś go nurtuje.

– Założmy, że mistrz Wu rzeczywiście wygra. Stare przysłowie mówi, że kiedy walczą dwa tygrysy, jeden zginie, drugi zostanie ciężko ranny...

– Niewykluczone – przyznał po namyśle alchemik. – Choć sądzę, że nie będzie tak źle. Tak czy owak, mamy Guanga, a oni jedynie kilku kiepskich magów. Po śmierci Widma runie cała ich magiczna obrona.

– No dobrze – podchwycił Rudao. – A co może zrobić Guang? Bo większość magów w trakcie bitwy skupia się na obronie, a nam potrzeba czegoś więcej.

– Guang? – Rudnicki spojrzał na chłopaka.

– Cóż, mógłbym zniszczyć ich maszyny wojenne – odparł niepewnie młodzieniec.

– To już coś – przyznał Meng Tian. – Znaczący nie będą mieli wsparcia balist i katapult, ale prędzej czy później i tak dojdzie do walki wręcz, co wtedy? Biali mają przewagę liczebną.

Książę milczał przez chwilę z nieszczęśliwą miną, wreszcie wzruszył ramionami.

– Mógłbym spróbować posłużyć się ogniem albo...

– Nie! – przerwał mu alchemik. – Żadnego zabijania!



– A to dlaczego? – rzucił ostro Rudao. – Mamy wojnę, a Guang jest żołnierzem, jak i my wszyscy.

– Bo ja tak mówię! – warknął gniewnie Rudnicki. – I koniec dyskusji na ten temat!

– No dobrze – westchnął Meng Tian. – Podejrzewam, że młody i tak nie byłby w tym zbyt dobry. Co jeszcze możesz zrobić? – spytał, zwracając się do chłopaka.

– Kiedy próbowałem zwiększyć moc w swoim świecie, przyszło mi na myśl, aby popracować z metalem.

– O czym on mówi? – zdziwił się Rudao. – Co za „jego świat”?

– To sprawy magów – zbył go alchemik. – Z jakim skutkiem? – ponaglił młodzieńca.

– Z jakichś względów nie mogę wiele zrobić z bronią, rozgrzanie mieczy bardzo mnie wyczerpało i miało tylko ograniczony efekt, co innego metale niższej jakości.

– Dalej nie rozumiem – zniecierpliwił się Rudao.

W odpowiedzi Guang wycelował w niego palec i wymamrotał coś pod nosem.

– No i? – skomentował ironicznie generał.

– Mógłby pan wstać?

Rudao dźwignął się niechętnie, przez chwilę nic się nie działo, później zbroja oficera rozpadła się na części i generał został w spodniach i pikowanym kaftanie wkładanym pod pancerz. Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem.

– Co się...

– Mogę zniszczyć wszystkie metalowe elementy niezrobione z wysokogatunkowej stali i niewzmocnione runami – wyjaśnił skromnie chłopak. – Zapinki, guziki, sprzączki, uchwyty tarcz...

– Robi wrażenie – przyznał Meng Tian, starając się opanować wesołość. – To lepsze niż gromada magów

bojowych.

– Matoły! – mruknął Rudao, siadając. – Jaki zasięg ma ta technika?

– Musiałbym ją przetestować w praktyce – odparł Guang. – Myślę, że ograniczy się do mojego pola widzenia, ale to dość łatwe, mógłbym chyba zrobić to przynajmniej kilka razy w różnych miejscach.

– Dobra robota! – pochwalił chłopaka Rudnicki. – W takim razie przygotujcie wojsko do akcji i czekamy.

– Na co? – nie zrozumiał Meng Tian.

– Na sygnał. Podejrzewam, że walka mistrza Wu z Widmem będzie dość spektakularna i na pewno zauważymy, że coś się dzieje – wyjaśnił Rudnicki. – Wtedy zaatakujemy.



Wysoki na setki metrów słup liliowego ognia wystrzelił w górę, po chwili zawtórował mu głuchy łoskot druzgotanych skał.

Technika Czarnego Słońca, pomyślał alchemik, przygryzając wargi. Widmo oszukuje, musiał rzucić do ataku żołnierzy, być może specjalnie przeszkolonych do walki z magami. W końcu miał setki lat na przygotowania. Szlag!

Kiedy rozpoczęła się walka magów, alchemik nie był już taki pewny zwycięstwa mistrza Wu. Potęga, jakiej obie strony użyły w starciu, porażała.

Rudnicki uniósł dłoń i opuścił ją gwałtownie. Zahuczały wojenne bębny, zakołysały się sztandary piechoty i Armia Żelaznej Modliszki ruszyła do ataku. Stojący na wysokiej na trzydzieści metrów wieży Guang wykonał dziwny gest i maszyny wojenne Białych rozpadły się w pył. Alchemik

miał nadzieję, że i kolejny czar chłopaka okaże się skuteczny, jednak nie miał czasu obserwować pola bitwy, maszerował wraz z innymi, chroniony przez stuosobowy oddział gwardii.

– Uciekają! – krzyknął Ryba, dowodzący ochroną Rudnickiego. – Uciekają!

Alchemik wyciągnął szyję, lecz ze środka szyku nic nie było widać.

– Nie tak, wujku!

Ryba rzucił krótką komendę i czterech gwardzistów połączyło tarcze, po czym wzniosło je nad głowy. Rudnicki jednym skokiem znalazł się na tym zaimprovizowanym podwyższeniu i rozejrzał. Gdzieniedzie toczyły się potyczki, ale większość Białych albo uciekła, albo uciekała. I nic dziwnego: trudno walczyć w samej bieliźnie...

– Zajmować okopy i ani kroku dalej! – polecił alchemik.

Bębny powtórzyły jego rozkaz i do opuszczonych przez Białych okopów zaczęli się wlewać żołnierze Wielkiej Han.

– Gdzie Guang? – spytał Rudnicki.

– Będzie tu za parę minut – odparł Ryba, podając alchemikowi magiczny monokular. – Chyba trochę przeszkadza mu ochrona. Kiedy okazało się, kim jest, większość twoich uczennic odkryła w sobie palącą potrzebę obrony następcy tronu – dodał złośliwie.

Rudnicki wyregulował lunetę i zerknął na tyły: grupa gwardzistek osłaniająca Guanga nadchodziła szybkim marszem, w ślad za nimi toczyły się maszyny wojenne.

– Nie wydajesz się specjalnie zdziwiony tym faktem – zauważył podejrzliwie Ryba. – Co ty kombinujesz, wujku? Chcesz go kontrolować?

– Zwariowałaś?! To syn imperatora, jeśli coś mu się stanie, będziemy mieli szczęście, jeśli cesarz każe rozerwać nas koźmi. No i do niedawna wszyscy się nad nim znęcali,

nie chcę, żeby coś takiego się powtórzyło. Od tej pory każdy, kto podniesie na niego rękę, straci ją razem z głową.

– Znęcali? Nad następcą tronu?!

– Kiedyś ci opowiem, to długa historia, teraz mamy ważniejsze sprawy. Idź zobacz, gdzie są wielkie kusze.

– Tak, wujku.

Alchemik zagryzł znowu wargi i tym razem zlustrował przedpole: widać było, że Biali opanowali panikę i w zasięgu wzroku formowały się oddziały ciężkozbrojnej piechoty chanatu, gdzieś widać było pancerze Żuków. Chętnie zasięgnąłby opinii Meng Tiana czy Rudao, ale obaj generałowie byli zajęci przygotowaniami do ewentualnego starcia, gdyż nie dało się wykluczyć, że Księżyc postawi wszystko na jedną kartę i ruszy do kontrataku.

– Ciężkie maszyny będą tu za pół godziny – zameldował zdyszany Ryba. – Lekkie już ustawiają poza linią okopów. O, jest i Guang.

– Dawaj go tutaj!

– Wszystko w porządku? – spytał niespokojnie Guang. – Te miotacze ognia strasznie się wloką, mógłbym je...

– W żadnym wypadku! Jak tam twoje siły?

– Nie powiem, żebym się nie zmęczył – przyznał młodzieniec. – Ale jestem gotowy powtórzyć tę sztuczkę przynajmniej raz.

– W porządku, przejmujesz dowodzenie.

– Co takiego?!

– Słyszałeś. Ja muszę odpocząć.

– Źle się czujesz?

– Wiesz, nie jestem już dwudziestolatkiem – odparł wymijająco alchemik. – Sygnalista!

Bębny powtórzyły komunikat „Guang przejmuje dowodzenie”, a Rudnicki opadł na stertę poduszek

przygotowaną zapobiegliwie przez Ważkę.

– Co teraz? – spytał Ryba.

– Czekamy. Gdyby coś się zmieniło, natychmiast mnie obudźcie.

– Tak, wujku.

Alchemik demonstracyjnie zamknął oczy, jeszcze przez jakiś czas słyszał, jak Guang wydaje komendy, chcąc sprawdzić gotowość bojową żołnierzy, i wysłał gońców, aby przyspieszyć transport machin, później zapadł w sen.



Parlamentariusz Białych podniósł czerwoną chorągiewkę, chwilę później zastąpiły ją czarna i niebieska.

– Chcą rozmawiać – skomentował Meng Tian. – Najwyraźniej zrobiliśmy wrażenie na paniencie Księżyc. Kto pójdzie z nią gadać?

– Ja – westchnął Rudnicki. – Nie ma innego wyjścia – uprzedził protest generała. – Ona nie będzie chciała rozmawiać z nikim innym.

– Nie boisz się? Biali mogą pomyśleć, że kiedy cię zlikwidują, nasza armia pójdzie w rozsypkę.

Rudnicki uśmiechnął się krzywo. Mimo że formalnie dowodził, było oczywiste, iż obaj zastępcy grubo przewyższają go doświadczeniem bojowym i kompetencjami.

– Nie boję się. Za plecami mam mistrza Wu i ona o tym wie.

– Twój mistrz jak wrócił wczoraj do obozu, tak położył się i śpi. Jakaś dziewczuszka przygrywa mu do snu na flecie – dodał złośliwie. – Jesteś pewien, że jakby co, będzie w stanie ci pomóc?

– Całkowicie.

– Co proponujesz? – Meng Tian wskazał ruchem głowy pas ziemi niczyjej.

– Rokowania w cztery oczy. Tylko ja i Księżyc. Mały namiot, każda ze stron może zabrać stuosobowy oddział, ale ochrona zostaje dwieście metrów od namiotu.

– W porządku, wyślę gońca. Zobaczymy, czy nasza ślicznotka przystanie na twoje warunki.

Rudnicki przytaknął i nadal obserwował przedpole. Posłaniec Armii Żelaznej Modliszki podszedł do przedstawiciela Białych i po trwającej kilka chwil rozmowie wrócił do okopów.

– Oni zgadzają się na wszystko – zameldował.

Meng Tian odprawił gońca stanowczym gestem i pokręcił głową, jakby uwierał go przyciasny kołnierzyk.

– Podejrzane – powiedział. – Żadnych warunków? I ten ich parlamentariusz od razu o wszystkim zdecydował? Zwykły żołnierz? Niemożliwe! Ona coś kombinuje!

– To na pewno – przyznał alchemik. – Tylko wątpię, żeby ich wysłannik był zwykłym żołnierzem, myślę, że to jeden z najbardziej zaufanych ludzi panienci Księżyc, a ona już dawno rozważyła wszystkie warianty i najwyraźniej ten, w którym spotykamy się oko w oko, najbardziej jej odpowiada.

– Podejrzane! – powtórzył generał.

– Co robić? Jeśli chcemy się z nią dogadać, musimy zaryzykować – rozłożył ręce Rudnicki.

– A chcemy? Naprawdę chcemy? Biorąc pod uwagę, że mamy przewagę taktyczną, a oni stracili najsilniejszego maga, moglibyśmy załatwić sprawę ostatecznie.

– Tylko przy jakich stratach własnych? Owszem, możemy rozbić ich armię, ale i z naszej niewiele zostanie. No i wojna będzie toczyć się dalej. To naprawdę nie jest wyjście.

– Masz lepszy pomysł?

– Owszem, ale nie będziemy go teraz omawiać.

Meng Tian spojrział spod oka na alchemika, lecz nie drażył tematu. Rudnicki niemal zawsze konsultował swoje decyzje z generałami, jednak wiadomo było, że w razie porażki to przede wszystkim on będzie się tłumaczył przed cesarzem.

– No dobrze – powiedział oficer. – Jak uważasz. Tamci już przygotowali namiot, a nasi go przeszukali.

Alchemik skinął głową i wygramolił się z okopu. Miał na sobie kolczugę wykonaną przez płatnerzy szkoły Białej Kozy, na plecach czuł uspokajający ciężar miecza.

Spomiędzy żołnierzy chanatu wyszła smukła postać bez hełmu, z burzą białych włosów.

Mam nadzieję, że to naprawdę Księżyc, a nie jej sobowtór, pomyślał ponuro Rudnicki. I że najpierw wysłucha, co mam do powiedzenia, a dopiero później spróbuje mnie zabić...



Była tak piękna, jak sobie wyobrażał, efekt psuły tylko czerwone oczy. W tym momencie podejrzliwie zmrużone. Prawa dłoń kobiety cały czas pozostawała w pobliżu rękojeści paskudnie wyglądającego, zakrzywionego miecza.

Nieoczekiwanie widok dowódczyni wroga zamiast wzmożonej czujności wywołał znużenie. Miesiące bezsennych nocy, wahań, momenty dzikiego, zwierzęcego strachu i niepokoju o najbliższych nagle ujawniły się z pełną mocą i Rudnicki opadł bezwładnie na stos poduszek, odkładając na bok miecz. Wyraźnie zaskoczona jego zachowaniem Księżyc ostrożnie usiadła ze skrzyżowanymi nogami.

– Daj mi pięć minut – poprosił alchemik.

– Słucham?

– Daj mi pięć minut, zanim spróbujesz mnie zabić – doprecyzował. – Te kilka chwil cię przecież nie zbawi. Jestem zbyt zmęczony, żeby się bić, ostatecznie tygodnie mnie wykończyły.

– Chcesz się poddać?

– Daj spokój – odparł z niesmakiem alchemik. – Nie ma tu nikogo poza nami, nie musisz demonstrować swojego oddania dla chana czy imperium.

– A co, jeśli jestem naprawdę oddana swojemu imperium?

– To mam dla ciebie propozycję.

– Słucham.

– Przejmij władzę.

– Co takiego?! To jakaś idiotyczna prowokacja?

– Jaka, do licha, prowokacja?! – zniecierpliwił się alchemik. – Jesteśmy tu sami, pamiętasz? Waszym państwem od zawsze rządził Widmo, władcy byli tylko jego marionetkami, ale teraz go już nie ma, można więc dokonać pewnych zmian. Zabił go mistrz Wu – dodał wyjaśniająco.

– Zabił? Akurat! To prawda, że Widmo gdzieś zniknął, ale...

– Nie gdzieś i nie zniknął. Zdechł jak pies i go nie ma. Kojarzysz te słupy ognia?

– Twój mistrz ma co najwyżej sto lat, nie mógłby pokonać Nieśmiertelnego!

– Więc tak się u was nazwał? Co za megalomania. Mój mistrz ma co najmniej dwa tysiące lat, rozumiesz, nie wypadało pytać o szczegóły. Macie przecież niezły wywiad, nie zastanowiły was powtarzające się nazwiska mistrzów szkoły Białej Kozy?

– Zastanowiły – przyznała Księżyc. – Ale myśleliśmy, że to jakiś dziwny zwyczaj, czasem stare szkoły kultywują



zupełnie bezsensowne rytuały.

– Żaden zwyczaj, raczej lenistwo mistrza Wu, nie chciało mu się wymyślać nowych nazwisk, więc używał dwóch na zmianę.

– No dobrze, załóżmy przez chwilę, że Nieśmier... Widmo naprawdę umarł. Co dalej?

– To proste: wracacie do siebie. Nie palicie, nie grabicie, nie mordujecie po drodze. Będziemy wam dostarczać żywność, dopóki nie opuścicie Wielkiej Han. Kiedy wrócisz do siebie, nooo... wiesz, co robić. W końcu stoisz na czele najsilniejszej armii chanatu i pewnie masz tam spore wpływy. Oczywiście zawrzemy pokój. Aha, jeszcze jedno: rozformujecie Hordeę. To nie podlega dyskusji.



– Skąd mam wiedzieć, że to nie podstęp i nie zabijesz mnie, kiedy tylko wyjdę z namiotu? Albo nie zaatakujesz mojej armii?

– Masz moje słowo. Poza tym mistrz by mi nie pozwolił.  
– A to dlaczego? Nie wygląda na dobronudusznego staruszka, poza Widmem zabił kilkuset Żuków.

– Nie trzeba było go atakować – wzruszył ramionami alchemik. – A z Widmem miał porachunki jeszcze z czasów sprzed Rozłamu.

– A konkretnie?

– Nie powiem ci. Co prawda jesteś z nim spokrewniona, ale wolę nie ryzykować. Mistrz Wu raczej nie słynie z cierpliwości.

– Mam w to uwierzyć? W pokrewieństwo z magiem, który zabił Widmo?!

Rudnicki uderzył dłonią w stół i w ułamku sekundy uformował z rozlanej herbaty dziesięć zamrożonych mieczy, po czym wysłał je w stronę rozmówczynie. Księżyc zamarła okrążona przez lewitujące ostrza.

– Uwierz – powiedział. – Inaczej dawno bym cię zabił.

– Lodowe gongfu!

– Owszem – przyznał Rudnicki i jednym gestem zlikwidował ostrza.

– Jakim cudem mogę być krewną największego wroga chanatu?

– Nie znam detali, ale możesz być pewna, że on nie pozwoli cię zabić. Jeśli zechce, sam ci opowie. Kiedyś.

– A wasz imperator? On także mnie nie zaatakuje?

– Myślę, że mistrz go przekona.

– Jesteś pewien?

– Nie jestem, choć wątpię, żeby cesarz wywołał kolejną wojnę, o ile się wycofacie.

– I zniszczymy Hordę?

– I zniszczycie Hordę – przytaknął twardo alchemik. – Oni dokonali takich zbrodni, że nie możemy ich traktować jak kombatantów.

– Zastanowię się – obiecała Księżyc. – Muszę porozmawiać ze swoimi doradcami i współpracownikami, wtedy zadecyduję. A ty?

– Co ja?

– Do czego ty będziesz przekonywał cesarza? I najważniejsze: na ile twój głos będzie się liczył?

Rudnicki skrzywił się niechętnie i podsunął czarękę w stronę rozmówczyni, chcąc zyskać na czasie. Księżyc poczerwieniała ze złości, po chwili jednak roześmiała się i naląła alchemikowi herbaty.

– Nie boisz się, że cię otruję? – spytała z ciekawością.

– Podobno jesteś pragmatyczna – odburknął Rudnicki. – Zresztą mistrz wywróciłby cię na lewą stronę, wnuczka czy nie wnuczka.

– Naprawdę jesteś jego uczniem?

Alchemik pokazał żeton szkoły. Księżyc obejrzała go dokładnie, po czym oddała bez słowa komentarza.

– Wracając do mojego pytania...

– Tak?

– Ile będzie warte twoje słowo w oczach imperatora?

– Jeśli uda mi się zawrzeć korzystny pokój, istnieje możliwość, że zostanę sługą cesarstwa. Jeśli nie, moje zwłoki użyżnią ziemię na jakimś polu niedaleko stolicy.

– Przynajmniej szczerze – mruknęła Księżyc pod nosem. – Wiesz, trochę jej zazdroszczę.

– Komu?

– Szron. Nie jesteś idealny, ale na pewno nie sprzedałbyś jej za żadne pieniądze ani obietnice władzy.

– Skąd wiesz o...

– O twojej wybrance? – dokończyła ochoczo Księżyc. – Wszyscy wiedzą, sama Szron się o to postarała.

– Postarała?!

– A jakże! Jakiś czas temu ogłosiła, że każdy, kto podniesie na ciebie rękę, odpowie za to przed nią. Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi, my wiedzieliśmy, kim ona jest, i zdawaliśmy sobie sprawę, że trzeba ją traktować poważnie, ale w branży jest mnóstwo najemników i... podwykonawców. Wtedy chętni do odebrania nagrody za głowę niejakiego Ying Tu zaczęli ginąć. Hurtowo. Najpierw wyglądało to na nieszczęśliwe wypadki: ktoś tam spadł ze schodów i na trzech stopniach złamał sobie kręgosłup w jedenastu miejscach, ktoś zapomniał oddychać przez sen albo wypadł przez okno i zupełnym przypadkiem nadział się na pozostawione przez niedbałego ogrodnika widły, no bywa. Później Szron przestała się szczytać i zupełnie zdemolowała rynek usług... łowieckich. Chodzą słuchy, że kilku wybitnych specjalistów zgoliło głowy i zrezygnowało z życia świeckiego. Na wszelki wypadek. Co z tobą? Nie wyglądasz na zadowolonego?

– Co za idiotka! – warknął Rudnicki. – Coś takiego musiało zwrócić na nią uwagę.

– I zwróciło – przyznała Księżyc. – Podejrzewam, że właśnie o to jej chodziło. Żeby przekierować uwagę złych chłopców z ciebie na nią. Miało miejsce kilka zamachów, jednak okazało się, że rzecz jest zupełnie nieopłacalna, parę naprawdę mocnych ekip zostało zlikwidowanych. Totalnie. Nie wrócił nawet jeden świadek, który mógłby opowiedzieć, co się stało. W tej sytuacji uznano, że lepiej i ciebie, i ją zostawić w spokoju. Chwilowo. Zresztą poważni gracze mieli większe problemy. I nie rób takiej miny. Jeśli się dogadamy, załatwię tę sprawę. Możesz to uznać za prezent ślubny. Bo pobierzecie się, prawda?

– Pewnie tak.

– Romantyczne. – Księżyc przewróciła oczyma, nawet nie starając się ukryć znudzenia. – Wracając do sprawy...

– Tak?

– Potrzebuję przynajmniej tygodnia. Przez ten czas nie będziecie wykonywać żadnych podejrzanych manewrów, a przede wszystkim koncentrować siłę, czy to jasne?

– W porządku.

– W takim razie to wszystko na dzisiaj.

Księżyc wstała bez pośpiechu i nie oglądając się za siebie, wyszła z namiotu.

Cóż, przeżyłem, pomyślał z ulgą Rudnicki. Chyba że panią Księżyc użyła jakiejś trucizny o przedłużonym działaniu. Nie. Chyba nie...



Rudao i Meng Tian wyglądali na zadowolonych, jedynie mistrz Wu popijał wino z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. Alchemik przez ostatnie pół godziny relacjonował im, jak przebiegały negocjacje z dowódczynią wroga, pomijając jedynie kwestię pokrewieństwa Księżyc z mistrzem.

– Zobaczymy, czy Księżyc dotrzyma słowa – skomentował Rudao. – Choć fakt, że rozmawiała z tobą na temat księżnej Chonghua, jest nieco zastanawiający. Ona nigdy nie była sentymentalna, interesowała ją tylko władza.

– I nadal tylko to ją interesuje – zapewnił mistrz Wu. – Po prostu go sprawdzała.

– Nie rozumiem?

– Żeby stwierdzić, czy ktoś kłamie, trzeba poruszyć tematy, na które rozmówca zareaguje emocjonalnie – wyjaśnił spokojnie Wu. – Zbadać jego mimikę, gesty, przyjrzeć się reakcji źrenic, ocenić ton głosu. Ona po prostu testowała Ying Tu. Specjalnie go podpuściła, żeby zobaczyć, jak się zachowuje, kiedy mówi prawdę, a potem powróciła

do tego, co ją najbardziej interesowało, czyli oceny, czy propozycja Ying Tu była szczerą.

– I co, przeszedłem ten test? – spytał z irytacją Rudnicki.

– To oczywiste, przecież żyjesz.

– No dobrze, a czy ona dotrzyma słowa?

– Tylko wtedy, kiedy to będzie jej odpowiadało. Ale prawdopodobieństwo takiego akurat rozwoju sytuacji jest spore.

– Dlaczego? – wtrącił Meng Tian.

– Biały Chanał ugrzązł w bagnie idiotycznych, nadmiernie surowych przepisów, a jego ludność jest bez powodu terroryzowana przez tajne służby ku chwale władcy wariata. W ten sposób żadne państwo nigdy nie osiągnie szczytu potęgi, bo samo podcina gałąź, na której siedzi. Założę się, że Księżyc od dawna marzy, żeby zrobić z tym porządek i oczywiście przejąć władzę.

– Sugerujesz, że ona zreorganizuje system i wróci za rok czy dwa z jeszcze większą armią? – rzucił z niepokojem alchemik.

– Nie, nie sędzę. Księżyc jest pragmatyczna, a znacie wszyscy to przysłowie o walczących tygrysach – dodał z wyraźną ironią. – Co to za zwycięstwo, kiedy stracisz połowę armii i zniszczysz własną gospodarkę, bo musisz drenować kieszenie obywateli, aby móc prowadzić wojnę? Myślę, że ona zaakceptuje układ dwubiegunowy i władzę Wielkiej Han na południu, a sama wyruszy podbijać daleką północ.

– Zlikwiduje Hordę? Ma jeszcze dobre pięćdziesiąt tysięcy tych wariatów.

– Nie jestem jasnowidzem – wzruszył ramionami Wu. – To już zależy od tego, na ile byłeś przekonujący. Jednak rozpatrując rzecz z wojskowego punktu widzenia, Horda to tylko instrument terroru. Zupełnie zbędnego terroru.

Wszyscy jesteście oficerami, pomyślcie, czy wolelibyście mieć dwadzieścia tysięcy dobrze wyszkolonych żołnierzy, czy dowodzić setką tysięcy wariatów w turbanach? Jest jeszcze jeden niuans: Księżyc bardzo nie lubi Hordy.

– A to dlaczego? – zdziwił się Meng Tian.

Wu sapnął z rozdrażnieniem, przez chwilę alchemik obawiał się, że czeka ich kolejna erupcja złęgo humoru mistrza, jednak starszy mężczyzna opanował zniecierpliwienie, prawda, że z wyraźnym trudem.

– Pomyśl! Nikt nie wstępuje dobrowolnie do Hordy. To kara, bo każdy, kto tam wyląduje, prędzej czy później ginie. To wyrok śmierci. Horda nie tylko miała pomóc panience Księżyc w podboju Wielkiej Han, ale i stanowić ostrzeżenie dla niej i dla wszystkich jej żołnierzy. To demonstracja, co czeka nieprawomyślnych. Myślisz, że Biali kochają tych świrów? – Wu roześmiał się sardonicznie.

– Logiczne – przyznał Rudnicki.

– Co teraz? – spytał Rudao.

Wszyscy, nie wyłączając mistrza Wu, spojrzeli na alchemika.

– A co ma być? Poczekamy. Dyskretnie wzmacniając nasze fortyfikacje. Tylko bez ostentacji! Nie chcę, żeby Księżyc pomyślała, że coś kombinujemy.

– Nie! – sprzeciwił się stanowczo mistrz Wu. – Najmniejsza prowokacja i Księżyc zaatakuje.

– A jeśli nic nie zrobimy i Księżyc tak czy owak zaatakuje? – spytał z irytacją Rudnicki. – Biali mają przewagę liczebną, a Księżyc to doświadczony dowódca.

Wu skrzywił się, jakby nagle rozboleł go ząb.

– No dobrze – powiedział po dłuższej chwili. – W końcu teoretycznie jestem poddanym Wielkiej Han. Jakby co, zajmę się tym.



Nie czekając na odpowiedź, wyszedł, nie żegnając się z nikim.

– I co to miało znaczyć? – zmarszczył brwi Rudao. – Mam uwierzyć, że on da sobie radę z armią Białych? Znam tylko jednego maga tej klasy, ale on akurat siedzi w cesarskim lochu za bunt przeciwko imperium.

– Masz na myśli Liu Era? – spytał zimno alchemik.

– Owszem. Tylko że tamten ma podobno trzysta lat.

– Mistrz Wu był znany jako wybitny ekspert jeszcze przed Rozłamem. I jeszcze jedno: to informacja tylko dla was.

– Żartujesz?!

– W żadnym wypadku.

– Mam w to uwierzyć? On musiałby mieć przynajmniej dwa tysiące lat!

Rudnicki wzruszył ramionami.

– Wierz, w co chcesz – powiedział. – Ja idę spać.

– Nie martwi cię nasza sytuacja?

– Teraz już nie. Wracając jeszcze do mistrza, widziałem, do czego jest zdolny. A i ty przecież widziałeś.

– Ognie na horyzoncie? I owszem, tylko co z tego wynika?

– Przestań marudzić i kombinować – poprosił ze znużeniem w głosie Rudnicki.

– Kombinować?

– Przecież cię znam. I zapamiętaj: jeśli naruszysz zakaz rozbudowy fortyfikacji, nie licz na moją pomoc, kiedy mistrz Wu postanowi udzielić ci reprimendy. Przy okazji przekonasz się, na ile jest silny – dodał złośliwie alchemik. – A teraz dobranoc – powiedział z naciskiem.

Ani Rudao, ani Meng Tian nie wyglądali na przekonanych, jednak obaj – prawda, że z ociąganiem – opuścili kwaterę Rudnickiego. Alchemik kilkoma wprawnymi ruchami zdjął zbroję i tak jak stał, w ubraniu

rzucił się na łóżko. Zasnął, zanim przytknął głowę do poduszki.



Rudnicki pierwszy wdrapał się na wieżę obserwacyjną, po czym pomógł dostać się na nią Łucji i Hani. Z wysokości ponad dwudziestu metrów widać było część obozu i umocnienia Białych.

– Ślicznie tu – zauważyła Hania, wskazując wschodzące słońce.

Alchemik pogłaskał dziewczynkę po głowie, ale nie odpowiedział, krwistoczerwona tarcza nie budziła w nim dobrych skojarzeń.

– Masz tutaj dom, tato? – spytała z ciekawością Łucja. – Bo ten namiot jest wygodny, ale to tylko namiot.

– Mam. Ale daleko stąd, w stolicy Wielkiej Han. To w zasadzie pałac, nie dom.

– Jesteś bogaty?

– Zamożny.

– Nie lubię wojny – wtrąciła niespodziewanie Hania. – Dlaczego ludzie walczą ze sobą? Tam, u wujka, było tak samo, on nawet został ranny i słyszałam, jak ciocia płakała. A ty nie masz ręki...

– Moja nowa ręka jest lepsza niż stara – odparł alchemik, uśmiechając się z przymusem. – A co do wojny, to postaram się ją skończyć jak najprędzej.

– Kim jest ta białowłosa pani? – spytała niespodziewanie Łucja. – Tam, po drugiej stronie. – Wskazała umocnienia chanatu. Ona cały czas o tobie myśli.

– Boję się pytać, co konkretnie – mruknął alchemik.

– Nie wiem, ale wczoraj, kiedy przyszła starsza i podsłuchiwała jej myśli, to śmiała się pół godziny. Ale nie

wiem, o co jej chodziło, bo wymazała mi pamięć i powiedziała, że jestem za mała na takie rzeczy.

– Ona często tak robi? Twoje starsze wcielenie usuwa ci wspomnienia?

– Czasami – odparła z zimną krwią dziewczynka. – Podejrzewam, że nie chce, żebym pamiętała, co nabroiła, ale tym razem chyba nie o to chodziło.

– To właśnie z tą panią rozmawiam o zakończeniu wojny.

– A ona chce ją zakończyć?

– Mam nadzieję. A teraz wracajmy, czas na śniadanie.

– Znowu kasza jaglana!

– Co robić. Tutaj uważają, że kasza jest bardzo zdrowa i zwiększa energię wewnętrzną.

– Akurat! – odburknęła Łucja, schodząc po drabinie. – Tylko brzuch od niej rośnie i uszy obrastają sierścią. U niektórych zauważyłam już pierwsze objawy – dodała złośliwie.

Alchemik westchnął bezradnie: wnioskując z głosu, obecne wcielenie Łucji miało około dwudziestu lat. Spytałbym tę małą paskudę o Księżyc, ale może lepiej nie, pomyślał. Bo jeszcze dowiem się czegoś, czego wolałbym nie wiedzieć...



Baronowa von Luschke poczekała, aż dziewczynki ją pocałują i wyjdą z namiotu, po czym starannie złożyła serwetkę. Zarówno ona, jak i księżę Chreptowicz wyraźnie szukali okazji, aby pomówić z alchemikiem sam na sam.

– Ile to jest tu warte? – spytał bez ogródek Chreptowicz, kładąc na stole opalizującą fioletkę.

– Fortunę – odpowiedział zwięźle Rudnicki.

- Nie chcielibyśmy być dla pana ciężarem – uzupełniła baronowa.
- Jesteście moimi gośćmi – odparł z naciskiem alchemik. – Bezterminowo. Ale rozumiem, że chcecie uzyskać niezależność finansową.
- Owszem – przytaknął Chreptowicz.
- *Materia prima* osiąga tu zawrotną cenę, teraz, ze względu na wojnę, pewnie jest jeszcze droższa.
- Radzi pan skorzystać z koniunktury?
- Tak, acz ostrożnie. Nie sądzę, żeby nawet po zakończeniu walk wartość pierwotnej materii spadła jakoś drastycznie, a rzucenie na rynek zbyt dużej partii na pewno obniżyłoby cenę.
- Rozsądne podejście – przyznał książę. – A co pan sądzi o tym? – Chreptowicz położył na stół rewolwer. – Mam jeszcze karabin Mosina i amerykańską strzelbę okopową. Jak pan myśli, miejscowi będą w stanie wykonać mechanizmy o podobnym stopniu komplikacji? Bo gdyby rozpocząć produkcję...
- Pewnie tak. Elementy magicznych kusz są co najmniej tak samo skomplikowane. Jednak na razie proszę o tym nikomu nie wspominać, dla własnego bezpieczeństwa. Gdyby nasza konkurencja dowiedziała się, że dysponujemy bronią z innego świata, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie. Po powrocie do stolicy porozmawiam o tym z cesarzem. Ma pan pewnie i amunicję?
- Tak, choć niedużo.
- To dobrze, czyli w razie czego będzie można przeprowadzić małą demonstrację – powiedział z roztargnieniem alchemik.
- Jeszcze jedno, jestem inżynierem wojskowym, gdybym mógł jakoś pomóc, proszę się nie krępować. Pierwsze, co

przychodzi mi do głowy, to wzmocnienie waszych fortyfikacji.

– Dziękuję, ale nie – powstrzymał go stanowczo alchemik.  
– Nie teraz. Sytuacja jest dość delikatna i nie możemy w żaden sposób prowokować Białych. Później co innego. Jestem pewien, że pańska wiedza wzbudzi duże zainteresowanie cesarskiej armii.

– Jak pan prognozuje rozwój tego konfliktu? – rzucił z napięciem w głosie Chreptowicz.

– Pójdę zobaczyć, co z dziewczynkami – powiedziała szybko baronowa.

Rudnicki zmarszczył brwi, widząc, jak starsza pani wymyka się z namiotu, dopiero po chwili dotarło do niego, że arystokrata w zawołany sposób pyta, co robić, jeśli Hania i Łucja stracą ojca...

– Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze – odparł wymijająco. – W razie czego dziećmi zajmą się moi uczniowie, no i, rzecz jasna, mistrz Wu. Oczywiście będę wdzięczny za wszelką pomoc, bo z tego, co widzę, dziewczynki przywiązały się do pana równie mocno jak do baronowej.

Chreptowicz skinął głową, nie komentując słów alchemika.

– Przejdziemy się? – zapytał.

– Dlaczego nie? Przy okazji wyjaśni mi pan, w jaki sposób można udoskonalić nasze umocnienia. Te wszystkie wojskowe sprawy mnie przerastają.

– Chyba nie aż tak bardzo – zauważył ksiązę. – Wnioskując z zachowania żołnierzy, raczej nikt nie kwestionuje pańskiego przywództwa. Tylko nie rozumiem, dlaczego Łucja rozumie tutejszy język, a Hania, ja czy baronowa nie?

Rudnicki odchylił płachtę namiotową i przepuścił przodem Chreptowicza, tamten podziękował lekkim ukłonem. Pilnujące kwatery alchemika gwardzistki wyprostowały się czujnie, dwie z nich ruszyły w ślad za mężczyznami.

– Wie pan, kim jest Łucja?

– Owszem, hrabia Samarin mi wyjaśnił.

– To, że Łucja rozumie miejscowy język, związane jest z magią.

– Czyli my go nigdy nie pojmiemy? Bo we mnie ani baronowej nie ma niczego magicznego.

– Ależ skąd! Tyle że będziecie musieli nauczyć się go w normalnym trybie. Łucja rozumie go intuicyjnie. Wracając do umocnień, co pan proponuje?

– W niektórych miejscach, gdzie stosujecie lunetę, bardziej odpowiedni byłby redan.

– Teraz wszystko jasne...

Chreptowicz roześmiał się serdecznie i wskazał wieżę obserwacyjną.

– Najlepiej wyjaśnić to, patrząc na umocnienia z góry.

Alchemik westchnął, mięśnie poboływały go jeszcze po ostatniej bitwie, i po raz drugi dzisiaj wdrapał się na platformę obserwacyjną. Cóż, przynajmniej podszkolę się z teorii wojskowości, pomyślał smętnie.



Rudnicki zacisnął zęby, słysząc gwałtowny łomot wojennych bębnow, żołnierze gorączkowo szykowali maszyny wojenne, a na wały pędzili kusznicy. Horda atakowała.

– No i gdzie jest mistrz Wu?! – warknął Meng Tian. – Zdaje mi się, że miał nam pomagać?

– Zniknął – poinformował sucho alchemik. – Nie ma go w namiocie, a szukanie maga tej klasy jest pozbawione sensu. Najwyraźniej nie chce być znaleziony.

– I co teraz?

Rudnicki nie odpowiedział, obserwując z napięciem oddziały Białych.

– Dlaczego Horda atakuje samotnie? – spytał po chwili.

– Nie rozumiem?

– No sam zobacz. Horda idzie naprzód, ale wszystkie inne oddziały pozostają na miejscu.

– Co w tym dziwnego? Turbaniarze mają przetrzeć szlak i rozpoznać pułapki. To przecież standard.

– Niby tak, ale nawet wtedy piechota Białych powinna ruszyć w ślad za nimi, żeby skorzystać z wyłomu, jaki turbaniarze zrobią w naszych umocnieniach. A oni siedzą w okopach.

Meng Tian podniósł do oczu lunetę i zaklął paskudnie.

– Masz rację! Coś jest nie tak.

Tymczasem kilkadziesiąt tysięcy obdartusów w turbanach rzuciło się biegiem do ataku, a Meng Tian chwycił za chorągiewki i bębny zmieniły rytm. Rudnicki przełknął ślinę, słysząc nowy sygnał: „Utrzymać front!”.

Pierwsze szeregi atakujących zatrzymały się na linii wilczych dołów, ale pozostali, zamiast jak zwykle atakować po trupach towarzyszy, zaczęli kręcić się w kółko, jakby stracili orientację w terenie.

– Co tam się dzieje?!

– Żebym to ja wiedział – odburknął Meng Tian. – Czekać! Oni umierają!

Alchemik wyrwał mu z ręki lunetę i spojrzał na skotłowane szeregi Hordy. Generał miał rację: wykrzywione w męce twarze mówiły same za siebie.

– Czy ty nie zażądałeś od niej, żeby pozbyła się Hordy?

– No tak, ale...

– Księżyc dotrzymała umowy – wszedł mu w słowo Meng Tian. – Załatwiła sprawę z wrodzonym sobie wdziękiem: musiała dosypać im trucizny do narkotyku i wysłała na śmierć, wiedząc, że jeśli nawet któryś przeżyje, to my go dobijemy.

Rudnicki przytaknął gestem, starając się opanować dreszcze. Bezwzględność Księżyc zmroziła mu krew w żyłach.

– Wyślij gońca do Rudao – polecił. – Bo jeszcze narobi jakichś głupstw. Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to kontratak mający odciążyć nasz odcinek frontu.

– Też prawda.

Po chwili posłaniec ruszył galopem, a żołnierze rozładowali kusze. Przez moment alchemik myślał, że jednak trzeba będzie dobić umierających narkomanów, ale żaden nie przedostał się przez linię wilczych dołów. Przedpole zaległy tysiące ciał.

– Ot i sprawiedliwość! – powiedział z satysfakcją Meng Tian.

Alchemik próbował opanować mdłości, ale nie dał rady i zszedłszy z wału, zwymiotował za jakimś krzakiem.

– Proszę, mistrzu. – Ważka podała mu chusteczkę i manierkę z winem. – Przepłucz usta.

Rudnicki łyknął wina, alkohol zmył z języka gorycz i rozgrzał żołądek.

– Już dobrze – wymamrotał. – Już dobrze.

– Mistrzu, generał Meng Tian wzywa cię na wieżę obserwacyjną – zameldowała zdyszana gwardzistka.

Rudnicki rozpoznał w niej Żmijkę. Znaczy Ryba też się tu gdzieś kręci, pomyślał. Dobrze, że nie doszło do bitwy.

– Czego chce? – burknął niegrzecznie. – Nie ma już Hordy.



– Nie mam pojęcia, ale jeśli każesz, powiem mu, że nie przyjdiesz – zaproponowała Żmijka.

– Nie – westchnął alchemik. – To źle wpłynie na dyscyplinę. Pójdę.

Rudnicki począł w kierunku wieży, co rusz spoglądając w stronę umocnień chanatu, jednak na przedpolu panował spokój.

Zaskrzypiały szczebelki prowizorycznej drabiny – wieżę wykonano bez specjalnej dbałości o detale – i alchemik znalazł się na platformie obserwacyjnej.

– Co się stało? – spytał.

– Patrz!

Meng Tian złapał go za ramię i wskazał w kierunku armii Białych.

– Patrz! – powtórzył.

Rudnicki zmrużył oczy, ale nic się nie zmieniło: potężny stalowy wąż sunął na północ. Księżyc się wycofywała...



Rudnicki spojrzał na stół, niemal w całości pokryty żetonami symbolizującymi poszczególne oddziały. Były ich dziesiątki, może setki.

– Księżna Chonghua zostawi tu swoją armię, bo ta w większości składa się z miejscowych – powiedział Rudao.

– Do tego dojdzie jakieś trzydzieści tysięcy Wędrowców także zamieszkujących tę prowincję. Pozostaje kwestia, kto jeszcze będzie ochraniał granicę. Nie możemy wycofać całej armii, bo choć Biali chwilowo odstąpili, nie wiadomo, czy Księżyc dotrzyma słowa, no i czy będzie w stanie zrealizować swoje plany. Musimy oddelegować na Chmurną Północ przynajmniej sześćdziesiąt tysięcy chłopów.

– Ale?

– Ale ludzie są zmęczeni, dali z siebie wszystko i zasłużyli na odpoczynek. Mówię o Żelaznej Modliszce. Pewnie wystarczyłyby oddziały garnizonowe, jednak te nam nie podlegają, a i tak nagięliśmy przepisy do maksimum, zabierając je ze sobą.

Niespodziewanie do sztabowego namiotu wszedł mistrz Wu. Z nieznanych przyczyn żaden wartownik nigdy nie próbował go zatrzymać, a tym bardziej legitymować.

– To proste – powiedział Wu jakby nigdy nic. – Nie macie prawa przetrzymywać żołnierzy z garnizonów, jednak ci w czasie wojny mogą wstąpić do oddziałów liniowych. Dajcie im możliwość dołączenia do Armii Żelaznej Modliszki.

– To nonsens! – wybuchnął Meng Tian. – Ci dekownicy nie mają nawet połowy potrzebnych umiejętności!

– Dekownicy nie dekownicy, ale przecież przemaszerowali z nami parę tysięcy kilometrów i brali udział w walkach z Białymi – odparł z namysłem Rudao. – Najślabi dawno odpadli, więc ci, którzy zostali, stanowią całkiem niezły narybek. Prawda, że brakuje im wykszolenia, ale to można załatwić.

– W jaki sposób? – włączył się Rudnicki.

– Oprócz nowych rekrutów zostawimy tu instruktorów i grupę oficerów. Za pół roku garnizonowi dojdą do poziomu Żelaznej Modliszki. Nie sądzę, żeby cesarz miał coś przeciwko zwiększeniu liczebności najbardziej elitarnej armii Wielkiej Han. Tym bardziej że musimy przecież uzupełnić straty.

– Myślisz, że znajdziemy aż tylu ochotników? Oni też chcą wrócić do domu i do bezpiecznej służby w garnizonach.

– Widać, że dawno nie rozmawiałeś z żołnierzami – odparł Wu. – Obecnie jest tu równie bezpiecznie co na tyłach, a miejscowi wynoszą pod niebiosa Żelazną

Modliszkę. Szczególnie miejscowi płci żeńskiej. Być może żonaci zechcą wrócić, choć nie zakładałbym się o to, bo tutejsze kobiety chciałyby mieć na miejscu jak najwięcej żołnierzy zwycięskiej armii i okazują to na wszelkie możliwe i niemożliwe sposoby – dodał z rozbawieniem. – One przecież nie wiedzą, że wojna się skończyła.

– A Żelazna Modliszka?

– Zawodowcy cieszą się atencją płci pięknej od zawsze, przyzwyczaili się. Dla żołnierzy z garnizonów to nowość. Jednak jak tylko emocje opadną, nikomu nie zaimponuje tyłowiec z odległej twierdzy, co innego dziarski wojak w mundurze Żelaznej Modliszki. Zabraknie wam papieru do spisywania ochotników – zapewnił.

– To co robimy? – spytał Meng Tian.

– Ogłosimy, że każdy żołnierz, który brał udział w wyprawie na Chmurną Północ, może wstąpić do Armii Żelaznej Modliszki – zdecydował Rudnicki. – Zobaczymy, jakie będą efekty, a potem podejmiemy ostateczną decyzję.

– No dobrze, w takim razie idę ogłosić żołnierzom tę nowinę – westchnął Rudao. – Dobrze by było, gdybyśmy to załatwili w ciągu kilku dni. I jeszcze jedno: wydaj rozkaz księżnej Chonghua, żeby do nas dołączyła. Musimy jak najszybciej zgrać nasze oddziały, ustalić system dowodzenia i tak dalej. Chyba że chcesz ją tu zostawić jako zarządcę prowincji – dodał z lekką ironią.

Alchemik zaklął pod nosem, ogłosił zakończenie narady i pospiesznie opuścił namiot. Uwaga Rudao rozbawiła nawet mistrza Wu. Rudnicki niespecjalnie przejmował się plotkami na swój temat, ale żart generała przypomniał mu, że Łucja i Hania niedługo poznają Szron...



Żołnierze Szron maszerowali w szyku bojowym, z kawalerią na flankach, a przypominające chodzące zamki oddziały ciężkozbrojnej piechoty uzupełniono kusznikami, tak żeby mogły w każdej chwili przystąpić do walki. Również poprzedzająca główne siły awangarda robiła wrażenie gotowej do bitwy. To wszystko o kilometr od obozu Armii Żelaznej Modliszki.

Rudnicki wraz z oboma generałami obserwował oddziały Szron ze wzgórza niedaleko wejścia do obozu. Alchemik jedynie siłą woli powstrzymywał się od komentarza.

– Taaak – mruknął wreszcie Rudao. – Ona zawsze jest taka... przezorna? A może chce zrobić na tobie wrażenie?

– Wrażenie zrobiła już dawno, więc nie potrzebuje uciekać się do takich sztuczek – odburknął Rudnicki. – To wygląda, jakby się czegoś bała albo uznała, że brakuje mi kompetencji, aby zapewnić jej ludziom bezpieczny przemarsz. Ale nawet wtedy, jesteście przecież wy dwaj...

– To nie wygląda na przezorność, bardziej na przygotowania do odparcia niespodziewanego ataku – zauważył Meng Tian. – Tylko czyjego? Bo Księżyc naprawdę wraca do siebie, pilnują jej nasi zwiadowcy.

Wreszcie Rudnicki zobaczył i Szron. Kobieta jechała w grupie kawalerzystów w pełnym rynsztunku bojowym. Miała na sobie solidną zbroję, a nie przeznaczony do skrytobójczych ataków pancerz szkoły Czarnej Orchidei. Najwyraźniej spodziewała się, że będzie musiała walczyć, mimo iż znajdowała się w centrum stutysięcznej armii. Coś było nie tak. Mocno nie tak.

Alchemik ponaglił konia i zjechał galopem ze wzgórza. Grupa kawalerzystów natychmiast odgrodziła go od kobiety, ale Szron powstrzymała ich jednym gestem i ruszyła mu naprzeciw.

– Nie spieszyłeś się – powiedziała z udanym wyrzutem w głosie.

Rudnicki zsiadł z konia i bez słowa wyciągnął rękę, a Szron sfrunęła mu w ramiona.

– Jestem brudna i spocona – zaprotestowała bez przekonania, kiedy zerwał jej z głowy hełm i zaczął pokrywać twarz pocałunkami.

– Mam dużą wannę w swoim namiocie – wymruczał alchemik.

– Może porozmawiamy o tym później? – zaproponowała.  
– Teraz wypadaloby rozlokować moje oddziały.

– No dobrze – westchnął Rudnicki. – Tylko powiedz mi: skąd ta ostrożność? W promieniu dwustu kilometrów nie ma ani jednego Białego.

– Mylisz się – odparła, poważniejąc. – Choć formalnie rzecz biorąc, może i masz rację, Księżyc wygnała go ze swojej armii.

– Kogo?

– Srebrnego Denga. On nadal czai się gdzieś w pobliżu i wypatruje okazji, żeby mnie zabić. W ciągu ostatniego tygodnia jego ludzie atakowali nas trzy razy.

– Księżyc się go pozbyła? Ta jego prywatna armia jest naprawdę nieźle wyszkolona.

– Naprawdę. Przypuszczam, że chciała tym przypieczętować umowę, jaką zawarliście, albo to jej prezent dla ciebie. Będiesz się z tego długo tłumaczył...

– Będę – przyznał zgodliwie alchemik. – Tu nie ma szans na atak, rozgnietlibyśmy go jak pluskwę. Ile on ma teraz ludzi? Dziesięć tysięcy?

– Chyba bliżej dwudziestu.

– Tym lepiej, takiej armii nie można łatwo ukryć. Jeszcze dziś roześlę zwiadowców, a jeśli to nie da rezultatu, poproszę o pomoc Guanga.

– Guanga?

– Następcę tronu. Okazał się utalentowanym magiem – odparł niecierpliwie Rudnicki. – A teraz do rzeczy: zajmij się swoimi ludźmi, a za pół godziny oczekuję cię w namiocie sztabowym. Chyba że wolałabyś się najpierw wykąpać...

– Później – roześmiała się Szron, rzucając mu figlarne spojrzenie spod opuszczonych rzęs. – Zdecydowanie później, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Zmieniając temat: jak się czują twoje córki? Są jakieś szanse, żeby mnie zaakceptowały?

– Skąd wiesz o moich...

– Zapomniałaś, kim jestem? Cesarski wywiad obserwuje cię nieustannie, a większość meldunków spływa na moje biurko.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał Rudnicki. – Młodsza to niezła paskuda. Mam nadzieję, że się dogadacie.

– Coś wymyślę – obiecała Szron. – A teraz wracam do swoich, mają za sobą forsowny marsz, bo spieszyłam się do pewnego alchemika – dodała, muskając dłonią jego twarz.

Rudnicki odprowadził ją wzrokiem, po czym zawrócił w stronę wzgórza. Rudao i Meng Tian nadjeżdżali kłusem, spierając się o coś zawzięcie.

– Trzeba przydzielić kwatery oddziałom księżnej – powiedział alchemik, kiedy podjechali bliżej.

– To już załatwione – machnął ręką Rudao. – Wydałem rozporządzenia kwatermistrzowi.

– O co się kłóciliście?

– No wiesz, założyliśmy się, kto kogo pierwszy pocałuje. Ja stawiałem na ciebie, a xiao Tian na księżną Chonghua. Stawką jest pięć liangów srebra. Wygrałem, ale on twierdzi, że to się nie liczy, bo Szron musnęła ustami twój policzek, kiedy wskoczyła ci w ramiona. Może rozstrzygniesz nasz spór?

Rudnicki w prostych żołnierskich słowach wyjaśnił rozmówcom, co myśli o nich, ich przodkach i potomstwie do dziesiątego pokolenia. Obaj generałowie odjechali do obozu, śmiejąc się do rozpuku.



Guang przymknął oczy, zdawało się, że zasnął, tylko spływające po skroniach młodzieńca krople potu świadczyły, jakiego wysiłku wymaga to, co robi. Ocknął się po kwadransie.

– Nic nie widzę – powiedział przepraszająco. – Nie ma mowy, żebym przeoczył dwudziestotysięczną armię, ale naprawdę nic nie widzę.

Rudnicki spojrzał pytająco na mistrza Wu, ten dziś, o dziwo, wziął udział w naradzie sztabowej.

– Mistrzu?

– Nie ma mowy! Nie widzę sensu w łupaniu orzechów toporem bojowym.

– To może chociaż jakaś rada? – wtrąciła Szron.

Ku zdziwieniu alchemika księżna Chonghua błyskawicznie zaakceptowała status mistrza Wu i odnosiła się do niego jak do członka rodziny. Starszy mężczyzna przyjął to jako coś oczywistego.

– Trzeba szukać nie obecności armii, tylko nieobecności – powiedział Wu, wstając z miejsca.

– Bardzo precyzyjna wskazówka – wymruczał pod nosem Meng Tian, kiedy mistrz opuścił namiot.

Rudao spojrzał z wyrzutem na alchemika, a Rudnicki bezradnie rozłożył ręce.

– Ja też nie wiem, o co mu chodzi – powiedział.

Guang frasobliwym gestem rozmasował skronie.

– Naprawdę się starałem – zapewnił.

– Wiemy – uspokoiła go Szron. – To nie twoja wina, Deng musi mieć silnego maga. Biorąc pod uwagę jego bogactwo, to oczywiste.

– Tylko co teraz zrobić? Mistrz Wu nie był zbyt... – Chłopak urwał, widząc marsową minę Rudnickiego.

– Nie kończ – uprzedził zimno alchemik. – Założę się, że to wystarczająca wskazówka, aby znaleźć armię Denga, trzeba ją tylko odpowiednio zinterpretować.

– Ciekawe jak?

– Czekaście! – uniosła dłoń księżna. – Założmy, że jakiś mag rzeczywiście ukrył obecność oddziałów Denga. Jak to zrobił?

– To proste – odburknął Guang. – Nałożył na nie iluzję. Tam, gdzie oni się teraz czają, widać tylko las albo puste pole. Taka iluzja ochroni ich zarówno przed naszymi zwiadowcami, jak i magiczną sondą. Tego nie można przełamać. Przynajmniej ja tego nie potrafię, może mistrz Wu... – Młodzieniec wzruszył ramionami.

– No dobrze, teraz wiemy, co oni zrobili. A czego nie mogli zrobić? – spytała Szron.

– Nie rozumiem?

– Potrafisz rzucić taką iluzję?

– Oczywiście, to nic trudnego.

– A czego nie potrafisz? Jeślibym spojrzała na tę twoją iluzję z góry, z lotu ptaka, co bym dostrzegła, a czego nie? Gdybym na przykład chciała powiększyć obraz?

– Zobaczyłabyś wszystko, do ostatniego ziarenka piasku. To po prostu odwzorowanie rzeczywistości – zapewnił Guang.

– A zwierzęta?

– Zwierzęta?

– Myszy, nornice, zające, cokolwiek – wyjaśniła cierpliwie Szron. – Czy na obszarze zakrytym iluzją zobaczyłabym



jakieś zwierzęta?

– Nie. Stworzenie obrazu żywej istoty jest dużo bardziej skomplikowane i wymaga sporej energii. Utrzymywanie takiego obrazu na dużej przestrzeni, gdzie normalnie powinny się znajdować dziesiątki czy setki takich stworzeń, jest w praktyce niemożliwe. Tak! To jest to! Tam nie będzie zwierząt!

– Do roboty! – ponaglił go Rudnicki.

Guang ponownie zamknął oczy, tym razem jego trans trwał tylko chwilę.

– Są! – wykrzyknął. – Jakieś pięć kilometrów na zachód od naszego obozu. To głęboki jar, o zboczach porośniętych lasem. Nikt normalny nie zapuściłby się tam bez powodu. Ale dwadzieścia tysięcy ludzi? Muszą być stłoczeni jak śledzie w beczce.

– Najlepiej będzie dorwać ich pod pretekstem ćwiczeń – zauważył Rudao. – Nie powinni się zdziwić, jeśli z obozu wyruszy kilkadziesiąt tysięcy rekrutów, i tak ganiamy ich co dzień.

Rudnicki skinął głową, chęć wstąpienia do Armii Żelaznej Modliszki zadeklarowali niemal wszyscy żołnierze z garnizonów i forsowne treningi były na porządku dziennym.

– Tylko bez przesady, żeby ich nie spłoszyć – ostrzegła Szron. – Chciałabym wreszcie załatwić tę sprawę.

– Pięć tysięcy naszych, do tego cztery pułki rekrutów markujących ćwiczenia – zdecydował Rudnicki. – Pół godziny później z obozu wyruszy lekka kawaleria, na wypadek gdyby ktoś wyrwał się z okrążenia i przyszło go ścigać. Meng Tian dowodzi manewrami, Rudao zostaje w obozie.

– Tak jest! – zawołali generałowie.

Dopiero widząc błysk uznania w oczach księżnej, alchemik uświadomił sobie, że wydał rozkaz odruchowo, uznając za oczywiste, że zostanie on wykonany natychmiast i bez dyskusji.

Zmieniacie się, Olafie Arnoldowiczu, pomyślał. Tylko czy na pewno w dobrą stronę?



Rudnicki wyciągnął zza pasa metalowy walec i wdusił przycisk: w niebo poszybowała czerwona rakietka, po chwili rozpadła się na dziesiątki gwiazd.

– Ruszamy! – rozkazał.

Alchemik ponaglił konia i pokłusował naprzód na czele konnych łuczników, za plecami słyszał ciężkie kroki piechurów. Kiedy wjechał na niewielki pagórek, na horyzoncie rozerwała się kolejna raca, w ślad za nią następne.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – zauważył Guang.

Następca tronu wprosił się na wyprawę, a Rudnicki nie oponował, ktoś musiał powstrzymać maga czy też magów Srebrnego Denga.

– Miejmy nadzieję – odparł alchemik.

– Kawaleria powinna już wyruszyć – zauważyła Szron.

Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem i ponaglił konia. Wbrew jego obawom Chonghua nie rwała się do walki, aby osobiście załatwić porachunki ze zniechęconym wrogiem.

Alchemik sięgnął po lunetę, lecz Guang powstrzymał go leniwym gestem.

– Nasi zbliżają się do jaru ze wszystkich stron, a tamci nadal w nim siedzą – poinformował. – W tym momencie nie mają już szans na ucieczkę.

– A ten czarownik Denga?

– Jest silny, jak na czło... maga bojowego – dokończył niezręcznie chłopak. – Ale w porównaniu z Widmem to zero. Małe, okrągłutkie zero. Jeśli tylko się ujawni, poradzę sobie z nim w mgnieniu oka.

– Nie przesadzasz aby? – spytała niespokojnie Szron.

– Nie przesadza – odparł za młodzieńca Rudnicki. – Zaraz sama zobaczysz go w akcji. Guang, odległość?

– Tysiąc pięćset metrów – zameldował chłopak.

Alchemik obejrzał się za siebie: oddziały ciężkozbrojnej piechoty maszerowały dziarsko, za nimi nadciągali kusznicy, szyk zamykało kilka szwadronów kawalerii.

– Jak nasi rekruci? – spytał.

Guang bez słowa wskazał nadjeżdżającego kuriera. Spocony, pokryty kurzem żołnierz zatrzymał się tuż przed czołem oddziału i zasalutował alchemikowi.

– Co tam? – rzucił szorstko Rudnicki.

– Generał Meng Tian melduje, że za kwadrans wszystkie pułki znajdują się na pozycjach – zapewnił kurier.

– W porządku, niech oczekują mojego sygnału.

– Tak jest!

– Tysiąc metrów – zameldował Guang.

– Ty zostajesz z obsługą machin. – Alchemik wycelował palcem w Szron. – Jakby co, przejmiesz dowodzenie.

– Tak, kochanie – powiedziała ulegle księżna.

Rudnicki spojrział na nią spod oka, ale nie wyglądało, żeby Chonghua udawała. Jeden kłopot mniej, pomyślał. Brakuje mi tylko, żeby Szron rzuciła się do ataku, chcąc wypruć flaki Dengowi...

– Pięćset metrów!

Alchemik uniósł dłoń i poszczególne oddziały zaczęły zajmować pozycje, a na pierwszej linii pojawiły się katapulty. Kilka minut później Rudnicki zacisnął pięść

i skinął w stronę wąwozu. Ramiona katapult wystrzeliły do przodu i jar pokryła mleczna mgła.

– Guang!

Chłopak przymknął oczy i po chwili pomiędzy oddziałami pojawiły się ciężkie maszyny wojenne. Żołnierze błyskawicznie przystąpili do ładowania specjalnych koszy kamieniami wielkości ludzkiej głowy, choć kilku obejrzało się nerwowo, jakby spodziewali się, że zaraz z nicości wychynie coś paskudnego. Jeszcze moment i niebo nad wąwozem pociemniało od pocisków.

– Podać sygnał: swobodny ostrzał!

– Wielu ich tam nie zostanie – zauważył Guang.

– Nie zamierzam tracić ludzi – wzruszył ramionami Rudnicki. – Miejscowe ślicznotki byłyby zawiedzione, gdyby ktoś nie wrócił z tego rajdu. Po masakrach, jakich dokonali tu Biali, na jednego mężczyznę przypada po kilka kobiet – dodał alchemik, widząc niezrozumienie na twarzy chłopaka. – Młodych kobiet.

– Jak myślisz, mógłbym tu zostać jeszcze trochę? Nabralbym doświadczenia i...

– Zapomnij! Poza tym w stolicy na pewno znajdzie się mnóstwo pańienek spragnionych uwagi następcy tronu.

– Nie chcę takich!

– Tutaj też nie będziesz anonimowy – powiedział łagodnie alchemik. – Wszyscy nasi żołnierze wiedzą, kim jesteś.

– Próbują wyłazić! – zawołała Szron z napięciem w głosie.

– Ten mag...

Niespodziewanie Guang wychylił się z siodła i zwymiotował, twarz chłopaka pobladła niczym świeżo pobielona ściana.

– On... nie żyje – wystękał książę. – Zaatakował mnie, a ja go zabiłem. To było... obrzydliwe.

Szron podała chłopakowi chusteczkę, a Rudnicki wystrzelił kolejną racę. „Naprzód, do ataku!” – przekazały bębny.

Alchemik zsiadł z konia, a trzymająca się do tej pory nieco z tyłu Ważka podeszła na czele kilkusetosobowego oddziału gwardii i wymownym gestem zaprosiła Rudnickiego do wnętrza czworoboku.

Kiedy zginął wspierający Denga mag, iluzja prysnęła i można było zobaczyć wybiegających z jaru ludzi w czarnych pancerzach. Wielu było rannych lub oślepionych, a pozostali nie dali rady sformować szyków pod bezustannym ostrzałem katapult i balist.

– Naprzód! – rozkazał Rudnicki.

Do wąwozu zbliżały się oddziały ciężkozbrojnej piechoty wspierane przez kuszników. Kiedy znalazły się dwieście metrów od resztek armii Denga, maszyny wojenne przerwały ostrzał i powietrze zawyło prute tysiącami bełtów.

Nagle ludzie Denga rzucili się do szaleńczego ataku, a dwa bataliony złożone z rekrutów skotłowały się, usiłując w pośpiechu zająć dogodne pozycje. Trwało to ledwie kilkanaście sekund, dowódcy szybko przywrócili porządek, ale i tego wystarczyło, żeby z wąwozu wychynął kilkusetosobowy oddział w szyku bojowym. Tańczące po powierzchni tarcz runy świadczyły, że to nie są zwykli żołnierze. Lawina bełtów spłynęła bezsilnie po masywnych tarczach, rekruci używali zwykłej broni i Rudnicki zaklął, kiedy niesieni bitewną gorączką żołnierze skrócili dystans, chcąc przejść do walki wręcz.

– Co za idioci! – krzyknęła Ważka. – Weszli nam w pole ostrzału!

– Za mną! – rozkazał alchemik.

Gwardziści ruszyli wytrenowanym truchtem, w realnej walce tylko samobójca ryzykowałby bieg do utraty tchu. Zdążyli, aby uratować od klęski rekrutów: gwardia Denga przeszła przez batalion jak gorący nóż przez masło. Rudnicki zamaszystym cięciem zdekapitował dwóch ludzi Denga i wysłał w powietrze setkę krwawych soplei. Mroźne ostrza rwały tarcze i pancerze, w mgnieniu oka wokół alchemika zrobiło się pusto.

Niewysoki, krępy wojownik uzbrojony w krótkie miecze zaatakował go, tnąc z obu rąk, zawirował w śmiertelnym tańcu. Rudnicki ledwo obronił się przed serią chaotycznych na pozór ciosów, potoczył się po ziemi, powalony brutalnym kopnięciem. Gwardziści osłonili go natychmiast murem tarcz, ale Rudnicki odesłał ich niecierpliwym gestem.

– Pilnujcie tamtych – rozkazał. – Ja zajmę się dowódcą.

Mimo że szermierz nosił na sobie zwykłą zbroję, mrowie opalizujących błękitem run wskazywało, że na pewno nie jest szeregowym żołnierzem. Po chwili walki ustały, zarówno ludzie Denga, jak i gwardziści utworzyli krąg, obserwując pojedynek.

Tym razem Rudnicki zaatakował pierwszy, wykorzystując większy zasięg ostrza, jednak przeciwnik odbił wszystkie ciosy i zripostował, tnąc alchemika w bark, na szczęście wykuta w kuźni szkoły Białej Kozy kolczuga wytrzymała. Alchemik dosięgnął wroga desperackim wypadem, jednak zbroja tamtego również nie należała do przeciętnych i chwilę później obaj ponownie zwarli się w walce.

Niespodziewanie mężczyzna zwolnił, jakby przytłoczył go ciężar własnej broni. Jeszcze przez chwilę kreślił wokół siebie obronne figury, jednak jego ostrza poruszały się coraz wolniej.

Może wreszcie aura chłodu podziałała? – pomyślał ponuro alchemik. Do tej pory jego przeciwnik wydawał się

całkowicie odporny na techniki lodowego gongfu.

Wiedziony niezrozumiałym impulsem Rudnicki wbił miecz w ziemię i przechwycił ramiona wroga, przekazując mu lodowate zimno. Tamten znieruchomiał, po chwili jego zbroję pokryła warstwa lodu, w końcu nawet twarz zasnuła lodowa tafla. Kilku ludzi Denga ruszyło na pomoc dowódcy, ale gwardziści zastąpili im drogę i pierwszy, który postąpił krok dalej, zginął przeszyty trzema ostrzami naraz.

– Tylko spróbujcie! – rzuciła, strząsając krew z miecza, Ważka. – Tylko spróbujcie!

– To Deng? – upewnił się Rudnicki.

Stojący najbliżej wojownik w czarnej zbroi ponuro skinął głową.

– Rzućcie broń – powiedział alchemik.

Zabrzmiało to bardziej jak propozycja niż ultimatum, jednak ku zdumieniu Rudnickiego żołnierze Denga bez ociągania spełnili polecenie.

Alchemik poczuł mrowienie na karku. Zanim się odwrócił, wiedział, kogo zobaczy. Szron stanęła u boku Rudnickiego z zaciśniętymi pięściami i skamieniałą niczym grecka maska twarzą.

– Co z nim zrobisz? – spytała.

Rudnicki odetchnął głęboko, po czym uderzył pięścią lodowy posąg.

– Ja... – Szron umilkła, patrząc na to, co zostało z Denga.

– To już koniec – powiedział kojąco alchemik. – To naprawdę koniec.

Ledwo zdążył ją złapać, Chonghua upadła niczym marionetka porzucona przez lalkarza.

– Już mi lepiej – wyszeptała. – Tyle lat...

– Nic nie mów. – Rudnicki uciszył ją pocałunkiem. – Nie trzeba.

Jeden z gwardzistów podprowadził mu konia, po chwili i Szron znalazła się w siodle, z głową na piersi Rudnickiego.  
– Wracamy do domu – powiedział alchemik.  
Szron odpowiedziała uśmiechem.



# XI

## ·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Rudnicki unosił się w morzu energii, jego mięśnie, kości, kręgosłup wibrowały w rytmie przyływów i odpływów nieogarnionego oceanu. Najpierw prosta materia ciała zamieniła się w czystą witalność, później w światło i wszechświat stanął przed nim otworem. Wołała go Wielka Niedźwiedzica, wabiły ścieżki utworzone z kosmicznego pyłu, osrebrzone światłem nieznanym istotom ludzkim księżyców. Alchemik tańczył wśród gwiazd, wreszcie wstąpił na Drogę Mleczną, pobiegł w kierunku Kasjopei. Wzywała go droga, a raczej Droga. Z każdym krokiem cząsteczki jego ciała stawały się coraz bardziej świetliste, jednocześnie osiągając twardość diamentu, jednak nie wiedzieć dlaczego Rudnicki kroczył coraz wolniej i wolniej. Gdzieś niedaleko przebiegała granica dzieląca materię od ducha, śmiertelność od wieczności, a jednak alchemik odczuwał irracjonalną obawę przed przekroczeniem linii, zza której nie było już powrotu. Jakaś cząstka jego jaźni pragnęła skoczyć w nieznanne, strząsnąć ostatnie okruchy prymitywnej materii, inna drżała ze strachu, przykuta do ciała i coraz bardziej obcych emocji.

Emocje, uczucia... Rudnicki pamiętał, że coś takiego istnieje, a może tylko istniało? Strach, nienawiść, miłość...

Nagle alchemik ujrzał twarz księżnej Chonghua, a zaraz potem drobną twarzyczkę Hani i zawył jak ranny wilk. Niespodziewana wizja skruszyła mu serce i wtrąciła w otchłań bezdennej rozpacz.

– Mistrzu! Mistrzu!

Rudnicki otworzył oczy, z trudem wracając do rzeczywistości: siedział w wymoszczonej poduszkami karecie, tuż obok przycupnęła pobladła z niepokoju Ważka.

– Co się stało, mistrzu? Krzyczałeś – rzekła z wyrzutem. – I płaczesz...

– Gdzie Chonghua i dziewczynki? – odpowiedział pytaniem alchemik.

– Księżna pojechała na przejażdżkę z Hanią, a Łucja jest w swoim powozie. Dąsa się jak zwykle.

– Przyrowadź ją do mnie.

– Natychmiast.

Rudnicki otarł twarz mokrą od łez i potu, po czym wysiadł z karety. Mimo że na niebie nie było ani jednej chmury, powietrze pachniało burzą. Trzeba będzie przyspieszyć marsz, pomyślał. Bo inaczej deszcz złapie nas w drodze. Do najbliższego miasta dobre trzydzieści kilometrów.

Łucja stanęła przed nim z naburmuszoną miną i wyzywającym błyskiem w oku. Alchemik nie raz i nie dwa próbował pomówić z dziewczynką o księżnej, jednak mała po mistrzowsku ignorowała zarówno Szron, jak i jego namowy.

– Przywołaj starszą – polecił sucho.

– Dlaczego?

– Bo ja ci każę.

Łucja wydeła gniewnie wargi, jednak po chwili zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, jej głos świadczył, że ma przynajmniej dwadzieścia lat.

– Czego chcesz? – spytała buntowniczo. – I tak jej nie polubię.

Rudnicki przyciągnął córkę do siebie i położył jej dłoń na swoim czole, przekazując wizję.

– Przypatrz się uważnie – szepnął. – I pomyśl nad swoją głupotą.

Łucja krzyknęła z przerażeniem, po czym rozszlochała się rozpaczliwie.

– To...

– To się wydarzy – powiedział gorzko alchemik.

Dziewczynka przywarła do niego, trzęsąc się od płaczu.

– Zrób coś! – krzyknęła, szarpiąc go za ubranie.

– Gdybym tylko mógł – odparł. – Gdybym tylko mógł...

– Już będę grzeczna – obiecała, hamując szloch. –

Wybaczysz mi?

Alchemik bez słowa pogłaskał ją po główce.

– Powiemy jej?

– Nie wiem. Może kiedyś.

Rudnicki wyczuł jego obecność, zanim mistrz Wu pojawił się przy powozie i gestem odesłał strażniczki.

– Mówiłem ci, żebyś nie bawił się energią w świecie Guanga – powiedział łagodnie Wu.

– Mówiłeś – przyznał alchemik. – Ale myślałem, że co najwyżej zaszkożę sobie. Przetrenuję się albo stracę część mocy.

– Nie. Wstąpiłeś na ścieżkę nieśmiertelnych. Jeśli będziesz kontynuował, zostaniesz kimś w rodzaju boga.

– Co się ze mną stanie? – spytał Rudnicki bezbarwnym tonem.

– Najpierw poznasz przyszłość i jeśli nie oszalejesz, twoje serce zamieni się w kamień. Wówczas będziesz mógł osiąść zarówno boską moc, jak i nieśmiertelność, wyższy

ponad problemy ludzkich mrówek, gotowy władać tym czy innym światem.

– Skąd wiesz?

– Nie jesteś pierwszy ani jedyny na tej drodze. Kiedyś, po śmierci syna, chciałem... – Wu urwał w pół słowa.

– To nieodwracalny proces?

– Skąd! Co prawda twoja percepcja sięgnęła poziomu przekraczającego możliwości zwykłych śmiertelników, nawet mistrzów run lub magii, tego nie da się cofnąć, ale jeśli nie będziesz kontynuował treningów w świecie Guanga, nie postąpisz dalej.

– Nie rób tego! – krzyknęła Łucja. – Nie chcę, żebyś się zmienił!

– Nie zrobię – obiecał alchemik. – Ja też tego nie chcę. Zamiast ostrzegać, powinieneś stłuc mnie do nieprzytomności – powiedział, zwracając się do mistrza.

– Nie dałbym rady. – Wu uśmiechnął się smutno. – Uderzyć ucznia wewnętrznego kręgu to tak jak pobić własne dziecko.

– Dlaczego jestem taki głupi? – spytał z goryczą Rudnicki. – Gdybym cię posłuchał...

– Niczego by to nie zmieniło – wszedł mu w słowo Wu. – Niczego. A gdybyś usiadł i chwilę pomyślał, przewidziałbyś, co się stanie, bez żadnych wizji.

– Jak mam z tym żyć?

– Normalnie, dzień po dniu, jak wszyscy.

– Mama wraca! – krzyknęła nagle Łucja. – Mama!

Dziewczynka pobiegła w stronę nadjeżdżającej skróconym galopem Szron, a księżna, widząc mały huragan, zeskoczyła z konia. Po chwili trzymała już Łucję w ramionach.

Jedna sprawa z głowy, pomyślał Rudnicki. Może i inne się ułożą?



Alchemik wraz z oboma generałami stał na poboczu drogi, kilka kilometrów od północnej bramy Changanu, i przyglądał się w milczeniu maszerującemu oddziałom.

– Wygląda to nieźle, prawda? – rzucił pytającym tonem Rudao.

Rudnicki skinął głową: poprzedni dzień przeznaczyli na odpoczynek i doprowadzenie do porządku ekwipunku, dzięki czemu Armia Żelaznej Modliszki prezentowała się znakomicie. Tyle że brakowało kilkunastu batalionów...

– Co zrobimy z Guangiem? – spytał Meng Tian. – Bo on do tej pory był całkowicie na marginesie polityki.

– Teraz już nie będzie – odparł krótko Rudnicki.

– Przemyślałeś to? Nie wiem, czy cesarska para będzie zachwycona nagłą popularnością następcy tronu. On nawet nie został oficjalnie nominowany na to stanowisko.

– Od czegoś trzeba zacząć, a Guang wyróżnił się w tej kampanii. Zresztą nie mamy wyjścia: naprawdę myślicie, że udałoby się nam ukryć jego udział w walce, w momencie kiedy do stolicy wejdzie sto tysięcy chłopów, którzy bili się razem z nim?

– Też prawda – przyznał Rudao. – Czyli idziemy na całość?

– Dokładnie tak.

– Ostatnio zrobiłeś się jakiś beztroski – zauważył Meng Tian. – Jakbyś wiedział, że imperator nic ci nie zrobi.

– Imperator nic mi nie zrobi – uciął Rudnicki. – A teraz za mną! W końcu mamy wjechać do miasta w czołówce armii, a nie w ślad za taborami!

Jeden z gwardzistów podał mu konia i po chwili ruszyli w trójkę do Changanu.

Alchemik nie martwił się reakcją cesarza, dzięki wizji wiedział, że przeżyje, bardziej przejmował się kwestią, kto nie przeżyje. Bo wizja nie pokazywała wszystkiego, a nie ulegało wątpliwości, że uczestnicy spisku przeciwko Wielkiej Han nie będą czekać beczynn timer w sytuacji, kiedy ich plany dotyczące następcy tronu spaliły na panewce, a Widmo zginęło. Rudnicki nie rozmawiał o tym z mistrzem Wu, lecz było oczywiste, że liderem rewolty był Widmo, nikt inny nie miałby dość mocy, aby skłonić do współpracy *theokatáratos*. Pozostawało wyłapać resztę.



Rudnicki podał Ważce swój miecz i gestem nakazał eskortie, aby pozostała w przedsionku sali audiencyjnej.

– Czy to rozsądne, mistrzu? – szepnęła dziewczyna. – Cesarza chronią Smoki, a nie wiem, czy imperator jest zachwycony twoim pomysłem, żeby zrobić z Guanga bohatera.

– Guang na to zasłużył.

Kiedy Armia Żelaznej Modliszki znalazła się na głównym placu Changanu, alchemik publicznie pochwalił księcia, co zwróciło uwagę licznie zebranych mieszkańców stolicy i resztę drogi do swojej rezydencji następcy tronu przejechał wśród wiwatujących na jego cześć tłumów.

– Ale...

– Dość tego! Nic mi nie grozi.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

Alchemik ruszył do sali audiencyjnej i przeszedłszy przepisową liczbę kroków, opadł na kolana, oddając pokłon cesarzowi. U boku władcy zauważył Shunlie.

– Pan Jastrząb może wstać! – ogłosił Gao Men.

Rudnicki podniósł się z klęczek i usiadł w wygodnym fotelu podsuniętym przez jednego z eunuchów. Mebel ustawiono dwa metry od tronu Huangdiego.

Chyba awansowałem, pomyślał. Do tej pory zawsze sadzano mnie na poduszkach i dużo dalej od cesarza.

– Mam kilka pytań – zaczął półgłosem władca. – Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, kto uczestniczy w spisku. Bo jest jasne, że nie sam Liu Er. Poza tym...

– Odpowiem na wszystkie – przerwał mu bezceremonialnie alchemik. – W cztery oczy. Shunlie może zostać.

Cesarz pobladł z wściekłości, imiona władców Wielkiej Han zostały obłożone tabu i można je było wymawiać jedynie podczas niektórych ceremonii. Karą za złamanie zakazu było wieloletnie więzienie.

Imperator uniósł dłoń, w pomieszczeniu rozległ się zgrzyt wydobywanych mieczy, a cesarska gwardia otoczyła alchemika.

– Wszyscy won! – powtórzył znużonym głosem Rudnicki.

Nieoczekiwanie w sukurs alchemikowi przyszła Shunlie i szepnąwszy coś do ucha mężowi, odprawiła gwardię.

– Ty też. – Rudnicki wskazał Gao Mena. – Ruszaj!

Zaskoczony eunuch spojrział na cesarza, póki ten nie nakazał mu gestem opuścić salę.

– Mam nadzieję, że pańskie zachowanie ma jakieś uzasadnienie! – powiedział cierpko władca.

– To, co powiem, powinno zostać między nami. Zaczniemy od spisku: jego inicjator nie żyje, zostało tylko kilku magów, być może garść *theokatáratos*, no i zbuntowani urzędnicy, być może jacyś żołnierze.

– Ładne „tylko”! Jeśli to ludzie o potędze Liu Era, możemy nie dać im rady!

Rudnicki przecząco pokręcił głową.

– Guang przez dwie godziny walczył z Widmem. Magiem, który to wszystko zorganizował – dodał wyjaśniająco. – Ci tutaj nie są dla niego żadnymi przeciwnikami. No i jest jeszcze mistrz Wu.

– Guang go pokonał?! – krzyknęła cesarzowa.

– Nie. Pokonał go mistrz Wu. Guang go... powstrzymał.

Cesarz uniósł brwi na oczywisty eufemizm, ale nie zażądał wyjaśnień.

– Skąd te poufałości? – spytał szorstko. – Wie pan przecież, jak ważna jest dla nas etykieta. Gdyby na audiencji byli dworzanie, musiałbym pana ukarać.

– Jesteśmy przyjaciółmi – powiedział zmęczonym tonem Rudnicki. – Będziemy przyjaciółmi – poprawił. – Miałem... wizję tego, co zdarzy się w przyszłości.

– Jaką wizję? – spytała szybko Shunlie.

– Nie chcę o tym mówić.

– Chyba będziesz musiał – odparł sucho cesarz. – O ile mamy być przyjaciółmi.

Alchemik objął się ramionami, jakby poczuł zimno, i przez chwilę kołysał się w fotelu niczym małe dziecko.

– Widziałem pogrzeby – odparł wreszcie. – Najpierw pogrzeb księżnej Chonghua, później Hani. Obie umarły w moich ramionach, siwe i pomarszczone, a ja nadal żyłem – powiedział z udręką w głosie. – Widziałem tam jedno z was, a później tylko Guanga. I żadnych więcej pytań!

– Powiedz jeszcze tylko: czy Guang nam wybaczył? – rzuciła gorączkowo cesarzowa.

– Na pogrzebie Hani miał na przegubie idiotyczną bransoletkę ze szklanych paciorków, zapytałem go o nią, więc wyjaśnił mi, że to prezent od ciebie.

– Dałam mu ją, kiedy miał dwa lata – wyszeptała Shunlie.

– A ja? – odezwał się imperator. – Rozmawialiście o mnie?



– Nie. Ale miał twój miecz. Nie wypuszczał go z ręki. Gdyby cię nie lubił, nie dotknąłby go nawet.

Na twarzy Huangdiego nie drgnął nawet jeden mięsień, jakby informacja, że syn się z nim pogodził, nie obeszała go wcale.

– Jutro każę ogłosić twoją nominację na sługę cesarstwa i jednocześnie oficjalnie mianuję Guanga następcą tronu – powiedział. – On nadal mnie nienawidzi?

– Nie – zaprzeczył alchemik. – Ale lepiej dać mu czas, zanim...

– Rozumiem – wszedł mu w słowo cesarz. – Nie będę go naciskał. Mówisz, że nam pomoże w walce ze spiskowcami?

– Na pewno.

– Wśród nich są ludzie, którzy się nad nim znęcali. Czy Guang będzie w stanie skazać ich na śmierć albo zabić?

– Wątpię. Marzył o tym przez całe życie, ale zabijanie budzi w nim odrazę, jak w każdym normalnym człowieku.

– Oni muszą umrzeć – powiedział twardo cesarz. – I wyrok powinien wydać ktoś z rodziny panującej. Sam bym to zrobił, boję się jednak, że Guang pomyśli, że chcę go w taki sposób ułagodzić, a wolę, żeby jego stosunek do mnie wpływał z wewnętrznego przekonania, a nie okoliczności.

– A ja?

– Co ty?

– Czy ja mogę wydać wyrok?

– Jako sługa cesarstwa możesz zrobić niemal wszystko, ale myślałem, że nie lubisz takich rzeczy?

– Nie lubię – przyznał Rudnicki. – Tym razem jednak zrobię wyjątek. Oni naprawdę muszą umrzeć. Jeśli Guang nie da rady, ja się tym zajmę.

– W takim razie załatwione. Opowiesz nam o nim? Mimo że to nasz syn, prawie go nie znamy.

– Opowiem – obiecał alchemik. – Chcecie wiedzieć, jakie dziewczyny mu się podobają? – spytał z cieniem uśmiechu.

– Mów! – ponagliła Shunlie.

Alchemik westchnął, widząc w oczach cesarzowej błysk zainteresowania.

– Kobiety... – mruknął pod nosem.



Obudził go szelest rozsuwanych drzwi. Rudnicki nie zdziwił się, widząc w swojej sypialni Gao Mena: po wczorajszej rozmowie cesarz zaproponował mu nocleg w swoim pałacu.

– Imperator oczekuje pana – powiedział eunuch przyciszonym głosem.

Wnioskując po stroju, przyboczny cesarza nie kładł się spać.

Alchemik włożył buty – ze względu na sytuację spał w ubraniu – i pospieszył w ślad za eunuchem.

– Rozumiem, że to nieoficjalna audiencja?

– Całkowicie nieoficjalna – zapewnił Gao Men. – Jego Wysokość przyjmie pana w prywatnych komnatach.

Rudnicki uniósł brwi, widząc, jak eunuch dotyka jednego z kandelabrow w korytarzu i zapraszającym gestem wskazuje wąskie, ciemne przejście.

– Niestety, funkcjonalność takich pomieszczeń ma pierwszeństwo przed wygodą – oznajmił przepaszającym tonem.

– To wyjście... awaryjne?

– Skąd! Tajne przejścia mogą co najwyżej uratować rodzinę jakiegoś drobnego kupczyka – odparł Gao Men. – Jeśli dojdzie do ataku na cesarski pałac, jest oczywiste, że napastnicy podejną do rzeczy bardzo poważnie i zabezpieczą się przed ucieczką lokatorów. To część

systemu mającego zapewnić władcy i jego rodzinie bezpieczeństwo, kimkolwiek byliby wrogowie. Systemu rozbudowywanego od pokoleń, jego początki pamiętają czasy przed Rozłamem.

Alchemik podążał korytarzem w ślad za eunuchem, opalizujące błękitem runy na ścianach potwierdzały słowa Gao Mena: tu każda cegła była dziełem mistrzów magii.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował szambelan, dotykając muru.

Jego słowom zawtórował przeraźliwy zgrzyt i odgłos żelaza trącego o metal. Drzwi zabezpieczające wejście do kryjówki imperatora musiały ważyć kilka ton.

Widząc alchemika, Huangdi zaprosił go gestem do komnaty. Ubrany w swobodny nocny strój władca siedział na skromnym taborecie, po chwili podsunął podobne siedzisko Rudnickiemu. Najwyraźniej budowniczowie schronienia bardziej dbali o bezpieczeństwo niż o komfort.

– Musimy porozmawiać – powiedział cesarz. – W cztery oczy.

Zanim dokończył zdanie, Gao Men wyszedł z komnaty.

– Słucham.

– W tej swojej wizji widziałeś Shunlie, prawda?

– Prosiłem...

– Wiem, o co prosiłeś, ale teraz jesteśmy sami, a ja nie dostanę spazmów, kiedy mi powiesz, że umrę prędzej niż żona. Można powiedzieć, że będę zadowolony, wolę, żeby to ona mnie pochowała, niż odwrotnie.

Po długiej, bardzo długiej chwili alchemik w końcu skinął głową.

– Tak – przyznał. – To była Shunlie.

– A teraz z innej beczki: naprawdę tak łatwo będzie wyeliminować tych spiskowców? Bo mój wywiad

podejrzewa pięciu magów, każdy z nich dorównuje potęgą Liu Erowi.

– Nie będzie łatwo, nieco przesadziłem ze względu na Shunlie. Rozumiesz, nie chciałem jej straszyć. Najpierw trzeba ich wywabić z nory, bo przecież nie możesz ot tak skazać na śmierć kilku magów tej klasy. I nie chodzi tylko o to, że będą się bronić. Jeśli pozostali uznają, że ukarałeś ich bez powodu, w najlepszym wypadku uciekną, w najgorszym się zbuntują.

– A Guang? Naprawdę jest taki mocny?

– Naprawdę – potwierdził alchemik. – Do tego arogancki, zadufany w sobie i gotowy ryzykować własnym życiem. Gdybym tylko mógł, zamknąłbym go na czas rozprawy z tymi zdrajcami, ale jest nam potrzebny.

– Będzie z nimi walczył?

– Na pewno.

– W imię czego? Bo do tej pory raczej się nie identyfikował z imperium. I nie! To nie jest zarzut! – uprzedził protest Rudnickiego. – Po prostu jestem ciekawy, skąd bierze się twoje przekonanie, że...

– Że nie ucieknie i nie schowa się w mysiej dziurze? – dokończył urągliwie alchemik. – To nie ten charakter. Prześladowania mogą albo złamać człowieka, albo go zahartować. Guang prędzej umrze, niż ustąpi przed kimkolwiek. Problemem nie jest jego odwaga, a raczej jej nadmiar.

– A co z jego lojalnością?

– Na razie jest lojalny wobec przyjaciół i towarzyszy broni. W tej sytuacji trudno oczekiwać więcej.

Cesarz przygarbił się i zatarł ręce, jakby w komnacie powiał mroźny wiatr.

– Czyli wobec ciebie?

– Także wobec mnie – poprawił z naciskiem Rudnicki. – On walczył ramię w ramię z żołnierzami Żelaznej Modliszki. Nawiasem mówiąc, wypadałoby go nagrodzić, jak i innych wyróżniających się żołnierzy.

– Nie chciałbym, żeby wyglądało to na nepotyzm – skrzywił się władca.

– Ja ich nagrodzę – zaproponował alchemik. – Oczywiście, kiedy już dokonasz skomplikowanej analizy ewentualnych strat i zysków, bo przecież mógłbym podnieść bunt albo...

– Dość! Ten etap mamy już za sobą. W porządku, nagrodź go. Choć pewnie ludzie będą plotkować.

– Nie sądzę. Żołnierze widzieli go w akcji, a Żelazna Modliszka nie toleruje oszczerstw wobec swoich. Najwyżej paru cywilów nauczy się, że nie warto obmawiać następcy tronu. A przynajmniej nie opłaca się tego robić w obecności wojaków.

– Jak dobrze pamiętasz tę swoją wizję? – cesarz nieoczekiwanie zmienił temat.

– Tak sobie. Nie co dzień widzisz swoje dzieci rozpaczające po śmierci matki – odparł z goryczą Rudnicki.

– Nie zwracałem uwagi na detale.

– W porządku, dajmy temu spokój. Weźmiecie ślub, prawda?

– Najszybciej, jak tylko można.

– Miałbyś coś przeciwko, żeby twoją przyszłą żonę adoptował jeden z moich krewnych? Wujek Wang to sympatyczny człowiek, znawca wina, kobiet i muzyki. Mieszka na prowincji, nie wtrąca się w sprawy dworu i ogólnie rzecz biorąc, prowadzi dość swobodny tryb życia – dodał imperator z wyraźnym akcentem zawiści.

– Znaczy ojczymem Szron ma zostać jakiś rozpustnik?

– Rozpustnik?

– W moim świecie każdy, kto żyje z więcej niż jedną kobietą, uchodzi za rozpustnika – wyjaśnił alchemik.

Władca popatrzył na niego z niedowierzaniem, po czym wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę?!

– Naprawdę! Ja...

– Nie, nie pytam o ciebie – przerwał mu Huangdi. – Wywiad donosi, że jesteś wyjątkowo powściągliwy w tej kwestii, przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy nie masz problemów z prostatą. Z drugiej strony Chonghua wygląda na zadowoloną... Wracając do rzeczy: naprawdę większość mężczyzn z twojego świata zadowala się jedną kobietą?

– No nie – przyznał niechętnie Rudnicki.

– Uf, ulżyło mi. Bo już myślałem, że cierpicie na jakieś paskudne schorzenie.

– Po co ta adopcja?

– Och, istnieje wiele powodów, ale zacznę od najbardziej oczywistego: ja jestem człowiekiem o elastycznym umyśle i kręgosłupie, więc myślę, że przyzwyczaję się szybko do twojej... bezpośredniości. Pewnie wystarczy mi jakieś dziesięć, góra dwadzieścia lat. Co innego moi poddani. Nie chciałbym, żeby ktoś dostał zawału, kiedy zawołasz do mnie: „Ej, ty”. Natomiast w rodzinie załatwia się takie sprawy nieco inaczej i pewna poufałość jest wybaczalna.

– Nie martw się, nie mam nic przeciwko pokłonom na kolanach, w moim wieku nigdy dosyć gimnastyki – odgryzł się alchemik. – A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym się trochę przespać, dzień zapowiada się męczący.

– Jeszcze chwilkę. Jak zamierzasz wywabić spiskowców?

– Ja?

– A kto? Za kilka godzin staniesz się sługą cesarstwa, trzecią osobą w państwie. Nie mów, że się nad tym nie

zastanawiałeś?

– Masz tu jakieś wino? – odpowiedział pytaniem Rudnicki. – Od tego gadania zaschło mi w gardle.

Cesarz przewrócił oczyma, ale podszedł do drewnianego, ledwo oheblowanego regału i zdjął z półki gliniany dzbanek.

– Dwudziestoletnie wino z Lantai – oznajmił, rozlewając alkohol do wyczarowanych nie wiadomo skąd kubków. – Więc? – ponaglił alchemika.

Rudnicki pociągnął głęboki łyk, zastanawiając się gorączkowo nad odpowiedzią.

– Chyba najlepiej będzie aresztować winnych znęcania się nad Guangiem, a przy okazji także wszystkich kolportujących plotki, jakoby był mordercą i wariatem, po czym ich przesłuchać – powiedział. – Na pewno niektórzy z nich będą coś wiedzieli o innych konspiratorach. To zaś z kolei wywabi spiskowców, bo ci nie będą pewni dnia ani godziny.

– Chcesz, żeby zaatakowali?

– Tak.

– To dość nieprecyzyjny plan – zauważył kwaśno Huangdi. – Ile mamy czekać na ich ruch? Nie sposób utrzymywać tajnych służb w gotowości całymi miesiącami.

– Myślę, że ruszą na pałac, kiedy tylko Żelazna Modliszka opuści stolicę. Wątpię, żeby wcześniej zaatakowali, bo stu tysięcy elitarnych żołnierzy nie pokona żaden mag ani nawet grupa magów. Liu Er rozgromił armię stepowych dzikusów, to co innego.

Cesarz nie wyglądał na przekonanego, w końcu jednak z ociąganiem skinął głową.

– Niech będzie – powiedział. – Liczę, że ta twoja wizja się spełni i wszyscy przeżyjemy najbliższy miesiąc.

– Oby – mruknął Rudnicki. – Oby.



Rudnicki z niepokojem obserwował, jak Guang podchodzi do tronu i klęka przed imperatorem. Etykieta wymagała, żeby następca tronu osobiście odebrał jedwabny zwój z nominacją i złotą pieczęć. Alchemik stał tuż za tronem Huangdiego, tak jak przystało słudze cesarstwa.

– Książę Guang wykazał odwagę i lojalność, przelewał krew za Wielką Han, dlatego darujemy mu tytuł Jin Wana, diadem z siedmioma perłami i ogłaszamy następcą tronu! – oznajmił Gao Men.

Książę z kamienną twarzą odebrał zwój i pieczęć, po czym pokłonił się ojcu.

– Jin Wan Guang może wstać!

Rudnicki wystąpił na środek sali, czując na sobie niespokojny wzrok cesarza. Najwyraźniej mimo ostentacyjnie okazywanego zaufania władca nie był do końca pewny intencji alchemika.

– Jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia – odezwał się Rudnicki. – Chodzi o ukaranie zdrajców, którzy usiłowali zabić następcę tronu.

– Z całym szacunkiem, nic nam o tym nie wiadomo – odezwał się aroganckim tonem jeden z ministrów. – A następca tronu, jak widać, jest cały i zdrowy.

– *To Mu Rutan, minister transportu i siostrzeniec Wu Minga – powiedział w myślach Guang. – Nigdy sam nie zrobił mi krzywdy, ale z upodobaniem przyglądał się, jak mnie biją i nakładają na mnie magiczne więzy.*

– O ile się nie mylę, przepisy nakazują, aby wszyscy urzędnicy zwracali się do sługi cesarstwa na kolanach, dopóki ten nie pozwoli im wstać – odparł zimno Rudnicki. – Jaką karę przewiduje się za złamanie etykiety?

– Czterdzieści pałek – poinformował Gao Men.



– Straż!

Kilku gwardzistów w przerażających demonicznych maskach podbiegło do osłupiałego ze zdziwienia ministra i w mgnieniu oka powaliło go na posadzkę.

– Czterdzieści pałek! – zadysponował Rudnicki.

– To niesłychane! – oburzył się inny urzędnik. – Ten cudzoziemiec...

– Milczeń! – Wzmocniony magicznie głos Huangdiego przetoczył się przez salę niczym ryk tygrysa. – To ja mianowałem sługę cesarstwa! Ktoś podważa moje decyzje?!

Setki dworzan natychmiast padły na kolana i zgięły się w czołobitnym ukłonie.

– Niegodny sługa... nie śmie – wyjąkał przerażony gniewem cesarza urzędnik.

Jego słowom zawtórował trzask pałek kontrapunktowany krzykiem Mu Rutana, kiedy gwardziści zaczęli wymierzać karę. Zastygłe w szoku twarze dworzan świadczyły, że nikt nie spodziewał się, iż Rudnicki w tak bezpośredni sposób zademonstruje swoją władzę.

– *To nie tylko o to chodzi – powiedział Guang. – Oni do tej pory sądzili, że takie kary wymierza się jedynie prostakom z ulicy, a oni są ponad to. Rozumiesz, każdy z nich pochodzi z wpływowej rodziny i uważa, że cesarz nie ośmieli się zaryzykować konfliktu z ich klanem.*

– *No, z klanem Wu Minga i tak musimy się rozprawić* – odparł również w myślach Rudnicki.

Niespodziewanie jeden z dworzan uniósł nad głowę żeton identyfikujący go jako ministra handlu i skłonił się alchemikowi, czekając na pozwolenie zabrania głosu.

– Mów! – zezwolił Rudnicki.

– Jestem Zheng Yunchao – przedstawił się szczupły, siwy mężczyzna. – Szesnaście lat temu pracowałem jako zaopatrzeniowiec w Służbie Zachodnich Komnat i jako taki

często odwiedzałem apartamenty księcia Guanga. Wielokrotnie byłem świadkiem, jak cesarscy lekarze badali następcę tronu, i ani razu nie widziałem na jego ciele śladów przemocy. Stąd moje pytanie: na jakiej podstawie ekscelencja twierdzi, że ktoś ośmielił się znęcać nad księciem?

Szmer poparcia, jaki dał się słyszeć wśród zgromadzonych urzędników, świadczył, że i inni zadają sobie podobne pytanie.

– I ja mogę poświadczyć, że na ciele księcia nie było żadnych śladów! – wyjęczał przez zaciśnięte zęby Mu Rutan.

– *Ja mu zaraz...* – wybuchł Guang.

– *Milcz i stój spokojnie! Mu Rutan specjalnie chce cię sprowokować! Ja to załatwię.*

A głośno Rudnicki oznajmił:

– Następcą tronu urodził się pobłogosławiony niebiańską siłą, stąd jego moce magiczne, o których może zaświadczyć każdy żołnierz Armii Żelaznej Modliszki. Jego rany goją się błyskawicznie, co umożliwiło spiskowcom bezkarne torturowanie Guanga, kiedy ten był dzieckiem.

– Można to jakoś udowodnić? – spytał uprzejmie minister Zheng.

Cesarz poruszył się niespokojnie, więc alchemik powstrzymał go uspokajającym gestem.

– Guang! Podejdź do tych urzędasów, skalecz się w przedramię i zademonstruj, jak goją się twoje rany – polecił Rudnicki.

Księżę bez namysłu spełnił polecenie i na posadzkę trysnęła krew. Imperator zerwał się z tronu, a ministrowie stłoczyli wokół Guanga.

– Przekonałem pana? – spytał chłodno Rudnicki.

– W zupełności – wymamrotał Zheng.

Alchemik podszedł do księcia i za pomocą runy ognia wypalił zakrwawiony fragment posadzki.

– Lepiej nie dawać szans spiskowcom – powiedział. – Kto wie do czego mogliby użyć krwi następcy tronu? Wracając do rzeczy: nadzór nad Służbą Zachodnich Komnat, jak i zdrowiem księcia sprawował wówczas kanclerz Wu Ming.

Zdawałoby się, że żaden z dworzan nawet nie drgnął, ale jakimś cudem wokół Mu Rutana utworzyła się pustka.

– Nic o tym nie wiedziałem! – zawył minister transportu.  
– Proszę się zlitować, ekscelencjo! Wasza Wysokość, jestem niewinny!

– Kolejne kłamstwo – oznajmił beznamiętnie Rudnicki. – Książę zapamiętał wszystkich prześladowców.

Odpowiedzią na oświadczenie alchemika była pełna grozy cisza i pobladłe twarze, najwyraźniej dworskie elity robiły rachunek sumienia.

– *Guang, musimy to pokazać* – powiedział w myślach alchemik. – *Inaczej ci tutaj pomyślą, że zaczynam czystkę w świecie imperatora.*

– *Nie chcę! To zbyt osobiste!*

– *Wolisz, żeby połowa ministrów się zbuntowała? Wpuść mnie w swój umysł, obiecuję, że pokażę tylko fragment twoich wspomnień. Ten z Wu Mingiem.*

Po dłuższej chwili – Rudnicki zaczął się już obawiać, że Guang definitywnie odmówi – książę przywołał wspomnienie i alchemik mógł pokazać zgromadzonym obraz tego, co działo się szesnaście lat wcześniej.

W sali rozległ się rozpaczliwy, świdrujący krzyk przypalanego żywcem niemowlęcia. Rozżarzony do czerwoności pręt trzymał kanclerz Wu Ming, ale pełen satysfakcji uśmiech pochylonego nad kołyską ministra transportu mówił więcej niż słowa.

Polecenie wydane przez Huangdiego przypominało bardziej warknięcie rozwścieczonego zwierzęcia niż ludzką mowę, ale widać gwardziści je zrozumieli, bo kilku Smoków błyskawicznie dopadło Mu Rutana, strażnicy w mgnieniu oka wyłamali mu stawy rąk i nóg, a jeden z żołnierzy zakneblował urzędnika.

– *To procedura przewidziana do obezwładniania magów, bo niektóre zaklęcia można rzucić, nie tylko wymawiając odpowiednią formułę, ale i gestem* – powiedział zakłopotany Guang. – *Ale w nim przecież nie ma śladu magii!*

– *Nawet jeśli ten gnojek nie jest magiem, to z pewnością poczuł ból, a twój ojciec chciał, żeby go bolało* – odparł Rudnicki. – *Dobrze, że nie ma tu twojej matki, bo Shunlie wyprułaby panu ministrowi flaki bez względu na konsekwencje, a musimy go przesłuchać.*

– *Myślisz, że oni naprawdę nie wiedzieli?*

Tym razem Guang nie zaprotestował przeciwko nazwaniu imperatora ojcem.

– *Jestem pewien. Takiej wściekłości nie można udawać. Gdyby cesarz był starszy, obawiałbym się, że dostanie apopleksji. Wierz mi, znam się na tym.*

– *Audiencja skończona!* – oznajmił napiętym tonem Gao Men. – *Poddani mogą odejść!*

Urzednicy zgodnie z etykietą wycofywali się tyłem, po czym zwracali się ku wyjściu i pośpiesznie opuszczali salę. W tym ich pośpiechu było coś niepokojącego, tak jakby publiczność chciała jak najszybciej opuścić arenę przyszłego starcia. W to, że starcie jest nieuniknione, nie wątpił nikt, spiskowcy, kimkolwiek by byli, musieli zareagować, trudno było przypuścić, że wszyscy prześladowcy Guanga zachowają w śledztwie heroiczne milczenie...



Huangdi, władca Wielkiej Han, siedział na tronie z zamkniętymi oczyma, zdawało się, że medytuje, jednak Rudnicki wychwytywał drobne, niemal niezauważalne ruchy barków cesarza, słyszał chrapliwy oddech. I nic dziwnego, właśnie ważyły się losy kraju i samego cesarza.

– Kto mógł przypuszczać, że będzie ich tak wielu? – wycedził wreszcie imperator. – Ośmiu magów podniosło bunt w mieście, policja i jednostki gwardyjskie są w odwrocie, a pozostałych pięciu usiłuje wdrzeć się do pałacu. A my nie mamy już żadnych rezerw!

– Niedługo w stolicy pojawią się oddziały Żelaznej Modliszki – pocieszył go alchemik. – Opanują sytuację w kilka godzin.

– Najpierw trzeba przeżyć te kilka godzin – wtrąciła Shunlie.

Cesarzowa ubrana była w pancerz ze znakiem feniksa, a jej gwardzistki zajęły stanowiska obronne wokół pałacowego kompleksu wraz ze Smokami.

– Nie jest tak źle, ale chyba rzeczywiście już czas – odparł Rudnicki.

– Czas? – Shunlie uniosła brwi.

– Ważka! – rzucił rozkazująco alchemik.

Dziewczyna natychmiast wybiegła z sali tronowej.

– Wezwiemy pomoc – kontynuował Rudnicki. – W kanałach czai się trzydzieści tysięcy Wędrowców, a w moim pałacu zebrało się kilka tysięcy uczniów szkoły Ciemnego Ognia. Za moment Szron poprowadzi ich do walki. Przypuszczam, że i mistrz Wu nie pozostanie w stronie.

– Chcesz wysłać gońców? – zainteresował się cesarz.

- Nie, podczas walk ulicznych trudno byłoby im się przebić. Ważka po prostu wystrzeliła rękę.
- To wystarczy?
- Powinno. Wszyscy wiedzą, co mają robić.
- Włącznie z mistrzem Wu?
- Nie. Nie sądzisz chyba, że śmiałybym mu rozkazywać? Jednak myślę, że weźmie udział w obronie stolicy. Ci wszyscy magowie związani byli z Widmem, a Widmo... – Rudnicki machnął ręką, nie kończąc zdania.
- Co Widmo?
- To sprawa osobista. Powiedzmy, że mistrz miał do niego pretensje.
- Podobno Wu żył jeszcze przed Rozłamem? Alchemik w milczeniu skinął głową.
- A konkretniej? – ponaglił go cesarz.
- To jego tajemnica. Jeśli chcesz, sam go spytaj – odparł niechętnie Rudnicki. – Jako twój poddany zapewne nie wywróci cię na lewą stronę, jak zrobiłby to ze mną, gdybym zaczął paplać na prawo i lewo.
- Zrobione! – zameldowała dziarsko Ważka, wróciwszy do sali.
- I co teraz? – spytała Shunlie.
- Nic specjalnego – wzruszył ramionami Rudnicki. – Kiedy spiskowcy walczący w mieście zorientują się, że przegrywają, wyślą sygnał magom atakującym nas, żeby się pospieszyli, a wtedy tamci podwoją wysiłki, żeby wdrzeć się do pałacu. Pozwolimy im na to, rzecz jasna, nie od razu.
- Pozwolimy? – zmarszczył brwi imperator.
- Znajdą się tu wyczerpani, po wielogodzinnej walce, a wtedy ja i Guang zajmiemy się nimi.
- Guang jest następcą tronu! Nie możesz go tak narażać! – krzyknęła Shunlie.

– Nie mamy wyjścia. Może dałbym radę jednemu czy dwom, ale na pewno nie pięciu magom tej klasy.

Słowom alchemika zawtórował przeraźliwy łoskot, z sufitu pomieszczenia posypał się tynk.

– To już niedługo – mruknął alchemik. – Ważka, leć po księcia!

– Natychmiast!

Shunlie wstała z tronu i zaczęła gimnastykować palce, a jedna z gwardzistek podała jej miecz.

– Nie pozwolę, żeby mój syn walczył sam – oznajmiła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Rudnickiego.

– Nie! W żadnym wypadku! Będziesz chroniła cesarza, my zajmiemy się resztą.

– Ja...

– Będziemy razem z Guangiem – przerwał jej władca. – Obiecuję, że jeśli znajdzie się w niebezpieczeństwie, pozwolę ci mu pomóc. A i ja sam... – Dotknął policzka żony, nie kończąc zdania.

Tymczasem do komnaty wpadli gwardziści, wielu z nich było rannych, wśród nich Lanya Dara. Rudnicki dostrzegł trzech cesarskich magów, ci byli nietknięci, ale widoczne na ich twarzach zmęczenie świadczyło, że są u kresu sił. Chwilę później pojawił się i Guang. Chłopak miał na sobie pancerz z symbolem Żelaznej Modliszki.

– Rannych umieścić przy tronie – rozkazał alchemik. – Wy osłonicie niezdolnych do walki i cesarską parę – zwrócił się do magów. – Pozostali za mną!

Rudnicki stanął twarzą do wejścia, po jego prawicy zajął miejsce Guang, po lewej Ważka, za plecami alchemika gwardziści sformowali najeżony stałą szereg, broniąc dostępu do cesarskiej pary.

– *Dam radę zatrzymać na chwilę jednego z nich, ale nie wszystkich naraz* – odezwała się Łucja. – *Oni są bardzo silni.*

Rudnicki zagryzł wargi, nieoczekiwanie uświadomił sobie, że jeśli wizja okaże się nieprawdą albo nie do końca prawdą, zginą tu i teraz.

– Spokojnie, wujku! – powiedział Guang. – Mogę cię tak nazywać, prawda? Bo jeśli twoja żona zostanie adoptowana przez dziadka Wanga...

– Nazywaj, jak chcesz! – odburknął alchemik. – Mamy teraz ważniejsze sprawy! Dasz im radę? Ciekawe, dlaczego nie ma żadnych wieści od mistrza Wu? Czyżby przeliczył się z siłami?

– *Przeliczył?* – W głosie mistrza Wu brzmiało oburzenie zmieszane ze złością. – *A polowałeś kiedyś z toporem na myszy? Spróbuj taką trafić! Oni rozbiegli się po całym mieście jak karaluchy! Nie mogę wam pomóc, bo jeśli któryś ucieknie, znowu narobi nam kłopotów. Musicie radzić sobie sami.*

– *Damy radę!* – zapewnił Guang. – *Łucja i ty, wujku, zajmiecie się Dun Yangiem, to taki łysy, wysoki chudzielec. Ja resztą.*

Ku zdziwieniu alchemika w głosie młodzieńca zabrzmiała zimna determinacja: Guang chciał zabijać.

– *Co się stało?* – spytał niespokojnie Rudnicki.

– *Oni mają swoje plany odnośnie do... rodziców, a ta czwórka, którą chcę się zająć, brała udział w tym, co zrobiono mamie. To moja sprawa!*

– *W porządku, nie będę ci przeszkadzał.*

– *Dziękuję, wujku.*

Buntownicy, którzy pojawili się w sali tronowej, nie wyglądali na zwycięzców, bardziej na desperatów. Magowie byli wyraźnie wyczerpani walką, otaczała ich jedynie garstka uzbrojonych zwolenników.

Alchemik rozprawił się ze zbrojnymi w mgnieniu oka, wysyłając w ich kierunku setkę stworzonych z powietrza lodowych sopli.



Chyba dałbym radę więcej niż dwom, pomyślał, obserwując, jak magowie pospiesznie okrywają się tarczami z pulsującej błękitem energii.

– *Wujku!*

– *W porządku, tak tylko sobie myślałem. Łucja?*

– *Nasz to ten po lewej* – powiedziała dziewczynka.

Wnioskując po głosie, Łucja miała w tym momencie około trzydziestki.

– *Jesteś gotowa?*

– *Teraz, tato!*

Rudnicki potężnym, kilkunastometrowej długości skokiem dopadł chudego maga i jednym ciosem odrąbał mu głowę. Pozostali zastygli niczym owady uwięzione w bursztynie, w ich oczach malowało się bezbrzeżne cierpienie.

– *Guang?*

– *Ja ich teraz...*

– *Nie! Nie zniżaj się do poziomu tych bestii! Po prostu ich zabij!*

– *Oni nie byłiby dla mnie tacy łaskawi* – odparł posępnie chłopak.

– *A ty będziesz! No już!*

Alchemik obawiał się, że niesiony wściekłością księżę go nie posłucha, lecz po chwili pozostała przy życiu czwórka magów osunęła się bezwładnie na podłogę.

– *Dziękuję* – powiedział już na głos. – *Dobra robota.*

Rudnicki rzucił zakrwawiony miecz i usiadł tam, gdzie stał. Ważka pospieszyła, aby mu pomóc pozbyć się zbroi, ktoś przyniósł poduszki, kto inny podał wino.

Wygraliśmy, pomyślał półprzytomny ze zmęczenia alchemik. To już koniec, pozostałymi spiskowcami zajmą się odpowiednie służby i cesarscy zabójcy.



Rudnicki dokończył deser i z westchnieniem odsunął pusty talerz. Przez ostatni tydzień służba go rozpieszczała, najwyraźniej Lan uznała, że pryncypał musi odpocząć. Nie zgłaszano mu żadnych problemów, zarówno szkoła, jak i posiadłość działały niczym dobrze naoliwiony mechanizm. Albo ktoś bardzo chciał, żeby tak się zdawało...

Nie minęła nawet minuta, kiedy do jadalni weszła Lan, dawna Pierwsza, i zaczęła zbierać brudne naczynia.

– Rozumiem, że mój urlop się skończył? – spytał z rezygnacją alchemik. – To coś pilnego?

Podobnie jak Lan bez trudu odczytywała jego nastroje, tak i Rudnicki nauczył się interpretować zachowanie ochmistrzyni.

– Niestety – przytaknęła Lan. – Przede wszystkim chce cię odwiedzić cesarz. Wypadałoby, panie, żebyś wydał wytyczne służbie i gwardii. Jest jeszcze kilka drobniejszych kwestii, ale lepiej rozwiązywać je na bieżąco.

– Cesarz? Przyjmijcie go jak każdego gościa wysokiej rangi. Gwardia niech zabezpieczy teren, ale trzyma się na uboczu, nie chciałbym, żeby Huangdi poczuł się zagrożony. No i wykonujcie wszelkie polecenia Smoków. Najlepiej, jak zajmą się tym Rong i Ryba.

Kobieta skinęła na znak, że przyjęła polecenie.

– Co jeszcze?

– Dzieci się niepokoją.

– Dzieci? Przecież dzisiaj rozmawiałem z Hanią i...

– Yubi i reszta dzieciaków z Rehe – doprecyzowała.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się alchemik. – Przecież są pod opieką, niczego im nie brakuje?

– Kiedy ostatnio opowiadałeś im bajki?

Alchemik poczuł, jak palą go policzki.

– Ostatnio byłem trochę zajęty ratowaniem świata!

– To nie oskarżenie, a stwierdzenie faktu. One czują się niepewnie, szczególnie od kiedy w posiadłości pojawiły się twoje przybrane córki. Nie wiedzą, co z nimi będzie.

Rudnicki zmarszczył brwi, słysząc, jak Lan akcentuje słowo „przybrane”.

– Nie chcesz chyba, żebym je adoptował? Ich jest czternaścioro!

– Dziewięcioro, niektóre dzieciaki zabrali krewni.

– To wariactwo!

– Wyjaśnij im to – zaproponowała Lan. – Mogę zacząć przyuczać je do służby w twoim domu. Potrzeba ci zaufanych ludzi, a one oddadzą za ciebie życie.

– O takich sprawach nie można decydować pochopnie, no i nie wiem, co powie na to księżna – wymamrotał alchemik.

– Nie wiem też, co pomyślałby cesarz. Nie jestem już anonimowym cudzoziemcem, kto wie, może weźmie to za wzmacnianie rodu albo osobistej władzy?

– Możesz go dzisiaj zapytać.

Alchemik otworzył usta, lecz napotkawszy twarde spojrzenie Lan, zrezygnował z dalszej dyskusji.

Moja służba już zdecydowała, pomyślał. Szlag!

– Pomyślałaś, co im będzie groziło, jeśli sprawy ułożą się dla mnie niepomyślnie? – rzucił ze złością. – Jak wy to nazywacie? Miezu? Zagłada rodu?

– Pomyślałam. To nie ma znaczenia, ich los i tak jest złączony z twoim. Gdyby ktoś cię skrzywdził, te dzieciaki i tak próbowałyby cię pomścić.

– Chonghua...

– Księżna popiera ten pomysł – ponownie przerwała mu Lan. – Rozmawiała ze mną na ten temat. No i jest jeszcze twój mistrz.

– Co ma do tego mistrz Wu?!

– Mężczyźni... Czasem myślę, że nie zauważylibyście wschodu słońca, gdyby nie raziło was w oczy.

– A konkretniej?

Lan skrzywiła się niechętnie i odzęgnęła gestem od odpowiedzi.

– Słucham – ponaglił ją Rudnicki.

– On nadal nie pogodził się ze śmiercią syna, wszystko, co robi, jest podszyte smutkiem. Zemścił się na śmiertelnym wrogu, ale też stracił cel, który go motywował do działania. Daj mu inny: wnuki. Twoje przybrane córki nieprędko zaakceptują go w charakterze dziadka, to dla nich obcy świat. Kiedy to się stanie, o ile się stanie, będą już dorosłe. Co innego dzieciaki z Rehe.

Alchemik popatrzył na nią z przestraczem, Lan bezlitośnie odcięła mu wszelkie drogi ucieczki i po mistrzowsku grała na jego emocjach oraz poczuciu wdzięczności wobec mistrza Wu. Gdyby służyła w wojsku, byłaby przerażająco skuteczną dowódcą.

– Ja... zastanowię się.

Lan pokłoniła się nisko i bez słowa wyszła z komnaty.



Władca Wielkiej Han wymownym gestem podsunął alchemikowi pustą czarkę i Rudnicki dolał mu wina.

– Chyba będę cię częściej odwiedzał – mruknął cesarz. – W pałacu jest za dużo oczu i uszu, nawet nie można porządnie się upić.

– Nie wypada?

– To także, ale przede wszystkim trzeba pilnować pleców. Tu czuję się bezpiecznie, bo gdybyś chciał mnie zabić, zrobiłbyś to w czasie niedawnego buntu. Zresztą zdążyłem cię już poznać, jesteś zbyt miękki na takie rzeczy.

– To znaczy? – nie zrozumiał Rudnicki.

– No, na przejście władzy i wszystko, co z tym związane: na przykład wymordowanie parunastu tysięcy ludzi.

– A po co mi władza? Zastanawiałeś się kiedyś, ile czasu zajmują ci te pierdoły? Przebieranie dokumentów, wysłuchiwanie relacji wszelkiej maści urzędasów, knucie intryg, żeby utrzymać w ryzach wielkie rody? Uważam, że lepiej trafiłem niż ty.

Huangdi pogroził mu pięścią, ale w jego oczach pojawił się na moment błysk zawiści.

– Gdybym nie przejął władzy, nie rozmawialibyśmy dzisiaj. Rozumiesz, było kilku kandydatów. Ale chyba coś jest nie tak w twoim raju, bo wydajesz się nieco przygaszony?

Alchemik opróżnił swoją czarę kilkoma łykami i wystawił na stół kolejną butelkę.

– Jakiś problem?

– Niezupełnie. Moja przyszła żona i służba chcą, żebym adoptował dziewiątkę ledwo znanych mi dzieciaków. Nie jestem pewien, czy sobie poradzę. No i to nie są zwykłe dzieci, mistrz Wu nauczył je metod walki, jakie kultywowano przed Rozłamem, dzięki czemu one pomogły mi pokonać Jing Pena.

– Tego zabójcę Siedmiu Śmierci?

Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Pewnie niepokoją się o swój status. Dla nas to jedna z najważniejszych rzeczy w życiu – wyjaśnił imperator, widząc zdziwienie na twarzy alchemika.

– Coś w tym rodzaju.

– Nawiasem mówiąc, taka adopcja jest niemożliwa prawnie, wiedziałeś o tym?

– Słucham?!

– No bo to sieroty z najniższej klasy, tak? Ich rodzice nie pełnili żadnych funkcji wojskowych czy urzędniczych?

– Chyba tak...

– Biorąc pod uwagę, że wujek Wang został ojczymem Szron, niedługo będziesz spokrewniony z cesarską rodziną, a co za tym idzie nie możesz adoptować jakichś obdartusów z ulicy. Z drugiej strony... – Huangdi uśmiechnął się chytrze.

– Co ty kombinujesz? – spytał niespokojnie Rudnicki.

– Zaraz się dowiesz. Służba!

W komnacie pojawił się Gao Men, imperator poszeptał z nim chwilę, kilka minut później do komnaty weszło dwóch postawnych mężczyzn; służący dźwigali potężne, okute żelazem skrzynie.

– Jak powiedziałem, taka adopcja jest niemożliwa. Co innego, gdyby dzieci pochodziły z klasy wyższej. U nas tytuły arystokratyczne się dziedziczy, ale jest i inna opcja: władca może to załatwić specjalnym dekretem.

Zanim alchemik zdążył zareagować, służący rozłożyli przenośny stolik z przyborami pisarskimi i jeden z nich sięgnął po jedwabny zwój i tusz.

– Potrzebne mi jeszcze imiona tych dzieciaków – rzucił w przestrzeń cesarz.

Rudnicki nie wiedział, jakim cudem Lan zmaterializowała się tuż przy cesarskim skrybie. Kobieta bez słowa przekazała pisarzowi niewielki zwój. Chwilę później urzędnik osuszył jedwab za pomocą połyskującego złościście piasku, wręczył go z ukłonem alchemikowi, po czym opuścił pomieszczenie wraz z kolegą. Lan i eunuch zniknęli już wcześniej.

– Przeważnie cesarskie dekryty przyjmuje się na kolanach, ale ponieważ jesteśmy sami, daruję ci to naruszenie etykiety – oznajmił beztróska Huangdi. – Poproszę jeszcze wina. Ach, jeszcze jedno, oto żetony dla

naszych świeżo upieczonych arystokratów. Jeśli zechcą, mogą wstąpić do cesarskiej akademii, a potem ubiegać się o funkcje wojskowe i urzędnicze.

Rudnicki z przerażeniem spojrział na dziewięć nefrytowych krążków.

– I co teraz?

– Co tylko zechcesz, tyle że nie istnieją już żadne przeszkody prawne uniemożliwiające adopcję tych małych rozbójników.

– Dzięki wielkie!

– Cóż, rodzina powinna sobie pomagać – odparł ze śmiechem cesarz. – Poza tym to takie dodatkowe zabezpieczenie. Nie żebym cię o coś podejrzewał, ale mając tuzin dzieciaków, nie będziesz miał czasu nawet pomyśleć o pałacowych intrygach.

– To spisek!

– Oj tam, od razu spisek... Zresztą jak mógłbym odmówić prośbie mojej nowej krewniaczki? Wiesz, trochę się jej boję. Wreszcie ostateczna decyzja należy do ciebie.

– Sam tego chciałeś!

– Słucham?

– Potrzebne mi wzmocnienie, teraz zabierzemy się za picie na poważnie – stwierdził złowrogo alchemik.

Rudnicki podszedł do regału i ściągnął okazały gliniany dzban.

– To wzmocnione wino z tawerny „Czerwona Piwonia”. Trzydzieści procent.

– Nigdy takiego nie próbowałem – stwierdził z namysłem władca. – Może przyszedł czas poszerzyć horyzonty?

– Nie wiem, jak tobie, ale mnie przyda się poszerzenie horyzontów. Tylko wariat mógłby adoptować dziewiątkę dzieciaków, mając już dwie córki.

– Albo ktoś o szerokich horyzontach. No, niech będzie: bardzo szerokich horyzontach...



Wszyscy domownicy Rudnickiego, nie wyłączając gwardzistów i uczniów szkoły Ciemnego Ognia, klęczeli na podłodze w głównej sali pałacu. Sam alchemik trzymał w dłoni jedwabny zwój z cesarskim dekretem.

Rudnicki obrzucił groźnym wzrokiem wiercącą się Łucję, po czym rozwinął pismo i zaczął czytać przesłanie imperatora dające sierotom status dzieci *hou* trzeciej rangi, a tym samym przynależność do arystokracji Wielkiej Han.

– Poddani przyjęli dekret! – odparli unisono zgromadzeni.

– Wstańcie! – polecił alchemik.

Tymczasem Lan rozdała dzieciom nefrytowe żetony, oznakę ich nowej rangi. Ku zdumieniu Rudnickiego żadne nie kwapiło się, aby je przypiąć do pasa.

– Wujku, ja nie chcę się uczyć w cesarskiej akademii! – wybuchnęła Yubi. – Chcę zostać z tobą! Mogę być służącą. Lan, powiedz mu, że jestem grzeczna i pomagam w kuchni!

– I ja! I ja!

Po chwili wszystkie żetony leżały z powrotem na stole. Rudnicki odchrząknął i uniósł dłoń, aby uciszyć gwar.

– To nie tak – powiedział przez ściśnięte gardło. – Nie mam zamiaru was wyrzucać, wprost przeciwnie, chcę was adoptować. Jednak aby Cenzorat podpisał odpowiednie dokumenty, wszyscy musicie mieć rangę nie mniejszą niż ta przyznana wam przez cesarza. Oczywiście, jeśli tego chcecie...

W uderzenie serca później wszystkie dzieci miały żetony u pasa.



– Naprawdę? – spytała z płonąącym wzrokiem Mei Mei.

– Naprawdę – uśmiechnął się alchemik. – Załatwimy to po południu. Lan, dopilnuj, żeby wszyscy ładnie się ubrali.

– Tak, panie – odparła ochmistrzyni z czołobitnym ukłonem. – Kareta już czeka.

– Gdzie jedziesz? – spytała Yubi.

– Na spacer. Muszę porozmawiać z przyszłą żoną – dorzucił z lekką, niemal niedostrzegalną nutką ironii.

Dzieci go obstąpiły, ale Lan błyskawicznie zlikwidowała zbiegowisko.

– Wszyscy do łaźni, a potem krawcy wezmą miarę na wasze nowe ubrania – rozkazała. – Już!

Nowo mianowana arystokracja wykonała polecenie bez słowa protestu.

– Nie wiem, czy mam ją obić, czy pochwalić – wyznał alchemik, kiedy znalazł się ze Szron w karecie. – I ciebie przy okazji. Co wam przyszło do głowy, żeby...

– To był mój pomysł – weszła mu w słowo Chonghua. – Lan uważa się za sprawną manipulatorkę, ale w rzeczywistości nie sięga mi do pięt.

– Ale dlaczego? Przecież troszczyłbym się o nie tak czy owak!

Chonghua długo nie odpowiadała, wydawało się, że interesuje ją tylko widok za oknem.

– Bo one o tym marzyły, nawet jeśli żadne z nich nie odważyło się wypowiedzieć tego na głos. Także dlatego, że ja tego chciałam. Służyłam imperium przez wiele lat i przez ten czas zrobiłam wiele rzeczy, których się wstydzę. To odkupienie. Coś w rodzaju odkupienia. Poza tym nigdy nie będę mogła mieć dzieci – dorzuciła lekkim na pozór tonem. – Więc i ty. Chyba że weźmiesz sobie konkubinę albo drugą żonę. Może tak byłoby lepiej?

Rudnicki zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy.

– Ale dlaczego? – powtórzył.  
– Opowiadałam ci o zagładzie mojej rodziny.  
– Tak, ale co to ma wspólnego...  
– Nie powiedziałam ci wszystkiego. Ponieważ doniosłam na własnego ojca, uzyskałam od cesarza ułaskawienie, więc Srebrny Deng nie mógł mnie zabić, ale to wszystko, czego nie mógł. Więc zrobił to, co mógł i na co miał ochotę. On i jego ludzie. Myślę, że ze strachu i bezsilnej złości, bo wiedział, że zacznę na niego polować i prędzej czy później zabiję. Dlatego jestem bezpłodna. Całkowicie i nieodwołalnie.

Alchemik poczuł, jak dusi go kołnierzyk i krew napływa do twarzy.

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem – wycharczał. – Duszo tu.

Wyskoczył z powozu i rozejrzał się: znajdowali się na jednym z rynków Changanu. Wokół tłoczyli się i przepychali ludzie, a sprzedawcy wywrzaskiwali swoje oferty. Mimo rozgardiaszu otaczająca alchemika aura lodowatego gniewu sprawiła, że najbliżej stojący ludzie odsuwali się w pośpiechu i milkli. Jedynie grupka bogato odzianych młodzieńców zaczepiająca dziewczynę w ubraniu sługi ciała nie przerywała sobie zabawy.

Rudnicki wyrwał solidny drążek podtrzymujący baldachim nad pobliskim straganem i kilkoma uderzeniami powalił żartownisiów na bruk.

– Nie wiesz, kim jestem! – wymamrotał, podnosząc się, tłuścioch w brokatowym kaftanie. – Ja ci...

Nie dokończył zdania, powalony kopniakiem przez Ważkę. Gwardziści błyskawicznie otoczyli miejsce zajścia.

– Mówisz do sługi cesarstwa! – powiedziała zimno dziewczyna. – Na kolana!

W sekundę później klęczeli już wszyscy, a na placu zapadła martwa cisza.

– Kto tu pilnuje porządku? – zapytał alchemik.

Przez chwilę nic się nie działo, później podszedł do niego niemłody mężczyzna w mundurze policjanta.

– Proszę wybaczyć, ekscelencjo – wymamrotał. – Nie zauważyłem...

– Słyszałeś, co się stało na targu w dzielnicy portowej? – przerwał mu bezceremonialnie alchemik. – Tam też ktoś „nie zauważył”. Od tej pory będę się przyglądał temu rynkowi. Jeżeli coś podobnego się powtórzy, odpowiesz za to własnym życiem. Każdy sługa ciała jest pod opieką państwa, a tu i teraz ty reprezentujesz państwo! Kolejna sprawa: kim są ci chuligani?

– Ci panicze...

– To synowie bogatych kupców! – odpowiedziała korpulentna sprzedawczyni. – Od zawsze urządzają awantury na rynku, a straż udaje, że tego nie widzi!

– Wążka!

– Tak, mistrzu?

– Każdemu po dwadzieścia batów, tłuściochowi trzydzieści. Spisz ich imiona i dowiesz się, kim są ich ojcowie. Ponieważ nie potrafili wychować swoich dzieci, zapłacą karę w wysokości pięciuset liangów srebrem każdy. Przygotujesz też skargi na ich zachowanie i prześlesz do cesarskiej kancelarii. Osobno skargę na tego tutaj. – Rudnicki wskazał ruchem głowy policjanta.

– Tak, mistrzu!

– Jedziemy! – burknął alchemik.

– Całkiem nieźle sobie poradziłeś – pochwaliła Szron. – Jesteś zły?

– Jestem zły. Powinnaś mi wcześniej powiedzieć.

– Nie chciałam. Nienawiść zatruwa, jak uzasadniona by nie była. Wystarczy, że ja żyłam nienawiścią długie dwadzieścia lat. Kiedyś mi wybaczysz – dodała, całując go w rękę.

– Te dzieci to ogromna odpowiedzialność!

– Niespecjalnie.

– To ma być żart?

– Skąd! Podejrzewam, że powinności ojca w twoim świecie mocno różnią się od naszych. Poza tym masz do dyspozycji wysoko wykwalifikowaną służbę, mnie, no i mistrza Wu. Naprawdę nie będziesz miał wiele do roboty, wystarczy, jak czasem przytulisz któreś z nich i opowiesz bajkę. One i tak cię uwielbiają. Ja zajmę się resztą.

– Biorąc pod uwagę te wszystkie pałacowe intrygi, kiedy wstąpią do cesarskiej akademii, będę miał pełne ręce roboty! Bo przecież wstąpią?

– Rzeczywiście, wypadaloby. Bez dyplomu i zaliczenia państwowego egzaminu nie dostaną żadnego przydziału, ani w wojsku, ani w służbie cywilnej.

– No właśnie!

– Naprawdę uważasz, że nie dam rady ich dopilnować? Albo że ktoś z możnych będzie chciał rzucić wyzwanie słudze cesarstwa czy mnie? Wreszcie, kiedy weźmiemy ślub, staniesz się krewnym imperatora, a co za tym idzie i one znajdą się pod ochroną Huangdiego. Zapomnij! Jedynym realnym niebezpieczeństwem będą hordy lizusów usiłujących wkupić się w ich łaski. Ale i z tym sobie poradzę.

– Kiedy weźmiemy ślub? Ktoś tu chyba się reklamuje...

– Rzecz jasna! – przyznała z uśmiechem Szron.

– Jeszcze jedna rzecz, mówiłaś coś o mistrzu Wu?

– Oddamy mu dzieciaki pod opiekę, bo muszą nauczyć się walczyć, a kto robi to lepiej od niego? Zupełnie bez

związku dodam, że jeśli ich przyjmie, staną się uczniami szkoły Białej Kozy.

– A przyjmie?

– Jeśli sam tego nie zaproponujesz, mistrz pofatyguje się do ciebie.

– Żartujesz?

– Chcesz się założyć?

– O co?

– Cóż, mam pewien pomysł.

Szron nachyliła się do ucha alchemika i przedstawiła szeptem swoją propozycję.

– W cesarskiej garderobie?!

– Zawsze chciałam to zrobić. Nie wyobrażasz sobie, ile godzin tam spędziłam w pozycji na baczność, strofowana przez świętoszkowate matrony.

– Zwariowałaś!

– Tchórzysz?

– Dobrze, jeśli sam do mnie przyjdzie.

Szron odpowiedziała mu figlarnym spojrzeniem i przytuliła się do Rudnickiego.

Niemożliwe, pomyślał alchemik. Mistrz nigdy sam nie poprosi, żebym oddał mu dzieciaki na naukę. Chyba...



– Najwyższy czas, żeby te dzieci wzięły się za naukę! – oznajmił gromko mistrz Wu. – Jeśli opuszczą jeszcze rok czy dwa, nigdy nie osiągną pełni swoich możliwości. Yunru specjalizuje się w nauczaniu dzieci. – Wskazał towarzyszącą mu kobietę.

Na pierwszy rzut oka uczennica mistrza Wu wyglądała na trzydzieści lat, ale jeśli Ważka miała rację i przez

ostatnie stulecie szkoła Białej Kozy nie przyjęła żadnego ucznia, Yunru musiała mieć grubo ponad setkę.

– Nie chcę, żeby uczyły się tej przedrozmowej sztuki zabijania – oznajmił alchemik.

– Nie będą – zapewniła Yunru. – Mistrz pokazał im kilka technik tylko po to, żeby przeżyły tę całą jatkę.

– Będziesz je uczyła?

– Tak, choć i mistrz pewnie czasem udzieli im lekcji.

Wu skinął z powagą głową.

– W wolnej chwili – potwierdził.

Wygląda jak miejski cwaniak chcący oszukać kmiotka ze wsi, pomyślał z rozbawieniem Rudnicki. Chonghua i Lan miały rację, on aż się pali, żeby uczyć tę dzieciarnię.

– To banda łobuzów, mistrzu – uprzedził.

– Dam sobie z nimi radę – zapewnił Wu. – Oczywiście zostaną formalnie wpisani na listę uczniów szkoły Pierdzącej Kozy. Rzecz jasna, zapewnimy im wszelkie pomoce i medykamenty.

Rudnicki odchrząknął z aprobatą: w trakcie nauki każda szkoła stosowała sekretne lekarstwa mające zabezpieczyć przed skutkami szczególnie forsownych ćwiczeń i leczyć kontuzje.

– Myślę, że powinniśmy podzielić się naszymi lekami także ze szkołą Ciemnego Ognia – wtrąciła niewinnym tonem Yunru. – W gruncie rzeczy to odłam naszej linii nauczania.

– Oczywiście – przytaknął z roztargnieniem Wu. – Więc?

– Będę wdzięczny, jeśli się nimi zajmiesz, mistrzu – odparł Rudnicki.

– A zatem załatwione! Pójdę powiedzieć im, że od jutra zaczynamy lekcje. Nie odprowadzaj mnie, dam sobie radę.

Alchemik podszedł do okna – rozmawiali w jego gabinecie, na pierwszym piętrze pałacu – i zerknął na

podwórzu. Dzieci, nie wyłączając Łucji i Hani, brały udział w jakiejś dziwnej i chyba nie do końca bezpiecznej grze z użyciem drewnianych drągów i skórzanej piłki. Jak na razie nie było rannych.

Na widok mistrza Wu wszyscy natychmiast przerwali zabawę i otoczyli go, krzycząc jedno przez drugie. Jedynie Hania trzymała się nieco z boku. Wu podniósł dwójkę dzieciaków i zaczął uciekać, trąbiąc przy tym jak słoń. Pozostałe rzuciły się za nim w pogoń.

– On rzeczywiście da sobie z nimi radę – mruknął pod nosem Rudnicki.

– Na pewno – przytaknęła Yunru. – I dziękuję ci, bracie, dawno nie widziałam go takim szczęśliwym. Gdybym nie była taka głupia, już dawno zaopiekowałamby się jakimś maluchem i...

– To nie mógł być ktokolwiek – wszedł jej w słowo alchemik. – Te dzieciaki czekały na niego, a on na nie.

– Los? Może masz rację. Pewnie masz rację – poprawiła. – Co cię trapi, bracie?

– Dlaczego pytasz?

– Przecież widzę. Mam ponad pięćset lat – powiedziała rzeczowo. – I niejedno przeszłam, dlatego czytam w tobie jak w otwartej księdze. Jeśli mogę ci w czymś pomóc, na pewno to zrobię.

– Przecież widzimy się pierwszy raz w życiu!

– No tak, zapomniałam, że pochodzisz z innego świata. Tu, u nas, rodzina jest wszystkim, nawet przyszywana. A mnie miło mieć młodszego braciszka. Jeśli ktoś cię skrzywdził, powiedz mi tylko jego imię, a umrze przed zachodem słońca. Kimkolwiek by był.

Alchemik osłupiał, nie wyglądało jednak, żeby Yunru żartowała.

– Nie, nie! – zaprzeczył pospiesznie. – Nic z tych rzeczy! Męczy mnie pewna wizja.

– Opowiesz?

Rudnicki wziął głęboki oddech i opisał wszystko, co zapamiętał, nie pomijając żadnego szczegółu. Ze zdziwieniem zauważył, że mu ulżyło.

– Każdy z nas kiedyś umrze – powiedziała Yunru z melancholijnym uśmiechem. – Prędzej czy później. Większość ludzi wypiera tę kwestię z pamięci, póki oni i ich bliscy są zdrowi, ale nie zmienia to sytuacji. Śmierć zapuka do każdego domu. Moim zdaniem powinieneś jej o tym opowiedzieć.

– Naprawdę? Jak umierała w moich ramionach, a dziewczynki rozpaczały na jej pogrzebie?

– A dlaczego nie? Rozumiem twój ból, ale pomyśl, czy Chonghua nie wolałaby umrzeć przed tobą? Zasnąć w twoich ramionach, z bliskimi u boku? To błogosławieństwo. I pamiętaj, że twoja wizja przedstawia odległą przyszłość. Bardzo odległą przyszłość, bo mistrzowie żyją dłużej niż zwykli ludzie. Czeka cię wiele szczęśliwych lat, może stuleci z ukochaną u boku, więc ciesz się, zamiast smucić.

– A Hania? Dzieci nie powinny umierać przed rodzicami – powiedział z goryczą.

Na twarzy Yunru zagrały mięśnie, a oczy na moment zasnęła mgła.

– Nie powinny – przyznała. – Jednak jeśli twoja córka odeszła później niż Chonghua, to znaczy, że i tak żyła dłużej niż większość ludzi.

– Masz rację, jednak... – Rudnicki urwał, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Kiedy umierają twoi bliscy, umiera też część ciebie, to nieuniknione – powiedziała ze współczuciem Yunru. –



Nigdy już nie będziesz taki beztrojski jak wcześniej, ale to nie znaczy, że nie zaznasz szczęścia. Popatrz na mistrza Wu, popatrz na mnie. Tak, i ja przeżyłam wielu, których nie chciałam przeżyć. A jednak siedzę tu z tobą, cieszę się naszą rozmową, twoją obecnością, zadowoleniem mistrza, a nawet psotami tych małych rozbójników. I z przyjemnością oczekuję jutrzejszego dnia.



Alchemik wyprostował się, czując trudną do opisanego ulgę. Ze słów Yunru była prawda i coś, co w innych ustach byłoby banalnym truizmem, pozwoliło mu się wyciszyć i uspokoić.

– Dobrze mieć starszą siostrę – powiedział, całując kobietę w policzek. – Pomieszkasz trochę z nami? Odpoczniesz od mistrza, przecież wiem, jaki potrafi być

marudny. Przez jakiś czas da radę sam robić sobie śniadanie.

– Co prawda to on robi mi śniadanie, kiedy przyjeżdżam do stolicy, ale kiedy zacznie uczyć dzieciaki, nawet nie zauważy, że mnie nie ma. Chętnie zostanę tu przez miesiąc czy dwa.

Przez jakiś czas siedzieli w przyjaznym milczeniu, popijając herbatę, wreszcie Rudnicki wstał z za stołu.

– Porozmawiam z nią – obiecał. – Jeszcze przed ślubem.



Rudnicki jeszcze raz spojrział w lusterko: wyraźnie widoczna w srebrnej tafli Księżyc zaczęła powoli zdejmować ubranie. Trzeba będzie to schować, pomyślał alchemik. Głęboko. Albo wywalić.

Lusterko było prezentem od nowej władczyni Białego Chanatu. Ślubnym prezentem. Zawarty wewnątrz obraz mógł aktywować tylko sam Rudnicki, najwyraźniej gadżet dostrojono magicznie do potrzeb jednego konkretnego użytkownika.

Niespodziewanie zwierciadło wypadło mu z dłoni i roztrzaskało się w drobny mak.

– Wiesz, że nie powinienes tego oglądać? – odezwała się łagodnie Łucja.

Sądząc po głosie, dziewczynka miała dziś ponad dwadzieścia lat.

– Miałem zamiar je wyrzucić – odparł alchemik obronnym tonem.

– W takim razie nic się nie stało, pomogłam ci tylko podjąć decyzję – rozpromieniła się Łucja. – Jedyłą właściwą decyzję – doprecyzowała z naciskiem. – Ładnie wyglądam?  
– Okręciła się na pięcie.

– Ślicznie – potwierdził Rudnicki, poprawiając nerwowo kołnierzyk kaftana.

Zgodnie ze zwyczajem ubrany był w purpurę, w Wielkiej Han ten kolor rezerwowano dla nowożeńców.

– Ty też ładnie wyglądasz – stwierdziła Łucja. – Tylko nie szarp już tego kołnierza, bo go oderwiesz. O czym myślisz?

– O niczym specjalnym.

– Akurat! Wiem, że się martwisz, kiedy robi ci się zmarszczka między brwiami. Więc?

– Cóż, chciałbym, żeby tu byli nasi przyjaciele ze starego świata: Luna, Anastazja, Saszka...

– Dzisiaj to niemożliwe – stwierdziła beztrąsko dziewczynka. – Ale za kilka lat kto wie? Guang mówi, że ta ostatnia podróż strasznie go wyczerpała, ale jego siła rośnie. Prędzej czy później będzie mógł nas tam ponownie zabrać albo przenieść ich do naszego świata. Choć pewnie trochę to potrwa, bo zamiast ćwiczyć, gania za dziewczynami – dodała z niesmakiem. – Jak dorosnę, każę mu za to zapłacić.

– Nawet o tym nie myśl! – ostrzegł groźnie. – Idziemy?

– Idziemy.

Na zewnątrz powitała ich muzyka i radosne okrzyki tłumnie zebranych gości. Rudnicki wsiadł do palankinu, wewnątrz oczekiwała go już Chonghua w czerwonym welonie na twarzy. Alchemik wziął ją za rękę. Wszystkie troski odpłynęły gdzieś daleko, wizja nadal tkwiła w jego podświadomości, jednak już nie tak przerażająca i wyraźna, jakby oglądał ją przez zasłonę deszczu. Rudnicki wiedział, że kiedyś się spełni, ale od tego momentu dzieliła go rzeka czasu. Wiedział też, że nie będzie nią płynął sam.

KONIEC



# SŁOWNICZEK I CIEKAWOSTKI

**piąta esencja** – *quinta essentia*, kwintesencja, niezniszczalny i wieczny piąty element (eter) niezbędny do transmutacji. Znaczenie tego terminu wychodzi poza alchemię, koncepcja eteru związana jest ze starogrecką teorią żywiołów jako elementów składowych świata materialnego. Po ziemi, ogniu, wodzie i powietrzu to eter, jako piąty element, miał być budulcem niebios.

**kamień filozoficzny** – *lapis philosophorum*, znany też jako eliksir albo tynktura. Substancja ta miała zamieniać metale nieszlachetne w złoto lub srebro, podobnie jak kamienie nieszlachetne w szlachetne. W tajnym języku alchemików znana też jako Bazyliszek, Salamandra lub Kameleon ze względu na swoje właściwości (na przykład niepalność czy powodowanie krzepnięcia rtęci zamienianej w złoto). Według adeptów alchemii kamień filozoficzny pozwalał także na uzyskanie eliksiru życia, zapewniającego nieśmiertelność każdemu, kto go wypije, i leczącego wszelkie choroby. Pracami nad stworzeniem kamienia filozoficznego zajmowało się wielu mistrzów alchemii, takich jak Michał Sędziwój, Arnold de Villanova, Rajmundus Lullus czy Nicolas Flamel (ten ostatni podobno z sukcesem). W alchemii chrześcijańskiej i tradycji różokrzyżowców pojęcie to ma oznaczać Jezusa Chrystusa.

**barok piotrowski** – barok w Rosji był popularny od lat osiemdziesiątych XVII wieku do sześćdziesiątych wieku XVIII. Wówczas w Rosji wykształcił się szereg charakterystycznych odmian tego stylu, wśród nich barok piotrowski, nazywany tak od cara Piotra Wielkiego. Kiedy Piotr zaczął budować Sankt Petersburg, sprowadził wielu architektów zza granicy, takich jak choćby Domenico Trezzini i Jean-Baptiste Alexandre Le Blond. Ten pierwszy projektował domy dla uboższych mieszkańców, Le Blond dla bogatych.

Barok piotrowski charakteryzują kryte dachówką mansardowe dachy (zwiększające możliwość użytkowania poddasza), płaskie elewacje, pilastry (elementy architektoniczne w formie płaskiego filara), poddasza doświetlone lukarnami (element zawierający okno, łączący się z dachem za pomocą powierzchni bocznych) i barwne tynki.

Do najciekawszych budowli tego okresu należą sobór Pietropawłowski, letni pałac Piotra I, pałac Mienszykowa i Wielki Pałac (Peterhof).

**Święta Drużyna** – organizacja powstała w 1881 roku, zaraz po zamachu na cara Aleksandra II (car zginął w zamachu), w celu walki z rewolucyjnym terrorem, także przez wykonywanie wyroków śmierci na osobach zamieszanych w działalność antypaństwową lub o nią podejrzewanych. Trudno powiedzieć, kto wpadł na pomysł, aby stworzyć taką drużynę, jednak na pewno wsparł ją (także finansowo) car Aleksander III, a wśród jej przywódców można wymienić opisanego w powieści Konstantina Pobiedonoscewa. Podobno w skład organizacji wchodziło 729 „braci” i 14 672 ochotników. W samarskim oddziale Świętej Drużyny zaczynał karierę późniejszy premier Rosji

z czasów Mikołaja II – Stołypin. Oficjalnie organizacja została rozwiązana w 1883 roku (część jej członków przeszła w szeregi carskiej policji), jednak wydaje się, że byli druzynnicy nadal utrzymywali ze sobą kontakty, a akta dotyczące większości agentów pracujących na rzecz Świętej Drużyny zostały zniszczone, co uniemożliwia stwierdzenie, czy działalność tej organizacji definitywnie się skończyła.

**trzeci Rzym i Święta Ruś** – hasło „Święta Ruś” pojawiło się po raz pierwszy w czasie wielkiej smuty, kiedy to wymarła dynastia Rurykowiczów, co spowodowało totalny chaos na terenie carstwa rosyjskiego, zakończony objęciem tronu przez Michała Romanowa. Można powiedzieć, że mit Świętej Rusi jest nierozzerwalnie spleciony z dynastią Romanowów. Generalnie rzecz biorąc, pojęcie to obejmowało wszystkie ziemie znajdujące się pod władzą cara, jednak współcześnie kośćcem tej koncepcji jest zjednoczenie „bratnich narodów” Rosji, Ukrainy i Białorusi, przy założeniu, że to właśnie Rosja jest głównym motorem tej idei i starszym bratem.

Mit Świętej Rusi opiera się na koncepcji trzeciego Rzymu, uznającej Moskwę za jedyne źródło prawdziwej wiary chrześcijańskiej i centrum upoważnione do władzy nad światem. Teoria ta została stworzona w XV wieku przez mnicha Filoteusza z Pskowa. Początkowo miała ona jedynie podkreślić dominującą pozycję wiary prawosławnej (a ściślej mówiąc, prawosławia moskiewskiego), jednak z biegiem czasu stała się wyznacznikiem i usprawiedliwieniem dla ekspansywnej polityki Rosji. Według jej zwolenników Rosja przejęła misję światowego przywództwa po upadku pierwszego Rzymu (cesarstwa zachodniorzymskiego), którego przyczyną była herezja, i drugiego Rzymu (Konstantynopola), który z kolei zgrzeszył

zdradą prawdziwej wiary. Trzeci Rzym – Moskwa jest ostatnim i doskonałym centrum wiary, a co za tym idzie i władzy. Filoteusz twierdził, że Moskwa „jedyna we wszechświecie jaśniej od słońca świeci” i tak pozostanie do końca świata, gdyż nowego, czwartego Rzymu już nie będzie.

Prawnym pretekstem do przedstawiania Rosji jako spadkobiercy Konstantynopola stało się małżeństwo Iwana III Srogiego z Zoe (Zofią) Paleolog, ostatnią dziedziczką tronu bizantyjskiego, co miało też odzwierciedlenie w symbolice – Moskwa przejęła bizantyjskiego dwugłowego orła jako godło państwowe.

Biorąc to pod uwagę, nie dziwi fakt, że Rosjanie uznali katolicyzm (a z biegiem czasu także wszystkie inne wyznania) za herezję, a Zachód za wroga usiłującego skazić jedyną czystą wiarę – moskiewskie prawosławie, w czym mieli celować „brudni Żydzi”, „wilczy Lachowie” i „pogańscy Litwini”.

Konkludując, obecny stan świadomości Rosjan to nie efekt najbardziej nawet nachalnej putinowskiej propagandy, ale skutek trwającego od wieków prania mózgow. To nie Putin ukształtował współczesną Rosję, ale Rosja ukształtowała Putina.

***ruskij mir*** – po raz pierwszy określenia tego użył Izjasław I, książę kijowski w XI wieku. W pewnym uproszczeniu: „rosyjski świat” to wspólnota języka, kultury i historii, obejmująca wszystkich rosyjskojęzycznych. Współcześni zwolennicy tej idei ubolewają mocno nad faktem, że kiedyś w granicach imperium rosyjskiego mieszkała jedna siódma ludności świata, a obecnie jedynie jedna pięćdziesiąta, i uważają, że należałoby to zmienić. Władimir Putin już w 2007 roku powołał sponsorowaną przez rząd fundację



Russkij Mir, której zadaniem miało być promowanie rosyjskiej kultury i języka na całym świecie, a także współpraca z Cerkwią prawosławną w propagowaniu tradycyjnych, przeciwstawianych zachodnim wartości. Ponieważ Rosja nie jest obecnie państwem jednolitym etnicznie, autorzy koncepcji „rosyjskiego świata” uznali, że głównym nośnikiem kultury i tradycji jest język, a zatem używając języka rosyjskiego, można niejako „przyswoić sobie” rosyjską kulturę i wartości, zacząć „myśleć po rosyjsku”, a w perspektywie także działać w myśl interesów Rosji... Takie postawienie sprawy daje Putinowi możliwość prowadzenia bardzo agresywnej polityki pod pretekstem obrony osób rosyjskojęzycznych daleko poza granicami etnicznymi Rosji. Na przykład po przyłączeniu Krymu do Rosji stwierdził on, iż: „Krym zawsze był i pozostanie nieodłączną częścią Rosji, to świętość, oparta o sprawiedliwość”, zapewniając jednocześnie Ukraińców, że „dawna Ruś to nasze wspólne źródło, nie damy rady żyć bez siebie”. Dodał jednak od razu, że: „Na Ukrainie żyją i będą żyły miliony Rosjan, rosyjskojęzycznych obywateli, i Rosja zawsze będzie bronić ich interesów politycznymi, dyplomatycznymi i prawnymi metodami”, co było niezbyt zawoalowaną aluzją, że Ukraina znajduje się w obszarze wpływów rosyjskich. Biorąc zaś pod uwagę, jakim sposobem Krym dostał się pod władzę Rosji, było oczywiste, że Moskwa nie zawaha się przed użyciem siły w swoich interesach.

**Klub Angielski** – pierwszy w Rosji klub dla dżentelmenów, sławny z wykwintnych posiłków, angielskiej kuchni i gry w karty, był ośrodkiem skupiającym rosyjską szlachtę i arystokrację. Oficjalnie założono go w 1770 roku z inicjatywy kupca Francisa Jacoba Gardnera (wcześniej

angielscy kupcy zbierali się w hotelu prowadzonym przez jednego z nich). Dewizą klubu było hasło *Concordia et laetitia* (Harmonia i radość). Klub bardzo szybko stał się organizacją elitarną, wobec natłoku chętnych ustalono, że nie będzie liczył więcej niż trzysta osób. Pierwsze kluby dla dżentelmenów powstały w Sankt Petersburgu, jednak później najślawniejszy stał się Klub Angielski w Moskwie. Jeden z pisarzy tamtej epoki Michał Zagoskin (1789–1852) we wspomnieniach odnotował, że wielu rosyjskich szlachciców wyróżniało w swoim życiu cztery kamienie milowe: narodziny, otrzymanie pierwszego stopnia oficerskiego, małżeństwo i przyjęcie do Klubu Angielskiego.

**Szpital Angielsko-Rosyjski** – powstał w 1915 roku w Sankt Petersburgu (wówczas Piotrogradzie) pod oficjalną nazwą „Dar imperium (brytyjskiego) dla naszych rosyjskich sojuszników”, zlikwidowano go w 1918 roku. Mieścił się w pałacu Bięłosielskich-Bięłozierskich przy Newskim Prospekcie, nad Fontanką.

Szpital odwiedzili między innymi caryca Aleksandra wraz z córkami i księżę Jusupow (podobno w kilka godzin po zabójstwie Rasputina). Placówkę zlikwidowano po wybuchu rewolucji październikowej, a personel ewakuowano do Anglii. Ponieważ w stworzonym przeze mnie uniwersum nie było bolszewickiego przewrotu, pozwoliłem szpitalowi egzystować dłużej.

***beau monde*** – przenośnie wyższe sfery, wytworne towarzystwo.

***va banque*** – stawka o wszystko, w przenośni: zaryzykować wszystkim dla osiągnięcia celu.

***carte blanche*** – nieograniczone pełnomocnictwo.

**Gwiazda Trithemiusa** – symbol magiczny w kształcie siedmioramiennej gwiazdy, nazywany także Gwiazdą Magów i Gwiazdą Babilonu. Trithemius przyszedł na świat w 1462 roku w Trittenheim jako Johannes von Heidenberg, przybrał imię od nazwy miejscowości, w której się urodził. Interesował się magią, wstąpił do zakonu benedyktynów i mimo że był najmłodszym zakonnikiem, po dwóch latach został wybrany opatem. Prowadził badania w zakresie szyfrów i steganografii (nauka o komunikacji, gdzie obecność komunikatu jest ukryta).



Foto © Fabryka Slow





• A • D • A • M •

# PRZECHRZTA

Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, walki nożem i okinawskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał szesnaście powieści oraz tom opowiadań.

Jest laureatem Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, w 2014 roku otrzymał Srebrne Wyróżnienie za „Gambit Wielopolskiego”.

Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną, aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.





### CYKL O RAZUMOWSKIM

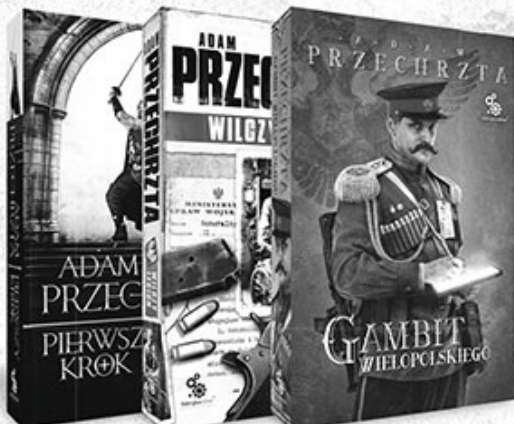
Demony Leningradu  
 Demony wojny, cz. 1  
 Demony wojny, cz. 2

Demony czasu pokoju  
 Demony zemsty. Abakumow  
 Demony zemsty. Beria



### DEPOZYTARIUSZ CHORAĞWI ARCHANIOLA

Chorągiew Michała Archanioła  
 Białe noce



### POZOSTAŁE KSIĄŻKI AUTORA

Pierwszy krok  
 Wilczy Legion  
 Gambit Wielopolskiego







CYKL MATERIA PRIMA

---

Adept  
Namiestnik  
Cień



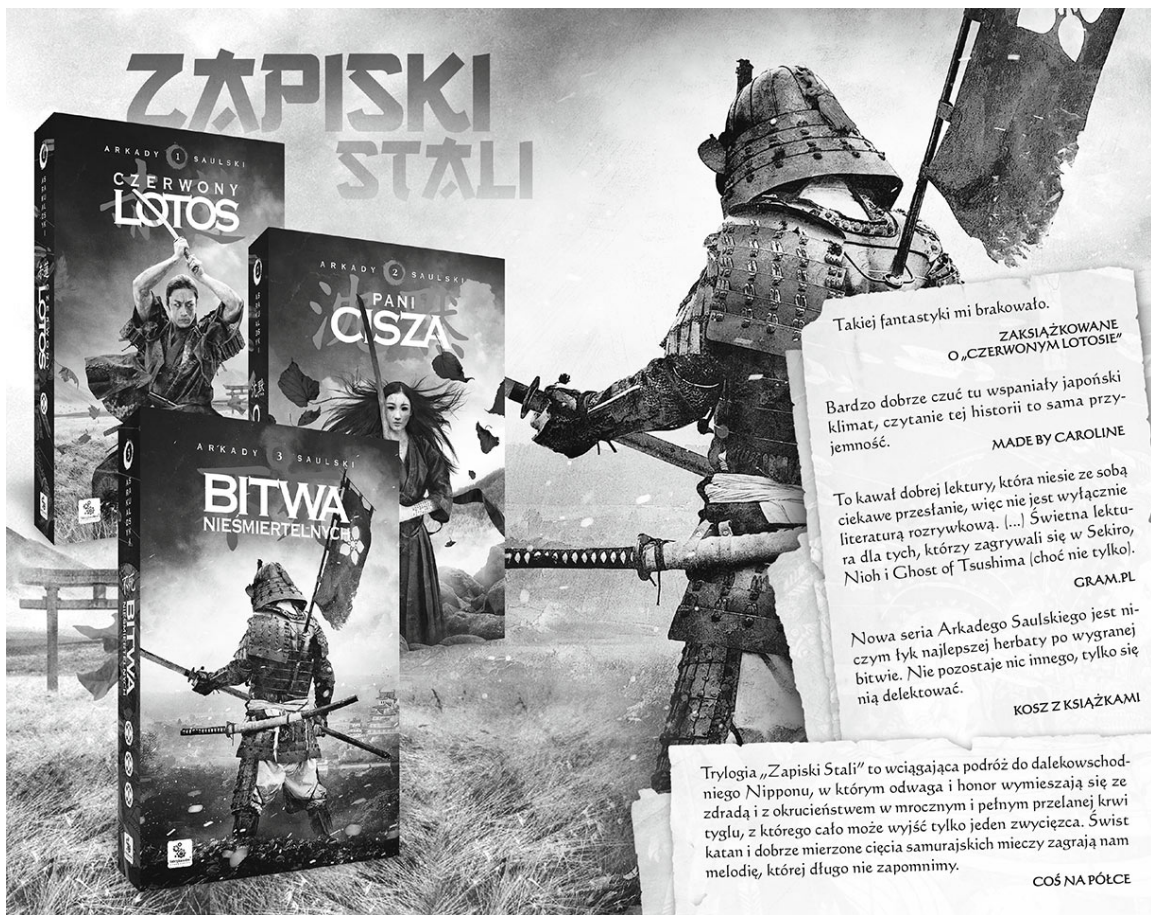
CYKL MATERIA SECUNDA

---

Sługa krwi  
Sługa honoru  
Sługa cesarstwa



# ZAPISKI STALI



Takiej fantastyki mi brakowało.

ZAKSIĄKOWANE  
O „CZERWONYM LOTOSIE”

Bardzo dobrze czuć tu wspaniały japoński klimat, czytanie tej historii to sama przyjemność.

MADE BY CAROLINE

To kawał dobrej lektury, która niesie ze sobą ciekawe przesłanie, więc nie jest wyłącznie literaturą rozrywkową. (...) Świetna lektura dla tych, którzy zagrywali się w Sekiro, Nioh i Ghost of Tsushima (choć nie tylko).

GRAM.PL

Nowa seria Arkadego Saulskiego jest niczym łyk najlepszej herbaty po wygranej bitwie. Nie pozostaje nic innego, tylko się nią delektować.

KOSZ Z KSIĄŻKAMI

Trylogia „Zapiski Stali” to wciągająca podróż do dalekowschodniego Nipponu, w którym odwaga i honor wymieszają się ze zdradą i z okrucieństwem w mrocznym i pełnym przelanej krwi tygł, z którego cało może wyjść tylko jeden zwycięzca. Świsł katan i dobrze mierzone cięcia samurajskich mieczy zagrają nam melodie, której długo nie zapomnimy.

COŚ NA PÓŁCE



## CYKL HIERARCHIA MAGII

W każdej legendzie tkwi ziarno prawdy – pradawne zło czai się w mroku, czekając na moment odrodzenia. A absolutne zło wykorzystać można tylko w sposób absolutny.

**W TEJ WALCE NIE BĘDZIE ZWYCIĘZCÓW, BĘDĄ TYLKO KONIECZNE OFIARY.**

Mnisi uratowali małego Caldana od niechybnej śmierci, która czekałaby sierotę na ulicach miasta. Dali mu kilkanaście lat spokoju, możliwość nauki i jakąkolwiek szansę na godne życie. Wszystko zmienił niefortunny pojedynek.

W ciągu jednej nocy Caldan stracił wszystko, co znał, i dowiedział się o sobie rzeczy, które muszą pchnąć go na zupełnie nową ścieżkę. Ścieżkę pełną niebezpieczeństw i pułapek, groźnych nawet dla obytego w świecie intryganta. Dla nieznanego świata dziecka z klasztoru nowa wiedza może być wyrokiem śmierci.

*Po prostu REWELACYJNA.*

*Od warsztatu pisarskiego, poprzez budowanie napięcia, a na nieoczywistych bohaterach kończąc.*

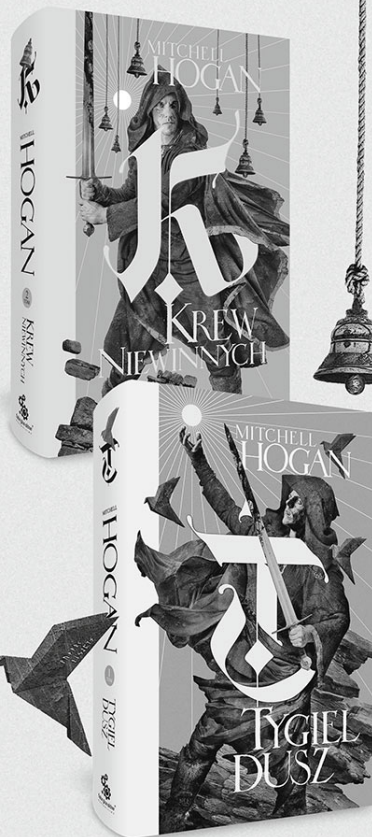
*Mielście kiedyś tak, że skończyliście jakąś książkę, a nadal o niej myślicie i chcielibyście do niej już wrócić?*

*Dla fanów fantastyki jest totalnym must readem!*

*Największą zaletą jest wspaniale stworzony system magii.*

*Tu nie ma wyjaśnień typu: bo to magia.*

*Zdecydowanie Mitchell Hogan zapisuje się wysoko w moim rankingu autorów, a kolejnego tomu wyczekuję z niecierpliwością.*



COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I  
ISBN 978-83-7964-894-8

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski  
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI

Dark Crayon, Konrad Kućmiński | Grafficon

ILUSTRACJE

Przemysław Truściński

REDAKCJA

Karolina Kacprzak

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)  
[instagram.com/fabrykaslow](http://instagram.com/fabrykaslow)





## — CYKL — MATERIA PRIMA

Adam Przechrzta jest genialnym pisarzem, który potrafi kreować niezwykle uniwersa i zamieszkujące je postacie. Każdy miłośnik fantastyki znajdzie w jego książkach coś dla siebie.

[Historia.org.pl](http://Historia.org.pl)

Przechrzta pod otoczką mistyki i alchemii z tłem historii alternatywnej serwuje czytelnikowi dawkę pierwszorzędną akcji.

[paradoks.net.pl](http://paradoks.net.pl)





A · D · A · M ·  
P R Z E C H R Z T A

# SŁUGA CESARSTWA

CYKL MATERIA SECUNDA • TOM III

## PYCHA KROCZY PRZED UPADKIEM

**K**siążę Guang, latami więziony i tresowany jak zwierzę, miał nienawidzić swoich rodziców i wszystkiego, co żyje. Miał być śmiertelnie niebezpiecznym szaleńcem, którego za wszelką cenę trzeba pokonać i zabić. Najlepiej rękoma przybysza, którego po wykonaniu zadania będzie można bez żalu poświęcić.

**S**pisek wydawał się doskonały. Jednego tylko spiskowcy nie przewidzieli – tego, że Olaf Rudnicki ma serce. I rozum. I umie używać obu.




POPZEDNIE  
TOMY



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)

 /fabryka

 /fabrykaslow



# Spis treści

Karta tytułowa	4
Cykle Alchemik Rudnicki i Materia secunda	6
I · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	8
II · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	45
III · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	79
IV · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	122
V · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	159
VI · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	208
VII · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	255
VIII · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	301
IX · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	352
X · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	395
XI · R · O · Z · D · Z · I · A · Ł ·	444
Słowniczek i ciekawostki	488
Adam Przechrzta	495
Książki Adama Przechrzty	499
Zapiski stali	503
Hierarchia magii	504
Karta redakcyjna	505
Okładka	507